

Dobraczyński Jan

MAŁŻEŃSTWO ANNY

Instytut Wydawniczy PAX

© by Jan Dobraczyński, Warszawa 1981

Redaktor techniczny Adam Małaszewski

ISBN 83-211-0265-4

Gdybym pewną być mogła, że dusza oswobodzona z ciała poleci szlakiem znajomym do istot mi drogich, będzie mogła wnikać we wzruszenia ich duszy, objawiać się w natchnieniach, odsłaniać w przygodach, wzmacniać w walkach, cieszyć w niedoli — o, wtedy perspektywa śmierci byłaby dla mnie gwiazdą nadziei, świecącą światłem jasnym w bezbarwnej drodze mego życia! Bo (przebacz, mój Boże, jeśli i ta myśl Cię obraża, nie chcę Ci bluźnić) nieśmiertelność, jeżeli w niej nie będzie przedłużenia uczuć duszy ani pamięci przeszłości, będzie nieśmiertelnością?... Ty, Boże, obiecałeś nieśmiertelność dla mojej duszy, która pojmuje, kocha... Takiej to nieśmiertelności czekam z ręki Twojej, o Boże!

Ewa Felińska Wspomnienia z zesłania do Berezowa

CZĘŚĆ PIERWSZA

W parkowej muszli orkiestra grała potpourri walców Straussa. Pod koniec dnia upał zelżał, od rzeki powiał rześki wietrzyk. Goście kurortowi obsiedli gęsto ławki lub spacerowali. Kobiety trzymały rozpięte nad głowami kolorowe parasolki. Inne i miały kapelusze z wielkimi rondami ocieniającymi twarz. Na dłoniach kordonkowe rękawiczki. Białe, kremowe i różowe sukienki falowały, ledwo

ukazując stopy w białych pantofelkach. Mężczyźni ubrani byli w jasne garnitury i słomkowe kapelusze. Ale nie brakowało mundurów studenckich i gimnazjalnych. Mali chłopcy toczyli kolorowe koła, dziewczynki, w sukienkach z falbankami, skakały przez skakanki lub bawiły się w diabolo. W bocznej alejce, w błękitnym kiosku, i którego wydłużony kształt miał przypominać minaret, Tatar z długimi opadającymi wąsami i w haftowanej krymce na głowie sprzedawał jogurt, kefir i kumys.

Anna opuściła deptak, i przecięła szeroką spacerową aleję prowadzącą brzegiem rzeki, i zeszła po schodkach na taras zawieszony tuż nad wodą. Pośrodku tarasu stała kamienna kolumnienka, a na niej zbiornik w kształcie dużej miski, do której bila fontanną wodą. Rozchodził się od niej ostry, nieprzyjemny zapach. Powtarzane jednakże były opinie o niezwykłych zaletach tutejszych mineralnych źródeł. Ojciec Anny prorokował, że kiedyś staną się znane w całej Europie. Wokoło stały ławki. Siedzieli na nich ludzie i przysłuchując się muzyce, popijali wodę przez rurkę.

Lipcowy dzień dopalał się powoli. W parku gałęzie wysokich sosen tworzyły parasol, od którego padał miły cień. Ale po drugiej stronie Niemna brzeg pławił się w słońcu. Był wysoki, urwisty, zbiegał w dół nagimi osypiskami, które w blasku słońca zdawały się ociekać czerwienią i złotem. Tylko w jednym miejscu, tuż naprzeciwko tarasu, brzeg obniżał się, tworzył piaszczystą rynnę. W jej rozwarciu widać było chaty wsi Bałtoszyszki. Były białe, kryte słomą, otoczone kwiatami. Praca w polu już się skończyła, i chłopcy powychodzili z domów, aby odpocząć po ciężkim dniu, a także by posłuchać muzyki. Siedzieli na brzegu sznurem jak ptaki, które przysiadły na telegraficznym drucie.

Na rzece, w dole, wzdłuż stalowej liny, przesuwał się wolno prom. Stało na nim kilka wozów. Przewoźnicy zakładali na linę drewnianą „łapę” i naciskali na nią w kierunku przeciwnym do ruchu promu. Woda bulgotała, prąd na rzece był mocny. Ludzie na promie coś mówili, a ich śpiewne głosy leciały daleko.

Podeszła do parapetu i patrzyła na wodę, po której skakały iskierki blasku. Niemen był błękitny, taki właśnie jak na akwarelikach Mikołaja. Pisywał do niej zawsze na malowanych przez siebie kartkach. Zebrał się ich cały stosik. Często je przeglądała. Dla niej, tak jak i dla niego, wspomnienie tej błękitnej rzeki płynącej wśród zielonych brzegów było łącznikiem z miejscem najpiękniejszym i najdroższym na ziemi, nigdy niezapomnianym w szarzyźnie codziennych dni.

Raz jedną z tych kart pokazała ojcu. Patrzył na nią długo, jednocześnie wzruszony i gniewny. Gniew jednak przeważył. „Sfiksował chłopak! — rzucił z nagłą irytacją. — Chce być malarzem! A powinien być muzykiem, tylko muzykiem. Jako muzyk mógłby zejść wysoko, nie wiem, jak bardzo wysoko. Kto wie, czy nie zostałby drugim Chopinem... A on rzuca muzykę i bierze się do malowania!”

Próbowała tłumaczyć tak, jak on jej pisał, że muzyk chce także widzieć, i że są chwile, gdy nuty zamieniają mu się w barwy. Ale ojciec nawet nie słuchał jej słów. Prychnął: „Co tam wie taka finfa jak ty” — i odszedł do swego gabinetu. Pozostała pełna mieszanych uczuć.

A przecież miała już swoje dziewiętnaście lat. Przed rokiem skończyła pensję pani Sikorskiej. Teraz kończyła dwuletnie kursy nauczycielskie. Jednak w rodzinie doktora Miniewicza poprzedziło ją tyle rodzeństwa, że dla starego ojca najmłodsza córka pozostawała nadal niedojrzałym dzieckiem.

Rzeka u stóp tarasu chlupotała, ocierając się o brzeg. Prom był już po tamtej stronie, ale głosy rozmawiających rozbrzmiewały wyraźnie. Orkiestra grała teraz wyjątki z Carmen. Piosenka o miłości, która jest cygańskim dzieckiem, dzwoniła, podobna skradającym się krokom.

Mikołaj nie mówił nigdy o miłości. Zнали się od dziecka. Był serdecznie zaprzyjaźniony z jej braćmi, swymi rówieśnikami: Michałem i Pawłem. Dom organisty Kostasa stał na tej samej uliczce Św. Jakuba, na której znajdował się letniak Miniewiczów — tylko bliżej lasu, nad samym jeziorkiem. Wymarzone miejsce dla dzieciarni obu domów. Chłopcy szaleli w łódce i kąpali się w jeziorku. Anna bawiła się z siostrami Mikołaja. Wśród dwanaściorga dzieci Kostasów było tylko dwóch chłopców: najstarszy Mikołaj i najmłodszy Stasiak. Dziewczynki były wszystkie młodsze od Anny, ale ona, wychowana wśród samych braci, tak była stęskniona za towarzystwem dziewczynek, że bawiła się z nimi wspaniale. Zresztą u organistów panowała miła atmosfera. Wprawdzie organista lubił zaglądać do kieliszka i rzadko widziało się go w domu, ale jego żona była kobietą gospodarną, oddaną gorąco dzieciom. Po zabawie wszyscy — swoi i goście — wołani byli do stołu. Kostasowa na wielkiej patelni smażyła „oładki” z surowych kartofli. Obdzielała nimi dzieci, a one jadły, aż się im uszy trzęsły. Krzyczały o dokładkę. Gdy któreś zanadto się rozdokazywało — niezależnie czy było swoim, czy gościem — otrzymywało po karku ścierką. Najczęściej dostawali lubiący komenderować Mikołaj i pierwszy do wszystkich psot Paweł. Po kolacji całe grono wybiegało z wrzaskiem znowu do ogrodu.

Tak się działo jeszcze niedawno... Ale Anna pewnego lata przestała i być dzieckiem. Mikołaj już wcześniej zaczął studia muzyczne. Stało się to za przyczyną doktora Miniewicza. Ojciec Anny łączył medycynę z dużym talentem pianisty. Obserwując Mikołaja, który często zastępował niedysponowanego ojca w grze na organach w kościele, Miniewicz doszedł do przekonania, że samorodny talent chłopca jest znacznie większy, niż się to może wydawać. Zawsze skory do pomagania drugim, postanowił zająć się losem Mikołaja. Sam niewiele mógł pomóc — własna, liczna rodzina i koszt studiów synów ciążyły mu skromnych zarobkach lekarza. Ale miał bogatych pacjentów. Do nich należał książę Ogiński, wielki miłośnik muzyki, który w swym majątku Plugiany utrzymywał szkołę muzyczną. Mikołaj trafił do tej szkoły, a po jej ukończeniu, jako najzdolniejszy uczeń, został przez księcia wysłany na dalsze studia do Warszawy. W Warszawie bywał prawie codziennym gościem u Miniewiczów. Anna widywała go czasami w niedzielę, gdy przychodziła z internatu szkolnego do rodziców. Stwierdziła, że pobyt w Warszawie zmienił bardzo Mikołaja. To nie był już tamten chłopak z domku nad jeziorkiem, który potrafił ją popchnąć, a nawet krzyknąć, jak zwykł był krzyżeć na swe siostry. Był teraz wobec niej ugrzeczniony, całował ją ?ceremonialnie w rękę, zwracał się do niej w trzeciej osobie. Stosunek jego do Michała i Pawła pozostał taki sam jak dawniej. Zmiana, jaka w nim nastąpiła wobec Anny, trochę ją dziwiła — i trochę się jej podobała. Właściwie dawniej nie zwracał na nią wiele uwagi. Teraz rozmawiał, pytał, zwierzał się... Gdy ona skończyła pensję, Mikołaj wyjechał do Lipska na naukę do słynnego Reineckiego. Z Lipska pisywał często do Michała i Pawła, a jej przysyłał owe malowane przez siebie kartki. Treści na nich było mało, kilka słów pozdrowienia, jakieś przypomnienie uzdrowiska nad niebieską rzeką. Musiał bardzo tęsknić do swego rodzinnego miejsca — i może czuł, że ona też cały rok marzy o wakacyjnym wyjeździe. Może to ta tęsknota kazała mu dzielić czas między muzykę i malarstwo.?

Ojciec Anny nie był zadowolony z i tego podziału i Mikołaj to wyczuwał. Pisał o tym wiele razy jej braciom. Wyraził się nawet w ten sposób, że teraz nie będzie śmiał złożyć wizyty w domu „szanownego pana doktora”, dla którego „czuję zawsze wielką cześć i wdzięczność”. Gdy przyjechali tego roku na początku lipca do domu przy ul. Św. Jakuba, i Michał z Pawłem pobiegli zaraz do domu Kostasów, ona z nimi nie poszła. Chciała wiedzieć, jak się zachowa Mikołaj. Okazało się jednak, że Mikołaja nie ma, jeszcze nie przyjechał z Lipska. Mimo to bracia chodzili codziennie do domu nad jeziorkiem. Kostasówny podrosły, otoczone były koleżankami, w domu było znowu ?gwarno i wesoło. Wieczorami aż do willi Miniewiczów dolatywały krzyki, śmiechy, śpiewanie i muzyka.

Rzecz dziwna: wcale jej tam nie ciągnęło. Teraz gdy miała dużo do mówienia z Mikołajem, utraciła wszelkie zainteresowanie dla spraw, o których dawniej mogła godzinami rozmawiać z jego siostrami. Wraz z końcem dzieciennych zabaw, wydawało się jej, że skończyła się wszelka wspólnota.

Przed dwoma dniami Paweł wróciwszy znad jeziora zaczął opowiadać przy kolacji:

— Wiecie, przyjechał Mikołaj. Ale się chłopak rozwinął. Ciągłe idzie w górę. Napisał kilka kwartetów, dostał odznaczenie. Jedna z jego kompozycji ma być wykonana w Warszawie. Grał cały wieczór, improwizował. To było wspaniałe. Można było słuchać całą noc. Te dziewczyny, które się teraz u Kostasów zbierają, wszystkie wpatrzona w niego jak w tęczę. Nasłuchują każdego jego słowa. Każę im śpiewać różne pieśni litewskie, potem je po swojemu przerabia, coś dodaje, pisze nuty...

Tylko teraz po litewsku śpiewają — dorzucił Michał. — Pieśni piękne, trochę tęskne. Żadnych polskich...

Akurat o pieśni ci chodzi — powiedział drugi z kolei starszeństwa brat, Witold. Był inżynierem, trochę dziwakiem. Odznaczał się ostrym językiem i skłonnością do drażnienia młodszych. Nie ożenił się i wyglądało na to, że nie ma się zamiaru ożenić. — Jeden i drugi ganiacie do dziewczyn. Będziesz patrzył, robił maślane oczy, zachwycał się pieśniami, a potem wybierzesz sobie jakąś, z nosem niby kaczką i z przedsięwzięciem jak te, co noszą feretrony podczas procesji u księdza Majewskiego... — zaśmiał się złośliwie.

Doktor Miniewicz chrząknął z dezaprobatą. Nie uznawał wyrażen w rodzaju „dziewczyny z przedsięwzięciem”. Witold patrzył drwiąco na Michała, który się zrobił czerwony, zacisnął pięści, ale nic nie odpowiedział na zaczepkę.

Anna poprzedniego wieczoru siedziała do późna na werandzie i słuchała dochodzącej z końca ulicy muzyki. Domyśliła się, że Mikołaj przyjechał. Te pieśni, które dziewczęta dla niego śpiewały, były naprawdę piękne. Anna miała wyczulony słuch. I ona, i Paweł mieli wielką ochotę, aby poświęcić się muzyce. Ale ojciec sprzeciwił się temu. Stary mężczyzna troskał się o przyszłość swoich najmłodszych dzieci. Chciał, aby miały z czego żyć, więc wysłał Pawła na studia ekonomiczno-handlowe do Rygi, zaś dla Anny wybrał kursą nauczycielskie. „Mikołaj to co innego — powiedział kiedyś, gdy Paweł wystąpił z pretensją, że doktor popiera studia muzyczne Kostasa, a jemu każę zajmować się buchalterią. — To olbrzymi, samorodny talent. Byłoby zbrodnią nie dać się mu rozwinąć. Alle tobie i Anusi wystarczy, że będziecie umieli zagrać do tańca...”

Mikołaj przyjechał, a jednak u Miniewiczów się nie zjawił.

Dopiero tego dnia rano, przy śniadaniu, Michał powiedział do Anny:

Mikołaj pytał wczoraj, dlaczego do nich nie przychodzisz. Myśli, że może jesteś o coś obrażona. Albo że ojciec zabrania ci do nich chodzić.

A dlaczego on nie przyszedł do nas?

Wie, że ojciec jest na niego rozgniewany za to, że zaniedbuje muzykę dla malarstwa.

On wcale nie zaniedbuje. Pisał kiedyś..

I do mnie pisał. Ale ojcu nie wytłumaczysz. Jak sobie coś wmówi, będzie się przy tym upierał i niczym go nie przekonasz. Przecież nie zakazał ci tam chodzić, prawda?

Nigdy nie było o tym mowy.

To chodź dzisiaj z nami. Zobaczysz, jak tam wesoło. Chwilę namyślała się.

Nie — powiedziała. — Nie pójdę, jeśli on sam mnie nie zaprosi.

E, dziczysz się, Anusia. Naprawdę powinnaś tam pójść. Michał był dla niej najbliższym z braci. Dobry, łagodny,

trochę naiwny i łatwowierny, często padający ofiarą kpinek starszych.

Miniewicz pochodził z Nowogródziny. Majątki rodzinne zostały skonfiskowane jeszcze po powstaniu listopadowym, w którym brał udział ojciec doktora. Rodzina przeniosła się do Nowogródka. Józef Miniewicz skończył miejscowe gimnazjum i udał się do Moskwy na studia medyczne. Podobno zemdłał, gdy pierwszy raz zobaczył prosektorium. Ale studia skończył. Po praktyce szpitalnej otrzymał nominację na naczelnego lekarza szpitala miejskiego w Grodnie.

W tym czasie ożenił się. Waleria Selimowiczówna miała zaledwie szesnaście lat.

Ale zaledwie objął swe nowe stanowisko i założył dom, wybuchło powstanie. Młody lekarz był często wzywany do udzielania pomocy rannym powstańcom. Czas jakiś spędził przy oddziale Narbutta, odwiedzał także dowódcę partii ko-bryńskiej, Traugutta, gdy ten leżał chory w majątku Orzeszków.

Do Wilna zjechał Murawiew. Zaczęły się straszne rządy człowieka, który już w 1831 roku zasłynął jako „wieszatiel” Po zwymyśleniu po grubiańsku biskupa Krasieńskiego i zapowiedzeniu, że weźmie się za Kościół, który przyczynia się do szerzenia buntu, Murawiew wezwał do siebie Domeykę, marszałka szlachty. Domeyko, kuzyn Miniewiczów, należał do ugodowców i przeciwników powstania.

Murawiew zażądał, aby marszałek przygotował hołdowniczy adres do cara. Domeyko, wiedząc, że za taki adres grozi mu śmierć z ręki powstańców, opierał się i wykręcał. Ale Murawiew naciskał. Aby zmusić Domeykę do uległości, kazał śledzić jego rodzinę. Szpicle odkryli, że dwaj synowie marszałka byli przez pewien czas nieobecni w domu, co zgodnie z wydanymi zarządzeniami należało tłumaczyć, iż uciekli do powstania. Podejrzanie było zresztą prawdziwe — chłopcy przebywali

przez pewien czas w partii Różyckiego na Wołyniu. Żandarmeria dokonała także rewizji w domu Miniewicza i odnalazła zakopane w ogrodzie pistolety. Domeyko ocalił synów zdecydowawszy się na podpisanie żądanego adresu. Miniewicz został skazany na śmierć.

Ocalała go energiczna akcja jego młodej żony. Miniewiczowa dotarła nie tylko do pewnych wpływowych osób w Petersburgu. Z niezwykłą odwagą zgłosiła się do Murawiewa. Stała przed obliczem człowieka, który potrafił grozić knutami biskupowi. Rozmowa toczyła się po francusku. „Vous, madame — powiedział Murawiew — vous devez encore jouer avec vos poupées... Le révolte ne doit pas être votre affaire...” A jednak nie sprzeciwił się, gdy z Petersburga przyszła decyzja o zamianie śmierci na dożywotnie zesłanie. Nawet pozwolił młodej Walerii pojechać razem z mężem.

Gdy w drodze na zesłanie przejeżdżali przez Ural i wózek ich znalazł się na przełęczy, na której stał słup oznaczający granicę dwóch kontynentów, Miniewicz poprosił wiozących, aby się zatrzymali.

Młode małżeństwo wysiadło. Trzymając się za ręce podeszli pod słup, uklękli, pomodlili się. Nie wątpili, że to Bóg ich ocalił i że są za to ocalenie zobowiązani odplącić całym życiem. Złożyli przyrzeczenie, że jeśli Bóg pozwoli im kiedyś wrócić do Polski, ofiarują mu jedno ze swych dzieci.

Powrócili nieoczekiwanie szybko, bo już po pięciu latach. Miniewicz był zawsze lekarzem-społecznikiem. Służył swą wiedzą lekarską nie oglądając się na pieniądze czy pozycję leczonych. Gdy widział biedę — nic nie brał za poradę. Już w Grodnie zyskał sobie wielkie uznanie. To samo miało miejsce w Szadryńsku. Leczył wszystkich — zesańców i miejscową ludność, leczył z całą ofiarnością. Gdy wybuchła epidemia, stanął nie wzywany do walki z nią. Zyskał sobie takie uznanie władz miejscowych, że poszedł wniosek o zwolnienie go. Tymczasem wybuchła nowa epidemia wśród ludności buriackiej w okolicach Irkucka. I tym razem Miniewicz zgłosił się dobrowolnie do pracy. Został tam wysłany i przez kilka miesięcy działał ofiarnie, przyczyniając się swoją pracą do opanowania niebezpieczeństwa. Znowu władze lokalne nie miały dla niego słów uznania. Po powrocie do Szadryńska dowiedział się, że dla jego zasług została mu darowana kara i może pojechać dokąd chce. Wybrał Warszawę. Wrócili z dwojgiem dzieci: córką i synem.

W Warszawie zajęli się praktyką prywatną. Natomiast na miesiące letnie przyjęli posadę lekarza zdrojowego w kurorcie, którego sława zaczęła ostatnio rozchodzić się szeroko w cesarstwie. Było stamtąd blisko i do Grodna — gdzie pozostało wielu bliskich — i do Nowogródzyczyny, gdzie po mająteczkach żyła bliższa i dalsza rodzina. Aby dzieci mogły mieć wakacje, zakupił domek na ulicy Św. Jakuba.

Dzieci przychodziły na świat rok po roku, ale wiele z nich umierało. Mieszkanie warszawskie na placu Wareckim było ciemne i zbyt ciasne na tak wielką rodzinę. Przy swym usposobieniu społecznika Miniewicz zarabiał niewiele. Żona musiała dobrze nakręcić głowę, aby utrzymać dom. Najmłodsze dzieci zimą nie wychodziły w ogóle na dwór, gdyż brakło dla nich ciepłej odzieży. Z szesnaściorga, które przyszły na świat, utrzymało się przy życiu tylko siedmioro. Ale i tym trzeba było dać należyte wykształcenie.

Najstarsza córka, Katarzyna, została szarytką. Może odgadła przyrzeczenie rodziców złożone pod słupem na Uralu — bo oni na pewno nie wywierali na nią żadnej presji w tym kierunku. Najstarszy syn, Romuald, poszedł w ślady ojca i ukończył medycynę. Następny z braci, Witold, został inżynierem chemikiem. Trzech ciągle jeszcze studiowało. Anna była ostatnia, najmłodsza.

Miała usposobienie pogodne, wielki zmysł humoru i skłonność do śmiechu. Ale była także marzycielką i romantyczką. Żyła w niej wielka potrzeba wyrażania swoich marzeń. Najłatwiej byłoby się jej wypowiedzieć w muzyce. Na pensji pisywała piękne wypracowania i miała dobre stopnie z języka polskiego, którego uczył dziewczęta na zakonspirowanych lekcjach profesor Chrzanowski. Przyjaciółki przepadały za jej listami i przed każdymi wakacjami błagały ją, by chciała z nimi korespondować i opisać wszystko, co widziała.

Dzieciństwo nie upłynęło jej łatwo. Była jedyną dziewczynką w domu pełnym chłopców. Sypiała w ciemnej alkwie, którą dzieliła ze starą ciotką Dragatową. Stara panna, daleka kuzynka Miniewicza, spełniała w domu doktorostwa funkcje jednocześnie rezydentki, gospodyni i opiekunki Anny. Poza alkwą nie było dla Anny miejsca. Z pokoju chłopców bracia wypędzali ją krzykiem i szturchańcami. W jadalni siedzieć nie mogła, bo tam chłopcy odrabiali lekcje. Do gabinetu ojca i do sypialni rodziców wstęp dzieciom był zakazany. Pozostawała kuchnia. Ze starą służącą, Michaliną, Anna lubiła

rozmawiać. Przychodziła się także bawić lalkami na jej kufierku stojącym w ciemnej niszy. Ale i stąd ją przepędzano. Była ciągle sama i nie było dla niej miejsca.

Potem ciotka umarła i rodzice uznali, że jedynym rozwiązaniem będzie oddanie Anny do internatu .przy pensji. Odczuła to jako bolesne wygnanie z domu. Wprawdzie nie było w nim dla niej miejsca — ale to był dom, tu była matka, którą gorąco kochała, tu byli uprzykrzeni, a przecież bardzo jej drodzy bracia.

W internacie panował surowy rygor. Bardziej dziecinna i naiwna niż koleżanki, z którymi przyszło jej mieszkać, Anna nie potrafiła się z nimi żyć. Były to dziewczyny z bogatych dworów, wcześniej dojrzałe. Panie opiekunki dawały Annie cierpko do zrozumienia, że przyjęta została do internatu za zniżoną opłatą. Ponieważ była cicha, uważano, że jest skryta. Jej wrodzona wesołość została stłumiona.

Boleśnie skurczona w sobie czekała niecierpliwie nadejścia wakacji. Ten wyjazd — to było niby przejście do innego całkiem świata. Jakże kochała drewnianą willę na ulicy Św. Jakuba, z wielką werandą od frontu i dwiema bocznymi, z dużym ogrodem, z romantyczną górką, ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian domu. Tu było tyle miejsca, tyle słońca. Ledwie tu przyjechała, ledwie zrzuciła z nóg wysokie, do pół łydki sznurowane buty — ogarniała ją szalona radość. Wraczał humor, wracała wesołość i chęć nieustannego śmiechu. Tu także miała towarzystwo: pełen dzieci dom Kostasów i liczne kuzynki. Tutaj zresztą znali się wszyscy, były zabawy w kursalu, tenis, pływanie łodziami po jeziorcu, pływanie parowcem de Lacych po Niemnie, kąpiele pod kaskadą na rzece Rotniczance, były wycieczki do wsi Rotnica, do Rajgrodu, do Liszkowa... Przez dwa miesiące letnie nabierała sił i energii na pozostałe dziesięć w ponurych, smutnych murach.

Tutaj także stawała się na nowo córką domu. Ojciec był mniej zajęty i mniej zmęczony, i chociaż, jak Zawsze, była wobec niego cicha i zalękniona, przecież zdarzało się, że ośmielała się z nimi rozmawiać. Matka stawała się bliska, jakby chciała serdecznością odplącić Annie za zimowe dni oddalenia. Powróciwszy z rannej mszy, którą odprowadzał proboszcz, stary ksiądz Majewski, niegdyś dobry znajomy z Szadryńska, przebywała stale w domu i można było do niej przyjść, porozmawiać, zwierzyć się, poprosić o radę... Tutaj ogarniała ją zawrotne pragnienie życia, radości i miłości. Chciała przedłużyć każdy dzień pobytu. Tutaj czuła, że jest lubiana, że wszędzie dokoła siebie znajduje przyjaciół. Żadna zabawa, loteria, wycieczka nie mogły się bez niej obyć. Jakże popularna stawała się - tutaj jej postać: wielki kapelus, włosy ułożone w trzy małe koczki w stylu japońskim, barwny fontaż pod szyją, sterczący nosek i wesoły śmiech. Nie była żadną pięknoscią, a jednak młodzi mężczyźni przepadali za jej towarzystwem. Rozkwitała jak kwiat, który na noc stula swoje pąki i tylko pośaskotany słońcem otwiera je szeroko.

Posłyszała za sobą miękkie, kocie kroki — i szybko odwróciła się. Przed nią stał Mikołaj.

Tak się cieszę — powiedział — że widzę Aneczkę. Pięknie wygląda, uroczo.

I ja się cieszę, że cię widzę. Michał mówił, że przyjechałeś. Chciałam ci podziękować za te prześliczne karty, które tej zimy od ciebie otrzymywałam.

Ja pisałem dużo. Może za dużo? A Aneczka mniej.

Nie powinieneś mieć o to żalu. Uczyłam się, zdawałam egzaminy.

Już po egzaminach?

Już. Wszystkie zdałam. Jestem nauczycielką. I co najważniejsze, mieszkam teraz w domu. Żadnego z chłopców nie ma.

Wiem, Paweł w Rydze. My z Pawłem jak bracia.

Dlaczego do nas nie przyszedłeś?

Niech się Aneczka nie gniewa. Pan doktor taki czcigodny. Ja go bardzo szanuję. A on się gniewa na mnie.

Może jakby cię zobaczył, przestałby się gniewać? On taki: nieraz gniewa się, nie daje sobie wytłumaczyć, a potem zobaczy, przekona się i zapomina o gniewie.

Na mnie zawsze będzie się gniewać. A ja mu tyle zawdzięczam.

Niech Michał i Paweł popróbują. Także może ksiądz Majewski. Mnie nie posłucha...

Ja myślę, że on nikogo nie posłucha.

Powolnym spacerowym krokiem opuścili taras i zawrócili w prawo aleją wzdłuż rzeki. Park przemieniał się w wysokopienny las. Splecione wysoko w górze gałęzie szumiały cicho. Na małym wzgórku rosło drzewo wyjątkowo ogromne. Była to tek zwana wśród miejscowych Prababka. Dojście do niej stanowiło zwykle kres spacerów. Pod drzewem stała ławka, a wokół w trawie pełno było poszarpanych przez wiewiórki szyszek. Ale oni nie siedli — poszli dalej.

Aneczka będzie teraz pracowała? — pytał.

Tak.

W Warszawie?

Chyba ,w Warszawie. Choć naprawdę to nie lubię miasta. Chciałabym całe życie mieszkać na wsi.

Ja także. Teraz siedzę w tym okropnym Lipsku...

W Lipsku — poprawiła go.

Tak w Lipsku. Okropne miasto. Tylko mury i kominy. Myślałam, że się przyzwyczaję. Nic z tego. To prawda, że korzystam wiele. Ale co to życie? Ci Niemcy, którzy mówią do mnie zawsze jakimś poniżającym tonem. Jakby się nade mną litowali. A także samotność. Nie mam nikogo bliskiego. Frau Kroll, moja gospodyni, wchodzi rano, wnosi herbatę. Ja jej mówię: „danke schon”, a ona: „bitte sehr”. Ale czasami ja mówię: „danke sehr”, a ona: „bitte schon”. Potem wychodzi.

. I to cała rozmowa. Muszę pić herbatę sam. A herbata jest po to, aby przy niej rozmawiać, posłuchać drugiego, prawda? Inaczej smakuje jak lekarstwo. Aneczka nie myśli, że tak jest?

Oczywiście, że tak jest — przyznała. — Ja też myślę, że człowiek nie może być ciągle sam. Na długo przyjechałeś? — zmieniła temat.

Na dwa tygodnie.

— Tylko? Nie będzie ci żal wyjeżdżać tak szybko?

Och, wielki żal. Ale pojedę jeszcze do pewnej wsi. Koło Kowna. Tam też podobno bardzo ładnie.

Nigdzie nie .może być tak ładnie jak tutaj — stwierdziła ze stanowczością.

Doszli aż do miejsca, gdzie dalszą drogę zamknęło im ogrodzenie parku. Znajdowała się w tym miejscu furtka, która wyprowadzała na niewielką plażę. Naprzeciwko plaży leżała na rzece mała wyspa, gęsto zarosła zielonością. Od furtki zawrócili.

Aneczka do nas nie chciała przyjść... — stwierdził. — Kiedy przyjechałem, myślałem, że się spotkamy. Do moich sióstr przychodzą koleżanki. Dziewczyny śpiewają...

Mówili chłopcy, że bardzo pięknie. Czasami słychać u nas na werandzie.

One śpiewają po litewsku...

Litewskie pieśni prześliczne. Skoro tak szybko chcesz wyjechać, nawet na odpust do Rotnicy nie będziesz mógł pójść. Szkoda. Pamiętasz, jak tam byliśmy w zeszłym roku? Jak odwiedziliśmy grób Czczota? A potem jak ten stary karczmarz opowiadał o powstaniu?

Pamiętam. W zeszłym roku, a to wydaje się tak dawno...

Szkoda — powtórzyła. — Strasznie lubię te nasze wycieczki.

Chodźmy dziś wieczorem na Pogankę — nagle zaproponował. — Kiedyś Aneczka mówiła, że nigdy nie widziała świetlików. Dziś będzie piękna noc i świetliki mogą być. Chodźmy.

Gdyby Michał zgodził się iść, to bym poszła.

To niech Aneczka przyjdzie dzisiaj z chłopcami do nas. Pośpiewamy, a potem pójdziemy na Pogankę.

Przy pniu Prababki zatrzymali się na chwilę.

A Aneczka musi pracować? — zapytał.

Muszę. Ojciec bardzo się postarzał... A zresztą chcę pracować. Chcę być niezależna, sama decydować o swoim życiu.

Jak te sufrażystki angielskie?

Zaśmiała się.

Jak sufrażystki. Nie podoba ci się, że kobiety pragną samodzielności?

Owszem. Dlaczego nie... — zabrzmiało to niezbyt przekonująco.

Wrócili na deptak. Orkiestra grała pożegnalnego marsza. Gdy skończyła, rozległy się oklaski. Dyrygent kłaniał się, gestem wskazywał na muzyków. Kiedy Anna i Mikołaj znaleźli się na placyku przed muszlą, grających już nie było, a nad alejkami unosił się gwar powstrzymywanych poprzednio rozmów. Otoczył ich krąg znajomych. Słońce ukryło się wśród drzew, parasolki były złożone. Jedna i druga panna zdjęła kapelusz i pozwoliła go nieść towarzyszowi. Głosy krzyżowały się:

Dokąd idziecie wieczorem?

Na tańce w kasynie.

Bujakowscy prosili na herbatę...

U Kiersnowskich będą gry towarzyskie...

A Janka już zdrowa?

Zdrowiutka. Doktor Miniewicz postawił ją na nogi.

Słyszeliście? Przyjechali Prosińscy.

Powiedział do niej Mikołaj:

Niech Aneczka przyjdzie do nas. Pośpiewamy, a potem pójdziemy szukać świetlików.

Żartobliwie pogroziła mu palcem.

Ale żeby były! Tyle razy mi obiecywałeś pokazać i nigdy nie pokazałeś!

Kiwnęła Mikołajowi głową i zobaczywszy w tłumie Pawła pobiegła za nim.

Wieczór był cichy, pełen woni kwitnących lip. W tej ciszy każdy dźwięk rozchodził się szeroko. Słychać było głosy rozmawiających na ulicy ludzi, stukot stąpań, nawoływania „sachar marożenny” wędrownego sprzedawcy lodów. Na środkowej werandzie rodzina zebrała się na kolację. Szumiał mile przyniesiony z kuchni samowar. Zwabione blaskiem lampy ćmy krążyły wokół klosza, uderzały w niego, a potem padały ciężko z opalonymi skrzydłami.

Doktor Miniewicz królował w środku stołu otoczony synami. Chudą trójkątną twarz obejmował siwy zarost, wyblakłe oczy spoglądały smutnie znad binokli. Dłonią o palcach czerwonosinej barwy — będącej pozostałością syberyjskich mrozów — nalewał sobie herbatę na spodeczek. Po prawej stronie ojca siedział Witold — drugi w kolejności starszeństwa — inżynier chemik, mieszkający stale w Tyflisie. Łysina przezierała spoza przetartych włosów. On także pił herbatę ze spodeczka głośno siorbając. Po lewej stronie siedzieli Michał i Paweł. Pierwszy miał twarz pełną dobroci i trochę melancholii, drugi zabójczo podkreślone wąsiki i mrugające wesołością oczy. Wydawali się zupełnym przeciwieństwem jeden drugiego. Brakło dwóch braci, Romualda i Hipolita, oraz najstarszej siostry Katarzyny.

Na końcu stołu Anna po cichu rozmawiała z matką.

Wybierasz się wieczorem do Kostasów, Anusiu? — pytała Miniewiczowa.

Chciałabym pójść, jeśli mama nie ma nic przeciwko temu.

A cóż mogłabym mieć przeciwko? Dawniej do nich biegałaś bez przerwy.

Byłam dzieckiem i chciałam się bawić. Ale odkąd dorośliśmy, wiele się zmieniło...

Jest podobno Mikołaj?

Jest. Przyjechał z Lipska. Widziałam go w parku.

Dziwne, że do nas nie przyszedł...

Krępuje się. Ojciec ma do niego żal.

Chłopak bardzo utalentowany. Ale taki nierówny...

Tacy są artyści, mamo.

Tak myślisz? Ojciec chciał mu pomóc, polecił go księciu...

On jest za to bardzo wdzięczny. Często to mówi. Ale odkąd ksiązę umarł, jego rodzina wstrzymała wszelką pomoc dla Mikołaja. Utrzymuje się teraz sam...

Naprawdę? To mu na pewno ciężko. Tym bardziej powinien przyjść do ojca, porozmawiać. Może ojciec umiałby coś dla niego zrobić...

On chce teraz sam, bez proszenia o pomoc...

Miniewiczowa spojrzała -na córkę. Annie wydało się, że

dostrzegła w oczach matki jakby niepokój.

To ładnie, że taki ambitny — powiedziała matka. — Mimo to wydaje mi się zawsze jakiś nierówny...

W męskiej części stołu rozmawiano o innych spawach.

Niemcy nie przestają prześladować dzieci w Poznańskim — mówił Michał.

W Warszawie studenci obrzucili kamieniami niemiecki konsulat — entuzjazmował się Paweł. — Nikt w tym roku nie pojechał do żadnego szwabskiego Badu. To dlatego tylu ludzi przyjechało tu do nas. Kursal zawsze pełen. Czy ojciec wie? Są kuracjusze nie tylko z Warszawy, ale nawet z Krakowa i ze Lwowa...

Muszę to wiedzieć — Miniewicz miał głos cichy, lekko trzęsący. Skończył pić herbatę i zapalił papierosa. O-padające na- usta wąsy miał pożółkłe od nikotyny. — Przecież badam ludzi, wiem, skąd przyjechali.

Niemcy narazili się całemu światu — perorował -dalej Paweł. — Było w gazecie, że baronowa -Suttner zwróciła się do Sienkiewicza, aby podpisał wezwanie -do Anglii, żądające, by przestała ciemnić Boerów. Ale wyobraźcie sobie, Sienkiewicz odmówił. Odpisał jej, że podpisze wezwanie, kiedy Niemcy przestaną prześladować Polaków...

To niesłuszne chyba — zauważył Michał. — Dlaczego Boerowie mają cierpieć za Prusaków?

Z ciebie to skończony durak — powiedział Witold. On także zapalił. Ciągnął z przepalanej, mocno cuchnącej fajki. — Uważasz naturalnie Boerów za cudowny naród. Że są tacy dzielni, chcą wolności... A to swołocz, która się zwąchała z Niemcami. Gdyby Anglia nie pilnowała, byliby naściągali do siebie tamtych. Dobrze, że Anglicy mądrzy. Woleli wziąć się za Boerów, zanim Wilhelm nie wejdzie im w paradę. Sienkiewicz wie, co robi.

Co ty opowiadasz? Skąd Niemcy w Afryce? — oponował Michał.

Mówię ci, że jesteś durak. Niemcy wszędzie szukają dla siebie kolonii.

Witold ma rację — odezwał się Miniewicz. — Wilhelmowi marzy się światowa potęga. Odkąd Niemcy pobili Francję, nie wystarcza im już Europa... Chcą Afryki, Azji...

Na to Anglia nie pozwoli — zapewnił Paweł. — Weźmie się za nich. A z Anglią nikt jeszcze nie wygrał.

Może do tego dojdzie — podjął znowu Miniewicz. — Ale Anglia jest ?bardzo powolna w działaniu... Nieraz już na nią czekali i nie doczekali się...

Popiół z papierosa osypał się na rękaw alpagowej kurtki. Miniewicz strząsał go powoli.

Teraz jednak Anglia nie ścierpi. Zobaczy ojciec.

Witold pyknął w twarz brata ciężkim kłębem cuchnącego
dymu.

Prawdziwy zapiewają z ciebie, Anglia, gdy postanowi wojnę, najpierw tworzy koalicję z tych, którzy się będą bili za jej sprawę. Nie pamiętasz, jak było, gdy chciała zniszczyć Napoleona?

Zwiąże się z Francją...

Francji będzie potrzebowała także. Ale przede wszystkim musi mieć Rosję, rozumiesz?

Z tego nic nie wyjdzie. W Rosji wszędzie Niemcy. Odkąd mieszkam w Rydze, widzę w każdym mieszkaniu Bismarcka...

Witold rozparł się, aż krzesło, na którym siedział, zaczęło żałośnie trzeszczeć. Popchnął swą szklankę w stronę Anny.

Nalej mi jeszcze czaju — powiedział. Odłożył fajkę. — To, co widziałeś w Rydze — podjął swą dyskusję z Pawłem — to jeszcze nic. Tamci są Niemcami. Ale w całej Rosji Niemcy są generałami, gubernatorami, dostojnikami. Rządzą. Prawdziwi Rosjanie zaczynają mieć tego dosyć. Wy nie gadacie z prawdziwymi Rosjanami i dlatego nie wiecie, ile się w Rosji zmienia. Ale ciebie i Michała interesuje tylko śpiewanie, dziewczyny, gazeciarskie barachło...

Znowu sięgnął po fajkę i pyknął z niej w stronę Pawła. Był często brutalny w słowach i dokuczliwy dla braci — ale pod tym szorstkim zachowaniem kryła się dziwna natura. Anna wiedziała, że Witolda wyrzucono kiedyś ze szkoły, gdy znaleziono u niego pod ławką otwartego Pana Tadeusza. Musiał kończyć gimnazjum poza Królestwem, z dala od rodziny. Potem były studia w Petersburgu i praca, zawsze daleko od domu. Nie ożenił się. Stał się dziwakiem, samotnikiem, człowiekiem zamkniętym w sobie. Wrodzone Miniewiczom poczucie humoru przemieniło się w nim w skłonność do złośliwej ironii. Wszyscy wokoło bali się jego szyderczych powiedzeń. A jednak... Jednak Anna wiedziała, że gdyby tylko Witold przyjechał tu, na ulicę Św. Jakuba, zaczynały się pojawiać wokoło domu jakieś nieznane postacie różnych ob- dartsów. Ukradkiem tamci wsuwali się do domu, do Witolda, a potem wychodzili kryjąc coś za pazuchą. Potem okazywało się, że zniknął porządny garnitur, w którym Witold przyjechał, jakieś spodnie, koszule... Rozdawszy swoje rzeczy, potrafił bez wahania oddawać

rzeczy braci, tak że tamci trzymali swoje pokoje pozamykane na klucz. Kiedyś zażądał od Anny, aby mu wyprała postrzępioną koszulę, twierdząc, że nie ma drugiej na zmianę. Gdy mu zwróciła uwagę, że widziała u niego aż sześć koszul, rzucił: „Bierz się do roboty i nie gadaj. Już w Piśmie świętym powiedziano, że baby mają pracować i milczeć. A jak umrę, to mi napiszecie na grabie: W ciągłej postawie i czynu postaci rozdawał koszule i gacie... Zapisz to sobie, abys wiedziała, co masz napisać”.

Nie znacie Rosji — podjął znowu między hałaśliwym siorbaniem herbaty ze spodeczka. — Dla was Rosja to tylko stupajka, urzadnik, kozak z knutem. A ja wam mówię, że w Rosji także czekają...

Zapadła chwila ciszy. Samowar szumiał, cmy uderzały głowami o klosz lampy i padały ze stukotem na stół. Gdzieś z daleka — pewno od Kostasów — dolatywało śpiewanie.

Witold ma rację — odezwał się Miniewicz — Rosję trzeba poznać od środka.

Kazał sobie przynieść pudełko z gilzami i zaczął je nabijać tytoniem. Anna chciała go w tym wyręczyć, ale on ruchem dłoni odsunął jej pomoc. Chwilami jednak zatrzymywał się w pracy i patrzył gdzieś w przestrzeń. Od pewnego czasu zdarzało mu się coraz częściej tak zamyślać. Czasami miało to nawet miejsce przy łóżku chorego. Nikt mu wtedy nie przerywał. Ludzie mieli dla niego zbyt wiele szacunku. Podziwiano jego diagnozy, zachwycono się jego bezinteresownością. Najlepiej umiał to ująć Szyszko, oddany stróż domku Miniewiczów: „A ot nasz pan dochtor, to on taki, co u niego czy zwykła baba, czy książ — każdy taki samiusieńki. To jak дума, przeszkadzać mu nie Іzia. Bo on o człowieku дума...”

Kolacja była skończona. Wstawano, odsuwano trzcinowe krzesła.

Niech ojciec położy się — powiedział Michał, najtroskliwszy z braci. — Trzeba się położyć. Wygląda ojciec na zmęczonego.

?Pójdę jeszcze zobaczyć Milicerową — odpowiedział. — Skarżyła się na ból w boku. I do Kiersnowskich zajrzę, jak tam ta mała. Przynieście mi laskę. U Milicerów muszę mieć coś w rękę, ?bo ta przeklęta mała skacze na człowieka.

Sąsiedzi spoza płotu mieli małą. Zwierzę trzymane było ?na łańcuszku i może dlatego potrafiło być złośliwe i napastliwe. Jeśli udało mu się zerwać łańcuszek, stawało się postrachem okolicznych domów, przede wszystkim willi Miniewiczów. Rzucalo w ludzi rozmaitymi przedmiotami, skakało po stole, przewracało naczynia, wybierało cukier, darło książki.

Doktor wolno zszedł ze schodów, minął furtkę, skręcił w prawo, w stronę stojącej na skrzyżowaniu ulic małej cerkiewki. Michał zapytał Anny:

To co? Pójdziemy?

Pomogę mamie w sprzątaniu — powiedziała, jakby odruchowo chciała oddalić chwilę wyjścia. — Mama pozwoli, ja odniosę naczynia.

Nie, kochana. Przyjdzie zaraz Szyszkowa. Ty idź.

Wyszli i skierowali się w przeciwną stronę niż ta, w którą

oddalił się ojciec. Ulica wznosiła się lekko w górę. Rozchodziła się: w lewo prowadziła na plac Kościelny, w prawo w kierunku jeziora. Za chwilę mogli je zobaczyć. Leżało cudownie koliste,

obdziergane czarną ścianą lasu. Gwiazdy pierwsze po wodzie robiły świętojańskie wianki ze świeczką pośrodku. Od stojącej nad brzegiem białej chaty, otoczonej gąszczem krzewów, rozchodziła się szeroko razem z wonią kwiatów śpiewana przez wiele głosów pieśń. Ciągnęła się długa, tęskna; zbiegała nad jeziorko, unosiła się nad jego powierzchnią podobna ważce, której skrzydła poruszają się tak szybko, że nie sposób ich dostrzec.

Michał rzekł:

Wiesz, to jego pieśń. Nazwał ją: „W lesie”. W zeszłym roku chodził z Pawłem do Rotnicy, przysłuchiwał się temu, co śpiewają chłopci. Zapisywał. A potem w Lipsku ułożył na tamtych motywach swoją melodię...

Zatrzymała się. Oparła się o pień drzewa, zamknęła oczy. Boże, jakie to piękne! — myślała. Była w niej chęć, aby biec gdzieś przed siebie, uśmiechać się do ludzi, mówić im rzeczy sprawiające radość. A jednocześnie był w niej niby ból — krwawiące poczucie, że piękno trwa tylko krótką chwilę, że żadna z mijanych chwil już nie powróci, że radość, którą czuła, nie będzie się mogła spełnić nigdy...

Pieśń skończyła się. Z otwartych okien buchnęły śmiechy i głosy rozmawiających. Dom był mały, niski, właściwie chata przywalona ogromnym dachem niby kopicą siana. Okna znajdowały się tuż przy ziemi. Gdy była dzieckiem, wiele razy wskakiwała i wyskakiwała przez nie razem z siostrami Mikołaja. Zajrzawszy w nie zobaczyła, że pokój pełen jest ludzi. Na stole stało kilka świec. Za stołem siedziała ściśniętym rzędem gromada dziewcząt. Wszystkie miały jasne włosy, błękitne oczy, zadarte nosy, rozchylone usta. W niektórych poznawała dawne towarzyszki zabaw. Było także kilku młodych ludzi. Cały ten tłum otaczał półkołem siedzącego przy fortepianie Mikołaja.

Gdy stanęli w progu, od razu ich dostrzeżono. Dziewczęta zerwały się z długiej, pokrytej kilimkiem ławy, i witały się z Anną. Mówiły: „Poznajesz mnie, Anusiu? To ja, Wala. A to Hela. A to Jadwiżka...” Całowały ją serdecznie. Potem podawały jej dłoń koleżanki Kostasówien. Miała uczucie, że ich jasne oczy wpatrują się z niezwykłą uwagą w jej twarz. Potem całowało jej dłoń kilku pucołowatych chłopaków. Zaśmiała się zobaczywszy wśród nich Staśka, brata Mikołaja. Pamiętała go wiecznie rozmazanym dzieckiem, którym musiały się kolejno opiekować starsze siostry.

Mikołaj wstał od fortepianu, aby się przywitać.

Już myślałem, że nie przyjdziecie — powiedział.

Musieliśmy doczekać końca kolacji — tłumaczył Michał.

Spóźniliście się. Prześpiewaliśmy W lesie.

Słuchaliśmy jej nad jeziorem — rzekła.

Naprawdę? — patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. — Aneczka słyszała? Podobało się jej?

Roześmiała się zakłopotana.

Cóż ja? Nie znam się przecież... Gdyby ci powiedział ojciec...

Panu doktorowi na pewno by się nie podobała.

Dlaczego tak myślisz? Mnie się wydaje śliczna. Niech ci powie Paweł.

Paweł się nie liczy. Zależało mi na zdaniu Aneczki, bo Aneczka rozumie muzykę.

Nakryto stół lnianym obrusem i podano herbatę. Organiścina wniosła wielki półmisek blinów polanych śmietaną. Wszyscy wzięli się z zapałem do jedzenia.

Annę posadzono na ławie między dziewczętami. Siedzące obok niej siostry Mikołaja zwracały się do niej po polsku, ale z koleżankami i między sobą mówiły po litewsku. Była tym zaskoczona: dawniej u Kostasów rozmawiało się tylko po polsku.

Mikołaj nie siadł do stołu. Odwołała go na bok jedna z dziewcząt. Była wysoka, urodziwa. Pod koroną obwijających czoło jasnych warkoczy miała ciemne brwi. Zdawała się robić Mikołajowi jakieś wymówki, a on zdawał się tłumaczyć. Anna nie znała dziewczyny — to nie była na pewno tutejsza — i była zaskoczona uległością Mikołaja. Wiedziała, że nie lubi się tłumaczyć. Rozmawiali ze sobą żywo. Nastawiła uszu, ale słowa, które do niej doszły, brzmiały po litewsku. Nie rozumiała ich.

Nagle poczuła się obco. Pomyślała, że miała dobre wycucie, nie chcąc tu przyjść. Skinęła przez stół na Michała:

Będziemy wracali...

Jak to? — zdziwił się. — Przecież mieliśmy iść na Pogankę?

Mikołaj na pewno zapomniał. Zresztą nie wypada mu odchodzić od gości.

Michał spoglądał niezdecydowany to na siostrę, to znowu na przyjaciela, wciąż zajętego rozmową z dziewczyną.

Nie możemy wyjść bez porozumienia z nim. Byłby dotknięty. A wiesz, że jest drażliwy.

Jakby poczuł, że rozmawiają o nim. Mikołaj spojrział w ich stronę i dał znak, iż zaraz podejdzie. Coś leszcze powiedział tamtej dziewczynie, przyciskając rękę do serca — wydawać się mogło, że jej coś obiecywał. Potem zbliżył się.

Zaraz pójdziemy, dobrze? — rzekł.

Ale może odłożmy to na inną okazję? — zaproponowała — Masz gości, nie możesz ich zostawić...

Zrobił stanowczy ruch ręką.

One wiedzą, że umówiłem się z wami. Mam wiele do pogadania. A to ostatnia okazja.

Ostatnia?

Tak. Jutro, najdalej pojutrze, muszę wyjechać...

Zebrano ze stołu i dziewczyny zaczęły na nowo śpiewać.

Do fortepianu usiadł jeden z młodych mężczyzn. Mikołaj narzucił marynarkę, gdyż w pokoju siedział tylko w koszuli. Wydało się Annie, że jeszcze coś przesłał wzrokiem tamtej dziewczynie w koronie z warkoczy.

W miasteczku panowała cisza, wszyscy już ułożyli się do snu. Z daleka tylko od kursalu w parku dolatywały dźwięki muzyki tanecznej. Na niebo wysypywało się coraz więcej gwiazd. Ich poświata srebrzyła dachy domów, zdobne często w małe wieżyczki. Minęli plac Kościelny. Biały kościół był niski i mały, ukryty za bramą w kształcie kapliczki. Już niedługo miała się rozpocząć budowa nowego, większego. Szli dalej w milczeniu, jakby onieśmieleni ciszą, którą płoszyły ich stąpania. Za domem doktora Bujakowskiego zaczynała się dzielnica żydowska. Było tu kilka sklepów z miejscowymi pamiątkami: pudełkami w kształcie czapek i nożykami do papieru z jasnego drewna. Dalej było kilka piekarni i cukierni ze znanymi i znakomitymi wypiekami. Ale oni zwrócili się w prawo. Szli wzdłuż sztachet parku, aż do schodów, którymi schodziło się w głęboki parów. Pod dachem splątanych gałęzi rosnących po obu jej stronach drzew płynęła rwącym nurtem rzeczka Rotniczanka. Jej woda była zawsze lodowato zimna. Trochę dalej zrobione były sztuczne kaskady, pod którymi śmielsi kuracjusze zwykli się byli kąpać. Spadająca z drewnianych zagród woda szumiała i ten szum słychać było aż na mostku, przy ujściu Rotniczanki do Niemna, na który obecnie zeszli. Obok mostka wygięte drzewo zwieszało się nad rzeczką. Na drugim brzegu ścieżka wspinała się w górę. Wyprowadzała na brzeg wielkiego osypiska nad Niemnem, który w tym miejscu tworzył majestatyczny zakręt.

Nie szli już teraz daleko. Na skraju urwiska leżały wielkie pnie, widać przygotowane do spalania. Piaszczystą rynną spychano je do rzeki, łączono w tratwy.

Usiedli na balach. W dalszym ciągu panowało między nimi milczenie. Gwiazdy zdawały się cisnąć na niebie, zlewać w połyskliwą masę. Od tych" gwiazd było tak jasno, że widzieli doskonale przeciwny brzeg, początkowo wysoki, potem zniżający się. Michał powiedział pierwszy:

Tak jasno, że można by zobaczyć Liszków...

Za zakrętem, na przeciwnym brzegu, leżała wieś Liszków. Nad chatami na górze wznosił się kościół. Łączył się kiedyś z klasztorem. Ale zakonnicy po powstaniu styczniowym zostali rozpędzeni, a klasztor poszedł w ruinę. Tylko w rozległych lochach pod kościołem zostały trumny zmarłych mnichów. Wycieczki, które wyruszały do Liszkowa, schodziły do tych lochów i zwiedzały je. Niektóre trumny były otwarte i widać w nich było szkielety w burych habitach.

Nie byłem w Liszkowie już kilka lat — zauważył Mikołaj.

I znowu milczeli. Cisza była taka, że aż dzwoniło w uszach. Najłżejszy nawet powiew nie trącał sosen, które rozcapierały nad nimi swoje gałęzie niby łapy pochylonego potwora.

Nagle Mikołaj powiedział:

Powiedzcie, o czym w tej chwili myśleliście. Ale od razu i szczerze. No, Michale, ty pierwszy.

Młody mężczyzna zająknął się.

Czy ja wiem... Właściwie to chyba myślałem o niczym...

O czymś jednak musiałeś myśleć — napierał Mikołaj.

Może... może o moim życiu...

Jakie ma być to życie?

Spokojne, dobre. Chciałbym mieć żonę, która będzie mnie kochała i którą ja będę kochać. Nie pragnę niczego wielkiego...

To zupełnie inaczej niż ja. Nie pragnę spokoju. Chcę uczynić coś wielkiego, bardzo wielkiego. Może to będzie dzieło 'muzyczne, może jakieś odkrycie malarskie, a może... Aż mnie dusi to pragnienie — przycisnął obie dłonie do piersi. — Musi się spełnić!

Przez chwilę oddychał prędko, jakby zmęczony szybkim biegiem. Ale po chwili odzyskali spokój. Zwrócił się do Anny:

A Aneczka o czym myślała? Także o życiu?

Ja — powiedziała wolno — myślałam o modlitwie...

O modlitwie? — zdziwił się. — Pewno mówią o niej często mama Aneczki albo ojciec.

Potrząsnęła głową.

Nie. U nas w domu modlimy się, ale o modlitwie nie rozmawiamy. W modlitwie człowiek zawsze o coś prosi... Czegoś oczekuje od Boga. Ja... ja chciałabym, aby Bóg sam wybrał dla mnie. Boję się tego, czego pragnę... To niemądrze brzmi, prawda?

Milczał, jakby zaskoczony jej słowami. W zamyśleniu przesuwiał dłonią po swych zawadiackich wąsach.

Nie, dlaczego — powiedział wreszcie. — Ale mnie to nie odpowiada. Ja chcę sam wybrać dla siebie drogę. Sam! Tylko wtedy można zdobyć wielkość!

Znowu był podniecony tym, co mówił. Zerwał się, chodził gwałtownie tam i z powrotem.

I już mam swoją drogę — ciągnął. — Już się zdecydowałem... Chciałbym pociągnąć drugich... Aneczka pojmuje, co chciałem powiedzieć?

Spuściła głowę. Była przekonana, że rozumie jego myśli. Przesunęła palcem po szeleszczącym młodą korą pniu.

Chyba pojmuje — szepnęła.

Zapanowała cisza. Przerwał ją okrzyk Mikołaja:

Niech Aneczka zobaczy! świetlik!

Małeńka iskierka, niby okruch gwiazdy, wirowała koło rosnącego w pobliżu krzewu. Mikołaj zerwał z głowy kapelusz i usiłował nim złowić robaczka. Zerwała się i schwytała go za rękę.

Nie! Nie trzeba! Nie trzeba! Nie łap go! Zabijesz. Niech lata! Niech żyje! Zostaw, Mikołaju. Chciałam zobaczyć, ale nie muszę go trzymać w ręku...

Świetlik znikł. Mikołaj powiedział:

Obiecałem Aneczce...

Obiecałeś i widziałam... Nie chcę zabijania.

Ani się spostrzegli, kiedy zaczęło szarzeć. Nadchodził przedświt. Z gałęzi kapłała rosa, oblepiała niby perełkami włosy Anny.

Trzeba wracać... — rzekła.

Trzeba — zgodzili się.

Wolno ruszyli skrajem urwistego brzegu.

Więc wyjeżdżasz? — zapytała.

Wyjeżdżam. Pewno dziś wieczorem.

Wracasz do Lipska?

Tak. Ale nie od razu. Wpierw pojedę pod Kowno. Mam tam przyjaciół. Muszę się z nimi spotkać.

Nigdy jej nie mówił przedtem o tym — a przecież o przyjaciółach zwykł był jej mówić i pisać.

Szkoda, że nie zostaniesz chociaż parę dni — odezwał się Michał. — W niedzielę jedziemy całą gromadą do Liszkowa, aby załatwić sprawę tej kostki...

Jakiej kostki? O czym mówisz?

Nie było ciebie i dlatego nie wiesz. W niedzielę miną dwa tygodnie, jak pojechaliśmy tam całą gromadą. Na statku Janka Kiersnowska założyła się z dwoma znajomymi, że podczas zwiedzania grobów pod kościołem wyjmie kość z trumny jednego z mnichów i zabierze. Nikt tego nie widział, a jednak ona to zrobiła...

I co? — w głosie Mikołaja nie było zainteresowania, pozostawał ciągle jeszcze ogarnięty zapałem wypowiedzianych przed chwilą słów.

W dwa dni potem Kiersnowscy wezwali ojca do Janki. Nie mogła sypiać, była ogarnięta ciągłym lękiem, bała się pozostać nawet na chwilę sama w pokoju... Rodzice myśleli, że to zapalenie mózgu...

Po prostu dziewczyna wystraszyła się. Takie szesnastolatki są skłonne do różnych wyskoków.

1— Nikt nie wiedział o tej kostce, bo ona nikomu o tym nie powiedziała. Doktor Bujakowski radził chłodne kąpiele. Ale ojciec mówił, że napatrzył się różnych dziwnych chorób na Syberii i nie spieszył się z diagnozą. Przychodził do Janki po kilka razy na dzień i rozmawiał z nią. W końcu powiedziała mu o wszystkim. Kazał zamówić mszę i odwieźć kość do Liszkowa. Jance od razu wszystko przeszło. W niedzielę kość odwieziemy...

Ech, wy. „Więc żadnych nie ma duchów? Świat ten jest bez duszy?” — zadeklamował drwiąco. — Dziś inne czasy. Wasz ojciec pozostał na starym brzegu...

Coś ty powiedziała? — aż zatrzymała się.

Zaczął gwałtownie tłumaczyć.

Nie myślałem nic złego, niech mi Aneczka wierzy. Ojciec Aneczki bardzo czcigodny, bardzo szanowny. Nie zapominam, jak wiele mu zawdzięczam. Ale wasz dom taki polski...

A jaki ma być? Przecież jesteśmy Polakami.

Prędko wyrzucił z siebie:

Ja jestem Litwinem.

Porywczym gestem sięgnął po papieros. Włożył go w usta, ale natychmiast wyjął i schował z powrotem. Może pamiętał, że Anna — podobnie jak jej matka — nie znosiła tytoniowego dymu. Godziły się z nim jedynie wobec doktora i Witolda.

F:l?k, Litwin — powiedziała — to tak jakby jedno. Tyle nas łączy. Zawsze świetnie bawiłam się z twoimi siostrami, Mikołaju. Michał i Paweł są dla ciebie jak bracia. Sam to mówieś. Prawda, Michale?

Zawsze to mówieś — zapewnił Michał. — Nie rozumiem ciebie.

Stał przed nimi z pochyloną głową. Czuło się, że kipi wewnątrz niby woda gotująca się i unosząca pokrywę garnka.

To prawda — powiedział. — Tak mówiłem. Tak było. I tak jest. Także dla Aneczki mam wiele, wiele sympatii... Myślałem... Myślałem, że wy zrozumiecie także. Że potrafię was pociągnąć... Ale wy zrobiliście się Polakami. I przy was inni stają się także Polakami!

Ostatnie słowa wyrzucił z siebie niby flegmę, która zapiekła się w gardle i dławiała. Po tym okrzyku zapanowała cisza. Nad miasteczkiem, do którego wchodzili, wstawał szary świt. Ptak jakiś pisał w gałęziach drzew parkowych. Znad Niemna dochodziły głosy ludzkie i chlupot wody — widać przeprowiał się pierwszy prom.

Więc to dlatego nie chciałeś przyjść? — zapytała.

Nie odpowiedział. Rzekł tylko:

Wracajmy. Pani doktorowa może być niespokojna.

Ruszyli za nim bez słowa. Znowu ich stąpania rozbrzmiewały w pustych ulicach. Przez plac Kościelny jechał chłopski wóz, naładowany jakimiś skrzynkami, a za wozem szedł w czarnym chałacie i okrągłej, czarnej czapce brodaty Żyd. Z daleka skłonił się Annie i Michałowi, powiedział:

Moje uszanowane dla pana doktora i jego dzieci. Bardzo niskie uszanowanie.

Na jeziorku rozpiną się mgła niby zawieszony w powietrzu płat woalki. Zatrzymali się w miejscu, gdzie ulica Św. Jakuba rozchodziła się w dwie strony.

No -to rozstajemy się — powiedział. — Dziękuję za miły spacer. Proszę przeprosić panią doktorową za to, że was wodziłem całą noc. I proszę, pożegnajcie ode mnie pana doktora. Powiedźcie, że będę zawsze pamiętał, ile mu zawdzięczam...

A my zobaczymy się jeszcze przed twoim wyjazdem? — zapytał Michał.

Może. Ale nie wiem... W każdym razie nie miejcie do mnie żalu o nic. Będę pisał. Do Aneczki, jeśli pozwali, napiszę także. Muszę, muszę wejść na własną drogę...

Przełamując skurcz gardła powiedziała:

Życzę ci wszystkiego najlepszego, Mikołaju. Życzę ci, abyś znalazł tę wielkość, której tak pragniesz...

Dziękuję. Muszę ją znaleźć. Jak nie znajdę dla siebie — zażartował — dam moje pragnienie Aneczce, żeby miała kiedyś dla swego syna.

Pocałował ją w rękę. Bez dalszych słów skręcili w prawo, a on w lewo.

Nie rozumiem, co mu się stało — mówił Michał. — Jeszcze tej zimy przysłał mi w liście rysunek pomnika księcia Poniatowskiego, który odnalazł w Lipsku... Co ci, Anusiu? Czy ty płaczesz?

Nie — zaprzeczyła. — Jestem po prostu zmęczona...

Po raz pierwszy ta ukochana ulica, ten tak bardzo drogi dom nie wydawały się jej miejscem samych radości.

Wstając od stołu powiedział do Anny, która już się brała do składania brudnych talerzy, aby je wynieść do kuchni.

Przyjdź do mnie. Chciałbym z tobą pomówić.

Drgnęła niespokojnie. Gdy ojciec wołał któreś z dzieci do

swego gabinetu, były to zawsze sprawy nieprzyjemne. Chłopcy byli wzywani, kiedy się źle uczyli. Ona, pamiętała, była wołana tylko raz jeden przed wielu laty, gdy ojciec jej zakomunikował, że będzie umieszczona w internacie przy pensji.

O czym, zastanawiała się w duchu, ojciec chce z nią rozmawiać? Od sześciu lat pracowała jako nauczycielka. Stała się osobą niezależną. Jeżeli mieszkała z ojcem i matką, to« dlatego, że uważała, iż na niej, na najmłodszej, ciąży obowiązek opiekowania się starzejącymi się rodzicami. Najstarsza siostra Katarzyna była już przełożoną sióstr miłosierdzia na Ordynackiej. Romuald ożenił się przed trzema laty i miał już syna. Hipcio ożenił się także i właśnie urodziła mu się córka. Witold pracował po staremu w Tyflisie. Paweł i Michał mieli posady w Grodnie. Pełne niegdyś gwaru mieszkanie na placu Wareckim stało się teraz ciche i puste.. Miniewicz zestarzał się. Miał już siedemdziesiąt pięć lat. Od zeszłego roku zrezygnował z pracy lekarza zdrojowego. Ale do zdrojowiska nadal jeździł, i w lipcu, i sierpniu przebywał w domu na ulicy Św. Jakuba. W Warszawie trochę jeszcze praktykował. W każdy piątek bywał na przyjęciach doktora Benniego, znakomitego chirurga. a swego wielkiego przyjaciela. Zbierało się tam wielu lekarzy, a także osób o nazwiskach znanych w Warszawie. Miniewicz spotykał się tam. z Sienkiewiczem, i kilka razy był do niego wzywany na konsylia. Sienkiewicz postarzał się także. Ale pisał ciągle. Ostatnio gazety zapowiedziały, że lada dzień rozpocznie się- druk nowej jego powieści noszącej tytuł „Ponad życiem", której tłem miały być wydarzenia lat ostatnich.

Odniosła talerze do kuchni i zapukała do drzwi gabinetu. Nim weszła, przeżegnała się w duchu.

Miniewicz siedział za biurkiem w wielkim fotelu krytym czarną skórą, z oparciem sięgającym wysoko ponad głowę. Poza tym meblem gabinet, urządzony był tak skromnie, że przypominał klasztorną celę. Na ścianie wisiał czarny krucyfik. Przed biurkiem stały dwa krzesła. W pokoju znajdowała się jeszcze

oszkłona szafka, z narzędziami lekarskimi oraz obita ceratą kozetka do badania chorych. W kącie stała mała biblioteczka. Zasłonięty nią — o czym wiedzieli tylko domownicy — wisiał wyhaftowany i oprawiony w grube ramy kosynier z kosą osadzoną, na sztorc w ręku.

Przed doktorem leżała otwarta książka. Oderwał się od niej, czerwonosynymi palcami zdjął pincenez i podniósł wyblakłe oczy na córkę.

— Usiądź, Anusiu — rzekł. — Chciałbym z tobą pomówić..

Zaskoczona usiadła nieśmiało na krześle. Ton głosu był pełen dobroci, więc z wolna odzyskiwała spokój. Poprzez biurko patrzyła na chudą, osypaną siwym zarostem twarz. Włosy na brodzie rosły rzadko, zarost wyglądał nieporządnie. Usta Miniewicza były nie domknięte, oddech ciężki. Nauczyła się przez lata dziecinne lękać ojca, a jednak kochała go. Obecnie on także zwracał się do niej inaczej, niż dawniej. Wypytywał o jej życie, słuchał cierpliwie jej uwag.

Powiedz mi, jak ci się pracuje w szkole? — zapytał.

Dobrze, proszę ojca. Ojciec wie, że miałam kłopoty z jednym z moich uczniów, ale dzięki doktorowi Morawskiemu wszystko skończyło się dobrze.

Kiwnął głową na znak, że pamięta o tej sprawie.

Spotkałem Morawskiego u doktora Benniego i podziękowałem mu za ciebie. Rozmawiałem o tobie. Bardzo ciebie chwalił. Mówił, że jesteś oddana szkole, że dzieci cię lubią i że umiesz z nimi postępować...

Nie zawsze, proszę ojca. Łatwo tracę cierpliwość i unoszę się. Bardzo mi było przykro po historii z tym chłopcem...

Dzieci — uśmiechnęły się lekko — poznają sercem, a nie rozumem jak dorośli. Lubisz je?

Bardzo. Właściwie każde dziecko...

To wielki dar — przyznał poważnie. — Każda matka powinna się o to modlić. Doszłaś wieku, w którym większość twoich rówieśnic jest żonami i matkami. Rozmaici młodzi mężczyźni kręcili się po naszym domu. Nie zauważyliśmy jednak, ani matka, ani ja, żeby który z nich zainteresował ciebie. Teraz pusto, nikt nie przychodzi... Chcę cię zapytać, jakie są twoje plany życiowe. Katarzyna od wczesnych lat zdecydowała się iść do klasztoru. Witold nie chce się żenić... Postanowili o swoim życiu. Nie są już młodzi. Ty jesteś najmłodsza, a ja jestem stary. O wiele za stary na córkę w twoim wieku. Chciałbym, zanim umrę, wiedzieć...

Proszę, niech ojciec tak nie mówi.

Śmierć, moja droga, jest rzeczą naturalną, i o jedno tylko powinniśmy się modlić, aby nie spadła na nas nie przygotowanych. Ale i człowiek powinien o niej pamiętać. Dlatego chciałem wiedzieć... Pragnę abys mi powiedziała, czy i ty przypadkiem nie myślisz o klasztorze.

Potrząsnęła głową.

Już nie myślę...

Ale myślałaś?

Przez krótki czas.

Nie sprzeciwiałbym się, gdybyś tego chciała. Ale nie namawiam. To są sprawy, o których człowiek sam i tak: musi zdecydować... I nie dlatego, że jego rodzice coś kiedyś obiecywali... Pewno wiesz?

Wiem, proszę ojca. Ale nigdy o tym nie myślałam. Myślę, że nie mam i nie miałam powołania na zakonnicę. To prawda, ojciec ma rację, stałam się już starą panną...

Przesadzasz, Anusiu.

Kobiety w moim wieku uważają się już za stare panny. Ale ja chciałabym wyjść za kogoś, kogo będę bardzo kochała, kto będzie mi się podobał...

Miłość przychodzi nieraz z czasem.

Myślę, proszę ojca, że to nie jest prawdziwa miłość. Zwyczajne przyzwyczajenie.

Popatrzył na nią przez chwilę uważnie.

A ja ci powiem, że miłość prawdziwa to wspólnie przeżywane sprawy. Za takie oczarowanie, o jakim marzą dziewczęta, trzeba czasem gorzko płacić.

Może warto, proszę ojca?

Nie żyjemy tylko dla siebie, moja droga.

Przesunął dłonią po czole. Teraz dopiero spostrzegła, że jedno z jego oczu zalane było krwią.

Ojcu coś się zrobiło w oko — powiedziała. — Czy ojciec wie o tym?

Wiem. Pękło naczynko. To przejdzie. Tylko że kiedy naczynka zaczynają pękać, jest zawsze obawa, iż któreś może pęknąć w mózgu. Ale jeśli tak Bóg chce...

Zmienił temat.

Nie wiesz nic o Mikołaju?

Niewiele. Tyle co od Pawła, z którym wymieniają od czasu do czasu listy. Był do rewolucji w Warszawie, potem przeniósł się do Kowna. Ożenił się. Z żoną wyjechał do Petersburga. Maluje, komponuje. Zbiera nagrody i odznaczenia. Myślę, że osiągnął wielkość, o której marzył. Ale podobno trawi go choroba nerwowa. Musi co pewien czas wypoczywać na wsi. Jeździ wtedy pod Kowno do rodziców żony...

Zdawał się słuchać tego, co mówiła, z uwagą. Potem rzekł:

Kiedy artysta przerzuca się od jednego rodzaju twórczości do innego, często doznaje zakłócenia równowagi. Mikołaj jest bardzo utalentowany i bardzo ambitny, ale mało posiada dyscypliny wewnętrznej. To nieprawda, że malarzowi czy muzykowi wolno ulegać każdej fanaberii. Są wprawdzie tacy, którzy rozgłaszają, że im artysta jest mniej zrównoważony w życiu, tym większym jest twórcą. Że nawet powinien rozbudzać w sobie namiętności, pożądania, nałogi...

Nie, nie, tak nie jest. Trzeba zobaczyć, jak pracują Prus czy Sienkiewicz. Dlatego ich dzieła będą trwały długo...

Pomyślała, jak mało zna ojca. A ona był przekonana, że jego sprzeciw wobec malarstwa Mikołaja jest tylko starczym uporem.

Boję się o Mikołaja — powiedział. — No, ale zobaczymy. Przyjedzie Paweł, będzie może coś więcej wiedział. Z tobą chciałem mówić o czymś innym. Rozmawialiśmy z matką i doszliśmy do przekonania, że powinnaś wyjechać.

Dokąd, proszę ojca? — w głosie Anny zadźwięczał niepokój. Stał przed nią tamten czarny dzień, gdy ojciec powiadomił ją, że będzie mieszkała w internacie. — Chyba nikomu nie przeszkadzam... W domu teraz pusto. I mam moją szkołę...

Nie chodzi o przeszkadzanie. Cieszymy się, że jesteś z nami. Nie myśleliśmy o jakimś wyjeździe na dłużej. _ Po prostu uważamy, że w związku ze świętami powinnaś odwiedzić wujostwo. Nie byłaś nigdy za kordonem, nie widziałaś Krakowa...

Kraków odwiedziłabym chętnie — odetchnęła.

Więc jedź. Zobaczysz coś nowego, rozerwiesz się.

Ale rodzice zostaną sami...

Rodzicom także trzeba zostać czasami samym. Nie martw się. Na święta zapowiedział się Witold. Wujenka wiele razy prosiła, aby ktoś do nich przyjechał. Tylko ty możesz jechać. Chłopcy to pędziwiatry. My z matką już się nie ruszymy. Tylko napisz im, że przyjedziesz.

Napiszę...

No to dziękuję ci, Anusiu.

Pochyliła się, aby pocałować dłoń ojca. Doktor nie wzbraniał się. Pogładził ją tylko lekko po włosach i zaraz włożył pince-nez, by na nowo zagłębić się w czytanej książce.

O tej podróży myślała z przyjemnością. W Krakowie mieszkał brat matki, Stanisław Selimowicz. Jako chłopiec wyruszył do powstania, razem ze swymi dwoma kuzynami Domeykami. Gdy wrócił cało, rodzicom udało się go wyprawić za granicę. Skończył prawo, został adwokatem, osiadł w Krakowie. Chociaż oddzielona granicą, rodzina utrzymywała ze sobą stały kontakt. Pisywano do siebie, pisywano fotografie. Wujenka Maria była kilka razy w Warszawie. Za każdym razem brała ze sobą któreś ze swych dzieci. Miała córkę i czterech synów. Dwaj najmłodsi: Kazimierz i Leon byli rówieśnikami Michała, Pawła i Anny.

Anna nie była nigdy dotąd za kordonem. A przecież tyle wiedziała o Krakowie. Katedrę, Wawel, kościół Mariacki, kościół na Piasku, Sukiennice — wszystko to знаła z rysunków, z fotografii, z opisów. Wiedziała, że tam jest Polska jawna: polski uniwersytet, polskie szkoły, polski język. Ci, którzy jeździli do Krakowa, powracali wstrząśnięci.

W Królestwie w ostatnich latach dokonały się także duże zmiany. Ale były to zmiany niepewne. Władze dawały pewne ulgi — a potem je cofały. Wyciągały rękę do społeczeństwa — i natychmiast

zaciskały ją w pięść. Pozwolono na naukę w języku polskim w szkołach prywatnych, ale zaraz potem zamknięto Macierz Szkolną, prowadzącą setki szkół. Zlikwidowano Sokoła. Gdy w pierwsze; Dumie powstało dość silne koło Polskie, zmieniono ordynację i do następnej Dumy dopuszczono tylko nielicznych Polaków. W Królestwie trwał ciągle stan wyjątkowy i nawet ostatnio został zaostrożony. Wciąż odbywały się rewizje, poszukiwania i aresztowania. Tropiono prasę podziemną. Ludzie schwytni byli wysyłani na Sybir.

Coś jednak obudziło się w społeczeństwie. Pękła dawna drażniąca bierność, jaka zapanowała po powstaniu. Pod stosem wygasłego, zda się, popiołu dyszał nowy płomień.

Zbierając się do wyjazdu Anna obiecała dzieciom w szkole, że po powrocie opowie im o pamiątkach, które obejrzy w Krakowie.

Michał odprowadził ją na dworzec. Siedziała przy oknie i patrzyła ciekawie na przesuwany się za oknami krajobraz. Wczesnowiosenne słońce odbijało się niby w lusterkach w: pasemkach wody, która stała między bruzdami. Na jasnym niebie trzepotały się ptaki. Na pola wyszli do pracy ludzie. Konie ciągnęły pługi, szli siewcy z lnianym workiem pełnym ziarna zawieszonym na szyi. Zima była śnieżna i przeciągnęła się długo. Usiłowano szybko nadrobić spóźnienia. Widok wsi zawsze nastrojał Annę radośnie. Zimy dzieciństwa spędzane w mrocznym mieszkaniu, bez możliwości wychodzenia na dwór, zostawiły w niej niewygasłą tęsknotę za przestrzenią, za drzewami, za szeroko rozpiętym niebem. Nie znosiła zimy, kochała wiosnę, lato, wczesną ciepłą jesień.

Minęło południe, gdy pociąg dotarł do stacji Granica. Na stacyjce widać było prawie wyłącznie mundury: kolejarzy, żandarmów, żołnierzy. Pociąg wjechał wolno na peron i zatrzymał się wśród kłębów pary. Przed każdym wagonem stanął żandarm. Brzęcząc ostrogami i szablą obszedł wszystkie przedziały oficer żandarmerii. Mówił: „Izwoltie wasz paszport”. Biorąc paszport obrzucał podróżnego lustrującym spojrzeniem. Z kolei zjawiała się cała gromada brodatych tragarzy w białych fartuchach. Brali bagaże i nieśli do sali, gdzie odbywała się kontrola celna. Potem bagaże odniesiono do wagonów, pasażerowie poszli do bufetu napić się herbaty. Wreszcie zadzwoniono, aby wszyscy wrócili do przedziałów.

Oficer żandarmerii coś powiedział do naczelnika stacji. Ten zagwizdał. Odpowiedział mu świst lokomotywy. Para buchnęła i pociąg wolno ruszył.

W godzinę później wjeżdżali na dworzec krakowski. Odprawa celna po stronie austriackiej odbywała się szybko. Wszyscy mówili po polsku. Po wagonach chłopcy w białych kitlach nosili kosze z piwem i słone obwarzanki. Na peronie wszystkie napisy były polskie.

Wysiadła z walizką w jednej ręce, z wyszywaną paciorkami torbą, daną przez matkę, w drugiej. Znalazła się w tłumie ludzi mówiących i wykrzykujących po polsku. W Warszawie mówiło się także po polsku, ale jakby ciszej, mniej hałaśliwie, za to bardzo twardo.

Anusiu! — usłyszała.

Odnalazła wzrokiem wołającego. Młody mężczyzna szedł ku niej wymachując rękami. To był Kazik. Poznała go od razu, choć widziała go ostatni raz przed kilku laty. Był wysoki, smukły. Twarz miał nieco

smagłą, nos orli, lekko wijące się włosy. Pamiętała, jak wujenka mówiła o nim: „mój Selim Mirza”. Selimowicze wywodzili się ze szlachty tatarskiej i byli z tego niesłychanie dumni. Ale w rodzinie tylko jeden Kazik miał rysy, które uznano za tatarskie. Na pewno były bardzo piękne.

Jak się masz, Kaziku. To ładnie, że przyszedłeś po mnie.

Serwus, Anusiu — objął ją i pocałował, czym poczuła się nieco zaskoczona. — Powiedz, jak ci przeszła droga? Zmęczyłaś się? Dobrze, że się nareszcie wybrałaś do tej naszej kochanej Galicji i Głodomerii. Wszyscyśmy się ucieszyli, że przyjedziesz.

Zawsze był żywy jak iskra, pełen humoru i żartów. Wszyscy Selimowicze mieli usposobienie wesołe, ale żaden nie był skłonny do równie szaleńczych pomysłów jak Kazik. „Nie ma drzewa, na które nie wlaż — mówili o nim bracia. — Nie ma dachu, po którym by nie potrafił chodzić. A jakie psikusy umie robić Żydom na Kazimierzu!” Gdy ostatni raz był w Warszawie, miał na sobie jeszcze mundur gimnazjalisty. Teraz ubrany był w elegancki garnitur z barwnym fontaziem pod szyją i miękki kapelusz z wielkim rondem. Ale ruchy miał takie same jak dawniej: nieoczekiwane i gwałtowne. Nigdy nie wiedziała, co za chwilę zrobi: pocałuje, rozburzy włosy lub uderzy po uczniowsku w kark, aż w oczach staną świece. Bardzo lubiła Kazika, ale trochę obawiała się tej jego żywiołowości.

—, Jeszcze nie widziałem, jak wyglądasz — stwierdził. — Pokaż się. — Zdarł je; z i i owy kapelusz prawie burząc fryzurę. — Czeszesz się na Japonkę? Dobrze ci w niej. Wy, Kongresowiaki, ciągle tak sam: kochacie Japońców? Wiesz, wezmę cię do jednego mero znajomego. Jest malarzem. Da ci kimono i namaluje jako Japonkę. To ci będzie szpas!

Śmiała się, ale potrząsała głową na znak, że nie ma zamiaru brać udziału w żadnym, podobnym szaleństwie.

Co ty sobie myślisz? Jestem nauczycielką. Muszę dbać o powagę.

Oje; Też mi powaga? Zawsze, pamiętam, byłaś śmieszka.

Wyrosłam. A ty ciągle jesteś chłopakiem. Zdzierać kapelusz komuś z głowy na ulicy... Cała jestem potargana.

Mogę lepiej.

Jak to zrobisz, ucieknę i zaraz wracam do Warszawy.

Nie oddam ci walizki.

To pojedę bez walizki.

Moskale cię bez walizki nie puszczą. Będziesz musiała się tłumaczyć, gdzie twój czemodan.

Wytłumaczę się jakoś.

Machnął ręką.

To jedźmy do domu.

Jedźmy.

Hej, fiakier! — Gestem przywołał dorożkarza w meloniku. — Na Łobzowską. Naprzeciwko zakonnicy.

Jechali po okolu plant. Anna rozglądała się ciekawie. Na lewo zobaczyła Rondel i bramę Floriańską. Aż krzyknęła widząc, jak w ciasną paszczę bramy wciska się tramwaj.

Wyglądało, że się nie zmieści.

Zmieści, zmieści. My wszyscy tutaj bez przerwy kucamy, aby się zmieścić między czcigodnymi pamiątkami. Tam, zaraz za bramą, jest Zielony Balonik. Pójdziemy tam, postuchasz. Może już słyszałaś taki wierszyk: „A pod tą gruszką siedział Kościuszko...”

Nie umiecie szanować tego, co wielkie.

Wolałabyś stać ciągle na koturnach?

Skręcili w Łobzowską. Na początku była to ulica jak inne, ale w miarę, jak jechali, przybierała wygląd całkiem podmiejski. Domy to były małe dworki zanurzone w ogrodach. Krzewy zaczynały się już zielenić. Dorożka zatrzymała się przed furtką.

Widzę, że mieszkacie całkiem po wiejsku — powiedziała. — Bardzo wam tego zazdrościć.

Tu nie tylko wieś. Jeszcze trochę dalej i mamy Krowodrzę. Wszystkie łobuzy krakowskie tu mieszkają. Baciary, jak powiada Tadek.

Wujostwo witali Annę serdecznie. Wujenkę Marię Anna widziała kilka razy w życiu, gdy tamta przyjeżdżała do Warszawy. Ale wuja Stanisława spotkała po raz pierwszy. Nigdy nie przyjeżdżał do Królestwa.

Ja tam stary powstaniec — mówił — nie lubię się Moskalom nasuwać na oczy.

W domu był jeszcze najmłodszy z braci, Leon. Wydawał się zupełnym przeciwieństwem Kazika: drobny i chudy. Jego mała twarz wydawała się jakby skurczona.

Pokoje w domu były duże, trochę ciemne. Poważne meble nadawały wnętrzu charakter niby jakiegoś muzeum. Stały tu małe foteliki, kanapa, kilka okrągłych stolików pokrytych siatkową narzutą i zastawionych bibelotami. Konsolka z lustrem, fotel na biegunach, etażerka, a na niej album i ozdobnie wydane książki. W jadalni stół był już zastawiony do kolacji.

Zaprowadź, Leonku, Anusię na górę do jej pokoju — powiedziała wujenka. — Może będzie chciała się umyć po drodze i ogarnąć. Nie przestrasz się, Anusiu, jeśli zobaczysz na korytarzu obcych mężczyzn. Odnajmujemy dwa pokoje Dom duży, a ludzi zjechało do Krakowa wielu. Rozmaicie uciekinierzy od was...

Z Warszawy?

Nie wypytywałam. Oni zresztą nie lubią mówić o sobie Jacyś rewolucjoniści, pepeesiaki pewno. Nawet nie wiem, czy się naprawdę tak nazywają, jak się przedstawili...

Ruszyła na górę. Przodem szedł Leon niosąc jej walizkę

A ty, Leonku, co teraz robisz? — spytała, gdy wprowadził ją do gościnnego pokoju.

Wzruszył ramionami i pogardliwie skrzywił usta.

Ojciec chciał, abym się zapisał na prawo. Zapisałem się, chodzę. Ale to śmiertelnie nudne...

A ty na co miałbyś ochotę? Co ciebie interesuje?

Zrobił szeroki ruch ręką.

Wiele rzeczy. Historia, geografia. Chciałbym podróżować... Wiesz — nagle zapalił się. — Jeden z moich kolegów wybrał się do Afryki. Chciał wziąć udział w wojnie boerskiej, Ale zanim tam dojechał, wojna się już skończyła. Żył parę lat w Kapsztadzie. Niedawno wrócił. Zawiódł się... — Zapał opadł. — Ale ja żałuję, że z nim nie pojechałem. Już bym nie wrócił, szukałbym dalej... — Coraz więcej smutku było w głosie Leona.

Czego byś szukał, Leonku?

Rozłożył ramiona.

Nie wiem...

Ja ci radzę — mówiła — skończ najpierw studia. Kiedy się uniezależnisz, będziesz mógł wyjechać...

Zrobiło się jej ogromnie, żal tego brzydkiego chłopca o smutnej twarzy.

Może już wtedy nie będzie czasu, aby wyjechać...

Dlaczego nie będzie czasu?

Przyjdzie wojna.

Tyle o niej od lat mówią, a ona wcale nie przychodzi.

Musi przyjść. Wiesz, tam na Bałkanach aż się gotuje. — Znowu obudził się w nim zapał. — Ta wojna to może jest właśnie to, na co czekam. Będzie to wojna o Polskę. U nas wszyscy się do niej szykują. Ja zapisałem się do Sokoła. A Kazik jest w Drużynach Strzeleckich. Chodzi na ćwiczenia z bronią. Ale ja nie chcę z nim...

Spieracie się jak dawniej?

Pamiętała, że chłopcy wciąż się ze sobą kłócili, a nawet bili. Wujenka narzekała na to. Ale zawsze brała stronę starszego. „Bo ten mój Leon taki dziwny — mówiła. — Wciąż tylko zaczepia Kazika, choć on większy i mocniejszy... Nie mogę zrozumieć, o co mu chodzi...”

Nie odpowiedział na jej pytanie. Mała jego twarz wydawała się w tej chwili jeszcze bardziej skurczona niż poprzednio.

Kazik (teraz zawsze z panem Radwanem — mruknął.

Kto to jest pan Radwan?

On u nas mieszka. Naprawdę nie nazywa się wcale Radwan. Przyjechał z Królestwa. Brał udział w jakichś zamachach i napadach. Moskale go złapali, ale on im uciekł.

Teraz organizuje drużyny. Bardzo ważny u nich... Ale pójdę, abyś się mogła przebrać. Zejdź zaraz na kolację...

Zostawił ją samą w pokoju. Gdy umyła ręce i zmieniła bluzkę, ruszyła z powrotem do jadalni. Na schodach minęła niskiego mężczyznę z gęstą, czarną brodą. Gdy przechodziła, tamten skłonił się w milczeniu. Była pewna, że to jest właśnie ów „pan Radwan”.

Podczas kolacji wujenka wypytywała Annę o rodziców, braci, rodzinę, Kazik kpił i rzucał żarty. Leon siedział milczący. Po podróży czuła się zmęczona. Wujenka zauważyła to, powiedziała:

Dziś nie będziemy dłużej siedzieli. Musisz się położyć, wypocząć. Pewno będziesz chciała zwiedzić Kraków. Chłopcy cię oprowadzą.

A co byś chciała zobaczyć w tym naszym Pokrako- wie? — pytał Kazik, gdy wstali od stołu. — Pamiątek u nas na kopy, jedna świętsza i szacowniejsza od drugiej. Tylko okna trzeba otwierać...

Jesteś niemożliwy — rzekła. — Chcę zobaczyć wszystko, co tylko można zobaczyć. Pragnę się upić Polską!

Obudził ją dźwięk dzwonka, który wpłynął do pokoju przez uchylone okno. Zerwała się, podbiegła do okna. Nad Krakowem wisiała mgła, którą usiłowało stopić słońce. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się długi, czerwony mur. Za nim widać było budynek oraz wieżyczkę uwieńczoną krzyżem. To stamtąd szło dzwonienie. Musiał to być klasztor, o którym Kazik powiedział dorożkarzowi.

Już poprzedniego dnia jadąc ulicami Krakowa widziała liczne postacie w habitach i kornetach. W Warszawie poza szarytkami nie widywało się zakonnic.

Potem rozzwoniły się dzwony w kościołach. Jeden po drugim włączały się w ogólny chór, który wydawał się jakąś muzyką przetaczającą się nad miastem. Wsłuchiwała się w te dźwięki wyobrażając sobie, że może wśród innych dzwoni także „Zygmunt”.

Zaraz od pierwszego dnia rozpoczęła zwiedzanie. Nawykła do dalekich spacerów i wycieczek. Na cały dzień wyruszała na miasto. Obchodziła kościół za kościołem. W nabożnej zadumie zwiedzała katedrę. Pomodliła się przed trumną świętego Męczennika. Szła od sarkofagu do sarkofagu. Złożyła pęk kwiatów na stopach swej ukochanej królowej Jadwigi. Zeszła do grobów królewskich. Potem udała się do kościoła na Skałce. Wzruszona słuchała wyjaśnień białego ubranego zakonnika. Długie pół godziny spędziła na kontemplacji ołtarza Stwosza. Pospieszyła do karmelitów, by obejrzeć tajemniczy obraz Matki Bożej Murkowej i dotknąć palcem przez kratę śladu stopy królowej Jadwigi.

Wszystko ją interesowało: stare mury i muzea, stragany w Sukiennicach i pod Sukiennicami, zawieszony na łańcuchu nóż, którym jakoby został zabity twórca jednej z wież kościoła Mariackiego. Chodziła do teatru i z zapartym oddechem słuchała Warszawianki i Wesela. Poeta umarł niedawno, ale Kraków pełen był jego dzieł i wspomnień o nim.

Kazik początkowo wszędzie je; towarzyszył, ale szybko znudził się wysiadaniem w kościołach i w muzeach. Nie miała nic przeciwko temu, że zastąpił go Leon. Przy całej sympatii, jaką czuła dla Kazika, drażnił ją jego drwiący stosunek do pamiątek narodowych, z których każda była dla niej prawdziwą świętością. Leon był inny. Szedł za nią cierpliwie od pomnika do pomnika i zawsze dużo wiedział o każdym obiekcie. Sam zwracał jej uwagę na pewne rzeczy. Gdy wybuchała słowami zachwytu — on

ten zachwyty zdawał się zawsze podzielać. Mogła z nim dyskutować, mówić mu o swoich obserwacjach, a on zaskakiwał ją trafnością swoich sądów. Zwykle nieśmiały i milczący, rozgadał się przy niej. Wyciągała go na wiele tematów.

Dni biegly za dniami, coraz cieplejsze. Kraków okrył się puchem kwitnących drzew. Podczas kolacji Kazik wystąpił z propozycją wybrania się następnego dnia powozem na wycieczkę do Świątnik.

To byłby ładny spacer — mówił. — Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pojechałby z nami nasz lokator, Radwan. Warto, żebyś go poznała. To wspaniały chłop.

A Leon? Nie pojechałby z nami?

Leon? Jak chce, niech jedzie, starczy dla niego miejsca...

Nie wiedziała, czy zrobiła dobrze dopominając się o Leona, ale tak ostatnio do rozmowy z nim przywykła, że byłoby jej brak.

Wyruszyli rano. Jechali przez Borek Fałęcki i Swoszowice. Dzień zrobił się przepiękny, prawie gorący. Anna trzymała parasolkę nad głową. Obok niej zajął miejsce Radwan. To był właśnie ten mężczyzna z czarną brodą, którego spotkała pierwszego wieczoru. Nie był wiele starszy od Kazika, ale wydawał się o wiele poważniejszy. Kazik okazywał mu szacunek, a zarazem zdawał się przechwalać swoją z nim zażyłością. Na wąskiej ławeczce naprzeciwko Anny przysiadł Leon. Kazik wlaż na kozioł i zajął miejsce obok woźnicy. Ale obracał się co chwila i brał udział w rozmowie.

Była zachwycona rozsnuwającymi się na wszystkie strony widokami. Droga szła to w górę, to w dół. Zasnute mgłami miasto zapadało się chwilami wraz z opasującą je wstążką Wisły. Na horyzoncie ukazywały się blade kontury wzniesień. Mijane chaty chłopskie pomalowane były na dziwny niebieski kolor.

Powiedz mi coś o Świątnikach, Leonku — poprosiła.

To małe miasteczko, ale bardzo stare. Posiada przywilej nadany mu jeszcze przez królową Jadwigę. Kiedy Jadwiga jechała z Węgier do Krakowa, w Świątnikach zobaczyła z góry swoją przyszłą stolicę. Ludność przyjmowała ją niezwykle serdecznie. Tak się tym wzruszyła, że nadała miastu przywilej, iż kościelnymi w katedrze krakowskiej po wieczne czasy mają być ludzie stąd.

I ten przywilej ciągle obowiązuje?

Naturalnie.

W naszym czcigodnym grodzie — wtrącił się Kazik — im przywilej starszy, tym dokładniej obowiązuje. My, Tatarzy, musimy się szczególnie strzec. Niech tylko kto krzyknie: „Bić Tatarów!” możemy tego oberwać. Leon się o tym niedawno przekonał.

Nie rozumiem? — zwróciła pytające oczy na Leona. Zobaczyła, że mała twarz chłopaka skurczona była gniewem.

Nie masz się czym chwalić — rzucił gardłowo.

Ja się nie chwalam. To ciebie Lajkonik wyrznął swoją pałką.

Ale to ty krzyknąłeś: „Bić Tatarów! A przedtem zmówiłeś się z tamtym.

Ja? Nic o tym nie wiedziałem — chichotał złośliwie Kazik.

Musiałeś wiedzieć — Amia wystąpiła w obronie Leona. — Gdyby chodziło o Tatara, to oberwałbyś przede wszystkim ty. A poza tym Lajkonik sam chyba występuje w roli Tataru, a więc na Tatarów nie napada...

Ależ z ciebie przebiegły detektyw. Wspaniale bronisz Leona. Pocieszyłeś go po guzie, którego wtedy złapał.

Przestań — strzepnęła dłonią jak na uprzykrzoną muchę. Obróciła się do młodszego: — Zawsze podziwiam,

Leonku, skąd wiesz o takich różnych historycznych wydarzeniach.

Ale Kazik nie chciał się uspokoić.

Skąd wie? — obrócił się na koźle tyłem do koni. — Zdradzę ci, Anusiu. Przed każdym spacerem z tobą wyciąga z biblioteki ojca rozmaite książki i uczy się z nich wieczorami. A potem udaje, że jest taki mądry...

Skończ już raz z tymi głupimi dowcipami! — Leon wybuchnął z nieoczekiwaną gwałtownością. — Ciągle się

' musisz popisywać swoim kretyństwem!

Och, jak się rozindyczył. Może nie mam racji? To zresztą jego stała metoda. W ten sposób emabluje panienki. Bo, żebyś ty wiedziała, Anusiu, jaki on kochliwy! Raz byliśmy w pracowni u mego przyjaciela. Jak zobaczył gołą modelkę, zaraz jej zaczął opowiadać o królowej Wandzie...

Żółta twarz Leona stała się po prostu sina. Wyglądało na to, że rzuci się z pięściami na brata. Uprzedziła wybuch słowami:

Jeśli nie przestaniesz dokuczać Leonkowi, będziesz miał ze mną do czynienia. Dostaniesz parasolką po głowie, już ją składam.

Poddaję się — uniół ręce do góry. — Nie wiedziałem, że jesteś taka bojowa.

Jestem. Kiedyś, kiedy jeszcze chodziłam na pensję, trzasnęłam Witolda, gdy dokuczał Michałowi...

O, to cię podziwiam. I co na to Witold?

Wyrwał mi parasolkę i połamał. Niewiele brakowało, żeby to samo zrobił ze mną... Ale potem, jak zobaczył, że płaczę, kupił mi inną...

Ja bym nie kupił.

Ale przestał atakować Leona. Jechali teraz brzegiem stromego wąwozu i Kazik zaczął nagle dyskutować z Radwanem nad użytecznością terenu dla jakichś ćwiczeń.

Co to mają być za ćwiczenia? — zapytała.

Radwan popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Wojskowe. Potrzebne, żebyśmy nie zardzewieli z kretesem i mieli z czym wrócić.

— To pan chce wrócić do Królestwa?

Oczywiście. I ja, i wielu takich jak ja.

Żeby zrobić rewolucję?

Żeby bić się z Moskalami o wolność.

Myślicie o nowym powstaniu?

To już nie będzie powstanie. To będzie wojna o Polskę.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Oczywiście. I dlatego przygotowujemy wojsko.

Wojsko polskie?

Naturalnie.

I robicie to jawnie? Co na to Austriacy?

Patrzą na to przez palce. Oni też będą bili się z Moskalami.

Przecież nie będą się bili o Polskę!

Najważniejsze, że będą się bili z Moskalami. A gdy pobiją Moskali, powstanie Polska.

Polska to nie tylko Królestwo. To także Kraków, Poznań, Gdańsk...

Ziuk będzie wiedział, jak postąpić.

Ziuk? Kto to taki?

Kazik, który przysłuchiwał się rozmowie, wybuchnął

śmiechem.

Nie wiesz? Ach, wy Polaki z Kongresowy! Ziuk to przecież Piłsudski.

Nic jej nie powiedziało to nazwisko. Domyśliła się, że to ktoś spośród działaczy rewolucyjnych.

Jechali dalej. Wiosna budziła wszędzie zieleń. Pąki na drzewach otwierały się jak dłonie. Wzdłuż rowów żółciły się kaczeńce i dmuchawce. Różnobarwne kwiaty otaczały także chaty ciągnące się wzdłuż drogi. Minęło ich kilka małych wózków, którymi powozili górale. Z zachwytem patrzyła na ich czarne kapelusze i białe spodnie znaczone barwnym hanem. Droga teraz szła stale w górę. Za nimi w słonecznej mgłę majaczył Kraków z długim, zielonym cielskiem Wawelu na pierwszym planie — niby z rozciągniętym nad brzegiem rzeki smokiem.

Dojechali do Świątnik po kamienistej drodze. Pasące się na łąkach krowy patrzyły na nich wielkimi, cierpliwymi oczami. Za bydłem chodziły dzieci. Były blade, chude rączki wyglądały z rękawów poszarpanych koszul. Anna w swej szkole spotykała się nieraz z nędzą, ale tutaj ta nędza wydawała się krzycząca.

Jak strasznie źle wyglądają te dzieci — powiedziała.

Z czego mają dobrze wyglądać! — Radwan szedł obok niej poważny. — Przednówek. Zima była długa i ciężka. Po chałupach wszystkiego brak. Tak tu jest w tej Galicji, proszę pani.

Przyszedł Kazik, który poprzednio oddalił się między domy.

Chodźcie — wołał. — Pójdziemy coś zjeść. Zaprowadzę was do tutejszej karczmy.

Była to żydowska karczma. Dużą izbę dzieliła drewniana krata. Wzdłuż ściany ciągnął się długi szynkwias, za którym stał niemłody Żyd w jarmułce, ze szpakowatą brodą i zmęczonymi oczami wynurzającymi się z worczastych powiek. Annie wydało się, że na widok Kazika w oczach karczmarza zapalił się jakby nagły błysk niepokoju. Ale zaraz podszedł do stolika, przy którym usiedli. Wycierając go ściereczką mówił:

Witam bardzo, szanowne państwo, witam. Bardzo się cieszę, że szanowny pan Selimowicz przyszedł tu dzisiaj. Czym mogę służyć szanowne państwo?

Icek mnie zna, bo ja tu nieraz przyjeżdżam — powiedział Kazik. — ?Nie kocha mnie. bo ja robię różne szpasy. Pamięta Icek, jak było, gdy tu byłem ostatni raz?

Co ja nie mam pamiętać? Pan Selimowicz wesoły mężczyzna. To bardzo dobrze, kiedy miody człowiek jest taki wesoły. Ja zawsze witam i cieszę się...

Icek daje dobre jedzenie — mówił Kazik. — No, co tam dziś dobrego u Icka? Ta pani przyjechała z Warszawy i chciałaby dobrze zjeść.

Aż z Warszawy? To daleka-droga. Ja mam wątróbkę bardzo fein. Ja mogę zrobić z cebulką, tak ?po naszemu. Ale przedtem to może karpia? Piękny karp z faszerunkiem.

świeży?

A jaki mógłby być dla szanownego pana Selimowicza?

Jedząc potrawy przyrządzone przez Icka — rzeczywiście

znakomite — słuchała, jak Kazik opowiadał o jakiejś nocnej, wesołej wyprawie w gronie kolegów. Jego opowiadanie tryskało humorem. Choć rozdrażnił ją dokuczaniem Leonowi, nie mogła nie ulegać wdziękowi, jaki roztaczał. Gniewał ją, niepokoił i równocześnie pociągał. Miała nawet żal do siebie, że wobec Leona nie odczuwa nic poza serdecznym współczuciem. Gotowa była zrobić dla niego bardzo wiele. Natomiast wiedziała, że Kazika musi się strzec. Jego uroda, jego temperament mogły zakręcić w głowie.

Posadzono ją obok Radwana. Mężczyzna z brodą mówił mało, raczej słuchał. Zauważyła, że w jego szarych, zawsze trochę zmrużonych oczach czai się wyraz jakby zaciętości. Trochę zaciągał, można było odkryć, że pochodzi z Litwy.

Po obiedzie wstali i wyszli z karczmy odprowadzeni aż do drzwi przez karczmarza, który mówił:

Ja ?padam do nóżek wielmożnych państwa. Bardzo dziękuję i proszę znowu. Oj, żebym ja wiedział, że takie szanowne państwo dziś przyjdą, to ja bym przygotował jeszcze coś fajniejszego, coś takiego, co tylko największe państwo jedzą. Ja bardzo całuję rączki i bardzo proszę. A panu Selimowiczowi to ja bardzo dziękuję, że on przyprowadził do mnie szanowne państwo... I życzę dobrej drogi, i dobrego humoru, i co by zawsze się powodziło we wszystkim...

Kazik przeprosił, że ma coś w miasteczku do załatwienia i zniknął. Leon pozostał na ławce przed karczmą. Anna z Radwanem poszli się przejść.

Pani wraca do Warszawy? — zapytał mężczyzna.

Tak. Już pojutrze. Czas zbiegł tak szybko.

Nie wiem, czy wolno mi panią o to prosić, ale czy nie zabrałaby pani ze sobą listu? Nie ufam poczcie... Chodzi o list do matki... — dorzucił spiesznie.

Ależ naturalnie, chętnie wezmę.

Nie boi się pani?

Czego miałabym się bać? Przecież mnie nie będą rewidowali.

Mam nadzieję. Ale ludzie boją się.

Ja się nie boję.

— Cieszę się i dziękuję. Widać od razu, że pani jest córką powstańca. Czy nie zainteresowałaby panią współpraca z nami?

O jakiej współpracy pan myśli?

Nie myślałem o akcjach zbrojnych, choć gdyby panią to pociągnęło... Ale są sprawy kolportażu pism, książek.

Myślę, że chyba mogłabym wziąć w tym udział...

Powinna pani. Jeśli się pani zgodzi, przyślemy do pani człowieka.

Jak się będę mogła upewnić, że to człowiek od pana?

Ustalimy hasło.

Przez chwilę namyślała się.

Dobrze — powiedziała w końcu. — Wolałabym jednak, aby ten ktoś nie przychodził do mnie do domu. Może w szkole...?

Jak pani sobie życzy — zgodził się.

Jakże się pani udał wyjazd do Krakowa? — pytał doktor Morawski, gdy przyszła pierwszy raz po powrocie do szkoły.

Szkoła należała poprzednio do Macierzy Szkolnej. Po likwidacji tej tak wspaniale pracującej instytucji szkole groziło zamknięcie wraz z setkami innych. Ocaliła ją grupa lekarzy, którzy roztoczyli nad nią opiekę. Jak zwykle ktoś dostał łapówkę i przymknął oczy. Z ramienia opiekunów doktor Morawski zajmował się sprawami szkoły.

Był to młody lekarz, energiczny i sympatyczny. Do Anny odnosił się zawsze życzliwie ze względu na szacunek, jaki czuł dla doktora Miniewicza. Ale ostatnio zbliżyła ich historia, która się wydarzyła w klasie Anny.

Jednym z uczniów w klasie był wyrośnięty, wielki chłopak imieniem Franek. Uczył się źle, natomiast ciągle łobuzował, dokuczał innym dzieciom, przeszkadzał w lekcjach. Ciągle musiała go upominać. Uspokajał się na chwilę i zaraz na nowo zaczynał swoje. W końcu zrzekał zupełnie reagować na jej uwagi. Odburkiwał coś — czego nie mogła dosłyszeć — ale co wywoływało chichoty siedzących blisko Franka chłopców. Była coraz mocniej przekonana, że nieznośny uczeń swoimi dowcipami szkodzi jej autorytetowi.

Pewnego dnia nie wytrzymała. W chwili gdy coś tłumaczyła, siedząca przed Frankiem dziewczynka wybuchnęła głośnym płaczem. Anna podbiegła do chłopca i krzyknęła;

Franek! Co zrobiłeś Zosi?

Ja? — udał zdziwionego. — Pani zawsze na mnie. Czy ja wiem, czego ona wrzeszczy?

Zosiu — pytała — co ci jest?

To Franek, proszę pani... Szarpie za włosy... Oj, jak boli...

Słyszałeś?

Wzruszył ostantacyjnie ramionami. Coś mruknął, co wywołało śmiech otoczenia. Wyprowadziło ją to do tego stopnia z równowagi, że chwyciła chłopca za ucho. Choć miotał nią gniew, zapanowała nad nim i pamiętała, że dotknęła ucha lekko, właściwie symbolicznie. Mimo to Franek wrzasnął, a ona zobaczyła przerażona, że spod ucha po jego brudnej szyi spływa strumień krwi. W klasie zapanowała pełna grozy cisza, której towarzyszyły szept: „Pani urwała ucho Frankowi...”

Poleciała chłopcu wyjść do łazienki i umyć się. Z bijącym sercem czekała na jego powrót. Ale on do przerwy nie wrócił. Ledwie zdołała się opanować, by prowadzić lekcję. Na pauzie wysłała jednego z chłopców na poszukiwanie Franka. Chłopiec wrócił z wiadomością, że Franek udał się do domu.

Gdy weszła do pokoju nauczycielskiego, była blada i trzęsły się jej ręce. Zebrane po klasówce zeszyty wypadły jej z rąk.

Doktor Morawski, obecny w pokoju, wstał, pomógł jej pozbierać zeszyty, potem zapytał:

Czy się coś stało, pani Anno? Jest pani blada, cała pani drży. ?Proszę mi powiedzieć.

Zacinając się opowiedziała o tym, co się stało.

Och, niech się pani tak nie przejmuj — próbował ją pocieszać. — Nie mogło się stać nic poważnego.

Krew mu płynęła. A ja ledwo dotknęłam...

Co to za chłopak?

Franek Sroka. Najstarszy w klasie. Wyrośnięty, dokucza młodszym... Nie chce się uczyć...

Czyli że nadaje się do usunięcia?

Już chciała powiedzieć: tak, ale się zatrzymała.

Może i nie powinno być go w klasie — mówiła. — Ale z drugiej strony... Jestem pewna, że wtedy zmarnowałby się. Rodzice bardzo nieciekawi. Widziałam ich kiedyś. Ojciec wygląda na awanturnika i pijaka. Franek, mówiły dzieci, odgrażał się, że jutro przyjdzie do szkoły z ojcem...

Usiłowała się opanować, ale łzy miała w oczach. Morawski rzekł:

Niech się pani nie przejmuj. Przyjdę i będę przy tej rozmowie. Beze mnie niech pani z nimi nie rozmawia.

Mimo tej obietnicy dzień upłynął pełen niepokoju. W nocy nie mogła spać. Po drodze do szkoły wstąpiła do kościoła.

W pokoju nauczycielskim zastała doktora Morawskiego. Chodził tam i z powrotem z rękami założonymi za siebie.

Nie wiem doprawdy, jak dziękować panu doktorowi... — powiedziała witając się z nim.

Nie ma za co, pani Anno. To należy do moich obowiązków opiekuna szkoły. A poza tym nie mogłem patrzeć, jak bardzo pani się wczoraj denerwowała. Pani, która tyle robi dla dzieci, która zawsze je broni... — przerwał jej, gdy chciała coś powiedzieć. — Rzeczywiście przyszli...

Franek zjawił się w towarzystwie obojga rodziców. Ojciec był wielkim mężczyzną o ponurym spojrzeniu i niemile pół-przymkniętych oczach. Wyglądał na trzeźwego, ale może dlatego musiał być cały naładowany złością. Na ogolonej twarzy widać było zadrapania — nie wiadomo, czy od brzytwy, czy też były to ślady jakichś rozrachunków. Przy mężczyźnie szła balansując biodrami jego żona: mała, pękata, o twarzy poznaczonej ospą. Robiła wrażenie przekupki. Zobaczywszy

w otwartych drzwiach kancelarii Annę, wskazała ją palcem mężowi i powiedziała:

To ta...

Mężczyzna oparł na biodrach wielkie, czerwone dłonie i zwrócił się w stronę drzwi. Kobieta idąca za nim wybuch-nęła jazgotem:

To ma być nauczycielka, co kaleczy dzieci? Widzicie ją!

Kręcące się w korytarzu dzieci otoczyły wielkim kręgiem

przybyłych. Ostatnie wezwanie kobiety zwrócone było do nich. Ale Morawski podszedł energicznie. Powiedział:

Tu nie będziemy rozmawiali. Proszę do kancelarii. A wy — klasnął w dłonie na gapiące się dzieci — do klas!

Gdy przybyli weszli do pokoju nauczycielskiego, Morawski zamknął drzwi i zapytał:

Słucham pana, o co chodzi?

Ja tam nie do pana — burknął mężczyzna. Szedł na Annę, przycisnął ją sobą do siołu. — To wełno tak poranić dziecko? To nauczycielka tak postępuje?

Łapy takiej poprzetrącać — judziła z tyłu kobieta. — Niech płaci za to, co zrobiła. A nie, to...

Niech pan odstąpi — powiedział Morawski odsuwając stanowczym gestem mężczyznę. — Tu jest szkoła i tu nie może być żadnych awantur ani krzyków. Nazywam się doktor Morawski i jestem opiekunem szkoły. Proszę mi spokojnie powiedzieć, z czym pan przyszedł.

Mężczyzna odstąpił od Anny i obrócił się do Morawskiego. Wyglądał groźnie. Przez chwilę mierzył doktora wściekłym spojrzeniem. Ale spokój Morawskiego musiał podziałać ostudzająco. Powiedział:

Ta nauczycielka pokaleczyła mego syna. Zobacz pan sam, jak pan jesteś doktorem. Franek — krzyknął na syna — pokaż, jak ci urwała ucho.

Dobrze, pokaż. — Morawski umył dłonie, przyglądał się uchu długo i starannie. ' Ostro zapytał:

Kto ci to zrobił?

Ona zrobiła...

Kłamiesz! — krzyknął ostro. — Mów prawdę wszystkim, kto ci to ucho rozerwał!

Chłopak patrzył ponuro w ziemię.

Śliwa — bąknął.

Morawski zadzwonił na woźnego.

Niech pan pójdzie do klasy pani Anny i zawoła chłopca, który się nazywa Śliwa.

Inny, równie wyrosnięty chłopiec zjawił się w kancelarii. Morawski wsiadł na niego z góry.

To ty naderwałeś ucho Frankowi?

Nie próbował zaprzeczać.

Bo to on, proszę pana, napadł na mnie. Ja mu nic nie zrobiłem. Słowo daję. Złapał mnie za rękę i wykręcił mi palec. O, jaki napuchnięty. On zawsze jest taki, proszę pana. Biję, napada, choć mu nikt nic nie robi. Złapałem go za ucho, a on się szarpnął...

Morawski podniósł wzrok na mężczyznę. Zapytał:

Słyszał pan?

Co nie miałem słyszeć... — burknął i zabalansował całym ciałem.

Pani nauczycielka wzięła go za ucho, bo się źle sprawował. Ale mu ucha nie urwała. Pański syn znany jest w szkole ze swych bijatyk, z dokuczania innym dzieciom. Uczy się źle. A teraz jeszcze nakłamał... (Nie możemy takiego jak on trzymać w szkole...

Zrobiła się cisza, a potem zajazgotała kobieta:

Tak nie może być. Dzieciaka mi ukrzywdziła...

Cicho, matka! — krzyknął mężczyzna. — Jak skłamał, to dostanie. Kości mu w domu poprzetrącam. Człowiek swój honor ma. Jak dzieciak płacze, że mu nauczycielka ucho urwała, to przyszedłem upomnieć się o niego. Ale skoro to kłamstwo, to takie mu spuszczyć lanie, jakiego w życiu nie dostał...

Anna zobaczyła przerażenie na twarzy chłopca.

Pan pozwoli — powiedziała. — Franek postąpił źle. Ale jeżeli obieca, że tak więcej nie zrobi, ja o wszystkim zapomnę i proszę, aby pan także o tym zapomniał... Bardzo pana o to proszę. — Zwróciła się do doktora Morawskiego. — Ja myślę, panie doktorze, że Franek mógłby zostać w szkole, gdyby obiecał, że się poprawi.

To zależy tylko od pani — rzekł.

W takim razie proszę o to. Franku, czy obiecujesz, że się zmienisz?

Chłopiec stał z pochyloną głową bez słowa.

Gadaj! — zawołał ojciec. — Gadaj zaraz!

Wymamrotał:

Poprawię się...

A jak znowu będą na ciebie skargi, sprawię ci takie basy...

Nie, nie. — Mimo wstrętu, jaki budzili w niej pijacy, uśmiechnęła się do mężczyzny. — On się poprawi, jestem tego pewna. Chciałabym, żeby pan pozwolił, aby zostawał codziennie na godzinę po lekcjach. Mam tu kilku takich jak on, którzy uczą się źle. Może im trudno. Będę z nimi przerabiała materiał...

— Pewno, że pozwolę — teraz mężczyzna nabrał nagle grzeczności. — W rękę panią nauczycielkę! — wrzasnął na syna. — I pamiętaj! — pogroził chłopcu. Skłonił się Morawskiemu. Rzekł: — Człowiek honor ma.

Szurgnął nogami i sam pocałował Annę w rękę. Uścisnął zamaszycie rękę Morawskiego. Jeszcze raz pogroził synowi. Kobieta nie powiedziała nic. Nie wyglądała na przekonaną. Wzrok jej nie złagodniał. Usta miała zaciśnięte, małe oczka pełne nienawiści. Bez słowa wyszła z kancelarii za mężem. Chłopcy z pokornie zwieszonymi głowami udali się do klasy.

Odpowiedziała na pytanie Morawskiego:

Wyjazd udał się. Ale teraz Warszawa po Krakowie wydaje mi się smutna i ponura. Tam już wiosna, drzewa kwitną, są kwiaty, wszędzie zieloność. A u nas pąki jeszcze stulone, mury wydają się smutne, ponure, brzydkie...

Nie lubi pani Warszawy?

Nie lubię miasta...

A Kraków?

W Krakowie jest zieloność i wiele, wiele wspaniałych pamiątek. Ale poza tym to także miasto.

Czuję, że wcześniej czy później ucieknie pani na wieś.

Pokręciła melancholijnie głową.

Obawiam się, że wieś pozostanie na zawsze moją tęsknotą.

Popatrzył na nią, a potem zmienił temat:

Jak się sprawuje Franek?

Można wytrzymać. Żeby pan doktor wiedział, jaki to w gruncie rzeczy zdolny chłopak. Widzę to teraz, gdy go mam na dodatkowych lekcjach. Mógłby być jednym z najlepszych uczniów.

Bardzo to pani pięknie zrobiła, że chce ich pani uczyć. Ale, niestety muszę powiedzieć, że brak mi funduszy na płacenie pani za te dodatkowe lekcje. Mówiłem na zebraniu, ale...

Nie liczyłam na żaden dodatek.

Nie zarabia pani wiele.

Mieszkam z rodzicami. Im pomaga mój brat, więc to, co zarobię, mam tylko dla siebie.

W imieniu szkoły dziękuję za bezinteresowność. Ostatecznie nie będzie pani całe życie nauczycielką.

Zaśmiała się.

Nauczycielką jest się przez całe życie.

Była rzeczywiście przez kilka pierwszych dni po powrocie trochę przygnębiona, porównując zielony Kraków z szarą Warszawą. Ale szybko otrząsnęła się z tego nastroju. Jeśli w Krakowie było pięknie, to przecież tutaj życie pulsowało mocniej. Każdy dzień przynosił nowe troski: dzieci z zamkniętych szkół Macierzy Szkolnej pozostawały bez nauki, budowa ogromnego soboru na placu Saskim posuwała się

ostatnio dość szybko, pojawiły się znowu nocne rewizje, aresztowania, procesy, kończące się z zasady skazaniem na zesłanie. Gubernator Skafon stosował rządy twardej ręki.

A mimo to Warszawa nie traciła humoru ani energii. Lata bierności i osłabienia ducha pozostały gdzieś daleko. Miasto przypominało wielką fabrykę, która jeszcze nie poszła w ruch, ale w której podziemiach huczą już nabierające szybkości koła i lada chwila porwą za sobą wszystkie urządzenia. Ma zewnątrz kwitło lekkomyślne życie towarzyskie, odbywały się herbatki, potańcówki, zabawy, przyjęcia. Ludzie chodzili na wystawy, a potem omawiali długo to, co widzieli. Teatry występowały z nowymi sztukami i próbowały przebić się przez sieć zakazów cenzuralnych. Prasa pełna była najświeższych wiadomości, które pasjonowały wszystkich. Mimo licznych konfiskat, raz po raz przenikała jakaś wstrząsająca wieść. Wraz z tramwajami miejskimi, które przechodziły z trakcji konnej na elektryczną, całe życie miasta przestawiało się na inną moc.

Anna miała wielu przyjaciół, więc nie brakowało jej spotkań z ludźmi. Tu organizowała loterię fantową, gdzie indziej przygotowywała żywe obrazy i brała w nich udział, jeszcze gdzie indziej bawiła się wesoło na tańcach. Jedną z pacjentek jej ojca, pani Makowska, żona bogatego przemysłowca, prowadziła dom otwarty ze względu na córkę, która właśnie skończyła pensję. Chętnie zapraszała do siebie Annę, której wesołość i usłużność, a także liczne znajomości wśród kolegów braci, mogły się przyczynić do wypełnienia salonu młodzieżą męską. W domu Makowskich tańczące herbatki — a w poście gry towarzyskie — odbywały się co tydzień.

Anna uważana tu była nieomal za kogoś domowego. Córka Makowskich, Lili, była blada, chorowita, nie nazbyt urodziwa. Pani Makowska dbała o to, aby wśród panien biorących udział w zabawach nie było takich, których wdzięk i uroda mogły przesłonić jedynaczkę. Ale Anna miała już dwadzieścia sześć lat i musiała pracować, nie mogła więc być uważana za rywalkę.

Pani Makowska nosiła w sercu wielką wdzięczność dla doktora Miniewicza za kilkakrotne wyleczenie z różnych chorób, toteż myśląc o przyszłości jedynaczki myślała także o Annie. Pojmowała, że córce zbyt starych rodziców, może być niełatwo wyjść za mąż. Nie wszyscy mężczyźni tak licznie zebrani w salonie nadawali się dla Lili. Tym przyglądała się bacznie przymierzając w myśli, czy który z nich nie będzie w sam raz dla Anny. Robiła to zresztą z własnej inicjatywy, a Anna nawet się nie domyślała tych machinacji.

W tym dniu — dniu tańczącej herbatki — Anna zjawiła się u Makowskich wcześniej. Lili przysłała bilecik, w którym była gorąca prośba, aby przyszła na parę godzin przed zabawą i pomogła jej przygotować kotyliony. W szyciu kotylionów brały udział także dwie kuzynki. Dziewczęta siedziały w fiołkowym pokoiku Lili. Szyjąc opowiadały sobie różne historie i zaśmiewały się wesoło. Zajrzała do nich sama pani Makowska. Przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie. Potem kazała pokojówce przynieść talerze z przekąskami i domowymi ciasteczkami. Wyszła, nie zamykając za sobą drzwi, do przedpokoju, gdzie na małym stoliczku stała duma domu — telefon. Obok stolika znajdował się fotel, w którym siedząc można było wygodnie prowadzić długie rozmowy. Pani Makowska rozsiała się w fotelu, podniosła słuchawkę i kazała telefonistce połączyć się z jakimś numerem. Po chwili rozpoczęła się ożywiona rozmowa, której strzępy zaczęły dochodzić do uszu Anny siedzącej blisko drzwi.

— Ach, moja kochana, bardzo, bardzo się cieszę... Lili wygląda jak róża. Mówię ci, prześlicznie. I czuję się doskonale. Kazałam jej uszyć sukienkę... No wiesz, prześliczną, z różowej żorżety... z szarfą, z falbankami... Dekolt niezbyt duży... Ach nie, to nieprzyzwoicie... Będzie na pewno. Owszem, podoba

.się... Rodzina dobra, majątek znakomicie prowadzony. Także różne inne interesy. Chłopak trochę szumiał... Ale wiesz, czasami to może lepiej. Poszumi, a potem uspokoi się. A ja boję ?się tych, co to niczego nie próbowali. Mężczyzna musi mieć doświadczenie... Za dużo niedobrze, ale za mało także niedobrze... Tak, to strasznie dużo kłopotu. Ale czego się nie robi dla dziecka, prawda? Chciałam przy okazji zrobić coś dla tej małej Miniewiczówny. Miła i wartościowa. A doktor jest niezrównany. Za każdym razem stawia mnie na nogi. Mądry, troskliwy... Powinnaś się go koniecznie poradzić. Wysyła mnie do tego kurortu, gdzie przez lata był lekarzem zdrojowym... Mało znany, to prawda, ale on twierdzi, że to będzie kiedyś najbardziej znane uzdrowisko w Europie... Picie wody i kąpiele... A także klimat... Podobno niezwykle. Lasy, rzeka... Doktor jest entuzjastą. Przekonał mnie. Pojadę w tym roku z Lili. A ona bardzo miła... Traktuję ją prawie jak drugą córkę. Biedaczce bardzo to potrzebne. Trochę już zaszła w lata. Rodzice wiekowi, nic jej nie pomogą. Rozglądam się... Wiesz, bywa tu u nas taki jeden. Bardzo przyzwoity... I z dobrej rodziny. Niestety, wszystko stracili... Pracuje, jest samodzielny. Już nie chłopczyk... Mnie się wydaje, że w sam raz...

O mało nie wybuchnęła śmiechem, tak się jej to ?stręczenie wydało śmieszne. Zawsze myślała: mąż to miłość. Jak można wzbudzić w sobie uczucie do kogoś wybranego przez innych? Wiedziała, że są rodzice, którzy wybierają mężów dla swych córek. Ale u nich było inaczej. Bracia szukali sami żon, i dla niej, jeśli ma znaleźć dla siebie męża, musi on zjawić się sam, porwać ją, zdobyć jej miłość. Nikt jej męża nie narai. Zwłaszcza pani Makowska. Lubiła ją, ale uważała za osobę trochę śmieszna, z której lubiła żartować, gdy opowiadała w domu o pobytku u niej.

Szyjąc zaczęła się zastanawiać: o kim ona mogła mówić? Znała młodzież, która przychodziła na herbatki do Makowskich. Bywali tu studenci — wszyscy z uczelni rosyjskich lub zagranicznych, kilku młodych ziemian... „Pracuje, jest samodzielny” — mówiła Makowska. Kogo mogła mieć na myśli?

Przesuwając w pamięci znajome twarze zatrzymała się na postaci Rogowskiego. Może to o nim była mowa? Nie był chłopczykiem, jak mówiła Makowska, był jednym ze starszych wśród młodych mężczyzn odwiedzających salon. Znała go mało. Nie wiedziała, kto go wprowadził. Był niezbyt wysoki, tęgi, o falujących włosach i spokojnych, piwnych oczach. Na pierwszy rzut oka wydawał się zawsze starannie ubrany. Ale jej doświadczone oko, nawykłe do odkrywania defektów stroju u braci, umiało zauważyć niezręcznie zrobioną cerę, przszyty niewłaściwą nitką guzik, zaczynający się strzępić mankiet. Nosił buty grube, niezbyt pasujące do fraka. Tańczył dobrze, z zapałem, umiał także prowadzić tańce. W czasie zabawy niewiele mówił, przejęty muzyką i ruchem. Poza tańcem nigdy z nim nie rozmawiała. To było wszystko, co wiedziała o nim...

Nie miała do niego żadnego stosunku. Z innymi — kolegami braci — żartowała, sinią się, dowcipkowała. Kiedyś — w okresie postu — gdy między zabawami towarzyskimi zorganizowano śpiewy, stojąc blisko Rogowskiego przekonała się, że okropnie fałszuje. Sama miała znakomity słuch, więc był to dla niej prawdziwy zgrzyt. Mimo braku słuchu tańczył dobrze, nawet chyba bardzo dobrze. Więc to chyba Rogowski... Ale jeżeli tak, to miła uczciwie powiedzieć, że gdyby szukała męża wśród zebranych w salonie Makowskich mężczyzn, on byłby na ostatnim miejscu.

Goście zaczęli się schodzi: Parmy zajmowały krzesła ustawione pod ścianą. Rozmawiały ze sobą, dyskretnie chichocząc i udając, że nie patrzą w stronę zbierających się blisko drzwi mężczyzn. Zjawiła się zacierając dłonie ciocia Wolińska, stara zasuszona panna, jakaś daleka kuzynka Makowskich. Zawsze była wzywana, aby przygrywać do tańca. Ubrana była w czarną suknię przybraną czarnymi koronkami i miała pod szyją wielką broszę. Długi jej nos ścisnęły binokle zawieszane na czarnej

tasiemce. Na małych kościstych dłoniach miała mitenki. Siadła przy fortepianie i od razu zagrała kilka pasaży, widać dla rozprostowania palców. Pani Makowska podeszła do niej, zamieniła kilka słów. Skinęła na służącą, która przyniosła na tacy kieliszek czerwonej nalewki. Ciocia Wolińska piła wolno, wyciągając zwiędłe wargi w ptasi dzióbek. Tylko ona miała prawo do kieliszka, czasami do dwóch — w domu Makowskich nie podawało się alkoholu.

Mężczyźni, wszedłszy do salonu, szli przywitać się z gospodynią. Całowali ją w rękę i szurgali nogami. Potem podchodzili do Makowskiego — łysego, jowialnego pana, który zamieniał z każdym kilka słów. Wracali w gromadkę, która zebrała się w pobliżu drzwi. Naciągali rękawiczki i szykowali się do tańca.

Bawiąc się wachlarzem Anna nieznacznie obserwowwała mężczyzn. Odnalazła w gromadce krępią sylwetkę Rogowskiego. Przyszedł jeden z ostatnich. Gdy witał się z Makowską, ona coś mu powiedziała, a on skinął głową potakująco. Anna była pewna, że słowa odnosiły się do niej.

Ciocia Wolińska, pokrzepiona wiśniówką, uderzyła mocno w klawisze, i rozpoczęła pierwszego walca. Anna dostrzegła, że Rogowski idzie w jej stronę. Ale uprzedził go bliżej stojący student Żukowski. Był to kolega Pawła, jeden z tych, których ona wprowadziła do salonu. Lubiła go za jego wesołość. Żukowskiego nie brakowało na żadnej zabawie.

Mogę panią prosić, panno Anusiu?

Proszę bardzo, panie Kostku, Pan w Warszawie?

A Paweł w Rydze?

Uczy się, zdaje kolokwia, egzaminy. A pan? — patrzyła na niego przymrużywszy kpiąco oczy.

Podziwiam go, że potrafi wytrzymać z Niemiaszkami. Ściąłem się z kilku egzaminów i bryknąłem do Warszawy. Tylko tu potrafię żyć.

I co będzie?

Rok przepadł...

Pan może sobie pozwolić. Pawłowi dałby ojciec, gdyby próbował brykać.

Ojciec pani taki surowy?

Może uważamy go za bardziej surowego, niż jest naprawdę. Ale my najmłodszy: Paweł, Michał i ja boimy się go trochę...

Walc się skończył. Żukowski odprowadził Annę na miejsce. Po małej pauzie ciocia Wolińska zaatakowała z temperamentem skoczną polkę. Tym razem Rogowski nie dał się ubiec.

Tańczył zamasyście. Anna nie była wiotką istotą, a jednak wydawało się jej, że fruwa. Podziwiała swego tancerza, że choć brakło mu słuchu, umiał zachować rytm. Kręcił się, przytupywał. Wokoło nich zrobiło się pusto. W tańcu nie zamienili słowa, ale gdy skończyli i Rogowski odprowadził Annę do jej krzesła, pozostał przy niej.

Pani tańczy znakomicie — powiedział. — Tak lekko, z takim wyczuciem.

Dziękuję za komplement. Ale on się panu należy. Zakręcił pan mną, że jeszcze mi szumi w głowie. Mam wrażenie, że niektóre pary wolały nie tańczyć, aby się z nami nie zderzyć.

Jeśli mogłem tańczyć śmiało, to dlatego, że tańczyłem z panią. Lubię tańczyć... — Zmienił temat: — Pan doktor Miniewicz jest ojcem pani, prawda?

Tak.

Nie miałem nigdy zaszczytu poznać pani ojca, ale wiele słyszałem o nim od ludzi, którzy żywią dla niego wielki szacunek...

Bardzo mi miło to słyszeć. Ojciec ostatnio mało praktykuje i nigdzie prawie nie bywa. Nie jest już młody, zdrowie zaczyna mu odmawiać posłuszeństwa.

Najwięcej miałem możliwości rozmawiania o pani ojcu z zakonnkami. Mówią o nim jak o człowieku niezwyklej ofiarności. Ojciec pani spędził lata na Syberii, prawda?

Tak. Był skazany na dożywocie. Ale go ułaskawiono...

Mógł wrócić do życia i do działania. To wielkie szczęście.

Znowu był walc, lekki, falujący. Rogowski poprosił ją znowu.

Pani pracuje jako nauczycielka? — zapytał w tańcu.

Tak.

Lubi pani tę pracę?

Lubię dzieci. Bardzo lubię. Wydają mi się, że rozumiem je lepiej niż dorosłych. Dzieci potrafią prawdziwie cieszyć się, entuzjasmować. Porywają się na rzeczy wielkie.

Uśmiechnął się domyślnie.

Może pani jest do nich podobna?

Może... Nienawidzę trzeźwości, praktyczności.

Miała pani widać wiele szczęścia w życiu.

Dlaczego?

Człowiek, któremu jest trudno w życiu, musi nauczyć się praktyczności i trzeźwości, choćby tego nie lubił.

Obawiam się, że nigdy bym się tego nie nauczyła. Walc się skończył, Rogowski odprowadził ją, skłonił się i odszedł. Była mu wdzięczna, że nie jest natrętny. Tańcząc następny taniec z Anną Żukowski powiedział:

Strasznie dziś" panią emabluje stary Rogowski. Zaśmiała się.

Nie tak znowu strasznie, przetańczył ze mną dwa razy. A nie bardzo chyba od pana starszy.

Może i nie starszy — Żukowski skrzywił się. — Ale to urzędniczyna. — Gdzie pracuje?

Gdzie mógłby pracować taki, co nic nie skończył? W magistracie.

Skąd pan wie, że nic nie skończył?

Mówili mi. Podobno przywędrował do Warszawy gdzieś ze wsi i zaczął od chłopca na posyłki.

Pani Makowska mówiła, że zajmuje poważne stanowisko. Wzruszył ramionami.

Co może być za stanowisko w kacapskim magistracie!

Magistrat służy wszystkim.

Spojrzał na nią kpiąco:

Jeśli Rogowski podoba się pani, to przepraszam.

Nie powiedziałam, że mi się podoba! — wybuchnęła nagle. — Ale nie lubię opowiadania byle czego o ludziach...

Tańce szły za tańcami, Rogowski jednak nie podchodził do niej. Dopiero pod koniec wieczoru przyszedł zaprosić ją do kontredansa.

Czy pan się urodził w Warszawie? — zapytała go w tańcu.

-Nie. Przyjechałem jako chłopiec. Z Łukowa. Siostra, która się mną opiekowała po śmierci rodziców, wysłała mnie licząc, że będzie mi się łatwiej zaczęło...

I zaczęło się pan?

W Radzie Dobroczynności Publicznej...

Taniec rozdzielił ich. Gdy się spotkali, powiedziała:

Tą Radą rządzi pewno jakiś Moskał?

Rosjanie wszystkim rządzą u nas. Ale pracując na niższych szczeblach można czasami zrobić coś dobrego dla swoich. Zresztą, myślę, przyjdzie chwila, gdy samorząd przejdzie w nasze ręce.

Znowu musiała się od niego oddalić. Kontredans nadawał się do przerzucania zaczepnych półsłówek, ale nie do prowadzenia poważnej rozmowy.

Na czym pan opiera tę nadzieję? — pytała. — Rewolucja została zduszona...

Mimo to nic nie zatrzyma Rosji na drodze przemian. A gdyby jeszcze przyszło do wojny z Niemcami...

Myśli pan, że wtedy podejmiemy walkę z Moskałami?

Spojrzał na nią uważnie.

Nie — powiedział. Podejmiemy wspólną walkę z Niemcami...

Wspólne z tymi, którzy nas gnębią!?

Taniec skończył się uroczystym podziękowaniem z przyklęknięciem przed tancerką. Rogowski odprowadził Annę na miejsce.

Zaskoczyłem panią tym, co powiedziałem? — zapytał.

Zaskoczył mnie pan rzeczywiście.

Gdyby pani pozwoliła, może moglibyśmy się kiedyś spotkać i dłużej porozmawiać. Tutaj nie chciałbym zwracać uwagi dłuższą rozmową z panią na uboczu...

To ładnie z jego strony — pomyślała. Ale o czym będę rozmawiała z takim ugodowcem? — przyszedł natychmiast sprzeciw. A poza tym, myślała, skorzysta z mego przyzwolenia, aby się oświadczyć. Na pewno wszystko jest ułożone wspólnie z Makowską.

Mam mało czasu... — zaczęła.

Zrobił ruch, jakby chciał się cofnąć, na jego twarzy pojawił się wyraz bolesnego dotknięcia. Pojęła, że nie ponowi swojej propozycji. Zrobiło się jej nagle żal tego mężczyzny tak innego niż jej bracia i ich koledzy. Podjęła:

Mało mam czasu... Ale gdyby w niedzielę...

Podchwycił szybko:

Może by tak w Ogrodzie Saskim? Pani na pewno chodzi na mszę do Św. Krzyża...

Skąd pan wie?

Kiedyś miałem okazję widzieć tam panią. Więc gdyby tak o jedenastej? Przy wodach mineralnych? Dobrze?

Skinęła głową potakująco. Dobrze, spotkam się — zdecydowała — ale z planów Makowskiej nic nie będzie. Nie zgodzę się, aby mi ktoś narzucał męża! Zresztą nie podoba mi się. Ale porozmawiać mogę...

Jeszcze nie wyszła z alejki, na której stał zegar i barometr, gdy zobaczyła naprzeciwko siebie kanciastą sylwetkę Rogowskiego. Zbliżywszy się uchylił kapelusza. Zauważyła, że nie ma ani laski, ani rękawiczek.

Witam panią i serdecznie dziękuję za przyjście. Domyśliłem się, że pani przyjdzie z tej strony.

Nie było trudno się domyślić. Od Św. Krzyża najbliższa droga. A pan już po mszy?

Ja chodzę na wczesną mszę do katedry. Należę do pewnego bractwa, które ma tam swoją kaplicę.

Pewno tę z prawej strony, po schodach.

Właśnie tę.

Minęli krągłak żelaznych sztachet, który otaczał pompę z mineralną wodą. Podawała ją dziewczyna ubrana w biały fartuch. Zeszli do głównej alei i nią zblżyli się do placyku otaczającego fontannę. Z kielicha fontanny tryskała woda. Pluły nią także cztery trytony umieszczone na dole w zbiorniku. Od krzyżujących się strug wody prześwietlonej słońcem tworzyła się w powietrzu błękitna mgiełka, w której zapalały się tęczne błyski. Od cukierni z prawej strony dochodziły dźwięki muzyki.

Na ławkach nie było wolnego miejsca, na próżno obeszl kilka razy fontannę. Niełatwo było także rozmawiać w ścisku, jaki panował na obiegającej fontannę ścieżce, między paniami spacerującymi pod rozpiętymi parasolkami i dziewczynkami podrzucającymi diabolo. Musieli wycofać się do bocznej alejki, gdzie znaleźli wolną ławkę.

Gdy przechodzili obok pałacu, Anna wskazała parasolką wielkie cielsko soboru widoczne spoza kolumn niby cielsko drapieźnika spoza krat. Powiedziała:

Oto symbol przemocy. Czy tam, gdzie taki symbol został ustawiony, można mówić o jakiejś wspólnocie?

Nie odpowiedział od razu, dopiero gdy już siedzieli, rzekł:

Ma pani rację, że to jest symbol przemocy. A jednak gdyby doszło do wojny..

Energicznie potrząsnęła głową.

Byłam niedawno w Krakowie — mówiła. — Tam także ludzie przeczuwają wojnę. Wielu stąd uciekło do Galicji. Bo jednak tam tylko jest polskie życie, tam są polskie szkoły, polskie pamiątki. Nawet przygotowują się, aby w chwili wojny stworzyć polskie wo.jsko...

Skinął głową.

Wiem o tym. Kierują tym wszystkim ludzie z PPS.

Oni będą walczyli o naszą niepodległość!

O niepodległość Polski z pomocą Austrii i Niemiec?

Niemcy do tego się nie mieszają.

Jeśli przyjdzie wojna, to oni, a nie Austria, będą ją prowadzili. Oni głoszą Deutschland ueber alles in der Welt.

Pan sądzi, że Niemcy są naszymi największymi wrogami? Nie Moskale?

Z tymi mamy spory o granice, o wpływy, o kulturę. Tamci chcą tylko jednego: wdeptać nas w ziemię.

Dlaczego pan tak myśli? Czy... czy dlatego, że pan jest urzędnikiem magistrackim. Przepraszam, że tak pytam. Daję słowo, nie mam nic złego na myśli. Chcę jedynie pana zrozumieć.

Nie podejrzewam złościwości z pani strony. Niejedni uważają, że pracując w magistracie wystługuję się naszym ciemiężycielom. Niech mi pani wierzy: nie byłoby mi trudno znaleźć w moim życiu wielu powodów, aby uważać Rosję za głównego wroga Polski. Może kiedyś powiem, jeśli pani będzie chciała słuchać... W magistracie pracuję dla ludzi tutejszych, dla Polaków. Mam przełożonych Rosjan i

kolegów Rosjan. Dzięki nim poznałem trochę Rosję i nabrałem przekonania, że nasza nienawiść do niej wyrasta stąd, że tych, którzy u nas rządzą, uważamy za cały naród.

Siedziała czas jakiś przetrawiając w milczeniu jego słowa,

Mój ojciec i brat Witold — powiedziała po chwili — powtarzają, że Rosją rządzą Niemcy.

I to jest prawda. Także Niemcy Skalony i Esseny rządzą nami.

W takim razie skąd wiara, że dojdzie do wojny między Niemcami a Rosją?

Podrapał się w czoło.

Nie jestem politykiem, nie mam możliwości śledzenia wydarzeń. Wierzę jednak ludziom, którzy się na tych sprawach znają i którzy twierdzą, że do tej wojny się zbliżamy. A gdy do niej dojdzie, Rosja będzie musiała pozbyć się rządzących nią Niemców.

I pójdziemy razem?

Tak.

A wtedy ona zwróci nam wolność?

Objął palcami skronie i ścisnął je.

Nie potrafię pani odpowiedzieć, jak to się stanie — rzekł. — Ludzie, którym ufam, zapewniają, że jeśli cała Polska — i zabór austriacki, i przede wszystkim zabór pruski, który obejmuje nasze ziemie najbardziej macierzyste — zostanie złączona, wtedy sprawa niepodległości stanie się dla Rosji koniecznością... Wierzę w to, bo wierzę tym ludziom.

Urwał dość nagle i zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. Dyskretnie śledziła z boku jego twarz.

Więc zdaniem pana tamci z Krakowa i ze Lwowa nie zdołają wywalczyć niepodległości?

Choćby zdołali, nie byłaby to niepodległość.

Oni jednak także wierzą.

Nie wątpię. Jestem przekonany, że pragną niepodległości szczerze.

Zmienili temat. Rogowski opowiadał Annie o swojej pracy. Był kierownikiem sekcji, która zajmowała się sierocińcami i domami wychowawczymi. Słuchała z zainteresowaniem, jak zawsze wszystkiego, co dotyczyło dzieci. Wydało jej się jednak, że Rogowskiego bardziej zajmuje sprawa samego organizowania opieki niż zagadnienia wychowawcze.

A co będzie później z tymi dziećmi? — pytała. — Jak wejdą w życie?

Myślę, że możemy zaufać tym, którzy się bezpośrednio dziećmi zajmują. To są wszystko zakonnice, oczywiście ukrywające się... Jest takich zgromadzeń kilka. Niektóre stworzył kapucyn, ojciec Koźmiński, ale ostatnio przeszły pod władzę biskupów. Oddając domy wychowawcze tym siostronom daje się dzieciom najlepszą opiekę, a jednocześnie umożliwia się samemu zgromadzeniom przetrwanie...

Dorzucił po chwili:

Trzeba zrobić wszystko, aby te dzieci nie zostały wywiezione do różnych pryjutow.

Czy im to grozi?

Być może.

Z kolei ona mówiła mu o swojej pracy w szkole. Słuchał ją, ale wydało się Annie, że jego myśli skupione są na czymś innym.

Sięgnęła po zegarek ukryty w kieszonce paska.

O, już się zrobiło późno. Muszę pędzić na obiad.

Zrobił szybki gest, jakby chciał ją zatrzymać.

Jeżeli pani pozwoli, jeszcze chwileczka... — Wyprostował się. Mówił tonem poważnym, który wydał się Annie sztuczny i trochę zabawny: — Panno Anno, chciałbym się pani zapytać, czy pani pozwoli starać się o jej rękę...

Idąc na spotkanie obawiała się, że coś takiego padnie. Przecież tamte sprawy z Rosją czy z Niemcami nie mogły być powodem, że zaproponował jej spotkanie. Ale choć na pytanie była przygotowana i chociaż wiedziała, jak ma na nie odpowiedzieć — zabrzmiało tak dziwnie, że poczuła się zaskoczona.

Przecież my się wcale nie znamy — powiedziała.

Dlatego nie proszę o nic więcej, tylko o to, bym mógł się pani przedstawić...

Pospiesznie szukała jakiegoś wykrętu:

Oczywiście... bardzo mi miło... ale... Pan mnie przecież widział w salonie raz czy dwa razy. Może ktoś panu o mnie czegoś naopowiadał...

Potrząsnął głową.

Myśli pani o pani Makowskiej? Jej zachęty czy starania nie miały tu żadnego wpływu. Sam wprosiłem się do jej salonu z myślą o tym, aby panią poznać...

Więc jednak ktoś panu o mnie mówił.

Obserwuję panią od dawna. Spotkaliśmy się dwa lata temu u państwa Rosnerów. Pani na pewno nawet tego nie pamięta?

Rzeczywiście...

Potem widywałem panią w kościele. Dowiadywałem się o panią. Wiele dobrego nasłuchiwałem się o pani ojcu...

Siedziała z głową spuszczoną, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Mięła w palcach rękawiczki.

Wiem — mówił dalej — że nie reprezentuję zbyt wiele.

Nie mam wykształcenia, jestem tylko urzędnikiem... Ale rodziny nie potrzebuję się wstydzić. I dla kobiety, która by zechciała być moją żoną, zrobię wszystko...

Ciągle milczała.

Czy pozwoli pani, abym złożył wizytę jej rodzicom? — zapytał nie doczekawszy ani słowa od niej. .

Proszę... niech pan przyjdzie... — szepnęła nie podnosząc głowy.

Pewnego dnia woźny szkolny Kawiński wywołał Annę i z tajemniczą miną oświadczył.":, że ktoś do niej przyszedł. W pustym pokoju nauczycielskim czekał na nią młody mężczyzna.

Przywitawszy się nieznamy rzeki:

Przychodzę z polecenia obywatela Faćwina. Chciałem się dowiedzieć o zdrowie ciotki Zofii — to było umówione z Radwanem hasło.

Ciocia czuje się doskonale — wyrecytowała. — Wyjechała na wieś na odpoczynek.

Mężczyzna mrugnął porozumiewawczo.

Doskonale. Mam dla pani paczkę.

Co to takiego?

Bibuła.

Co mam z nią zrobić?

Kilka numerów może pani zachować dla siebie i dla swoich znajomych. Oczywiście nie wolno się pani przyznawać, skąd je pani ma. Proszę także przestudiować numer. Na jego temat odbędzie się dyskusja, na którą zaprosimy panią. Resztę proszę przekazać według tego adresu.

Adres był na ulicę Ciepłą. Osoba, która miała odebrać pisma, nosiła imię Dora.

Ona jest uprzedzona, że pani przyjdzie — mówił dalej mężczyzna. — Jednak na wszelki wypadek zada jej pani pytanie: „Czy to tutaj chciano kupić skrypt z technologii?" Oto ten skrypt. Odpowiedź powinna brzmieć: „Dziękuję, już skrypt znalazłam". Będzie pani pamiętała?

Tak.

W takim razie: do widzenia. W przyszłości paczki muszą iść w ten sam sposób.

Pozostawił ją z przyniesioną przez siebie paczką, ze skryptem i zamieszaniem w głowie.

Póki trwały lekcje, paczkę miała na stole przy sobie. Po skończonych lekcjach zabrała ją do domu. Otworzyła w swoim pokoju.

Była to może setka pisemek. Odłożyła dla siebie trzy sztuki, resztę zapakowała z powrotem. Numer starannie przeczytała. W piśmie pisano twardo o rządach caratu, o Moskalach. Zapowiadano walkę na śmierć i życie z każdym przedstawicielem ciemności. Przechwalano się dokonanymi zamachami, zwłaszcza zdobyciem wielkiego transportu pieniędzy. Dyskutowano zażarcie z ludźmi, którzy

„wyrzekają się walki o niepodległość”, „paktują z ciemnością”, których celem są „jedynie małe, osobiste korzyści”.

Nie wszystko dla niej było jasne. Wyglądało na to, że tymi, którzy „paktują z ciemnością”, nazywa pismo wszystkich, którzy zajmują się czym innym, a nie organizowaniem zamachów.

Nie bez niepokoju wyruszyła na Ciepłą. Każdy mijany stójkowy budził jej lęk. Na ulicach było wielu kręcących się żandarmów. Przejeżdżały także konne patrole kozackie. Normalnie nie zwracała na nie uwagi zajęta swoimi myślami. Ale dziś szła czujnie. Wędrowała przez Ogród Saski, przez plac Żelaznej Bramy zatłoczony przez żydowskich kupców. Wskazane mieszkanie obok koszar Mirowskich znajdowało się w oficynie trzypiętrowej kamienicy. Minęła ciemne, podobne do studni podwórko, weszła po schodach na najwyższe piętro. Zastukała. Otworzyła jej młoda kobieta i natychmiast wpuściwszy do mieszkania zamknęła za nią drzwi. Mieszkanko było małe, składało się tylko z ciasnego przedpokoju, ciemnej, pozbawonej okna, kuchni i pokoju. W tym pokoju, do którego została wprowadzona, panowała duchota i wisiał błękitnymi smugami dym papierosowy. Mimo ciepłego dnia okno było zamknięte. W pokoju pełno było książek. Leżały wszędzie: na półkach, na szafie, na stole, na krzesłach, nawet na podłodze. Obok książek na stole znajdowały się pootwierane zeszyty i notatniki, a także talerz z nie dojedzoną bułką, szklanka nie dopitej herbaty, popielniczka pełna niedopałków, grzebień z wczepionymi w zęby włosami i urwana podwiązka.

— To pani jest pani Anna? — pytała gospodyni mieszkania. Nawet nie spytała o hasło. — Rzędzian mówił mi o pani. Powiedział, że pani będzie jego łączniczką. Bardzo się cieszę. Niech pani siądzie, proszę. — Uwolniła jedno z krzesel zwalając leżące na nim książki i broszury po prostu na podłogę. — Pani się pewno dziwi, że u mnie taki nieporządek, prawda? Ale ja właśnie zdaję egzaminy i ciągle się uczę. Na

wet wypożyczyłam mikroskop. Bo ja jestem na przyrodzie. A pani?

Nie jestem studentką. Uczę w szkole.

Ach tak. A czy pani pali? — sięgnęła po pudełko z gilzami i paczkę z tytoniem.

Zaprzeczyła dość gwałtownie. Obie z matką nie cierpiały papierosów i papierosowego dymu. Musiały go znosić ze względu na ojca, ale gdy tylko wychodził z pokoju, wietrzyły mieszkanie. Kobieta jednak nie dostrzegła widać tej gwałtowności, bo pożółkłymi od nikotyny palcami sięgnęła po gilzę, nabiła ją tytoniem, zapaliła, mocno się zaciągnęła, a potem otoczyła się chmurą dymu.

Będziemy ze sobą współpracowały — powiedziała. — Bardzo się z tego cieszę — powtórzyła. — Pani jest taka sympatyczna. Na pewno bardzo się pociujemy.

Mówiła dużo i prędko. Przeskakiwała z tematu na temat. Wypytywała Annę o jej życie, mówiła: sobie i o celach ruchu. Podobnie jak przy czytaniu pisma Anna wyczuła w słowach Dory jakąś zawziętość skierowaną w stronę ludzi inaczej myślących.

Anna doszła do przekonania, że Dora musi być Żydówką. Z Żydami miała nieraz do czynienia, ale to byli Żydzi inni: mali sprzedawcy warzyw i owoców, piekarze handlujący smacznymi obwarzankami. Bywali także Żydzi kaszlący i stękający w poczekalni u ojca. Żydówki w przekrzywionych perukach cudowały się głośno nad skutecznością jego porad. Znała dzieci żydowskie obdarte i umorusane, o

pięknych czarnych oczach, z grajczarkami włosów przy uszach. Ale z taką Żydówką jak Dora nie zetknęła się dotąd nigdy.

Ustaliły dni spotkań i sposoby porozumienia. Odetchnęła głęboko, gdy z zadymionego pokoju wyszła na ulicę. Minęły ją dwa wozy strażackie, które widać wracały z jakiejś akcji. Gromadka bosych uliczników biegła towarzysząc wozom ciągnionym przez spaśne konie. Za Ogrodem Saskim na Królewskiej jezdnia kryta drewnianą kostką pachniała smołą. Mknęły po niej dorożki wiozące wesołe towarzystwo, które pod wieczór wybrało się na spacer w aleje.

Jedli kolację w trójkę: rodzice i Anna. Gaz szumiał w nisko wiszącej lampie, biały płomień lekko drgał w azbestowej „koszulce”. Po swoim krajała chleb w wąskie paski. Zapytała Mlniewiczza:

Prawda, że ojciec miewa często pacjentów Żydów?

Podniósł głowę i spojrzał na nią znad uczepionych nosa binokli.

Nawet bardzo często.

Dlaczego tak jest?

Wzruszył ramionami.

Czy ja wiem? Widać mają do mnie zaufanie. Wśród biedoty żydowskiej dużo jest chorych, choć chyba nie więcej niż wśród naszych. Ale oni lepiej dbają o swoje zdrowie.

Tych ubogich Żydów nieraz widzę w poczekalni. Ale przecież jest także żydowska inteligencja. Czy ojciec ma z nią także do czynienia?

Mam. Nie z tymi najbogatszymi, bo ci leczą się u lekarzy bardziej znanych.

I jacy oni są?

Różni, Anusiu. Tak samo różni jak i my. Niektórzy zrosli się z nami, dzielą z nami nasze troski. Inni żyją jak w hotelu, który zawsze można zamienić na lepszy.

Oni chyba nienawidzą Rosji?

Mają dużo powodów do tej nienawiści.

Jak my?

Nie. Oni mają inne powody, my inne... Czemu o to pytasz?

Tak sobie. Poznałam pewną studentkę, Żydówkę... Nawet sympatyczną.

Trzeba im przyznać, że garną się do nauki. Jeżeli Żyd przestaje być handełsem, staje się adwokatem, lekarzem, dziennikarzem. Cóż ta twoja studentka?

Niewiele jeszcze wiem o niej.

Nie pytał. Wydawał się tego wieczoru jakby w nieco melancholijnym nastroju. Wypiwszy swoje trzy szklanki mocnej, bardzo gorącej herbaty, ceremonialnie podziękował żonie i córce, i wstał od stołu.

Przeszedłszy do salonu zasiadł do fortepianu. To, co grał, było rodzajem składanki melodii odpowiadających przeżywanemu nastrojowi, powiązanych jego własnymi wkładkami. Na pewno, gdyby inaczej pokierował swym życiem, byłby znakomitym muzykiem. Jego czerwone palce o bladych, prawie białych paznokciach, na pozór sztywne, biegały prędko po klawiaturze. Przeszła za nim do saloniku, siadła na kanapie. Lubiła słuchać gry ojca. Zamknęła oczy, oparła głowę na rękę.

Przerwał grę jakimś długo toczącym się akordem. Nie odwracając się zapytał:

Kiedy przyjdzie pan Rogowski?

W niedzielę, proszę ojca.

Te panie z instytutu opieki nad zaniedbanymi kobieta-

mi mówiły o nim. Chwaliły go. Podobno mają mu bardzo wiele do zawdzięczenia.

Wydaje się bardzo oddany swojej pracy. Aż za nadto.

Tym razem odwrócił się wolno do niej.

Nie rozumiem, co chciałaś powiedzieć.

To tylko, proszę ojca, że pan Rogowski wydaje się widzieć jedyny cel swego życia w swojej pracy...

Z powrotem obrócił się na śrubowym krześle do klawiatury. Jego palce przegrały cicho jakąś melodyjkę, równie smętną, jak wszystko, co grał :ego wieczora.

Życie, moja Anusiu. jest służbą — powiedział. — Gdy spraw jest wiele, trzeba wybierać. Czasami może się wydawać, żeśmy kogoś skrzywdzili. Dopiero na końcu okaże się, czy to było naprawdę zaniedbanie...

Pomyślała, że ojciec wziął jej wyrzut z: siebie. Ale nic nie powiedziała. Ta muzyka sprawiała, że jej uczucia — tęsknoty i pragnienia — pulsowały żywiej - mienie; Może gdyby ona sama potrafiła grać jak ojciec... Może wtedy potrafiłaby wypowiedzieć to, czego nie umiała wyrazić słowami...

Rogowski zjawił się w niedzielę w samo południe. Był ubrany w czarny tużurek i spodnie w paski. W rękach trzymał dwa bukiety. Jego grube buty były starannie wyczyszczone, wysoki kołnierzyk podpierający pełne policzki niepokalanie biały i lśniący.

Zaproszono go do salonu. Usiadł w fotelu sztywno wyprostowany. Naprzeciwko na kanapie siedzieli rodzice. Anna z boku przyglądała się scenie niby widz w teatrze. Niepoprawnej śmieszce przychodziły do głowy różne zabawne skojarzenia, gdy przysłuchiwała się pełnej pauz i zahaczeń rozmowie. Zupełnie jak w Ożenku — myślała. — I to o mnie chodzi. Ten człowiek stara się o moją rękę. A ja patrzę na niego obojętnie. Nie mam nic przeciwko niemu. Jest nawet sympatyczny. Ma taką dobrą opinię u ludzi. Ale ja go nie kocham. Czy potrafiłabym go pokochać? — Nie przyszedł i nie porwał jej. Zjawił się w czarnym tużurku, namaszczony powagą. Nie mogła zapomnieć, że to kandydat z ręki pani Makowskiej, która chciała w ten sposób „przysłużyć się temu pocziwemu Miniewiczowi”.

Rozmowa toczyła się prawie wyłącznie między Miniewiczem a Rogowskim. Obaj mężczyźni odkrywali, że mają wielu wspólnych znajomych. Rogowski sypał nazwiskami; wydawało się Annie, że chce się

pochwalić szerokim kręgiem znajomości. A może spodziewał się, że tamci będą mogli świadczyć za nim. Nazwiska, które wymieniał, trochę imponowały Annie. Ale równocześnie drażniło ją to obstawianie się wielkimi autorytetami.

Wizyta trwała krótko, tyle właśnie, ile powinna była trwać zgodnie z kanonami etykiety towarzyskiej. Rogowski widać stosował się do niej ściśle. Gdy wstał, aby się pożegnać, Miniewiczowa, która w czasie rozmowy wtrąciła zaledwie kilka słów, powiedziała:

Będzie nam bardzo przyjemnie, jeżeli pan, panie Aleksandrze, zechce nas odwiedzać. Prosimy zawsze na herbatę koło siódmej. W przyszłym tygodniu będą w Warszawie moi synowie mieszkający stale w Grodnie. Chciałabym, aby pan ich poznał. Jeden jest inżynierem, drugi handlowcem...

Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie. Na pewno z niego skorzystam.

Niech pan nie krępuje się i przychodzi jak najczęściej. Pan zdaje się bardzo samotny?

Właściwie nie mam nikogo. Są wprawdzie bracia, ale między nami jest ogromna różnica wieku, więc i mało mamy wspólnych spraw. Reszta rodziny daleko, poza Warszawą.

Więc tym bardziej proszę przychodzić. A co pan robi z wakacjami? Wyjeżdża pan?

Nie, pani doktorowo. W czasie lata dzieją się często różne ważne sprawy, więc wolę nie oddalać się...

Jest pan aż do nadmiaru gorliwy. Ale o zdrowiu trzeba także pamiętać. My już niedługo pojedziemy tam, gdzie jeździmy zawsze. Anusia będzie nam towarzyszyła. Ale po powrocie także będziemy pana mile widzieli.

Pożegnał się. Anna odprowadziła go do przedpokoju.

Więc będzie pan przychodzić? — pytała.

Pani mamusia była niezmiernie dobra, zapraszając mnie. Ale abym mógł przychodzić, musiałbym otrzymać zaproszenie również od pani.

W takim razie i ja pana zapraszam. Niech pan przyjdzie koniecznie jeszcze przed wakacjami. Będą moi bracia. Pawła poznał pan może u Makowskich. Bardzo wesoły, trochę szalawitą. Michał jest inny: poważny, stateczny. I bardzo, bardzo poczciwy...

Jest pani przywiązana do braci?

Właściwie bardzo. Jako chłopcy nieraz mi dokuczali

Jak to starsi bracia młodszej siostrze. Zresztą podobno byłam zadziorna. Teraz się wszystko wyrównało. Czy oprócz braci, których pan wspominał, ma pan jeszcze rodzeństwo?

Miałem duże rodzeństwo. Ale zostali tylko starsi bracia i siostra. Bardzo dużo jej zawdzięczam. Choć niewiele ode mnie starsza, była dla mnie jak matka, gdy rodzice pomarli...

I to ona wysłała pana do Warszawy?

Ona. Chciała, abym się nauczył samodzielności.

Bracia nie pomagali panu?

Pomagali. Przede wszystkim pomogli mi wykręcić się od wojska.

I nie służył pan?

Nie.

Dostrzegł na jej twarzy wyraz jakby dezaprobaty i zapytał:

Czy zdaniem pani należałaby służyć? Wzruszyła ramionami.

Szczerze mówiąc, nie wiem. Paweł się także wykręcił. Inni bracia służyli... Może wydam się panu dziwna, ale nie lubię wszelkiego wykręcania się. Nawet wobec Moskali... Choć to pan, a nie ja mówił o wspólnej walce razem z nimi przeciwko Niemcom.

Wspólna postawa nie wymaga, aby każdy kładł rosyjski szynel. Zwłaszcza ktoś, kto tak jak ja nie ma matury...

Ma pan na pewno rację. Ale... Tamci w Krakowie gotowi są rzucić na szalę własne życie...

Powiedziała to i drgnęła niespokojnie. Wydało jej się, że powiedziała za dużo, że Rogowskiemu może być przykro. Nie chciała mu dokuczyć. Dostrzegła w burych oczach mężczyzny dziwny błysk.

Za tę postawę — rzekł — jestem dla pani pełen uznania. I muszę powiedzieć nawet: zazdroszczę im. Mieć orzełka na czapce i karabin w ręku...

Trochę gwałtownie schylił się do jej ręki. Wolno przesuwając zasuwkę na drzwiach. Wróciła do salonu, poustawiała rozsunięte fotele, poprawiała kwiaty w wazonie. Matka kręciła się w jadalni, przygotowując stół do obiadu. Zaczęła jej pomagać. Nic do siebie nie mówiły. Anna czuła, że matka nie chce z nią mówić o dzisiejszym gościu. Trzymała się zawsze zasady, że dzieciom należy zostawić swobodę wyboru. Ona nie chciała pytać. Myślała: jak to dobrze, że przyjedzie Michał. Jego będzie pytała i on jej odpowie.

Lato minęło szybko — jak zawsze, tu nad Niemnem, piękne i słoneczne. Odpoczęła dobrze, bawiła się znakomicie. Bracia zjechali się. Były także panienki, które Paweł i Michał przedstawiali jako swoje narzeczone. Witold po swojemu mówił na temat przyszłych bratowych złośliwe dowcipy. Hipolit przedstawił swoją żonę, której bracia dotąd nie poznali, oraz małą córeczkę, Jadzię. Żona uważała się za arystokratkę, mówiła przez nos i usiłowała narzucić Hipolitowi swoje maniery.

Ludzi w kurorcie tego lata było dużo. Kursal aż trząsł się od zabaw. O wojnie, o której poprzednio mówiono wiele, w tym roku nie wspomniano wcale.

Mikołaj tego roku nie przyjechał. Paweł, który odwiedzał Kostasów, przyniósł od nich wiadomość, że Mikołaj ożenił się zimą z córką bogatego gospodarza spod Kowna. Była to ta przystojna dziewczyna, którą widzieli zeszłego lata w domku nad jeziorkiem. Anna do Kostasów nie chodziła, wydawało jej się, że nie ma o czym rozmawiać z siostrami Mikołaja.

Z końcem sierpnia Miniewiczowie wrócili do Warszawy. Rozpoczęły się lekcje w szkole. Rogowski złożył pierwszą wizytę po wakacjach. Chociaż spędził lato w mieście, wydawał się wypoczęty i

ożywiony. To on pierwszy przyniósł wiadomość o śmierci Deotymy. Anna znała dobrze sylwetkę starej poetki, gdyż Łuszczewska mieszkała w tym samym domu, w którym znajdowała się pensja pani Sikorskiej. Miniewicz uczestniczył kilka razy w słynnych czwartkach — ale potem przestał chodzić, zniechęcony. „Takie misteria to nie dla mnie — oświadczył. — Pani Łuszczewska pisze ładne książki, ale chciałaby uchodzić za jakąś Lilię czy Rozę Wenedę.” W domu Miniewiczów wszyscy zachwycali się Brankami w jasyrze. Na egzemplarzu książki była dedykacja sędziwej autorki.

Rogowski opowiadał także z oburzeniem, że przygotowywany projekt autonomii dla samorządu miejskiego został na żądanie Skąłona na nowo odłożony. Było rzeczą oczywistą, że gubernator robi wszystko, by pozbawić Królestwo uzyskanych swobód. „Niemcy boją się zmian, które się dokonują w społeczeństwie rosyjskim” — dowodził gorąco.

Był koniec października i Anna miała właśnie z dziećmi lekcję śpiewu, gdy któryś z chłopców, stojący przy oknie, zawołał przerywając śpiew:

— Policaje przyjechały!

Lato minęło szybko — jak zawsze, tu nad Niemnem, piękne i słoneczne. Odpoczęła dobrze, bawiła się znakomicie. Bracia zjechali się. Były także panienki, które Paweł i Michał przedstawiali jako swoje narzeczone. Witold po swojemu mówił na temat przysłych bratowych złośliwe dowcipy. Hipolit przedstawił swoją żonę, której bracia dotąd nie poznali, oraz małą córeczkę, Jadzię. Żona uważała się za arystokratkę, mówiła przez nos i usiłowała narzucić Hipolitowi swoje maniery.

Ludzie w kurorcie tego lata było dużo. Kursal aż trząś się od zabaw. O wojnie, o której poprzednio mówiono wiele, w tym roku nie wspomniano wcale.

Mikołaj tego roku nie przyjechał. Paweł, który odwiedzał Kostasów, przyniósł od nich wiadomość, że Mikołaj ożenił się zimą z córką bogatego gospodarza spod Kowna. Była to ta przystojna dziewczyna, którą widzieli zeszłego lata w domki nad jeziorkiem. Anna do Kostasów nie chodziła, wydawał jej się, że nie ma o czym rozmawiać z siostrami Mikołaja.

Z końcem sierpnia Miniewiczowie wrócili do Warszawy. Rozpoczęły się lekcje w szkole. Rogowski złożył pierwszą wizytę po wakacjach. Chociaż spędził lato w mieście, wydał się wypoczęty i ożywiony. To on pierwszy przyniósł wiadomość o śmierci Deotymy. Anna znała dobrze sylwetkę starej poetki, gdyż Łuszczewska mieszkała w tym samym domu, w którym znajdowała się pensja pani Sikorskiej. Miniewicz uczestniczył kilka razy w słynnych czwartkach — ale potem przestał chodzić, zniechęcony. „Takie misteria to nie dla mnie — oświadczył. — Pani Łuszczewska pisze ładne książki, ale chciałaby uchodzić za jakąś Lilię czy Rozę Wenedę. W domu Miniewiczów wszyscy zachwycali się treścią Branka w jasyrze. Na egzemplarzu książki była dedykacja sędziwej autorki.

Rogowski opowiadał także z oburzeniem, że przygotowany projekt autonomii dla samorządu miejskiego został na żądanie Skąłona na nowo odłożony. Było rzeczą oczywistą, że gubernator robi wszystko, by pozbawić Królestwo uzyskanych swobód. „Niemcy boją się zmian, które się dokonuje w społeczeństwie rosyjskim” — dowodził gorąco.

Był koniec października i Anna miała właśnie z dziećmi lekcję śpiewu, gdy któryś z chłopców, stojący przy oknie zawołał przerywając śpiew:

— Policaje przyjechały!

Drgnęła niespokojnie. To prawda, nie ćwiczyli żadnej patriotycznej pieśni i dzieci miały przed sobą tekst piosenki

jesieni. Ale w torbie leżącej obok niej miała paczkę dostarczonej poprzedniego dnia „bibuły”. Zwykle zaraz po jej otrzymaniu zabierała paczkę do domu i tego samego dnia odnosiła Dorze. Poprzedniego dnia jednak znalazła mieszkanie na Ciepłej zamknięte. Nie była tym zbyt zaskoczona, bo już kilka razy zdarzyło się, że Dora musiała nagle wyjść. Przeważnie wtykała wtedy w szparę drzwi kartkę. Tym razem kartki nie było. Anna zabrała paczkę z powrotem

wbrew zwyczajowi wzięła ją ze sobą do szkoły, planując, że zaraz po lekcjach pobiegnie na Ciepłą.

Drzwi klasy otworzyły się gwałtownie. Wszedł najpierw kierownik szkoły, blady, z wystraszoną twarzą, a za nim oficer żandarmerii w białych rękawiczkach i lśniących butach z ostrogami. Za oficerem wsunął się jakiś człowiek w cywilnym ubraniu o wstrętne okroszczonych policzkach. Oficer zatrzymał się na chwilę przy drzwiach, a potem posuwistym krokiem, niby w tanecznych lansadach zbliżył się do Anny. Miał czarne, podkręcone wąsy, które raz po raz muskał wierzchem dłoni. Zasalutował i zapytał:

Panna Miniewicz?

To ja — usiłowała mówić pewnie i spokojnie.

Panna Miniewicz uczy śpiewać rebiata?

Jestem nauczycielką.

Nu, charaszo. A można znat', o czom deti pajut?

Piosenkę o jesieni.

Osiennyja piesnija? Tjepier osień. Nu, panna Miniewicz rozumnaja uczytielnica. Oczeń charaszo. Pakażytie mnie, pażałusta, kakaja jest eta pieśnią.

Wzięła z rąk najbliższego dziecka kartę ze słowami i podała oficerowi. Ten trzasnął grzecznie ostrogami i rzucił kartkę cywilowi o krostowatej twarzy. Tamten tłumaczył tekst półgłosem. W czasie czytania oficer patrzył uważnie w twarz Annie. Potem zaśmiał się.

Oczeń charaszo, panna Miniewicz. Krasiwaja piesienka. Krasnyje listoczki, griboczki... Ładno. A ja uże bajał sia, czto diety panny Miniewicz pajut drugoje dieło. Miatieźnikowyje pieśni. A ot, eto byłoby niecharaszo. Aciec panny Miniewicz uważajemij doktor. Ja dumaju, on znajet, czto pieć takije pieśni płocho...

Cała zadrzała, choć rozpaczliwym wysiłkiem woli ukryła to drżenie. Po co on wspomniał ojca? Początkowo sądziła, że jest to jakaś przypadkowa kontrola szkoły. Ale teraz była już pewna, że tamci przyszli zdecydowanie po nią. Dora li Rzędzian musieli wpaść. Ten oficer, zanim tu przyszedł, z brał o niej wszystkie wiadomości. Jego słowa uświadomi jej sprawę, o której dotychczas nie myślała: że odkryć u niej broszur może odbić się także na jej rodzinie, na ojcu

Oficer zwrócił się teraz do kierownika szkoły.

Nu, gaspadin direktor, u mienia jest' prikaz obiska. Et bumażka, wam charaszo widno?

Tak, widzę — bełkotał kierownik.

Nam napisała kakaja to swołocz, czto u was rebiata pajut buntowniczyje pieśni. Wy panimajecie? A jeszcze czto uczytiela czytajut gazjety miatieżników. Nu, swołocz napisała, a ja dożen eto prowierit...

U nas przecież szkoła, dzieci — próbował tłumaczy, kierownik.

Nu, ja znaju. Dietiom niczewo nie budiet. Ale budiet płocho, jak uczytiela czytajut. Mnie napisali, że u was w szkole jest dużo żurnałów od buntowników...

Mimo śmiertelnego przerażenia była prawie zdecydowana wstać i powiedzieć, że ma w swojej torbie zakazaną literaturę, ale nikomu nie dawała jej do czytania w szkole i szkoła nie ma nic wspólnego z jej czynem. Odruchowo poszukała nogą torby, którą miała przy sobie. Nie odnalazłszy jej poczuła zimny dreszcz, przekonana, że tamci już ją mają. Ale torba stała tylko trochę jakby dalej, niż wydawało się jej, że ją postawiła. Dostrzegła, że oficer wpija się w nią wzrokiem drapieżnie. Na pewno zauważył ruch jej nogi. Uśmiechnął się szeroko pod wyszwarcowanymi wąsami.

Nu, tak ja praszu panna Miniewicz pokazać mnie, co ma w swajej sumkie. O, etoj, co stoi obok niej. Nu, pardon, ja bardzo przepraszam. Ale eto służba. C'est mon devoir — zademonstrował swoją umiejętność francuskiego. Trzymając torbę zapytał: — Eto wasza sumka, panna Miniewicz?

Tak, to moja.

Chciała wstać, ale oficer dał znak gestem, aby dalej siedziała. Z gracją, końcami palców w białych rękawiczkach, wyjmował, jeden po drugim, znajdujące się w torbie przedmioty i kładł na najbliższej ławce.

Płateczek, charaszo, grebieszok, ładno... Kniżeczka dla malenija, koszelok... O, kakije to knigi? Czto eto? Intieresno,,

Wyciągnął z torby plik bardzo brudnych, obszarpanych i poplamionych ksiązek. Przywołał gestem mężczyznę z krostowatą twarzą.

Czto eto?

Tamten przez chwilę oglądał książki.

liczebniki, wasze prawochoditelstwo. Szkolne knigi. Dozwolone — dorzucił ciszej.

A, jeszcze odekałon. Eto wsio. Nu — ton głosu wyrażał zawód — da, gdzieś niet niczewo niedozwolenowo... Charaszo, panna Miniewicz. Ja oczeń rad...

Tymi samymi pełnymi przesadnej elegancji ruchami wkładał z powrotem do torby wyjęte przedmioty. Anna siedziała oszołomiona zdumieniem. Jak się to stało, że broszury zniknęły, a zamiast nich znalazły się w torbie stare podręczniki, których tam nie było?

Oficer przyłożył urękawiczoną dłoń do daszka czapki.

Pardon, mademoiselle Miniewicz. Nie przeszkadzam. Doswidanija. Pust' diety pajut etu krasiwuju piesniczku a listeczkach. Okna odkrytyje, ja uslyszu...

Wyszedł, jeszcze raz trzasnąwszy obcasami. Za nim wyszli kierownik szkoły i człowiek z okroszczonymi policzkami. Anna w dalszym ciągu nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić. Aby móc się skupić, zarządziła śpiewanie. Dzieci śpiewały głośno i dziwnie wesoło. Akompaniując im zbierała myśli. Kto mógł ją ocalić? Znad fortepianu jej spacerujący po twarzach dzieci wzrok spoczął nagle na twarzy Franka Sroki. Na zawsze brudnej twarzy wyrośniętego chłopaka była taka radość, a jego małe oczka mrugały w jej stronę tak znacząco, że od razu pojęła. Gdy oficer z nią rozmawiał, chłopak musiał się wczołgać pod ławkę i zamienić broszury na zebrane po dzieciach podręczniki.

Dopiero gdy lekcja się skończyła i gdy już wiedziała, że żandarmi odjechali, zawołała Franka.

To ty zrobiłeś? — zapytała wprost.

A co, miały łapsy znaleźć? — odpowiedział.

Skąd jednak wiedziałeś, co ja tam mam w torbie?

Spuścił głowę i podrapał się kłopotliwie za uchem.

Powiem prawdę, proszę pani. Kiedyś potrzebne mi było kilka groszy. Koniecznie potrzebne... A ja wiedziałem, że jak pani postawi torbę i gra na fortepianie, to pani nie czuje... Ale ja pani oddam, słowo daję!

Przypomniała sobie, że już kilka razy zauważyła pewien ubytek w swych niezbyt wielkich funduszach. Była przekonana, że zgubiła pieniądze. Widać pożyczki z jej torby dokonywane były nie jeden raz. Ale nie wracała już do tej sprawy. Zapytała:

A co się stało z paczką, która była w mojej torbie?

Chłopcy zniszczyli... Bali się.

To dobrze.

W pokoju nauczycielskim kierownik złapał Annę.

Słowo daję — mówił podniecony — nic nie rozumie Przyszli, nastraszyli mnie tak, że mało nie dostałem atak sercowego, krzyczeli, że czyta się u nas zakazane pisemka, zapowiedzieli rewizję — a niczego nie szukali i poszli sobie.

Zagłądali do mojej torby.

Całe szczęście, wiadomo było, że tam nic nie znajdują. Gdyby jednak poszukali gdzie indziej...

Pan dyrektor chce powiedzieć, że wtedy znaleźliby?

Ciągle któryś z kolegów coś przynosi...

Nie mogła wytrzymać i wybuchnęła śmiechem. Kierownik śmiał się także. Przeżyty lęk sprawił, że ponury zwykle pedagog chichotał, jakby go ktoś łaskotał. Ale po chwili opanował się.

Dobrze nam się teraz śmiać — powiedział. — Na przyszłość musimy jednak uważać. Wygląda, że ktoś doniósł. Może któryś ze starszych chłopców. Nie powinno się im ufać...

Miała ochotę śmiać się dalej. Ale wobec kierownika wolała się powstrzymać. Pocieszała się, że się uśmieje, gdy będzie o tej historii opowiadała Michałowi i Pawłowi.

Rzędzian przestał przychodzić i nie było go już od dziesięciu dni. Któregoś popołudnia wybrała się na Ciepłą. Mieszkanie Dory było zamknięte, żadna karta nie sterczała w szparze. Gdy wchodziła i wychodziła z domu, miała wrażenie, że stojący beczynnie pod latarnią młody mężczyzna, dłubiący pracowicie słomką w zębach, przygląda się jej uważnie.

Opowiedziała o tym wszystkim Michałowi, który przyjechał do Warszawy. Michał krzywił swoje grube wargi i pocierał zaczesaną na jeża czuprynę. Wydawał się przejęty opowiadaniem siostry.

I co teraz zrobisz? — pytał.

Właśnie nie wiem. Nikt mnie nie uprzedził, nikt mnie nie ostrzegł...

Czy nie powinnaś powiedzieć o wszystkim panu Rogowskiemu?

Dlaczego właśnie jemu?

Wydaje się człowiekiem doświadczonym. A poza tym chyba twoje sprawy obchodzą go, skoro stara się o twoją rękę?

Stara się... Wolno się starać każdemu. A poza tym... Nigdy mu o tych sprawach nie mówiłam, bo on ma wobec nich zupełnie inne zdanie.

Jest „ugodowcem”?

To nie to. On także jest przeciwko Moskalom, ale jakoś inaczej... Niezupełnie go rozumiem...

Nie rozgadaliście się między sobą?

Nie... Widzisz, on stara się o moją rękę. Ale ja...

Nie chcesz go? Nie kochasz?

Wstała i chodziła po pokoju zamyślona.

Sama nie wiem.. Nie mogę powiedzieć, aby mi się nie podobał... Jest energiczny, zdecydowany. Okazuje mi wielkie oddanie. Mam wrażenie, że zrobiłby dla mnie wszystko. Ale, powiedz, czy to wystarczy?

Podrapał się za uchem.

Czy wy, panny — powiedział — nie żądacie przypadkiem zbyt wiele? Skoro jesteście kochane...

Spojrzała na niego podejrzliwie.

A ty kochasz swoją narzeczoną? — zapytała.

O tak, — zapewnił gorąco. — Basia jest bardzo miła, bardzo słodka...

A ona ciebie?

Znowu drapał się za uchem.

Chyba tak... Ona, biedaczka, zajęta jest tylu sprawami. W domu... Poza tym, cóż ona wie o życiu?

Wielu kolegów Michała i Pawła pożeniło się w ostatnich czasach. Brali za żony panny urodziwe i posażne, pochodzące z domów, które wzbogaciły się w ostatnich czasach. Panny nie miały zbyt wielkiego wykształcenia, ale potrafiły się ubrać i marzyły o zabawach, wizytach. Traktowały małżeństwo jako wyzwolenie się z domu, w którym rodzice żądali od nich pracy.

Ale dla niej małżeństwo wydawało się zupełnie czym innym. Nie bała się pracy. Choć na wyższe studia pójść nie mogła, wyrównywała to ciągłym czytaniem. Wiedziała, że nigdy nie zatrzyma się w tym pragnieniu poznawania świata. A poza tym chciała mieć dzieci, pragnęła je wychowywać, żyć ciągle ich nowymi sprawami...

Michał wrócił do historii, o której opowiedziała mu Anna.

Ja ci radzę, porozmawiaj z Rogowskim.

Może masz rację. Porozmawiam.

Rogowski zjawił się w dwa dni później. Był jak zawsze ubrany z wymuszoną jakby starannością. Anna obserwowała go przy kolacji, w której brali udział także Michał i Paweł, bo i on zjawił się w Warszawie. Odbijał od jej braci: wydawał się energiczniejszy niż Michał, natomiast był mniej pewny siebie niż Paweł. Nie było w nim nic z uszczypliwości Witolda i z chłodnego zamknięcia się w sobie Romualda.

Rozmowa toczyła się wokół rozmaitych nowinek warszawskich. Młodzi Miniewiczze entuzjasmowali się tramwajami warszawskimi, które ostatnio modernizowały swój tabor.

Teraz można pojechać tramwajem nawet w aleje! — wykrzykiwał Paweł. — Wagony aż pachną od farby.

Ale strasznie prędko jeżdżą — zauważył Michał. — Jeśli tak będą pędziły, nie obejdzie się bez wypadków. Już nawet słyszałem, że ktoś wpadł pod wagon...

Potem zaczęto mówić o teatrze. Paweł słyszał, iż wielkie zaniepokojenie wywołało mianowanie nowego prezesa teatrów warszawskich. Teatr ostatnio próbował stać się naprawdę sceną polską. Wystawiano nawet niektóre sztuki przedtem pojawiające się jedynie na scenach galicyjskich. Co będzie, jeśli ten Małyszew przykróci te tendencje?

Może pan będzie umiał coś powiedzieć o tym człowieku? — zwrócił się do Rogowskiego.

Rogowski jednak nic jeszcze o Małyszewie nie słyszał. Zaczął natomiast mówić o niedawnym pobycie czeskiego działacza Kramarza, który zatrzymał się w Warszawie wracając z Kongresu Sławistów w Petersburgu.

Ci pansławiści to robota Moskali — stwierdził Paweł.

Rogowski był przeciwnego zdania.

Dawny ruch panslawistyczny był organizowany przez Rosję i obracał się przeciwko Polsce. Ale teraz jest inaczej. Inicjatorami ruchu są Czesi, a ruch jest samoobroną Słowian przed naporem niemieckim...

Te wywody mało interesowały młodych Miniewiczów. Tylko doktor zdawał się przysłuchiwać słowom Rogowskiego.

Po obiedzie Anna pociągnęła Rogowskiego do saloniku.

Chciałabym pana, panie Aleksandrze, prosić o radę — powiedziała.

Służę chętnie.

Jest pan na pewno człowiekiem o wiele bardziej doświadczonym niż moi bracia i ma liczniejsze znajomości. A ojcu o tej sprawie nawet mówić nie chcę...

Krótko, ale treściwie, opowiedziała mu historię, kolportowanej bibuły. Słuchał jej nie przerywając i dopiero gdy skończyła, zapytał:

Czy pani czytywała te pisemka? Czytałam. - I podziela pani opinie tych...

Zawahała się.

Chcę panu odpowiedzieć bardzo szczerze.

... Pan powiedział, że to Niemcy są dla nas największym niebezpieczeństwem. Wiem: Krzyżacy, Prusacy... Przed paroma laty trzęśliśmy się z braćmi z oburzenia, gdy była sprawa Wrześni. To jednak wydawało się trochę dalekie. A tu jest niebezpieczeństwo bliskie...

Przez chwilę panowało milczenie.

Myślimy inaczej — zaczęła.

Czy pani czytywała te pisemka?

Czytałam.

I podziela pani opinie tych, którzy w tych pismach pisali?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

Chcę panu odpowiedzieć bardzo szczerze. Jestem przekonana, że naszym obowiązkiem jest walka z Moskalami i że tylko ta walka może nam przynieść wolność. Jeśli coś mnie w tych pismach raziło, to nienawiść... Nie umiem, przyznaję, nienawidzić. Gdyby przyszło mi walczyć, zamykałabym oczy, aby nie widzieć człowieka, do którego muszę strzelać...

Wtedy na pewno nie trafiłaby pani w niego — zażartował.

To prawda. Ale taka jestem... Pan powiedział, że to Niemcy są dla nas największym niebezpieczeństwem. Wiem: Krzyżacy, Prusacy... Przed paru laty trzęśliśmy się z braćmi z oburzenia,

gdy była sprawa dzieci z Wrześni. To jednak wydawało się trochę dalekie. A tu jest niebezpieczeństwo bliskie...

Przez chwilę panowało milczenie.

Myślimy inaczej... — zaczęła.

Myli się pani — zaprzeczył. — Myślimy tak samo. Tylko ja twierdzę, że niebezpieczeństwo, które jest tu, grozi nam, a niebezpieczeństwo, które jest tam — grozi całemu narodowi... Ale mówmy teraz o pani sprawie. Nie jestem spokojny. Czy pani pozwoli, że będę się starał coś dowiedzieć...

Spuściła głowę. Po małej chwili zapytała głosem, który lekko drżał:

Pan ma jakieś znajomości...? U nich?

Popatrzył na nią, a potem uśmiechnął się:

Niech się pani nie obawia. Znam wielu Rosjan, ale nie są to znajomości, które mogłyby być w tej sprawie pomocne. Tylko pośrednio może będę mógł się czegoś dowiedzieć. W każdym razie, proszę, niech pani nie podejmuje do tego czasu dalszej działalności i nie szuka tamtych ludzi.

Zjawił się na trzeci dzień. Pawła i Michała już nie było — obaj wrócili do Grodna. Po kolacji zaprosiła Rogowskiego do salonu.

Obawiam się, że sprawiłam panu kłopot... — zaczęła.

Nie taki znowu wielki. O tamtych ludzi i o tamte pisma specjalnie się nie wywiadywałem. Wiem, że ostatnio było dużo aresztowań. Pawiak i Cytadela są pełne. Chodziło mi jedynie o panią...

Urwał i chwilę milczał. Podjął:

Niepokoilo panią, jaką drogą chcę sprawę wyjaśnić... Pragnę wszystko wytłumaczyć. Przełożona jednego z zakładów opiekuńczych, bardzo dla mnie życzliwa, zna żony niektórych dygnitarzy. Tak się dziwnie składa, że te panie pomagają instytucjom, które oficjalnie ich mężowie prześladują... Na moją prośbę przełożona zwróciła się do pewnej generałowej. Myślę, że zrobiła to bardziej ze względu na pani ojca, którego zna, niż ze względu na moją prośbę... Sądzę, że nie uważa pani tego za coś kompromitującego?

Potrząsnęła głową bez słowa.

Generałowa zasięgnęła wiadomości i stwierdziła, że był donos na panią. Ktoś napisał, że pani otrzymuje bibułę, i że tego dnia będzie pani miała pisma w swojej torbie. Ponieważ nic u pani nie znaleziono, generałowa mogła wytłumaczyć odpowiedniej osobie, że donos był fałszywy, gdyż jest pani osobą budzącą zaufanie, a także ojciec pani jest znany ze swej pracy społecznej... Zapewniła przełożoną, że sprawa została umorzona i że może się pani nie lękać ani o siebie, ani o swego ojca...

Nie wiem, jak panu dziękować...

Proszę nie dziękować. Ja nic nie zrobiłem.

Odruchowo położyła dłoń na jego dłoni.

Nie, nie. To pan... Zdjął mi pan ciężar z serca. Nie byłabym się tak przejęła, gdyby on wtedy nie powiedział o ojcu...

Kocha pani rodziców?

Bardzo.

Szczęśliwa pani, że ma ich ciągle przy sobie.

A pan? Mówił pan, że stracił ich wcześniej.

Bardzo wcześniej. Matki nawet nie pamiętam...

Choroba?

Tak... Choroba... — Chwilę zdawał się wahać. — Mój ojciec był w powstaniu, tak jak pani ojciec. Walczył wspólnie z księdzem Brzózka, który był jego przyjacielem. Ukrywał księdza w swoim majątku, w łąkach... Ale znalazł się zdrajca, który ich obu wydał...

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby go zobaczyła po raz pierwszy.

I co się stało?

Ksiądz Brzózka poniósł śmierć. Mój ojciec był trzymany w Cytadeli. Miał wyrok śmierci, ale przedtem badano go... Może pani wyobrazić sobie, jakie było to badanie?

Tak — szepnęła. Moja matka robiła wszelkie starania, aby go ocalić. Znalazł się taki, który zażądał wielkich pieniędzy. Matka nie wahała się. Sprzedała łązy i inne wsie. Wszystko, co mieliśmy. Za te pieniądze wypuszczono ojca... Wypuszczono, bo już niewiele z niego zostało...

Zamilkł. Ona siedziała także bez słowa.

Umarł zaraz po wypuszczeniu? — zapytała po chwili.

Nie. Żył, nawet dość długo. Ale był człowiekiem bez sił, bez energii, stale chorującym. Matka umarła wcześniej, stargawszy zdrowie w wysiłkach, aby zdobyć środki na utrzymanie rodziny. Znaleźliśmy się w nędzy... To prawdziwy cud, że my, najmłodszy, nie zginęliśmy...

Czy nie wydaje się panu, że w życiu człowieka wiele bywa takich cudów, tylko my nie uważamy tego za cud?

Cieszę się — rzekł — że pani tak myśli. Nie myliłem się...

W czym się pan nie mylił?

Nie myliłem się, gdy od pierwszej chwili oceniałem panią wysoko...

Zaśmiała się.

Och, proszę tak nie mówić. Jestem kimś bardzo zwyczajnym. Nikt żadnych nadzwyczajności we mnie nie dostrzegł.

Ja je dostrzegłem.

W tym, że widzę małe cuda, zdarzające się na każdym kroku?

W tym, że patrzy pani w życie głębiej niż inne kobiety. Że dostrzega pani nie tylko to, co jest na powierzchni. Że nie jest pani istotą „z mgły i galarety”...

Pomyślała: i tego człowieka miałam za zwykłego urzędnika zagrzebanego w swej pracy i żyjącego tylko swymi ambicjami! Za naiwnego rusofila! A on umie nawet zacytować poezję!

Dzień się dopalał i w małym saloniku zrobiło się mroczno.

Powinna była zapalić lampę, ale nie chciało się jej odrywać od rozmowy.

Na pewno pan się myli — powtórzyła. — Jeśli czym się różnię od innych, to chyba tylko tym, że patrzę na świat naiwnie. Że ludzie mogą mi się -wydawać tacy lub owacy z daleka, ale kiedy człowieka, którego oceniałam jak najgorzej, zobaczę z bliska, cała wrogość opada ze mnie...

Pani to nazywa naiwnością? Niech będzie. Chciałbym być taki sam naiwny. I może nawet byłbym taki... Niestety, życie uczyniło mnie nieufnym. I właśnie dlatego... Właśnie dlatego tak mi się podoba postawa pani.

Nie odpowiedziała. Siedziała cicho, bez słowa, coraz większy zmierzch ukrywa jej twarz.

Zmienił temat. Zapytał:

Jak się udały wakacje?

Znakomicie. Nigdzie tak nie odpoczywam i nie czuję się równie dobrze jak tam, nad Niemnem... Zawsze jeździmy, odkąd pamiętam. Chciałabym, aby pan pojechał...

Naprawdę? Chciałaby pani?

Tak... Tam jest pięknie. A jeśli — dorzuciła — jest we mnie coś, co się panu spodobało, to przekonałby pan, że to coś wywodzi się stamtąd...

W takim razie pojedę...

Ledwo widziała szeroką twarz mężczyzny pod gęstą czupryną. Wypowiedziała swoją zachętę do przyjaciela zbyt prędko, bez namysłu — a jednak nie żałowała słów. Może on nie był tym, którego oczekiwała. Mimo to odkrywała w nim jakąś część swoich oczekiwań. Tylko nie wiem — podjął — co by powiedzieli rodzice.

Chyba pan spostrzegł, jak bardzo pana lubią.

Okazują mi rzeczywiście wiele życzliwości. Pani matka...

Mama mówiła, że pan przypomina jej synów.

Nie wiem, czym się wywdzięczę...

Wywdzięczy się pan...

Czym?

Przecież pan powiedział, że chce się starać o mnie.

Powiedziałem.

Więc niech pan powie o tym rodzicom...

Gwałtownie poderwał się, chwycił jej dłoń i przycisnął do ust. Opanowała śmiech, tak bardzo ta scena wydała się inna niż te, które opisywano w książkach.

CZĘŚĆ DRUGA

Już dwa lata byli po ślubie.

Żyli skromnie i cicho w małym mieszkanku na Wiejskiej. Anna pracowała po ślubie tylko kilka miesięcy; potem przyszedł na świat mały Jędrus : wtedy zajęła się wyłącznie domem.

Ślub ich odbył się w kaplicy instytutu. którego przełożona interweniowała u generałowej w sprawie Anny. Była to niemłoda kobieta pochodząca ze starego, arystokratycznego rodu, który jednak niezbyt chlubnie zapisał się w poprzedz nim stuleciu w dziejach kraju. Matka Benigna — tak ją zwano wewnątrz zakładu — odznaczała się niezwykłą energią. Zakład opiekujący się sprowadzanymi z ulic dziewczętami kierowany był mocną ręką. Mimo twardej ręki, która budził lęk, wszyscy — i wychowanki, i siostry — uwielbiali „mateczkę" i kochali ją gorąco. Pomarszczona twarz i duże okulary w stalowej oprawce sprawiały wrażenie surowości. Lees w bladobłękitnych oczach czaiła się dobroć. Rogowskiemu matka Benigna okazywała prawdziwie matczyną serdeczność. Kto wie, czy zręcznymi posunięciami nie przyczyniła się do związku wiernego doradcy instytutu z córką lekarza, wzywanego nieraz do sióstr i bardzo cenionego. Gdy już małżeństwo zostało zdecydowane, zastrzegła, że uroczystość musi się odbyć w kaplicy zakładowej i z własnej inicjatywy postarał się o zgodę na to u arcybiskupa. Obdarzyła Annę kilku sztukami cennej porcelany znaczonej rodowymi herbami.

W uroczystości ślubnej brało udział niewiele osób. Od strony Aleksandra byli jego dwaj bracia oraz jeden z kolegów biurowych. Siostra przyjechać nie mogła. Ze strony Anny przybyli rodzice, brat Romuald z żoną. Romualdowa była dumą rodziny. Piękna, czarnowłosa kobieta wywodziła się z Inflant. Jej ojciec był niegdyś zuawem papieskim i odniósł ranę w walce o Rzym. Miał pięciu braci, którzy wszyscy zostali jezuitami, a jeden z nich nawet autorem znakomitego dzieła omawiającego historię stosunków między Stolicą Apostolską a Rosją.

W tej samej kaplicy w rok później został ochrzczony Jędrus. Anna wybierając imię dla syna myślała po prostu

Kmicicu, ale okazało się, że jest to jedno z rodzinnych imion Rogowskich, których jakiś prapradziad noszący imię Andrzej dowodził chorągwią pancerną pod Wiedniem. Na rodziców chrzestnych zostali zaproszeni: matka Benigna i młodszy doktor Miniewicz.

Bo ceremonii odbyło się śniadanie, podczas którego nowo kreowanego chrześcijanina położono w sąsiednim pokoju na skórzanej kanapce pod opieką dwunastoletniej wychowawcy Paulinki. Nagle rozmowę w jadalni przerwał rozpaczliwy krzyk małej opiekunki dziecka, która wbiegła zanosząc się płaczem. Anna zerwała się i pierwsza przybiegła do Jędrusia. Z przerażeniem zobaczyła, że dziecko ma całą buzię we krwi. Nikt nie mógł zrozumieć, co się stało. Dopiero Paulinka wciąż szlochając pokazała palcem na figurkę anioła trzymającego w rękach naczynie z wodą święconą. Figurka wisiała nad kanapą — bez naczynka. Według gorących zapewnień. Paulinki porcelanowy talerzyk zupełnie sam oderwał się od anioła i spadł na buzię chłopca. Anna klęczała przy kanapie zdrętwiała z przerażenia. Krew zalała oczy dziecka i wyglądało na to, że mały ma wybite oko. Nie płakała — nie potrafiła nawet płakać — dygoczącymi ustami powtarzała tylko: „Boże, Boże, tylko nie to...” Ręce jej drżały, nie miała odwagi dotknąć syna.

Pierwsza zapanowała nad zamętem matka Benigna. Powiedziała energicznie: „Niech pani nie rozpacza. Proszę się uspokoić. Nie mogło się stać nic poważnego”. Zażądała wody na spodeczku i delikatnie kawałkiem waty przemyła zalaną krwią buzię. Odkryło się zdrowe całkiem oko, niebieskie jak chaber, i mała ranka pod nim. „Widzi pani — powiedziała — nie trzeba było tak rozpaczać. Mówiłam od razu, że nie mogło się nic stać. Przecież to anioł...” Ustąpiła miejsca ojcu chrzestnemu, który obejrzał rankę i stwierdził: „Do wesela się zagoi. I nie zostanie nic, prócz małej blizny, proszę matki”. „Może anioł chciał go w ten sposób oznaczyć — powiedziała matka Benigna — aby zawsze mógł go poznać i nim się opiekować? Chwała Bogu, wszystko dobrze. Wracajmy do stołu. Paulinka niech idzie do klasy. A siostry niech zawołają jakąś starszą dziewczynę, która nie będzie się bawiła aniołkami... No, no, Anusiu. Pozwoli pani, że tak będę do pani mówiła? Pojmuję, że się ogromnie przeraziłaś. Ale nigdy nie mów do Pana Boga: »Tylko nie to«. Przyjmuj zawsze pokornie to, co On uznał dla nas za najlepsze. Wierz mi, wyjdiesz na tym dobrze...”

Kłopoty z Jędrusiem dopiero się zaczęły. Przechodził niezwykle ciężką jedną chorobę za drugą. Najgorszy był straszny ognipiór, który zamienił jego buzię w lepki, buchający ropą plaster. Płakał ciągle i rozdrapywał sobie rączkami rozranione policzki. Nie spała przez wiele nocy zrozpaczona, że musi przywiązywać małe rączki tasiemkami do łóżka. Ledwo skończył się ognipiór, przyszła ciężka reakcja na szczepioną ospę.

Nie miała także szczęścia do opiekunek dla Jędrusia. Co znaleźli dziewczynę, trzeba było oddać. Jedna ze zgodzonych dziewcząt wyszedłszy z dzieckiem na spacer rano, wróciła dopiero późnym wieczorem, gdy już Anna odchodziła od zmysłów z przerażenia, a Aleksander biegał po cyrkułach okolicznych. Okazało się, że czuła opiekunka spotkała brata-urlopnika i gdzieś się z nim zabawiła. Inna również zabrała dziecko i długo z nim nie wracała. Anna wybiegła na poszukiwania i biegając po ulicach nie bez wstrząsu zobaczyła nagle dziewczynę siedzącą w szynku, przy stole zastawionym wódką, otoczoną gromadą mężczyzn. Aż wreszcie ktoś jej polecił Teresę. Była to niemłoda już kobieta, przybyła ze wsi, „Teresa pamiętała jeszcze czasy poddaństwa. Pokastywała brzydko, ale dziecku była całkowicie oddana. Dom się mógł zawalić, ale Jędrus musiał mieć wszystko, co mu było potrzebne.

W głębi serca Anna oczekiwała nie na chłopca, ale na dziewczynkę. Przez całe życie marzyła o wielkiej, kobiecej przyjaźni, i nigdy jej nie zakosztowała. Przez długie lata matka nie miała dla niej czasu, a gdy wreszcie zostały tylko we dwie w domu, okazało się, że na przyjaźń jest już za późno. Jeśli spośród braci związała się najmocniej z Michałem, stało się to chyba dlatego, że miał miękka, kobiecą

trochę naturę. W szkole starała się być sprawiedliwa, ale serce miała przede wszystkim dla dziewcząt. Jej pierwszym dzieckiem — wyobrażała sobie — powinna być dziewczynka. Wymyśliła nawet z góry dla niej imię. Miała się nazywać Elżbieta, jak święta z ulubionej niemieckiej powieści. Tymczasem urodził się chłopczyk o szpiczastym nosku i błękitnych oczkach. Stał się od razu ulubieńcem babki Miniewiczowej, a także matki Benigny. Dziewczęta w zakładzie chcąc zrobić przyjemność przełożonej malowały dla niej przy okazjach imienin i jubileuszy laurki, na których figurował Jędrus ubrany w sutannę, gdyż, oczywiście, o innej przyszłości nie wypadało dla niego marzyć.

Życie toczyło się spokojnie. Rogowski ciągnął swą nieefektywną karierę urzędnika, wspinając się powoli, ale stale, po stopniach urzędniczej drabiny. W biurze ceniono go dla pracowitości i oddania pracy. Lubili go nawet zwierzchnicy Rosjanie. Kiedyś usłyszał propozycję: „A ot, Aleksandrze Ignatowiczu, gdybyście tak przeszli na święte prawosławie, od razu inaczej wyglądałaby wasza przyszłość...” Rogowski uchylił się od tej propozycji, a jego odmowa nie miała żadnych dostrzegalnych następstw. Ale przez całe tygodnie gryzł się i niepokoił. Dopiero po ślubie Anna przekonała się, że człowiek, który jej imponował rozumą i opanowaniem, w rzeczywistości był prawdziwym kłębkim nerwów. Męczyła go wybujała wyobraźnia, która zaczynała działać po każdej niemiłej rozmowie czy kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazł. Często nawet nie chodziło o jakieś niebezpieczeństwo, ale po prostu o wrogość innego człowieka. Starła się go pocieszać, jak umiała, bagatelizując, nawet wbrew sobie samej, każdą taką sprawę.

W kilka tygodni po ślubie Aleksander powiedział żonie, że chciałby, aby poznała jego kuzynki, mieszkające w Radomiu, które przysłały na ślub depezę z powinszowaniami. O tych kuzynkach nigdy jej przedtem nie opowiadał, wspominał jedynie przy okazji depezy, że jest to wdowa z dwiema córkami. Teraz gdy jechali pociągiem opowiedział więcej: matka i jedna z córek, niezamężna, mieszkały przy drugiej córce, żonie wziętego i bardzo bogatego adwokata radomskiego. Zestawiając rzucane przez męża informacje (nie zawsze umiał mówić przejrzysto i nieraz jego wyjaśnienia jeszcze bardziej gmatwały sprawę, niż ją tłumaczyły) Anna doszła do przekazania, iż owa wdowa musi być tą osobą, która w jakiś sposób ocaliła Aleksandra od pójścia do prawosławnego pryjutu.

Z dworca pojechali dorożką. Adwokatostwo mieszkali w nowoczesnej, dużej kamienicy. Drzwi otworzył lokaj w pasiastej kamizelce i wprowadził do eleganckiego salonu, pełnego obrazów, bibelotów, cennych mebli. Po małej chwili wyszła do nich uśmiechnięta kobieta o bardzo białych włosach. Miała twarz szeroką, podobną do twarzy Aleksandra. Razem z matką przyszła młodsza córka, Maria. Musiała być niewiele starsza od Anny, ale wyglądała poważnie.

Rogowski przedstawił żonę. Obie kobiety ucałowały gorąco Annę i okazywały jej wielką serdeczność. Od pierwszej chwili starsza prosiła, aby ją nazywała ciotką i za każdym razem upominała, gdy Anna omyliwszy się zwracała się do niej inaczej. Wobec Marii Anna używała tytułu „kuzynka”, jakim obdarzał ją Aleksander.

Z kolei zjawiała się Ludwika, żona adwokata Gulińskiego. Była również uprzejma, ale nie tak wylewnie serdeczna jak matka i siostra. Zaprosiła przybyłych na obiad. W jadalni czekał jej mąż — mały, łysy, pękaty mężczyzna z bródką, w pincenez. Francuska bona wprowadziła siedmioletniego synka Gulińskich, Karolka. ubranego w aksamitne ubranko z wielkim, marynarskim kołnierzem, i w pasiaste pończochy. Chłopczyk witał się grzecznie po francusku.

Obiad wydał się Annie wspaniały. Potrawy podawali lokaj i pokojówka. Do ryby i mięsa było wino. Ale w zachowaniu Galińskiego Anna wyczuwała lekceważenie wobec gości. Po obiedzie wszyscy przeszli do salonu na kawę i koniak. Adwokat poczęstował cygarem Rogowskiego, który, ku zgorszeniu Anny, cygaro przyjął i próbował je palić, wyraźnie bez żadnych umiejętności. Od ciężkiego dymu Annie zaczęło się kręcić w głowie. Z trudem zmuszała się do konwersacji.

Na szczęście po kwadransie Guliński ziewnął raz i drugi, dyskretnie przesłaniając usta upierścienioną dłonią. Wreszcie oświadczył, że jest mu bardzo przykro, ale musi towarzystwo opuścić, gdyż ma spotkanie z kimś bardzo ważnym — podkreślił to kilka razy — i w żaden sposób nie może sobie pozwolić na spóźnienie. W parę minut potem przyszła bona Karolka i odwołała Gulińską w jakiejś pilnej sprawie.

Kuzynka Krzywiańska zaproponowała teraz Rogowskiemu, aby udali się do niej. Był to duży pokój, również bardzo elegancko urządzone. Stał tu stary kantorek otoczony równie starymi, niewątpliwie cennymi meblami. Antyczny zegar chrapliwie wysypywał sekundy. W gerydonach pod oknami stały kwiaty. Podłogę zaścielał puszysty dywan.

Ciotka Krzywiańska obdarzyła Annę naszyjnikiem z granatów, a Maria broszką pompejańską z kameą. Ciągłe bardzo serdeczna rozmowa toczyła się przez dwie godziny. Anna robiła różne spostrzeżenia i stwierdziła, nie bez pewnego zdziwienia, że mimo tak gwałtownie podkreślanego kuzynostwa kobiety nie pytają wcale o innych członków rodziny jej męża. Było tak, jakby czuły się wyłącznie kuzynkami Aleksandra.

Jeszcze podano herbatę z ciasteczkami, zjawiła się na chwilę Gulińska — a potem powóz adwokata odwiózł Rogowskich na dworzec.

W przedziale Anna wypytywała męża o ludzi, u których byli z wizytą. O Gulińskim Aleksander mówił krótko, z gniewnym wzruszeniem ramion. Ale o Krzywiańskiej rzekł:

To dobra kobieta...

Czy ona jest wdową, Olesiu?

Tak. Miała męża, który mógł być jej dziadkiem...

Wygląda, jakby dużo przeżyła. Te siwe włosy...

Bogactwo nie dało im szczęścia.

Czy to przypadkiem nie ona, Olesiu, ocaliła cię kiedyś od pryjutu?

Kiwnął potakująco głową.

To ona. Będę jej za to zawsze wdzięczny. I Marii. Chociaż inni ich nie lubią...

Nie lubią? Dlaczego?

Zrobił nieokreślony ruch ręką:

Odbiły się...

Nie wypytywała więcej, choć była zaciekawiona. Pomyślała, że albo Aleksander nie chce jej wszystkiego powiedzieć, albo związany jest jakąś tajemnicą. Nie miała o to do niego pretensji. Lubiła bawić się w detektywa i wykrywać rozmaite sprawy.

Inaczej zupełnie wyglądała wizyta w Łukowie u siostry Aleksandra. Mieszkańcy małego starego dworku w wielkim zacienionym drzewami ogrodzie witali ją serdecznie i prosto. Od razu poczuła, że będą jej bliscy. Siostra Gabriela była kobietą zniszczoną przez ciężką pracę i wychowywanie dziewięciorga dzieci. Choć starsza zaledwie o kilka lat od Aleksandra, wyglądała na jego matkę. Musiała bardzo wcześnie wyjść za mąż, gdyż jej najstarsze córki były niewiele młodsze od Anny. Nazywały ją jednak z całym szacunkiem wujenką.

W ogrodzie był duży obrosnięty szuwarami i pokryty rzesą staw. Kumkały w nim żaby i kąpali się w nim synowie Justyny. Powiedzieli Annie z dumą, że nawet najmłodszy spośród nich umieją pływać. Anna czuła się doskonale przy wielkim stole, otoczona młodzieżą i dziatwą rozmaitego wieku.

Aleksander kochał siostrę. Całował ją w rękę, a ona gładziła czule jego kręcące się włosy.

Podczas spaceru po ogrodzie Anna zapytała jedną ze swych siostrzenic, Manię:

Czy wy nigdy nie odwiedzacie ciotki Krzywiańskiej?

Dziewczyna spojrzała na nią prawie z oburzeniem.

Oczywiście, że nie, wujenko! Nie chcemy mieć nic wspólnego z tą Moskiewką!

Dlaczego ją tak nazywasz?

Bo jej mąż był Moskałem!

Nie podjęła tej sprawy, którą postanowiła wyjaśnić później, w domu. Powiedziała tylko:

Jednak pomogła Olesiovi...

Młoda kobieta mówiła dalej porywczo:

To, co zrobiła dla wuja, to już było najmniej z tego, co mogła zrobić. Gdyby i tego nie zrobiła...

Urwała i tylko podrzuciła nogą spódnice, tak jakby kogoś kopała.

Potem otoczył je krąg chłopców różnego wieku i rozmowa się skończyła.

Przyszła wiadomość, że umarł wuj Stanisław w Krakowie.

Dowiedziała się o tym, gdy wpadła wieczorem do rodziców. Odwiedzała ich codziennie. Ojciec i matka bardzo się postarzeni. Zdawała sobie sprawę, że są starymi ludźmi, którzy potrzebują opieki. Często niepokoiła się o nich.

Miniewiczowa przyjęła wiadomość o śmierci brata spokojnie. Nie widziała go od pięćdziesięciu trzech lat — od dnia swego ślubu. Na śmierć patrzyła jako na rzecz najzupełniej naturalną. Uśmiechając się powiedziała do córki: „Przecież się i tak niedługo zobaczymy”.

Ktoś powinien być pojechać do Krakowa na pogrzeb. Żadnego z braci, z wyjątkiem Romualda, nie było w Warszawie. Ale Romuald był bardzo zajęty, a poza tym nie znosił wyjeżdżania i nigdy nigdzie się nie ruszał. Matka zwróciła się z propozycją do Anny:

A może byś ty pojechała, Anusiu? Byłaś tam przed kilku laty, znasz dom, chłopców. Wujenka pyta o ciebie w każdym liście.

Prawdę mówiąc, pojechałabym, mamó. Ale nie będzie łatwo... Chodzi mi o Jędrusia. Wiesz, jak jest z jego zdrowiem. A Oleś zapracowany. Wychodzi wczesnie rano, wraca często dopiero późnym wieczorem. Teresa jest ogromnie małemu oddana, to prawda, ale to stara kobieta...

A gdybym ci zaproponowała, abyś Jędrusia wraz z Teresą dała na czas wyjazdu do nas? Co o tym myślisz? Co prawda twój mąż może być niezadowolony, że nikt mu nie usłuży...

Och, to najmniejsze. Gdy wyjeżdżam na wakacje, usługuje mu żona stróża domu. Bardziej obawiam się, że Jędrus mógłby dokuczyć mamie. I ojciec mógłby się krzywić na niego.

Mnie miałby dokuczyć? Ten aniołek? Cieszyłabym się mając go przy sobie. A ojciec krzywić się nie będzie, zapewniam cię.

Muszę w takim razie porozmawiać z Olesiem.

On chyba nie będzie miał nic przeciwko temu wyjazdowi?

Czy ja wiem? Nie lubi wyjazdów tak samo jak Romek. Zawsze niepokoi się o tych, którzy wyjeżdżają. To ta jego wyobraźnia...

Kocha Jędrusia?

Bardzo. Ale, prawdę mówiąc, zająć się nim nie umiem.

Nie wszyscy mężczyźni potrafią.

Może, ale ja wolałabym...

Nie narzekaj, Anusiu. To Bóg wybiera człowiekowi życie.

Anna miała rację: Aleksander niezbyt chętnie przyjął projekt wyjazdu. Krzywił się, mówił o zdarzających się katastrofach kolejowych, o powstaniu w Czarnogórze, które może wywołać komplikacje polityczne. Wzruszała ramionami:

Czytałam o dwóch katastrofach, o jednej we Francji, drugiej w Ameryce. Czarnogóra także daleko. A ja pojechałabym tylko na tydzień.

I masz ochotę na ten wyjazd?

Mam. Widziałam Kraków przed kilku laty, chętnie zobaczyłabym go jeszcze raz. Także mamie zależy, aby ktoś pojechał...

A Jędrus?

Mama chce go zabrać na ten czas do siebie.

Westchnął.

W takim razie jedź. Jędrusiowi u twojej matki będzie na pewno dobrze.

Sprawy wyjazdu trzeba było załatwić szybko, ale Anna potrafiła działać energicznie. Do Krakowa wysłana została depesza, a ona wyjechała następnego dnia nocnym pociągiem.

Na dworcu krakowskim czekał na nią Leon. Z przyjemnością zobaczyła jego brzydką twarz w tłumie oczekujących.

Jak się masz, Leonku? Serdecznie ci współczuję.

Pocałowała go.

Kiedy już siedzieli w fiakrze, zapytała:

A jak to przyjęła wujenka?

Mama jest dzielna i spokojna. Ojciec chorował długo i na kilku miesięcy wiedzieliśmy od lekarzy, że z choroby nie wyjdzie. Byliśmy przygotowani. Cieszymy się, że przyjechałaś. A co słychać u ciebie? Jak ci się żyje? Masz syna?

Już nawet dużego. Ma półtora roku.

Jaki jest? Mówi?

Mówi niewiele, ale wszystko rozumie. Dużo chorował, ale już teraz wszystko dobrze.

A jaki jest twój mąż? Kiedy go poznamy?

Oleś nie lubi podróżowania. Zresztą bardzo zajęty. U niego praca nie ma swoich godzin. Inni idą do domu, a os dalej biuro i pióro...

Mówisz, jakbyś miała pretensję.

Nie... Nie mogę mieć. To nie tylko praca zarobkowa, ale także działalność społeczna.

Czym się zajmuje?

Nadzoruje zakłady, które opiekują się opuszczonymi dziećmi. Ale nie tylko nadzoruje. Pomaga im, broni przed różnymi administracyjnymi szykanami,, — Zmieniła temat. Teraz ona pytała:

A co Kazik?

Och, Kazik! Zajęty od rana do wieczora pracą w Strzelcu. Chociaż w domu żałoba, poszedł na strzelnicę.

Ciągle wydaje się wam, że staniecie się wojskiem polskim.

Popatrzył na nią.

My już nim jesteśmy. Mamy mundury, broń. Ja zapisałem się do kawalerii. Ćwiczymy, strzelamy. Sama zobaczysz. O, zresztą popatrz...

Wskazał ręką idących ulicą kilku strzelców. Szli otwarcie w siwych mundurach. Na okrągłych czapkach mieli orzełki. Przycisnęła dłoń do piersi, tak jej nagle zabiło serce. Orzełek... Znała jedynie tego, który był na starym hafcie, za szafą, w kącie gabinetu ojca...

Mieszkanie na Łobzowskiej było ciche, pełne powagi i zapachu zwiędłych kwiatów. Do Anny wyszła Selimowiczowa, ubrana czarno. Przycisnęła ją do piersi i serdecznie ucałowała.

Kochana... Cieszę się, że to ty właśnie przyjechałaś. Tak bardzo cię polubiliśmy. A jak mama przyjęła wiadomość?

Po chrześcijańsku, wujenko.

Tak trzeba, tak trzeba. A jak się czują rodzice?

Ojciec się bardzo postarzał, wujenko.

Taki nasz los, kochana. A jak twój syn? I twój mąż?

Przy białej kawie ze słodkim ciastem opowiadała o wszystkim. Nagle otworzyły się drzwi, wszedł Kazik. Mało nie krzyknęła, gdy go zobaczyła. Był w mundurze jak tamci na ulicy, siwym, zapiętym pod szyję, w czapce z orzełkiem. Znakomicie pasowały do tego munduru, jego smagła twarz, wąski nos, małe usta, wijące się włosy, zawadiacki wyraz szarych oczu. Nigdy bardziej nie przypominał Annie jakiegoś Kmicica.

Anusia! Całuję rączki. Przyjechałaś? Bardzo ładnie z twojej strony.

Otoczył ją mocno ramieniem i pocałował, aż zadrżała. Od munduru i oporządzenia wojskowego powiało czymś upajającym. Zacięła usta, aby się opanować. Kazik odrzucił pas, rozpiął mundur. Nalał sobie kawy, ułamał potężny kawał placka.

A my już, jak widzisz, wojujemy — powiedział.

Z kim?

Oczywiście z Moskalami.

Razem z panem Radwanem?

Radwan teraz w sztabie przy samym komendancie. U nas nie mieszka.

Widujesz go?

Naturalnie.

Chętnie bym go zobaczyła. Chciałabym mu coś powiedzieć... ,

Zrobi się. Zaprowadzę cię do niego. A ty obecnie matrona?

Czy z tego trzeba się śmiać?

Można się śmiać. Ale matrona to tytuł dostojny, żadne kpinki.

W takim razie dziękuję.

A jak wygląda twój mężulek? Dulski?

Nie, nie Dulski.

I już dochowaliście się pociechy?

Mamy syna.

Podobny do papy jak dwie krople ?

Kropla kropli nierówna.

Nie dokuczaj Anusi — powiedziała Selimowiczowa. — Biedaczka, zmęczona drogą. I pewno niespokojna o synka.

Ale jeśli Walunia roztoczyła nad nim opiekę, na pewno mu niczego nie zabraknie. Powiedz, kochana, jesteś szczęśliwa?

— Jestem szczęśliwa, wujenko — zapewniła patrząc w szare oczy Kazika.

Pogrzeb odbył się następnego dnia. Padał deszcz i wszyscy stali pod parasolami, otaczając trumnę złożoną na brzegu rozkopanego dołu. Poprzez drzewa widać było Błonia. Wygłaszano mowy za mowami. Rozmaici panowie ciągnęli nudnie swoje wywody. Wciąż padały wielkie słowa: Polska, naród, społeczeństwo, kultura, obowiązki obywatelskie, służba sprawiedliwości. Selimowiczowa była w grubej żałobie, z czarną woalką na twarzy. Obok Anny siali synowie i córka zmarłego. Po urodziwej twarzy Kazika, od czasu do czasu, przemykał wyraz kpiąco-złośliwy. Był ubrany czarno, po cywilnemu. Miał objąć kancelarię po ojcu. Stojący obok brata Leon wydawał się jeszcze bardziej niż zwykle brzydki. Ostatnie lata nie przyniosły żadnego rozwiązania w jego życiu. Porzucił studia niczego nie skończywszy. Nie wyjechał. Anna podejrzewała, że zdarza mu się pić — i to w sposób najgorszy, bo w samotności.

Gdy go zapytała:

Jak ci się powodzi, Leonku?

Odpowiedział wzruszając ramionami:

Tylko wojna może mnie uratować.

W końcu mowy skończyły się. Obecni rzucali na trumnę garście ziemi. Po pogrzebie cały tłum osób zebrał się w domu na Łobzowskiej. Anna pomagała wujence w obsłudze gości, gdyż Mańcia, córka Selimowiczowej, była w daleko posuniętej ciąży i ledwie się ruszała. Nalewając filiżanki kawy i krojąc ciasto Anna słyszała wokoło siebie gwar głosów, w którym wciąż pobrzmiwały: „padam do nóżek”, „całuję rączki”, „serwus”... Przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie, która toczyła się wokół najstarszego Selimowicza. Tamten mówił:

Ta pan mecenas nawet nie wie, jak bardzo Rusini stali się nam wrody. No, nie wszyscy, nie wszyscy. Ale wciąż więcej takich, którymi opiekują się władze i pozwalają na wszystko. Mówię panu mecenasowi, tylko patrzeć, jak skoczą nam do gardła, jak Siczyński Potockiemu. A władze będą zacierały rączki..

To niemożliwe - odezwały się protesty. - Władze nigdy na to nie zezwolą. Cesarz bardzo lubi nas, Polaków...

Ale jeśli Walunia roztoczyła nad nim opiekę, na pewno mu niczego nie zabraknie. Powiedz, kochana, jesteś szczęśliwa?

— Jestem szczęśliwa, wujenko — zapewniła patrząc w szare oczy Kazika.

Pogrzeb odbył się następnego dnia. Padał deszcz i wszyscy stali pod parasolami, otaczając trumnę złożoną na brzegu rozkopanego dołu. Poprzez drzewa widać było Błonia. Wygłaszano mowy za mowami. Rozmaici panowie ciągnęli nudnie swoje wywody. Wciąż padały wielkie słowa: Polska, naród, społeczeństwo, kultura, obowiązki obywatelskie, służba sprawiedliwości. Selimowiczowa była w grubej żałobie, z czarną woalką na twarzy. Obok Anny stali synowie i córka zmarłego. Po urodziwej twarzy Kazika, od czasu do czasu, przemykał wyraz kpiąco-złośliwy. Był ubrany czarno, po cywilnemu. Miał objąć kancelarię po ojcu. Stojący obok brata Leon wydawał się jeszcze bardziej niż zwykle brzydki. Ostatnie lata nie przyniosły żadnego rozwiązania w jego życiu. Porzucił studia niczego nie skończywszy. Nie wyjechał. Anna podejrzewała, że zdarza mu się pić — i to w sposób najgorszy, bo w samotności.

Gdy go zapytała:

Jak ci się powodzi, Leonku?

Odpowiedział wzruszając ramionami:

Tylko wojna może mnie uratować.

W końcu mowy skończyły się. Obecni rzucali na trumnę garście ziemi. Po pogrzebie cały tłum osób zebrał się w domu na Łobzowskiej. Anna pomagała wujence w obsłudze gości, gdyż Mańcia, córka Selimowiczowej, była w daleko posuniętej ciąży i ledwie się ruszała. Nalewając filiżanki kawy i krojąc ciasto Anna słyszała wokoło siebie gwar głosów, w którym wciąż pobrzmiwały: „padam do nóżek”, „całuję rączki”, „serwus”... Przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie, która toczyła się wokół najstarszego Selimowicza. Tamten mówił:

Ta pan mecenas nawet nie wie, jak bardzo Rusini stali się nam wrody. No, nie wszyscy, nie wszyscy. Ale wciąż więcej takich, którymi opiekują się władze i pozwalają na wszystko. Mówię panu mecenasowi, tylko patrzeć, jak skoczą nam do gardła, jak Siczyński Potockiemu. A władze będą zacierały rączki...

To niemożliwe — odezwały się protesty. — Władze nigdy na to nie zezwolą. Cesarz bardzo lubi nas, Polaków...

Ta co niemożliwe? Przyjedźcie panowie do nas, sami zobaczycie.

Robota Moskwy...

Nasze własne władze, nie żadna Moskwa.

A ja panu mówię, że cesarz nas kocha...

Roznosząc filiżanki z kawą natknęła się na Radwana.

Ach, to pani? Witam, witam. Co słychać u pani? Mówił mi Kazik, że chciała mi pani coś powiedzieć.

Tak.

Przysiadła obok niego i opowiedziała całą historię z bibułą.

Od tamtego czasu minęło więcej niż trzy lata — kończyła. — Nikt się potem do mnie nie zwracał.

Pokiwał głową.

Wiem — powiedział — że w tamtym czasie były duże wpadki. Zresztą wpadki zdarzają się ciągle. Taki los konspiracji. Nie znam ludzi, o których pani mówi. Może zostali aresztowani, może uciekli. Powinni byli jednak nawiązać z panią przerwany kontakt. Czy chce pani, aby na nowo przysłano do pani kogoś?

Potrząsnęła głową.

Nie. Teraz już nie mogłabym się zajmować żadną pracą Mam dziecko, własny dom... a także... — urwała.

Patrzył na nią uważnie.

Pani coś jeszcze chciała powiedzieć?

Tak Chcę być wobec pana szczerą. Doszłam do przekonania, że to nie jest robota właściwa...

Walka o wolność?

Oczywiście, że nie. Jednak wydaje mi się, że walki o wolność nie można prowadzić przy pomocy Austriaków.

Nawet z diabłem — byłe o wolność!

Stanowczo potrząsnęła głową.

Nie umiem dyskutować — powiedziała — ale myślą inaczej...

Jak pani chce. Ale będzie pani żałowała swej decyzji, gdy przyjdziemy do was z bronią w rękę i całe Królestwo zerwie się do walki.

Selimowiczowa z drugiego końca salonu wzywała ją znakami do pomocy. Powiedziała:

Przepraszam, muszę iść...

Skłonił się grzecznie. Rzekł:

Niech pani jeszcze raz o tym pomyśli. I proszę przyjść zobaczyć strzeleckie ćwiczenia. Już mówiłem Kazikowi...

Ćwiczenia odbyły się w dwa dni później na polach za parkiem Jordana, Anna miała pojechać z wujenką i Mańcią, Został sprowadzony fiakier. Seiimowiczowa ustaliła z góry cenę z woźnicą w czarnym meloniku, Targowała się przy tym zawzięcie. Potem, gdy już jechali, zapewniała Annę, że targować się trzeba, gdyż fiakrzy są ludźmi bez sumienia i tylko ułożywszy z góry wysokość zapłaty można uniknąć obdarcia ze skóry.

Na polach zebrały się wielkie tłumy. Większość stanowiły młode kobiety ubrane w jasne sukienki i trzymające nad głowami barwne parasolki. Wyglądało to na prawdziwą rewię mody. Kobiety trzepotały się, chichotały, coś mówiły z zapałem do towarzyszących im mężczyzn. Anna patrząc na rozbawione towarzystwo doszła do przekonania, że stała się starą i poważną kobietą. Równocześnie jednak zrobiła odkrycie, że jej sukienka, uszyta przez znajomą szwaczkę mieszkającą na facjacie na rynku Starego Miasta, nie ustępuje krojem tutejszym kreacjom wymodelowanym „według Wiednia”.

Na plac wkroczyła kolumna żołnierzy w siwych mundurach. Śpiewali:

Hej, idą strzelcy,

Morowi wielcy

Hej, strzelcy, hej, strzelcy, hej, strzelcy są.

A za strzelcami,

Panny z kwiatami

Hej, strzelcy, hej, strzelcy, hej, strzelcy są.

Przywitały ich krzyki i oklaski. Panienki sięgnęły po bukiety trzymane przez ich towarzyszy i rzucały kwiaty na idących strzelców. Oni szli marszowo i mocno wybijali takt butami. Grała orkiestra, warczały werble. Przemaszerował poczet z chorągwią. Drgnęła, gdy zobaczyła na amarantowym tle białego orła. Znowu w głowie pojawiło się tysiące sprzeciwów wobec stanowiska, które, jak uważała, powinna lojalnie dzielić z mężem. „Z każdym, nawet z diabłem, byle o wolność” — przeleciały przez głowę słowa Radwana, A może jednak to on ma rację? — myślała.

Potem kolumna rozsypała się. Poszczególne oddziały ćwiczyły oddzielnie. Oficerowie dawali znaki szablami, a od tych znaków nad zielonymi polami przelatywały srebrne błyski. Od musztry strzelcy przeszli do ćwiczeń poważnych. Biegali, klękali, strzelali ze swych strasznie długich karabinów, a każdy strzał wywoływał okrzyki wśród patrzących. Potem chłopcy włożyli bagnety na karabiny i z okrzykiem „hurra” biegli do szturm. Dwóch upadło udając rannych. Zaraz podbiegli do nich sanitariusze i odnieśli na noszach do namiotu, przed którym stała gromada dziewcząt ubranych w białe czepeczki z czerwonymi krzyżami. Gdy ćwiczenia były skończone, oddziały zebrały się na nowo w kolumnę. Ustawiono się frontem do publiczności ze sztandarem na skrzydle. Zagrały trąbki, oficerowie i żołnierze sprezentowali broń. Z tłumu wyszedł niski mężczyzna z czarną brodą, także w mundurze. Przyjął raport, przemówił krótko do strzelców i odszedł znowu w tłum utykającym nieco krokiem. Kolumna zrobiła w prawo zwrot, ustawiła się do marszu. Trąbki zagrały, załomotały werble. Zaśpiewali:

Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały,

a przeciw nam śmiertelny stoi wróg...

To była piosenka, którą i ona знаła. Strzelcy maszerowali, ludzie klaskali, kobiety powiewały chusteczkami. Niektóre usiłowały kroczyć równo z szeregi. Anna nie klaskała, nie machała chustką. Ale czuła, jakby na jej gardle zacisnęła się jakaś dłoń. Zagryzała usta, aby nie płakać.

Kolumna przechodziła tuż obok. Strzelcy maszerowali z tupotem, ze śpiewem, z kwiatami wetkniętymi w lufy karabinów. Widziała ich czerwone, spocone, ale roześmiane twarze pod daszkami maciejówek. Między oddziałami dostrzegła Kazika. Szedł z nagą szablą na ramieniu na czele swego plutonu. Białe jego zęby błyskały, smagła twarz była jeszcze bardziej pociągająca niż zwykle. Anna miała wrażenie, jakby wzruszenie i zachwyt złączyły się w niej z poczuciem jakiejś aż bolesnej pustki; wydawało się jej, że stało się coś rozpaczliwego i nieodwracalnego. Czuła zawrót głowy, jakby spadała z wysokości.

Ale jeszcze raz zapanowała nad sobą. Kolumna przeszła, tłum pociągnął za nią. Na skraju pól strzelcy stanęli. Padły komendy, szeregi pękły. Mężczyźni w mundurach pomieszali się z barwnie ubranymi kobietami.

Kazik zbliżył się do nich, dzwoniąc szablą, która obijała się o ubrane w sztylpy łydki. Pachniał skórą rzemieni, potem i pyłem. Pocałował w rękę matkę, klepnął po ramieniu siostrę. Annę objął w pól.

No jak ci się Anusiu, podobało? — pytał.

Nie odpowiedziała. Ale z ruchu głowy wyczytał jej odpowiedź.

Widzisz — rzekł — jeszcze rok, a przyjdziemy do was...

Dalej milczała. Całą siłą powstrzymywała się, aby nie pokazać Kazikowi, co się z nią dzieje. Na szczęście Mańcia powiedziała, że czuje się źle i prosi, aby już wracali. Podjechał czekający na nich fiaker.

Powóz podskakiwał na koślawym bruku. Ulice w niedzielne południe były puste. W pewnej chwili Anna zobaczyła gromadę dziewcząt. Świąteczne sukienki opinały się na ich figurach. Stukały ciężkim: trzewikami. Niosły w czerwonych dłoniach chusteczki, różańce, czasami książeczki do nabożeństwa. Młodsze otaczały starszą, która idąc coś im jakby tłumaczyła. Musiały to być służące, które szły na sumę.

Następnego dnia miała wracać, więc jeszcze po południu wybrała się na pożegnalny spacer po Krakowie. Była sama. Kazik musiał pójść do Strzelca, Leon — do Sokoła. Mańcia położyła się, wujenka czuwała przy mej.

Mijając furtkę natknęła się na niskiego mężczyznę. Miał małą bródkę, wąskie oczy, jakby nieco skośne, wydatne usta. Widziała go już poprzednio z daleka. Był to jeden z obecnych lokatorów wujenki. „Wyobraź sobie, Anusiu — mówiła Selimowiczowa — mamy teraz na stacji Moskala. Jakiś podobno rewolucjonista. Ale cichy, skromny, niewymagający... Przypomina mi trochę waszego Witolda...”

Była tak zamyślona, że niemal wpadła na mężczyznę. Cofnęła się i uśmiechnęła przeproszająco. Tamten odpowiedział uśmiechem. Uchylił czapki ukazując łysą głowę.

Izwinitie — szepnęła.

Niczewo, niczewo. Ja tożę zadumany... A wy mówicie po rosyjsku? — próbował po polsku.

Przyjechałam z Warszawy. Na pogrzeb. Pan Selimowicz był moim wujem.

Panimaju. I teraz pani wraca do Warszawy, czy zostaje?

Wracam, naturalnie. Już jutro.

Nu, to pani szczęśliwa...

Szczęśliwa? Dlaczego?

Zobaczy pani swoją ziemię...

Tu jest także moja ziemia.

Prawilno. Tu i tam — Polska. — Pokręcił głowę i uśmiechnął się. — Powinna być potączona i wolna...

Wujenka miała rację; ten uśmiech zwłaszcza uczynił twarz mężczyzny podobną do twarzy Witolda. Ta sama mieszanina kpiny i dobroduszości. Witold był właśnie taki jak jego uśmiech: bezlitosny w żartach, ale gdy spotkał potrzebującego, gotów mu oddać ostatnią koszulę.

Cieszę się, że pan tak mówi — powiedziała.

Ja tak dumam — widać było, że mówienie po polsku sprawia mu trudność. — Wasz naród sławny. Mocny i dziwny...

Dlaczego dziwny? — spytała zaskoczona.

Umiecie walczyć o to, co wam zabrali, umiecie pomagać drugim, a nie umiecie szanować tego, co macie...

Tak pan sądzi? Pan zna Polaków?

Próbuję poznać. Z pani kuzynami rozmawiam. Dużo rozmawiam. Chodzimy razem na wycieczki. Jeździliśmy nawet do Zakopanego. Poszliśmy do Czarnego Stawu... Może przejdziemy się kawałek?

Chętnie.

Niech pani się nie boi, nie jestem śledzony. Stracili ślad.

Więc śledzą pana? Mówiła wujenka, że pan jest rewolucjonistą.

Choć ulica była pusta, odruchowo ściszyła głos.

Tylko rewolucja wyzwoli proletariata z niewoli fabrykantów i kapitalistów. Tamci mają siłę i bogactwa, uciskają robotników i wyciskują ich trud, tuczają się ich krwią i potem. Zwyciężyć ich można tylko w walce. Cały proletariata musi ruszyć do boju. Nie może być litości dla ciemiężycieli...

A co potem? — podniosła na niego oczy.

Po rządach proletariatu przyjdzie społeczeństwo komunistyczne, bez państwa, bez policji...

Choć mówił dla niej rzeczy uproszczone, w jego słowach dyszała gorąca wiara w ten przyszły świat. Tam u nich, gdy jedni robili fortuny na towarach wykonywanych i wysyłanych do Rosji, masy robotnicze cierpiały nędzę. Widziała to — przecież w ciągu kilku lat uczyła dzieci tamtych. Ale ten człowiek mówił twardo, a w niej był sprzeciw wobec krwawej rewolucji.

My, Polacy — powiedziała — chcemy przede wszystkim wolności. Gdy będziemy wolni, wszystko się ułoży.

Potrząsnął głową. Gdy protestował, odrzucał do tyłu głowę, i wtedy jego bródka sterczała wojowniczo.

Nie ułoży się tylko dlatego, że będziecie wolni. Mieliście dawniej wolność, byliście największym państwem w Europie — i co?

Przeszli się dwa razy tam i z powrotem po ulicy, wzdłuż muru klasztornego. Ciągnął:

Straciliście wszystko. Aż dziwne, że nie zginęliście. Inni, gdy zaznają takiego upadku, już się nie podnoszą. A wy... Pani wie, te monaszki — wskazał palcem mur — wygnał z Poznania Bismarck. Przybyły tutaj jak żebraczki. A teraz znowu mają klasztor, znowu modlą się, odprawiają swoje nabożeństwa...

Zmienił temat. Zapytał:

Więc pani już jutro wraca?

Tak.

Ja także wyjeżdżam. Do swoich wrócić nie mogę, zaraz by mnie zamknięto. Tu także zostać nie mogę. Lada dzień szpicle trafią na mój ślad. Pojadę na zapad... na zachód. Tak się mówi po waszemu?

Tak. No, to życzę panu, aby pan mógł jednak kiedyś wrócić do Rosji.

Spasibo. Muszę tam wrócić. I wrócę... Pani zna Rosję?

Byłam tylko w Petersburgu. Ale mój ojciec był zesańcem. Przebywał w Szadryńsku.

Urodziłem się w tamtych stronach.

Na Syberii?

Tak. Syberia to wielki kraj przyszłości. Za sto lat zobaczy pani...

Przymrużyła żartobliwie oczy. Zapytała:

Za sto lat, kiedy zwycięży rewolucja?

Zaśmieli się oboje.

Moja rewolucja zwycięży wcześniej — powiedział — i jestem pewny, że pani to zobaczy. A z Syberią to się trochę przegadałem. Tego, co będzie za sto lat chyba i pani nie zobaczy. Może jednak zmiany na Syberii dokonają się wcześniej...?

Pożegnali się. On odszedł w stronę domu, ona podążyła wolno w kierunku plantów.

Lato tego roku zaczęło się pięknie i upalnie. Anna uświadomiła sobie, że jest w ciąży. W sam czas — myślała. Jędrus v ma pięć lat i chowa się dobrze. Potrzebne mu towarzystwo. Teresa nie opuszczała domu Rogowskich. Annę wprawdzie niepokoił wiek staruszki i jej wieczny kaszel, wiedziała jednak, czym by było dla Jędrusia rozstanie z ukochaną Tesią.

Starą chłopkę i chłopca połączyła wielka miłość. Jędrus zawsze miał coś do opowiadania Teresie — ona zaś tylko o tym myślała, aby przygotować dla ulubieńca jakiś nowy przysmak. Anna postanowiła jednak, że będzie się starała zająć służącą więcej w kuchni, sama zaś cały swój wolny czas poświęci synowi. Dużo mu czytała, a on niezmiernie lubił słuchać. Zauważyła, że ma znakomitą pamięć: przeczytany parę razy wiersz umiał na pamięć. Chodził potem po kuchni i deklamował go Tesi. Także na podstawie usłyszanych księzek układał niezwykle historie. Choć ją wysłuchiwanie tych bajek nudziło, postanowiła poświęcić się i słuchać opowieści syna, aby Teresa nie była jedyną jego słuchaczką.

Zmienili ostatnio mieszkanie. Z ciemnych pokojów na Wiejskiej przenieśli się do dużego i widnego mieszkania na Chłodnej. Rogowski przyjął dodatkowe zajęcie, podjął się mianowicie prowadzenia administracji kamienicy, w zamian za co otrzymał w tej kamienicy mieszkanie. Z Chłodnej było dalej do Ogrodu Saskiego niż z Wiejskiej do Parku Ujazdowskiego, ale za to na tyłach podwórza znajdował się mały ogródek, którego użytkowanie przysługiwało administratorowi. Tych kilka drzew i krzaków dawało Annie wielką radość. Natomiast kłopot sprawiała większa odległość do mieszkania rodziców. Uważała, że musi być u nich codziennie — zwłaszcza stan zdrowia ojca pogarszał się szybko. Aby ją ustrzec od codziennych wędrówek z Chłodnej na plac Warecki, Rogowski postarał się o założenie telefonów w obu mieszkaniach. Była zachwycona, że może po kilka razy w ciągu dnia rozmawiać z matką, choć obie musiały się dopiero nauczyć rozmawiać na odległość.

Ich sytuacja materialna wciąż się poprawiała. Aleksander, zawsze pełen czarnych obaw co do przyszłości, uzupełniał zarobki magistrackie różnymi dodatkowymi pracami. W wyniku tego był zajęty od wczesnego ranka do wieczora. Z trudnością godziła się z tym, że jego życie to nieustanne biuro i pióro. Cóż z tego, że wiedziała, iż mężczyzna kocha gorąco i ją, i syna, kiedy, jeśli miał wolny wieczór i wyjątkowo przebywał w domu, zaczynał drzemać w fotelu. Jedynie w niedzielę zdarzało się, że wychodził z Jędrusiem na spacer. Chłopczyk wróciwszy opowiadał matce: „Tatus spotkał jednych panów i cały czas z nimi rozmawiał. Mnie kupił wody sodowej z sokiem i pierniczka...” Albo: „Poszliśmy z tatusiem do mateczek. Tatus pił herbatę i rozmawiał z moją mamą chrzestną, a mnie zabrała jedna dziewczynka do ogrodu i bawiliśmy się. Ta dziewczynka pytała, czy będę księdzem, ale ja mówiłem, że będę żołnierzem...” Tylko bardzo rzadko udawało się Annie wyciągnąć męża do teatru.

Podobnie rzecz wyglądała z wyjazdem na wakacje. Anna udając się na początku lata do uzdrowiska nad Niemnem chciała, aby Aleksander był razem z nimi przynajmniej przez kilka tygodni. Ale

Rogowski już po dwóch czy trzech dniach zaczynał mówić o powrocie, i czuł się nieszczęśliwy. Był święcie przekonany, że właśnie w czasie jego nieobecności stanie się coś ważnego. Musiała zresztą przyznać, że ilość spraw, jakie prowadził, była tak duża, iż rzeczywiście w każdej chwili mógł być potrzebny w Warszawie. W rezultacie każdego roku skracał swój pobyt — co znowu uważała za szkodę dla dziecka, i ona z kolei niepokoiła się o rodziców. Wbrew woli budził się w niej żal do męża. Tłumaczyła sobie: — Nie mam racji. To nie jeg: wina, taką ma naturę — i nic na to poradzić nie można. Kocha nas i chce nas mieć blisko siebie. — To mogła stwierdzić z całą pewnością: w jego życiu poza pracą i rodziną nic nie istniało. — Wolałabyś — pytała siebie — aby się bawił, grał w karty, pił, trwonił pieniądze, zabiegał o własne przyjemności lub po prostu zdradzał ciebie?

Któregoś dnia rano zadzwonił telefon. Jeszcze wciąż było w niej uczucie, że gdy odzywa się ten dzwonek, przynosi jakąś niezwykłą wiadomość. Tym razem naprawdę była to duża niespodzianka; w słuchawce usłyszała głos Michała:

Anusia, to ty?

Michał! Skąd się wzięłeś? Jesteś w Warszawie?

Przyjechałem dziś rano...

Jesteś u rodziców? Co u ciebie? Musimy się zobaczyć. Mam ci tyle do opowiadania...

Musimy się zobaczyć i to jak najprędzej. Przyjechałem ze względu na Mikołaja...

Jakiego Mikołaja?

Jak to? Nie rozumiesz? Kostasa.

Mikołaja? Tyle lat go nie widzieliśmy. Co się z nim

dzieje?

Jest w Warszawie. To znaczy tu, niedaleko, pod Warszawą. Choruje. Napisała do Pawła jego żona. Prosiła, aby go koniecznie odwiedzić. Paweł nie mógł przyjechać...

Dlatego ty przyjechałeś?

Tak.

I pójdziesz go odwiedzić?

Chcę to zrobić. A może pójdziesz ze mną?

Nie wiem, czy Mikołaj chciałby tego... I czy wypada...

On podobno ciężko chory.

W takim razie pójde. Gdzie on jest?

Jedzie się do niego wąskotorówką. Czy mogłabyś przyjść na dworzec pod mostem Kierbedzia o pierwszej?

Dobrze.

Wydała stosowne dyspozycje Teresie. Aleksandrowi napisała kartkę: „Muszę wyjechać na parę godzin, opowiem po powrocie. Obiad da ci Teresa. Jeślibyś miał trochę czasu, weź, proszę, na spacer Jędrusia — taka ładna pogoda”.

Tyle lat minęło, odkąd widziała ostatni raz Mikołaja. Od tamtych wakacji, gdy przesiedzieli noc na rozmowie na Pogance, Michał i Paweł utrzymywali przez pewien czas z Kostasem kontakt listowny, ale i ten w końcu się zerwał. Dochodziły tylko słuchy o niezwykłych sukcesach muzycznych Mikołaja, a jeszcze większych malarskich. Gazety pisały

nim, mówiły o otrzymywanych nagrodach. Ale od pewnego

czasu zapanowało na temat artysty milczenie. A teraz jego żona napisała do Pawła... To była Zofia, którą widziała wtedy w chacie Kostasów...

Ubrała się, wzięła parasolkę, pocałowała Jędrusia, który bawił się papierowymi żołnierzami przy swym małym stoliku. Umiał się bawić samotnie. Jego żołnierze prowadzili ze sobą ożywione dialogi. Potem odbywały się bitwy. Innych zabaw nie było — tylko bitwy. Ktoś zawsze w tej bitwie ginął po bohatersku... Skąd, myślała nieraz, takie zainteresowania u łagodnego, spokojnego chłopca?

Pod mostem Kierbedzia od strony Pragi była stacja kolejki. Michał czekał już na Annę. Witła go serdecznie, nie widzieli się od zeszłych wakacji. Michał wciąż nie był jeszcze żonaty. Jego narzeczona to chorowała, to się kurowała, to bawiła za granicą. Ślub odkładano z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. W końcu przyjaciele i znajomi zaczęli pokpiwać, że Michał czeka na swą wybraną jak Izrael na Rachelę,

gdy termin nadejdzie, gotów zamiast ukochanej otrzymać Lię...

Dokąd jedziemy? — pytała.

Do Pustelnika. Tam jest szpital...

To on jest w szpitalu? Co tam za szpital?

Zakład dla umysłowo chorych...

Umysłowo chorych?! — patrzyła na brata przerażonym wzrokiem.

Nie przejmuj się, Anusiu. Z tego, co pisała jego żona, wynika, że to po prostu jakieś zaburzenie nerwowe. Przepracował się. Po prostu spalił się. Pamiętasz, że nigdy nie znał w niczym miary. A choć miał taką sławę, materialnie wcale nie stanął mocno na nogach...

Pochyliła głowę i końcem parasolki rysowała na zakurzonej podłodze poczekalni jakieś esy-floresy.

Przyjechał pociąg. Małe wagoniki były pomalowane na brązowo lub zielono. Lokomotywka prychała i strasznie hałaśliwie wypuszczała parę. Z komina waliły kłęby dymu, tak że spowiły cały peron. Zajęli miejsca w wagonie. Potem zadzwoniono i pociąg ruszył. Wagoniki kolebały się, jakby były zabawkami z Luna Parku.

Słuchała jednym uchem tego, co mówił Michał. Nie dostrzegała nędznych domów i domeczków Targówka, wśród których jechali. Potem zrobiło przestronniej, pociąg dysząc i sapiąc jechał wśród pól i małych lasów.

Stacyjka, na której wysiedli, była równie mała jak pociąg. Właściwie stanowił ją tylko daszek od deszczu i ciasne pomieszczenie dla naczelnika stacji i kasjera w jednej osobie. Spytali o zakład i wskazano go im od razu. Otaczał go wysoki mur.

Lekarz, który ich przyjął, był młodym człowiekiem, łysawym, w okularach. Początkowo wydawał się opryskliwy, ale usłyszawszy, że są dziećmi doktora Miniewicza, od razu zrobił się bardzo uprzejmy i elokwentny.

Państwo chcielibyście odwiedzić tego malarza? Mam nadzieję, że nie jesteście państwo jego rodziną?

Nie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

To dobrze. Będę mógł mówić otwarcie. Jego stan jest bardzo zły.

Co to takiego?

To ma swoją naukową nazwę. Ale można jego chorobę ująć opisowo. Psychika tego człowieka nie wytrzymała ciężaru jego geniuszu. To wielkie słowo, przyznaję. Ale nie przesadzam. Ten człowiek otrzymał od natury tyle, że starczyłoby na dwóch czy trzech artystów. Może gdyby żył inaczej... Tym także sobie zaszkodził. Kto chce jeździć na ogierze czystej krwi, musi go trzymać na wodzach. Ale on chciał spróbować wszystkiego. Malował, komponował, grał, pisał... No i kosztował życia... Czasami takich ludzi ratuje kobieta. Krytycy oburzają się, twierdzą, że ona rozprasza artystę, umniejsza go. Ale to go właśnie ocala. Tacy ludzie powinni być związani z domem, z dziećmi, z ludzkimi troskami... Nie można tylko galopować na pegazie. On jednak widać takiej kobiety nie znalazł. Ma żonę, ale ta żona patrzyła w niego jak w tęczę i we wszystkim była mu posłuszna...

Czy to rodzaj szału? — zapytała głosem, który lekko drżał.

Nie, nie, niech się pani nie boi. Jest cichy i spokojny. Popadł tylko w ogromną melancholię. To tak, jakby człowieka przywalił smutek niby ciężar, którego nie potrafi unieść...

Należał widać do tego rodzaju lekarzy, którzy swą wiedzę usiłują przełożyć na język zrozumiały dla laików.

To co? Chcecie państwo go zobaczyć?

Powstali i poszli za nim. Mijali jedne za drugimi drzwi bez klamek. Lekarz otwierał je kluczem, który miał na łańcuszku przy pasku.

Pokój, do którego w końcu weszli, był dość mroczny. Stały tu dwa łóżka, kilka krzesetek, stół, niewielka szafka. Na ścianach nie wisało nic poza krzyżem. Na łóżkach naprzeciwko siebie siedziało dwóch mężczyzn. Nie rozmawiali ze sobą, nie podnieśli głów na przybyłych. Każdy patrzył przed siebie w jakiś punkt nad ramieniem sąsiada.

Lekarz powiedział:

Łaba diena, panie Mikołaju. Goście przyszli do pana.

Jeden z chorych obrócił leniwie głowę w stronę lekarza i wtedy dopiero poznała Mikołaja. Zmienił się ogromnie. Miał twarz szarą, dziwnie nalaną, jakby obrzmiałą. Oczy z na wpół opadłymi powiekami miały wyraz przejmującego smutku. Nie było na tej twarzy nic z dawnej pewności siebie, wesołości i energii. Zawadiacki wąsik miał zgolony, bujna czupryna przysypana była jakby popiołem. Choć patrzył na nią i na Michała, twarz nawet nie drgnęła. Oczy jakby zmęczone patrzyły jedynie na lekarza.

No, nie widzi pan? Ma pan gości — mówił lekarz.

Łaba diena — rzucił obojętnie w przestrzeń.

Nie poznajesz nas, Mikołaju? — zapytał Michał.

Twarz Kostasa nie wyrażała wysiłku, jak u kogoś, kto

usiłuje sobie coś przypomnieć. Były na niej obojętność i jakby ogromne znudzenie.

Asz tamstos niapażistu... — powiedział.

Jak to? Nie wiesz, kim jestem? Nie pamiętasz mnie? Jestem Michał Miniewicz, twój przyjaciel. A to Anusia, moja siostra. Nie pamiętasz?

Tym samym obojętnym tonem oświadczył:

Niaatsimianu...

A Niemna, Poganki, Prababki nie pamiętasz, Mikołaju? — zapytała Anna.

Wciąż jakby znudzonym głosem odpowiedział:

Niaatsimianu...

Zapadła cisza. Słysząc było tylko szybki oddech Anny, Ciszę przerwał lekarz swym pytaniem:

A jadł pan już śniadanie?

Tym razem na twarzy Mikołaja odmalował się wyraz zadowolenia.

Asz esu ałkanas — powiedział. — Bułeczki, masło, jajeczka... Dobre śniadanie. Proszę mi przynieść. Asz esu ałkanas.

Patrzyła z tarasu na płynący w dole Niemen — i myślała o Mikołaju. Umarł niedługo po ich odwiedzinach w Pustelniku. Przyjechawszy tutaj, nie przyszła do Kostasów. Stary Kostas już nie żył. Zapił się, odkąd nowy proboszcz pozbawił go funkcji organisty. Dziewczęta powychodziły za mąż i porozjeżdżały się w różne strony. W domu żyła tylko matka z dwiema najmłodszymi córkami. Mówiło się u nich teraz wyłącznie po litewsku i po polsku nikt nie chciał rozmawiać.

Anna zbuntowała się i powiedziała mężowi, że skoro nie chce wyjeżdżać na wakacje, niech siedzi w Warszawie, ona jednak tego lata pragnie być w uzdrowisku przez całe dwa miesiące. Romuald zbadał Jędrusia i powiedział, że chłopcu koniecznie potrzebny jest pobyt na świeżym powietrzu. Jej także ze względu na ciążę należał się odpoczynek. Aleksander chodził smutny — ale nie sprzeciwiał się. Coś

tam tylko mówił o niebezpiecznych czasach i o szykującej się wojnie — ale ona nie chciała tego słuchać. Jak zawsze przeczuwał niebezpieczeństwo, którego nikt inny nie dostrzegał. Aby nie mieć wyrzutów sumienia, że zaniedbuje męża, zostawiła Teresę, aby prowadziła Aleksandrowi dom. Zrobiła to zresztą jeszcze i z innego powodu: pomiędzy jej matką a Teresą istniała prawdziwa rywalizacja w rozpieszczaniu Jędrusia. Była przekonana, że we dwójkę wydarłyby go całkowicie spod jej wpływu, a ona coraz poważniej miała zamiar zajmować się wychowywaniem syna.

W domku Miniewiczów obok Jędrusia była także inna Wnuczka, Jadzia, córka Hipolita. Małżeństwo jej rodziców po ciężkim kryzysie przeszło w stan separacji. Żona wróciła do swej rodziny, zabierając ze sobą dziecko, Hipolit przeniósł się do Petersburga. Kobieta pełna była niechęci do męża, który jej zdaniem, wpędził ją swoim postępowaniem w chorobę nerwową. Zgadzała się, aby mała Helenka przyjeżdżała na kilka tygodni do dziadków, jednakże pod warunkiem, aby w tym czasie Hipolit nie kontaktował się z dzieckiem.

Oprócz Jędrusia i Helenki doktorowa miała jeszcze dwóch wnuków, synów Romualda, ale ani Romuald, ani jego rodzina nie przyjeżdżali nigdy nad Niemen. W Warszawie także nieczęsto bywali u dziadków. W rezultacie Jędrus korzystał z uprzywilejowanego prawa najdroższego wnuka i nawet obecność Jadzi, której nie opuszczała przysłana razem z nią bona, nie mogła go pozbawić tego stanowiska.

Dom zgodnie z wolą ojca został podzielony. Z dwu bocznych mieszkań — każdego z werandą — jedno zostało przyznane Pawłowi, którego żona właśnie oczekiwała potomka, drugie Michałowi, którego małżeństwo miało być już nieodwołalnie zawarte tego roku. Witold stał się posiadaczem mieszkania środkowego i prawnym właścicielem całego domu, ale na lato odstępował mieszkanie rodzicom, zachowując dla siebie jeden, pokój. Anna miała prawo do pokoju w tylnej części domu, w wypadku jednak nieobecności Witolda wolno jej było mieszkać w jego pokoju, aby była bliżej rodziców.

Dni lipcowe płynęły piękne i upalne. Spędzała czas na spacerach na rozkoszowaniu się domem, który tak bardzo kochała, na rozmowach. Gazet nie czytała, nie interesowała się tym, co się dzieje w świecie. Od Aleksandra przychodziły kartki krótkie, ale pełne tęsknoty, trosk o różne sprawy i powtarzających się aluzji o potrzebie szybszego powrotu. Ale ona nie chciała o tym nawet słyszeć. Gdy czuła się wzruszona słowami tęsknoty, mówiła sobie z odrobiną zawziętości: tak, teraz tęskni, ale gdy przyjedziemy, nie będzie miał dla nas czasu. Potrzebni mu jesteśmy w drugim pokoju...

Opuszczając taras natknęła się na Michała, który szedł do pensjonatu, w którym mieszkała jego narzeczona. Zapytał:

Słyszałaś już, że Poincare pojechał do Kronsztadu?

Spojrzała na niego wzrokiem człowieka wyrwanego z głębokiego snu.

Skąd miałam słyszeć? Czy to ma jakieś znaczenie?

No, oczywiście. Francja i Rosja podały sobie ręce. Teraz to pewno Austria się cofnie...

Przed czym?

Ależ przed wojną! Co się z tobą dzieje? Niczym się nie interesujesz. Austria wystosowała do Serbii ultimatum. Bardzo groźne. Teraz jednak, jestem pewny, cofnie się... Oleś miał jednak wiele racji w tym, co mówił...

Michał pobiegł w stronę placu kościelnego, a ona powoli szła w drugą stronę. Jędrus kroczył obok niej, ubrany w trykocik w paski, z szablą u paska. Zapytał:

Czy mogę mamie opowiedzieć film?

Skinęła z rezygnacją głową, ale nie słuchała opowiadania chłopca. Do kurortu przyjechał kinematograf i poprzedniego dnia, w parku, wyświetlano filmy. Anna poszła z synem na przedstawienie. Wieczór był gorący i pogodny, orkiestra grała, a na ekranie cyrkowcy wywracali koziołki. Były także filmy polityczne. Wielka mucha w pikielhaubie z podkreślonymi w górę wąsami Wilhelma spacerowała po mapie i smarowała ją łapami umaczanymi w atramencie. Jędrus, który oglądał filmy po raz pierwszy w życiu, wrócił do domu oczarowany. Po swojemu zlepił oglądane obrazki w całość, uzupełnił własnymi dodatkami i miał teraz historię do opowiadania.

W domu na werandzie było już nakryte do obiadu i Szyszkowa, która latem stawiała się kucharką dla starszych państwa, niosła przez ogród wazę z zupą. Michał się spóźnił, więc usiadł do stołu w czwórkę. Zjawił się Paweł z gazetą w ręku i siedząc z boku przy ojcu czytał mu wiadomości, że Serbia uległa ultimatum i zgadza się na austriackie warunki. Było już po deserze, kiedy zobaczyli nadchodzącego Michała. Mimo zwykłej powolności szedł szybko. Wstąpiwszy na schody werandy, zatrzymał się, złapał oddech, gdyż był zdyszany, wyrzucił z siebie:

Musiałem być u proboszcza, prosić, aby jutro dał nam ślub...

Ślub? Jutro? — wszyscy podnieśli głowy i patrzyli na niego zaskoczeni. — Dlaczego jutro? Co się stało?

Głos Michała pełen był dalej zadyszki:

Dostałem powołanie do wojska... Do Mińska... Na pojutrze...

Zapanowała chwila ciszy, a potem wszyscy jednocześnie zaczęli mówić. Podniecenie Michała udzieliło się całej rodzinie. Zaczęły się gwałtowne przygotowania do uroczystości od lat odkładanej, a teraz mającej się odbyć w przyspieszonym tempie, bez udziału większości rodziny.

Nie minęły trzy godziny, gdy na werandzie znalazł się Witold w szarym płaszczu, dzwoniący szablą. Anna poderwała się, aby zabrać swoje rzeczy z pokoju brata, on jednak ją powstrzymał.

Zostaw. Nie trzeba. Wstąpiłem tylko, aby się pożegnać z rodzicami. Dziś wieczorem wyjeżdżam. Pewno już wiecie, że Austria odrzuciła ustępstwa Serbii...

Nie tylko u Miniewiczów panowało zamieszanie. Zmienia się wygląd spokojnego miasteczka. Wszędzie widać było ludzi w mundurach. Z okien wylewały się podniecone głosy. Wszystkie drożki były w ruchu. Tu i tam przed wille i pensjonaty zajeżdżały wozy, na które ładowano bagaż. Przy autobusie, który woził gości na stację kolejową w Podrzeczu, stała gromada odjeżdżających. Wobec natłoku mówiło się, że zostanie uruchomiony stary, wyłączony zeszłego lata z ruchu, konny dylizans.

Pod wieczór Anna otrzymała telegram od Aleksandra. Brzmiał krótko: „Wracaj, odpowiedz kiedy”. Z depeszą w ręku poszła do matki.

Niech mama powie, co mam oddepeszować. Kiedy będziemy mogli jechać.

Kochana, nie zajmuj się nami. Jedź jak najszybciej. Dla nas to nie takie proste spakować się, dostać konie na kolej... Nie wyjedziemy wcześniej niż pojutrze.

Ja bez rodziców nie wyjadę!

Jednak powinnaś. Twój mąż tak się o was zawsze niepokoi...

Rozumiem, ale rodziców nie zostawię samych. Przecież wszyscy chłopcy wyjeżdżają...

Miniewiczowa nic nie powiedziała, tylko ogarnęła ramieniem Córkę. Wyglądała spokojnie, ale gdy Anna poczuła jej ciało oparte o siebie, zrozumiała, że stara kobieta drży.

Następnego dnia w małym kościółku odbył się ślub Michała. Zaraz po ślubie młoda para wyjechała do Grodna.

Ulicami od wczesnego rana ciągnęły niezliczone wozy, wózki i powozy, odstawiające wyjeżdżających na dworzec w Porzeczcu. Wyjechał Paweł wezwany przez bank, w którym pracował. W domu na ulicy Św. Jakuba zostali tylko starzy Miniewiczowie i Anna z Jędrusiem.

Nie było łatwo zdobyć dorożkę. Wysłana na miasto Szyszkowa sprowadziła wreszcie znajomego woźnicę Herszka. Żyd stał na werandzie z biczyskiem w ręku i mówił:

—Co nie ma bicz? Ja mogę odwieźć szanownego pana doktora jutro. Ja mogę. Dla szanownego pana doktora to ja nie pójdę do innych gości. Dla mnie szanowny pan doktor jest pierwszy. Ale ja chce powiedzieć, że tam w Porzeczcu to się dzieją straszne rzeczy. Prawdziwy sądny dzień. Te parochody to nie chodzą, jak trzeba, albo przyjeżdżają, albo nie przyjeżdżają. A ludzie siedzą i czekają. A jak pociąg przyjdzie, to okropnie pchają. Depczą, gniotą, zabijają. Aj waj, co się tam dzieje. Te, co ich odwiozłem wczoraj, to jeszcze siedzą i czekają. I jeść nie ma co...

Niech Herszek siądzie i napije się herbaty — zapraszała Miniewiczowa.

Ja bardzo dziękuję szanownej pani doktorowej. Ja panią doktorową i szanownego pana doktora znam tyle lat i ja wiem, jakie one są ludzie. Wszystkie nasze Żydki ich znają. To ja przyjadę jutro i zawiozę. Ale ja się okropnie boje, co tam będzie...

Anna nie mogła z niepokoju znaleźć sobie miejsca. Opowieść Herszka jeszcze wzmogła ten niepokój. Zabrawszy Jędrusia poszła do parku. Orkiestra po staremu grała w muszli, ale słuchających było niewielu. Nawet ci, którzy przyszli, zachowywali się nerwowo, rozmawiali, zamiast słuchać. Czasami ktoś zjawił się szybkim krokiem na placyku przed muszlą — wtedy ludzie zrywał: się z ławek, biegli do niego, otaczali, słuchali przyniesionych nowin. Potem od ławki do ławki biegły wieści:

Austria wypowiedziała wojnę Serbii...

Odrzuciła mediację...

Berchtold powiedział, że Niemcy nie wystąpią, jeśli nikt Serbii nie poprze...

To kłamstwo. Wiluś chce wojny.

Mobilizacji jeszcze nie ma...

Nie ma, ale do wojska wzywają...

I do urzędów...

Mój mąż wezwany...

I mój...

O Boże, Boże... Mój syn wyjechał w nocy...

Pieniądzy rozmienić nie można...

Wśród gwaru i zamętu orkiestra grała ostatniego marsza. Kilka osób z grzeczności klaskało, reszta zanadto była zajęta swoimi sprawami, aby zwrócić uwagę na kończący się program. Nadszedł wieczór. Słońce, które zapadło za las nad jeziorkiem, malowało purpurą strome i łyse brzegi Niemna. Ludzie rozgadany tłumem opuszczali park. Przy bramie masa ludzka skłębiła się przed czerwonym afiszem, który właśnie służący zdrojowy rozlepił na tablicy ogłoszeń. Rozmowy ucichły, nad tłoczącą się gromadą przeleciał pełen grozy szept:

Mobilizacja... Ogłosili... Mobilizacja...

Anna wzięła syna na ręce, aby go nie zdeptali tłoczący się ludzie. Chłopczyk trzymał ją za szyję. Poczuli, że cały drży. Zajęta swoimi sprawami, nie zwracała całej uwagi na niego. Chodził wszędzie za nią, nawet jej nie proponował, że będzie coś opowiadał. W południe przyszła nowa depesza od Aleksandra: „Wróć natychmiast!” Nawet na nią nie odpowiedziała. Poprzednio odelegrafowała: „Wróć, jak tylko będę mogła”. Miała kłopoty z rozmienieniem pieniędzy. Była już spakowana, siedziała na walizkach. Szyszkowa pomagała spakować się Miniewiczowej.

Przytulony do matki Jędrus zapytał szeptem:

Co to jest ta mobilizacja?

To znaczy, że będzie wojna.

Głosem przechodzącym w szloch zapytał znowu:

A ta wojna będzie w pokoju czy na dworze?

Mimo strapienia i podniecenia uśmiechnęła się.

Bądź spokojny, Jędrusiu. Wojna będzie daleko... I to będzie wojna...

Chciała dodać: to będzie nasza wojna, wojna, która może nam przynieść wolność. Ale syn by tego nie pojął. Stawiałby dalsze pytania, na które nie potrafiłaby w tej chwili odpowiadać. Wsunęła się z tłumem, szła w stronę domu nie dostrzegając prawie, że wciąż niesie chłopca.

Herszek miał rację. Mały dworzec w Porzeczu pełen był ludzi czekających już od poprzedniego dnia na pociąg. Pociągi wprawdzie przejeżdżały, ale były to transporty wojskowe i nie zatrzymywały się na

stacji. Jechali rezerwiści wykrzykujący coś wojowniczo i często wyglądający na podchmielonych, a także żołnierze w piaskowych mundurach i okrągłych czapkach.

Anna wywalczyła dla rodziców miejsce na ławce w poczekalni. Siedzieli jak dwa nastroszone ptaki, patrząc przerażonymi oczami na panujący wokoło zamęt. Usta Miniewiczowej poruszały się, modliła się. Ojciec palił papierosa za papierosem. Anna nie mogła wysiedzieć na miejscu. Chodziła tu i tam prowadząc wszędzie za sobą Jędrusia, który nie chciał się ani na chwilę od niej odłączyć. Szła do zawiadowcy stacji pytać, czy nic nie wiadomo o nadejściu pociągu, do bufetu, aby zdobyć dla rodziców szklankę herbaty, wychodziła przed dworzec na ławkę, gdzie koczowały dziesiątki czekających na pociąg osób. Wózki i dorożki wciąż zwoziły nowych.

Popadła w depresję i była przekonana, że będą tu czekali nie wiadomo jak długo. Sytuacja wyglądała rozpaczliwie. Brakło jej drobnych pieniędzy, a większych banknotów nikt nie chciał rozmiąć. W bufecie poza herbatą nie można było niczego dostać, zaś oddać się od dworca nie było bezpiecznie, gdyż pociąg mógł nadejść niespodziewanie w każdej chwili. Drżała o zdrowie dziecka i dwojga starych ludzi, którzy byli wobec tego, co się działo, zupełnie bezradni. Tymczasem panowała gorąca pogoda, ale mogła się zmienić. Trudno sobie nawet wyobrazić, co by się działo, gdyby deszcz i chłód zmusiły koczujących ludzi do szukania schronienia na małej stacyjce.

Chodząc między ludźmi, chwytiała uchem krążące wiadomości. Słyszała, jak mówiono, że wojna już się rozpoczęła, że Austriacy bombardowali Belgrad, że Niemcy wkroczyli do Francji... Powtarzano jakieś przerażające wieści o okrucieństwach niemieckich...

Zbliżał się wieczór i już zaczęła przemyślać nad tym, jak zorganizuje dla swoich noc, gdy nagle podniósł się krzyk, że pociąg nadchodzi. Tłum ludzi rozłożonych na łące przybiegł i stłoczył się na peronie. Nie było prawie gdzie stanąć. Ofiarowawszy tragarzowi banknot dziesięciorublowy, Anna uzyskała jego pomoc. Z Jędrkiem na rękę, trzymając ojca pod pachę, stała zdecydowana walczyć o miejsce w wagonie. Pociąg rzeczywiście nadjechał. W oknach wszędzie widać było głowy ludzi, musiały być wypchane po brzegi. Wśród rozpaczliwych krzyków tłum rzucił się do drzwi. Nigdy by się nie zdołała wepchnąć do wnętrza, gdyby nie tragarz, który popychał ją i rodziców z tyłu. Nie wiedziała, co się dzieje z jej rzeczami, stała wbita w wąski korytarz, drżąc o tych, którzy byli pod jej opieką. Przedziały, które mijiała, były zapchane. Dopiero w szóstym zobaczyła trochę miejsca. Siedziało tam pięciu oficerów rozpartych na ławkach. Ich porozrzucane szable tworzyły prawdziwą barykadę, uniemożliwiającą wejście. Zresztą nie tylko ta bariera z szabel, cisnących się na korytarzu ludzi odpychały spojrzenia oficerów. Musieli być po solidnej popijce. Mundury mieli rozpięte, twarze czerwone, włosy potargane. Na poły leżeli, pokładłszy nogi w błyszczących butach na ławkach.

Gdy otworzyła drzwi przedziału, jeden z oficerów warknął:

Zamknąć i nie wchodzić!

Zdobyła się na staranny akcent, powiedziała:

Widzę tu trochę miejsca. Gdyby się panowie zechcieli trochę ścisnąć, moi rodzice mogliby usiąść. Są starzy i nie zdołają wystać na korytarzu...

Ten, który już przedtem warknął na Annę, czarnowłosy oficer z małymi wąsikami, zerwał się i wściekle krzycząc usiłował zatrasnąć drzwi wypychając brutalnie Miniewicza, który stał w progu.

Annę ogarnął gniew. Rozpaczliwie uczepliła się klamki. Tamten szarpał, aż myślała, że jej złamie rękę. Nie ustępowała. Wyrzuciła przez zęby:

Nie proszę o miejsce dla siebie, ale dla ojca. Moi bracia też są oficerami i też jadą na wojnę...

Oficer nie słuchał. Ogarnięty prawdziwym szałem wrzasnął:

Won!

Podniósł rękę i zdawało się, że ją uderzy. Ale teraz poderwali się inni. Chwycili go za ramiona i odciągnęli od drzwi. Jeden z nich, z brodą, widać najstarszy, kazał towarzyszom usiąść przyzwoicie, a potem wskazując na zwolnione miejsce powiedział do Miniewiczza:

Pozwólcie tutaj, gaspadin. Znajdzie się dla was miejsce i dla waszej suprugii... Pozwólcie, pożałsta siediteś... — Zwrócił się do Anny. — A was, barynia, przepraszam za naszego towarzysza...

Bez słowa skinęła tylko głową, niezdolna ze zdenerwowania do odpowiedzi. Zabezpieczywszy rodziców cofnęła się na korytarz. Miała tyle tylko miejsca, że mogła usiąść na podłodze trzymając w objęciach Jędrusia, który natychmiast zasnął. Sobie nie pozwoliła nawet na zamknięcie oczu. Była zdecydowana czuwać i nie pozwolić skrzywdzić swoich. Pociąg toczył się wolno. Czasami, nie wiadomo dlaczego, stawał. Wieczór przeszedł w noc, godziny wlokły się ciężko i leniwie.

Po jakiejś godzinie z przedziału wysunęła głowę Miniewiczowa. Powiedziała, że w przedziale wszystko się ułożyło. Oficerowie zawstyżeni zachowaniem kolegi teraz okazywali na wyścigi uprzejmość tym bardziej, że w rozmowie okazało się, że jeden z nich jest kolegą Witolda. Także czarnowłosa oficer przeprosił Miniewiczów. Oficerowie wysiadają w Grodnie, więc niedługo zwolni się cały przedział. Ale już teraz Miniewiczowa przyszła wziąć do przedziału Jędrusia. Zrobiono dla niego miejsce na siatce na bagażu i będzie tam mógł spać spokojnie do samej Warszawy.

Weszła z matką do przedziału. Oficerowie pomagali jej ułożyć na siatce syna, owiniętego w koc. Aby nie spadł, zrobiono zapórę z szabel.

Wróciła na korytarz. Za nią wyszedł tamten, czarnowłosa. Stanął przy oknie i przez czas jakiś patrzył milcząco w czarną przestrzeń, w której raz po raz pojawiały się całe bukiety iskier. Dopiero, postawszy tak, obrócił się do Anny:

Bardzo proszę, madame, o przebaczenie. Już przeprosiłem pani ojca, szanownego pana doktora, i pani matkę. A teraz proszę o przebaczenie was, barynia... Zachowałem się jak gbur i łotr. Jak zwyczajna swołocz. Excusez-moi, bardzo o to proszę. Upiłem się... Może, gdyby madame zezwoliła mi powiedzieć kilka słów o sobie, zdołałbym się choć częściowo wytłumaczyć, a madame zgodziłaby się udzielić mi przebaczenia... Pani jest na pewno osobą dobrą. To widać. Ale ja powiedzieć nie śmiem...

Już dawno gniew jej wywietrzył. Nie umiała być zacięta.

Nie mam żalu — powiedziała. — Ta wojna sprawiła, że jesteśmy zdenerwowani... Bałam się o rodziców...

Pani mówi ślicznie po rosyjsku Co za akcent! A przecież pani jest Polką, prawda?

Tak.

I pani jest dobra. A ja postąpiłem jak świnia.

Niech pan da spokój. Zapomnijmy już o tym.

Ja nie zapomnę. Nigdy nie zapomnę. Czy pozwoli pani ucałować pani rączkę? Będzie to dla mnie znak przebaczenia.

Nie była tą propozycją zachwycona, ale dla zakończenia tej rozmowy wyciągnęła do niego rękę. Wpił się w jej dłoń ustami jak pijawka. Wytrzymała to, nie chcąc mu wyrwać ręki zbyt gwałtownie.

Gdyby mi pani nie przebaczyła — rzekł — zabiłbym się. Nie żartuję. Mam nabity pistolet. — Uderzył się po kieszeni munduru, którą rzeczywiście wypychał jakiś wielki kształt. — Zresztą i tak zastrzelę się. Wcześniej czy później. Muszę się zastrzelić...

Nikomu nie wolno się zabijać — powiedziała.

Kto mi zakáže?

Bóg zakazuje.

Och, Boh, ja wiem... Ale ja tyle złego zrobiłem. Sam Bóg mnie nie chce. Pani jest taka dobra, pani powiem. Sprzeniewierzyłem pieniądze z kasy oficerskiego kasyna. Pożyczyłem rubelki i przegrałem w karty. A teraz nie ma z czego oddać. Pani rozumie? Nikt jeszcze tego nie wie. Oni też — wskazał dłonią drzwi przedziału. — Myślą — upił się. Ale nie wiedzą, dlaczego piłem. Za dwa, trzy dni będę musiał zdać sprawę. A wtedy czeka mnie sąd, degradacja, więzienie... Zabiję się.

Nie powinien pan tego robić.

Nie mogę inaczej.

Powinien pan inaczej. Odpokutować.

To niemożliwe. Jak?

Nie wiem. Ale teraz jest wojna. Na wojnie, słyszałam, są różne możliwości.

Zdegradują mnie do prostego żołdaka.

Czy prosty żołdak nie może uczynić czegoś dla swojej ojczyzny?

Patrzył na nią wzrokiem, który chwilami wyglądał błędnie.

Pani jest święta kobieta — wybełkotał.

Niech pan nie opowiada głupstw — wybuchnęła.

Nie... ja wiem... ja... — bąkał. Uniósł dłoń do czoła. — Ja jeszcze raz przepraszam...

Na palcach, jakby obawiając się, że kogoś obudzi, cofnął się, otworzył drzwi przedziału i zniknął za nimi. Została w korytarzu sama. Inni pasażerowie jakoś zdołali się upchnąć po przedziałach. Westchnęła z ulgą. Miała już dosyć tej rozmowy. Nie zносиła pijaków, wiedziała, że gdy na nich patrzy, nie potrafi ukryć niechęci. I jeszcze w dodatku pijak z nabitym pistoletem w kieszeni... A jeśli on

zechce się zastrzelić tam, w przedziale? Zmęczenie walczyło w niej z niepokojem. Obsunęła się na uczepony ściany strapontin. Oczy zamykały się same. Ale jeszcze ich nie zamknęła, gdy już sen uleciał. Ogarnął ją niepokój, który poprzednio dusiła w sobie. Co powie Aleksander, gdy ich zobaczy? Jak przyjmie to, że czekała na rodziców, zamiast wyjechać natychmiast, gdy otrzymała pierwszą depezę? Co on tam myśli, on, taki wiecznie niepokojący się, ulegający bujnej imaginacji? Co czuje?

Niedługo potem pociąg zatrzymał się w Grodnie. Oficerowie wychodzili na korytarz jeden za drugim w swych długich płaszczach, brzęcząc szablami i ostrogami. Ostatni szedł ten czarny. Niespodziewanie zatrzymał się przed Anną. Wyciągnął do niej rękę. Sądziła, że chce ją pożegnać. Ale on szybko położył coś na jej dłoni i dłoń zamknął. Rzucił:

Weźcie to barynia.

Poczuła, że ma w dłoni gruby pierścień.

Co to takiego? Dlaczego pan mi to daje? Nie mogę...

Ścisnął mocno jej zamkniętą dłoń.

Weźcie. Dla syna. Ja was praszę. Dla niego.

Szybko otworzył drzwi i wyskoczył, zanim zdołała zaprotestować. Na peronie kłębiła się masa ludzka. Ledwo oficerowie zdążyli wysiąść, rozkrzyczany, rozgorączkowany tłum wdarł się do wagonu.

Pospiesznie wycofała się do przedziału. Za nią wcisnęli się ludzie. Prawie bili się ze sobą o miejsca

po oficerach. Oślaniała, jak mogła, rodziców bojąc się, że ich zgniotą, zdeptają. Jędrzek obudził się i płakał. Zdjęła go z półki i trzymała na rękach lękając się, że rzucą na niego walizkę. Wszystkie miejsca zostały zajęte, kiedy nagle drzwi przedziału otworzyła jakaś kobieta krzycząc histerycznie:

Ja muszę! Dziecko! Dziecko!

Ci, którzy już siedzieli, wypychali ją wołając:

Już pełno! Nikt się już nie pomieści! Proszę wyjść?

Kobieta szarpała się, nie chciała ustąpić. W końcu wysunęła do przodu chłopca niewiele starszego od Jędrka, wepchnęła go do środka przedziału i sama cofnęła się. Chłopiec stał między krzyczącymi i wypraszającymi go ludźmi. Płakał. Anna odruchowym gestem przyciągnęła go do siebie. Podzieliła się z nim swoim miejscem.

Pociąg ruszył. W miarę jazdy podniecenie w pasażerach opadało. Już nie patrzyli na siebie wrogo. Stawali się grzeczni. Kobieta, która najgłośniej krzyczała, zaproponowała sama, aby uwolnić od walizki siatkę i położyć na niej na nowo Jędrka. Anna przyjęła to z wdzięcznością, gdyż ledwo mogła utrzymać syna, który zasnął. Także przygarnięty chłopiec zasypiał i walił się na ramię Miniewicza. Aby uchronić ojca,, Anna oddała chłopcu swoje miejsce, a sama siadła na ziemi u nóg matki. Pasażerowie pospali się. Ona spać nie mogła. Pełna była lęku i niepokoju.

Nad ranem na którejś stacji już blisko Warszawy zajrzała do przedziału matka wepchniętego chłopca. Teraz w świetle dnia Anna uświadomiła sobie, że ją zna. Ona także uśmiechnęła się radośnie pełnymi policzkami.

Ach, Anusiu! Jakże się cieszę, że to ty zaopiekowałaś się Stefankiem. Jakże ci jestem wdzięczna. Byłam w rozpacz...

To była żona Justyna, jednego z braci Aleksandra. Wyciąowała Annę i zabrała syna twierdząc, że ma dla siebie i nie- (go miejsce w innym przedziale. Anna mogła wrócić na ławkę.

Pociąg jechał wolno, często stawał, w końcu jednak dotarł do dworca Wileńskiego. Nie oczekiwała, że ktoś będzie na nich czekał. Wprawdzie wysłała przed wyjazdem depesze do męża i Romualda, ale nie mogła w nich podać godziny, przyjazdu. Wyprowadziła z wagonu rodziców i rozspanego Jędrka, z pomocą tragarza pozbierała rozrzucone bagaże. Szli wolno, na końcu opuszczających peron podróżnych. Wśród czekających na przybyłych zobaczyła ku swemu zdumieniu Aleksandra. Twarz mężczyzny była szara, zmęczona. Ubranie miał pomięte, widać spędził całą noc na dworcu. Poczła wzruszenie, że go widzi, wdzięczność, że czekał, żal, że tak bardzo wydawał się zmęczony. Ale zeszywniała, dostrzegłszy w oczach mężczyzny wyraz gniewnej zaciętości.

Nie pocałował jej na przywitanie. Powiedział sucho:

Myślałem, że w ogóle nie przyjedziesz.

Przemógł się jednak. Przywitał Miniewiczów, poprowadził przybyłych do dorożki.

Romuald był tu także, ale nie mógł dłużej czekać. Przyrzekłem mu, że odstawię państwa do domu — powiedział.

Wsiedli i ruszyli na most. Panowało sztywne milczenie. Przerывał je tylko Jędrak, który teraz nabrał wigoru. Wypytywał:

Tatusiu, czy w Warszawie jest także wojna? Czy strzelają? Czy już zwyciężyli Niemców? Wiesz, jechałem z oficerami. I oni mówili, że jadą bić Niemców. I mieli szable. Najprzód byli niegrzeczni. Ale potem poprawili się. Jeden dał mi czekolady, a drugi pomarańczę. I postawili tak szable, żebym nie spadł. Bo ja spałem na półce...

Spod oka śledziła męża. Słuchając gaworzenia Jędrka objął go w pól, ale wyraz zawziętości nie ustąpił z jego oczu.

Odwieźli Miniewiczów nie do ich mieszkania, ale do Romualda. Potem dopiero dorożka ruszyła na Chłodną.

Jesteś zmęczony? — zapyła, aby przerwać milczenie. — Czekaleś całą noc?

Coś burknął pod nosem. Nie odezwał się aż do domu. Poczła się dotknięta. Całą drogę jechała, pełna dla niego współczucia, przekonana, że zgodnie ze swą naturą wyobraża sobie jakieś straszne rzeczy i męczy się tym. Ale teraz obudził się w niej gniew. Postanowiła, że i ona nie odezwie się do niego.

W mieszkaniu Jędrak pobiegł od razu do swych zapomnianych przez lato zabawek. Poszła za nim Teresa, rozpromieniona, że ma go znowu. Stół był zastawiony do śniadania, samowar huczał. Usiadła i nalała sobie herbaty.

Mogliście w ogóle nie wrócić — powiedział nagle. — Albo mnie mogli kazać wyjechać... Mogliśmy się rozstać na nie wie jak długo, może na zawsze. Tu się dzieją straszne rzeczy.

Teraz ona nie zareagowała na jego słowa.

Dlaczego nie wyjechałaś od razu, gdy pierwszy raz zatelegrafowałem?

Rodzice zostaliby sami. Nie mogłam ich zostawić.

Skoro nie miałaś ochoty wracać, trzeba było odesłać chłopca! — rzucił.

Wzruszyła ramionami.

Mówisz głupstwa. Choćbym to mogła zrobić, nie byłabym się z Jędrkiem rozstała. To ja ponoszę za chłopca odpowiedzialność!

Rzuciła to twardo, tak twardo, że aż zobaczyła w jego oczach błysk jakby przerażenia. Nie odpowiedział. Dopiero po chwili rzekł:

Nie chciałem cię dotknąć. Wiesz przecież, że cię kocham.

To, co powiedziałaś, tego nie potwierdza.

Chwilę szukał słów.

Wiem, zachowałem się niewłaściwie. Bardzo cię przepraszam. To ta moja przeklęta natura, te moje lęki i przecucia... Wierz mi, staram się opanować.

Współczucie wróciło natychmiast.

Wiem, że się starasz. I ja się staram cię zrozumieć. Czasami przychodzi mi do głowy, że omyliłam się co do ciebie...

Zawiodłaś się? Rozumiem...

Źle rozumiesz. Po prostu miałam cię za wielkiego realistę... Ale nie mówmy teraz o tym. Ja także cię przepraszam. Byłam zła na ciebie za twój gniew. A przecież domyślam się, jak musiałeś się niepokoić.

Strasznie. Ty nawet nie wyobrażasz sobie, co się tutaj działo. Wszyscy stracili głowy. Niewiele brakowało, aby cały personel magistratu załadowano do wagonów i wywieziono. Obawiano się, że Niemcy wtargną i chciano im zostawić spaloną ziemię.

Naprawdę Niemcy mają tu przyjść?

Trudno powiedzieć, jak potoczy się wojna. Niemcy są na pewno do niej lepiej przygotowani. A z Rosjanami jest tak, że gdy jedni chcą wojny, inni najchętniej zawarliby natychmiast z Niemcami pokój.

Jak na wojnę patrzą Niemcy rosyjscy?

To właśnie oni usiłują przekonać cesarza i rząd, że wojna jest rzeczą szkodliwą i lepiej oddać Polaków Prusakom, bo z Polakami zawsze były i będą kłopoty...

Przeraża mnie polityka. Czy już przestano mówić o wywiezieniu urzędników?

Jeszcze się o tym mówi, ale myślę, że magistrat zostawią. Ktoś musi robić robotę administracyjną. Chcę ci teraz powiedzieć, że czekając na was porobiłem zapasy. Chodź, pokażę ci.

Jeden z pokoi, którego prawie nie używali, został zamieniony na spiżarnię. Na ziemi stały worki z mąką i kaszami, obok głowy cukru. Na przewieszonych przez pokój sznurach wisały półce boczku i słoniny.

Wspaniale! — zawołała. — Starczy na rok albo i dłużej. Muszę przyznać, Olesiu, że jesteś najprzezorniejszym z mężów. Niewielu jest panów domu, którzy o takich zapasach pomyśleli.

No, no — mrucał zadowolony z pochwały. — Ja tylko zawsze wyobrażam sobie najgorsze. Musisz zobaczyć, czy są zaopatrzeni twoi rodzice.

Pobiegnę do nich jutro. Mam nadzieję, że Romek o nich pomyślał. On, tak jak ty, umie się troszczyć o dom.

Już nie pamiętała o gniewnych słowach. Przyjemnie było myśleć, że jest ktoś, kto troszczy się o wszystko, że temu komuś można się powierzyć. A jednak... Odpędziła myśl jak natrętną muchę. Czasami wydawało się jej, że jednak milej byłoby zostawić wszystkie troski i przewidywania, rzucić się w życie głową naprzód.

W drugim roku wojny nastroje Warszawy zmieniły się ogromnie. Kiedy jesienią 1914 roku Niemcy podeszli pod Warszawę, już nie tylko żołnierze rosyjscy — brodate żołdacy z dywizji syberyjskich — ale nawet znienawidzeni kozacy byli witani jako obrońcy. Obdarzano ich kwiatami, papierosami, słodyczami. W mieście panował entuzjazm. Śpiewano wszędzie piosenkę o Warszawie z widowiska Kiedrzyńskiego:

Przeszło nad nią tyle walki, burz i krwawych zórz,

Koił zawsze zmiennych losów siew — syreni śpiew

Lecz czasem płocha,

Często się śmieje, nigdy szlocha.

A kiedy kocha, sercem kocha

I w innych sercach wznieca żar.

Taki ma czar...

Demonstrowano radośnie na wieść o zajęciu Milhouse przez Francuzów. Francja była znowu sojusznikiem — jej triumfy były polskimi triumfami. Kto wie, czy bardziej jeszcze nienawidzono Niemców za zdradziecki napad na Belgię i okrucieństwa dokonywane na ludności Louvain, niż za bestialskie zbombardowanie Kalisza.

Ale po dniach zapału i radości przyszyły dni klęski. W końcu sierpnia armia Samsonowa została zniszczona nad jeziorami mazurskimi. Niemcy opiewali to zwycięstwo jako historyczny odwet za Grunwald. Szli także w głąb Francji prosto na Paryż.

Niebezpieczeństwo zostało jednak zażegnane. Zaczęła się ofensywa rosyjska na Galicję. Austriacy cofali się, a wraz z nimi cofali się legionści, którzy zjawili się w Kielcach jeszcze przed przednimi strażami wojsk austriackich z zamiarem wywołania powstania. Rozgłoszono, że Piłsudski jest mianowanym przez powstały w Warszawie rząd polski naczelnym wodzem. Ale wiadomość nie była prawdziwa. Żaden rząd nie powstał, legionści zaś został przyjęci przez społeczeństwo Królestwa Łódzkiego. O powstaniu nie było mowy. Ułani Beliny, noszący jako pseudonimy bohaterów Trylogii, dotarwszy do Oblęgorka zostali przywitani przez Sienkiewicza wyrzutami. Kraj nie chciał się z pogodzić z uczestnictwem polskich żołnierzy u boku Niemców.

Na Zachodzie Francuzi uchronili Paryż i odrzucili nad Marną ofensywę Bilowa i Klucka. Wojna wchodziła w nową fazę: po załamaniu się szybkich uderzeń, przeciwnicy zrozumiałwszy, że wojna będzie długa i ciężka, zbierali siły.

Niemcy zmieniły teraz swój plan wojenny. Początkowo chciały rozgromić Francję i wtedy dopiero podjąć walkę z Rosją. W 1915 roku zdecydowały się odłożyć rozprawę z Francją na później, a najpierw zniszczyć armie rosyjskie. Na wiosnę rozpoczęła się wielka ofensywa na Królestwo.

Warszawa znalazła się znowu na obszarze objętym wojną. Miasto pełne było zbiegów. Zaczęło braknąć żywności. Przed sklepami stały długie ogonki. Wygasły światła. Nie działały telefony. Niebezpieczeństwo zbliżało się. Zapał zgasł. Przekonano się, że armie rosyjskie, źle dowodzone i fatalnie zaopatrzone, ponoszą klęski za klęskami. Co gorsza, wojska te cofając się otrzymały rozkaz niszczenia wszystkiego. Z zawziętością zamieniano kraj w pustynię. W tym postępowaniu zdawała się tkwić jakaś metoda.

To sprawiło, że nastroje zmieniły się. Obietnice wielkiego księcia uznano za zapewnienia pisane palcem na wodzie. Nie dopuszczano do powstania oddziałów polskich przy armii rosyjskiej.

Pewnego dnia Aleksander przyszedł do domu strapiiony. Powiedział Annie, że utworzony niedawno Komitet Narodowy — stanowiący reprezentację spraw polskich — wyjeżdża do Piotrogradu (tak z chwilą wybuchu wojny został przechrzczony Petersburg), gdyż nie ma nadziei i na utrzymanie Warszawy. Dla Rogowskiego była to prawdziwa klęska, gdyż związał się z ludźmi Komitetu i zaufał głoszonej przez nich idei. Wraz z wyjazdem Komitetu wzrastały nastroje antyrosyjskie, potęgowane trudnościami gospodarczymi i lamentami chroniących się w Warszawie zbiegów. Znowu ewakuowano do Rosji różne urzędy. O wywiezieniu urzędników magistratu na szczęście nie było mowy. Na zarząd miasta spadał ciężar zaradzania rosnącemu głodowi. Jakże przydały się zapasy zgromadzone przez Aleksandra!

Jędrka wczesnym rankiem obudził huk, który wstrząsnął domem. Usiadłszy na posłaniu oświadczył:

Ajejoplan — miał trudności z wymawianiem.

Ale rodzice potrząsnęli zafrasowani głowami. To nie były małe niegroźne bombki, rzucane przez niemieckie zeppelin-y przelatujące bezkarnie nad Warszawą, tuż prawie nad dachami domów. Już poprzedniego dnia było wiadome, że wojska rosyjskie odeszły na Pragę. Cała administracja miasta została przekazana Polakom. Ten huk mówił o wysadzeniu mostów.

W parę godzin później na pustej ulicy zaklekotały kopyta końskie. Rogowski, który właśnie wyszedł wraz z Jędrkiem na balkon, zamarł przytuliwszy do siebie syna. Bał się cofnąć, aby nagłym ruchem nie

zaniepokoić jadącego ulicą patrolu ułanów niemieckich. Było ich czterech, w zielonkawo- szarych mundurach, w małych ułankach na głowach, z karabinami opartymi na kolanach.

Ułani powoli przejechali. Gdy już byli daleko, zaczęły ze stukotem otwierać się bramy domów i ludzie wysypywali się na ulice. Pierwsza ruszyła ludność żydowska: kupcy w czarnych chałatach i w okrągłych czapkach, ich żony w przekrzywionych perukach. Młode Żydówki niosły kwiaty, które ofiarowywały jadącym autami oficerom i piechocie w obciążonych zielonym płótnem pikelhaubach. Na chodnikach rosły tłumy gapiów. Ciągnęła artyleria i tabor. Nie wyglądało na to, aby Warszawa miała podzielić los Kalisza. Rogowski udał się do magistratu. Anna, zabrawszy Jędrka, podążyła do rodziców. Urodzony na wiosnę młodszy syn Władzio, pozostał w domu pod opieką pyzatej Frani, która zastąpiła przy dzieciach Teresę. Despotyzm starej chłopki stał się ostatnio nieznośny. Wtrącała się do wszystkiego, terroryzowała Annę twierdząc, że jest za surowa dla Jędrka. Sama rozpuszczała chłopca, pozwalając mu na wszystko, a obrażała się o byle uwagę. Kaszłała przy tym coraz więcej i coraz ciężiej, na co zwrócił uwagę Romuald, gdy przyszedł kiedyś wezwany do Jędrka. „Musisz się jej pozbyć Anusiu — powiedział. — Nie może przebywać z dziećmi...” „Przecież nie mogę jej wyrzucić i to teraz, w czasie wojny. To stara kobieta, kto ją weźmie...” — załamała ręce. Takie twarde, decydujące posunięcia nie przychodziły Annie łatwo. Pomogła jej matka. To ona wzięła na siebie rozmowę z Teresą. Wśród płaczu Jędrka i rzucania przedmiotami przez służącą ukochana Tesia wyjechała do brata na wieś.

Jędrzek szybko się pocieszył. Frania była dziewczyną zdrową, silną i wesołą. Szczrzyła zęby do wszystkich i choć nie była zbyt mądra, od razu wysunęła się na przywódczynię wszystkich młodych służących w kamienicy. Wojowała w ich imieniu ze stróżem Adamem i z Tesią, kucharką u adwokata Wnorowskiego, znaną ze swej zgryźliwości. Dzięki poparciu jej koleżanek został przełamany sprzeciw stróża, który nie chciał wpuszczać na podwórze wróżących Cygankę, grajków, śpiewaków i magików pokazujących cyrkowe sztuczki. Frania lubiła dzieci. Słuchała cierpliwie opowieści Jędrka, ale nade wszystko chętnie zajmowała się Władziem. Chłopczyk od urodzenia wciąż chorował. Gdy płakał, nosiła go i wyspiewywała nad nim krzykliwie i fałszywie.

U rodziców Anna znalazła wszystko w porządku, więc posiedziawszy chwilę wróciła do domu. Przyszedł także z biura Aleksander. Przyniósł wiadomość, że książe Lubomirski został przez okupantów zatwierdzony w roli prezydenta miasta. Zarząd miejski był obecnie całkowicie polski. Wyglądało na to, że Niemcy chcą okazać miastu swoją życzliwość. Jednak obok ustępliwych gestów pojawiały się także pogroźki. „Dobrze mówił nasz prezes — opowiadał Rogowski — że Niemcy są złymi psychologami. Nierównym postępowaniem nie zdobędą sobie ludzi. Tym, którzy ich oczekiwali jak zbawców, przeciągnęły się miny...”

Za Niemcami zjawili się pierwsi przedstawiciele legionistów. Warszawa przyjęła ich chłodno i niechętnie. Piłsudskiego witała tylko mała grupa zwolenników. Próby werbowania ludzi do POW zawiodły. Także biuro legionowe w Alejach Jerozolimskich nie miało co robić — amatorów do wojowania razem z Niemcami nie było. Niemcy jednak byli zdecydowani nadać Królestwu nowe formy bytu. Pod koniec sierpnia utworzono Generalne Gubernatorstwo, a na jego czele stanął generał von Bessler, mający sławę wielkiego zdobywcy fortec. Otworzono szkoły z językiem polskim, a nawet uniwersytet i politechnikę. Ale jednocześnie wprowadzono kartki na chleb i mąkę. W Warszawie było głodno, a wkrótce zaczęło się także robić zimno, gdyż opału brakowało. Zapasy

zgrupowane przez Aleksandra, choć w miarę możliwości uzupełniane, były już na ukończeniu. Przed końcem 1915 roku pokój spiżarniany stał się na nowo pokojem mieszkalnym.

Ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych, a po chwili zjawiała się w pokoju Frania z czerwonymi, jakby wyszczypanymi policzkami, i szczerząc zęby przyniosła niezwykłą wiadomość.

Przyszedł, proszę pani, oficer bardzo ładny i aliancki, i chce zobaczyć panią.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy Frania kwiknęła ujęta mocno pod boki i z chichotem uciekła. Przed Anną stał Kazik w mundurze legionowym.

Serwus, Anusiu. — Objął ją i pocałował. — Jak się masz?

Kazik! Skąd się wzięłeś?

Przyjechałem z komendantem. Tak jak ci obiecywałem. Jesteśmy, aby was uwolnić od Moskali.

Ale przyprowadziłeś Szwabów ze sobą?

Cierpliwości. I ich się pozbędziemy.

Ich? Jak?

Pominął milczeniem jej pytanie, tylko wzruszył ramionami. Odpiął szablę, postawił ją w kącie. Usiadł na kanapie i rozglądał się po mieszkaniu. Zobaczył Jędrka, który bawił się na swoim stoliku papierowymi żołnierzami, a teraz wstał i patrzył jak w tęczę w oficera.

Chodź tutaj — Kazik skinął na chłopca. — Ty jesteś Jędrak?

Tak.

A wiesz, kto ja jestem?

Jędrak potrząsnął głową

Twoim wujem. Wujem Kazikiem. — Sięgnął do kieszeni. — A to masz ode mnie.

Wręczył chłopcu legionowego orzełka z literą S na tarczy. Jędrak był zachwycony.

Niech mama zobaczy, co dostałem od wujka!

Uśmiechnęła się.

Chcesz go przekupić?

Nie trzeba go przekupywać. Będzie z nami.

Teraz spostrzegł wózek. Wstał, podszedł, popatrzył na główkę śpiącego Władzia.

Widzę, że nowy Rogowski. Spieszycie się, jakby was kto gonił.

Urodził się w kwietniu.

A co robi ten twój pan i sułtan? Ciągłe „biuro i pióro”?

Ciągłe.

Pewno zmartwiony, że Moskale dostali w tyłek? Strasznie ich przecież kochał.

Kto ci mówił o tym kochaniu? Po prosta wołał od.

Ech — machnął ręką — to sie tylko tak mówiło. Wszyscy ci od Dmowskiego o jednym tylko marzyli — aby mieć cara za króla. — Nie dal jej nic powiedzieć, pytał dalej: — A co rodzice? Co robią chłopcy? A siostra Katarzyna?

Rodzice żyją. Mama niedomaga, a ojciec... Traci pamięć.

Zdarza mu się, że nie poznaje niektórych znajomych. Katarzyna prowadzi aptekę w klasztorze na Okólniku, jak dawniej. Romuald ze swoimi w Warszawie. O innych nic nie wiem. Są po tamtej stronie. Z wyjątkiem Pawła, który umiał się wykręcić, wszyscy byli w wojsku. Niepokoimy się o nich... Może napijesz się herbaty? Za dwie godziny będzie obiad, mam nadzieję, że zostaniesz...

Jeśli ci to nie zrobi kłopotu. I jeśli twój mężulek nie dostanie ataku serca na mój widok.

Kłopotu nie zrobisz. Kiepsko u nas z jedzeniem, ale coś tam dostaniesz. A Aleksander ma mocne serce i na pewno będzie się umiał znaleźć.

Frania, ciągle roześmiana, przyniosła herbatę. Została uszczypnięta, co wywołało jej radosny okrzyk. Gdy wyszła, zapytał:

Skąd wzięłaś takiego tłumoka?

Frania ma swoje zalety. Zawsze w dobrym humorze. Lubi dzieci i Jędrzek bardzo się do niej przywiązał. Nie narzeka na małego. To dla mnie ważne. Muszę ją zostawiać z dziećmi, gdy chodzę do rodziców. Ale nie powiedziałaś nic o swoich.

Cóż ci powiedzieć? Tadeusz w austriackim wojsku. Mama nie chciała sama siedzieć w pustym mieszkaniu i przeniosła się do Mańci. Mówi, że wnuki to cała jej pociecha.

A Leon?

Chcesz go przekupić?

Nie trzeba go przekupywać. Będzie z nami. Teraz spostrzegł wózek. Wstał, podszedł, popatrzył na główkę śpiącego Władzia.

Widzę, że nowy Rogowski. Spieszycie się, jakby was o gonił.

Urodził się w kwietniu.

A co robi ten twój pan i sułtan? Ciągłe „biuro i pióro”?

Ciągłe.

Pewno zmartwiony, że Moskale dostali w tyłek? Strasznie ich przecież kochał.

Kto ci mówił o tym kochaniu? Po prostu wołał od Niemców.

Ech — machnął ręką — to sie tylko tak mówiło. Wszyscy ci od Dmowskiego o jednym tylko marzyli — aby mieć cara za króla. — Nie dał jej nic powiedzieć, pytał dalej: — co rodzice? Co robią chłopcy? A siostra Katarzyna?

Rodzice żyją. Mama niedomaga, a ojciec... Traci pamięć, zdarza mu się, że nie poznaje niektórych znajomych. Katana prowadzi aptekę w klasztorze na Okólniku, jak dawniej. Romuald ze swoimi w Warszawie. Są po tamtej stronie. Z wyjątkiem Pawła, który umiał ę wy kręcić, wszyscy byli w wojsku. Niepokoiemy się o nich... Może napijesz się herbaty? Za dwie godziny będzie obiad, mam nadzieję, że zostaniesz...

Jeśli ci to nie zrobi kłopotu. I jeśli twój mężulek nie zostanie ataku serca na mój widok.

Kłopotu nie zrobisz. Kiepsko u nas z jedzeniem, ale coś tam dostaniesz. A Aleksander ma mocne serce i na pewno będzie się umiał znaleźć.

Frania, ciągle roześmiana, przyniosła herbatę. Została uszczypnięta, co wywołało jej radosny okrzyk. Gdy wyszła, zapytał:

Skąd wzięłaś takiego tłumoka?

Frania ma swoje zalety. Zawsze w dobrym humorze, lubi dzieci i Jędrę bardzo się do niej przywiązał. Nie narzeka na małego. To dla mnie ważne. Muszę ją zostawiać z dziećmi, gdy chodzę do rodziców. Ale nie powiedziałaś nic o swoich.

Cóż ci powiedzieć? Tadeusz w austriackim wojsku. Mama nie chciała sama siedzieć w pustym mieszkaniu i przeniosła się do Mańci. Mówi, że wnuki to cała jej pociecha.

A Leon?

Nie od razu odpowiedział. Patrzył przez chwilę na swe elegancko błyszczące sztylpy.

Słyszałaś o Rokitnie? — zapytał.

Nie.

Ech, wy... To miejscowość na granicy Besarabii. Toczą się tam teraz walki z Moskalami. Wzięto tam naszych... Dywizjon ułanów otrzymał rozkaz zdobycia wsi. Przed wsią były umocnione okopy, za nimi działa. Mocno broniona pozycja. Wąsowicz nie wiedział o tym, nie było dobrego rozpoznania. Rzucił do szarży jeden ze szwadronów, sam pojechał na jego czele... Waliły do nich maszynki, więc padali. Ale reszta szła dalej. Przeskakiwali okopy. Tak się sprawiali, że nawet jakiś moskiewski oficer wrzasnął: „ Wot geroje mołodcy”. Ale działa dały salwę. Wąsowicz zginął. Leon — dokończył nagle — dostał kulą prosto w czoło...

Nie powiedziała nic, tylko przycisnęła dłoń do ust. Zapadło milczenie. Anna wstała, nakryła do stołu, potem odeszła do kuchni. Zegar w pokoju tykał. Ciszę przerwał Jędręk:

A ci ułani, proszę wujka, zdobyli te okopy?

Nie. Prawie wszyscy zginęli albo byli ranni. Ale Moskale następnego dnia cofnęli się...

Znowu przez chwilę panowało milczenie.

A czy wujek tam był? — zapytał znowu chłopiec.

Nie. Biłem się gdzie indziej.

A tam gdzie wujek był, to były szarże?

Nie. Tam nie było kawalerii.

Dlaczego wujek nie poszedł do kawalerii? Ja to najwięcej chciałbym być ułanem...

Naprawdę?

Tak jak ksiązę Józef. Ksiązę Józef także zginął. Utopił się w Elsterze. Mama mi o nim czytała.

Lubisz książki?

Lubię. Najwięcej o wojnie.

Anna wróciła z kuchni, a za nią zjawił się Rogowski, który właśnie wrócił do domu. Aleksander, uprzedzony w przedpokoju przez żonę o obecności, Selimowicza, starał się być uprzejmy.

Witam pana mecenasa. Bardzo mi miło. Odkąd to w Warszawie?

Od przedwczoraj. Ale swoją togę adwokacką zawiesiłem na kołku. Teraz jestem w wojsku...

Wtrąciła się Anna:

Chodźcie do stołu. Już podaję.

Proszę — zapraszał Rogowski. — Nie wiem, jak teraz tytułować, nie znam się na szarżach.

Jestem porucznikiem. A pan nie był nigdy w wojsku?

Nigdy.

A może tak teraz pana wciągniemy, co? Pomaszerowałby pan trochę, brzusek by panu opadł. Nie ma pan ochoty? Biuro werbunkowe czeka.

Aleksander potrząsnął głową.

Będzie pan kiedyś żałował, zobaczy pan. Dajemy wam wielką szansę.

To znaczy komu?

Wam, Kongresowiakom.

Zmilczał i tym razem. Zaczęli jeść i temat się zmienił. Anna mówiła o trudnościach zaopatrzenia.

Chleb trzeszczy pod zębami, a ten żółty cukier taki obrzydliwy, że wolę sacharynę...

Będzie jeszcze gorzej — powiedział Rogowski. — Anglia chwyciła Niemców za gardło swoją blokadą.

Selimowicz lekceważąco machnął dłonią.

Pójdą dalej na Moskali i zdobędą u nich, czego im potrzeba. Ukraina to śpichlerz.

Zachód jest coraz mocniejszy. Włochy przystąpiły do koalicji.

Makaroniarze.

A jednak i oni pomogą zacisnąć kleszcze.

Nie wierzę. Dostaną w... tam gdzie trzeba, aż się będzie kurzyło. Podoba się komu, czy nie — Niemcy zwyciężą.

Panu porucznikowi to się podoba?

Pan widzi wszystko oczami swoich wszechpolaków. Byłoby lepiej obejść się bez Szwabów. Ale skoro to oni mogą stworzyć na nowo niepodległą Polskę...

Cóż to będzie za Polska? Królestwo bez Poznańskiego, bez Śląska i może nawet Małopolski? Breloczek uczepiony niemieckiego łańcuszka.

Jest dużo ziem na wschodzie, które należały do nas.

Polska z tymi ziemiami, a bez Wielkopolski, przestałaby być Polską!

Dlaczego? Za Jagiellonów sięgaliśmy daleko.

Przez to sięganie na wschód pozwoliliśmy założyć sobie na szyję krzyżackie okowy.

Nie lubi pan Litwy? co? — Selimowicz przymrużył złośliwie oko i spoglądał to na Rogowskiego, to na Annę.

Aleksander zbył pytanie wzruszeniem ramion. Zapadło milczenie.

Anna nie włączała się do rozmowy, która, czuła, w każdej chwili mogła się przemienić w gniewny spór. Bez słowa wstała, aby zebrać naczynia.

— Napijcie się herbaty? — spytała. — Oczywiście nieprawdziwej.

Tego dnia odwiedzając rodziców Anna przydźwigała torbę pełną rozmaitych produktów żywnościowych. W mieście stawało się po prostu głodno. Sprawdziły się przepowiednie Aleksandra. Jako pracownik magistratu Rogowski otrzymywał niewielki deputat żywnościowy i Anna dzieliła się tym skromnym przydziałem z rodzicami. Stawała także w kolejkach, by wykupić za matkę przydział kartkowy.

Drzwi otworzyła Annie służąca.

Dzień dobry, Kundziu — przywitała ją. — Co słychać? Kundzia jakaś markotna, czy mi się zdaje?

Ano bo nic dobrego, proszę młodszej pani. Starsza pani bardzo zmartwiona...

Stało się coś?

Pan jakiś dziwny dzisiaj. Ani z nim rozmawiać. Tylko krzyczy...

Zaniepokojona zostawiła w kuchni służącą z przyniesionymi wiktuałami i szybko przeszła do jadalni. Nie było tu nikogo. Zobaczyła uchylone drzwi do pokoju ojca. Ale nie było to nic nowego: Niemcy chodzili po domach i rekwirowali mosiężne klamki; nie zawsze dało się je czymś innym zastąpić. Zapukała i weszła. Miniewicz siedział za swym biurkiem zasłonięty rozłożoną gazetą. Chrząknął — wiedziała, że to chrząknięcie oznacza niezadowolenie. Jako dziecko słysząc takie chrząkanie popadała w panikę. Odłożył gazetę i utkwiał w niej gniewne spojrzenie sponad zawieszonych na nosie pincenez.

Dzień dobry ojcu — powiedziała prędko. — Przepraszam, że tak wchodzę, ale mówiła mi Kundzia, że się ojciec źle czuje...

Urwała. Wzrok ojca był twardy, gniewny, jakby nieco szyderczy. Pamiętała, że takim niechętnie złośliwym spojrzeniem obrzucał przyjaciółki matki, gdy przychodziły do niej na pogawędkę. Nie lubił w domu obcych kobiet.

Moje uszanowanie pani — powiedział. — Tutaj do mnie proszę nie wchodzić. Jeśli pani przyszła do mojej żony, niech pani idzie do niej. Tutaj, jej nie ma, proszę pani.

Ależ to ja, proszę ojca... Zamrugnął powiekami.

Przecież pani przyszła do mojej żony?

Przyszłam do rodziców... Przyniosłam chleb, mąkę, marmoladę... Czy ojciec mnie nie poznaje?

Ściągnął brwi, jakby czegoś szukał w pamięci.

Nie znam pani — rzekł. — Proszę iść.

Przecież jestem córką ojca, Anusią — głos zaczął się Annie łamać, choć całym wysiłkiem starała się go opanować. — Ja... ja... przecież...

Przerwał jej surowo:

Proszę stąd iść. Pani nie jest moją córką. Mam tylko jedną córkę, która jest zakonnica.

Jak to, proszę ojca? Jak to...?

Ogarnęła ją straszna żałość. Zapomniała zupełnie, że ma przed sobą chorego człowieka.

Ja naprawdę jestem ojca córką — usiłowała go przekonać. — Młodszą córką, Anusią...

Niecierpliwie potrząsnął głową.

Nie miałem drugiej córki. Pani nie jest moją córką. Pani jest podrzutkiem. Proszę stąd iść. Do żony, do żony...

Nie wytrzymała — rozplakała się. Łkając wybiegła z pokoju. Wpadła w objęcia Miniewiczowej, która wyszła ze swego pokoju. Doktorowa miała także oczy nabrzmiałe od łez.

Chodź, kochana, chodź do mnie. Płaczesz? Pewnie ci coś powiedział. O Boże, dziś od rana mówi wszystkim rzeczy nieprzyjemne. Zrobił się taki złośliwy. Co się z nim stało? Czasami zdarzyło się, że

powiedział coś przykrego, ale nigdy jak dzisiaj. Jakby coś w niego wstąpiło. Chodź, chodź, co ci powiedział?

Że mnie nie zna i że nie jestem jego córką — wyrzuciła z siebie między jednym a drugim szlochem.

Panno Najświętsza! Nie słuchaj tego. Nie przejmuj się. On dziś taki dziwny. Była Katarzyna i Romek, to ich poznał. Ale pytał parę razy o swego brata, gdzie jest i dlaczego nie przychodzi, jakby nie wiedział, że od tylu lat nie żyje. Wszystko mu się poplątało...

A co na to Romek?

Romek... Jak to lekarz! Powiedział, że trzeba poczekać, że zobaczymy... Takie, wiesz, lekarskie pociechy.

Wypłakała się u matki. Do ojca już nie poszła, ale wyszedłszy od rodziców podążyła na Świętokrzyską do brata. Dom na rogu Włodzimierskiej, świeżo przemianowanej na Czackiego, był elegancki. Wchodziło się na piętro po marmurowych schodach, mijało na podestach wielkie pseudomitologiczne figury trzymające w rękach lampy. Zadzwońiła. Czekala czas jakiś. Potem drzwi się uchylily i z wąskiej szpary zabrzmiał dziwny głos kogoś, kto usiłuje mówić piskliwie jak kobieta:

Do doktora? Nie ma doktora o tej porze. Nie ma, nie ma, Proszę przyjść o piątej...

Zanim drzwi zdążyły się zatrzasnąć, powiedziała:

To ja, Romku, ja Anusia. Czy pozwolisz na chwileczkę?

łańcuch opadł. Najstarszy z braci o siwej głowie, bardzo podobny do ojca, stał przed nią. Był przygarbiony, ubrany w alpagową marynarkę i trzymał ściereczkę w ręku.

Wejdz. Stało się coś?

Wprowadził ją do jadalni i wrócił do pracy, którą się zajmował — wycierania świeżo umytych szklanek. Nie wiadomo dlaczego, lubił to robić. Może znajdował w tym uspokojenie po bardzo intensywnej pracy?

Siadaj. No, co się stało?

Ojciec... — powiedziała. — Byłam u niego. Nie poznał mnie. Powiedział, że nie jestem jego córką...

Szloch przerwał jej słowa. Romuald wzruszył ramionami.

Jest o co płakać? — powiedział. — Powinnaś być mądra i wiedzieć, że to choroba.

Co jemu jest? — wytarła mocno nos.

Skleroza.

I wyjdzie z tego?

Nie podniósł głowy znad szklanek.

Nie — rzekł. — W jego wieku... Mogą przyjść chwilowe nawroty przytomności. Ale nie sądzę, aby stan ogólny uległ poprawie.

Boże, Boże... — szeptała.

Byłaś tak do niego przywiązana? — zapytał, a w jego głosie było jakby zdziwienie. — Nie myślałem.

Gwałtownie podniosła głowę.

A może ja naprawdę nie jestem jego córką? — zapytała. — Ty na pewno wiesz. Powiedz. On powiedział, że jestem podrzutkiem.

Prychnął lekceważąco, zupełnie tak samo jak to robił ojciec.

Brednie. Pleciesz głupstwa. Oczywiście, że jesteś córką. Ale jesteś najmłodsza, a przy zmianach sklerotycznych najsilniej pozostają w pamięci rzeczy dawne. Jeśli zdziwiłem się, że tak się chorobą ojca przejęłaś, to dlatego, że myślę.

iż nie musiało ci być w domu rodzicielskim zbyt słodko. Ojciec jest człowiekiem twardym i my wszyscy wzięliśmy to po nim. Tyko ty i Michał jesteście inni...

Uważasz, że jest człowiekiem twardym? — patrzyła na brata zaskoczona. Nigdy ze sobą nie rozmawiali na temat rodziców.

Tylko twardy człowiek potrafiłby jak on przewidzieć nadchodzącą chorobą, ustalić, kiedy przyjdzie, i doczekać tej chwili nie mówiąc o tym nikomu. On już przed dziesięcioma laty wyliczył, kiedy straci przytomność.

Wyliczył?

Tak. I nie omylił się. Wiedzieliśmy o tym tylko ja i Katarzyna. Zabronił mówić komukolwiek.

I co teraz będzie?

No cóż... Będzie żył w tym stanie. Może żyć długo. Ma mocne serce, a nasza rodzina jest długowieczna. Natomiast boję się o matkę. Będziemy musieli podzielić się pracą: ty będziesz czuwała nad matką, ja nad ojcem.

Oczywiście, Romku.

Muszą pozostać razem. Rozdzielać ich nie można.

Będę przybiegała.

Przychodź, tylko nie rób tragedii. Staraj się brać wszystko spokojnie. A w podrzutka nie wierz. Byłem już duży, kiedy przyszedł na świat. To majaki chorego umysłu.

Uśmiechnęła się przez łzy.

Dobry jesteś, Romku... Uciekam — poderwała się. — Zabrałam ci czas twojego odpoczynku. Bardzo ci dziękuję za wszystko.

Nie ma za co. Ja także zaraz jadę do moich chorych.

Mówią, że się zabijasz pracą... I że robisz wiele dobrego, jak kiedyś ojciec.

O, zaraz zabijam. Lekarz winien robić tyle, ile może, taki jego zawód. Jak się zmęczę, to wycieram szklanki. No idź, skoro chcesz już iść.

Odprowadził ją do drzwi. Schodziła wolno po marmurowych schodach trochę uspokojona, zamyślona nad tym, co usłyszała.

Diagnozy Romualda sprawdziły się: stan Miniewicza nie uległ zmianie. Nadal nie poznawał ludzi, i gderał, że nachodzą dom jakieś nie znane osoby. Robił wymówki żonie, że sprowadza „baby, które się ciągle kręcą”. Doktorowa cierpiała nad tym i widać było, że coraz trudniej jest jej z sytuacją domową. Anna zacinała zęby. Nie chciała obciążać matki swoimi żałami. Wbrew woli obudziła się w niej jakby uraza do ojca. Starła się z nią walczyć i za żadne skarby nie chciała się do niej przyznać.

Aleksander wyczuwał stan żony. Jak mógł, okazywał współczucie. Wyrażało się to nie w słowach, ale w intensywniejszej niż zwykle trosce o dom i dzieci. Więcej czasu poświęcał chłopcom, chodził z nimi na spacerory lub czuwał przy nich, gdy Anna szła do rodziców, a Frania miała wychodne. Było to duże poświęcenie z jego strony, gdyż pracy w biurze i poza biurem miał zawsze bardzo wiele. Na odcinku opinii społecznej Niemcy zezwalali na każdą działalność. A potrzeba było niezmiernie dużo. Panowała powszechna nędza. Rogowski dwoił się i troił. Organizował, zabiegał o zasiłki, deputaty. Wczesnym rankiem przyjeżdżała po niego dorożka przydzielona mu jako pojazd służbowy, odkąd awansował na kierownika miejskiej opieki społecznej. Zjawiał się w biurze o godzinę albo i więcej przed początkiem urzędowania. W towarzystwie jednego z oddanych mu woźnych przyjmował interesantów i załatwiał sprawy. Pośpiesznie przybiegał na obiad i przedrzemawszy się przez kwadrans w fotelu, był gotów do dalszej działalności. Wychodząc na spacer z chłopcami najczęściej brał ich do któregoś z podległych sobie zakładów, który przy okazji kontrolował. Dla Aleksandra nie było godzin biurowych, całe życie było włączone w pracę. Annę nie przestawało to drażnić — a jednocześnie rosło w niej coś w rodzaju podziwu.

Jędrzek rósł i rozpoczął naukę. Poprzedniego roku chodził na kursy freblowskie na ulicę Miodową, a od jesieni na prywatne komplety, na których przygotowywał się do zdania do klasy wstępnej. I we freblówce, i na kompletach program naładowany był materiałem patriotycznym. Dzieci śpiewały pieśni żołnierskie i intensywnie uczyły się historii ojczystej. Życie narodowe wyrывało się z podziemi z gwałtownością wiosennej trawy, którą przebija śnieg.

Rogowski miał kuzyna, Kowalskiego. Ten Kowalski przybył także z Łukowa, przywożąc do Warszawy jako jedyny majątek swoje dziesięć palców, tęgą głowę na grubym karku i dziwne u tego potomka wysadzonej z ziemi małej szlachty podlaskiej zdolności do handlu. Zjawił się przed dwoma laty u Rogowskiego, którego nazywał wujem, ze swoim projektem założenia wydawnictwa kart pocztowych.

Tłumaczył: „Wuj rozumie, ludzie piszą do siebie. Dawne karty pocztowe z rosyjskimi napisami idą na śmietnik. Każdy chce mieć kartę polską z ułanem, z dziewczyną w krakowskim stroju, z orłem... No, to może być z tego wielki interes. Żydki się już koło tego kręcą. Ja bym ich potrafił ubiec. Tylko widzi wuj...” Wstydliwie spuszczał oczy. Ale Aleksander od razu wiedział, o co chodzi. „Nie masz

pieniędzy?" „Nie, ani feniga." „Ja ci nie dam, bo nie mam. Ale poczekaj, spróbuję zdobyć pożyczkę. Wiem, jaki jesteś. Nie zjesz, a dług oddasz."

Anna nawet nie wiedziała, kto tej pożyczki udzielił, ale Kowalski pieniądze dostał i założył wymarzone przez siebie wydawnictwo. Pracował zażarcie, z uporem, ze zrozumieniem dla aktualności, natomiast z niezbyt wielkim wyczuciem artystycznego smaku. Jednak jego pocztówki przedstawiające Polskę wychodzącą z grobu, wzlatającego orla, ułanów i legionistów — chwyciły. Anna za plecami Kowalskiego pokpiwała trochę z „mistrzów pędzla", którzy tworzyli te obrazy, pilnowała się jednak, aby jej uwag nie słyszał Jędrzek. Pomiędzy Kowalskim a Rogowskim toczyły się spory na temat ukazywanych na kartach postaci legionistów. „Tworzysz legendę — burczał Aleksander. — Nie chcę nic mówić na legionistów, bo się popisali odmawiając przysięgi. Zresztą patrzę trochę inaczej na Piłsudskiego, odkąd został uwięziony. Ale przecież to nie tylko oni walczą o niepodległość!" „To prawda. wuju — bronił się Kowalski. — Ale przecież nie mogę robić kart z żołnierzami w mundurach francuskich. A na kartach musi być żołnierz. Tylko wtedy wszyscy taką kartę kupują. Będą także robotnicy z młotami. Tak powiedziałem moim malarzom. I chłopci w krakowskich strojach..."

Karty Kowalskiego szły i szły. Wojna toczyła się i zdawało się, że się nigdy nie skończy. Chociaż Niemcom wszystkiego brakowało, na frontach odnosili nadal sukcesy. Zwolnione na wschodzie armie wsparły front na zachodzie. Amerykanie spóźniali się z przybyciem. A tymczasem w Królestwie było coraz bardziej głodno. Zniknęły psy i koty — niewątpliwie zjedzone. Jadło się chleb, który chrząścił pod zębami, z marmoladą z buraków i brukwi. Dzieci były blade i wynędzniałe. Starzy ludzie masowo umierali. Panowały epidemie. Po bruku stukwały drewniaki noszone przez coraz większą liczbę ludzi. Żyło się nadzieją.

Dzień był zimny, pierwszy śnieg wirował drobnymi płatkami w powietrzu. Anna szła śpiesznie Elektorálną, prowadząc okutanego w baszłyk Jędrka. Pochylona ku chłopcu, coś jej po swojemu opowiadał, o mało nie wpadła na człowieka, który wyszedł nagle z Mirowskiej. Nie podnosząc głowy powiedziała „Przepraszam". Ale Jędrzek zawołał:

O, to wujek Kazik.

Zaskoczona podniosła wzrok. Miała przed sobą Selinicza. Był ubrany po cywilnemu w krótki kożuszek i czapkę.

Nie witając się Kazik chwycił ją za rękę, rzucił energiczne „Chodź!" i pociągnął biegiem przez ulicę na drugą stronę pod kolumny szpitalnego budynku.

Zatrzymali się dopiero w ciemnym kącie wewnątrz hallu.

Serwus, Anusia — powiedział. — Serwus, Jędrzek, robicie?

Nie od razu złapała oddech po niespodziewanym i szybkim biegu.

Zabrałam Jędrka z kompletów i idziemy do rodziny. Ale co ty tu robisz? Bez munduru...

Położył palec na ustach.

Nie mów nikomu, że mnie widziałeś.

Nie jesteś w wojsku?

Pełnię rozkazy komendanta. Tylko on wie, jak postępować.

Przecież Piłsudski...

Znowu położył dłoń na ustach.

Nie rozmawiajmy o tym. Co rodzice?

Och, wiesz... Ojciec całkiem stracił pamięć. Nie poznaje ludzi. Mnie nie poznaje. Mama bardzo tym zmęczona. Coraz słabsza. Boję się o nią.

Widać po tobie, że masz kłopoty. Współczuję. A mężulek?

Jak zawsze bardzo zajęty, wpada do domu jak po ogień.

Trzeba powiedzieć, że pracowity to on jest. W gruncie rzeczy porządny chłop. Ciągłe przeciwko nam?

On nie przeciwko wam, tylko przeciwko Niemcom, raz to nawet o Piłsudskim...

Jeszcze raz uciszył ją.

No, to może się z nim spotkamy. Pozdrów go.

Jeżeli będę mógł, wpadnę do was. Nie wychodźcie razem ze mną, poczekajcie chwilę...

Przy obiedzie opowiedziała mężowi o spotkaniu. Uśmiechnął się. Był w dobrym humorze, udało mu się zdobyć jakiś budynek dla sióstr Rodziny Maryi, w którym miał powstać zakład dla chłopców.

— Przechodzą na nasze podwórko — rzekł. — Nie może być inaczej. W Szwajcarii powstał Komitet Narodowy. Tworzy się wojsko polskie we Francji. Żołnierze amerykańscy już lądują w Europie. Podobno wśród nich jest ogromnie wielu Polaków... Niemcy padną, zobaczysz. A wtedy powstanie Polska... Musi powstać!

Westchnęła cicho. Daleko, daleko zapalały się zorze nadziei. Kiedyś myślała: nie ma bólu, którego by się nie wycierpiało, aby się mogło spełnić... Dziś obsiadły ją troski. Miała synów i lękała się o nich. Wydawali się tacy delikatni, tacy słabi. Miała także dom rodziców z chorym ojcem i słabnącą matką. Jakżeż czasami zazdrościła Aleksandrowi, że jest tak bardzo pochłonięty pracą. On żył planami, projektami i ich realizacją. Ona musiała żyć troskami codziennego dnia. Wydawało jej się, że jest bardzo stara...

W parę dni później, gdy przyszła do rodziców, matka wybiegła, aby ją powitać z rozjaśnioną twarzą.

Idź zaraz do ojca. Wyobraź sobie, jaka zmiana. Mówi przytomnie i pytał o ciebie.

Nieśmiało, z bijącym sercem zapukała do drzwi gabinetu. Miniewicz podniósł wzrok znad czytanej książki.

O, Anusia — powiedział serdecznie. — Dlaczego tak dawno nie byłaś u nas?

Zamiast odpowiedzi przypadła ustami do jego ręki.

Jak się ojciec czuje?

Wiesz, zupełnie dobrze, trochę mi tylko szumi w głowie. Dziś byli Romek i Katarzyna. Ale ja chciałem, abys ty przyszła. Pragnąłem cię zobaczyć. Takie czasy, nie wiem, kiedy się zobaczymy... A ja mam coś dla ciebie. Siadaj.

Zaskoczona usiadła. Miniewicz pochylił się, aby sięgnąć do dolnej szuflady biurka. Wyjął małą drewnianą skrzyneczkę, na której namalowany był prymitywny szlak przedstawiający konie. Otworzył skrzyneczkę wyciągając z jej ścianki drewnianą drzazgę, która stanowiła pomysłowe zamknięcie. Wysypał na stół garstkę półszlachetnych kamyków.

Kiedy wyjeżdżałem z buriackiego kraju — powiedział — dostałem te kamyki w prezencie. Tamci ludzie to dobrzy ludzie. Byli bardzo wdzięczni za pomoc. Przynieśli te kamienie. Było mi nieprzyjemnie brać, ale wiedziałem, że czuliby się dotknięci, gdybym odmówił. Nie jest to żaden skarb, może ma jakąś wartość. Postanowiłem dać je tobie. Jesteś najmłodsza i wydaje mi się czasami, że otrzymałaś od rodziców mniej niż inni...

Niech ojciec tak nie mówi! Nie byłam nigdy pokrzywdzona.

Popatrzył na nią długo swymi błękitnymi oczami.

Dobre jesteś dziecko — rzekł. — Ale tak żal mi ciebie.

Dlaczego, proszę ojca?

Jesteś inna niż chłopcy...

Zapytała zamierającym głosem:

Może, proszę ojca, ja nie jestem dzieckiem rodziców

Nie jesteś naszym dzieckiem? Co za głupstwa. Po pro: jesteś inna... Za wielkie miłosierdzie, jakie mi Bóg oka: chciałem ofiarować Mu jedno ze swoich dzieci. Katar z j poszła do klasztoru... Ale On tak jakby chciał czegoś jeszcze.

Czemu mi ojciec nie powiedział tego dawniej?

Bóg, jeśli chce kogoś dla siebie, niekoniecznie wzywa do życia zakonnego. Ale tym, których chce mieć, nie jest łatwo. A ty jesteś taka bezbronna...

Dlaczego tak ojciec sądzi?

Uśmiechnął się na poły melancholijnie, na poły tajemniczo.

Taka jesteś... Tyle w tobie uczuć... Człowiek taki jak ty bywa bezbronny. Ale widać Bóg taką ciebie potrzebuje. Schowaj te kamienie. Weź je razem ze skrzyneczką. Opowiadali mi Buriaci, że została po jednym zesańcu, Polaku. Sam zrobił, sam wymyślił to zamknięcie. Jak tam twoi chłopcy?

Chwała Bogu, proszę ojca, nie chorują. Tego się najwięcej boję. Słabi są, bladzi, anemiczni...

Wyrosną z tego. Przeprowadź ich, chciałbym ich baczyć.

Przeprowadzę, proszę ojca.

Pochyliła się znowu do jego ręki, a on położył dłoń na głowie, jakby dawał błogosławieństwo.

Ale to był tylko błysk w głębi nocy i stan świadomości Miniewicza trwał tylko przez jeden dzień. Już następnego dnia patrzyły na Annę oczy zimne i prawie wrogie. Doktor także zabrał się do narzekania na „te jakieś kobiety, które przyłazą i ciągle mnie o coś nudzą”. Romuald powiedział Annie:

— Nie pokazuj mu się. Rozumiem, że ci jest ciężko, ale nic na to nie poradzisz. A matka rozpacza, gdy widzi, że ciebie nie poznaje.

Przez kilka dni czuła się niezbyt dobrze i nie chodziła do rodziców. Aby się dowiedzieć, co się tam dzieje — gdyż telefony były nieczynne od chwili wejścia Niemców do Warszawy — wysyłała wieczorami Franię.

Miniewiczowa posyłała Annie przez Franię małe karteczki, w których wciąż wypytywała o Jędrka. Tęskniła za nim szczególnie młodo. Anna zaczęła wysyłać chłopca razem z Franią. Chodził chętnie, gdyż on także kochał babkę. Wracał za każdym razem z nowym pudełkiem ołowianych żołnierzy. Annę drażniło to, wiedziała bowiem, że matka nie ma pieniędzy. Usiłowała wytłumaczyć Jędrkowi, aby tych ciągłych prezentów nie przyjmował. Nie zdało się to na wiele, gdyż chłopiec przynosił dalej żołnierzy, jedynie starał się ukryć to przed matką. Widoczne było, że tak mu doradziła babka. Postanowiła rozmówić się stanowczo na ten temat z matką, kiedy jednak zjawiała się u rodziców, rozmowy na temat żołnierzy nie podjęła. Zrozumiała, że życie matki dopala się. To było widoczne nawet dla niej. Czyż miała w ostatnich dniach jej życia pozbawiać ją radości obdarowywania najukochańszego z wnuków?

Zrobiła nawet inaczej: co parę dni zamiast do szkoły prowadziła Jędrka rano do rodziców i dopiero wieczorem zabierała go przez Franię. W ten sposób wnuk i babka mogli przez cały dzień być ze sobą. Oboje byli z tego zadowoleni. Mieli zawsze ze sobą dużo do rozmawiania. On jej opowiadał niezwykle, wymyślone przez siebie historie, ona mówiła o przeżyciach syberyjskich. Rozumieli się doskonale. Miniewicz siedział cały dzień samotnie zamknięty w swym gabinecie. Zjawiał się tylko na posiłki. Jadł nic nie mówiąc. Obecność Jędrka tolerował milcząco. Czasami coś mówił do niego nazywając go imieniem któregoś ze swoich synów.

Tego samego dnia, gdy dzienniki przyniosły wiadomość o wybuchu rewolucji w Piotrogradzie, przybiegła szlochając Kundzia Miniewiczów z wiadomością, że mama jest umierająca. Anna zostawiwszy chłopców pod Franią pospieszyła, mimo późnej pory, na plac Wareckich, kobiety biegnęły popłakując przez puste, wyziębione wczesnym mrozem ulice. W głowie Anny zrobiła się nagle pustka — nie tyle ból, co stan tępego oszołomienia. Od tygodni liczy się z możliwością tej śmierci, a jednak fakt, że ta chwila nadeszła, spadł na nią niby grom. Teraz wydawało jej się jej, że tyle rzeczy jeszcze należało powiedzieć, tyle załatwić. Nie może odejść, nie może mnie tak zostawić — kołatało się w głowie Annie. Raz po raz, gdy tak biegła truchcikiem za pochlipującą Kundzią, doznawała uczucia jakiegoś rozczulenia. Wydawało jej się, jakby patrzyła z bok u na samą siebie. Myślała: biegnę, zadyszałam się, ulice są puste, chociaż wylizane do sucha przez mróz, jest ciemno, palą się tylko niektóre lampy. Mówiono, aby nie chodzić o tej porze po mieście, gdyż zdarzają się bandyci. Oles wróci do domu, będzie się niepokoił i gniewał, że poszłam. Ale ja musiałam iść — przecież mama umiera. Mama umiera... Może już nawet nie znajdę żywej. Jak wygląda śmierć? Jak to będzie wyglądało, gdy jej już nie będzie... Te myśli biegnęły, jakby chodziło o kogoś drugiego, kogoś, na kogo się patrzy.

Nie pamiętała żadnej urazy. Natomiast było w niej poczucie niepokoju, że może nie zdąży już nic powiedzieć mamie, że ona odejdzie z poczuciem żalu, jakby skrzywdzona przez swe najmłodsze dziecko. Chwilami przebiegało Annie przez głowę, że powinna była wziąć ze sobą Jędrka. Ona go tak kocha... Ale przecież dziecka wziąć nie mogłam o tak późnej porze — tłumaczyła sobie jakby komuś obcemu.

Przybiegły zgrzane i zmęczone. W otwartej bramie domu stał stróż i coś powiedział do Kundzi, gdy przebiegały obok niego. Nie dosłyszała. Drzwi wejściowe do mieszkania by nie zamknięte. Po jadalni chodził Miniewicz z założonymi za siebie rękami. Perorował gniewnie sam do siebie:

Co robią tutaj ci ludzie? Gdzie jest Walunia? Dlaczego im nie powie, żeby sobie szli? Obcy mężczyźni i kobiety chodzą po mieszkaniu. Przecież już pora spać. Gdzie je moja żona? Niech im powie, żeby wyszli... Proszę iść, proszę sobie iść!

Opędzał się od Doroty, służącej Romualdów, która szła za nim ze szklanką herbaty. Nawet nie spojrzął na Annę. A widok Kundzi trochę go uspokoił.

Przynieście mi herbaty. I powiedzcie tym ludziom, aby sobie poszli.

Dopadła drzwi sypialni. Uchyliła drzwi. Matka leżała na łóżku ciężko dysząc. Ten oddech rozbrzmiewał niby jakiś pracujący w pokoju mechanizm. Doktorowa miała oczy otwarte, ale wbite w przestrzeń, niewidzące. Jej palce poruszały się, jakby skubały kołdrę. Dwaj mężczyźni stali pochyleni nad kobietą. Jednym z nich był Romuald. Ale on stał nieco z tyłu. Drugi nie znany Annie człowiek, pewno lekarz, trzymał umierającą za puls. Coś do siebie mówili szeptem, gdy skrzyknęły drzwi. Ruchem głowy przywołał Annę. Powiedział:

To już koniec.

Nie odpowiedziała, nie wybuchnęła płaczem, tylko ogarnęło ją dygotanie. Drżąc patrzyła w twarz matki w niejasnej nadziei, że jednak zobaczy na niej jakiś znak zwrócony do siebie. Ale umierająca miała wzrok ciągle wbity w przestrzeń. Rysy twarzy stawały się z każdą chwilą ostrzejsze. Rozchylone wargi jakby z wysiłkiem chwytały powietrze. Dyszenie przeszło w rzęzenie. Cienkie warkoczyki siwych włosów leżące na poduszce miały wygląd żałosny.

Znowu powstało w niej rozdwojenie. Patrzyła — a jednocześnie myślała o tym, że patrzy. Odnotowywała w myśli to, co widzi, niby chłodny obserwator. Czy ja nic nie czuję? — pytała samą siebie. Jak mogę tak patrzeć i nie krzyknąć? Mama umiera, odchodzi. Za chwilę jej nie będzie. Zostanę sama, sama... Mama umiera, a ja jej nie powiedziałam... Ale co miałam jej powiedzieć?

Powoli osunęła się na stojące obok łóżka krzeselko. Czas płynął tykaniem zegara, którego nie widziała, a nawet nie wiedziała, gdzie stoi. Potem usłyszała jakiś ruch w mieszkaniu. Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł szybko ksiądz. Miał płaszcz na komży. Pospiesznie rzucił go z ramion, podszedł do łóżka. Z pomocą Romualda wyjmował z przyniesionej ze sobą torby jakieś małe pudełeczka i kłęбки waty. W pokoju znalazły się obie służące: Dorota Romualdów i Kundzia. Przyniosły stolik, zapaliły gromnicę, przygotowały kawałki chleba. Ksiądz modlił się i modląc namaszczał powieki, uszy, usta, nozdrza, dłonie i stopy umierającej. Wszyscy uklękli. Ksiądz mówił: „Per istam sanctam unctionem indulgeat tibi Dominus quidquid deliquisti...” Potem zaintonował litanię: „Bądź miłościw,

odpuść jej, Panie, bądź miłościw, wybaw ją, Panie... Od złej śmierci wybaw ją, Panie, od mocy szatańskiej wybaw ją, Panie..."

Powtarzała za nim słowa modlitwy, ale miała uczucie, że mówi bez żadnego wewnętrznego przekonania. Myśl odnotowywała nosowy głos księdza, cichy, jakby szemrzący głos brata, pochlipywania obu służących. Przecież to mama umiera! — wyrzucała sobie. — Powinnam modlić się, błagać... Powinnam prosić o uratowanie jej. A ja... Ja chyba zgodziłam się na jej śmierć...

Ksiądz mówił: „Polecam cię, najmilsza siostró, Bogu wszechmogącemu, i oddaję w opiekę Temu, który cię stworzył... Niechaj ci przebaczy, wszystkie grzechy twoje... Przybądźcie, święci Boży, przybieżcie, aniołowie Pańscy, przyjmijcie duszę jej..."

Modlitwy ciągnęły się a ich monotonnemu rytmowi towarzyszył ciężki oddech kobiety. Nagle Annie wydało się, że matka, jakby obudzona, chciała się dźwignąć. Jej napięty nos pobladł. Oddech przeszedł w krztuszenie się. Na twarzy pojawił się skurcz — jeden i zaraz potem drugi. A po nich zapadła cisza — urwały się modlitwy i urwało się rżenie. Obaj lekarze pochylili się nad ciałem.

Potem ksiądz wstał i w towarzystwie Romualda wyszedł z pokoju. Odszedł także ten drugi lekarz. Służące pociągając nosami wzięły się do obmywania ciała. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła ciało matki nagie. Próbowwała pomagać Dorocie i Kundzi, ale nie bardzo wiedziała, jak się do tego wziąć. Miały wprawę, więc poddawała się biernie ich kierownictwu. Przynosiła wodę, gąbkę, sięgała do pachnącej paczulą szafy. Uczesała włosy. Musiała być już późna noc, gdy w pokoju zjawił się Romuald. Zapytał:

Czy chcesz wrócić do domu, czy zostaniesz?

Miała uczucie, że nie rozumie, o co pyta. Musiał powtórzyć:

Zostaniesz tu do rana, czy wolisz wrócić? Jeśli masz zamiar wracać, doktor Tycner odwiezie cię dorożką. Bo ja muszę iść.

Zostanę, Romku.

Rób, jak uważasz. Zostanę tu z tobą Dorota i Kundzia. Ojciec zgodził się położyć u siebie na kanapie i śpi. Mam nadzieję, że nie będzie z nim kłopotu do rana. Rano przyjdę.

Dobrze.

Gdyby się jednak obudził i zachowywał niespokojnie, poślij po mnie Dorotę.

Nie, Romku, damy sobie radę.

Obaj lekarze wyszli. Matka była już ubrana. Leżała na zaścielonym łóżku ze złożonymi dłońmi, ze świętym obrazkiem wetkniętym między palce. Anna i obie służące zasiadły na krzesłach ustawionych półkolem. Kundzia mruczała zdrowaśki — Anna i Dorota odpowiadały. I teraz strumień myśli nie pozwalała się Annie skupić na słowach modlitwy. Prawie zazdrościła tym dwóm kobietom obok siebie, że potrafią tak wytrwale się modlić, choć przecież zmarła była dla nich osobą obcą. Dorota i Kundzia były kobietami bez wieku. Nie miały własnych rodzin. Zawsze od lat pracowały jako służące. Przywiązywały się do domów, żyły życiem swoich państwa, opłakiwały ich śmierć... A ja, myślała, nie płaczę! To prawda, że płakała rzadko. Dziś dałaby wiele, aby utopić swe myśli we łzach.

W końcu zadrzemała. Gdy otworzyła oczy, do pokoju wkradał się szary, listopadowy świt. Obok siedziała skulona Dorota. Była mała, trochę ułomna. Wydawała się w tej chwili prawie pokraczna. Kundzi nie było. Pewno poszła zająć się Miniewiczem, którego starcze pokastywanie słychać było w głębi mieszkania.

Niedługo potem zjawił się Romuald w towarzystwie Katarzyny. Szarytka miała małą głowę, która zdawała się całkiem znikać między szerokimi skrzydłami kornetu. Ta mała główka i wielki kornet robiły razem wrażenie niby wielkiego motyla czy też ćmy. Na suchej, surowej twarzy Katarzyny rzadko gościł uśmiech. Nie było widać także oznak żalu. Podeszła do łóżka, popatrzyła na matkę, poprawiła obrazek w jej palcach, uklękła i pomodliła się cicho. Potem zaraz poszła wydawać energiczne zarządzenia. Miniewicz bardziej słuchał starszej córki niż żony. Gdy powiedziała mu, że trzeba, aby się przeniósł do mieszkania Romualda, nie zaprotestował. Przyjął spokojnie wyjaśnienie, że jego żona umarła.

Katarzyna powiedziała do Anny:

Wracaj, Anusiu, do dzieci i odpocznij. Wszystko, co trzeba, załatwię i dam ci znać, kiedy będzie eksportacja. Błada jesteś. Przejęłaś się?

Nie powiedziała nic, tylko spuściła głowę. Katarzyna przesunęła końcami palców po jej policzku. Miała dłonie tak samo czerwone jak ojciec.

Uważaj na siebie, nie daj się żalowi.

Powoli wracała do domu. Suchy, lodowaty wieczór ustąpił miejsca rozpląkanemu zimnym deszczem rankowi. Chodniki pokryte były błotem. Za ogrodem Saskim pod Żelazną Bramą rozciągało się targowisko. Miesząc nogami w błocie czarno ubrani kupcy żydowscy sprzedawali owoce wykrzykując chrypliwymi głosami ich zalety. Zatrzymała się przy jednym ze straganów, aby kupić trochę jabłek dla chłopców. Sprzedawca nie patrząc na nią wrzucał owoce zręcznie do zrobionej z gazetowego papieru torebki. Można było pomyśleć, że ci żydowscy kupcy zajęci swoim handlem niczym innym się nie interesowali. A jednak od pewnego czasu zmienił się wyraźnie ich stosunek do okupantów. Entuzjazm, z jakim witali Niemców, zgasł. Patrzyli na nich jak na kogoś, kto się już nie liczy.

W domu znalazła wszystko w porządku. Z polecenia Aleksandra Jędrak nie poszedł na komplety i bawił się z Włodziem. Frania rozbeczała się, gdy jej Anna opowiedziała o śmierci matki, ale w trzy minuty później chichotała opowiadając o swoim zatargu ze znenawidzoną Teklą od sąsiadów.

Anna przywołała starszego syna i powiedziała:

Muszę ci powiedzieć, Jędrusiu, coś smutnego. Babcia umarła. Już jej nie zobaczymy. Ale poszła do nieba, do Pana Jezusa, i na pewno jest u Niego szczęśliwa...

Spuścił głowę i nic nie powiedział. Także się nie rozpląkał — myślała. — A przecież ona go kochała jak żadnego z wnuków. Nie pozwoliła jednak sobie na oskarżenie syna. To ja jestem winna, mówiła sobie. To ja jestem zimna. Zaraziłam go swoim chłodem...

Pokręciła się trochę po mieszkaniu, wysłała Franię na targ, a sama siadła w fotelu, w którym zwykle po obiedzie drzemał Aleksander. Skłonna była pozwolić sobie na małą drzemkę. Ale choć była

zmęczona bezsennością nocą, sen nie przychodził. Teraz dopiero poczuła niby jakiś dławiący ciężar. Ból nadciągnął i ogarnął ją całą. Trwał nieustępliwie.

Dla Jędrka ostatni rok był rokiem wielu przeżyć. Zaczął się od pogrzebu babki. Podczas wyprowadzenia ciała z domu, z własnego nieoczekiwanego popędu podszedł do stojącej na ziemi trumny, klęknął i pocałował umarłą w czoło. Czoło było zimne i twarde, nie miało znanej miękkości ciała. Pamięć tego dotknięcia pozostała w Jędrku na długie lata. Zrodziło się w nim przekonanie, że zmarły człowiek nie jest już tym, kim był. To tylko pusty kokon, z którego wyleciał motyl. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ci, którzy zostali, biegają tak często na cmentarz, zapalają na grobach znicze, kładą kwiaty, wysiadują długimi kwadransami nad grobem. W ziemi nie było tego, który odszedł. Był dalej — to prawda — ale gdzieś niewidzialny, wyczuwalny raczej w miejscach, gdzie żył, niż tam, gdzie rozsypywało się w proch jego ciało.

Po pogrzebie babki dom Miniewiczów został zlikwidowany. Dziadka zabrał do siebie wuj Romuald. Chociaż jego dom nie był otwarty na stosunki rodzinne, Jędrka zapraszano, aby przychodził pobawić się z kuzynami. Zwykle odprowadzała go na Świętokrzyską Frania, natomiast wieczorem wpadała po niego Anna. Przy tej okazji widywała czasami ojca, który pod wieczór wychodził ze swego pokoju, w którym spędzał samotnie całe dni, wkraczał do jadalni, z założonymi za siebie rękami obchodził wolnym krokiem kilka razy stół wokoło. Czasami rzucał w przestrzeń pytanie: „Gdzie Walunia? Gdzie moja żona?” Nikt mu nie odpowiadał. Po chwili wracał do siebie. Na Annę, jeżeli ją nawet napotkał na swojej drodze, nie zwracał uwagi.

Ale bywało i tak, że podchodził do pianina, zasiadał przy nim i zaczynał grać. Grał, jak zwykle, bez nut. Była to mieszanina znanych melodii. Zdarzało się także, że grał coś zupełnie nie znanego, coś, co musiało być jego własnym tworem. Potrafił tak grać nieraz przez dwie godziny. Potem wstawał, gasił starannie świece, które musiały być zapalone przy pianinie, i wolno odchodził do swego pokoju. Rozmawiał jedynie z Romualdem i Katarzyną, gdy przychodziła go odwiedzić. Także porozumiewał się z Dorotą, która mu usługiwała. Innych dorosłych zdawał się nie dostrzegać. Natomiast na chłopców prychał czasami gniewnie, jakby go drażnili samym swym widokiem.

Zima tego roku przyszła łagodna. To stanowiło wielkie szczęście dla mieszkańców miasta, pozbawionych możliwości zdobycia opału. Było zimno i głodno. Racje chleba zostały obniżone. Zresztą także inne przydziały kartkowe stały się śmiesznie małe. Równocześnie kwitł czarny rynek, na którym wszystko można było kupić, oczywiście po bająńskich cenach. Paskarze obrastali w bogactwa i powszechną nienawiść.

Po zawarciu przez Niemców traktatu pokojowego z Rosją w Brześciu, nastąpił konflikt między rządem Królestwa a okupantem. Stanowisko rządu poparty demonstracje ludności. Niemcy stłumili je z brutalnością, a Warszawę obłożyli kontrybucją. To jeszcze bardziej wzmogło nastroje antyniemieckie.

Wyrazem tych nastrojów były egzekucje, dokonywane codziennie przez Jędrka na porcelanowej skrzynce mającej kształt brodatego niemieckiego żołnierza, w haubie, z tornistrem na plecach i z fajką w gębie, figurek, którymi bawił się Jędrak. Tej także jesieni zapanowała w Warszawie epidemia choroby nazwanej hiszpanką i trwała aż do wiosny. Choroba ze względu na wyczerpanie organizmów była bardzo często śmiertelna. Anna żyła w trwodze, że Aleksander, który ze względu na swoją pracę odwiedzał zakłady, gdzie pokotem leżeli chorzy, może przynieść zarazek chłopcom. Nie śmiała jednak

powiedzieć o tym ani słowa. Modliła się tylko gorąco wieczorami ze starej książeczki, która jej została po matce.

We wrześniu, który się zaczął strajkiem piekarzy i całkowitym brakiem pieczywa przez dwa tygodnie, Jędrzek rozpoczął naukę w szkole. Został zapisany do gimnazjum Jaczynowskiego, które się mieściło na ulicy Berga, przemianowanej niedawno na Traugutta, na tyłach kościoła Świętego Krzyża. Wpisowe było dość wysokie i Rogowski strapiony tartą czupryną, gdy przyszło mu należność zapłacić. Ze względu na ciężkie czasy szkoła zrezygnowała z domagania się mundurków. Jedynym znakiem przynależności do szkoły była granatowa czapka w kształcie francuskiego kepi. Wśród przedmiotów szkolnych w programie wstępnej klasy był język niemiecki, co ogromnie oburzało chłopców. Uczyć się jednak musieli, gdyż nauczyciel był bardzo wymagający.

W październiku Rada Regencyjna, widząc już nieuchronną klęskę Niemców, zdobyła się na odwagę i ogłosiła w Królestwie „prawdziwą niepodległość”. Rozwiązano Radę Stanu, powołano nowy rząd, ogłoszono tekst przysięgi wojskowej, w którym nie było mowy o braterstwie broni z niemieckim „sojuznikiem”. Przesztano się pytać Besselera o zgodę wszystko.

W niedzielne popołudnie Jędrzek bawił się u swoich kuzynów. Wielka wyprawa, której ołowiani żołnierze dokonali na planetę Marsa, tak go podnieciła, że prawie wrogo spojrzął na wujenkę Romualdową, gdy wszedłszy do pokoju chłopców powiedziała:

Jędrusiu, przyszła po ciebie Frania. Musisz już iść.

Ze spuszczoną głową oderwał się od zabawy i spakował swoich żołnierzy, których ze sobą przynosił. O sprzeciwie nie było mowy. Wujostwo budzili w nim szacunek i trochę lęku. Wujenka była osobą dystyngowaną. Miała czarne włosy upięte wysoko, wąsiki nad ustami. Mówiła cicho i bardzo uprzejmie, ale wiedział, że potrafi być bardzo stanowcza.

Z żołnierzami złożonymi do pudełka po mydełkach Pulsa pod pachą udał się do kuchni, gdzie czekała na niego Frania żywo coś dyskutując z Dorotą. Chichocząc wesoło po swoim dopilnowała, aby Jędrzek ubrał się w płaszcz i starannie zapiął.

Postaw kołnierz, Jędrusiu — powiedziała. — Zrobiło się zimno.

Pogardliwym wzruszeniem ramion odrzucił to żądanie: żołnierze nie podnoszą kołnierzy. Frania wiedziała, że z niektórymi jego oporami nie ma co walczyć. Dorota odprowadziła ich do drzwi. Kiedy byli na schodach, Frania powiedziała:

Wiesz, Niemcy mają stracha. Nasi zabierają im broń.

Gdzie?

Wszędzie, gdzie ich spotkają. Koniec szwabskiego panowania. Dostaną teraz za swoje! — groźnie potrząsnęła parasolem, z którym przyszła.

Jędrkowi załśniły oczy. Powtórzył równie bojowo:

Dostaną teraz!

Przed bramą czekały na Franie dwie dziewczyny. Jędrrek znał je. Były to służące z ich domu: Kazia i Józia. Należały do grona przyjaciółek Frani, chłopiec widywał je nieraz w domowej kuchni. Kazia była mała i miała krzywe nogi. Józia jeszcze mniejsza i nie widziała na jedno oko. Wyglądały nędznie obok tęgiej i rozrośniętej Frani. Obie trzymały parasolki, co mogło się wydawać dziwne, gdyż wieczór był zimny, wietrzny, ale suchy.

Jak siedziałś na górze — powiedziała Józia — widzieliśmy, że chłopaki ganiały jednego Szwaba.

Zabrały mu karabin? — pytała Frania.

Zabrały.

To i my zabierzemy! — oświadczyła nagle. — Prawda, Jędrus?

Pewno, że zabierzemy — zapalił się. — Żeby tylko jakiego spotkać. Pójdziemy szukać Niemców, Franiu? Moja kochana, chodźmy, chodźmy. Józia i Kazia pójdą prawda? Zabierzemy Niemcom karabiny.

Widzisz go, jak się rwie — rzekła Kazia. — zobaczymy, czy nam dadzą.

Co nie mają dać — Frania była pełna zapału, postraszymy ich. A oni i bez tego mają boja. A Jędrrek to chłopak. Żołnierzami bawi się cały dzień.

Żeby się tylko co nie stało — bąknęła Józia najbardziej lękliwa w ich armii. — Jeszcze chłopcu stanie się krzywda...

Nic mu nie będzie — zapewniała Frania. — Niby nie dostały cykorii.

Damy im! — wykrzykiwał Jędrrek.

Bojowa czwórka ruszyła Świętokrzyską do Mazowieckiej.

Dziewczyny z fantazją wymachiwały parasolkami, Jędrrek podskakiwał niby kogut.

Ale jeden karabin musi być dla mnie! Prawda, Frania?

Musowo.

Mimo niedzielnego wczesnego wieczoru ulice były jak wymiecione. Nie widać było ludzi, którzy zwykle wracali o tej porze z wizyt. Czasami tylko przebiegały hałaśliwe grupki chłopaków i młodych mężczyzn. Przechodzili żołnierze rosyjscy uzbrojeni i marsowi. Gdzieś w dali, w okolicach placu Teatralnego, rozstukały się wystrzały.

Nasi biją do Niemców! — zawołał Jędrrek.

Pewno, że nasi — zgodziła się Frania.

Może i nasi — mówiła mniej pewnie Kazia.

Ale mogą i Szwaby — zauważyła Józia.

Szwaby się boją. Znajdziemy ich, to zobaczycie podjudzał Jędrrek.

Z Mazowieckiej wyszli na plac przed Zachętą. Na prawo, spoza kolumnienek pałacu Kronenberga widać było zawałającą cały prawie plac bryłę soboru. Naprzeciwko ciemny ogród Saski. Mieli przejść ulicę prosto na bramę, gdy nagle Kazia zawołała:

Patrz, Franka, bramę zamknęły!

Prawda. A to heca! Nie zamykali nigdy tak wcześniej.

Widać im kazały.

Albo się bały, że Szwaby poukrywają się w ogrodzie.

Trzeba iść naokół.

Ruszyli Królewską wzdłuż sztachet ogrodu. Brama wychodząca na Marszałkowską była także zamknięta. Gardziel ulicy otwierała się szeroko, wyznaczona linią słabo palących się lamp. Gdzieś w głębi Marszałkowskiej słychać było krzyki. Służące z chłopcem poszły dalej Królewską. Mijali właśnie gmach giełdy, gdy nagle z mrocznej Zielnej wyskoczyło dwóch żołnierzy niemieckich. Wydawali się czymś przestraszeni. Mieli karabiny w rękach i okrągłe czapki bez daszków na głowie. Tupiąc i chrupiąc podkutymi buciorami skręcili w Królewską w stronę placu Saskiego.

Niemcy! — zawołał Jędrzek na ich widok. — Frania, Niemcy!

Trzy służące zatrzymały się i zwróciły w tamtą stronę.

A złodzieje, skurczybyki, Szwaby zatracone! Stójcie! — zawołała Frania. W bojowym zapale ruszyła przez jezdnię do tamtych. — Halt! Stać!

Za Franią popędził Jędrzek wznosząc bojowe okrzyki. Potem biegły ostrożniejsze Kazia i Józia. Niemcy przystanęli. Trzy pędzące ku nim furie z parasolkami w rękach nie wydały im się na pewno groźnym nieprzyjacielem. Ale w ciemnej Zielnej musiało kryć się coś groźniejszego, gdyż poderwali się natychmiast do dalszej ucieczki. Dziewczyny popędziły za nimi, ile sił. Przed witryną sklepu z zabawkami Malanowskiego jeden z żołnierzy potknął się i upadł. Dźwignął się natychmiast na nogi, ale Frania dopadła go i trzepnęła przez łeb parasolką.

O Herr Je! — stęknął żołnierz. Czapka spadła mu odkrywając szpakowatą łepetynę. — Kamerad! Hilfe!

Ale jego towarzysz, usłyszawszy rozpaczliwy krzyk, tylko przyspieszył ucieczkę. Gnał teraz przez jezdnię Marszałkowskiej. Kazia i Józia pogoniły za nim. Tymczasem Frania nie przestając okładać żołnierza parasolką krzyczała:

Oddawaj karabin, przeklęty Szwabie! Karabin! Gewehra dawaj! Prędko, bo cię zatłukę, psiajucho!

Za plecami rozjuszony dziewczyny Jędrzek tańczył dziki taniec niby Indianin wokół pala męczarni, do którego przywiązany jest jego wróg. Żołnierz osłaniał się przed razami, ale nie próbował atakować. W słabym blasku latarni widać było jego czerwoną twarz i wyłupiaste oczy.

Dawaj karabin! — darła się Frania, krusząc na Niemcu parasolkę.

Może widząc swą przeciwniczkę rozbrojoną Niemiec zdecydowałby się na opór, gdyby nie zobaczył wracających z pościgu Kazi i Józii. Nie udało się im dogonić ściganego, więc zawróciły potrząsając

parasolkami. Z ciężkim westchnieniem Niemiec podał Frani karabin. Coś przy tym bełkotał, ale żadna z dziewczyn tego, co mówił, nie rozumiała. Jędrrek zażądał dla siebie bagnetu Niemca, więc zwycięska Frania

kazała żołnierzowi zdjąć pas, na którym wisiał bagnet. Chłopiec założył sobie pas z napisem „Gott mit uns” przez ramię.

Ruszaj, Szwabie — powiedziała Frania pokazując Niemcowi, aby szedł przodem. Szła za nim z karabinem. Obok podskakiwał Jędrrek z wyciągniętym z pochwy bagnetem.

Byli już na Granicznej, gdy Józia zbliżyła się do Frani i zapytała przyciszonym głosem, aby jeniec nie słyszał:

Dokąd my go prowadzimy, Franka?

Nie wiem. Chyba do nas.

Do nas? Do domu? A co my z nim zrobimy?

Zamkniemy w komórce.

Lepiej go oddać żołnierzom polskim.

A gdzie ich szukać?

Może są na placu Saskim?

Może. Ale musielibyśmy wracać. A ja muszę chłopca odprowadzić, bo pani będzie się o niego bała.

To może lepiej puścić...

Jak to puścić? Szwaba?

Znajdowali się już na placu Żelaznej Bramy. O tej porze było tu pusto i cicho. Żelazny okrągłak Wielopola był zamknięty. Sklepy z materiałami mieszczące się pod arkadami pałacu Lubomirskich miały drzwi pozapierane sztabami. Przed halą targową stały puste stragany sprzedawców owoców.

Niemiec kilka razy lękliwie obejrzał się na prowadzące go dziewczyny. Musiał być zaniepokojony tym, że zamiast w stronę śródmieścia, prowadzą go w pustą część miasta. Coś zaczął znowu mówić, ale Frania krzyknęła na niego gniewnie i trąciła go lufą karabinu. Spuścił głowę i ruszył posłusznie dalej. Minęli hale i wyszli na plac Mirowski. Przed koszarami straży ogniowej stała gromada mężczyzn.

Hej, dziewczuchy — krzyknął któryś. — Szwaba prowadzicie?

A Szwaba — powiedziała dumnie Frania.

Poddał się wam?

Pewno — zajazgotała Kazia. — Franka zdzieliła go bez łeb. Aż parasolka rozleciała się.

Mężczyźni podeszli, otoczyli kręgiem dziewczyny.

I ten mały rozbijał? — zapytał któryś.

I on.

Bojowe z was towarzystwo.

Warząchew trzeba było wziąć, to by się więcej na straszyl.

Brawo — powiedział jakiś młody mężczyzna, który wyszedł z bramy koszar i zbliżył się do stojących. Tamci rozstąpili się. Mężczyzna miał na głowie szarą maciejówkę, a na ramieniu opaskę biało-czerwoną. — Brawo — powtórzył. — Sprawiliście się dzielnie. Ale dokąd go prowadzicie?

Czy ja wiem? — Frania wyszczerzyła zęby. — Pan oficer chce go?

Zostawcie go. I oddajcie karabin.

Szwaba możecie wziąć, ale karabina nie dam!

Otaczający dziewczyny mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem.

Po co ci on? Co chcesz z nim robić? A umiesz z niego strzelać? — pytali. — Do mieszania w garnku nie nada się.

Moja sprawa, co z nim zrobię. — Roześmiana przed chwilą Frania stała się znowu groźna. — Ja Niemca złapałam, ja karabin zdobyłam.

Mężczyźni znowu się śmieli i kpili. Ale tamten z opaską kazał się im uciszyć.

Dobrze, ty karabin zdobyłaś — powiedział do Frani. — Ale widzisz, broń jest potrzebna. Niemcy nie wszędzie dają się rozbroić. Może trzeba się będzie z nimi bić. Tworzę tu oddział ochotników i muszę mieć dla nich broń.

A pan jest kim?

Jestem podporucznik Ziętek z POW.

Co to jest ta POW?

Polska organizacja, która będzie tworzyła polskie wojsko.

A te, co są, nie wystarczą?

Przecież ich garstka.

Westchnęła ciężko.

Jak tak, to wam oddam. Chciałam pokazać w domu. Nikt nie uwierzy, jak będziemy mówiły. I parasolka cała na nic...

Znowu buchnęli wielkim śmiechem. Ale ten z opaską rzekł:

Damy panience pokwitowanie. Może potem jaka z tego. nagroda będzie. A pokwitowanie można pokazać tym, ca nie wierzą.

E, tam... — Frania pocieszyła się prędko. — Co tam za nagroda. Bajdurzy pan tylko. Ale pokwitowanie daj pan. Niech będzie napisane, że zabrałam Niemcowi karabin...

Zaraz napiszę. I bagnet potrzebny — wyciągnął rękę po pasek, który Jędrrek miał na sobie. Jędrrek kurczowo przywarł do bagnetu. Usta zaczęły mu drżeć i w podkówkę.

Coś pan? — sprzeciwiła się dziewczyna. — Dziecku chcesz zabierać?

Kiedy broń potrzebna.

Niech pan nie bierze, panie poruczniku — powiedział któryś ze stojących. — Bagnetów mamy od cholery.

Macie bagnety?

Jest tego.

Niech mały ma pamiątkę.

Karabin to grunt...

No, to dobrze. Trzymaj swój bagnet. I nie płacz, poczekaj, zaraz przyniosę pokwitowanie.

Wrócił po chwili z kartką. Podał ją Frani.

Napisałem — przeczytał — „Stwierdza się, że obywatelka Franciszka Groszek zdała zdobyty przez siebie i jeńca...” Dobrze?

A pieczętka jest?

Naturalnie.

To klawo — zachichotała. — Już mi nie żal. Nauczę się tego, co tu napisane, i przeczytam Tekli. Kolka ją zeprze, no nie? — zwróciła się z pytaniem do koleżanek.

W ciągu tych miesięcy trwał stan prawdziwej radości, zachwytu i zapału. W oczach rosła nie istniejąca od wieku z górą państwowość. Towarzyszyły temu zatargi, a nawet walki graniczne. I dalej panowała nędza, której nie mogły zaradzić ani małpie, jak twierdzili konserwy australijskie, ani amerykańska mąka, ani mleko skondensowane, ani kakao dostarczane przez Ymcę.

Jędrrek w szkole otrzymywał codziennie na wielkiej pauzie dużą łyżkę tranu — co było zabiegiem brutalnym, dokonywanym przez kolegów z najstarszej klasy. Dla ułatwienia przełknięcia dodawano kawałek chleba umaczanego w soli. Władzio był również pojony tranem, ale w domu, więc kuracja miała charakter delikatniejszy. Rozmaite zaprzyjaźnione zakonnice spieszyły z pomocą i dzięki tej pomocy „ma murki” — tak Anna nazywała swoich synów ze względu na ich błądź — zaczęły się nieco poprawiać.

Wypadki leciały jak na skrzydłach. Niemcy zostali rozbrojeni. Wrócił Piłsudski i Rada Regencyjna złożyła władzę w jego ręce. Mógł ją wziąć, gdyż jego ludzie przygotowali wszystko na ten moment. W grudniu wybuchło powstanie- wielkopolskie, bohaterkie i zwycięskie. Przez Poznań przybył do Warszawy Paderewski. Z okien szpitala Św. Rocha na Krakowskim Przedmieściu Anna, Jędrzejko i Władzio oglądali powóz, zaprzężony w czwórkę białych koni, w którym obok Piłsudskiego, ubranego w szarobłękitny mundur legionowy, siedział bez kapelusza, z głową pokrytą burzą jasnych włosów, mężczyzna, o którym się mówiło, że jest największym muzykiem świata. Zrobiła się już wiosna, gdy zebrane przed dworcem tłumy młodzieży akademickiej witały entuzjastycznie przybywającego z Francji wodza „błękitnej armii”. W sali Rady Miejskiej stojąc na balkonie obok ojca Jędrzejko słuchał, jak siwowłosego poeta przemawiał wierszem do Hallera: „Generale, gdy Polskę okuwano w pęta i kiedy, jak w więzieniu od świata zamknięta, żyła pod groźbą stryczka i bagneta, kto stanął w Jej obronie? — Żołnierz i poeta...” Generał słuchał, wsparty na lasce. Miał czarną opaskę na rękawie, a jego stercząca bródka drżała tłumionym wzruszeniem.

Piłsudski wrócił właśnie z Wilna — i natychmiast Warszawa zatrzęsła się od plotek na temat, jak ułożą się stosunki między tymi dwoma ludźmi. Obaj wodzowie mieli, swoich wielbicieli, których krąg obejmował również uczniów szkolnych. Gimnazjum Jaczynowskiego było jednogłośnie za Hallerem i Jędrzejko paradował dumnie do szkoły w płaszczu uszytym z „hallerowskiego” sukna. Podczas jakiejś uroczystości doszło do publicznego spotkania Hallera i Piłsudskiego. Wbrew podnieconej opinii, która oczekiwała nieomal jakiegoś coup d'État, przywitali się grzecznie. Haller budził sympatię, ale nie wyglądał bojowo. Widać było po nim, że nie potrafi albo może nie chce odegrać roli politycznej, jakiej oczekiwali po nim przedstawiciele środowisk narodowych. Był zbyt miękki, naładowany skrupułami. Rogowski wrócił z wizyty u generała rozczarowany. „Nie, Anusiu, nie — mówił. — On nie przeciwstawi się Piłsudskiemu i legionistom. Musimy czekać, aż wróci z Paryża pan Roman...”

Jednak „pan Roman” długo nie wracał. Chorował, kurował się, a gdy wreszcie wrócił, okazało się, że jest człowiekiem, którego zdrowie zniszczyła wyczerpana praca. On, który najważniejsze sprawy wywalczył w Paryżu, w kraju został ubiegnięty przez swoich przeciwników. Tymczasem zatargi graniczne przemieniły się w wojnę. Rogowski należał do zaciętych przeciwników wyprawy na Kijów.

Pewnego dnia u Rogowskich zjawił się Tadeusz Selimowicz. Starszy brat Kazika odbył wojnę jako oficer w niemieckim wojsku. Obecnie przeszedł do wojska polskiego i jako prawnik otrzymał poważne stanowisko w ministerstwie spraw wojskowych. Podczas obiadu wywiązała się dyskusja:

Piłsudski miał rację przygotowując to uderzenie - mówił Selimowicz. — Petlura, podpisując umowę, zrzekł się Małopolski wschodniej, a to jest dla nas najważniejsze...

Rogowski podniósł gwałtownie głowę znad talerza.

Petlura? A któż to jest ten Petlura? Ilu jest Ukraińców, którzy go popierają? Samozwaniec i awanturnik. Cóż warte są jego obietnice? I czy wasi małopolscy Ukraińcy uznają jego zobowiązania? Piłsudski chce po prostu oderwania Ukrainy od Rosji. Rosja nigdy się na to nie zgodzi.

Tamte ziemie należały do Rzeczypospolitej.

To było tak dawno. Od tego czasu narodziły się nowe uczucia i nowe świadomości narodowe. Dlaczego Piłsudski był taki powolny, gdy chodziło o Śląsk, o Pomorze, o Wielkopolskę, a tak rwie się do walki o Kijów?

Przeczuwa niebezpieczeństwo...

To przeczucie może być złudzeniem.

Możemy i powinniśmy mu zaufać. A sprawy Śląska i Pomorza zostały rozstrzygnięte w Paryżu.

Może inaczej byłyby rozstrzygnięte, gdyby sprawę poparł kraj?

Ależ, panie Aleksandrze, przecież Niemcy nawet po przegranej wojnie byli jeszcze silni.

Byli silni. Ale szło o sprawy najważniejsze. A tu sięgamy nie po swoje.

Robimy to dla wspólnej przyszłości.

Chcemy krwią polskiego żołnierza zbudować państwo dla jakiegoś Petlury, choć nie wiadomo, kto się za tym człowiekiem naprawdę ukrywa! To jest szaleństwo. Awantura pozbawiona myśli o interesie Polski!

No, no, zapala się pan. Mówi pan jak ci wszyscy krzykacze sejmowi.

Kogo pan nazywa krzykaczami?

Tych wszystkich panów, którzy tylko umieją krzyczeć, podgryzać drugich, obzierać zniewagami... Pański Dmowski był kiedyś zwolennikiem Rosji...

Rogowski poderwał się tak gwałtownie, że aż zadzwoniły talerze, a zupa chlapnęła z wazy na obrus.

Gdyby nie praca tego człowieka — powiedział chrapliwie — nie mielibyśmy nawet takich granic, jakie mamy!

Selimowicz machnął lekceważąco ręką.

Nie bił się o nie.

Nie każdy, kto macha szablą, ma rację. Ten szaleniec zdolny jest zgubić naród!

Selimowicz przestał się uśmiechać. Nie był podniecony jak Rogowski, ale ton jego głosu stał się zimny i groźny.

Widzę, że Kazik miał rację, gdy opowiadał, że jest pan zacietrzewionym wszechpolakiem. W domu niech pan sobie głosi swoje poglądy. Ale nie radzę wypowiadać ich publicznie. Są ludzie, którzy nie zniosą zniewagi ukochanego wodza.

Rogowski zagryzł usta. Dyszał ciężko i drżały mu dłonie. Nienawykły do starć słownych zapalał się, podniecał, tracił jasność rozumowania. Najlepsze argumenty przychodziły mu dopiero, gdy już było po dyskusji. Miał gorzkie uczucie, że w oczach żony i synów przegrał przez sam fakt użycia obraźliwego słowa. A przecież w gruncie rzeczy nie było w nim nienawiści do człowieka. Dla żywego człowieka czuł zawsze życzliwość. Gniew rodził się dopiero wtedy, gdy człowiek zamieniał się w ideę.

Spojrzał na Annę. Miała oczy spuszczone. Bez słowa zajmowała się zmienianiem talerzy. W pokoju panowała cisza. Dokonał ogromnego wysiłku i powiedział:

Przepraszam pana, panie Tadeuszu. Uniosłem się...

Wtedy podniosła głowę i spojrzała na męża. Uśmiechnęła

się lekko, jakby mu dziękowała tym uśmiechem.

Ależ nie ma o czym mówić. Każdy ma swoje poglądy.

Jędrzek z boku patrzył na ojca, którego zaczerwieniona

sporem twarz zaczęła blednąć. Nigdy go jeszcze nie widział tak podnieconym. Sam nie wiedział, co ma myśleć o sporze.

Gdyby chodziło o wybór między dwoma ludźmi w mundurach — między Hallerem a Piłsudskim — byłby to dla niego wybór oczywisty. Ale sprzeciw budził fakt, że ojciec człowiekowi w mundurze przeciwstawił człowieka bez munduru.

Domek w Lipinach koło Wołomina był mały. Wychodził jedną stroną na sosnowy las, drugą na rozległą wydmy żółtego piasku. Właściciel domku, stary chłop Wierzba, przyjął dość pocziwie „letniaków z Warszawy”.

Niechta — mówił niechta. Chłopaki mogą po drzewach smyrgać i w piachu się bawić. Słońca będzieta mieć. Mlika i jajek moja wam sprzeda, ile trza. Nicego wam nie zabraknie. A te pare tysiacków marek to musita zapłacić.

Wojna zdawała się toczyć gdzieś bardzo daleko. Z Kijowa — jak donosiły gazety — Rydz Śmigły wycofał się. Konna armia Budionnego, o której chodziły po kraju groźne wieści, buszowała na Wołyniu. Coś tam opowiadano, że nad Dźwiną Tuchaczewskij przygotowuje ofensywę. Ale to wszystko wydawało się bardzo odległe. A tymczasem lato było gorące i Anna upierała się, że musi swoje „marmurki” wywieźć na świeże powietrze. Rogowski nie śmiał oponować - wiedział, że żona jest w ciąży i znosi ciężko swój stan. Ktoś doradził letnisko w Wołominie, a więc stosunkowo niedaleko. Mógł przyjeżdżać do rodziny każdej niedzieli. Anna zabrawszy Franię wyjechała w końcu czerwca. Pojechał z nimi także kot Murzynek. Był to ostatni prezent Miniewiczowej dla ukochanego wnuka. W ostatnich miesiącach swego życia przysłała go w koszyku przez Franię. Anna żywiła utajone pragnienie posiadania psa. Pragnienie to żyło w niej od lat, sięgało jeszcze czasów młodości. Póki mieszkała u rodziców, na psa nie mogła sobie pozwolić. Rogowski gotów był spełnić pragnienie żony, ale czasy były ciężkie i realizacja projektu musiała być ciągle odkładana. Zamiast psa w domu zjawił się Murzynek. Kilka razy ginął, ale potem odnajdywał się. Przywiązał się do chłopców. Gdy wychodzili bawić się w piasku, kot szedł za nimi. Kręcił się obok nich niby nie zainteresowany ich bliskością, a jednak jej potrzebujący. Czasami udawał, że na coś poluje, czasem tarzał się na gorącym piasku, a czasami siedział po prostu nieruchomo, utkwivszy w przestrzeni żółte oczy, podobny do egipskiej rzeźby.

Lipiny nie były takie piękne jak tamto miasteczko nad Niemnem — ale były tutaj drzewa, trawa, falujące zbożem pola, była przestrzeń, cisza i niebieskie niebo. Do Anny nie dochodziły wieści o tym, co dzieje się na frontach. Aleksander przyjeżdżał w każdą sobotę i zostawał do niedzieli. Przywoził ze sobą liczne troski, ale ona była przyzwyczajona, że zawsze się o coś martwi na zapas. Gdy wspomniał, że byłoby dobrze, aby przed końcem lata wróciła do Warszawy, odrzuciła tę propozycję. Uważała, że

chłopcom jest dobrze w Lipinach. Ona sama lubiła spacerować, zwłaszcza wieczorami, skrajem lasu, wsłuchując się w szum wiatru w gałęziach sosen. Myślała wiele o dziecku, które się miało urodzić. Była przekonana, że to będzie dziewczynka. Nareszcie wymarzona dziewczynka, przyjaciółka! Chciała ją nazwać imieniem matki. Z tą córeczką będą miały zawsze tyle sobie do powiedzenia. Synów kochała ogromnie, ale coraz mniej rozumiała ich zabawy polegające na wydawaniu głosów przypominających strzelanie i na obrzucaniu kamykami rozstawionych żołnierzy.

Aleksander przy każdych odwiedzinach wracał do projektu wcześniejszego ich powrotu. Był przestraszony wiadomościami. Także jego praca w biurze nabrała jakiegoś gorączkowego tempa. Któregoś dnia przyjechał niespodziewanie w dzień powszedni. Prosił, aby wróciła w ciągu najbliższych dni. Po godzinie pobytu musiał odjechać, gdyż w biurze działy się rzeczy, które wymagały jego nieustannej obecności. Do dworca kolejowego było daleko, ale Anna postanowiła odprowadzić męża przynajmniej do skraju lasu.

Jeszcze idąc sprzeciwiała się jego żądaniu:

Nie rozumiem, dlaczego chcesz, abyśmy wracali. Mieszkanie wynajęte do września, jest pogoda, chłopcy opalili się, nabrali apetytu...

Mówiłem ci, że wojna zbliża się.

Ale przecież tu nie przyjdzie.

Nie wiem — z gniewną irytacją wzruszył ramionami.

Zbliżał się wieczór, słońce dopalało się krwawo. Gorąca

purpura ściekała po pniach sosen. Wróciła do swoich sprzeciwów:

Nie, nie, wojna tutaj nie przyjdzie. To przecież tak daleko. Jesteś, Olesiu, zawsze niecierpliwy. Wietrzysz jakieś niebezpieczeństwa. Dla chłopców pobyt tutaj to prawdziwe błogosławieństwo. Kiedy patrzę, jak się poprawiają, zaczynam wierzyć, że ich wyciągnę z tego wojennego wynędznienia.

Westchnął.

Wszystko to rozumiem, Anusiu, ale naprawdę powinniście wracać. Najlepiej by było, abyście wrócili zaraz jutro. Mówią, że mogą przestać chodzić pociągi...

To niemożliwe!

Mówią, że potrzebne są dla wojska. Wierz mi, naprawdę jest źle...

Jeśli będzie naprawdę źle, zadeszuj. Wtedy wyjedziemy od razu.

Ale czy wtedy wyjedziesz od razu?

Obiecuję ci.

Zatrzymał się, przełożył płaszcz z jednego ramienia na drugie. Do dworca było jeszcze daleko.

— Kochana — powiedział. — Proszę cię... Zadepeszuj i jeśli będę mógł, sam po was przyjadę. Ale bądźcie gotowi, nie odkładajcie wyjazdu do ostatniej chwili. Proszę, proszę cię o to bardzo...

Objął ją ramieniem, pocałował i odszedł. Stała patrząc za oddalającą się postacią męża. Myślała, że jednak bardzo go kocha i chociaż nie jest wcieleniem jej marzeń, zawsze go będzie kochać. Nie chciała mu sprawić bólu.

Następnego dnia na drodze ciągnącej się obok ich domu pojawiła się kolumna żołnierzy. Szli zmęczeni, obładowani. Ich młode twarze ociekały potem. Musieli stanować świeżo powołaną pod broń jednostkę. Ubrani byli pstrokato, jedni mieli na sobie świeże amerykańskie sorty, inni stare, spracowane mundury. Prowadzący kolumnę oficer zarządził postój. Zmęczeni żołnierze porozkładali się na ziemi. Anna szybko pobiegła do domu i przyniosła wiadro świeżo zaczerpniętej ze studni wody. Przeszedł za nią Jędrzek niosąc kilka kubeczków. Podawał w nich wodę żołnierzom. Pili chciwie. Już po chwili trzeba było przynieść nowe wiadro. Z zalem myślała, że nic więcej nie mam im do ofiarowania.

Grupka oficerów siedziała z boku paląc papierosy. Jeden z nich, z dystynkcjami podporucznika, podszedł do Anny.

Pani pewno mnie nie poznaje? — zapytał.

Patrzyła na niego zaskoczona. Oficer był bardzo młody, właściwie chłopiec. Jego twarz nic jej nie mówiła. Na próżno usiłowała odgadnąć, kim może być.

Jestem Karol Guliński — pomógł jej.

Od razu stanęła jej w pamięci wizyta w Radomiu. Nigdy już potem nie byli u Gulińskich. Ale chłopca widywała później kilka razy u babki Krzywiańskiej. To było jeszcze przed wojną. W 1915 r. Krzywiańska razem ze swą niezamężną córką wyjechały do Rosji. Od tego czasu nic o nich nie wiedziała.

Nie poznałam — rzekła — ależ też, kiedy widziałam pana ostatni raz, był pan chłopcem. Pamiętam pana w mundurku gimnazjalisty.

Widać zawsze muszę stawać przed panią w jakimś mundurze — zażartował. — Tak, to było dawno. Ale ja poznałam panią.

Pan w wojsku od dawna?

Nie. Byłem studentem. Poszedłem na ochotnika.

Rodzice zdrowi?

Nie bardzo. Oboje chorują. Ojciec nie pracuje. Siedzą po staremu w Radomiu.

A babcia i ciocia?

Uszły w Rasiju — powiedział ironicznie. — Babka umarła w Piotrogradzie. Ciotce udało się wyjechać do Szwajcarii. Napisała stamtąd tylko raz jeden do matki. Może nie ma na znaczek...

Jak to? Dlaczego?

Stracili wszystko — skrzywił się. — Dziadzia gienierał nie zostawił ani nazwiska, ani pieniędzy...

Nie wiedziała, co powiedzieć. O tym dziadku generale, którego poślubiła Krzywiańska — szesnastoletnia dziewczyna starego mężczyznę i w dodatku Moskala! — nie wspominało się nigdy. Rodzina uważała to za wstydlivy temat.

Zmartwiło mnie to, co pan mówi — powiedziała, aby coś powiedzieć.

Wydał usta, jakby chciał zaznaczyć, że sprawa nie warta jest zmartwienia. Jeszcze wtedy, gdy był uczniem, wydawało się jej, że w tym, co mówi Karolek, pobrzmiewa cynizm.

Idziecie na front? — zapytała.

Idziemy w stronę frontu, a front jeszcze szybciej idzie ku nam. Gdy dojdziemy na koncentrację, będziemy niewątpliwie użyci. Trzeba kimś zatkać dziurę. Ale wiele pożytku z tego wojska mieć nie będą. Żadnego przygotowania...

Rozległ się gwizd, a potem zaraz podniosły się krzyki podoficerów na żołnierzy, aby powstawali. Robili to niezręcznie, a jednak bez niechęci. Po chwili kolumna stała znowu na drodze.

Muszę iść — powiedział. — Do widzenia. Niech pani wraca do Warszawy. — Jeszcze wrócił, aby dorzucić: — Tu łada chwila będą toczyły się walki.

To niemożliwe — powtórzyła swoje.

A jednak ogarnął ją dreszcz przerażenia. Wydało jej się, jakby jakiś głos powiedział jej do ucha: „Jedźcie natychmiast”. Nigdy jeszcze nie zaznała czegoś podobnego. Idąc do domu przypomniała sobie, jak kiedyś powiedziała jej matka: „Moi umarli pamiętają o mnie. Ostrzegają mnie, gdy jest coś naprawdę ważnego”. „Mnie nikt nigdy nie ostrzegał” — zauważyła. Miniewiczowa pokiwała głową: „Moja duszko, ci, co ciebie kochają, są tutaj. Będzie inaczej, gdy odejdą, a ty zostaniesz...”

Odszukała Wierzbę, który zajęty był przy obrządzaniu prosiąt. Gdy mu powiedziała, że prosi, aby jeszcze tego dnia odwiózł ją na pociąg, podrapał się po siwej czuprynie, wystającej mimo upału spod baraniej czapki.

Konie chcecie? Ciężko będzie, pani. Tyło roboty.

Zlitujcie się, panie Wierzba. Muszę jechać. Nowa Wojna się zbliża.

Ja to widzę. Wszystkie Letniki dawno już uciekły.

Chcą zaraz jechać? Powiadają, że pociągi zabrały dla wojska. No, ale robota, widzicie.

W końcu przecież dał się ubłagać. Pakowała się teraz spieszenie, aż drżały jej ręce. Sama nie wiedziała, czy bardziej ją gna realność niebezpieczeństwa, czy ten głos, który zdawało się, że usłyszała, czy wreszcie pamięć tamtej historii sprzed kilku lat, która o mało nie zaważyła ciężko na życiu.

Rzeczy wyniesiono i włożono na wóz. Na szczyt załadowanego wozu wgramolił się Wierzba. Anna siadła z tyłu trzymając Władzia.

Franiu — mówiła — niech Frania uważa na Jędrka i na Murzynka. Frania ma kota?

Nie mam, proszę pani, gdzieś się wymknąć.

Mówiłam Frani, aby go zamknąć! — denerwowała się.

Mówiła pani. Ale jak takiego drania upilnować? Przecie wymknie się między nogami i tyle go człowiek widzi.

Spojrzała na zegarek. Czas najwyższy było jechać. Ogarnęła ją złość.

Niech Frania zostanie i szuka kota. I niech Frania zaraz przybiegnie. Panie Wierzba, jedziemy.

Stary trzasnął z bicia, naładowany wóz ciągnięty przez chudego konika ciężko ruszył z miejsca. Wjechał wolno na piaszczystą drogę. Popatrzyła na stojącą przy furtce Franię i zrobiło się jej strasznie nieprzyjemnie. Zostawiłam dziewczynę — myślała. A tu wojna... Lepiej machnąć ręką na kota. Ale co by powiedzieli chłopcy? Jadąc dygotała ze zdenerwowania. Zaczęła się modlić: „Matko Boska, pomóż. Jeszcze ta dziewczyna zgubi się... Jestem za nią odpowiedzialna... Maryjo, pomóż...” Pot spływał jej z czoła, chwilami robiło się jej ciemno przed oczami.

Tymczasem trzęśli się i wlekli. Bez przerwy to spoglądała na zegarek, to patrzyła za siebie, czy dziewczyna nie biegnie. Spostrzegła, że obaj chłopcy popłakują. Nie pytała, dlaczego płaczą, ale była pewna, że lękają się i o Franię, i o Murzynka.

Minęli lasek. Piach się skończył, zaczęła się wyboista droga. Wóz podskakiwał na kamieniach. Wierzba stękał przy każdym podrzucie, źle upakowane rzeczy chrobotwały i chwiały się. Próżno usiłowała oprzeć się o coś, aby złagodzić wstrząsy. Zaczęła wołać na Wierzbę, aby się zatrzymał. Chciała zejść z wozu. Ale przygłuchy chłop nie słyszał jej wołania. Wreszcie droga dotarła do szosy. Był tu ostry zakręt. Koń skręcił zbyt raptownie. Wóz zachwiał się i stracił równowagę. Wierzba zleciał, a na niego posypały się worki z pościelą. Potem zwałił się cały wóz. Anna zdążyła zeskoczyć, ale gdy stanęła na ziemi, poczuła ostry ból, który targnął niepokojąco jej ciałem.

Doszła do rowu i położyła się na ziemi. Ukryła twarz w kępę trawy. Nie chciała widzieć tego, co się stało, i tego, co się stanie. Słyszała nad sobą płacz Władzia, ale i teraz nie podniosła głowy. Zapragnęła nie istnieć.

Wierzba wygramolił się spomiędzy bagaży. Stanął przed koniem i wymachując biczem krzychał:

Ty bezkurcyjo! Cóżes zrobić, psia twoja mać!?

Jacyś przygodni ludzie zaczęli, się zbierać wokół nich. Podparli wóz i postawili go znowu na czterech kołach. Inni zbierali rzeczy. Jakieś kobiety stanęły nad Anną. Słyszała ich głosy niby gdakanie wielkiego stada kur. Nie chciała ich słuchać. Z uporem przyciskała twarz do ziemi. Nagle usłyszała głos, który ją poderwał. Krzyknęła:

Oleś! Matko Boska, jak to dobrze, że jesteś!

Objęła ramionami męża, przytuliła się do niego. Nawet nie zastanawiała się, skąd się tutaj wziął. Kiedy »usiadła i rozejrzała się, zobaczyła, że wóz stoi naładowany, że chłopcy podskakują uradowani i że nadbiegła właśnie Frania, czerwona, ale szczerząca zęby, z Murzynkiem w objęciach, który zwiślał jak upolowany zając. Rogowski pomógł Annie wstać.

Przepraszam cię, przepraszam cię — powtarzała. — To wszystko moja wina. Przepraszam cię... Powinnam była od razu, kiedy powiedziałeś...

Dobrze, już dobrze. Najważniejsze, jak się czujesz?

Musiałam się uderzyć. Ale już dobrze... Nie zajmuj się mną. Bóg łaskaw, że jesteś...

Wóz ruszył zabierając chłopców z Franią i Murzynkiem. Aleksander wolno prowadził Annę.

Boże, jakie to szczęście, że przyjechałeś... — powtarzała. — Mówiłeś, że przyślesz depeszę...

Powiedzieli mi na pocztce, że depesza dojdzie do ciebie za parę dni, albo wcale nie dojdzie... Wyrwałem się jakoś i przyjechałem.

Czy zdążymy na pociąg?

Pociągi odchodzą bez rozkładu. Ale zapewnili, że jakieś będą szły.

Na dworcu czekały tłumy. To było zupełnie tak sam wtedy w Porzeczu.

Annie ćmiło się przed oczami. Ktoś jej podał krzesło, przyniósł szklanę herbaty. Nie wiedziała, ile czasu czekali, kiedy przyszedł pociąg i w jaki sposób udało się Rogowskiemu wepchnąć ich wszystkich do wagonu. Dostrzegała utkwione w sobie ciemne oczy męża, jasne, strzyżone krótko główki synów, czerwone policzki Frani. Na dworcu w Warszawie Rogowski wyjął z kieszeni czerwono-biało-czerwoną opaskę i założył na rękaw. To sprawiło, że jacyś ludzie przybiegli, aby im pomóc. Wyprowadzono na dworzec, wsadzono do dorożki. Nie przestawała powtarzać:

— Jaki Bóg dobry, że ciebie przysłał... Potem jechali przez Warszawę. Paliło słońce, ale ciągnące się wzdłuż ulic drzewka rzucały cień. W tunelu z krat na moście huczały tramwaje i głośniejszy słychać było tupot kopyt. Wyjechali na wiadukt. Jechali przez Miodową, Senatorską, plac Teatralny... Kiedy minęli kościół Św. Karola na Chłodnej, poczuła się jak w domu. Wydało jej się, że jest zupełnie szczęśliwa, jakby nie było wojny i gdyby nie ten ból... Już stali przed domem. Stróż, stróżka, Frania i przyjaciółki rzucili się nosić rzeczy...

A potem już tylko z Aleksandrem jechała Żelazną przed znajomy budynek szpitala Św. Zofii.

W pół godziny później poroniła. Tym razem miała to być rzeczywiście dziewczynka...

Przyszedł ten pan, co był kiedyś. Tylko wtedy był w mundurze — Frania chichotała.

Anna podniosła głowę znad roboty, zaskoczona. Szyła właśnie majtki dla Władzia, który z niestychaną szybkością likwidował jedno za drugim. Przesunęła dłonią po czole. Od miesiąca czuła się niedobrze.

Kazik? To ty? — pytała zdumiona patrząc na wchodzącego do pokoju kuzyna. Elegancki oficer, jakim go widziała niedawno, ubrany był w bluzę przypominającą robotniczy drelich. — Cóż za maskarada, panie kapitanie! Skąd wiesz, że jestem kapitanem? — Selimowicz zmienił ubranie, ale po starym tryskał fantazją i humorem.

Czytaliśmy w gazetach. Stało w nich nieraz o tobie i o twoim pociągu pancernym. Podobno zdobyłeś ileś tam krzyżów Virtuti i Walecznych.

Coś tam dali. Pozwolisz, że siądę. A może dasz herbaty?

Frania już się tym zajęła.

Ciągle trzymasz tego tłumoka?

Jeszcze trzymam, ale to się już kończy. Żałuję, bo to w gruncie rzeczy uczciwa i oddana dziewczyna. Ale przewróciło się jej w głowie. Rządzi całym podwórkiem, wiecjuje od rana do wieczora, a o robocie zapomina. A ja ostatnio nie bardzo ze zdrowiem... Ale to nieważne. Nie odpowiedziałeś, dlaczego zdjęłeś mundur.

To wielka tajemnica. Powiem ci, jeśli przysięgniesz, że będziesz milczała.

Nie przysięgnę. Albo mi wierzysz, albo nie.

Oczywiście, że wierzę. Żartowałem. Sprawa musi pozostać w sekrecie. Ale mężulkowi możesz powiedzieć. Będzie zadowolony. Jadę moim pociągiem na Śląsk...

Po co?

Będziemy pomagali powstaniu.

Zaniemówiła na chwilę ze zdumienia.

Oleś — westchnęła — strasznie się przejął wynikami plebiscytu...

Nie jest tak źle — zapewnił. — Ale musimy zająć zbrojnie to, co nam się należy. Ślązacy zrobią nowe powstanie, a my im pomożemy,

Masz rację, że to ucieszy Olesia. Mówił, że wtedy Piłsudski zostawił Ślązaków bez pomocy.

Wtedy były sprawy ważniejsze. Ze Ślązakami nie jest zresztą łatwo. Mają swoje pomysły i nie lubią słuchać. Ale- teraz pójdziemy razem. Oczywiście, oficjalnie nie możemy im pomagać, bo wtedy mielibyśmy wojnę z Niemcami. Masz przed sobą — przymrużył kpiąco oko — zbuntowanego oficera, który, wbrew rozkazom zabiera pociąg i na własną rękę rusza na Śląsk. Dlatego żołnierze i ja ubrani jesteśmy po cywilnemu. Na pociągu namalowaliśmy nową nazwę... Jutro ruszamy!

Oczy mu się zaświeciły jak wilkowi. Ogarnął ją taki podziw, że aż musiała się otrząsnąć z tego zauroczenia.

Nic ci nie będzie za to? — zapytała.

Jakbym , się dał złapać Niemcom, to by było. Warszawa wyparłaby się mnie od razu... Ale ja się nie dam złapać .Muszę także uważać na Anglików i Włochów, bo jedni i drudzy popierają Niemców. Jedni Francuzi są z nami.

Ale naprawdę twoi dowódcy wiedzą, że jedziesz?

Oczywiście. Twój mężulek uważał, że starego nie interesuje Śląsk. Ale on wie, że Śląsk to węgiel, żelazo, stal.

Chyba jednak przede wszystkim to ludzie. Oleś zachwyca się Korfantym, którego niedawno poznał. Cóż za wspaniałe obudzenie się po tylu stuleciach odcięcia od Polski!

Zobaczmy, jak się będą bili. Ten Korfanty na Śląsku ale boi się walki.

Przecież on tę walkę prowadzi od lat.

Ale nie z bronią w ręku. To polityk, nie żołnierz.

Kiedy już miał wychodzić, Selimowicz powiedział:

Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś zobaczyć mój pociąg?

Jak najchętniej. A czy mogłabym wziąć chłopców?

Weź ich. Przyjedźcie na Dworzec Główny wieczorem Powiedzmy, o siódmej. Będę na was czekał w bufecie.

Jeszcze podroczyl się z Franią i poszedł. Nie chciał zostać na obiedzie, chociaż go zatrzymywała. Gdy przyszedł Aleksander opowiedziała mu o tym, co mówił Selimowicz. Rogowski słuchał, a potem rzekł:

Kto wie, może wreszcie Piłsudski zrozumiał, czym jest dla Polski Śląsk. Skoro mógł wysłać Żeligowskiego, tym słuszniej, że wysłała teraz twego kuzyna. Boję się jedynie, czy to nie jest tylko gra o to, aby wyrwać inicjatywę z rąk Korfantemu...

Kazik mówił, że Korfanty boi się walki.

Bzdury! Taki człowiek jak on? Gdy będzie potrzeba, poderwie do walki cały Śląsk. Ale to doświadczony polityk i należy mu zaufać, gdyż wie, jak postępować. Tym bardziej niepokoi mnie to powiedzenie...

Jesteś nieufny wobec tamtych.

Jestem nieufny, ponieważ chciałbym być ufny. Wierz ani, Anusiu, należę do ludzi, którzy są szczęśliwi, gdy mogą człowiekowi zaufać. Niestety zbyt wiele razy byłem w życiu karany za moją ufność...

Po obiedzie Aleksander udał się na swój fotel drzemki. Anna wróciła do maszyny do szycia, nad którą spędzała po parę godzin dziennie. Apropozycja ostatnio poprawiła się nieco dzięki amerykańskiej pomocy, ale spekulanci i paskarze wciąż podbijali ceny. Jeżeli jednak chodziło o artykuły ubraniowe, wszystkiego brakowało, a ceny były horrendalne i ciągle rosły. Pensja Aleksandra ledwo pozwalała wiązać koniec z końcem. Aby ubrać chłopców, przerabiała starą odzież. Nigdy nie uczyła się krawiectwa, więc przeróbki nie zawsze wyglądały ładnie. Ale chłopcy byli poczciwi i me narzekali, choć domyślała się, że zdarzało się im spotykać w szkole z kpinami.

Podczas rozmowy rodziców Jędrrek siedział milcząc na końcu stołu. Wydawał się zajęty jedynie swoimi myślami, W odróżnieniu od gadatliwego Władzia, który lubił wtrącać się do rozmowy starszych i celował w wypowiedzianie dowcipów wywołujących powszechny śmiech, Jędrrek stawał się z wiekiem chłopcem coraz bardziej zamkniętym w sobie. Wymyślone przez niego historie, które tak chętnie

opowiadał, skończyły się, gdyż zabrakło słuchaczy. Frania nie miała już ochoty słuchać, zajęta bieganiami po koleżankach. Zresztą więcej teraz serca miała dla młodszego. Anna nigdy nie miała cierpliwości, aby wysłuchiwać improwizacji starszego syna. Wyrzucała to sobie — ale czuła, że teraz było już za późno. Jędrzek zamknął się w sobie.

Przez pewien czas pocieszała się myślą, że może ma w szkole jakiegoś powiernika. Ale przekonała się, że takiego- nie było. Doszło do niej natomiast, że Jędrzek przez pewien, czas opowiadał kolegom niestworzone historie, które rzekomo sam przeżywał. Szybko wydało się, że były to kłamstwa», i chłopiec został wyśmiany przez kolegów. O czymkolwiek teraz chciał mówić, przyjmowano jego słowa drwinami. Nikt. mu nie wierzył. „Dobry chłopiec — powiedział Aleksandrowi prefekt szkolny — ale jakiś inny niż wszyscy chłopcy.... I lubi kłamać...” Anna martwiła się tym coraz więcej.

Czemu nie był dziewczynką. Tak bardzo chciała mieć córkę. Wyobrażała sobie, że byłaby dla niej powiernicą i przyjaciółką. Wiedziała z doświadczeń życia domowego, że chłopcy rosnąc oddalają się od rodzinnego domu, a potem wsiąkają w dom dziewczyny, którą sobie wybrali. Z niechęcią myślała, że przyjdzie czas, że obce kobiety zaborą jej synów. Niedawno jeden z wyższych urzędników miejskich, kolega Aleksandra, powiedział żartobliwie: „Mam córkę, pani ma synów,, może ich kiedyś poženimy?” Z nieoczekiwaną dla samej siebie szorstkością odpowiedziała: „O, ja będę bardzo wymagająca wobec żon moich synów...”

Jędrzek uczył się miernie. Przynosił cenzurki z samymi trójkami. Aleksander był z tego bardzo niezadowolony. Wychowawca Jędrka mówił na wywiadówce: „Cichy, grzeczny,, ale zawsze jakby nagle obudzony...” Władzio był zupełnie inny. Błyszczą przy każdym egzaminie. Wygadaniem i dowcipem przypominał Annie trochę braci, zwłaszcza Pawła. Zauważyła, że Aleksander coraz bardziej przenosi swoją sympatię na młodszego syna.

Ona nie umiała być nierówna w miłości do synów. Kochała każdego równie mocno — chociaż inaczej. Bliższy sercu był zawsze biedniejszy, potrzebujący bardziej opieki i serdeczności. Dlatego też przez lata ciągłych chorób była oddana przede wszystkim młodszemu. Starszy pozostał bliski tym, że matka Anny uważała go za swego ulubieńca. Ona przez lata całe drżała o Władzia. Ale teraz często śni się jej Jędrzek zagrożony przez jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo. Kiedyś obudziła się prawie z krzykiem: we śnie widziała go spadającego w jakąś przepaść. Do snów przywiązywała duże znaczenie. Doktorowej Miniewiczowej wiele razy przyśnił się ktoś, kto potem, w krótkim czasie, miał umrzeć.

Pod wieczór zabrała chłopców i pojechała z nimi tramwajem na dworzec. W bufecie już z dala zobaczyła wysoką stać Kazika. Był wciąż ubrany w swą robotniczą bluzę. Pasowała do niego, do jego sposobu bycia, imponowania drugim, narzucania im swojej woli. Nawet z daleka robił wrażenie kogoś przebranego.

— Serwus, Anusia. Jak się macie, chłopaki? — powitał ich. — Twój Jędrzek to już całkiem dojrzały chłopak. Porwą ci go pewnego dnia do wojska i tyle go będziesz widziała A ten młodszy ile ma lat? Przypomina mi twoich braci.

Poczęstował ich amerykańską czekoladą i wyprowadził peron. Anna zauważyła, że spotykani kolejarze salutują czolobitnie Selimowiczowi. Szli przez szeroko rozlaną, zanurzoną w mroku rzekę torów kolejowych, na których stały jakieś pociągi z pogaszonymi światłami. Przechodzili wąskim kolejarskimi przejściami, przestępowali pęki nisko zawieszonych drutów. Nad nimi poruszały się wielkie łapy

semaforów. Wreszcie natknęli się na stojącego człowieka. Był ubrany po cywilnemu, ale miał karabin na ramieniu. Na widok Selimowicza trzasnął służbiście obcasami. Kazik coś do niego powiedział, a on ruszył przodem. Przeszli przez skład stojącego pociągu towarowego. Za nim jakby za zasłoną stała pancierka.

Miała kanciasty kształt, w mroku wydawała się murem zamku z wieżyczkami i bastionami. Przy pociągu stały warty; podobnie jak tamten, który ich przyprowadził, żołnierze

byli ubrani po cywilnemu. Ale stawali na baczność bardzo po żołniersku. Selimowicz odpowiadał im uniesieniem dłoni do cywilnej czapki. Anna zauważyła, że Jędrzek oddycha prędko i głośno, jakby się zadyszał. Władzio, wskazując na wysunięty, obły kształt, powiedział: „Widzi mama, to armata”.

Na przodzie pociągu była pusta, otwarta lora. Otworzyły się drzwi pierwszego wagonu. Trzeba było wysoko podnieść nogę, by stanąć na stopniu. Kazik pomógł Annie, a potem podniósł Władzia. Jędrzek wwindował się bez pomocy.

W wąskim przejściu zastąpił im drogę młody człowiek. Selimowicz przedstawił go Annie jako swego zastępcę. Młody podporucznik pocałował ją z szacunkiem w rękę. Tym korytarzem mogli przejść przez cały pociąg. Wędrowali od wagonu do wagonu, obok armat, które wysuwały swe lufy w ciemność. Pod ścianami stały skrzynki z amunicją. W podłodze wagonów były klapy, przez które można było dokonywać bojowych wyjść. Mijali ciasne pomieszczenia służące żołnierzom za koje sypialne. Każdy wagon był połączony telefonem z innymi. Pośrodku pociągu znajdowała się lokomotywa. Aby ją minąć, trzeba było przejść osłoniętą blachą galeryjką obok kotła. Dalej była kuchnia. Ubrany w biały fartuch kucharz poczęstował gości żołnierską grochówką. Jeszcze dalej połowę pancernego wagonu stanowił lazaret.

Selimowicz idąc dawał wyjaśnienia. Wyraźnie był przywiązany do swego pociągu. Także napotykanii żołnierze wysilali się na gościnność. Na prośbę Jędrka jeden pozwolił mu obrócić kilka razy działem osadzonym na wielkim, zębatym półkolu. Naoliwiony mechanizm poruszał się sprawnie i obracając się lekko postukiwał. W innym miejscu żołnierze pomogli chłopcom wspiąć się po małej drabince do umieszczonego w wieżyczce Maxima.

W tym miejscu — pokazał Kazik — znaczyliśmy w czasie wojny zniszczone nieprzyjacielskie działa, kaemy, auta i pancierki. Teraz trzeba to było zamalować, ale potem namalujemy na nowo...

A dlaczego jest pusta lora na przodzie pociągu? — pytał Jędrzek. — I dlaczego lokomotywa jest w środku, a nie na końcu?

Lora z przodu jest po to, aby w wypadku położenia na szynach miny, to ona wyleciała w powietrze, a nie pierwszy wagon. A lokomotywa jest w środku, aby jej nie było widać. Nieprzyjaciel, gdy strzela, chce przede wszystkim trafić w lokomotywę. Ale ona tak jest zamaskowana i nie różni wagonu...

Ale dym leci z komina — zauważył Władzio.

To prawda. Gdy pociąg jedzie, można lokomotywę zauważyć. Kiedy jednak stoi, niełatwo ją odkryć. A my stoimy i strzelamy.

Zabrał Annę i chłopców do wagonu, w którym znajdował się przedział dowódcy. Na ścianach wisiły różne trofea wojenne i fotografie. Pod ścianą była wąska prycza przypominająca łóżko w kabynie okrętowej. Wezwany telefonicznie kucharz przyniósł na tacy szklanki z herbatą.

No, jakże się wam podobał mój pociąg? — pytał.

Władzio po swoim wybuchnął słowami. Zachwycał się, pytał, paplał. Jędrrek siedział milcząco na składanym krzeselku. Matka obserwowała go z boku.

Selimowicz odprowadził ich na dworzec.

Bywajcie — powiedział na pożegnanie. — Jutro ruszamy. No, nie tak wcześnie, bo jeszcze muszę wyfasować trochę amunicji. A za parę tygodni zobaczymy się.

Pomyślała, że pożegnał ich tak, jakby nie powstała w nawet myśl, iż mógłby zginąć.

Wracali do domu tramwajem. Anna powiedziała synom, że w tramwaju nie powinni rozmawiać o pancerce. Władek zastosował się do tego tylko częściowo. Nie potrafił milczeć; nie umiał mówić o czym innym, więc plótł tajemniczo zastępując pewne słowa mruganiem lub gestami. Ale w tramwaju było pusto, nikt nie przysłuchiwał się paplali chłopca.

Nie widziała, kiedy Jędrrek wyszedł do szkoły. Wstał wcześnie — podobnie jak Aleksander — jadł razem z nimi śniadanie i zaraz wychodził. Aby zawędrować piechotą do szkoły, zużywał całą godzinę. Nie uznawał jazdy tramwajem, z czego właściwie była rada, gdyż tramwaje o tej porze były bardzo naładowane, a ona lękała się, aby się nie czepiał wagonu. Wychodząc wcześnie nie spóźniał się nigdy do szkoły. Nie zajmowała się jego wyprawianiem, gdyż musiała zająć się młodszym, którego odprowadzała do szkoły na Elektoralną. Była to szkoła powszechna, koedukacyjna, a do klasy, do której uczęszczał Władzio, chodziły same dziewczynki. Wzmagało to jeszcze bardziej gadatliwość chłopca.

O drugiej nie było Jędrka z powrotem, więc poszła do jego pokoju zobaczyć na wiszącym nad biurkiem planie, ile tego dnia ma lekcji. Z planu wynikało, że powinien być już w domu. Ale nie przejęła się tym, gdyż zdarzało się chłopcu, że wracał okólną drogą i przychodził później.

Wychodząc z pokoju obrzuciła go spojrzeniem. Żelazne łóżko stało pod ścianą, zaścielone. Jędrrek siał je sam. Nad łóżkiem wisił mały dywanik przedstawiający bizona ściganego przez amerykańskiego myśliwego na koniu. Nad dywanikiem obrazek Matki Bożej, a pod nim w ramach wyhaftowany kosynier, który podczas przynosin Miniewicza do Romualda został ofiarowany Jędrkowi. Z boku były dwa skrzyżowane bagnety, niemiecki hełm ze sterzącymi „rogami” wietrzników oraz szpada urzędnicza nie znanego pochodzenia. Po drugiej stronie pokoju stała biblioteczka. Za szklaną szybą gromadziły się książki, które Jędrrek namiętne kupował za każdą otrzymaną markę.

Coś stojącego za łóżkiem i przykrytego narzuconym swetrem zwróciło jej uwagę. Podniosła sweter i odkryła pod nim szkolny tornister Jędrka.

Z czym on poszedł do szkoły? — zastanowiła się. Zdarzało się, że klasa szła na wycieczkę albo do muzeum. Ale zawsze wiedziała o tym, gdyż rzecz była zaplanowana z góry. Nieoczekiwana myśl

przeleciała jej przez głowę. Pod łóżkiem stało dużo pudło, do którego Jędrrek chował rozmaite rzeczy, rzadko używane. Wyciągnęła je i zaczęła wypróżniać — sztuka po sztuce. Pamiętała, że to tam znajdowała się brązowa torba z nieprzemakalnego płótna, należąca do wyposażenia hallerczyków. Torbę tą razem z płatem błękitnego sukna mundurowego Aleksander wyprosił od znajomego oficera dla syna. Torby nie było.

Coraz bardziej zaniepokojona otworzyła szafę i zaczęła sprawdzać garderobę Jędrka. Okazało się, że chłopiec wyszedł w ciężkich, zimowych butach i zabrał gruby sweter. Często zdarzało się jej walczyć z synem o to, aby ubierał się ciepłej. Tym razem, choć kwiecień był pogodny, wyszedł w zimowym ubraniu.

Podążyła prędko do swego pokoju i uklękła przed obrazem Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Modliła się pełna przerażenia: „Maryjo, bądź łaskawa. Czuwaj nad nim. Matko Boża, ustrzeż moje dziecko...”

Potem wstała, poszła do wiszącego w przedpokoju telefonu.

Była już teraz prawie pewna swoich podejrzeń. Połączyła się z biurem Aleksandra. Telefon przyjęła sekretarka, pani Jaskólska. Anna nie lubiła jej: tamta paliła papierosy, co zawsze degradowało kobietę w oczach Anny, malowała się, była elegancko ubrana. Ale beształa się w duchu za te uczucia i usiłowała być bardziej grzeczna dla sekretarki.

Tu Rogowska. Dzień dobry pani. Chciałabym rozmawiać z mężem.

Muszę uprzedzić, że pan naczelnik bardzo zajęty, ma konferencję.

Jednak proszę mnie połączyć. Mam niezwykle w i pilną sprawę.

Jak pani sobie życzy.

Po chwili usłyszała głos Aleksandra.

To ty, Anusiu. Jestem bardzo zajęty...

Przepraszam cię... Ale stało się coś okropnego. Jędrrek uciekł z domu...

Jak to? Dokąd? Skąd o tym wiesz?

Wyszedł nie biorąc książek. Ubrał się jak na drogę.

Rzeczywiście, był w grubym swetrze. Sprawdziłaś w szkole?

Nie. Olesiu, boję się, że on uciekł do Kazika...

Przecież mówiłaś, że tamten wyjechał.

Miał właśnie wyjechać dziś rano.

Chyba ten wariat nie zabrałby ze sobą trzynastoletniego go chłopca!?

Trudno mi w to uwierzyć. Kazik bywa postrzelony, ale nie do tego stopnia...

Dobrze, zajmę się tą sprawą. Ty nie wychodź z domu i gdyby chłopak się zjawił, daj mi zaraz o tym znać.

Nie było łatwo Annie wysiedzieć w domu. Nie potrafiła się niczym zająć. Znowu poszła do pokoju syna. Pochyliła się nad jego biurkiem. Były tu: kałamarz, kilka zatemperowanych ołówków, talerzyk ze spinaczami, nóż do rozcinania papieru. Obok kałamarza statuetka gipsowa Erosa i Psyche. Jędrak kupił ją na straganie koło hali targowych, gdy był pod wrażeniem obejrzonej sztuki Żuławskiego. Wszystko co miało związek z teatrem, ciągnęło chłopca. Anna sama bardzo lubiła teatr, brała go często na przedstawienia, na które mogła chodzić dzięki temu, że Aleksander otrzymywał darmowe bilety do teatrów miejskich. Na biurku chłopca leżały także książki — Gąsiorowskiego, Przyborowskiego. Na wierzchu ulubione przez Jędrka, czytane po sto razy: Bóg mi powierzył honor Polaków i Złote ostrogi. Józef Poniatowski był nade wszystko ukochanym bohaterem chłopca.

Aleksander spóźniał się na obiad. Wydawało się Annie, że nigdy się jego przyjścia nie doczeka. Kiedy wreszcie zjawił się, był już wieczór. Zasiadli do obiadu, ale oboje byli tak zdenerwowani, że żadne nie było w stanie jeść.

Sprawdziłem w szkole — opowiadał Aleksander. — Nie było go rzeczywiście na lekcjach. Pojechałem na dworzec, ale niczego się tam nie dowiedziałem. Oni ukrywają pobyt pociągu. Nikt także Jędrka nie zauważył. Poszedłem do znajomego pułkownika. Rozkładał tylko ręce. Albo nic nie wie o pociągu, albo nie wolno mu o nim mówić...

Siedziała jak zdruzgotana!

Więc co będzie? — powiedziała.

Nie wiem... Czy jednak jesteś pewna, że pojechał z Selimowiczem?

A dokąd mógł uciec?

To prawda. A może coś mówił Frani? Pytałaś ją?

Pytałam. O niczym jej nie mówił.

Może się wygadał wobec Władzia?

Nie powiedział ani słowa. Oni są tacy inni.

Przecież ma jakichś kolegów, przyjaciół.

Najbliżej żyje z Jankiem i Wackiem... Ale., wrócił wieczorem razem ze mną z dworca, tamtych nie widział, a wyszedł rano przed szkołą... Nie miał nawet okazji z nimi rozmawiać.

Masz słuszność.

Aleksander nie drzemał po obiedzie, widać było po nim, że nie potrafi zamknąć oczu. Pojechał na miasto. Została sama cała roztrzęsiona. Nie mogła wytrzymać i zostawiwszy Władzia z Franią i polecając jej zatelefonować, gdyby coś się stało, pojechała do Romualda.

Gdy zadzwoniła, otworzyła jej Dorota.

Czy państwo w domu? — pytała.

Pan przyjmuje pacjentów. A pani nie wiem... zobaczę.

Proszę, niech Dorota zobaczy. I proszę powiedzieć, że ja tylko na kilka minut...

Po chwili Dorota wróciła w towarzystwie Marii, żony Romualda.

Chodź, chodź, Anusiu — zapraszała. — Romek w gabinecie. Co tam u was? Czy się broń Boże, coś stało?

Rzeczywiście... Przybiegłam prosić Romka o radę.

Gdy będzie od pana wychodził pacjent — wydała polecenie Maria — niech Dorota poprosi tu pana na chwilę.

Zabrała Annę do swego pokoju. Gdy przechodziły jadalnię, Anna zobaczyła ojca spacerującego wokoło stołu z rękami założonymi za siebie. Przechodząc obok spojrzeli obojętnie. Powiedziała:

Dzień dobry ojcu.

Nie odpowiedział i nie zatrzymał się. Jak zawsze poczuła bolesny ucisk serca.

Stan ojca ciągle się pogarsza — zauważyła Maria. Niby na nic nie zwraca uwagi, a jednak wewnętrznie jest jakiś zdenerwowany. Romek niepokoi się o niego. — Zmieniła temat: — Mówił mi Staś, że Jędrka nie było w szkołę. Czy może chory?

Młodszy syn Romualda chodził także do tego gimnazjum — o dwie klasy niżej niż Jędrka. Chłopcy spotykali się na pauzach.

Opowiedziała Marii o swym zmartwieniu. Tymczasem pojawił się Romuald.

Co tam u ciebie? — pytał. — Kto chory?

Nikt, Romku, na szczęście. Ja do ciebie po radę...

Wysłuchał stojąc całej historii.

Jeżeli Kazik zabrał chłopca — rzekł — to na pewno jest wariatem. Nie wyobrażam sobie jednak, aby go dał do walki. Na pewno gdzieś go zostawi. Nie doradzam nic innego jak tylko cierpliwie poczekać. Znam pewnego generała, pogadam z nim. Gdybym się czegoś dowiedział dzwonię...

Już chciał odejść, ale jeszcze się zatrzymał.

Czy wiesz, że Witold wrócił?

Witold?

Tak. Przybył z grupą repatriantów. Do Warszawy jeszcze nie dojechał. O ile zrozumiałem kartkę, która do mnie przysłał, władze wojskowe zaproponowały mu pracę. Nie dziwię się, pracował przecież ostatnio w przemyśle wojennym. Wspomina w kartce, że Michał i Paweł z rodzinami gotują się także do powrotu.

Boże! Michał i Paweł! A Hipolit?

O nim nic nie napisał. No, wracam do roboty. Pozdrów ode mnie pana Aleksandra. Bądźcie dobrej myśli. A ja zrobię, co będę mógł.

Wyszła mimo wszystko nieco podniesiona na duchu, nim ruszyła do domu, wstąpiła do kościółka.

Wróciła do domu. Niedługo po niej zjawił się Aleksander.

Nic nowego? — pytała, potrząsną głową.

Nic. Siostry obiecały się modlić.

Minęły dwa dni ciężkie, pełne niepokoju. Trzeciego dnia, przed wyjściem Aleksandra do biura, zadzwoniono do drzwi. Radosny wrzask Frani, która poszła otworzyć sprawił, że Anna rzuciła wszystko i pobiegła do przedpokoju, Jędrak stał ze schyloną głową. Wydał się Annie jakby wyższy i doroślejszy niż przedtem. Miał usta gniewnie zaciśnięte, spod kusego paltocika widać było jego cienkie łydki w rojowych owijaczach. Objęła syna, ucałowała gorąco. Szeptwała: „Boże, jak się cieszę, że wróciłeś...”

Dopiero nacieszywszy się synem spostrzegła, że obok niego stoi nieznajomy mężczyzna. Podniosła na niego wzrok.

Czy to może pan odnalazł mego syna? — zapytała. Potrząsną głową.

To nie ja go odnalazłem, tylko pan kapitan. Ukrył się, spryciarz, w naszym pociągu, w składzie amunicji. Koniecznie chciał jechać z nami do powstania. Bardzo dzielny chłopak, proszę pani. Spodobał się wszystkim żołnierzom. Ale pan kapitan powiedział, że za młody i dał mi rozkaz, abym go odwiózł. Plutonowy Palczykowski jestem...

Strasznie jestem panu wdzięczna. Ale może pan wejdzie do pokoju i zje z nami śniadanie? Bardzo proszę.

Spieszę się, proszę pani.

Może jednak na chwilkę.

Plutonowy uległ. Wprowadziła go do pokoju, poznała z Aleksandrem, który z wielkim zapałem zaczął częstować pana oficera. Zostawiwszy mężczyzn rozmawiających przy stole poszła po Jędrka. Zobaczyła, że stoi w przedpokoju, ze swą „hallerowską” torbą przewieszoną przez ramię.

Dlaczego się nie rozebrałeś? — zapytała. Obudziła się w niej irytacja, ale usiłowała mówić łagodnie. — Zdejmij płaszcz i chodź na śniadanie. Nie przywitałeś się jeszcze z ojcem. Bardzo się o ciebie niepokoił...

Gniewnie wzruszył ramionami. Coś burknął pod nosem, ale słów nie dostyszała. Stał dalej jak wrośnięty w ziemię. Dopiero po chwili zdarł z siebie płaszcz i torbę. Cisnął jedno i drugie na ziemię. Pobiegł do łazienki. Zamknął za drzwiami. Słyszała, jak przekręcił klucz w zamku.

Stała czas jakiś pod drzwiami nasłuchując. Nie słyszała nic, nawet plusku wody. Była niespokojna. Zmusiła się jednak do odejścia. Udała się do jadalni. Zobaczyła rozpromienioną twarz Aleksandra.

Chodź, chodź — zawołał na nią — posłuchaj, co pan opowiada. Korfanty ogłosił się dyktatorem. Cały Śląsk ruszył do walki. Hasłem było bicie dzwonów w kościołach...

Palczykowski opowiadał. Rogowski chłonał jego słowa, a ona słuchała jednym tylko uchem. Drugim nasłuchiwała odgłosów z łazienki. Co on tam robi? — myślała. — Dlaczego nie przychodzi do stołu?

W końcu przecież chłopiec zjawił się w jadalni. Od drzwi powiedział tylko:

Dzień dobry, tatusiu.

Usiadł na swym zwykłym miejscu. Zapytała:

Na co masz ochotę? Co byś zjadł? Może jajecnicę? Albo może ci zrobić „grzybka”?

Odburknął:

Nie jestem głodny.

Nalał sobie herbaty, ukroił kawałek chleba i posmarował go smalcem. Gwałtownie odsunął szklanę, gdy mu chciała do herbaty dolać mleka.

Zjedz coś porządnego — prosiła.

Nie jestem głodny!

Palczykowski powiedział:

Bardzo dziękuję za śniadanie, ale już na mnie czas.

Pan plutonowy wraca na Śląsk? — pytał Aleksander.

Chciałbym jak najszybciej wrócić. Na pewno dojdzie do walki. Chodzą słuchy, że Szwaby zgromadziły wojsko nad granicą. To będzie prawdziwa wojna. Ale Ślązaki morowe chłopcy. Będą się bili.

Rogowski zaproponował, że odwiezie Palczykowskiego na dworzec. Plutonowy wstał, podszedł do Anny, szurgnął nogami i pocałował ją w rękę.

Dziękuję za gościnę. A pan kapitan — ściszył nie głos — prosił, aby pani nie gniewała się na syna. Bardzo się wszystkim podobało, że chciał jechać z nami...

Ale uciekł z domu nie pytając o zgodę rodziców. Przez niego pan miał kłopoty i może także kapitan...

Ja tam niczego nie będę pamiętał — powiedział. Jakby mi mój uciekł, może bym sprzął mu skórę, ale naprawdę cieszyłbym się.

Wyciągnął rękę do Jędrka.

Czołem, Andrzej. Drugi raz nie uciekaj. Jak podrośniesz, sami po ciebie przyjdziemy.

Jędrzek nie powiedział nic. Patrzył spode łba i był bardzo blady. Musiał być bliski płaczu, ale powstrzymywał się z całych sił, aby się nie rozpląkać.

Gdy plutonowy wyszedł razem z Aleksandrem, powiedziała:

Nie będę się już na ciebie gniewała, bo myślę, że zrozumiałeś, ile zmartwienia zrobiłeś nam swoją ucieczką. Z tatusiem będziesz musiał jeszcze porozmawiać, boś go nawet nie przeprosił. A on taki był o ciebie niespokojny. Za wcześnie dla ciebie na wojowanie. Teraz musisz się uczyć, dorastać, nabierać sił i rozumu. Potem może...

Potem to już nic dla mnie nie będzie! — przerwał jej okrzykiem. Nie czekał na dalsze jej słowa. Prędko pobiegł do swego pokoju.

Rodzina wracała — bracia jeden po drugim ściągali do Warszawy. Zjeżdżali do Rogowskich jakby w poczuciu, że tu znajduje się po śmierci matki punkt zborny życia rodzinnego.

Pierwszy zjawił się Witold już w mundurze pułkownika. Został przyjęty do armii i objął stanowisko w Skarżysku w fabryce amunicji. Spędził na Chłodnej parę dni zajmując przez ten czas pokój Jędrka. Zaledwie w parę dni po wyjeździe Witolda zjawił się Paweł z żoną i dwojgiem dzieci. Przez parę dni mieszkanie wyglądało jak koczowisko: spano pokotem na podłodze. Po krótkim okresie serdeczności, z jaką Jędrzek i Władzio witali parę ciotecznego rodzeństwa, zaczęły się kłótnie i nieporozumienia wywołane ciasnotą. Anna pełna była rozpaczki widząc, że wszyscy czują się źle w tych warunkach. Na szczęście udało się Aleksandrowi uwolnić od lokatorów mieszkanie w oficynie — i tam przeniosła się rodzina Pawła. Dobre stosunki natychmiast odżyły.

Ale nowe nieporozumienie wynikło, gdy przyjechał Witold, który miał bywać często w Warszawie i wtedy zjeżdżał do Rogowskich. Witold poszedł odwiedzić brata i podczas tej wizyty wzrok jego padł na mały parawanik z namalowanymi na nim — z wątpliwym talentem — Ledą i łabędziem. Parawanik należał do niezbyt licznych mebli, jakie rodzina

Pawła zdołała wywieźć z Rosji. Ale Witold nie miał wątpliwości, że szczególnie ten obiekt należał przedtem do domu na ulicy Św. Jakuba. Zjawienie się parawanika wśród rzeczy bratowej było Witolda niewątpliwie dowodem, że buszowano w jego rzeczach. Wśród gromkich okrzyków i gniewnych wyrzutów parawan został zabrany i zaniesiony do mieszkania Rogowskich. „Niech postoi tymczasem u ciebie — powiedział Witold do Anny. — Żebyś się nie ważyła oddać go tej jędzy. Ale wojownicza bratowa nie zrezygnowała z Ledy. Nie czekając na wyjazd Witolda zmówiła się z Franią, która parawan odniosła do oficyny. „Temu piernikowi nie jest potrzebny taki bibelocik, nieprawdaż?" — oświadczyła Annie, gdy ta wystraszona zniknięciem parawanika zjawiała się u bratowej. Witold odkrył natychmiast brak arcydzieła. „Ja jej pokażę! — oświadczył gniewnie. Spór był gwałtowny i bardzo hałaśliwy. Padały ostre słowa. Witold wrócił z wyprawy z odzyskanym skarbem. Przez ten czas Anna z Pawłem — który ogłosił w sprawie Ledy całkowitą neutralność — zaśmiewali się do łez i z kłótni, i z jej obiektu. Od wielu już lat nie śmiała się równie serdecznie — po swojemu.

Przesiedziawszy w Warszawie kilka miesięcy, Paweł zabrał rodzinę i pojechał do Grodna, gdzie miał obiecaną posadę. Prawie w tym samym czasie zjawił się w Warszawie Michał z żoną i świeżo urodzonym dzieckiem. Ich przyjazd został powitany przez Annę wybuchem wielkiej radości. Była

szczęśliwa, że mogła ulokować brata, tak bardzo kochanego, w opuszczonym przez Pawła mieszkaniu w oficynie. Bratowa, której Anna prawie nie znała, okazała się człowiekiem poczciwym i przyjemnym, przy tym bardzo życiowo niezaradnym. Anna była rada, że może jej pomagać, zwłaszcza przy pielęgnowaniu synka, słabego i chorowitego. Oddała Michałowej Franię, z którą przyszedł już cza się rozstać. Aleksander, który wiedział, jak drogi Annie był Michał, zakrzętnął się, aby znaleźć dla niego posadę. Nie było z tym wiele kłopotu — Michał był bardzo zdolnym inżynierem elektrykiem.

Tak więc Michałowie stali się współmieszkańcami domu na Chłodnej. Anna wpadała do nich po kilka razy w ciągu dnia.

Niedługo po ich przyjeździe i osiedleniu się w Warszawie umarł Miniewicz. Zgaśł cicho. Z wracających synów poznał jedynie Witolda, ale wcale się jego zjawieniem nie zdziwił. Zrobił tylko wyrzut, że zbyt rzadko go odwiedza. Zwierzył mu się: „Wiesz, Witku, Walunia gdzieś wyjechała i nie wraca. Pewno się znowu zabawiła z jakimiś swoimi przyjaciółkami”.

Skończyło się starsze pokolenie Miniewiczów. Młodsze posiadało życiowe stanowiska. Poza granicą został tylko Hipolit. Paweł wiedział, że żyje. Po śmierci pierwszej żony ożenił się powtórnie, miał dzieci. Nikt jednak nie wiedział, dlaczego dotąd nie wrócił.

Pewnego dnia na Chłodnej zjawił się Kazik Selimowicz. Otworzyła mu drzwi nowa służąca, poważna i bogobojna Agata, która nie nadawała się do żartów jak Frania. Selimowicz był znowu w mundurze, awansował na majora.

Wrócił ze Śląska okryty nową chwałą i nowymi odznaczeniami. Jego pociąg brał udział w walkach. Kilka razy przyczynił się do zwycięstwa nad Niemcami, a raz rozgromił Wiochów, którzy stali po stronie niemieckiej. Przyczyniło się to do szybkiej zmiany w poglądach na sprawę Śląska przedstawiciela królestwa Italii de Marinisa.

Ale w pewnym momencie doszło do konfliktu między dowódcą pociągu a dyktatorem powstania. Selimowicz odmówił wykonania rozkazu i Korfanty kazał go aresztować. Pociąg przeszedł w ręce powstańców.

Mimo że Niemcy rzucili do walki wielkie siły, nie mogli przełamać frontu powstańców. Walki, które stawały się coraz bardziej zażarte, sprawiły, że Komisja Międzysojusznicza wprowadziła między walczących oddziały alianckie. Teren sporny ostatecznie został podzielony — niesprawiedliwie, ale nie tak bezwzględnie krzywdząco, jak chciano tego dokonać zaraz po plebiscycie. Nareszcie po wiekach przynajmniej część Śląska wróciła do ojczyzny.

Selimowicz wypuszczony z aresztu przybył do Warszawy w aureoli bohatera. Pisały o nim entuzjastycznie gazety, ukazywały się jego zdjęcia.

— Muszę ci, Anusiu, pogratulować syna — mówił popijając herbatę. — Ukrył się tak, że odkryliśmy go dopiero podczas przejeżdżania granicy. Koniecznie chciał się bić. Będzie z mego żołnierza. Moi chłopcy ogromnie go polubili, nie jestem pewien, czy nie pomagali mu się ukrywać. No, Jędrrek — zwrócił się do obecnego chłopca. — Daj pyska. Masz, przywiozłem dla ciebie odznakę powstańca. Nie byłeś na Śląsku, ale ci się ona należy za dobre intencje. I mam dla ciebie niemiecki bagnet-piłkę. Wiem, że lubisz zbierać różne militaria. Gdy będziemy się następnym razem bili, zgłoś się do mnie. Od razu cię przyjmę.

Nie mów tak — powiedziała. — Mam nadzieję, dłuższy czas zapanuje pokój.

Zaśmiał się i potrząsnął głową.

Myślę inaczej. Zobaczysz, za dziesięć, piętnaście lat będzie znowu wojna.

Nie daj Boże! Z kim chciałbyś walczyć?

Z Rosją. Teraz dziadkowi krzykacze związali się, on jeszcze wróci do swoich planów.

Była zadowolona, że nie ma przy tej rozmowie Aleksandra. Zbliżenie, jakie powstało między nim i Selimowiczem co do walki o Śląsk, skończyło się. Stali znowu po przeciwnych stronach barykady.

Zmieniła temat. Zapytała:

Wrócisz teraz do adwokatury?

Nie. Postanowiłem zostać w wojsku.

Wuj, gdyby żył, byłby tym zmartwiony.

Może... Ale palestra nigdy mnie zbytnio nie ciągnęła, a teraz mam do niej zupełną awersję.

A nie myślisz się żenić? — zaskoczyła go nagłym pytaniem.

Parsknął śmiechem.

A po co? Albo to ja się nadaję na mężusia takiego jak twój? Żenić się! Paradna jesteś.

Rzucił spojrzenie na chłopców, którzy przysłuchiwali się rozmowie. Ale oni znudzili się słuchaniem i odeszli do swoich spraw. Innym tonem, już bez kpin, powiedział:

Przyznam ci się: mam pewną panią...

Ożenisz się z nią?

Nie. Ona zresztą ma męża...

O, Boże. I tak sobie ułożyłeś życie? — Żal, jaki poczuła, zwyciężył w niej zgorznienie.

A czego chcesz więcej? — znowu wrócił do dawne tonu. — Pobawię się, poszaleję... Ty tego nigdy nie zrozumiesz. Jesteś inna.

Jaka?

Inna. Inna niż wszystkie. Ciebie nie czepia się nic złego.

Gadasz głupstwa. Żebyś wiedział, jaka potrafię być kłótniwa i zła. Jak nie umiem się dostosować do drugich. Często sprawiam przykrość Olesiowi, krzywdzę ludzi posądzeniami...

To wszystko ty?

Ja.

I mówisz, że sprawiasz przykrość mężusiowi?

Sprawiam.

Machnął lekceważąco ręką.

Na jego miejscu odmawiałbym codziennie parę Zdrowasiek z wdzięczności za to, że jesteś jego żoną. Spotkać taką jak ty... Dawniej myślałem: ot, miła, wesoła dziewczynka. Pamiętasz, ileśmy się uśmieli, kiedy przyjeżdżałaś do Krakowa?

Pamiętam. Zawsze lubiłam się śmiać.

Twój mężulek śmiać się nie lubi?

Nie umie, to prawda. Miał ciężkie życie, które nauczyło go oczekiwać ciągle czegoś złego...

Kochasz go?

Też pytanie. Przecież jest moim mężem.

Gdyby tak powiedziała inna, myślałbym, że zgrywa się na cnotkę. Ale ty... Ech — wybuchnął śmiechem — twój mężuś powinien cię ozłocić i postawić na postumencie. Zrobić z ciebie domowego lara i penata.

Rola kucharki i sprzątaczkę pasuje do mnie lepiej — odpowiedziała ze śmiechem.

Znowu stała na tarasie i słuchała plusku spływającej do baseniku wody. W dole był Niemen. Skrzył się jak dawniej w słońcu i był tak samo jak dawniej błękitny. Tak samo po przeciwnej stronie na wysokim brzegu widać było dachy wsi Bałtoszyszki.

Ale na rzece nie było promu. Nurtem rzeki biegła teraz granica. Czasami widać było żołnierza wędrującego ścieżką nad stromymi, nagimi nadbrzeżnymi osepiskami. Ale kiedy orkiestra grała w muszli w parku, nad tamten brzeg, jak dawniej, wylęgali chłopcy i usiadłszy długim szeregiem wsłuchiwali się w dźwięki ślizgające się po powierzchni wody. Zdarzało się, że w przerwie muzyki jedna z siedzących bab podrywała się i stanąwszy nad urwiskiem coś wołała w stronę polskiego brzegu. Odpowiadał jej kobiecy głos gdzieś spomiędzy sosen. Przez małą chwilę toczyła się niezrozumiała dla drugich rozmowa. Potem znowu te latające nad wodą wołania przygłuszała muzyka.

Miasteczko przeżyło wojnę z niewielkimi tylko zniszczeniami. Zakład leczniczy i park nie poniosły szkód i od razu można było podjąć działalność kurortu. Dom na ulicy Św. Jakuba pozostał także nietknięty, tylko wewnątrz obrabowali kwaterujący w nim żołnierze. Stróż Szyszka umarł, ale jego żona przetrwała przy domu. Strzegła go i ustrzegła, tylko wyrzekła: „Że żołdaty mieszkały tutaj, to wiadomo, tak było trzeba. Wojna, musiało tak być. Ale te zbereźniki we wszystkie kastrulki, jakie były w domu, naświnili... Nie mógł to jeden z drugim pod drzewo pójść? Paskudniki!" Szyszkowa wzięła sobie do pomocy dziewczynę o wyglądzie trochę nie- rozgarniętej. Witold przyjeżdżał często ze Skarżyska. Zapowiadał, że za parę lat rzuci pracę i zamieszka w miasteczku na stałe. Tymczasem osadził w domu jako swoje alter ego przyjaciela z rosyjskiego wojska, pułkownika Leontiewa. Dawny

huzar gwardii, samotny, stary kawaler uciekł z rewolucyjnej Rosji i zamieszkał w Polsce. Leontiew miał wielki czerwono fiołkowy nos i traktował Annę z niezwykłą rewerencją, uważając ją za głowę rodziny Miniewiczów. Nazywał ją Anną Józefowiczówną. Zaproszony na kolację, wypijał niezliczoną ilość szklanek bardzo gorącej herbaty, potem szarmancko całował Annę w rękę, stukał obcasami i odchodził do siebie. Do późna, cichutko i bardzo smutno dzwonił na bałałajce. Zdaje się, że przy okazji wspomnień lubił popić.

Na lato przyjechali do domu na Św. Jakuba po staremu Michał i Paweł z rodzinami. Hipolita w dalszym ciągu nie było w kraju.

Gdy zbliżało się lato, Aleksander wysunął wobec Anny propozycję, że mogliby pojechać do Józefowa lub do Świdra. Ale Anna była zdecydowana pojechać nad Niemen. Nie powiedziała o tym sama, pozwoliła, aby z tym żądaniem wystąpili chłopcy. Byli bardzo kategoryczni, a projekt wakacji w Świdrze potraktowali wręcz pogardliwie.

Aleksander zrozumiał, że ma przeciwko sobie zjednoczony front, więc nie próbował oponować. Stwierdził tylko, że sam z nimi nie pojedzie tak daleko — nie mógł oczywiście oddalić się od swego „biura i pióra”. Annie zrobiło się żal męża. Ustaliła więc, że pojedą nad Niemen tylko na miesiąc. Przez drugi miesiąc wakacji zamieszkają gdzieś pod Warszawą, gdzie Aleksander będzie mógł przyjeżdżać na każdą sobotę i niedzielę.

W cichym kurorcie zaszły przecież pewne zmiany. W kursalu dawne rozkołysane walce i figurowe kontredansy zastąpiły shimmi i foxtrotty. Paweł, który często chodził w kursalu grywać, nauczył się szybko nowych melodii. Na niemeńskiej plaży położonej u stóp sędziwej Prababki, która przetrwała wojnę, mężczyźni i kobiety — o zgrozo! — kąpali się razem oraz tańczyli w kostiumach kąpielowych przy dźwiękach patefonu. Z obu stron rzeki spoza krzewów patrzyły na to zgorszona oczy miejscowej ludności, a proboszcz, energiczny ksiądz Wołężko — budujący właśnie nowy kościół — grzmiał na ambonie i wodził groźnym spojrzeniem po ławkach, w których zasiadali miasteczkwowi notable. Gdy krzyknął, wyciągnąwszy przed siebie palec: „Nie róbcie jak ci!”, żona burmistrza wydała jęk ugodzonego strzałą ptaka, gdyż palec wyraźnie zwrócony był w jej stronę, a córka burmistrzów była pierwszą organizatorką tańców na plaży.

Jędrzek i Władzio znaleźli sobie towarzyszy do wakacyjnych zabaw. Znikali na całe dni z domu. Jędrzek szalał za piłką nożną. Na placu kościelnym rozgrywane były nieustanne mecze. Powstały dwie konkurujące ze sobą drużyny. Jednej przewodził młodszy syn doktorowej Bujakowski-ej — i do tej drużyny przystał Jędrzek. Drugą drużynę uformował Jóźko Sokół, syn rybaka z nad jeziora. Początkowo drużyny boczyły się na siebie i każda grała oddzielnie. Ale potem powstało porozumienie: postanowiono grać przeciwko sobie. Jedyłą trudność stanowił fakt, iż ci od Sokola butów latem nie nosili i grali boso. Szkopuł został usunięty w ten sposób, że posiadacze butów złożyli solenne przyrzeczenie, iż nie będą kopali przeciwników.

Gracze z drużyny Sokola grali na ogół lepiej i biegali szybciej. Jędrzek uganiał się po trawniku, umęczony do ostatniego potu. Nie należał do zbyt dobrych graczy, ale brak umiejętności wyrównywał zapałem i zażartością. Kiedyś podczas zawziętego „kiwania” przeciwnika wpadł na ławkę, na której ktoś siedział. Oprzytomniał go surowy głos, dziwnie przypominający głos wuja Witolda, który powiedział:

Cóż to takiego? Uważaj, smarkaczu. Żeby cię za ucho nie pociągnął.

Podniósł głowę i przeraził się. Na ławce siedział szczupły mężczyzna w okrągłej, szarej czapce i z sumiastymi wąsami. Tę twarz, widywaną na tylu fotografiach, poznał od razu. Jakiś oficer szedł szybkim krokiem w stronę chłopca. Jędrzek powiedział pokornie: — Bardzo pana przepraszam. Ja... ja...

No, no. — Siwe oczy, pod zwisającymi nisko brwiami, uśmiechnęły się. — Ja tylko powiedziałem, żebyś po mnie nie deptał. Grajcie, grajcie. Widzisz, rozmawiasz ze mną, a tamci wbili wam gola. Nie trzeba, zostawcie go — powiedział do oficera, który stał z groźną miną nad Jędrkiem.

Idź, wracaj do gry. — Ruchem długich, pozófktych od tytoniu palców dał chłopcu znak.

Gdy przyszedł na obiad, oświadczył:

Widziałem Piłsudskiego. I rozmawiałem z nim.

I cóż ci takiego powiedział? — zapytał Witold. Po jemu siedział na końcu stołu, odsunięty, i pochyliwszy się gorącą herbatę ze spodeczka. — Też miał z kim gadać!? parsknął drwiąco.

Jędrzek chciał opowiadać o spotkaniu, ale zobaczył spojrzenie matki i to go powstrzymało. Anna wiedziała, że syn ma skłonności do koloryzowania. Każde wydarzenie, którego był bohaterem, urastało do wielkiej i barwnej historii. Przy tym chłopiec święcie wierzył, że tak właśnie było. Anna przyjmowała te opowiadania z humorem, ale ogarniał ją niepokój, gdy Jędrzek zabierał się do opowiadania przy drugich. Zwłaszcza obawiała się złośliwych powiedzeń Witolda. Co, myślała, wyrośnie z tego chłopca, o chorobliwej imaginacji, przeżywającego życie w wyobraźni?

Ponieważ synom nie brakowało towarzystwa i nie musiała się nimi zajmować, Anna wędrowała całymi dniami śladami wspomnień. Spotykała dawnych znajomych, z którymi nie widziała się od lat. Do domku Kostasów nie zbliżała się jednak nigdy. Zresztą wiedziała, że nikogo tam nie ma. Kostasowa umarła, córki przeniosły się wszystkie na Kowieńszczyznę. Ale większość rodzin, z którymi spędzała lata młodość była na miejscu. Dawne rówieśniczki powychodziły za mąż dawne podlotki dorosły.

Słuchaj, Jędrusiu — powiedziała któregoś dnia. — Spotkałam dzisiaj panią, która była kiedyś moją uczennicą. Córkę tutejszego burmistrza. Dziś to jest zamężna osoba, która tu przyjechała na lato. Prosiła, aby do nich zajść. Ma córkę w twoim wieku. Może miałbyś ochotę ją poznać? Coś mi się wydaje, że już skończyły się wasze gry na placu kościelnym...

Tak rzeczywiście było. Rozgrywki po kilku dniach podniecenia przestały ciągnąć Jędrka. Zresztą ich drużyna stale przegrywała. Bujakowski nazywał Jędrka niezdara. Kopanie piłki nie zrodziło zażyłości między nim a innymi chłopcami z drużyny. Jędrzek nie miał nigdy żadnej znajomej dziewczynki i nie wiedział, czy to będzie towarzystwo interesujące. Było z nim zupełnie inaczej niż i Władziem, który nawet lepiej się czuł wśród dziewczynek niż między chłopcami.

Dobrze — zgodził się bez entuzjazmu.

Wybrali się z wizytą po południu. Dawna uczennica Anny mieszkała u rodziców, którzy posiadali piękny dworek z ogrodem. Powitała ich serdecznie elegancka i przystojna pani. Była wiele młodsza od Anny. Córka bogatych rodziców, niezbyt się przykładała do nauki, toteż wtedy gdy Anna przyjeżdżała

na wakacje jako młoda nauczycielka, proszono by poduczyła bardzo spóźnioną w naukach, za to rozbawioną i rozflirtowaną Marysię. Dziś Marysia była żoną dużo od siebie starszego, ale świetnie umiającego dbać o swoje interesy przedsiębiorcy. Przeżyła wojnę za granicą, mieszkała w Szwajcarii, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych. Razem z nią przyjechali do egzotycznej Polski jacyś Anglicy Amerykanie, których przywiozła nad Niemen. To oni tak zgorzyszy miasteczko tańcami na plaży.

Bawimy się doskonale — odpowiadała Annie. — Hary'emu ogromnie się tutaj podoba. Kąpiemy się, gramy w tenisa, oficerowie pożyczają nam koni do jazdy...

Twój mąż jest także?

Ach, nie, nie! Buja w świecie. Jego takie rzeczy nie bawią. Zajęty interesami. Przyjedzie po mnie. A to twój jedyny syn, Anusiu?

Nie, mam jeszcze drugiego, młodszego. Ale Władzio znalazł sobie łatwo towarzystwo i tak się bawi, że prawie go nie widuję. Jędrak trochę się nudzi... Twoja Grażynka chyba tylko o parę miesięcy młodsza? Pamiętam, że się oboje ze sobą bawili, gdy byłam tutaj w czternastym...

I ja pamiętam. Zaraz ją zawołam. Grażka! Chodź tutaj! Umieściłam ją w szkole internatowej w Szwajcarii, więc zupełnie oszalała, gdy się znalazła na wolności...

Dziewczynka, która jakby z ociąganiem przyszła z ogrodu na wołanie matki, miała ciemnoblonde włosy, związane w małe warkoczyki, siwe oczy i zadarty nos. Ubrana była w różową sukienkę i różowe skarpetki.

Poznajcie się — powiedziała matka. — A właściwie nie musicie się poznawać. Zналиście się kiedyś jako bachory. Chyba się dogadacie. Weź go, pokaż mu ogród, psy...

Chodź — powiedziała. Śmiałym gestem wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. Była duża, rozrośnięta, trochę nawet większa od Jędrka. Pod zbyt może dziecinną sukienką rysowały się wyraźnie piersi. Szedł obok niej onieśmielony.

Zaprowadziła go na trawnik, na którym na rozścielonym kocu baraszkowała szóstka wyźlich szczeniąt. Ich matka leżała z boku. Niby czuwała nad dziećmi, ale właściwie wydawała się zachwycona, że ludzie uwolnili ją od gryzącego przychówku. Jędrak, który w pierwszej chwili aż zaniemógł, na widok psiaków odzyskał równowagę i zdolność mówienia. Strasznie lubił zwierzęta. Ojciec już obiecał, że się zgodzi na psa, ale ta sprawa ciągle się odwlekała. A tymczasem nawet Murzynek pewnego dnia nie wrócił ze spaceru i dom był bez zwierzęcia.

Ten nazywa się Bob, ten Kite, a ten Tully... — objaśniała.

Wszystkie będziecie hodowali?

Nie, skąd. Zresztą to psy dziadka. Porozdaje szczeniaki znajomym.

Strasznie chciałbym mieć psa.

Naprawdę? Chcesz, powiem dziadkowi, aby ci dał jednego. Najlepiej tego, Boba.

Pies był śliczny, większy trochę niż reszta. Ale Jędrak zapanował nad pragnieniem.

Bardzo ci dziękuję, Grażynko. Ale muszę zapytać mamy czy pozwoli go wziąć. Rozumiesz, u nas w Warszawie nie ma ogrodu...

Tak, te psy lubią ganiać.

A wy nie mieszkacie w Warszawie?

Mamy mieszkanie. Na Senatorskiej. Wiesz, w takim przechodnim domu koło Miodowej. Ale tam rzadko jesteśmy. Ja byłam całą zimę w szkole w Szwajcarii. Dużo jeździłam na nartach. A ty jeździsz na nartach?

Trochę... — skłamał. Naprawdę nie miał nart w ręku nie widział żadnych gór. Ale imaginacja obudzona już tworzyła historie. — Kiedyś zjeżdżałem, bardzo prędko. Pień tkwił w śniegu i ja się na niego zwałem. Lekarz zabronił mi teraz jeździć...

Ja też zwałam się nieraz. Ale nigdy mi nic nie było. Mocna jestem. A na koniu jeździsz? Ja uwielbiam konie

Ja także.

Kilka razy siedział na pocziwym siwku w majątku sióstr zaprzyjaźnionych z ojcem. Ale o koniach mógł wiele mówić. Wszyscy jego bohaterowie jeździli konno. Rozmowa stawała się coraz żywsza. Przerywali sobie, przekrzykiwali się. Pobiegli w głąb parku. Rwali maliny. Nagle Grażyna chwyciła za nóż w oprawie przypominającej beczułkę, który Jędrrek nosił na pasku. Szarpnęła, zerwała karabińczyk i rzuciła się do ucieczki. „Oddam ci, jak mnie złapiesz!” — zawołała. Puścił się za nią w pogoń. Dziewczyna biegła bardzo szybko, czuł, że jej nie dogoni. Ale jeśli nie potrafił być równie szybki, umiał być wytrwały. Ona zmęczyła się. Jędrrek zagonił ją w kąt ogrodu i przyparł do muru.

Oddawaj!

Oddam, jeśli potrafisz odebrać.

Trzymała nóż w podniesionej dłoni. Musiał się trochę po- mocować, aby ją zmusić do opuszczenia ręki. Wyciągnął nóż z małych palców całkiem innych niż palce kolegów, z którymi nieraz się bił.

Nie myślałam, że jesteś taki silny — powiedziała. — Ale pogniotłeś mi sukienkę. I zgubiłam kokardę. — Nie było jednak urazy w tych słowach.

Szukali kokardy. Tymczasem z ganku doleciało wołanie, aby przyszedli na podwieczorek. Była kawa, drobne ciasteczka, czekoladki. Ani się spostrzegł, kiedy matka dała znak, że muszą wracać.

W powrotnej drodze Anna patrzyła uważnie z boku na syna. Była zaskoczona, że tak się wesoło bawił. Jeszcze i teraz wydawał ożywiony.

Podobało ci się? — pytała. — Zadowolony jesteś?

Tak — przyznał. — Ta Grażyna ma śliczne szczeniaki. Powiedziała, że jeżeli zechcę, ofiaruje mi jednego. Może weźmiemy? Tyle razy mama mówiła, że chce mieć psa w domu. A tatuś obiecał...

Psa wzięłabym chętnie, ale nie takiego. Za duży, potrzebuje przestrzeni. Zawsze myślałam o jamniku. A sama Grażynka jak ci się podobała?

Owszem...

Nie było zbyt wielkiego entuzjazmu w tym potwierdzeniu, ale Anna знаła różne tony pojawiające się w głosie syna. Coś, co na pozór wydawało się lekceważeniem, bywało maskowaniem uczuć. Z zachowania Jędrka wnosiła, że to spotkanie było dla niego przeżyciem. No' cóż, rośnie, myślała. Nie uchronię go od kontaktu z dziewczętami, od pierwszych uczuć i pierwszych zawodów. Ale może byłoby słuszne rozejrzeć się za dziewczętami, które mnie się podobają i ułatwić mu spotkanie z nimi? Jeśli nie mogę mieć córki, chciałabym, mieć synową, którą bym mogła kochać jak córkę...

Jędrkowi to popołudnie przyniosło rzeczywiście głęboki wstrząs. Nagle wszystkie sprawy przesłoniła mu dziewczynka w różowej sukience, z siwymi oczami i z zadartym noskiem. Tej nocy spał źle. Ciągłe wracał myślami do rozmów na kocu, na którym wygrzewały się na słońcu szczeniaki. Jednak do drugiego spotkania z Grażyną tego lata nie c szło. Jędrak widział dziewczynę pewnego dnia jadącą kor.: Towarzyszył jej żołnierz, pewno ordynans oficera, który w pożyczał konie. Przemknęła — a on nawet nie pomyślał, mógłby ją zatrzymać i z nią porozmawiać. Potem kiedyś z baczył ją na plaży nad Niemnem. Ale nie była sama. Ci grono gości jej matki było także. Spomiędzy drzew widzi jak Grażyna rozmawia z wysokimi Anglikami, jak wbiega razem z nimi do wody wśród śmiechów i żartów, a tam dorośli mężczyźni, klepią ją po ramionach i obejmują wpół. Gryząc z gniewu trzymaną w ręku gałązkę przeżywał, że jest dalej chłopcem, gdy ona już nie była dziewczynką.

Gdy wrócił do Warszawy, różowy zwid trwał dalej czas dłuższy. W końcu jednak zaczął się zacierać. Zresztą następnego roku nad Niemen nie pojechali. Grając namiętnie w piłkę nożną Jędrak zaziębił się. Z zaziębienia wywiążą się zapalenie płuc. Przeleżał kilka tygodni. Wuj Romuald uznał, że na wakacje nie powinien jechać nad Niemen, a tam, gdzie będzie spędzać czas mniej intensywnie. Anna jak zawsze, gdy chodziło o synów, zastosowała się do poleceń brata. Gdy w dwa lata później pojechali na wakacje do domu przy ulicy Św. Jakuba, okazało się, że tego roku Grażyny nie było...

Choć nie całkiem zapomniał o niej, jego uczucia zapalały się do innych dziewcząt: do tajemniczej Władki, do wesołej Wandy, do czarnookiej Teresy... Tylko ta ostatnia — jedna z córek kuzynki Anny — miała szansę przypadnięcia do serca Annie. Ale właśnie Teresa była najbardziej nierealna z „flam” Jędrka. Wywodziła się z bardzo licznego rodzeństwa — mającego nieco przewrócone w głowie na temat swego wielkoziemiańskiego pochodzenia — odstraszała jednym i drugim Jędrka, który nigdy nie dał jej nawet poznać, że mu się podoba i adorował ją na odległość w marzeniach.

Anna dostała kiedyś list od swej przyjaciółki z lat dziewczęcych. Była to uboga dziewczyna, która wyszła za mąż z starszego leśniczego w Białowieży. Anna nie miała z nią żadnego kontaktu od wojny. Z listu dowiedziała się, że przyjaciółka ma córkę zaledwie o rok młodszą od Jędrka. Napisała z propozycją, aby dziewczynka przy okazji Świąt Wielkanocnych przyjechała obejrzeć Warszawę, w której nigdy jeszcze nie była. Matka Inki odpowiedziała entuzjastycznie Anna poszła na dworzec, aby odebrać dziewczynę z pociągu.

Inka była drobna, chuda, nieśmiała, bardzo skromniutko ubrana. Ale już w dorożce wioząc dziewczynkę do domu Anna doszła do przekonania, że w tej małej, garnącej się do niej z wielką serdecznością, widzi zadatki na córkę-przyjaciółkę.

Inka zamieszkała na Chłodnej, pomagała Annie we wszystkich domowych pracach, a gdy zostawały same, umiała prowadzić długie, rozkoszne rozmowy. Jędrak z całą starannością pełnił obowiązki

przewodnika. Wodził Inkę po Warszawie, pokazywał jej wszystko, co tylko mogło ją zainteresować. Rankami szli do Łazienek, jechali do Wilanowa — po południu chodzili do kina. Aleksander zdobywał dla nich bilety do teatru, więc prawie co wieczór mogli iść z Anną lub sami na jakąś sztukę. Anna śledziła bacznie zachowanie syna. Był dla dziewczyny grzeczny, dbał o jej rozrywkę, kupował dla niej słodycze z własnych niezbyt wysokich funduszy (Aleksander był przeciwny dawaniu synom większych sum), ale w zachowaniu nie dostrzegała nic, co by wychodziło poza ramy grzeczności i pewnej dozy zadowolenia, jakie musiało mu sprawiać imponowanie zahukanej prowincjuszce.

Tak się złożyło, że dopiero w przeddzień wyjazdu Inki z Warszawy trafiły się bilety na Don Juana Zorilli. Sztuka od roku cieszyła się ogromnym powodzeniem. Jędrrek miał okazję widzieć ją kilka razy. Namiętny wielbiciel teatru, upajał się nią po prostu. Oświadczył Ince:

— Cieszę się, że to zobaczysz. To wspaniałe. Jak oni grają!

Wyruszyli do Narodowego. Anna czekała na ich powrót z kolacją. Wrócili oszołomieni, jakby mało przytomni, z wypiekami na twarzach. Zamiast jeść, prowadzili pełną zachwyków debatę na temat sztuki. Musieli ją zacząć w powrotnej drodze — ale skończyć nie mogli. I małomówny zwykle Jędrrek, i ta nieśmiała dziewczynka aż się zachłystywali słowami zachwytu. Żadne nie chciało iść spać, musiała ich po prostu wypędzić do łóżek. W nocy Anna słyszała, jak śpiąca w sąsiednim pokoju Inka kręci się na pościeli.

Rano przy śniadaniu zauważyła, że Jędrrek nazywa dziewczynę nie Inką, ale Inezą. Chciało jej się śmiać, ale udała, że tej zmiany imienia nie dostrzegła.

Tego wieczoru Inka-Ineza wyjechała. Anna z Jędrkiem odprowadzili dziewczynę na dworzec i wsadzili do pociągu. Słyszała, jak na pożegnanie chłopak zapewniał dziewczynę, że będzie pisał.

Widać jednak nic z tego pisania nie wyszło. Listy Inki nadchodziły coraz rzadziej i rzadziej. Miała także wrażenie, że oczadzenie Jędrka teatrem zaczęło mijać. Teraz w jego życiu pojawiło się coś nowego.

Od pewnego czasu coś niepokojącego wisiąco w powietrzu. Atmosfera przypominała tamtą, która zapanowała po dniach wyboru pierwszego prezydenta.

Rogowski przychodził od paru dni z biura zaniepokojony. Także w magistracie czuło się napięcie. Ludzie szeptali ze sobą po kątach. Siostry z rozmaitych zakładów przychodziły do Rogowskiego i zwierzały mu się ze swych niepokojów. Jacyś ludzie odwiedzali biuro, rozmawiali z urzędnikami. Oddany Rogowskiemu personel donosił mu, że są to dziennikarze, którzy wypyują nie tylko o działalność wydziału, ale i osobę naczelnika.

Kraj wolno otrząsał się z trudności powojennych. Było ciężko, trwał nadal kryzys, rosła liczba bezrobotnych. Niedawno wprowadzony złoty zaczął się chwiać. Mimo to życie pulsowało jakimś bardziej regularnym rytmem. Powstawały inwestycje, których uruchomienie mogło przynieść poprawę. Było jeszcze wiele sił w narodzie.

Przyszedł słoneczny dzień majowy, kiedy Jędrka, przechodzącego podwórzem szkolnym podczas dużej pauzy, zaczepił ośmioklasista, Staś Rużyłto.

Słuchaj, Jędrrek — powiedział — zostań dziś po lekcjach.

Na długo?

Może na długo. Lepiej może uprzedź matkę przez brata, że nie wiesz, kiedy wrócisz.

Chłopiec podniósł na starszego kolegę — i dalekiego kuzyna — zdumiony wzrok. Był ostatnio pod jego wielkim wpływem, do czego przyczynił się fakt, że Staś był bratem czarnookiej Teresy. Rużyłło wciągnął go do pracy w kole starszych uczniów. Chłopcy zbierali się, dyskutowali, omawiali wspólnie pewne książki. Jędrrek tak bardzo zapalił się do tej pracy, że nawet przygasał w nim entuzjazm do teatru.

Czy się coś stało?

Dowiesz się... Teraz nic ci nie mogę powiedzieć.

Jędrrek wrócił do klasy. Miał teraz lekcję algebry, która była zawsze prawdziwą jego „piętą Achillesową”. Aby utrzymać się przy skromnej trójce („i to z dwoma minusami” — jak zapewniał nauczyciel), musiał nadrabiać pilnością i pracowitością. Ale tego dnia myśl o otrzymanym wezwaniu tak bardzo go zajęła, iż nie potrafił skupić uwagi. Został wyrwany, nie potrafił rozwiązać równania, i z dwójką wrócił na miejsce. Poczł się tym bardzo zmartwiony. Opłata za naukę w szkole była wysoka i ojciec kładł nacisk na to, aby Jędrrek w żadnej klasie nie zimował. Sprowadzał różnych korepetytorów, co także nie mało kosztowało. A u Rogowskich po staremu nie przelewało się.

Na następnej pauzie odnalazł Władzia.

Powiedz mamie — rzekł — że musiałem zostać po lekcjach i nie wiem, kiedy przyjdę.

Zostajesz w kozie?

Głupi jesteś. Mam coś ważnego.

Co takiego? Dokąd idziesz? Mówiła u nas Mączyńska, żeby po szkole nie włóczyć się po mieście. Powiada, że mogą być jakieś awantury. Lepiej wracaj od razu...

Nie twoja rzecz. Ty wracaj. A mamie powiedz, żeby się nie bała, bo będę ze Stasiem.

Po lekcjach gromadka chłopców zebrała się w jednej z pustych klas. Większość stanowili uczniowie ósmej klasy, ale było także kilku z siódmej. Staś konspiracyjnie zamknął drzwi i kazał jednemu z młodszych uważać, czy któryś z nauczycieli nie nadchodzi. Wtedy oddał głos Kądzieli, dawnemu wychowankowi szkoły, dziś studentowi, który prowadził grupę i zajmował się jej instruowaniem.

Chcę wam powiedzieć — zaczął student ściszym głosem — że przysła niebezpieczna chwila. Piłsudski gotuje się do wywołania rewolucji. Zgromadził w Rembertowie żołnierzy. Jego zwolennicy biegają po Warszawie i podburzają ludność. Szkoła Podchorążych była także wezwana na koncentrację, ale kiedy jej komendant zobaczył, co się dzieje, kazał swoim wrócić do Warszawy. Zarządzono ostre pogotowie. Jest także pogotowie w innych oddziałach warszawskich. Ale nie wszystkim można ufać. Piłsudski ma wielu swoich. Przypominam wam, że ślubowaliście służyć Ojczyźnie. Dziś możecie być potrzebni. Nie jesteście żołnierzami, możecie się jednak przydać jako gońcy i łącznicy. Zwracam się z tym do was wszystkich, ale nie chcę nikogo zmuszać. Ci, którzy nie chcą podjąć się tej pracy, niech wracają do domu. Obowiązuje ich milczenie o tym, co mówiłem. Ci, którzy pragną służyć, pójdą ze mną...

Czterech chłopców, przeważnie młodszych, wymówiło się i odeszło. Pozostało dziewięciu, wśród nich Jędrzek. Kądziała kazał im opuścić szkołę grupkami.

Ruch na mieście był niezwykły. Przechodniów było wielu, wszyscy zdawali się gdzieś spieszyć. Na rogach ulicy stały gromady ludzi, którzy, można było sądzić, na coś czekali. Dzień zrobił się po prostu gorący. Kasztany rozkwiły w oczach.

Chłopcy dotarli do gmachu Szkoły Podchorążych. Przed bramą stały warty silniejsze niż zwykle. Wywołany przez wartownika oficer służbowy wprowadził Kądzielę i chłopców bocznym wejściem do małej salki.

Posiedźcie tutaj i odpocznijcie — powiedział. — Zaraz wam wyfasuję obiad. Musicie być gotowi. Jestem pewny, że zacznie się lada chwila. Zbuntowane oddziały dotarły już do Pragi. Pluton porucznika Piątkowskiego obsadził most Poniatowskiego...

Chłopcom przyniesiono menażki i grochówkę w wielkim garze. Gdy jedli, do ich salki przychodzili podchorążowie, aby porozmawiać. Byli w pasach obwieszonych ładownicami. W skórzanych ładownicach chrzęściła ostra amunicja.

Co będzie, jeśli tamci rozpoczną?

Będziemy się bili. Złożyliśmy przysięgę.

A jeśli sam Piłsudski stanie przed nami?

Pierwszy strzelę mu w łeb!

Nie mów tak. To wódz naczelny. Dowodził wojskiem w czasie wojny.

Mamy obowiązek.

Piłsudski tylko straszy. Nic nie zrobi naprawdę.

Straszy czy nie straszy, nie przepuścimy go.

Naszym obowiązkiem jest być wiernymi prezydentowi.

Powtarzali to wszyscy z uporem, ale w ich oczach palił się ogień niepokoju. Któryś powiedział:

W szwoleżerach jest mój brat. Jeśli przyjdzie do walki, może będę musiał do niego strzelać...

Mój ojciec jest w garnizonie siedleckim...

Będziemy strzelali do swoich jak przed stu laty — zauważył któryś.

Usta podchorążych były zaciśnięte. Ci przyszli oficerowie pojmowali, że nie tylko będą musieli strzelać do ojców i do braci. Będą musieli także walczyć z żołnierzami, którzy mieli być już niedługo ich żołnierzami.

Było koło szóstej, gdy ktoś przybiegł z wiadomością:

Słychać strzały. Zaczęło się!

Artyleria bije na placu Zamkowym... Padły rozkazy. Plutony chrzęszcząc gwoździami butów zbiegały po schodach na podwórze. Przez otwarte okno chłopcy słyszeli, jak komendant szkoły przemawia do podchorążych. Od kwitnących drzew płynęły miodowe wonie. Miasto huczało coraz mocniej strzałami.

Tej nocy chłopcy użyci byli kilkakrotnie do przenoszenia rozkazów. Przebiegali przez ulice, z których i wojsko, i policja usiłowały na próżno spędzić wciąż na nowo gromadzące się tłumy. Także na ulicach z dala od linii frontu padały strzały — najczęściej rewolwerowe. Dwóch chłopców nie wróciło, nie wiadomo, co się z nimi stało.

Natarcie oddziałów Piłsudskiego załamało się przy próbie wkroczenia na plac Trzech Krzyży. Przybyte oddziały miały liczebną przewagę i pragnęły szybkim natarciem przez aleje dotrzeć do Belwederu, gdzie przebywał prezydent i rząd. Ale szkoła Podchorążych stawiała zdecydowany opór.

Jędrka wysłano z meldunkiem do szpitala Ujazdowskiego. Wszedłszy na podwórze zobaczył tutaj pierwszych zabitych. Leżeli pokotem obok siebie ponakrywani prześcieradłami. Pod drzewami na ławce przed ambulansem siedzieli czekając na opatrunki lżej ranni. Byli tu swoi i przeciwnicy.

Jędrak usłyszał, że ktoś go woła. Zobaczył na ławie podchorążego, którego poznał przed paru godzinami. Miał mundur zdjęty i tylko narzucony na ramiona.

Pan ranny? — pytał chłopiec.

Ano, oberwałem w ramię.

Rozchylił mundur. Koszulę miał porwaną, poplamioną krwią. Jędrak opanował słabość, jaką sprawiał mu ten widok.

Bardzo boli? — pytał.

Ciągnie. Niechby bolało, żeby tylko kość była cała. Masz papierosa?

Nie, nie mam.

Strasznie mi się chce zapalić.

Siedzący obok piechur z głową obwiązaną okrwawioną szmatą sięgnął do kieszeni, wyjął pudełko.

Pan podchorąży pozwoli...

Ale podchorąży odwrócił się od tamtego z pogardą.

Od buntowników nie biorę!

Jędrak zobaczył, że jeden z opatrujących rannych lekarzy, w okrwawionym fartuchu, wyszedł na chwilę na dwór, aby wypalić papierosa i pooddychać majowym powietrzem.

Twarz chirurga wydała się chłopcu znajoma. Uświadom sobie, że jest to jeden z lekarzy, którzy pracowali w podległym ojcu szpitalu. Podszedł do niego.

Pan doktor Jabłoński?

Ja. A ty kim jesteś?

Rogowski. Syn naczelnika.

Prawda, pamiętam. Poznałem cię u ojca. Co tu robisz Ojciec wie, że tu jesteś?

Nie...

Czy chciałeś czegoś?

Tak. Gdyby pan mógł dać kilka papierosów. Nie dla mnie, dla jednego podchorążego. I ci ranni, co czekają tutaj.

Masz całe pudełko. A tego twego podchorążego zaraz wezmę na opatrunek.

Wracając na salę opatrunkową zabrał ze sobą podchorążego. Jędrzek czekając, aż tamten wróci, porozdzielał tym czasem papierosy między rannych. Dawał swoim i przeciwnikom. Nie umiałby traktować tych ostatnich w inny sposób. Zresztą siedzący obok siebie na ławie rozmawiali zgodnie ze sobą.

Po dłuższej chwili znajomy lekarz wyszedł znowu na podwórze. Przywołał gestem Jędrka.

Niestety, nie mogę ci nic powiedzieć dobrego o twoim przyjacielu. Ma strzaskaną kość. Zabrali go do szpitala... - skrzywił się boleśnie. — Nie rozumiem sensu tego, co się dzieje, ale widzę, jak się marnuje najlepszych... Czy mogę ci w czymś pomóc?

Nie, dziękuję. Chyba, gdyby pan mógł przekazać ojcu wiadomość, że jestem zdrow i cały.

Przekażę rano.

Jędrzek wrócił do Szkoły Podchorążych i przedrzemał kilka godzin w pokoju łączników. Inni chłopcy przychodzili i od chodzili z poleceniami. Walki nocą ustały, ale umacniano się na pozycjach.

Jeszcze przed świtem przybył pociągiem z Łowicza z pomocą stronie rządowej pułk piechoty. Żołnierze od razi przystąpili do uderzenia na koszary szwoleżerów i zdobyli je. Jędrzek widział, jak prowadzono stamtąd jeńców.

Ranne nastroje były dobre. Mówiono, że idą z odsieczą pułki poznańskiej i że piłsudczycy zostaną zgnieci. Walki toczyły się teraz na wielu odcinkach. Jędrzek został wysłany do dowódcy oddziałów trzymających pozycje w pobliżu Politechniki. Był tu jakiś major, który przyjąwszy od Jędrka przyniesioną karteczkę, zamiast go odesłać z odpowiedzią, przywołał do siebie.

- Pójdiesz na Wilczą. O tu, widzisz — pokazał na planie. — Zameldujesz się u porucznika Misionka. Oni tam trzymają pozycję. Będziesz przy nim jako goniec. Zrozumiałeś? Gdy porucznik będzie potrzebował wsparcia, niech przyśle ciebie do mnie. Odmaszerować.

Chłopcy, którzy zgłosili się do służby pomocniczej, nie byli wysyłani na linię walki. Jędrrek poczuł się niepewnie, gdy przyszło mu iść w stronę, gdzie grzechotała strzelanina. Ulice były puste, tylko w głębi bram czaili się gapie. Jakiś mężczyzna zawołał z okna:

- Nie idź tam, chłopcze, tam się biją!

Potem jakaś kobieta zawołała histerycznie:

Dokąd idziesz, mały! Wróć się!

Wróciłby chętnie, ale nie śmiał się sprzeciwić kategorycznie wydanemu rozkazowi. Był niby schwytany w tryby jakiejś maszyny. We wskazanym miejscu odnalazł placówkę. Żołnierze siedzieli w okopie wykopanym w ziemi. Wydarte z chodnika płyty tworzyły zasłonę. W stróżówce, w bramie, znalazł porucznika.

— Major cię przysłał, tak? Dobrze. Przydasz mi się. Marszałkowską idzie natarcie.

Pobiegnę i powiem o tym panu majorowi.

Pobiegniesz i powiesz, ale wtedy, gdy dostaniesz rozkaz. Musisz najpierw skoczyć tam, na róg. W domu na parterze są moi chłopcy. Dowodzi nimi kapral Wyrych. Masz kartę do niego, bo ci może nie uwierzy na słowo. Powiedz, że mają się wycofać tu, do mnie. No, goń. Uważaj, żeby cię nie zastrzelili.

Od placówki do domu na rogu nie było więcej niż dwieście metrów, ale ulica pełna była świstów lecących pocisków. Tam na rogu toczyła się walka. Jędrrek, gdy go porucznik wyprowadził z bramy i pokazał cel, do którego miał dotrzeć, poczuł taki lęk, że wydawało mu się w pierwszej chwili, że nie zrobi ani kroku. Stał przez chwilę dygocąc przy wylocie bramy.

No, nie miej cykorii — rzekł jeden z żołnierzy, który stał w oknie. — Leć prędko, to cię może nie postrzelą.

Inni żołnierze wybuchnęli śmiechem, ale sierżant, który siedząc jadł pajdę chleba ze słoniną, rzekł:

Zostawcie go. Co się czepiacie chłopaka? I on nie by pod Verdunem, i wy nie byliście. Słuchaj, goniec. Skocz oc raz na drugą stronę ulicy. A potem biegnij po ścianie, od bramy do bramy.

Jędrrek miał wciąż nogi jak z waty. Imaginacja stawiała mu przed oczy rannych, których widział w nocy na podwórzu szpitalnym. Ale spokojne słowa sierżanta pozwoliły mu się wziąć w garść. Gwałtownie wypadł z bramy i tak szybko, jak tylko mogły go nieść nogi, przebiegł na drugą stronę ulicy. Raz i drugi wydało mu się, że słyszy nad głową długi świst. Szkło z rozbitych okien trzaskało mu pod butami. Dopadł ściany domu tak gwałtownie, że aż upadł. Poobcierane przy uderzeniu dłonie i kolana piekły boleśnie. Zatrzymał się w pierwszej napotkanej bramie. Ale tamci z okopu krzyczeli na niego, aby się spieszył.

Posuwał się teraz, jak mu powiedział sierżant, skokami od bramy do bramy. Wreszcie wpadł w bramę narożnego domu.

Był tu jakiś żołnierz, który przyskoczył do niego z karabinem w ręku. Pod wciśniętym na czoło hełmem zobaczył czerwone policzki i rozdygotane przerażeniem oczy.

Ktoś ty? Czego chcesz?

Ja do was. Od porucznika.

Porucznik cię przysłał?

Tak. Do kaprała Wyrucha.

Wyruch w mieszkaniu. Leć do niego.

Parterowe mieszkanie zamienione było na pozycję obronną. Jakieś worki leżały na parapetach okien. Żołnierze klęcząc strzelali. Ktoś z ulicy strzelał do nich. Pociski biły po ścianach i po suficie, sypał się tynk. Wszystko spowijał pył.

Pod ścianę i na kolana! — wrzasnęli na niego.

Klęcząc wśród ogłuszającego huku wystrzałów i trzasku

sypiącego się tynku, pokazał kapralowi kartkę.

Porucznik przysłał mnie do panów, abyście się zaraz stąd wycofali...

A ty kto jesteś?

Ze służby pomocniczej...

Ostra seria poszła w ich okno. Jeden z żołnierzy odskoczył z okrzykiem.

Dostałem! Krew leci! Umrę zaraz. Bracia, ratujcie...

Krew biła mu rzeczywiście gdzieś spod szyi i zalewała

łśniącą strugą mundur. Kapral zawołał:

Cofamy się, odskakujcie! Poderwali się gwałtownie, potracając się i odpychając wzajem, i wypadli z mieszkania. Ranny próbował biec za nimi, ale potykał się i nie mógł nadążyć. Rozpaczliwie wołał:

Czekajcie! Nie zostawiajcie! Cała krew ze mnie wyleci!' Umrę!

Jędrrek chciał popędzić za żołnierzami, ale ranny objął go za szyję rozpaczliwym gestem.

Nie zostawiaj mnie...

Z żołnierzem, który wisiał na nim, nie mógł nie tylko biec, ale nawet iść. Krew rannego zalewała mu ubranie, Stał w bramie podtrzymując tamtego, gdy wpadli dwaj z bagnietami na karabinach.

Poddajcie się!

Nie mieli hełmów na głowach, tylko czworograniaste czapki z amarantowym otokiem. Na nogach wysokie buty z ostrogami. Na kołnierzach amarantowe proporczyki z białym trójkątem.

Ranny lamentował.

Poddaję się. Bierzcie mnie, bracia, zaprowadźcie do szpitala. Ranny jestem.

Nadszedł podoficer z naszywkami wachmistrza.

Zajmijcie się rannym — powiedział do swoich. — Niech go odprowadzą do punktu opatrunkowego.
— A ty kto? — krzyknął zwracając się do Jędrka. — Trzymaj ręce podniesione!

Nie jestem, proszę pana, żołnierzem.

Cholera wie, kim jesteś. Trzymaj ręce, jak ci kazałem. Najgorsze to te cywilne łobuzy, co strzelają do nas z ukrycia. Najlepiej rozwalić takiego od razu!

Ja nie strzelałem, proszę pana. Pomagałem tylko rannemu...

Zamknij pysk. Znamy takich, co się sprzeciwiają komendantowi. Postawić go pod mur!

Na Jędrka spłynęła nagle fala determinacji.

Możecie mnie zabić — powiedział. Ale ja nie strzelałem. To wy...

Milcz! — wachmistrz chwycił go twardą ręką za gardło. — Jedno słowo, a zastrzelę jak psa! — Mocno, kilka razy uderzył głową chłopca o mur. Jędrkowi zrobiło się ciemno przed oczami. Nogi ugięły się. Byłby upadł, ale podoficer zwolnił duszący chwyt, puścił go. W bramie naprzeciwko stał oficer.

Czyście zwariowali, wachmistrzu? — zapytał. — Co robicie z tym chłopakiem!

To jeden z tych drani, co strzelają do nas. Złapaliście go na strzelaniu?

Nie strzelałem — powiedział Jędrak. — Nie miałem broni. Nie umiem nawet strzelać — przyznał ze wstydem. Pomagałem rannemu...

Oficer stał niezdecydowany, spoglądając to na Jędrka, na wachmistrza. W bramie było coraz więcej żołnierzy. Zaczęli się także zbierać ludzie. Wypowiadali swoje uwagi.

On nie strzelały

To uczeń.

To co robił z tamtymi na piętrze?

Oficer podrapał się w nos, potem zdecydował.

Wachmistrzu, prowadźcie dalej natarcie. Kapral Mutrak do mnie. Odprowadźcie tego chłopaka do Komendy? Powiecie wszystko, jak było. Niech oni się nim zajmą. Zrozumieliście? A jakby próbował uciekać, nie patyczkujcie się tylko strzelajcie.

Chodź — kapral dał znak Jędrkowi. — I nie próbuj uciekać, bo musiałbym cię zastrzelić — ostrzegł kładąc dłoń na kaburze pistoletu. Ale głos nie brzmiał zbyt groźnie. Też wymyślili, aby się bawić chłopcem — wzruszył ramio nami. — Strzelałeś?

Nie strzelałem.

Tak się tłumacz, to się wytłumaczysz. Szczeniaki jak ty zawsze się pchają, gdzie nie potra. Bardzo ci wachmistrz potłukł głowę?

Nie — powiedział przez zaciśnięte zęby, choć głowa go porządnie bolała, a na szyi wciąż jeszcze czuł ucisk kościstych palców.

Nie powinien był tak robić. Ale, widzisz, jemu dziś zabili przyjaciela. I powiedzieli mu, że to strzelał jakiś cywil...

Słyszałem, że cywile strzelali, ale do naszych.

A my to nie nasi?

Zagryzł wargi i nic nie powiedział. Kapral popatrzył na niego:

Lepiej tam na Komendzie tak nie gadaj — rzekł. — Nasi, wasi — co za gadanie? Wszyscy jesteśmy nasi. Nie nasza głowa zrozumieć, dlaczego się bijemy. Tak decydują ważniejsi od nas, a żołnierz musi słuchać swego dowódcy. Ty uczeń?

Uczeń.

W której klasie?

W siódmej.

Mam syna w gimnazjum w Mińsku. Ale on dopiero w trzeciej... Wiesz, puściłbym ciebie... Ale boję się, że porucznik będzie się dowiadywać. Nie powiem, że mówili, że strzelałeś...

Kiedy ja naprawdę nie strzelałem.

Myślę, że mówisz prawdę. Porucznik byłby cię puścił, gdyby nie wachmistrz... A jemu, jak mówiłem, zabili przyjaciela. Byli razem u Beliny...

Doszli do Królewskiej. Plac Saski był zdobyty przez piłsudczyków już pierwszego dnia. Przed Komendą stały warty. Kapral wprowadził Jędrka do środka. Jakiś major siedział za biurkiem. Kapral zameldował się służbiście.

Co to za chłopiec?

Uczeń jakiś, panie majorze.

Po co go przyprowadziliście?

Opiekował się rannym żołnierzem. Od tamtych...

To mu się chwali. Nic więcej?

Kapral zakrztusił się.

Nic więcej nie wiem, panie majorze.

Dobrze, możecie się odmeldować. No, kolego — major zwrócił się do Jędrka. — Macie coś smętną minę. Przecież chyba nie mieli do was pretensji o to, że zajęliście się rannym?

Widać mieli. Jakiś wachmistrz szarpał mnie...

Za tego rannego?

Nie wiem. Krzyczał, że strzelałem do nich. Kłamał, bo ja nie strzelałem...

Zachował się w takim razie niewłaściwie. Ale musisz zrozumieć: w walce wyzwalają się różne pasje. Tamten musiał z twego zachowania zrozumieć, że jesteś przeciwko nim.. Jesteś?

Gniewnie podniósł głowę.

Jestem.

Dlaczego?

Jędrak nie odpowiedział. Stał chmurny, z zaciśniętymi zębami. Major wstał, podszedł do niego.

Dlaczego? — powtórzył. — Dlaczego jesteś przeciwko marszałkowi?

Chłopiec nie mówił dalej nic, tylko poruszył ramionami. Major nie doczekawszy się odpowiedzi wrócił za biurko.

To niedobrze. Musisz mi podać swoje imię i nazwisko. Także nazwisko ojca i gdzie pracuje... Pokaż mi swoją legitymację szkolną. Do jakiej szkoły chodzisz?

Wolno spisywał dane. Jędrak słyszał, że ktoś za jego plecami przechodzi przez pokój. Nie odwrócił się, ale n poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

To ty, Jędrku? Co tu robisz?

Obrócił się i zobaczył przed sobą Selimowicza. Ten zwrócił się do majora przy biurku:

Co pan chce od tego chłopca? Zbroił coś?

Był z tamtymi, panie pułkowniku. Pan pułkownik zna?

Doskonale. Biorę za niego odpowiedzialność. Proszę go puścić.

Oczywiście, panie pułkowniku. Sam chciałem to zrobić. Spisuję tylko personalia.

Selimowicz zabrał Jędrka do drugiego pokoju.

No, powiedz mi, co robiłeś u tamtych?

Byłem za gońca.

Toś ty taki? Wtedy uciekłeś do nas, a teraz chciałeś przeciwko nam?

Oni są wierni przysiędze... Ja myślałem, że wuj... zaczął i urwał.

Że z tamtymi?

Tak.

Selimowicz włożył ręce w kieszenie i przeszedł się i razy po pokoju.

Boję się, że tego teraz nie zrozumiesz, choćbym nie wiem jak ci tłumaczył — rzekł po chwili. — Przyjdzie i chwila... Będziemy znowu razem jak wtedy, w pociągu, teraz musisz jednak wrócić do domu, do matki. Nie, nie puszczę cię samego. Znowu gdzieś uciekniesz. Sprowadzę ojca, niech cię zabierze. Ojciec pewno u siebie, w biurze. Na Krakowskim, prawda?

- Tak. Ale... Niech wuj mnie puści, wrócę sam.

Będę spokojniejszy, jak cię oddam ojcu. Nie będę go sprowadzał, tylko ciebie odstawię. Chodź.

Zawołał jakiegoś podporucznika i powiedział mu, że za chwilę wychodzi. Przed komendą stało kilka aut. Wsiadł jednego z nich. Na Krakowskim na chodnikach cisnęły się tłumy. Z tyłu za skwerkiem, na którym stał brzydki pomniczek pomidorowej kobiety trzymającej na ramieniu dziecko, znajdowało się biuro Rogowskiego. Weszli na drugie piętro. W sekretariacie złotowłosa pani Jaskólska przywitała Jędrka okrzykiem: „No jest zguba!” Potem podniosła oczy na Selimowicza: „Pan pułkownik do naczelnika?”

Tak. Proszę mnie zameldować. Selimowicz.

Tam posiedzenie... To proszę przerwać. Błysnęła z uznaniem oczami.

Jak pan pułkownik sobie życzy. Rogowski wyszedł do sekretariatu.

Jędrak! Jesteś? Matka umiera z niepokojem. Trzeba ją zaraz zawiadomić. Pan do mnie?

Przyszedłem tylko oddać panu chłopca do rąk.

Jestem ogromnie zobowiązany. Anusia będzie także. Gdzie go pan znalazł?

Zaplątał się po tamtej stronie i dostał się do niewoli. Rogowski nie powiedział nic. Spojrzał tylko na syna, a Jędrak wyczytał w ciemnych oczach ojca wielką miłość.

Jeszcze raz dziękuję — powiedział Rogowski do Selimowicza.

Niech pan go nie wypuszcza, bo może być kłopot. Co się tu u pana dzieje w biurze?

Urwanie głowy. Szpitale pełne rannych, brak środków opatrunkowych, brak lekarzy, brak żywności...

To niech pan wraca do roboty. A ja uciekam. Serwus.

Anna przycisnęła głowę syna do piersi.

— Jaki Bóg dobry — mówiła. — Jaki dobry. Bałam się. A On oddał mi ciebie. Jeszcze raz...

Zalewały ją radość i wdzięczność. Ale po chwili, gdy już Jędrak odszedł do swego pokoju, na dnie serca zrodziła się myśl: Czy On zawsze będzie mi go zwracał? Czy zawsze mam być szczęśliwą matką, która odnajduje syna?

Przypomniała jej się tamta noc na brzegu Niemna, gdy Mikołaj pytał ją, o czym myśli — i ta jej odpowiedź — taka dziwna dla niej samej...

Jednak szybko zapomniała o tamtym. Wciąż w oddalonych od Chłodnej dzielnicach grzechotały strzały i toczyła się walka swoich ze swoimi. Aleksander, który wpadł do domu tylko na moment, aby przywieźć Jędrka, już wyszedł. Miał starać się dotrzeć do Wilanowa, aby omówić ze stroną rządową sprawę rannych. Gdy jedni bili się — inni prowadzili pertraktacje.

Część trzecia

Nie poznajesz mnie, Anusiu?

Ależ... ależ tak. To kuzynka Maria, prawda?

Niełatwo było uwierzyć, że ta kobieta, o białych jak śnieg włosach, jest tą samą, którą pamiętała sprzed kilku zaledwie laty jako kogoś niewiele od siebie starszego. Maria Krzywiańska stała się zupełnie podobna do swej matki.

To ja. Witaj, kochana. Jestem znowu w kraju. I pierwsza rzecz do was...

Objęły się, ucałowały. Anna zaprosiła gościa do pokoju. W domu był tylko Władek. Maria wydobyła ze swej torebki grubą tabliczkę czekolady szwajcarskiej i wręczyła chłopcu.

Podawszy herbatę Anna zaczęła wypytywać:

Kiedy kuzynka wróciła? I gdzie mieszka? Co z kuzynką Ludwiką? Nic o was nie wiemy. Spotkałam Karolek przelotnie, gdy jeszcze była wojna, i wtedy mówił mi o śmierci matki kuzynki. Ale to już sześć lat... Co z Karolkiem?

Białowłosa kobieta westchnęła.

Więc wiesz, że mama umarła. Po jej śmierci udało mi się wyjechać do Szwajcarii. W Rosji straciliśmy wszystko, ale pozostało trochę pieniędzy w Lozannie. Wystarczyłoby na życie... Napisał do mnie Karolek. Przeżył wojnę, ale jego rodzice pomarli...

Kuzynka Ludwika umarła!?

- I ona, moja droga, i on. To smutna historia. Szwagier puścił się na jakieś niezbyt pewne kombinacje finansowe i stracił wszystko, co posiadał. Miał przy tym kłopoty z władzami. To go tak wzięło, że umarł. Ludka poszła za nim w pół roku. Biedny Karolek! W czasie wojny otrzymał postrzał w płuca. Leżał długo w szpitalu, potem w sanatorium. Gdy wyszedł był zupełnie sam. Postanowił zostać w wojsku. Nie mógł wymyślić nic gorszego. Był rozpieszczony, przyzwyczajony do dobrobytu, ba, nawet do luksusu. A trafił co małego prowincjonalnego garnizonu. Było tam nudno, brak inteligentnego towarzystwa. Oficerowie pili, grali w karty. Karolek jest lekkomyślny... Skończyło się fatalnie. Pożyczył pieniądze z kasy kasyna i przegrał. Nie mógł oddać, próbował popełnić samobójstwo...

Położyła na twarzy duże, białe dłonie i przez chwilę siedziała bez słowa. Gdy znowu odkryła twarz, wydawała się jeszcze starsza niż przedtem.

Wezwana przez niego przyjechałam. Spłaciłam długi — podjęła. — Ale było już za późno, aby go uratować. Nie, nie zabił się. Rana jednak sprawiła, że odezwała się choroba płuc. Leży w szpitalu w beznadziejnym stanie...

Znowu tym samym ruchem położyła dłonie na twarzy.

O Boże — powiedziała Anna. — Jakże współczuję kuzynce. Biedny, biedny chłopak. Może jednak można mu w czymś pomóc?

Potrząsnęła głową.

Pomóc — niczym — szepnęła. — Zrobiłam wszystko, cc można było zrobić... — Zsunęła dłonie z policzków, na których nie było ani śladu łez. — Ale on ma prośbę. Wielką prośbę. Chciałby zobaczyć twoich chłopców. Także Stefana. Pragnie im coś powiedzieć...

Oczywiście — zapewniła żywo — to trzeba zrobić. Gdzie leży Karolek?

W szpitalu wojskowym.

Anna wypytywała Krzywiańską o jej życie. Kobieta wynajęła sobie małe mieszkanie w Warszawie.

Teraz chcę być przy nim. Gdy umrze, przeniosę się gdzieś na prowincję. Myślałam o Lublinie. Z pieniędzy, które przywiozłam, nie zostało wiele. Nie dam rady utrzymać się tutaj. Poza Warszawą będzie łatwiej. Sądzę, że uda mi się dorabiać lekcjami języków. Żal mi, że stracę kontakt z wami... Oleś był zawsze taki dla mnie dobry...

Nie puścimy kuzynki.

Tak jednak będzie lepiej. Już to sobie ułożyłam...

Po wyjściu Krzywiańskiej Anna czekała niecierpliwie na powrót męża z biura, aby móc mu o wizycie opowiedzieć. Przy obiedzie sprawy nie poruszała, nie chciała mówić przy chłopcach. Dopiero później odwołała Aleksandra do drugiego pokoju.

Wyobraź sobie, kto był dziś u nas. Nigdy nie zgadniesz. Kuzynka Maria.

Gdy opowiedziała o wszystkim, Rogowski pokiwał głową.

Biedna kobieta. Tyle cierpiała przez całe życie nie za własne winy. A teraz to jeszcze musiało na nią spaść!

Nigdy nie rozumiałam dobrze tej historii. Dlaczego dziwnie układało się życie jej matki i jej samej?

Przez tę zwariowaną miłość. Nikt nie mógł pojąć co kazało młodej pięknej dziewczynie rzucić się w ramiona starego człowieka...

Mówisz o tym generale?

Tak. Miał przynajmniej trzydzieści lat więcej niż ona. Podobno był miłym, eleganckim człowiekiem. Ale przecież zasłużył się w sześćdziesiątym trzecim...

Nie znałeś go?

Raz jeden go widziałem. Po śmierci ojca. Dom się rozleciał, zostałem sam, dziewięcioletni chłopiec. Znowu wróciła sprawa, że władze zechcą mnie umieścić w jakimś internacie. Ojciec miał wyrok śmierci, więc choć mu pozwolono umrzeć w domu, znajdował się do końca pod obserwacją...

Ten generał nie mógł wam pomóc wcześniej?

Ojciec zakazał, aby się do niego zwracano. Dopiero gdy umarł, ktoś z rodziny powiadomił matkę Marii. Przyjechali oboje. On był siwy, z brodą, w mundurze. Brzęczał orderami. Podobno to on sprawił, że powierzono moje wychowanie siostrze. Niedługo potem umarł.

A wtedy co się stało?

Ano, skończyła się obłąkańcza miłość. Matka Marii oprzytomniała, zrozumiała, że jest sama, że rodzina się wyparła — i przestraszyła się. Ludzie odwracali się od niej. Ludwika wyszła za Gulińskiego, bo to był człowiek, który leciał na pieniądze, a pieniędzy Krzywiańskie miały dużo. Ludwika kupiła sobie wygodne życie, ale Maria jest inna. Ambitna. Nigdy o nic nie prosiła i nie poprosi. Wybrała staropanieństwo i samotność. To jest jej pokuta za to, zrobiła matka.

Co myślisz o prośbie Karolka?

Należy wziąć chłopców i pójść do niego. Taki jest skutek wychowania, jakie dostał. Dla Marii trzeba to zrobić.

Czy mam z nimi iść? Jesteś taki zajęty.

Jestem. Ale to ja powinienem pójść.

Z Karolka Gulińskiego niewiele zostało. Leżał w pościeli mały, skurczony, z zapadniętą poźółtką twarzą.

Aleksander wszedł do pokoju pierwszy. Za nim Władek, Jędrzek i Stefan. Syn brata Aleksandra był już po maturze.

Rogowski porozmawiał chwilę z chorym, wręczył mu pomarańcze i ciastka, upieczone przez Annę, a potem rzekł:

Przyprowadziłem ci chłopców. Słyszałem, że chcesz z nimi porozmawiać. Będzie lepiej, jak zostawię was samych.

Opuścił pokój. Chłopcy zajęli miejsca na niewygodnych, szpitalnych taboretach. Zapanowało milczenie, gdyż żaden z przybyłych nie wiedział, jak zacząć. Karolka nie znali, jeden Stefan spotykał się z nim parę razy. W ciszy słychać było rżący oddech chorego. To on zaczął mówić głosem przełamanym i chrapliwym:

Chciałem, abyście przyszli i zobaczyli mnie, jaki teraz jestem... Niedługo umrę... Nic mnie nie uratuje... Ciotka zrobiła, co mogła ..

Rozkaszał się. Chustką, którą ścisnął w dłoni, wytarł mocno usta.

Chciałem — podjął jak ktoś, kto desperackim zrywem usiłuje dźwignąć zbyt wielki ciężar — chciałem, abyście zobaczyli, jak zmarnowałem życie... Aby to była dla was nauka... Bo zmarnowałem je dlatego, że nie było we mnie żadnej idei, żadnej myśli... tylko chęć zagłuszenia... tylko złość... tylko przekonanie, że nic nie mogę... że jestem...

Znowu chwycił go atak ciężkiego kaszlu. Aż zsiniał. Kiedy wreszcie kaszel przestał go dusić, długo spluwał do białej miseczki. Czekali w pełnym grozy milczeniu, aż zacznie znowu mówić.

Nie można żyć tylko sprzeciwem... — wyrzucił z siebie z coraz większym trudem. — Trzeba coś zrobić... Teraz rozumiem... Jeden ksiądz tutaj wytłumaczył mi... Każdy ma swoje zadanie... Wy także powinniście... Wam będzie łatwiej... Nie mieliście dziada, rosyjskiego generała... Ale i wam... wam także... może się wydawać... że ktoś... coś... przesądził... o was... a człowiek zawsze... zawsze... zawsze...

Głos zamarł. Karolek oddychał prędko i ciężko, aż słychać było, jak gra mu w piersi. Jeszcze raz po chwili podjął:

Musiałem wam powiedzieć — mówił teraz cichym szeptem, aż musieli się nad nim pochylić, by słyszeć jego słowa: — Jesteście moimi kuzynami... I ode mnie... łatwiej... przyjmiecie... Nie zmarnujcie życia... jak ja... pamiętajcie... pomódlcie się za mnie... bo ja już... nie zobaczymy się... idźcie... możecie się zarazić... idźcie...

Wstali, ale właśnie przyszedł atak kaszlu, więc czekali, aż minie. Karolek odsunął miseczkę, otarł usta. Bez słowa dał im znak ręką, aby sobie szli.

To idziemy — powiedział Stefan. Jeszcze się chwilę namyślał, co powinien powiedzieć na pożegnanie. Wreszcie rzekł: — Może jednak... mam nadzieję, wyzdrowiejesz... życzymy ci zdrowia...

Karolek opuścił powieki. Potrząsnął głową, gdy Stefan wyciągnął do niego dłoń. Skłonili się więc z daleka i szedł do drzwi. Jeszcze zawołał za nimi:

Jędre!

Zbliżył się do łóżka, tamci zatrzymali się przy drzwiach.

Powiedz matce — zachrypiął Karolek — że ją żegnam., że jej także dziękuję... Powiesz? Nie zapomnisz?

Nie zapomnę.

Wyszli ze spuszczonej głowami. W poczekalni czekał na nich Rogowski. Oderwał się od rozmowy z jakimś lekarzem w białym kitki i zapytał:

Już?

Kiwnęli potakująco głowami.

W drodze do domu zapytał synów:

Co takiego chciał wam powiedzieć?

Władek już odzyskał swoją rozmowność.

Wie tatuś, tak naprawdę to nie wiem. Mówił żebyśmy nie zmarnowali życia jak on. Czy on naprawdę chciał się zabić? Stefan powiada, że gdyby nie ta choroba, czekałby go sąd i więzienie. Także wyrzuciliby go z wojska. Ale on jest chyba bardzo ciężko chory. Mówił, że umrze, że już go nie zobaczymy. Kiedy kaszle, to słysząc, jak mu świszczę w piersiach...

Jędrrek milczał.

Pogrzeb Karolka odbył się w dziesięć dni później na Powązkach. Sprawami pochowania zajął się Aleksander. W pogrzebie wzięło udział niewiele osób: dwie rodziny Rogowskich i kuzynka Krzywiańska. Przyszło także dwóch młodych oficerów, pewno kolegów Karolka, ale trzymali się z dala.

Władek za znakomite zdanie matury otrzymał od ojca motocykl. Szalał na nim od rana do wieczora, z lubością rozkręcał go na części i na nowo skręcał. Posiadał talenty, które były zaprzeczeniem umiejętności Jędrka.

Lipiec tego lata młodzi Rogowscy spędzali w Józefowie nad Świdrem. Władek miał tu całą paczkę kolegów i przyjaciół. Nad Niemen Anna z młodszym synem miała wyjechać dopiero w sierpniu, po wyprawieniu Jędrka do Grudziądza, gdzie miał odbywać służbę wojskową.

W Annie tęsknota za posiadaniem córki-przyjaciółki na nowo urosła. Synowie oddalali się od niej. Jędrrek w czasie studiów zajęty był pracą polityczną. Rzucił się w nią tak gorliwie, że ledwie udało mu się skończyć studia. Już tylko trochę interesował się teatrem. Młodszego ciągnęła mechanika, po maturze wybierał się na politechnikę. Jak zawsze mówił dużo i miał wielką łatwość zawierania znajomości i przyjaźni. Związał się blisko z Jurkiem, synem Michała. Ponieważ żona Michała, Basia, ciągle chorowała, a sam Michał miał zajęcie, które kazało mu na całe tygodnie wyjeżdżać z Warszawy, chłopiec przylgnął do domu ciotki. Nie wychodził od Rogowskich, pojechał razem z Anną i chłopcami do Józefowa, a obecnie do spółki z Władkiem ujeżdżali motocykl.

Dom Rogowskich przez ostatnie lata pełen był młodzieży. Jeden po drugim zjeżdżali z Łukowa synowie siostry Aleksandra, aby studiować na uczelniach warszawskich. Ich matka, chora od lat, teraz dogorywała. Zdarła życie opiekując się sama gromadą dziewięciorga dzieci, gdyż jej mąż nie żył od dawna. Rogowski, zawsze pełen czci dla siostry i pamięci dla tego, co jej zawdzięczał, robił starania, aby pomóc jej dzieciom. Anna rozumiała te uczucia i gorliwie zajmowała się siostrzeńcami. Początkowo mieszkali u Rogowskich, potem udało się zdobyć dla nich mieszkanie w domu na Chłodnej. Przychodzili do Rogowskich na posiłki. Chociaż sytuacja materialna rodziny poprawiła się wraz z ogólną poprawą, przecież przy tak dużej ilości stołowników Annie nie było łatwo prowadzić gospodarstwo. Nie narzekała jednak i starała się dawać sobie radę. Była zawsze gospodynią oszczędną i nie znosiła marnotrawstwa. U Rogowskich nic się nigdy nie wyrzucało. Jedzenia było dość, choć nie jadało się żadnych smakołyków. Skromność i prostota domu zaskakiwały tych, którzy wiedzieli, jak poważne stanowisko zajmuje Rogowski,

Wypełniony młodzieżą dom stał się wesoły, hałaśliwy, tętniący życiem. Przypominał Annie czasy jej dzieciństwa. Była zapracowana. Wstawała razem z Aleksandrem, który miał zwyczaj bardzo wczesnego wstawania, kładła się natomiast ostatnia. Często wyczekiwała do późna z kolacją na wracających z wieczorków, zabaw, z teatrów. Wtykała potrzebującym złotówki, uciufane z groszowych oszczędności.

Wszyscy ją podziwiali, kochali, całowali po rękach i zaraz potem pędzili do swych zajęć i do swych przyjemności. Dom, który przed chwilą kipiał życiem i pełen krzyku, zapadał w ciszę. Pozostawała w nim sama. Dość często teraz siadała do fortepianu. Muzyka zawsze ją ciągnęła, ale przez lata całe nie miała na nią czasu. Pisze także listy — ogromne, barwne, prawdziwe opowieści — do dawnych przyjaciółek, które mieszkały gdzieś daleko i które najczęściej na te listy wcale nie odpowiadały.

Pewnego dnia, gdy była sama, ktoś zadzwonił do ich drzwi. Anna otworzyła. Na progu stała dziewczyna może dziewiętnastoletnia, w szarym skromnym płaszczku, z kuferkiem w ręku. Anna patrzyła na nią uważnie przez chwilę a potem zawołała:

Nie mów nic! Wiem! Jesteś Jadzią, córką mego brata Hipolita. Prawda?

Tak, ciociu...

Chwyła dziewczynę w objęcia. Pamiętała ją małą dziewczynką. Wtedy była wystrojona i miała złote, pełne loków włosy opadające na haftowany kołnierzyk. Teraz rysy dziewczyny zgrubiały, włosy miała ucięte krótko, prawie po męsku.

Chodź, chodź! Jak się cieszę. Zaraz dostaniesz herbatę. Pewno dziś jeszcze nic nie jadłaś. Przygotuję ci coś solidniejszego. A ty musisz opowiadać. O ojcu, o sobie, o wszystkim. Co się z tobą działo? Co robiłaś? Rozbierz się, siadaj...

Kiedy krzątała się przygotowując jakieś jedzenie, dziewczyna opowiadała. Hipolit nie wrócił, chociaż przychodziły wieści, że żyje i że założył drugą rodzinę. Matka Jadzi znalazła się w szpitalu psychiatrycznym. Jej melancholia i wieczne pretensje do otoczenia zamieniły się w chorobę umysłową. Rodzina matki zebrała się na naradę, co zrobić z dziewczynką. Jadzia nie powiedziała tego wyraźnie, ale Anna wyczuła że wśród tych wszystkich wujów i ciotek panowała tendencja, aby się za wszelką cenę uwolnić od opieki nad dziewczyną, zwłaszcza że duże majątki, które stanowiły o bogactwie rodziny, po wojnie znalazły się albo na terenie Litwy, albo Związku Radzieckiego. Ostatecznie sama Jadzia zażądała, aby jej pozwolono jechać do Warszawy. Chciała tu studiować polonistykę. Przyjęto jej propozycję z zadowoleniem i opatrzywszy niewielką kwotą wsadzono do pociągu. Jadzia wyobrażała sobie, że będzie mogła jednocześnie pracować i studiować.

Świetnie — oświadczyła Anna. — Zamieszkaś u nas, zaczniesz studia, a o pracy pogadamy. Jędręk idzie na rok do wojska, jego pokój będzie pusty, zajmiesz go. Opiekujemy się siostrzeńcami mego męża, ale oni tylko stołują się u nas. Znakomicie zrobiłaś, że przyjechałaś. Wieczorem zejdą się wszyscy...

Nareszcie mam dziewczynkę w domu! — myślała.

Chłopcy leżeli na świrdżańskiej plaży. Lipcowe słońce paliło, drzewa rzucały na zielonkawą, migocącą powierzchnię wody brunatne cienie.

Władek mówił do brata:

Na pewno, kiedy wrócisz z wojska, znajdziesz w domu duże zmiany. Ojciec przestanie pracować...

Ojciec? Co ty pleciesz? Dlaczego? Przecież jest zdrow.

Jest zdrow, ale pójdzie na emeryturę.

Opowiadasz! Ile ojciec ma lat?

Pięćdziesiąt siedem.

To nie jest wiek na emeryturę.

Na pewno. Ale nowe władze magistratu nie darują ojcu jego przekonań.

Nic mu nie mogą zarzucić. Takich ludzi jak ojciec jest mało. Od dzieciństwa słyszę, że dla ojca tylko „biuro i pióro”.

Nie rozmawiasz z ojcem, to nie wiesz. Już kilka razy robiono próby, aby wynaleźć jakieś jego „przestępstwo”. Pewno nawet nie słyszałeś o „ aferze z depozytem”?

Czytałem w gazetach, że odkryli w sejfie jakieś stare medale.

No, właśnie. Sprawa naprawdę głupia. Ojciec mi opowiadał. Gdy w 20 roku robiona była zbiórka na wojsko, ludzie składali obok pieniędzy, złota i srebra jakieś w ich pojęciu wspaniałe dary: stare odznaczenia, medale i różne podobne bzdurki. Ten właśnie komitet nie wiedział, co z tym robić. Zrobiono z tego paczkę i oddano w depozyt ojcu...

Dlaczego ojcu?

Licho wie. Na opiekę społeczną daje się zawsze to, co najmniej wartościowe. Może ktoś wymyślił, że stare medale będzie się przypinało żebrakom? Depozyt leżał w sejfie od dwunastu lat. Nikt się o niego nie upomniał. Wszyscy o nim zapomnieli. Ktoś nagle rzecz wyniuchał i podniósł krzyk: „Skandal! W sejfie biura opieki społecznej zatajone bogactwa!” Gazety to podchwyciły i przez parę dni pisały

tym między wiadomościami o kupcu, który zarządził

lekkoatletce, która zmieniła płeć...

Przecież depozyt nie zginął.

Oczywiście sprawy z tego zrobić nie było można, to była przygrywka. Ojciec mówił, że domyśla się, iż c aby sam poprosił o zwolnienie. Także ma to być ostrz nie, aby zwolnił Smutnego. Znasz go?

Czy to ten facet w biurze ojca, który wygląda właśnie tak, jak się nazywa?

Tak. Są naciski na ojca, aby go zwolnił z pracy.

Co ten Smutny zbroił?

Podobno jest komunistą. Pytałem ojca, czy to prawda, ale mi powiedział, że nie interesuje się przekonaniem pracowników. Twierdzi natomiast, że to dobry pracownik...

Nagle urwał, zerwał się.

Znowu się piorą! Muszę lecieć.

Dwoje przyszywanych dzieci Anny, stojąc po pas w wodzie, wymyślało sobie i opryskiwało się wzajemnie. Jadzia nie spełniła marzeń ciotki. Miała naturę złośliwego chłopca, a nie słodkiej dziewczynki. Tęga, silna, była skłonna do kłótni, a nawet do bijatyki. Jędrka pozostawiała w spokoju, ale z Władkiem i Jurkiem wojowała całymi dniami. Jurek był słabszy w języku, więc mu potrafiła dokuczyć. Wtedy porywał się na nią z pięściami. Ale i w tym była groźna.

Kiedy dochodziło do awantury między nią a Jurkiem, Władek śpieszył z pomocą kuzynowi. Awantura często szła potem przed trybunał Anny. Gdy słuchała skarg, przypominały się czasy dzieciństwa, kiedy dokuczali jej bracia, zwłaszcza Witold i Hipolit. Ale sytuacja się zmieniła, bo atakującą stroną była dziewczyna — a w dodatku dziewczyna, którą wzięła do swego domu. „Dajcie spokój — mówiła. — Zachowujecie się jak małe dzieci. Nie chcę słuchać, o co poszło, nie chcę wiedzieć, co było. Proszę, niech każde zajmie się swoimi sprawami i drugiemu nie wchodzi w drogę. Władek z Jurkiem niech wracają nad rzekę. A ty, Jadziu, może byś się trochę zajęła własną bielizną? Widzę, że się wszystko drze. Mogłabyś pozaszywać, pocerować...”

Anna nie zrezygnowała ze starań opiekuńczych, chociaż Jadzia sprawiała jej zawód na każdym kroku. Nie, to nie była córeczka-przyjaciółka, o jakiej marzyła! Dziewczyna była nieporządna, rozrzuciła swoje rzeczy po wszystkich katach, nie miała zamiłowania do żadnej domowej roboty. Mogła natomiast czytać całymi dniami, leżąc ku zgrozie Anny na nie zaściętym łóżku i brudząc pościel butami. To prawda, że zgromiona przez Annę, wysłuchiwała bez słowa, ze spuszczoną głową jej nagany. Przyobiecowała poprawę — ale do swego postępowania wracała na nowo. Innym na byle uwagę odpowiadała ostro i nierzadko ordynarnie.

Najbardziej bolało Annę, że złamała domowe tabu. Uwrażliwiona i szczególnie drażliwa na punkcie tytoniowego dymu Anna odkryła pewnego dnia, że ktoś w domu pali. Nie palił Aleksander, nie palili chłopcy. A jednak czuło się dym. Już zaczęła podejrzewać, że palącą jest nowa służąca. Tymczasem okazało się, że pali Jadzia.

Nienawidziła palenia, a już szczególnie brzydziło ją, gdy paliły kobiety. Mimo to po swojemu tłumaczyła sobie, że przecież Hipolit palił, matka Jadzi także paliła, więc trudno się dziwić, że dziewczyna pali. „Skoro musisz palić — powiedziała z rezygnacją — oczywiście pal... Ale proszę, dbaj o wietrzenie pokoju. I błagam cię: nie zostawiaj niedopałków...” Mimo zezwolenia Jadzia nie paliła nigdy inaczej jak tylko w swoim pokoju.

A w ogóle była dziwną dziewczyną. Kiedyś Anna zauważyła, że Jadzia kuleje. Okazało się, że ma skaleczoną stopę, a nie opatrzona ranka rozjadła się. Anna sama zajęła się nogą. Zrobiła opatrunek. Pytała:

Dlaczego z tym od razu do mnie nie przyszedł? W taki sposób można doprowadzić do zakażenia.

E, ciociu, nic nie będzie. A ja lubię, jak mnie co boli.

Lubisz?

Tak. Jak człowieka boli, może wypróbować siebie, do czego jest zdolny...

Innym razem Anna spostrzegła, że Jadzia je chleb bez masła.

Dlaczego nie posmarujesz? — pytała.

Chcę zobaczyć, ciociu, czy potrafię żyć przez tydzień tylko suchym chlebem...

To „próbowanie siebie” nie było dla Anny cechą niesympatyczną. Anna nieraz w życiu potrafiła się wyrzekać dobrowolnie rozmaitych rzeczy. Ale robiła to jako wyrzeczenie dla Boga, w imię jakiejś sprawy. Była przekonana, że nie potrafi się należycie modlić. Nie umiała się skupić. Odmawianie różańca było dla niej czymś bardzo trudnym. Także nie przychodziła jej łatwo spowiedź. Najprostsze dla mnie — myślała nieraz — byłoby służyć Bogu jak ewangeliczna Marta. Jezus przełożył czujność Marii nad troskę Marty, lecz służenia nie odrzucił. Nie umiem mówić do Niego. Ale gdy się czegoś dla Niego wyrzekam — to tak jakbym mówiła...

Ale Jadzia nie była osobą religijną. Co niedziela chodziła wprawdzie razem z Anną do kościoła, jednak Anna nie widziała jej nigdy w domu modlącej się. Czytała książki, które swoimi tytułami niepokoiły nieraz Annę.

Aleksander powiedział kiedyś:

Wiesz, Anusiu, ta twoja siostrzenica to bardzo dziwne dziecko. Ani to dziewczyna, ani chłopiec. Dotknąć ją to tak jakby się dotknęło jeża...

Ona jest rzeczywiście jeżem — odpowiedziała. — Myślę, że było jej źle w życiu i dlatego wyrosły jej kolce. Nienormalna matka musiała także na nią wpłynąć. Ale ja myślę, że jeżeli potrafimy być dla niej bardzo serdeczni, stanie się bardziej otwarta. Ja się staram, jak mogę. I ty, proszę, bądź dla niej dobry...

Znasz mnie przecież wiesz, że nie zrobiłem nikomu w życiu krzywdy.

Zrób więcej. Przemóż się, staraj się nie dostrzegać tego co cię drażni.

Dla ciebie, Anusiu, zawsze...

W listopadzie Jędrzek został zawiadomiony, że ojciec opuszcza swoje stanowisko i przechodzi na emeryturę. Ze względu na długie lata pracy odbędzie się w biurze uroczyste pożegnanie, w którym będzie uczestniczyła cała rodzina.

Aby otrzymać prawo wyjazdu do Warszawy, musiał się zgłosić do raportu do dowódcy szwadronu z prośbą o urlop. Raport — to była cała ceremonia. Stawało się do niego w pełnym oporządzeniu. Mundur, buty, ostrogi musiały być wypucowane. Ułanów z cenzusem mających stanąć do raportu podoficerowie już na pół godziny przedtem ustawiał się na korytarzu. Kontrolowano wygląd,

ogolenie, każdy drobiazg. Szef pouczał każdego, jak ma o swojej sprawie mówić. Należało mówić krótko i bardzo głośno.

Potem padła komenda: „Baczność!” Czekający na raport sprężyli się i zamarli w bezruchu. Powolnym krokiem wszedł na korytarz dowódca szwadronu. Był to wysoki, chudy major. Zatrzymywał się przed każdym ułanem z cenzusem i przez chwilę przyglądał mu się świdrującym spojrzeniem.

Wysłuchawszy meldunku Jędrka zapytał:

Ile potrzebujecie tego urlopu?

Tyle, ile pan major uzna za stosowne wyznaczyć — wykrzyczał Jędrak formułę podsuniętą mu przez życzliwego dla niego szefa.

Dobrze. Udzielam wam dwudniowego urlopu. — Przeszedł do następnego petenta, ale się jeszcze cofnął: — Trzeci dzień, szefie, na podróż — powiedział wskazując Jędrka.

Po odejściu majora wachmistrz szef odwiedził roztracającego się z rynsztunku Jędrka.

Dobrze wam poradziłem, Rogowski, no nie? Mówię wam, siedem lat znam majora, ale pierwszy raz widziałem, aby komuś dorzucił dzień urlopu. Miałem nosa, a wyście to dobrze zrobili. On nie tylko dał wam urlop, ale was zapamięta. Dobrze mówię? — zwrócił się do innych podoficerów, którzy zjawili się także, aby obejrzeć bohatera nie znanego w annałach grudziądzkiej szkoły wydarzenia. — No, to jak macie, Rogowski, urlop, zbierajcie się — poklepał taskawie Jędrka po ramieniu. — Nie traćcie czasu.

Jędrak zjawił się w Warszawie w rogatywce włożonej na bakier i w płaszczu ułańskim, sięgającym pięt. Ciężka szabla, na której francuski fabrykant wybił niebagatelną datę: 1865 rok — pałętała mu się u boku i dzwoniła za każdym trąceniem o szklenki. Dom powitał krzykiem jego ogoloną głowę i marsowy wygląd. Jadzia, Władek i Jurek wydzielali sobie szablę. Wymachiwali nią tak długo, aż wreszcie rozbili klosz od lampy.

Pożegnanie naczelnika odbyło się uroczyście w biurze. Zebrał się tłum ludzi, wygłaszane były mowy, zakonnice z zakładów opiekuńczych przyprowadziły dzieci, które śpiewały i mówiły wierszyki. Było dużo kwiatów, haftowanych serwetek. Jędrak w mundurze z szablą u boku zwracał uwagę wszystkich. Złotowłosa pani Jaskólska oświadczyła, że wygląda teraz „jak prawdziwy mężczyzna” i że romantycznie pachnie „koźmi i wiatrem” — co natychmiast Władek z Jurkiem przerobili na powiedzenie, że Jędrak pachnie „końskim wiatrem”.

Dalsza część uroczystości odbywała się na Chłodnej. Było dużo tortów i ciastek, atmosfera zrobiła się jeszcze serdeczniejsza. Salezjanie przyprowadzili orkiestrę chłopców zakładowych, która zagrała z takim ogniem, że mało szyby w mieszkaniu nie po wylatywały. Rogowski był wzruszony.

Mówiłeś, że ojca spławili — powiedział Jędrak do Władka. — A tymczasem zrobiono mu huczną uroczystość.

Stypę też można zrobić huczną. Władze wiedzą, jaką opinią cieszy się ojciec wśród ludzi, więc nie sprzeciwiły temu wszystkiemu, ale z hukiem czy bez huku — ojciec został spławiony.

Do chłopców podszedł pan Smutny i bez słowa uściśnął ich dłonie.

Ten wie najlepiej, co teraz czeka tych, których ojciec osłaniał — rzekł Władek.

Może ojciec w takim razie zrobił niesłusznie ulegając presji i zgadzając się przejście przed czasem na emeryturę.

Myślę, że zrobił słusznie. Walka trwałaby dalej, i nikt nie wie, czym by się w końcu skończyła. A poza tym ojciec obawiał się o ciebie... Wyjdiesz z wojska, zaczniesz pracować. Nie będzie ci łatwo. Twoje konto za czas studencki jest mocno obciążone. Ojciec nie chce obciążać cię jeszcze swoim.

A twoje konto jak wygląda?

Mnie polityka nie interesuje. Wolę zajmować się autami, samolotami.

Wieczorem przy kolacji Jędrrek przekonał się, że Władek miał rację. Radosne podniecenie wywołane uroczystością i serdecznością dawnych współpracowników minęło. Ojciec siedział przy stole smutny i przygnębiony. Teraz Jędrrek mógł się przekonać, jak bardzo się zmienił. Schudł. Jego dawniej gruba szyja tkwiła teraz luźno w sztywnym kołnierzyku z wygiętymi rogami.

Ponieważ Jadzia zajmowała pokój Jędrka, Anna posłała synowi na kanapie w stołowym.

Nie masz żalu, że cię tutaj kładę? — pytała. — Ale nie chcę Jadzi ruszać.

Ależ nie, mam, nie. Będę na pewno spał bardzo mocno. W wojsku mam trochę za mało snu.

Jak ci idzie?

Dobrze. Trochę miałem na początku kłopotu z jazdą konną. Ja przecież prawie nigdy przedtem nie siedziałem na koniu. Dali mi ogromnego wierzchowca. Ale już teraz wszystko dobrze.

Nie „cukają” was zanadto?

Można wytrzymać. A co tutaj? Tatuś schudł.

To prawda. Przejmuje się.

Jak Jadzia mnie zastępuje?

Ciebie nie może nikt zastąpić. Jadzia uczy się, chodzi na odczyty, dużo czyta...

Ciągle wojują z Jurkiem?

Może trochę mniej...

Czy to prawda, że ciotka Katarzyna choruje?

Rzeczywiście. To bardzo przykra sprawa. Rozwinęła się w niej gruźlica kości w nodze. Nie może stać, siostry szarytki postanowiły ją przenieść do zakładu dla nieuleczalnie chorych zakonnicek. Ale ona sprzeciwia się temu...

I co będzie?

Nie wiem jeszcze. Może wystąpi z zakonu? U szarytek to można zrobić; u nich składa się śluby tylko na określoną liczbę lat.

Z czego będzie żyła?

Wuj Romuald zapewnił, że zajmie się tą sprawą. No, śpij. Widzę, że ci się oczy same zamykają.

Przez następny dzień Jędrzek wypoczywał. Nie wychodził na miasto, gdyż chęć do spaceru odbierała konieczność ciągłego salutowania i uważania, aby się wobec jakiegoś starszego rangą nie zagapić. Trzeciego dnia Władek i Jadzia odprowadzili go na dworzec. Tu także trzeba było uważać. Mimo czujności nie oddał w czas honorów jakiemuś oficerowi-piechocińcowi i został przez niego obsztorcowany.

Kiedy jesteście w publicznym miejscu, nie zajmujcie się panienką, ale uważajcie. Zrozumieliście? — usłyszał.

Potem przypętał się patrol żandarmerii. Jego dowódca, kapral, długo i podejrzliwie odczytywał przepustkę Jędrka.

Popsuło to Jędrkowi humor. Uspokoił się dopiero, gdy pociąg ruszył.

Wylądował wieczorem w koszarach. Choć było późno, w sypialni koledzy jeszcze nie spali. Wydawali się podnieceni.

W samą porę wracasz — oświadczył starszy izby, Fuglewicz.

Stało się coś?

Jeszcze nie, ale coś się chyba stanie. Rozdali ostrą amunicję.

Czyżby wojna? W Warszawie nic się o żadnej wojnie nie mówi.

Cywilie dowiadują się o takich sprawach na ostatku. Coś się jednak gotuje. Dali po trzy łódki ostrej amunicji i polecieli włożyć do ostatniej ładownicy z lewej strony. Pod wielką odpowiedzialnością nie wolno wyjmować bez rozkazu. Wyfasowałem także dla ciebie. Masz.

Trzy łódki nie wejdą do ładownicy.

Wejdą, jak przetniesz pasek dzielący ładownicę. Jest rozkaz, aby tak zrobić. Szef kpił, że pójdziemy na Gdańsk. Ale może nie kpił...?

Jędrzek włożył amunicję do ładownicy, a potem wyciągnął się na swym sienniku, złożony w pierw mundur w przepisową „kostkę”.

— Bardzo chętnie rozprawiłbym się z Niemcami — perorował w ciemnej już sypialni jeden z najmłodszych, ale i najhulaśliwszych jej mieszkańców, czarnooki Krzysztofowicz. — Straszna mam ochotę trochę powojować. Co wy na to? To by była świetna zabawa...

W czerwcu cała Szkoła Podchorążych znajdowała się na ćwiczeniach w obozie wojskowym w Biedrusku koło Poznania. Tego dnia odbywała się wielka gra wojskowa. Drugi szwadron szkolny posuwał się jako straż przednia większej jednostki nacierającej w kierunku zachodnim. Drugi pluton został wypchnięty w bok na rozpoznanie.

Jechali przez piękne liściaste laski wielkopolskie, pełne świeżej, jaskrawej zieleni. Drogi tutejsze były starannie utrzymane, mijane wsie i osady odznaczały się czystością i porządkiem. Ludność miejscowa przyzwyczajona do ćwiczeń uśmiechała się życzliwie do żołnierzy. Gdy patrol zatrzymywał się, aby wypytać o drogę, udzielano chętnie wyjaśnień. Kobiety wynosiły zaraz garnuszki z kawą i częstowały ułanów.

Pijcie, pijcie, panowie — zapraszały. — Dobrze jest napić się w taki skwar, no ni?

A jak nas pobiją — pytał Bolek Jaruzelski — to i tamtym dacie kawy?

Pewno, że damy. Co byśmy nie miały dać — odpowiadały ze śmiechem. — Czy to panowie lepsi?

Manewry były emocjonujące, pogoda prześliczna, upalna, czas leciał szybko, ułani z cenzusem czuli się już podchorążymi. W sypialniach wieczorami dyskutowano o pułkach, do których mieli być przydzielani. Były pułki sławne, z wielką tradycją, o których marzono, były inne, które miały opinię prowincjonalnych, nieciekawych, surowo traktujących podchorążych rezerwy. Podśpiewywano pułkowe żurawiejki.

Pluton zatrzymał się na skraju lasu. W oddali wśród drzew i bujnej zieleni widać było budynek z wieżyczką, przypominający pałacyk.

Dowódcą plutonu był mały, drobny porucznik, bardzo nerwowy. Ćwiczenia wprawiały go w stan podniecenia. Chorobliwie ambitny, nie mógł znieść nawet myśli o jakimi błędzie w dowodzeniu. Przywołał swego zastępcę.

Wachmistrzu — wydał rozkaz — weźcie sekcję i pojedźcie na rozpoznanie tych budynków. Zobaczcie także, co- tam za nimi. Meldunki tutaj do mnie.

Wachmistrz Kuc był podoficerem, ale często brano go za oficera. Przystojny, postawny, zawsze starannie ubrany. Wyróżniał się poprawnie, dużo czytał i nieraz lubił ze swymi wychowankami na temat przeczytanych książek porozmawiać. Jako chłopiec zakosztował wojny, posiadał więc prawdziwe doświadczenie bojowe.

Pierwsza sekcja za mną — rzucił.

Pierwsza sekcja to było sześciu ułanów z cenzusem na najwyższych koniach. Pierwszą trójkę stanowiły trzy wielkie wałachy: Jordan, Mortimer i Rój. Na tym ostatnim jeździł Jędrrek. Przynależność do pierwszej trójki skazywała na wożenie lanc. Była to broń potężnie niewygodna. Żelazna rura zakończona była ostrym szpicem. U dołu lancy przymocowana była pętla do zakładania na prawą stopę, w połowie- długości inna pętla, większa, którą zarzucało się na ramię podczas jazdy stępa. Ale w kłusie i w galopie trzeba było lancę odczepić od ramienia i od nogi i trzymać w dłoni opartej o udo. Przy skokach koń uderzał szyją o lancę, rozdrażniony uderzeniem zaczynał się miotać, ostrze zaczynało niebezpiecznie krążyć koło głowy sąsiada w szeregu.

Wachmistrz prowadził sekcję zręcznie od kępy do kępy drzew. Przecięli drogę. Na słupku wisiał napis miejscowości: Chłudowo.

W tym miejscu wachmistrz rozdzielił swoich.

Wy — polecił — objeździecie park i pałac z lewej strony. Tam dalej zaczyna się wieś. Ale do niej nie wjeżdżajcie, tylko poobserwujcie. Rozumiecie? Ja z Rogowskim i Rozmiarkiem pojedę z prawej. Spotkamy się po tamtej stronie przy bramie. Gdybyście natknęli się na nieprzyjaciela, dajcie ostrzeżenie strzałami i odskakujcie. Jasne?

Jak słońce, panie wachmistrzu.

Żeby was to słońce nie oślepiło. Oczy miejcie otwarte. Żadnych papierosów, żadnego wskakiwania do sklepów. Nie- pokazywać się bez potrzeby. No, jazda, jazda!

Grupy rozjechały się w dwie strony.

Brać udział w ćwiczeniach razem z wachmistrem Kucem było przyjemnością. Zresztą wszyscy podoficerowie szkoły wciągali się chętnie w udaną wojnę i traktowali ją niesłychanie serio. Ale wachmistrz Kuc — może dzięki czytanim tak chętnie książkom — umiał rozwijać niezwykłą inicjatywę i zaskakiwać prawdziwie kawaleryjskimi pomysłami. Pomagała mu w tym znajomość terenu. Przyjeżdżając tu corocznie i znał doskonale okolice. Gdy zaczęli objeżdżać duży staw okolony płaczącymi wierzbami, powiedział:

Żebyście wiedzieli, jakie tu ryby. Łowią je w każdy czwartek... — Popatrzył na Jędrka, przymrużył kpiąco oko.

Wy, Rogowski, oczywiście wiecie, kto tutaj w Chłudowi mieszka? — zapytał.

Jeśli nawet zdarzało się rozmawiać Jędrkowi z wachmistrem, to ten temat nie był nigdy poruszany. Ale wachmistrz miał widać swoje sposoby poznawania wychowanków

Wiem — powiedział.

I nie byliście tu nigdy?

Nigdy.

Myślałem, żeście przyjeżdżali. To pewno miło wam popatrzeć?

Owszem...

Słuchajcie, Rogowski. Jadę dalej z Rozmiarkiem drogą. Wy zajedźcie przed pałac i zapytajcie, czy nie widzieli „niebieskich”. Może wam kto powie. I rzućcie sobie okiem na dom. Potem nas dogonicie.

Jędrk skręcił w otwartą bramę. Pałac, a właściwie pałacyk, był niewielki, jednopiętrowy. W wysokim dachu tkwiły także okna. Z lewej strony wznosiła się mała wieżyczka. Z prawej nad parkiem wisiał rozległy taras. Do głównego wejścia prowadziły szerokie schody.

Objechał owalny trawnik i nieśmiało zbliżył się do domu. Ale nie widział nikogo. Z boku doleciał go dźwięk rąbanego drzewa. Zwrócił konia w tamtą stronę. Przy małej budce dwóch ludzi w koszulach z

zawiniętymi rękawami pracowało przy płataniu na szczapy grubego pnia. Jeden z nich był człowiekiem niemłodym o szpakowatych włosach. Drobny i niepokaźny rąbał przecież z zapalem i jakby z zawziętością. Drugi był młodym, tęgim mężczyzną, z bujnymi włosami.

Jędrak zatrzymał konia. Zajęci swą pracą, nawet go nie zauważyli. Powiedział:

Przepraszam panów...

Teraz dopiero oderwali się od roboty i podnieśli wzrok na niego. Rój kręcił się, nie chciał ustać na miejscu. Spokojny w szeregu, popadał w niepokój, gdy znajdował się sam. Gdyby mu Jędrak puścił wodze, pognałby jak szalony za końmi wachmistrza i Rozmiarka. Niełatwo było rozmawiać, walcząc z koniem i trzymając w ręku lancę.

Co możemy zrobić dla pana, panie podchorąży? — zapytał starszy z mężczyzn uśmiechając się. Miał wysuniętą do przodu brodę i siwy, po angielsku przystrzyżony, wąsik.

Chciałem się zapytać, czy tu nie było dzisiaj jakichś, żołnierzy...?

Pewno waszych nieprzyjaciół? — głos starszego pana zabrzmiał kpiąco.

Tak...

A pan nie myśli, panie podchorąży, że my możemy być sercem właśnie z tamtymi? Może jesteśmy waszymi przeciwnikami?

Rój, trzymany za pysk, zaczął się cofać. Wygiął grzbiet,, spuścił głowę, wydał żalosne rżenie. Gdy go Jędrak mocno» przysiadł, koń próbował stanąć dęba. Czapka zsunęła się Jędrkowi na oczy, pot spływał po policzkach.

To są manewry... — bąknął.

Manewry muszą pozorować prawdziwą wojnę. Musi. pan się liczyć, że na wojnie nie każdy będzie chciał panu prawdziwie odpowiedzieć. Bywało rozmaicie... Ale nie — uśmiechnął się — nie było tu dotąd nikogo. Teraz jednak — podniósł ostrzegawczo palce — wydaje mi się, że ktoś chce panu odciąć drogę odwrotu...

Jędrak obejrzał się szybko. W bramę wchodzili jacyś piechurzy. Prowadzący ich podoficer wyciągniętą ręką wskazywał na Jędrka. Jednocześnie gdzieś niedaleko na drodze huknęło kilka strzałów. Niech pan zmyka przez gospodarstwo — mężczyzna wskazał Jędrkowi kierunek. Coś jeszcze mówił, ale Jędrak: nie usłyszał. Rój, wypuszczony w galop, pomknął jak szalony. Od bramy z tyłu posypały się strzały. Jędrak schylony nad końskim karkiem rwał jak wicher między zabudowaniami. Wypadł na boczną drogę. Rozejrzał się. Z prawej strony zobaczył na drodze sylwetki pieszych żołnierzy. Strzelali do niego. Rój potraktował strzały z pustaków na serio i nie- czekając na decyzję jeźdźca rzucił się w lewo. Podkarmiony w ciągu ostatnich tygodni przez Jędrka, był zachwycony mogąc gnać wyciągniętym cwałem. Ale Jędrak był przerażony. Co będzie, myślał, jeśli na drodze spotka nieprzyjaciół? Dać się złapać — i to jeszcze piechocińcom — uchodziło za hańbę. Wachmistrz z dumą opowiadał, że w jego plutonie jeszcze nigdy żaden ułan z cenzusem nie dostał się na manewrach do niewoli. Droga, którą pędził, skręcała. Gdy wyskoczył spoza zakrętu, zobaczył rzeczywiście przeciwników. Przytrzymał konia, aż ten stanął dęba. Z boku był rów z wodą, dalej łąka. Mogła być

podmokła. Ale Jędrrek nie miał wyboru. Także skok na koniu pod stoczonym siodłem z lancą w rękę można było uważać za ryzyko. Wszystko jednak wydawało się lepsze niż dostanie się w ręce tamtych. Piechurzy już biegli ku niemu. Na szczęście strzelali. To budziło Roja. Nawet się nie rozpędzając, bo nie miał gdzie skoczyć. Szabla, lanca, karabin, maska, łopatka u boku wszystko to zadzwoniło, gdy koń kopytami zaczepił o przeciwległy brzeg rowu. Potknął się — Jędrrek był pewny, padnie, a on wraz z całym majdanem przeleci mu przez łeb. Ale Rój poderwał się. Kopyta zaczęły się zaplątać na mokrej łące. W dwóch czy trzech susach koń znalazł pod nogami twardą ziemię. Pognał i po chwili znalazł się wśród gęstych zarośli. Jędrrek był ocalony. Zorientował się zaraz, gdzie jest miejsce zbiórki. Gdy podjechał, zobaczył kolegów i wachmistrza.

No, Rogowski, dobrze że jesteście. Ale zgoniliście konia — czujne oko wachmistrza dostrzegło, że Rój pokryty jest pianą.

Nie byłbym uciekł, gdybym nie gnał. Zaszli mnie ze wszystkich stron...

Trzeba uciekać, ale i o konia trzeba dbać. Byliście na podwórzu?

Byłem.

Widzieliście kogoś?

Był tam jakiś starszy człowiek, który rąbał drzewo. To on powiedział mi, żebym uciekał przez gospodarstwo.

Jakiś drwał, co? — wachmistrz przymrużył drwiąco oczy i patrzył na Jędrka.

Czy ja wiem? Nie, nie wyglądał na drwala. Rozmawiałem z nim, kiedy piechocińce weszli w bramę...

A wy, Rogowski, nie wiecie, jak wygląda ten, co mieszka w Chłudowie, co?

Pan wachmistrz myśli, że...?

Nie myślę, wiem. Trzeba było patrzeć lepiej. Dałem wam okazję a wy, eh... Dobrze, że wam pokazał, jak uciekać. A teraz wracajmy do plutonu...

Po powrocie z Biedruska Szkoła Podchorążych skończyło się. Jędrrek nie bez zdumienia przekonał się, że otrzymał dość wysoką lokatę. Jeszcze bardziej był zaskoczony, gdy po odczytaniu przydziałów dowiedział się, że przeznaczono go do Mińska, do 7. Pułku Ułanów. Był to dowód uznania, gdyż do tego pułku wielu chciało się dostać. Ale był także powód do niepokoju.

Aleksander zaproponował Annie, aby w sierpniu udali się oboje na Jasną Górę. Zgodziła się na to z wielkim zapałem. Najchętniej odbyłaby pieszą pielgrzymkę — na co zawsze miała ochotę. Mimo pięćdziesięciu lat czuła się zdolna do takiego wysiłku. Ale ze względu na męża można było myśleć tylko o podróży koleją.

Rogowski, po okresie oszołomienia wywołanego pozbawieniem go stanowiska, zaczął gwałtownie szukać dla siebie innej pracy. Bezczylnie spędzać czasu nie umiał, w domu nie wiedział, co ze sobą robić. Lata wytężonej działalności odczyły go korzystania z rozrywek, towarzystwa do pogawędek

nie miał, zresztą i rozmowy towarzyskie, jeśli się nie wiązały z działalnością, nie bawiły go. Wiele organizacji społecznych miało ochotę widzieć w swoim gronie człowieka znanego z umiejętności organizacyjnych, wielkiej pracowitości i o wielu znajomościach. Z pracą społeczną więc kłopotu nie było. Tylko że ta praca dochodu nie dawała, emerytura zaś była dużo mniejsza od pobieranej w magistracie pensji. Możliwości finansowe Rogowskich skurczyły się, nie można już było pomagać dzieciom siostry Aleksandra, jak pomagali poprzednio. Ale Gabriela tej zimy umarła. Wszystkie córki p: wychodziły już za mąż, synowie pracowali.

Pełen tak niedawno młodzieży dom opustoszał.

Przed wakacjami Jadzia oświadczyła nagle, że zdecydowała przenieść się ze studiami do Wilna. Jakaś daleka kuzynka matki chciała ją przyjąć do siebie. Nagła decyzja dziewczyny zaskoczyła Annę. W duchu robiła sobie wyrzuty, że widocznie nie okazała Jadzi dostatecznie dużo serca i opieki. Dziewczyna nie spełniła jej oczekiwań, nie stała się dla niej powiernicą i przyjaciółką, a nawet raziła ją swoim postępowaniem. Anna jednak myślała z niepokojem, że i samotna dziewczyna nie znalazła w niej matki. Ta kuzynka, do której miała wyjechać, była osobą całkowicie nie znaną. O rodzinie matki Jadzia wyrażała się poprzednio bardzo krytycznie.

Namyśl się jeszcze raz — prosiła dziewczynę. — U nas jest skromnie i może nie jest ci wygodnie, ale mam cię przynajmniej pod opieką...

- Wiem, ciociu, i bardzo jestem cioci wdzięczna za wszystko, co ciocia dla mnie zrobiła. Ale namyśliłam się już. Tak będzie dobrze. W Wilnie i pod Wilnem są kuzyni matki...

Jeśli koniecznie chcesz, spróbuj. Wolałabym cię mieć przy sobie. W każdym razie, gdyby ci się nie układało, wracaj. Zawsze masz u mnie miejsce.

Dziękuję cioci. Może wrócę...

Odjazd Jadzi to przynajmniej załatwił, że Jędrzek po powrocie z wojska miał możliwość odzyskania swego pokoju, zresztą w Warszawie był tylko kilka dni i zaraz pojechał Mińska, a potem razem z pułkiem na ćwiczenia gdzieś nad Bug. Zaskoczył Annę swoim wyglądem. Zmężniał, opalił, nabrał większej pewności siebie. Prawie z zachwytem patrzyła na chłopaka, gdy kręcił się po mieszkaniu, cienki jak osa w pasie, podzwaniając ostrogami przy eleganckich sztylpach, które musiano mu kupić, gdy szedł do pułku.

Władek pozostał nad Niemnem razem z Jurkiem i paczką przyjaciół. On lubił tamten kraj jego dzieciństwa. Nawiązała się sympatia między nim a Witoldem. Stary dziwak po przejściu na emeryturę mieszkał na stałe w domu na ulicy Św. Jakuba. Był popularny i lubiany. Miejscowi ludzie wybrali go burmistrzem. Spacerował po miasteczku w płóciennej czapce na głowie, z laską i z psem, wielkim wilkiem Marse i wszyscy kupcy żydowscy wychylali się ze swych sklepów, aby mu się ukłonić. Gdy przychodziło do jakiegoś reprezentacyjnego wystąpienia, Władek z Jurkiem szli z nim, niby zaufana garda de corps, pilnowali, by miał kwiaty, gdy trzeba było kogoś obdarować kwiatami, i aby miał rękawiczki, gdy uroczystość wymagała rękawiczek, których Witold nie znosił.

Zostawiwszy chłopców Anna wróciła po tygodniu zaledwie pobytu nad Niemnem do Warszawy. Czuła, że w obecnym stanie nie może zostawić Aleksandra samotnego w pustym mieszkaniu.

Sierpień był gorący i słoneczny. Rogowscy pojechali do Częstochowy zatłoczonym pociągiem. Anna siedząc przy oknie patrzyła tęsknym spojrzeniem po przesuwających się za oknami widokach. Żniwa były w całej pełni. Na polach widać było gromady ludzi. Błyskały kosy w rękach kosiarzy, zgięte w pół kobiety podbierały zboże i wiązały w snopki. Drogami ciągnęły wozy załadowane wysoko. Tak bardzo kochała te widoki, tak chętnie wzięłaby udział w sprzątaniu zboża. Jeśli zawsze ciągnęła ją wieś, to teraz, gdy poczuła na sobie pierwszy cień starości, to przyciąganie stało się niezwykle silne. Wyjechać, wyjechać spomiędzy murów! Ale wiedziała, że to już jest niemożliwe, że jest na zawsze przypisana do miasta.

Słońce kładło na ścierniska swe promienie barwy pomarańczowej, już nasiąkniętej złotem jesieni. To znowu nastrajało Annę melancholijnie. Zima budziła w niej zawsze niezrozumiały niepokój. Jej życie, dawniej proste i pełne realizmu, stawać się poczęło ostatnio pełne przeczuć, snów, nastrojów... Dawne, umarłe sprawy spletały się w jej myślach z dniem dzisiejszym i z tym, co miało nadejść...

Kiedyś powiedziała jej matka — już wtedy była kobietą starą, zmęczoną chorobą ojca: „Zaczynam mieć uczucie, jakby moje życie było bardziej z tymi, którzy odeszli...” Anna zaniepokojona wzięła matkę za rękę. — „Mamo — powiedziała — czy może źle się czujesz...?” Miniewiczowa pogładziła ją pieszczotliwie po ramieniu: „Nie bój się duszko. To nie znaczy wcale, że niedługo umrę. To znaczy tylko, że tam więcej jest ludzi, którzy nas kochają; ich myśli o nas są silniejsze niż myśli żyjących”.

Nie była dotąd nigdy na Jasnej Górze. Przed wojną Miniewicz rokrocznie jeździł do Wilna, by pomodlić się w Ostrej Bramie. Kiedyś — była jeszcze wtedy dziewczynką — zabrał Annę. Anna była wstrząśnięta, gdy w maleńkiej kaplicy znalazła się tuż, tuż przy obrazie. Gdyby wyciągnęła rękę, mogła być dotknąć złotych blach. Później kiedyś była tam sama. Po ślubie powstał projekt pojechania razem z Aleksandrem do Częstochowy, po błogosławieństwo Matki Bożej. Już nie pamiętała, co sprawiło, że do tego wyjazdu nie doszło. Niedługo przyszła wojna i rzecz się odłożyła. Wyrzucała to sobie często. Gorący kult dla Matki Bożej zaszczepliła Annie matka. Nad jej łóżkiem wisiał zawsze obraz Matki Bożej Bolesnej z kościoła Św. Marcina na Pivnej. Maryja stała z mieczem wbitym w pierś, z policzkami, na których lży rozpinały się niby żabie łapki. Otaczało Ją czterech aniołów, także zapłakanych, każdy z jakimś instrumentem kaźni Jezusa w ręku. Gdy matka umarła, Anna poprosiła Romualda o ten obraz i dostała go. Wisiał teraz nad jej łóżkiem, a ona co wieczór klękała przed nim. Czasami myślała: modlitwy mamy i moje spotykają się tutaj. Dawniej rzadko zdarzały się jej wyraziste sny. Ale ostatnio śniła często i to tak wyraźnie, że obudziwszy się, długo nie mogła wyzwolić się od wrażenia wywołanego przez sen. Niedawno śniła jej się, że jechała pociągiem z rodzicami i rodzeństwem. Pociąg zatrzymywał się na stacjach. Przez okno widziała brzydkie, szare stacyjki, na których stali jacyś ludzie. Nikt nie wsiadał. Natomiast na jednej z takich stacji wysiadła matka. Wysiadając ogarnęła ramieniem Annę. Annie zdawało się przez kilka dni, że czuje ten uścisk. Potem wysiadł ojciec. Kolejno wysiadali Romuald, Witold, Hipolit, Katarzyna, Michał, Paweł... Została w pustym wagonie sama. Pociąg jechał dalej. Znowu były stacje, nieznane budynki. Był w niej rozpaczliwy smutek, że odjeżdża tak daleko od swoich. Zdobyła się na ogromny wysiłek, aby z panować nad swym żalem. Pociąg jechał dalej. Toczył się przez las, czarny, spalony, bo z okna widać było tylko kikuty drzew pozbawionych igieł i liści. Jechał przez stacje puste o wypalonych oknach. Nie zatrzymywał się na nich. Ale w końcu stanął. Było puste pole. Ktoś otworzył drzwi wagonu. Po schodkach wspinało się dziecko... Czy mam wysiąść? — zapytała. Nikt jej nie odpowiedział. Obudziła się.

Nikommu nie opowiedziała o tym śnie, ale ciągle wraca do niego myślą. Czy coś znaczył? Czy coś zapowiadał? Sen o jeździe przez spalony, żarzący się jeszcze las, powtarzał się kilka razy. Śnił jej się także Jędrzek. Zawsze tragicznie, raz tonął, innym razem wylatywał z okna. Kiedyś przyśnił się jej Aleksander. Był wynędzniały, wychudły, wyciągał rękę, prosił ją o chleb. A ona wiedziała, że tego chleba nie ma...

Narastało w niej nieokreślone przekonanie, że coś strasznego zbliża się, że nieznane niebezpieczeństwo zawisnie nad wszystkimi, których kocha.

Wreszcie zajechali na dworzec częstochowski. Z pociągu wysypał się cały tłum. Ludzie zbierali się w gromady. Przeważnie każdej przewodniczył ksiądz. Wyciągano z wagonów chorych na wózkach i fotelach. Każda gromada, zebrawszy się, wychodziła na miasto. Nierzadko od razu zaczynała śpiewać.

Aleksander przed dworcem zaczął się rozglądać za dorożką, ale Anna sprzeciwiła się temu. Uznała, że chociaż ten kawałek powinni przejść piechotą. Opuściwszy dworzec znaleźli się w wysadzanej drzewami alei. Przed nimi wysoko na górze widać było klasztor. Strzelał wieżę w zachodzące mgiełką wczesnego wieczoru pogodne niebo. Mijały ich śpiewające gromady pielgrzymów.

Droga, choć niedaleka, okazała się męcząca. Walizkę nieśli do spótki. Przyłączyli się do jakiejś gromady. Otaczały ich szlochające kobiety, stękające i ciągnące fałszywie maryjne pieśń. Czasami nad jazgocące głosy kobiet wybijały się grube, podobne do grzmotu, głosy mężczyzn. Od chust i grubych kurt, w które mimo sierpnia pielgrzymi byli poubierani ciągnęło wonią zatęchłego potu. Gdy weszli na drogę prowadzącą pod górę, jedne pielgrzymki dochodziły drugich i zrobiło się ciasno.

Nigdy dotychczas nie brała udziału w takiej masowej manifestacji. Nie znosiła tłumy, nie lubiła procesji. Postępowanie między przepychającymi się ludźmi uniemożliwiało jej modlitwę. Wołała stać z boku. Najchętniej chodziła na ciche msze, w których uczestniczyło tylko kilka osób.

Potem znaleźli się na rozległym placu u stóp murów. Na zbierającą się tutaj cizbę padał wielki cień klasztoru. Pielgrzymki przedzierały się teraz przez targowisko rozłożone pod bramą.

Wysunęli się z tłumy, by skierować się w ulicę Św. Barbary. Zaraz na jej początku znajdował się dom zakonny znajomych sióstr, w którym mieli przyobiecana kwatery.

Siostry zajmowały się dziećmi upośledzonymi. Anna stojąc w oknie oddanego im pokoiku patrzyła na podwórze, na którym bawiły się dzieci. Były bez nóg, bez rąk, z ciałami okrutnie powyłamany. Był to widok przerażający. Na ławeczce naprzeciwko okna siedział chłopiec o główce dziwnie skręconej. Aby patrzeć na towarzyszy, musiał obracać całe ciało. Jego buzia była otwarta jakby w nieustannym krzyku. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Przeleciało jej przez głowę: twoje dzieci są zdrowe... A gdyby Bóg zażądał od ciebie tego? Odeszła od okna, aby w ten sposób uciec od konieczności dania odpowiedzi. Ale pytanie szło za nią. Nie mogła o nim zapomnieć.

Był już zupełny zmierzch, gdy poszli do kaplicy, aby uczestniczyć w wieczornym odświeżeniu obrazu. Siostry uprosiły białych zakonników, aby wpuścili Rogowskich do przestrzeni zamkniętej kratą. Stali teraz — tuż przed ołtarzem — wstuchani w dźwięki odgrywanej na balkonie fanfary. Srebrna zastona podnosiła się powoli odkrywając ciemną twarz Maryi. Spojrzenie wąskich oczu spoczęło na twarzy Anny.

To było uczucie nieodparte, że Maryja patrzy na nią, tylko na nią. Sprawiało, że Anna nagle zapomniała o ciszącym się w kaplicy tłumie. Zrodziło się w niej dziwne przekonanie, że znalazła się na umówionym spotkaniu i że była tu oczekiwana. Obudziła się w niej radość, ale także zawstydzenie i jakby lęk.

Wzrok Maryi spoczywał ciągle na niej, ciągle tylko na niej. A jednak nic nie mówił. Zdawał się czekać, aż Anna zacznie pierwsza. Więc zaczęła w duchu, gorączkowo: „Matko, przyszliśmy do Ciebie, by Ci podziękować za wszystkie lata. Pomagałaś nam zawsze i pomogłaś przeżyć. Tyle razy ocaliłaś od niebezpieczeństwa. To Ty sprawiłaś, że pozostaliśmy wierni Bogu. Przeszliśmy bezpiecznie obok tylu spraw, które mogły być dla nas śmiertelną pokusą. Nasza miłość nie była wielką oszałamiającą radością. Ale była miłością. Myślę, że to Ty ją zesłałaś. Doczekaliśmy się synów. Boimy się o nich i powierzamy ich Twojej opiece. Strzeż ich tak, jak nas strzegłaś. Daj im także dobrą miłość, której wartość dostrzega człowiek na końcu... Stanęliśmy na progu starości. My sami już niewiele będziemy im mogli pomóc. Bądź, proszę, z nimi. My nie czekamy już na nic...”

Urwała — choć nie doszło do niej ani słowo, ani potwierdzający błysk spojrzenia. Maryja patrzyła jakby ciągle czekająca. Czy Anna naprawdę miała słuszność, gdy powiedziała, że już na nic nie czekają? Czy człowiekowi wolno tak powiedzieć?

Znowu wróciło wspomnienie tamtej nocy nad Niemnem. Wtedy powiedziała o oddaniu wszystkiego w ręce Boga. Było w niej wówczas pragnienie dobijania się czegoś, co wydawało się szczęściem — a jednocześnie była świadomość, że dobijanie się o coś, co nie jest dla niej, byłoby tylko złudzeniem szczęścia... Nie wystarczyło jej zwykłe złożenie broni. Porywczco powiedziała coś bardzo wielkiego czując, że tylko czymś bardzo wielkim zagłuszy wołanie serca. I to miało w niej pozostać: jakby rękę, którą wyciągnęła, uchwyciła inna ręka i zatrzymała w uścisku...

Ksiądz przy ołtarzu zaczął odmawiać litanie. Tłum odpowiadał hałaśliwie. Łomot słów znowu zaczął rozpraszać myśli Anny. Z wielkim trudem skupiła je na nowo. Podjęła „Jesteśmy starzy, ale pragniemy przyjąć bez sprzeciwu wszystko, co nam zostanie zesłane. Mówię za siebie i mówię za niego, bo wiem, jaki jest. Kocham go. Dziś wiem, że go naprawdę kocham, że to nie była tylko ucieczka od samotności. Chciałabym zobaczyć szczęście moich synów. Ale Ty wiesz najlepiej, co będzie dobre dla nich, dla mego męża, dla mnie...”

Słowa litanii padały niby grad. Potem zrobiła się cisza, a w tej ciszy na nowo odezwała się fanfara. Srebrna zasłona przesłoniła na nowo obraz. Kaplica zapadła w mrok. Ludzie opuszczali kościół. Na dworze była już noc. Pielgrzymi rozchodzili się na swoje kwatery.

Widziałem, że tak się zamodliłaś, iż niczego wokoło siebie nie widziałaś — rzekł Aleksander. — Chciałbym móc tak się modlić — westchnął. — Mnie to nie wychodzi... — wyznał wstydliwie.

Myślę, Olesiu, że każdy ma inną zdolność do modlitwy. Ja też źle się modlę...

Ty? Im dłużej żyjemy razem...

Nie, nie, proszę cię. Nie opowiadaj. Mówię ci: każdy modli się po swojemu i chodzi tylko o to, aby się modlił dobrze po swojemu.

Przez chwilę szli w milczeniu: para starzejących się ludzi, coraz bardziej potrzebujących siebie.

Jędrrek wraca z wojska — podjął na nowo. — Boję się, czy nie będzie kłopotu z pracą dla niego.

Zawsze się czegoś boisz.

Taki już jestem, nic na to nie poradzę... Boję się szczególnie o niego. Władek był zawsze zdolniejszy i nie narażał się tak lekkomyślnie... Z pracą coraz trudniej. I sytuacja polityczna zaczyna wyglądać niepokojąco. Wprawdzie Niemcy, ustąpili, ale Hitler zdaje się kokietować... Na co on liczy? Nie podoba mi się ten człowiek...

Ćwiczenia pułku odbywały się nad Bugiem.

Jędrrek jechał do Mińska trochę zaniepokojony. 7. Pułk Ułanów był pułkiem o pięknej tradycji i wielu podchorążych chciało się do niego dostać. Mińsk leżał blisko Warszawy, a pułk należał do Brygady Warszawskiej, dowodzonej przez Wieniawę. Ale Jędrrek pamiętał, że to właśnie żołnierze tego pułku wzięli go do niewoli przed siedmiu laty.

Kiedy jednak znalazł się w koszarach położonych za miastem, naprzeciwko rozległego pola ćwiczeń, przekonał się, że ludzie, z którymi spotkania się obawiał, nie będą dla niego groźni. Tamten wachmistrz był obecnie chorążym. Był człowiekiem starym, dotkniętym nałogiem pijaństwa. Ponieważ w niedługim czasie miał iść na emeryturę, zatrudniono go w administracji pułkowej. Jędrrek spotkał go kiedyś podchmielonego. Chorąży go nie poznał, przywitał się z nim równie mile jak witał się z innymi podchorążymi przydzielonymi do pułku. Ani porucznika, który go wtedy odesłał do komendy, ani kaprała, który go odprowadzał, nie było już w pułku.

Natomiast dowódca pułku i obaj jego zastępcy okazali się oficerami sympatycznymi. Chociaż dowódca był dawnym oficerem legionowym, „sanacyjnej” atmosfery nie czuł. Jeden z zastępców pułkownika pisywał fachowe, wojskowe artykuły do „Kurier Warszawskiego” — co dowodziło faktycznej tolerancji.

Pułk spodobał się Jędrkowi. Zaraz w parę dni po przybyciu podchorążych pułk wyjechał na ćwiczenia. Oficerowie i podoficerowie traktowali Jędrka przyjaźnie, ułani okazywali mu sympatię. Wiadomo było, że po powrocie z ćwiczeń pułk wyruszy do Krakowa, gdzie w związku z 300-leciem wyprawy wiedeńskiej miała się odbyć na Błoniach wielka parada pułków kawaleryjskich. Nie było jeszcze wiadomo, czy podchorążowie pojedą z pułkiem do Krakowa, czy też wcześniej zostaną zwolnieni do cywila.

Dowódca szwadronu udzielił Jędrkowi pozwolenia, by w wolnych godzinach brał konia i jechał na spacer. Jędrrek korzystał chętnie z tego pozwolenia. Wierzchowiec, nosił nazwę Parys, był to wielki, ciężki, twardy w pysku, ale bardzo mocny kasztan z białymi chrapami i białymi pęciami.

Wsie nadbużańskie pełne były o tej porze letników i Jędrrek z dumą przejeżdżał kłusem lub skróconym galopem po drogach pełnych ciągnących nad rzekę kobiet, dziewczyn i dzieci. Któregoś sobotniego popołudnia, które miał wolne, wybrał się dość daleko. Dotarł do modnej letniskowej osady. Na wysokim brzegu wśród drzew i ogrodów stały domki i wille. W dół schodziła droga ku rozległej plaży, na której z daleka widać było barwne plamy kolorowych kostiumów kąpiących się ludzi.

Upał był tego dnia duży. Droga, którą przyjechał, pył i piaszczysta, nie zachęcała, aby nią wracać. Jędrkowi przyszło do głowy, że pewno jest jeszcze inna. Postanowił o nią zapytać.

Na skraju osady, za wysokim żywopłotem, widać było dach willi. Pchnął Parysa w stronę żywopłotu. Z góry mógł zobaczyć, że na trawniku w cieniu wielkiego kolorowego parasola siedzą naprzeciwko siebie w głębokich trzcinowych fotelach dwie kobiety. Choć podobieństwo nie rzucało się w oczy, musiały to być matka i córka. Starsza dama miała siwe, wpadające w fiolet włosy, starannie uczesane. Usta na zwiędłej twarzy zaznaczone były kredką. W ręku trzymała otwartą książkę. Młodsza wydała się Jędrkowi bardzo młodą dziewczyną, prawie dziewczynką. Miała na sobie lekki szlafroczek, rozchylony i odkrywający smukłe opalone ciało ubrane w biały kąpielowy kostium. Bose stopy opierała na stojącym przed nią krześle. Odrzuciła głowę, wsparła ją na uniesionej ręce, przymknęła oczy. Ciemnokasztanowate włosy opadły do tyłu. Coś mówiła. Wyglądała na leniwą uczennicę, zmuszoną do wydawania lekcji.

Bardzo panie przepraszam, że przeszkadzam — powiedział spoza płotu. — Ale chciałbym zapytać o drogę...

Obie równocześnie zwróciły głowy w jego stronę.

Pan o coś pyta? — rzekła starsza.

Tak, przepraszam, pytam o drogę... Muszę jechać do... — wymienił miejscowość, w której stał pułk.

Stoi pan właśnie na drodze, która prowadzi do tamtej miejscowości.

Wiem. Ale zależy mi na drodze innej...

Nie jesteśmy tutejsze, proszę pana — ciągle mówiła starsza. — Ale zdaje mi się, że tam w dole, koło plaży, jest także droga. Polna, wąska...

Myślę, że to będzie, ta, której szukam.

Powinien był podziękować i odjechać. Ale ta kobieta rozmawiała z nim tak grzecznie, a ta dziewczyna, choć nic nie mówiła i tylko patrzyła na niego przechyliwszy głowę na bok, wydała mu się bardzo piękna. Rysy miała drobne, oczy ciemne. Nie, nie była dziewczynką, miała tylko sylwetkę bardzo szczupłą i drobną.

Prawie siłą oderwał się od tego widoku. Uniósł dwa palce do furażerki.

Bardzo pani dziękuję i jeszcze raz przepraszam...

A może się panu nie śpieszy? — powiedziała starsza pani. — Tak dziś gorąco. Nie napiłby się pan z nami kawy?

Nie śpieszę się... Ale nie chciałbym robić kłopotu.

Nie będzie żadnego kłopotu. Właśnie czas na podwieczorek. Tylko co pan zrobi ze swym rumakiem? — zatroskała się.

Och, mój Parys jest poczciwy. Przywiążę go po prostu do drzewa.

Zeskoczył z siodła. Jako staranny ułan popuścił koniowi popręg. Podszedł do starszej pani, trzasnął obcasami.

Pani pozwoli, że się przedstawię. Rogowski.

Bardzo mi przyjemnie. Nazywam się Gawętkiewiczowa. A to moja córka Małgosia... Pocałował Gawętkiewiczową w rękę, a potem podszedł do dziewczyny. Dłoń, którą dotknął wargami, była dziwnie miękka; miał uczucie, jakby trzymał kocią łapkę. Dziewczyna uśmiechnęła się, a on stwierdził, że uśmiech jest prześliczny. W ciemnych oczach połyskiwały iskierki. Wierzchem dłoni odgarnęła spadające na czoło włosy i wskazała Jędrkowi miejsce przy stole. Owinęła się starannie w szlafrok.

Przepraszam za mój strój — powiedziała. — Ale wybieram się na plażę.

Zabaw, Małgosiu, pana — rzekła Gawętkiewiczowa, a ja się zajmę podwieczorkiem.

Majestatycznym krokiem odeszła do willi.

Pan jest podchorążym, prawda? — pytała dziewczyna. — Zawodowym?

Och, nie, rezerwistą. Kończę służbę i wracam do cywila.

A co pan robi w cywilu?

Skończyłem prawo.

Więc będzie z pana adwokat?

Mój ojciec marzy o tym. Ale ja się na adwokata nie nadaję. W ogóle nie bardzo wiem, dlaczego ukończy prawo...

A co by pan wolał ukończyć?

Czy ja wiem...?

Gawętkiewiczowa wróciła. Za nią szła służąca w białym fartuszk. Niosła tacę, a na niej filiżanki.

Całuję rączki... — przywitała gościa po „galicyjsku”.

Pan napije się kawy? — pytała Gawętkiewiczowa.

Chętnie.

My tu siedzimy na letnisku. Małgosi kazał lekarz dobrze wypocząć po maturze. Przpracowała się dziewczyna. Bo wie pan, ona nie tylko zdawała maturę. Przygotowywała się także do szkoły teatralnej. Ona jest urodzoną artystką. Ma ogromny talent...

Mamo, niech mama nie robi mi reklamy!

Mówię tylko to, co jest prawdą. Tak powiadali Zelwerowicz, pan Osterwa, pan Schiller... Właśnie kiedy pan przyjechał, przepowiadaliśmy scenę...

Więc pani już gra? — zwrócił się do Małgosi.

Zaśmiała się.

To ma być przedstawienie szkolne.

Co pani będzie grała?

Laurę w „Kordianie”.

Patrząc na nią zadeklamował: — „Ten głos rozwiewa złe zapachu świtanie. Zamknięty jestem w kole czarów taje niczym. Nie wyjdę z niego... Mogłem być czymś... Będę czym...”

Wpadając w ton odpowiedziała:

„Czemu Kordian taki smutny? Znalazłam dziś rano w imionniku wierszami kartę zapisaną. Poznałam rękę, pióro — o nie, raczej duszę...”

Spojrzeni na siebie i wybuchnęli śmiechem. Gawętkiewiczowa powiedziała z wylewnym uznaniem:

Brawo! Wspaniale! Znakomicie! I pan to tak ładnie powiedział. Widzę, Małgosiu, że znalazłaś znakomitego partnera. Jaka szkoda, że musi pan wracać do swoich żołnierzy.

Ale skąd taka znajomość wierszy? — pytała dziewczyna. — Czyżby jeszcze ze szkoły?

W szkole umiałem setki wierszy. Mnie także, proszę pani, ciągnął teatr. Ale nie miałem odwagi zerwać ze stylem życia mego domu...

Czy wolno spytać, jaki jest ten pański dom? — zapytała Gawętkiewiczowa.

Machnął lekceważąco ręką.

Urzędniczy, proszę pani.

Mój mąż jest dyrektorem i głównym akcjonariuszem „Komety” — objaśniła. — Pan wie, to te wielkie wytwórnie...

Skinął potakująco głową. Reklamy „Komety” widywał często. Była to ogromna firma produkująca mydła, proszki do prania, kosmetyki. Już przedtem uświadomił sobie, że willa jest luksusowym domkiem letnim, a stojące na stoliku filiżanki — to cienka porcelana. Złote pierścionki dzwoniły na palcach Gawętkiewiczowej. Także kolczyki, które połyskiwały przy uszach Małgosi, musiały być złote. Od razu utracił pewność siebie, którą mu dały koń i mundur. Poczł ogarniającą go nieśmiałość. Dziewczyna podobała mu się- szalenie. Ale to była artystka, aktorka, a poza tym córka- bogatego domu...

Służąca przyniosła kawę i śmietankę. Mama Gawętkiewiczowa nalewała je do filiżanek ze złożonymi brzegami.

Muszę to sama robić — powiedziała — bo te filiżaneczki są takie delikatne...

Dwoma łykami wypił kawę i pozwolił sobie nalać drugą filiżankę. U nich w domu nie pijało się kawy. Po drugiej filiżance poczuł się śmielszy. Mówił teraz dużo. Opowiadał o wojsku i różnych wojskowych przygodach. Po swojemu koloryzował i fantazjował. Przedstawiał cudze historie odpowiednio

rozbudowane jako własne. Czas mijał szybko. Dziewczyna słuchała go z uśmiechem. Jeszcze go pobudzała swymi pytaniami do opowiadania. Nagle uświadomił sobie, że musi wracać. Pan już chce jechać? — pytała Gawętkiewiczowa. Kochany panie, mam do pana wielką prośbę. Jeżeli pan jedzie dołem, będzie pan przejeżdżał koło plaży? Czy nie mógłby pan po drodze odprowadzić Małgosię? Nie pozwalam aby chodziła sama. Odprowadzam ją zawsze. Ale dzisiaj czuje się zmęczona. Taki upał... Potem z plaży — zwróciła się do córki — wróciłabyś z panią Rudigerową. I byłabym spokojna... — Znowu mówiła do Jędrka: — Czy mógłby pan to zrobić?

Ależ naturalnie. Z największą przyjemnością. Jeżeli tylko panna Małgosia pozwoli, będę zaszczycony... Czy możemy iść od razu?

Gdy zęgnął się z panią Gawętkiewiczową, powiedziała:

Skoro już poznaliśmy pana, a pan wróci z wojska, mam nadzieję, że będziemy mogli zobaczyć pana u nas w Warszawie. Bardzo zapraszamy. Mieszkamy na Hożej, numer telefonu znajdzie pan w książce telefonicznej...

Niech pan zadzwoni — dorzuciła od siebie Małgosia.

Wsunęła na nóżki sandałki i ruszyła ku furtce. Prowadził za sobą Parysa szedł obok niej. Z każdą chwilą wydawało mu się wdzięczniejsza. Jeśli przy matce była cicha i oddawała jej pierwszeństwo w mówieniu, teraz stała się rozmowniejsza. Mówiła o sobie, o szkole, którą, jak twierdziła, pożegnała z radością, o koleżankach, wśród których miała tylko dwie prawdziwe przyjaciółki, o swych planach wstąpienia do szkoły teatralnej.

Pan pewno myśli, słuchając tego, co mówiła mama, że jestem kimś, kto sam nie potrafi zrobić w życiu jednego kroku. Ale tak nie jest. Umieć być samodzielna. I jestem. Nie lubię być zależna od nikogo. Także od tatusia pieniędzy. Mamie się podoba mój pomysł pójścia do teatru. Ale tatuś ma inne plany. Namyślam się i postąpię tak, jak sama uznam za najlepsze...

Zeszli z gościńca, na którym dzwoniły kopyta idącego z tyłu Parysa, zeszli na miękką drogę. Po kilku krokach zatrzymała się, aby wysypać piasek z sandałka.

Wie pani co? — zaproponował. — Niech pani siądzie na konia.

Spojrzała na niego jakby lekko przestraszona.

Nigdy w życiu nie siedziałam na takim wielkim zwierzęciu!

Jest spokojny jak dziecko — zapewnił. Zatrzymał Pa rysa, opuścił zarzucone na siodło strzemiona. — Proszę.

Nie sięgnę tak wysoko.

Nagle ośmielił się. Chwycił ją w pasie i uniósł do góry. Była lekka. Gdy ją podnosił, poczuł na chwilę jej ciało na swej piersi i policzku. Aż zadrżał.

Teraz — powiedział, gdy już siedziała w poprzek siodła — proszę przetożyc nogę. Śmiało. No i widzi pani, nie taki straszny ten zwierz.

Straszny, bo tu strasznie wysoko. Jaki pan silny. Oj, oj, ślisko na tym siodle, obawiam się, że się z niego zsunę.

Nie zsunie się pani. Idę obok, a pani może się trzymać grzywy.

Jakoś jadę. Będę się mogła pochwalić, że jechałam na koniu. Niedawno jechałam wyścigowym Buggattim i bardzo się tym pyszniłam.

To pani ojciec ma taki samochód?

Nie, jeden mój znajomy... Przyjechał do mnie do Zakopanego i woził mnie po tamtejszych drogach. Jakbym latała... Wspaniały czerwony wóz.

Wzmianka o czerwonym Bugattim zepsuła mu nieco humor. Ale zapomniał o tym. Tuż obok jego ramienia kotysała się nóżka zakończona drobną stopą. Nie mógł idąc obok konia patrzeć w górę na twarz dziewczyny, ale nie potrafił oderwać oczu od tej stopy.

Jesteśmy na miejscu — powiedziała. Puszysta łąka przechodziła w plażę ciągnącą się długim językiem wzdłuż rzeki. Plaża pełna była w tej chwili ludzi. Przyjazd dziewczyny na koniu wywołał małą sensację. Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Nadbiegła gromada dzieci i otoczyła Parysa.

Teraz proszę obie nogi na jedną stronę — komenderował. — I śmiało skakać. Złapię panią.

Skoczyła i on znowu na chwilę poczuł ją w objęciach.

Dziękuję panu. Świetnie było, i pan był bardzo miły. Tak ciekawie pan opowiadał. I bardzo mi się podobało, że pana także ciągnie teatr. I... — urwała. — To do widzenia. — Podała mu rękę. — Zobaczymy się jesienią?

Jeżeli pani pozwoli...

Proszę zatelefonować.

Odeszła na plażę, skąd już jakieś panie machały na nią rękami. Jędrak dosiadł Parysa. Czuł, że dziewczyna patrzy, więc zatoczył woltę i od razu puścił konia wyciągniętym galopem.

Oddzielne, oszklone wejście do mieszkania było w bramie. Gdy zadzwonił, ktoś wyjrzał przez małe okienko w drugich drzwiach, potem te drzwi otworzyły się, służąca w fartuszkach, ta sama co na letnisku, zeszła po schodkach, aby wpuścić Jędrka. Wpuszczając go powiedziała sakramentalne „całuję rączki”. Wszedł z nią do przedpokoju, a potem do saloniku. Pokój był po prostu nabity sprzętami. Stały tu ciężkie meble, stoliczki, nakryte haftowanymi narzutami, szklana serwantka pełna kruchych bibelotów: figurek i naczyń do niczego nie służących, kamienne postumenty, na których stały doniczki z kwiatami. Okna przestaniały firanki. Służąca wprowadzając Jędrka zapaliła ogromny żyrandol dzwoniący szklanymi wisiorami, a potem zasunęła okna storami. Jędrak przysiadł trochę

niepewnie na krzeselku o figlarnie powykęcanych nogach. Pod stopami miał puszysty dywan. Odruchowo zaczął się bawić stojącą na stoliku porcelano figurką kotka.

Z bijącym sercem zadzwonił poprzedniego dnia. Odebrała sama Małgosia. Głos dziewczyny brzmiał miło, gdy grzecznie choć, jak się wydawało Jędrkowi, bez nadmiernego zapału powtórzyła zaproszenie: „Jeżeli pan może, proszę wpaść jutro. Dobrze? Będę po południu w domu. No, to będę na pana czekała. Do zobaczenia”. Ucięła dość szybko, a on poczuł jakby jakiś niedosyt. Ciągle żył wspomnieniem tamtego południa. W myślach widział ją ciągle siedzącą na Parysie.

Zapytała jeszcze: „Już pan bez munduru?” — i te słowa pobrzmiewały mu niemile w uszach. Nie miał wątpliwości, że bez munduru i bez konia jest kimś bez porównania mniej ciekawym. Cóż reprezentował teraz? Ukończony bez przekonania wydział prawa i dużo życiowego niedoświadczenia. Mundur zastąpił garnitur, kupiony, jak zawsze w sklepie Nowakowskiego na Chłodnej. Wiedział, że nie leży na nim zbyt dobrze. Ale była jeszcze sprawa inna — najgorsza. Opuszczając pułk pragnął jak najszybciej znaleźć pracę, która mogłaby go usamodzielnić. Zbyt często ojciec powtarzał, że tylko ktoś samodzielny ma prawo myśleć o zakładaniu domu. Tymczasem okazało się, że sprawa znalezienia pracy nie jest wcale łatwa. Oczywiście mógł ulec ojcu i wbrew niechęci wziąć aplikaturę adwokacką. A aplikowało się za darmo latami. To nie było rozwiązanie. Zdecydował, że będzie szukał pracy urzędniczej. Na posadkach w rozmaitych urzędach siedziało tylu jego rówieśników. Zaczął obchodzić urzędy i składać podania. Przyjmowano go grzecznie, ale z zasady nic nie obiecywano. Mówiono: „Proszę zostawić podanie, może coś się zwolni... Zawiadomimy”. Raz zaproponowano mu pracę próbną, ale po trzech tygodniach powiedziano, że choć są z niego zadowoleni, przedłużyć mu umowy nie mogą, gdyż wrócił dawny pracownik... Minęło kilka miesięcy od czasu powrotu do cywila, a on wciąż był bez zajęcia.

Gdy odkładał słuchawkę, zauważył, że jego rozmowy słuchała matka, która szyła w sąsiednim pokoju. Nic nie powiedziała, ale wydało mu się, że zauważyła na jej twarzy wyraz obudzonej czujności.

Kiedys na kolację przyszli kuzyni i Jędrzek opowiadał im o wojsku. Wspomnił o spotkaniu nad Bugiem. Mówił o dziewczynie z entuzjazmem. Że piękna, że artystka, że rodzice ludzie znani. Już wtedy dostrzegł, że matka przysłuchuje się uważnie jego słowom. Ojciec zapytał o nazwisko tamtych.

W parę dni później wszczął z Jędrkiem rozmowę:

Ten Gawełkiewicz, którego poznałeś tam, w wojsku, to może dyrektor „Komety”?

Tak. Ja nie jego zresztą poznałem, tylko żonę i córkę...

Aleksander skrzywił się.

Nie mówią o nim dobrze...

Nie rozumiem. Ta pani jest bardzo miła, kulturalna — zapewniał gorąco.

Może. Ale...

Jędrzek był pewien, że ojciec coś wie, ale nie chce powiedzieć.

Jechał na Hożą szesnastką z bijącym sercem. Tramwaj zatrzymał się przy Wilczej, trzeba było wrócić przystanek. Spojrzył na zegarek: był jeszcze cały kwadrans do umówionej godziny. Jak zawsze, przyjechał za wcześnie. Postanowił, że będzie się wóczył po Marszałkowskiej, aby przyjść w porę.

Szedł wolno od witryny sklepowej do witryny. Długi czas przyglądał się ołówkom, cyrklom, notesom i innym biurowym utensyliom wyłożonym na wystawie sklepu Theobalda Nagle drgnął: w szybie sklepowej zobaczył odbicie sylwetki przechodzącej za jego piecami Małgosi. Dziewczyna szła jakby zamyślona. Widocznie wracała do domu. Powstrzymał się przed odwróceniem się i przywitaniem. Uznał, że należy doczekać właściwej pory i wtedy dopiero zadzwonić do drzwi.

W saloniku czekał dość długo. Małgosia wyszła niespodziewanie z bocznych drzwi. Miała na sobie prostą, jasną sukienkę.

To bardzo miło, że pan o nas pamiętał — przywitała grzecznie. — Trochę się pan zmienił bez munduru. Koń pański nie czeka przed bramą? — zażartowała.

Niestety, okulał — próbował wpaść w żartobliwy ton. Starał się przemóc niepokój, jaki obudziły w nim słowa o tym, że się zmienił. Jego garnitur był kupiony przed wojском. Wtedy był w sam raz. Ale przez ten rok Jędrzek rozrósł się i teraz miał uczucie, że ubranie stało się przyciasne.

Siądźmy tu lepiej na kanapce — wskazała mu kanapę, stojącą pod ścianą. — Te mamy meble są strasznie niewygodne. Ach, i niech pan się nie bawi z kotem! — odebrała mu z rąk porcelanową figurkę. — Mama by zemdląła, jakby to zobaczyła. Jest zawsze przekonana, że gdy ktoś weźmie go w rękę, upuści i rozbije.

Postawiła figurkę dokładnie w tym samym miejscu, rym poprzednio stała. Siadła obok Jędrka.

Bałam się, że się spóźnię — mówiła. — Musiałam koniecznie wyjść, a pan mógł przyjść wcześniej. Spieszyłam się...

Na ogół staram się przychodzić w porę. Jest to nawet kłopotliwe, bo ja stosuję się do umów, a ci, co zapraszają, są tym zaskoczeni...

Nie znoszę takich, którzy umawiają się, a potem każą czekać na siebie.

Kobieta nie powinna nigdy czekać na mężczyznę.

A jednak zdarza się tak! — powiedziała to jakby z ukrytą pasją. Zmieniła ton, powiedziała: — Myślę, że pan jest człowiekiem bardzo solidnym, dotrzymującym tego do czego się zobowiązał.

Och, chciałbym być solidny. Mój ojciec ma taką manię. Ale ja taki nie jestem...

Niech się pan nie oskarża. Mama ma swój wywiad i coś niecoś dowiedzieliśmy się o panu. Powiedział pan, że jest pan synem urzędnika. Można by myśleć, że marnej kategorii. A okazuje się, że pański ojciec jest dygnitarzem miejskim.

Jakim tam dygnitarzem? Powiedzmy: był urzędnikiem. A teraz jest w ogóle nikim. Emerytem.

Ma pan tendencję zaniżania swoich aktywów. Tak mówią na kursach, na które chodzę.

Pani chodzi na kursy handlowe?

Tak.

Nie do szkoły teatralnej?

Nie.

Dlaczego?

Nie odpowiedziała od razu. Podwinęła nogę i siadła na niej. Patrzyła w przestrzeń. Twarz jej nabrała - wyrazu gniewnego.

To złożona sprawa — powiedziała. — Niełatwo ją wytłumaczyć. Tak jak pański ojciec chciałby zrobić z pana adwokata, tatuś chce, abym się przygotowała do wejścia do firmy..

Ale przecież mama pani...

Tak, mama... — W tonie jej głosu wyczuł lekceważenie. — Mamie można wszystko wytłumaczyć.

Mama pani ustąpi?

Mama zawsze ustąpi tatusiowi...

Czuł,- że było coś jeszcze, czego nie dopowiedziała.

Trudno — rzuciła to tak, jakby przyjmowała postawę walki. — Uniezależnię się, a wtedy może mnie jeszcze przyjmą. Byli artyści, którzy zaczęli później...

Bardzo mnie zmartwiło to, co pani mówi. Kiedy pani mówiła, że idzie do szkoły teatralnej, muszę wyznać, że zazdrościłem pani. Ale teraz, kiedy widzę, jak bardzo panią to boli, gdybym mógł coś zrobić dla pani, zrobiłbym...

Dobry z pana chłopak — rzekła. — Ale nic dla mnie zrobić nie można.

Zapanowało milczenie. Ulica za oknami rozbrzmiewała ruchem. Hałas jadących Marszałkowską tramwajów wstrząsnął szybami.

Nawet nie zauważył, jak mijały kwadransy. Zrozumiał, że jest już późno, że powinien kończyć wizytę.

Już chciał wstać i pożegnać się, kiedy nagle jego wzrok coś dostrzegł na przedramieniu dziewczyny. Sukienka miała krótkie rękawy i spod nich wyzierały szczupłe ramiona. Na mocno opalonej skórze zauważył już przedtem jasną plamę, jakby nie tkniętą opalenizną. Teraz odkrył, że jest to litera. Litera M. Musiała dostrzec jego spojrzenie, bo odruchowo pociągnęła za rękaw, jakby chciała znak zakryć. Widząc jednak, że już za późno, wybuchnęła śmiechem. Powiedziała:

Zauważył pan tę literę? Takie głupie dziewczyńskie zabawy. Wycina się z plastra i nalepia na skórze, a potem kładzie się na słońce i zostaje znak.

- Co to za znak?

Cóż może być? Pierwsza litera imienia przelotnej sympatii...

Nie była to litera „A” — ale powiedzenie o sympatii i niedbały ton trochę go uspokoiły.

Muszę już iść...

Było bardzo miło, że pan przyszedł. Proszę o mnie nie zapominać.

Jeżeli pani pozwoli...

Bardzo proszę. I znowu nie za pół roku. Jeśli pan ma czas w przyszłym tygodniu...

Mam i zadzwonię.

Odprowadziła go do drzwi.

Wybiegł z domu uradowany. Był ogarnięty taką werwą, że usiłował wskoczyć do jadącego tramwaju. Upadł i niewiele brakowało, aby dostał się pod koła. Ocalał prawie cudem.

Wróciwszy do domu Jędrzek znalazł matkę szyjącą na szynie. Lubiła to robić i szyła dużo. Ponieważ nie mogła nic szyć synom, przygotowywała ubranka dla dzieci w sąsiedztwie. Była cała masa dzieci, którymi się opiekowała. Wśród nich kilka zasmarkanych bachorów żydowskich, których Anna o mało nie obija parasolką, zobaczywszy, jak rzucają kamienie w latarnie, ale potem otoczyła je opieką. Od tego czasu brodate, czarno ubrane Żydy, handlujące warzywami na przecznicach Chłodnej, kłaniały się i podsuwały, gdy kupowała, najlepszy towar.

Nikogo nie było w domu. Jędrzek siadł obok matki. Naszła go potrzeba mówienia o Małgosi. Po paru błahych słowach zaczął:

Wie mama, byłem u tych państwa, których poznałem wtedy nad Bugiem...

U tej panienki, która wybiera się do szkoły teatralnej?

Tak. Ale, niech mama sobie wyobrazi, że nie będzie chodzić do tej szkoły...

Dlaczego?

Anna nie przestawała szyć. Ta dziewczyna, której nigdy nie widziała, budziła w niej dziwną niechęć. Nie chodziło o historie o Gawętkiewiczu, które ktoś naopowiadał Aleksandrowi. Była zawsze uodporniona na plotki. Jednak czuła, że tamci stanowią świat zupełnie inny niż ten, do którego należała i ona, i Aleksander. A Jędrzek okazał się tak bardzo uległy wpływowi tamtej dziewczyny. Kochając syna znała jego naiwność, nieumiejętność postępowania, skrytość. Sama często nie umiała go rozgryźć. A tamta dziewczyna po kilku zaledwie spotkaniach potrafiła go omotać swoimi sprawami.

Ona ma talent — uzalał się Jędrzek — że będzie musiała pracować jako stenotypistka...

To musi być przykre rzeczywiście — przyznała. — Ale kto wie, czy tak nie jest dla niej lepiej. Zachwycamy się teatrem, nie zawsze jednak pamiętamy, jak trudna jest sytuacja dziewcząt, które do teatru wchodzi. Nie jest na pewno teraz w teatrze tak, jak bywało za czasów Reymonta. A jednak codziennie udawać uczucia, codziennie być obejmowaną przez mężczyzn... Trzeba być bardzo wyrobioną moralnie, aby przejść przez to wszystko bezpiecznie, pozostać zdolną do czystej miłości w swoim własnym życiu...

Och! mammo! — zaprotestował. — Małgosia jest bardzo dzielna. Jestem pewny, że teatr by jej nie zepsuł. Wie mama — powiedział z zapałem — myślę, że gdyby tak było, że ja miałbym miejsce w teatrze, a ona go nie miała, chyba bym jej je odstąpił!

Zupełnie oszalał — myślała. Czym go ona tak do siebie przywiązała? Teatr... Może to moja wina, że wyrażając wobec niego swój podziw dla sztuki dramatycznej wywołałam w nim te marzenia. Dla mnie teatr jest tym, co widzę na scenie. I to mi wystarcza. I jemu by to wystarczyło. Te jego rojenia o scenie nie były nigdy naprawdę mocne. Najlepszy tego dowód, że nigdy, poza mglistymi aluzjami, o zgodę na pójście do teatru nie walczył. A teraz chciałby walczyć dla tej jakiejś...

Czego ta dziewczyna pragnie. Małżeństwa? A gdyby do tego doszło, czy byłaby dla niej przyjaciółką i powiernicą? Nigdy! To niemożliwe. Z żalem myślała o liście, jaki niedawno przyszedł od Inki. Dziewczyna zawiadamiła, że wychodzi za mąż. Jej przyszły mąż pracuje w leśnictwie. Jest od niej o siedemnaście lat starszy. „Ale to bardzo porządny człowiek — pisała Inka. — Wszyscy go chwala. I rodzice go bardzo lubią i cenią. Myślę, że chyba robię dobrze. Tatuś ostatnio ciągle choruje. Obawiamy się, że niedługo przestanie pracować. Wszystko spadnie na mamę. Kiedy wyjdę za mąż, będę mogła jej pomagać...”

Inka, ona jedna — myślała — mogła być tą, o jakiej marzyła Anna. Była tego pewna. A jednak Jędrzek o niej zapomniał — choć i ich łączył teatr. To nie w stosunku do

teatru kryje się tajemnica wpływu tamtej dziewczyny, z tego wyniknie szczęście dla Jędrka? Bo przecież na szczęściu powinno jej przede wszystkim zależeć.

Więc dlaczego ta panna Małgosia nie idzie do szkoły teatralnej? — pytała dojechawszy ściegiem do końca nogawki dziecinnych spodenek. Podniosła dźwignię, wysuwając robotę spod przycisku. — Czy chodzi o sprawy materialne? Mówiłeś, że to ludzie zamożni.

Na takich wyglądają. To jakieś inne sprawy. Ojciec od niej żąda, aby szła na kursy handlowe. Ten ojciec...

Więc jednak ojciec, myślała. Coś tam jest... A może właśnie nic nie ma. Może ojciec jest rozsądny, a matka fantastką, która w marzeniach pławi się w sławie swej córki?

Nie spiesz się z wyrażaniem opinii — powiedziała. Ta panienka jest rozżalona. Ale to jej minie. Nie powinieneś jej wspomagać w buncie przeciwko własnemu ojcu... Rodzice chcą dla dziecka jak najlepiej, a dziecko nie zawsze umie to docenić i zrozumieć...

Mówię ogólniki, myślała. Czy naprawdę robimy wszystko dla dobra naszych dzieci? Jeśli Jędrzek szuka u mnie pomocy, nie powinnam mu odpowiadać komunałami, ale naprawdę zająć się jego sprawą. A jeśli tak — muszę poznać tę dziewczynę. — Okropnie nie miała na to ochoty. Przemogła się jednak. Powiedziała:

Może chcesz kiedy tę pannę Małgosię zaprosić do nas?

Poderwał się zachwycony.

Mama pozwala?

Nie mam powodu się sprzeciwiać. Chciałabym znać twoich znajomych.

Jestem pewien, że przyjdzie. Bardzo, bardzo mamie dziękuję. Przekona się mama, jaka to miła dziewczyna, kiedy będę teraz u niej, zaproszę ją.

Ale kiedy Anna opowiedziała Aleksandrowi o tym, że zgodziła się na tę wizytę, był oburzony.

Po co to zrobiłaś? — mówił. — Właśnie powinnaś wiedzieć, że wcale nie pragniemy tej znajomości. Ten Gawętkiewicz to jakiś hochsztapler!

Proszę cię, Olesiu, nie spiesz się z takimi określeniami. - Nie znasz go.

Dowiedziałem się o nim bardzo dużo. To człowiek, który ma dwa domy. Oficjalnie żonę i córkę w Warszawie. A równocześnie w Tarnowie czy gdzieś tam — utrzymankę. Robi pieniądze, z całą bezwzględnością atakując konkurentów.

Jesteś pewny tych zarzutów?

Mówili mi o tym ludzie, którzy nie kłamią.

Zastanawiała się czas jakiś.

Może ta dziewczyna o tym wie i nad tym cierpi? — zauważyła.

Zawsze bronisz ludzi. A tu przecież chodzi o przyszłość naszego syna. Nie chcę, aby wchodził do takiej rodziny.

Gdy zatelefonował do niej w parę dni później, usłyszał:

— Niech pan przyjdzie koniecznie. A może dzisiaj? Będę się bardzo cieszyła.

Kiedy zadzwonił do drzwi w bramie, sama Małgosia zeszła, aby mu otworzyć.

Witając się z nią wyczuł jakieś miłe ciepło bijące od dziewczyny. Może spała, gdy zadzwonił? Miała na sobie szary sweter i była w miękkich domowych pantofelkach. Włosy wydały mu się lekko potargane.

Jest pan bardzo miły, że pan przyszedł — mówiła prowadząc go do przedpokoju, a potem do salonu. — Jestem dzisiaj jakaś smutna. Do niczego nie potrafię się zabrać...

Na dywanie stał patefon, obok leżały płyty. Wskazała mu fotel, a sama siadła obok patefonu wprost na ziemi.

Grałam sobie — powiedziała. — Może chce pan, aby coś panu zagrać? Ale nie, nie! Najpierw porozmawiajmy. No co, ma pan już jakąś posadę?

Potrząsnął przecząco głową.

Nie, nie...

Przejmuje się pan tym?

Przejmuję. Chciałbym być jak najszybciej samodzielny.

Rozumiem pana. I ja chciałabym być niezależna... Ale chociaż pan ma kłopoty ze znalezieniem pracy, to jednak wam, chłopakom, jest łatwiej... Niech mi pan opowie, co pan robił ostatnio, oczywiście poza szukaniem posady. Czy lubi pan filmy?

Ogromnie. W naszej dzielnicy wciąż jeszcze w małych kinach idą filmy z Valentinem.

Naprawdę? Może pan mnie kiedy weźmie? Valentina widziałam tylko raz. To były filmy niedozwolone i mama nie pozwalała mi chodzić.

Strasznie nędzne są te nasze kina. Ale będę szczęśliwy, jeśli pani zechce ze mną pójść.

Jaką aktorkę pan najwięcej lubi?

Czy ja wiem? Normę Talmadge, Vilnę Banky...

A do teatru pan chodzi?

Póki ojciec był na posadzie, chodziłem częściej. Teraz chodzę rzadziej.

Widział pan Cyrana?

Naturalnie. Leszczyński wspomniał.

Pan pewno umie całą rolę?

Dla mnie to żadna sztuka. Kiedy posłucham wiersza dwa, trzy razy — już go umiem. A poza tym Cyrano jest mi taki bliski...

Odruchowo zsunął się z fotela i usiadł obok niej na dywanie. Od pewnego czasu zaczęło się ściemniać. Małgosia nie zapaliła światła, nie zasłoniła storami okien. Natomiast blask latarń i witryn na ulicy wpadał i kładł się plamami na podłodze.

Powiedziała:

Po co mówimy sobie pan i pani...?

Wolno mówić: Małgosia?

Mów. A jak nazywają ciebie w domu?

Jędre.

Niech będzie tymczasem. Potem coś wymyślę, aby cię mogła nazywać po swojemu.

Więc bruderschaft?

Nieśmiało objął ją i pocałował w policzek. Odpowiedzią pocałunkiem serdecznym, ale wolnym od namiętności. Podniosła się z podłogi. Ale nie poszła zapalić światła. Rzekła:

Chodź, siądźmy na kanapie. Wygodniej. Chcę ci coś powiedzieć.

Siedzieli na kanapie wsparci o siebie ramionami. Spoza stolika, na którym stały figurki widać było rozświetlone światłami okna ulicy. Pokój tonął w mroku.

Muszę się wyrwać z domu — powiedziała. — Muszę!

Jest ci źle?

W domu mam wszystko... Ale, rozumiesz, dom to powinna być miłość...

Milczał czekając, aż mu wszystko powie.

Mówię ci to, bo mam do ciebie zaufanie... Jesteś porządny. Takiego jak ty jeszcze nie spotkałam... Mój ojciec .. Mój ojciec ma pewną panią... Rozumiesz?

Chce się rozwieść? Nie. On mamy nie porzuci. Wiesz, to cała historia - mama jest od niego starsza. Pomagała mu, gdy był jeszcze studentem. Ojciec jej nie zostawi. Jest nadzwyczajny, stara się, niczego jej nie skąpi. Ale ona zestarzała się, chodzi jej tylko o wygodę. On chciałby innego życia. Ja go rozumiem... Rozumiesz go? — w głosie Jędrka zabrzmiała zgroza.

Rozumiem, że chciałby czegoś innego. Ale nie mogę tego, co jest, akceptować. Sytuacja jest nie do zniesienia, muszę wyjść z domu. Mnie nie zależy na dobrobycie. Mogę żyć skromnie. Ale gdy wyjdę za mąż, chcę wiedzieć, że mój mąż będzie należał tylko do mnie. Że nie będzie za moimi plecami...

Zapadła cisza. W ciemnym pokoju pełnym plam blasku usłyszał jej trochę zdyszany oddech. Odruchowo ogarnął ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego. Siedzieli długą chwilę w ciszy. — Musiałam ci to powiedzieć... — szepnęła.

Teraz ja ci coś powiem — mówił również cicho, jakby to była wielka tajemnica. — Kocham ciebie. Gdybyś zechciała być moją żoną... Gdybyś kiedyś zgodziła się...

Nie odpowiedziała. Ale czuł ją miękko przytuloną do siebie. Pochylił się, poszukał ustami jej ust. Nie broniła mu. Całował ją najpierw delikatnie, potem coraz goręcej. Nie mówiła nic, pozwalała się' całować.

Zabiorę cię — powiedział wśród pocałunków.

Zabierz... — szepnęła.

Gdzieś w głębi mieszkania coś trzasnęło niby otwierany zamek. Szybko wydarła mu się z objęć. Pośpiesznie zapaliła światło, zaciągnęła zasłony. Przez chwilę mrugali powiekami

spoglądali na siebie uśmiechnięci, z minami konspiratorów. Gdy po chwili do salonu weszła Gawętkiewiczowa, siedzieli oddaleni od siebie: para wzorowych, młodych ludzi.

Ach, to pan? — przywitała Jędrka. — Bardzo nam miło, że pana widzimy. Jak tam sprawa pana pracy? Co, znowu nic? Och, jakie to przykre. Małgosia już pewno panu mówiła, że musiała zrezygnować ze szkoły teatralnej. Takie jest życie, panie Andrzeju — westchnęła. — Szkoda, wielka szkoda, ona ma wielki talent... Niech pan zostanie na herbatę, bardzo proszę...

Podczas herbaty Gawętkiewiczowa mówiła cały czas. Małgosia milczała. Jędrka ogarnęła taka radość, że dotrzymywał kroku w rozmowie matce dziewczyny. Wydała mu się osobą miłą i. przyjazną.

Gdy przyszło do pożegnania, Małgosia odprowadziła go do drzwi na dole.

Przyjdiesz? Prędko? — pytała.

Gdyby ode mnie zależało, przyszedłbym zaraz jutro.

To przyjdź. Przychodź jak najczęściej.

Dobrze. Ale słuchaj. Mama pyta, czy odwiedziłabyś n.

Ależ naturalnie. Kiedy?

Może w niedzielę?

Ustal w domu i powiedz mi jutro. Podziękuj twojej matce za zaproszenie. Koniecznie podziękuj.

Gdy Małgosia zjawiała się na Chłodnej, Anna była cała napięta. Postanowiła być dla dziewczyny miła i serdeczna. Małgosia przyszła ładnie, lecz skromnie ubrana. Jeśli poprawiała sobie kredką barwę ust i policzków, dostrzegło by to tylko bardzo doświadczone oko. Rozmawiała cały czas wyłącznie z Anną. Wobec Jędrka nie pozwoliła sobie na najmniejszą poufałość. Gdy zdarzyło się, że mówiła o nim przybierała ton z lekka opiekuńczy, niby starszej siostry.

Rozmowę toczyła lekko i umiejętnie. Anna podziwiała jak swobodnie przechodziła z tematu na temat i o ilu sprawach umiała mówić. Gdy rozmowa zeszała na przeczytane książki, zaimponowała Annie znajomością różnych nowości, których ostatnio dużo się mówiło. Cytowała Pożegnanie z bronią, Krystyną córką Lawransa. Na temat tej ostatniej powieści, którą obie się zachwyciły umiała robić uwagi, które Annie wydały się zastanawiająco dojrzałe.

Żegnając się Małgosia zaprosiła Annę w imieniu matki na jej czwartek. Były to dni przyjęć Gawelkiewiczowej.

Jędrzek poszedł dziewczynę odprowadzić do tramwaju, a Anna sprząając filiżanki po herbacie rozmyślała nad wizytą. Była zaskoczona dobrym wrażeniem, jakie dziewczyna na niej zrobiła. To dobre wrażenie walczyło w niej z ciągle trwającym uczuciem niechęci. Tak jak poprzednio wszystko, co wiedziała o dziewczynie, tłumaczyła sobie na lepsze, teraz podświadomie przeciwstawiała się w duchu każdemu sympatycznemu odkryciu.

Jędrzek wrócił do domu rozpromieniony.

— Wie mama, Małgosi strasznie się mama spodobała. Powiedziała, że mama wydała jej się taka bliska, jakby mamę znała od dawna. Prawda, jaka miła? No, niech mama powie, jaka mądra. Niech mama koniecznie pójdzie kiedy na ten czwartek. Byłem raz. Przychodzą tam różne panusie, które mogą się mamie nie podobać... Ale niech mama choć raz pójdzie...

Wieczorem Anna rozmawiała z Aleksandrem.

No i jak ci się podobała ta dziewczyna? — pytał. — Coraz więcej boję się o Jędrka. Strasznie zawrócił sobie głowę. A mnie znowu mówiono różne złe rzeczy o tym Gawelkiewicz...

Co znowu mówili?

Że lubi pieniądze. Że jego interesy nie są całkiem czyste. Że na prawo i lewo optaca się łapówkami. I że okropny kobieciarz...

Stanowczo niepotrzebnie tego słuchasz. Ludziom tylko pozwolić mówić źle o drugich, a zaczną wymyślać rzeczy najgorsze. Kobieciarz! A jakby tak ktoś coś takiego powiedział o tobie ze względu na panią Jaskólską?

Przepraszam! — aż się zaperzył. — Pani Jaskólska była moją sekretarką i wiesz chyba dobrze, że nic nigdy między nami nie było.

Nie irytuj się. Wiem. Mimo to nie robiła dobrego wrażenia i ktoś z boku mógłby na jej temat plotkować. Ta dziewczyna zachowuje się bez zarzutu. Jest inteligentna i wyrobiona. Mówiąc między nami, o całe niebo bardziej wyrobiona niż Jędrrek. On robi przy niej wrażenie smarkacza.

To jeszcze gorzej. Dlatego jest całkiem pod jej wpływem.

Temu nikt z nas nie zapobiegnie. Zastanawiam się nad jednym: co jej się mogło w Jędrku spodobać?

Chce na gwałt wyjść za mąż!

Myślisz, że takiej pannie, ładnej i z pieniędzmi, zbrakłoby kandydatów?

Jesteśmy porządną rodziną...

Daj spokój, Olesiu, takie rzeczy dziś się nie liczą.

W takim razie musi być coś ukrytego. Robię się niespokojny.

Oczywiście — niepokój leżał w naturze Aleksandra. Wolała już, gdy się przejmował sprawami polityki międzynarodowej. Były dalsze i wydawały się mniej konkretne. Ostatnio chodził przejęty wydarzeniami, jakie miały miejsce w Austrii. Katolicki działacz Dolfuss cieszył się sympatią Rogowskiego, który kiedyś był w Wiedniu i w otoczeniu księdza Seipla miał możliwość rozmawiania z Dolfussem. Rogowski nie znał zbyt dobrze istoty konfliktu, który rozdzierał Austrię, jednak zamordowanie człowieka, z którym rozmawiał, i fakt, że dokonali mordu Niemcy, których wodzem był budzący wrogość Hitler — napawały Aleksandra gniewem i niepokojem. Na nowo przypomniał sobie swoje dawne polityczne związki, które rozluźniły się w ostatnich latach. Mimo niepokojów o przyszłość synów, dawał się ponosić gniewnym pasjom słuchając o uwięzieniu opozycyjnych polityków w Brześciu i o znęcaniu się nad nimi. Poczucie rosnącego na nowo niemieckiego niebezpieczeństwa i oburzeń na rządy pułkowników Piłsudskiego łączyły się u Aleksandra w jedno.

Pewnego dnia, gdy rozmawiał w domu Gawętkiewiczówz Małgosią, do pokoju wszedł ojciec dziewczyny. Jędrrek zobaczył go po raz pierwszy. Był to niski, okrągły pan, bardzo elegancko ubrany, w binoklach. Powiedział obcesowo:

To pan jest panem Jędrkiem? Nareszcie pana widzę. Tyle o panu opowiadały moja żona i Małgosia. Wiecie co, chodźcie do mnie. Chciałbym z wami porozmawiać.

Po roku bywania na Hożej Jędrak był zakochany po uszy i przekonany o wzajemności. Ich miłość wyrażała się w coraz gorętszych czułościach. Całowali się, gdy tylko znaleźli się sami. Zamierała wtedy wszelka rozmowa, zniknęły wszystkie inne sprawy. Ale nawet pocałunki nie wystarczały.

A tu jak na złość nie miał nadal żadnej pracy. Kilka razy zaczepił się o coś — kiedy jednak przepracował tak zwany okres próbny, nie zaangażowano go na stałe. To wydawał się dziwne. Nie był przecież — zdawał sobie z tego sprawę złym pracownikiem. Chwalono go. A potem nagle przychodziło zwolnienie. Wielu jego kolegów nawet nie mniej niż on obciążonych różnymi politycznymi grzechami, gdzieś się w końcu ulokowało i zaczynało prosperować. To prawda, że ci, którzy głośno krzyczeli w czasach studenckich — potem przycichli. On wciąż nie miał pracy. Byli koledzy, którzy choć czekali jak on, zawierali małżeństwa. Żyli w domach jednych lub drugich rodziców. Jędrak takiej propozycji nie śmiałyby nawet postawić.

Choć nie mówili o tym ze sobą, oboje czuli, że taki stan trwać dalej nie może.

Pokój, który Gawętkiewicz nazywał swoim „gabinetem”, był po prostu drugim, mniejszym salonikiem. W czwartki, gdy przychodzili goście, Gawętkiewiczowa otwierała drzwi łączące oba salony. W gabinecie stał zwykle stół z przekąskami i panie biegły zaraz zobaczyć, co też gospodyni na ten dzień przygotowała. Większość z nich nie tylko lubiła dobre rzeczy, ale także rozkoszowała się rozprawianiem nad podanymi przysmakami. Powiedzenie: palce lizać i oblizywać — powtarzane było po wiele razy każdego czwartku. Jędrak przyzwyczajony w domu jadać skromnie i nigdy nie mówić o tym, co się je, żartował, że tematem numer jeden czwartkowych spotkań jest: jak smakuje to, co się wkłada do ust. Małgosia śmiała się, ale prosiła, aby tego nie mówił głośno. Dostrzegł, że w domu Gawętkiewiczów nie lubiono żartów.

Przy oknie gabinetu stało małe biurczko. Nic na nim nigdy nie leżało, lśniący blat świecił w blasku lampy. Przy biurku stały dwa wielkie skórzane fotele, w które siedzący zapadali się aż po ramiona. Gawętkiewicz wskazał te fotele córce i Jędrkowi. Siadł naprzeciwko nich, splótł na brzuchu palce z wymanikiurowanymi paznokciami.

Moi drodzy — zaczął. — Rozmawiam z wami po raz pierwszy, ale chcę od razu postawić sprawę szczerze i otwarcie. Wiem, że się kochacie i chcecie się pobrać. Nie mamy z mamą nic przeciwko temu. Jędrak nam się podoba. Pozwolisz, że będę mówił do ciebie po prostu ty. Wiem jednak, że masz trudności ze znalezieniem pracy. To jest rzecz, którą można załatwić. Nasza firma potrzebuje pracowników. Moglibyśmy dać ci pracę. Oczywiście nie żadną synekurę. Zwykłą posadę, jaką otrzymuje u nas młody, zaczynający działalność człowiek. Posadę, na której trzeba pracować i do tej pracy się przyłożyć. Jeśli ci to odpowiada... jeśli wam to odpowiada — powiedzcie.

Jędrak spojrzał na Małgosię i zobaczył utkwiony w siebie pytający wzrok. Pomyślał, że dla dziewczyny ta przemowa nie jest niespodzianką. Nie mówiła nic, czekała, co on powie. Bąknął:

Jestem panu niezmiernie wdzięczny... Jeżeli chodzi o mnie, niczego lepszego nie pragnę. Czekam tylko na pracę, aby móc poprosić o rękę Małgosi... Mimo to muszę porozmawiać z rodzicami...

Jeśli tak uważasz, porozmawiaj. Chciałbym jednak, abyś jak najszybciej dał odpowiedź.

Rozmowy w domu Jędrak trochę się obawiał. Przez ten rok niewiele posunęły się sprawy zbliżenia obu domów. Matka, naciskana przez Jędrka i nagabywana telefonicznie przez Gawętkiewiczową,

wybrała się na jeden czwartek. Po powrocie nic Jędrkowi nie powiedziała, ale on zgadł od razu, że wizyta nie przypadła jej do smaku. Anna źle się czuła wśród tych postrojonych kobiet, które paliły i opowiadały sobie ploteczki, które Anna uważała za nieprzyzwoite.

Ani ojciec, ani matka nie poruszyli tematu przyszłego małżeństwa. Małgosia przychodziła dość często na Chłodną. Gdy była u Rogowskich zachowywała się jak najbardziej p. prawie. Nawet gdy się znaleźli sami w pokoju, nie pozwoliła się pocałować. Natomiast rozmawiała dużo z Anną. Zdobyła sobie sympatię Władzia. Aleksander był dla dziewczyn grzeczny, ale sztywny. „Ona musi być strasznie chytra powiedział kiedyś do Anny. — Zależy jej na Jędrku, wije się, łasi, ale zanadto góruje nad nim. Przy całej miłości dla syna pozostała chłodną obserwatorką. Dziewczyna intrygowała ją. Anna czuła, że Małgosia chce ją zdobyć. Właśnie ją! Czyżby nie widziała, że Jędrzek w swym zaślepieniu miłosnym zrobi wszystko, czego od niego zażąda? Mogła się nie liczyć z jego matką. A ona jednak chciała zdobyć Annę.

Po przemowie Gawętkiewicza Jędrzek zdecydował się na rozmowę z rodzicami. Nieoczekiwanie poszło to łatwiej, niż oczekiwał. Ani ojciec, ani matka nie powiedzieli słowa przeciwko samemu małżeństwu. Przyjęli rzecz, jakby była dawna przesądzona. Jedynie ojciec zastrzegł, że ślub ma poprzedzić paromiesięczny okres pracy Jędrka, aby mogli się przekonać, że jest to praca, która mu odpowiada. Trzeba było także ustalić sprawę mieszkania. Zdaniem Aleksandra młodzi powinni mieszkać samodzielnie, a nie u rodziców.

Stanęło na tym, że obie pary rodziców spotkają się ze sobą dla omówienia szczegółów. Do tej rozmowy doszło w kilka dni później — na Hożej.

Młodzi nie brali udziału w tej rozmowie. Jędrzek nie został zaproszony, a Małgosia została wyprawiona z domu. W rozmowie ustalono, że Jędrzek odpracuje dwa miesiące w jednym z pozawarszawskich oddziałów „Komety”. Przez ten czas rodzice zajmą się znalezieniem dla młodych mieszkania w Warszawie. Obie strony zobowiązały się, że będą wspierały młode małżeństwo niewielkimi kwotami przez pierwszy rok. Anna wróciła z tej rozmowy pod wrażeniem, jakie wywarł na nią Gawętkiewicz. O Gawętkiewiczowej miała od dawna jasny pogląd jako o kobiecie niezbyt mądrej, gotowej jak struś trzymać głowę w piasku, jeśli to mogło ją uchronić przed koniecznością trudnego wyboru.

Pośród złych opinii, jakie rozmaici znajomi znosili Aleksandrowi o Gawętkiewicz, znalazła w nim człowieka rzeczowego, rozsądnego i raczej sympatycznego. Próbowała w pewnej chwili wydobyć z mężczyzny odpowiedź na pytanie, które ciągle sama sobie stawiała: co tak bardzo zachęca Małgosię do małżeństwa z Jędrkiem. Gawętkiewicz odpowiedział uśmiechając się:

- O miłości, szanowna pani, trudno dyskutować. Kto to wie, co się komu w drugim człowieku podoba. O gustach mojej córki niewiele potrafię powiedzieć. Jest bardzo samodzielna i bardzo stanowcza w swoich poglądach...

Słyszałam od Jędrka, że wybierała się do teatru?

Tak, rzeczywiście. Może naprawdę ma talent? Tak przynajmniej sądzi Krystyna... Ale mnie się zdaje, że aktorstwo podlega tym samym prawom co każdy wolny zawód: nie wystarczy dobrze grać na scenie, trzeba jeszcze umieć sprzedać swoje umiejętności. Sprzedać dobrze, nie płacąc za możliwość grania całym swoim życiem. Obawiam się, że Małgosia nie należy do tych, co umieją sprzedawać swoje umiejętności, gotowa jest spalić się w zapale — a inni będą to wykorzystywali...

On ma rację, myślała. I ja też nie potrafiłabym dojść do czegoś w zawodzie. Robiłabym wszystko z poświęceniem, ale nie umiałabym za to czegoś żądać. Może ta dziewczyna jest do mnie trochę podobna?

W Lublinie, gdzie przyszło mu pracować, miał tylko jedną osobę sobie bliską: „kuzynkę” Krzywiańską. Siwowłosa pani zamieszkała w cichym mieście nad Bystrzycą przed kilku laty. Jak się zdaje, sprowadziła ją tutaj osoba starej służącej Eufemii, która służyła jeszcze u jej matki. Fema, która zamieszkała u swej córki na Łemszczyźnie, zgodziła się chętnie wrócić do pracy u „panienki” Marii. Krzywiańska wynajęła sobie mieszkanie na ulicy Szopena z oknami wychodzącymi na cichą, boczną uliczkę. Gdy Jędrak zjawił się u niej, przyjęła go z wielką serdecznością i zapowiedziała, że roztoczy nad nim opiekę. Znalazła dla niego pokój w tym samym domu na czwartym piętrze. Na posiłki miał przychodzić do niej. Troskliwa opieka ciotki i Femy pozwoliła Jędrkowi zapanować nad nostalgią i przygnębieniem wywołanymi bytem z dala od wszystkich, których kochał.

Posada była właśnie taka, jak zapowiedział Gawętkiewicz. Filia była mała, praca tutaj nie otwierała wglądu w działalność całej firmy. Wynagrodzenie przyznano mu skromne, tylko tyle, że wystarczające na egzystencję. Poza kierownikiem oddziału nikt nie wiedział o związkach Jędrka z osobą dyrektora firmy. Gdy wyjeżdżał, Gawętkiewicz powiedział mu, że będzie lepiej, jeśli nie będzie o tych sprawach rozmawiał z kolegami. Praca polegała przeważnie na załatwianiu spraw podatkowych firmy. Jak się Jędrak przekonał, firma zalegała stale z podatkami — jego zadaniem było targować się z urzędami finansowymi o memoranda i wyszukiwać wszelkie możliwe powody, aby podatków nie płacili. Nie przychodziło to zbyt trudno. Firma, jak zauważył, była dobrze widziana przez czynniki rządowe. Urzędnicy sami wynajdowali sposoby, aby rosnącą z roku na rok sumy zadłużeń przepchnąć na rok następny.

Dyrektorem filii był major Skok-Kaliński. Tęgi mężczyzna nosił w klapie marynarki znaczek Pierwszej Brygady. Do podwładnego sobie personelu przemawiał tonem rozkazującym. Jędrka, gdy zjawił się w biurze, przywitał protekcyjnym poklepaniem po ramieniu i oddał pod opiekę sekretarza, pana Malejki. Ten mały, niepozorny człowieczek o złośliwym uśmiechu i przymrużonych oczach był właściwym kierownikiem biura. To on wydawał w imieniu dyrektora polecenia, on przydzielał pracę i podpisywał skierowania do kasy. Siedział w kącie pokoju za biurkiem ustawionym w taki sposób, że mógł widzieć pracujących w wielkim pokoju urzędników. Pozornie zagrzebany w papierach, wszystko umiał dostrzec i usłyszeć. Pracownicy bali się go jak ognia, starali się mu przypodobać i we wszystkim potakiwali. Jedyną pociechą śledzonych urzędników był słaby pęcherz Malejki — sekretarz musiał co pół godziny wychodzić z pokoju. Ledwo zamknęły się za nim drzwi, w pokoju zaczynały się szepty i chichoty.

Malejko wyznaczył Jędrkowi miejsce po jednej stronie dwóch zestawionych ze sobą stołów. Naprzeciwko siedział złotowłosa panna Alinka. Była to dziewczyna bardzo ładna, choć o urodzie nieco ordynarnej. Włosy miała skręcone jak pudel, mocno pomalowane usta i krwawoczerwone paznokcie.

Do jej funkcji należało pisanie na maszynie i utrzymywanie małej kartoteki. Pisała szybko, waląc z ogromną siłą w klawisze. Czasami zatrzymywała się, aby zapytać Jędrka, jak się pisze jakiś wyraz. Jeśli nie było nic do pisania — co się zdarzało dość często — Alinka próżnowała. Ona jedna miała prawo próżnować. Polerowała wtedy paznokcie, przeglądała się w lusterku lub szydełkowała jakiś bajecznie

kolorowy sweterek. Kiedy zaczęło się robić cieplej i do pokoju wpadały promienie słońca, akurat na stolik panny Alinki, dziewczyna odkładała szczytkowanie, zakładała nogę na nogę, rozpinając bluzkę do ostatniej granicy przyzwoitości i płała się w nieróbstwie.

Przy każdej okazji wdawała się w rozmowę z Jędrkiem. Poinformowała go od razu pierwszego dnia, że bardzo lubi grywać w tenisa i zaproponowała, że mogliby ze sobą czasem zagrać.

Na drugi czy trzeci dzień Malejko zagadnął Jędrka:

Jak pan sobie ułożył u nas życie, panie kolego?

Wynająłem pokój. Mam tu ciotkę, która mnie karmi...

Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Wie pan, panie kolego, coś panu poradzę. Niech pan nie szuka tutaj znajomości. Muszę pana ostrzec, że w Lublinie jest dużo ludzi nastrojonych antyrządowo. To niedobre towarzystwo. My jesteśmy firmą prywatną, ale dzięki panu dyrektorowi zostaliśmy ustawieni korzystnie. Dyrektor byłby bardzo niezadowolony, gdyby pan wszedł w krąg tutejszych endeków. Po co to panu? Pan tu nie jest na długo. Niech pan lepiej pogra w tenisa z Alinką, albo pójdzie z nią do kina. To miła dziewczyna. Dla niej także będzie z pożytkiem, gdy się otrze o takiego inteligentnego mężczyznę jak pan...

Któregoś dnia rano, idąc do pracy, Jędrzek zobaczył ulicznego sprzedawcę, który sprzedawał gipsowe figurki Piłsudskiego. Ze trzydzieści białych postaci stało wokoło niego na chodniku. Figurki były dwojaki: jedne przedstawiały sztywną pompatyczną postać człowieka wspartego na szabli, drugie były plastyczną przeróbką znanej karykatury Czermańskiego: Piłsudski stał rozkraczony, z rękami w kieszeniach, w opadających spodniach, z dobrodusznym uśmiechem na twarzy. Trochę taki, jakiego Jędrzek pamiętał z tamtych czasów, gdy wpadł na niego na placu kościelnym. Po 26 roku, po zwolnieniu ojca z pracy, po buntach akademickich, po trudnościach ze znalezieniem posady — stosunek Jędrka do Piłsudskiego był zdecydowanie określony. Na jedno mógł się jedynie zdobyć — na milczenie. Jednak gipsowa karykaturka miała swój wdzięk. Tym wdziękiem godzi nieco z rzeczywistością. Kupił figurkę.

Ale Malejko, któremu pokazał figurkę, aż zatrzęsł z oburzenia:

Niech pan to natychmiast schowa i nikomu nie pokazuje. Obrzydliwość! Gdzie pan to kupił? Widzę, że się zaniedbuje. To skandal! Niech pan uważa, aby dyrektor nie zobaczył tego w pana rękach!

Jędrzek zabrał figurkę do siebie, ale schował ją dobrze. Wynajmował pokój u pary pobożnych emerytów. Nie rozmawiał z nimi na tematy polityczne, lecz z nastroju, jaki panował w domu, wywnioskował, że budząca oburzenie Malejki figurka mogła i tutaj wywołać zgorszenie — choć z zupełnie innych powodów.

Z panną Alinką umówił się na tenisa. Alinka trząsała rakieta z taką samą energią, z jaką waliła w maszyn pisania. Grała dobrze i Jędrzek musiał się mocno nabiegać, aby jej sprostać. Ale Alinka miała ochotę iść po tenisie do cukierni, na spacer lub do kina. Tenisa i kino były do pojęcia, ale na spacerze i w cukierni nie miał z nią o czym rozmawiać. Była głupia i zbyt prymitywnym sposobem zmierzała do tego, na co naprawdę miała ochotę. Ten prymitywizm czynił ją mniej niebezpieczną, ale Jędrzek pojmował, że musi ograniczyć spotkania i mieć zawsze na podorędziu jakąś wymówkę.

Przy obiedzie ciotka Krzywiańska rozmawiała wiele z Jędrkiem. Nie mogła się nazachwycać, że tak bardzo przypomina ojca. „Oleś w młodości był uroczym człowiekiem” mówiła. Z jej słów Jędrzek dowiedział się niejedno o ojcu. Te niepowodzenia w nauce, które nie pozwoliły mu skończyć szkoły, wyglądały całkiem inaczej w opowiadaniu Krzywiańskiej. „Twój ojciec postawił się nauczycielowi. I chciał mówić po rosyjsku. Za to go wyrzucili z wilczym biletem. Niełatwo mu było potem pomóc. Jako synowi człowieka skazanego na śmierć groziło mu, że będzie odesłany do państwowego zakładu wychowawczego...”

Jędrzek słuchał opowiadań Krzywiańskiej zaskoczony. Kochał ojca, ale nie był on dla niego postacią ciekawą. Ciekawsi wydawali się wujowie. Ale szybko zapomniał o opowiadaniach ciotki. W tej chwili najważniejsza dla niego była sprawa jak najszybszego ukończenia lubelskiego stażu i małżeństwo.

Po obiedzie wracał do siebie na czwarte piętro. Pisał codziennie długi, czterostronicowy list do Małgosi. Poza tym dużo czytał. W okresie szkoły, w czasie gdy entuzjazmował się teatrem, przeczytał wiele dramatów. Ale potem odszedł od lektury: zajął się pracą polityczną, społeczną i organizacyjną. Także uprawiał sport. Obecnie znalazłszy się w samotności wrócił do gorliwego czytania.

Tak biegły dni. Od Małgosi dwa razy na tydzień, zawsze w te same dni, przychodził list, napisany ładnie, starannie okrągłym pismem.

Minął kwiecień, zaczęła się maj — słoneczny, ciepły. Lublin pełen był kwiatów, zieleni. W Warszawie zapadła decyzja, że w czerwcu odbędzie się ślub (podobno Gawętkiewiczowa postawiła stanowczy warunek, że nie może odbyć się w maju). Po ślubie młoda para miała pojechać na dwa tygodnie do Rymanowa. To wymyśliła Małgosia przez pamięć spędzanych tam w dzieciństwie wakacji. Do Lublina nie miał już Jędrzek powrócić, czekała go praca w Warszawie, w centrali „Komety”. Małgosia pisała, że ojciec znalazł dla nich mieszkanie na Kopińskiej, blisko torów EKD.

Na pierwsze dni maja miał do Lublina przyjechać Gawętkiewicz w celu wizytacji filii. W ostatniej chwili Małgosia napisała, że przyjedzie razem z ojcem. List przyszedł późno, Jędrzek znalazł go po powrocie z biura. Miał tylko tyle czasu, by pospieszyć, ulicą biegnącą przez pola nadbystrzyckie, zdążyć na pociąg. Przybiegł zdyszany na dworzec z bukietem kwiatów. Pociąg zajechał. Z wagonu pierwszej klasy wysiadł Gawętkiewicz, a za nim Małgosia. Dziewczyna miała nowy płaszcz, nowy kapelusz, nowe uczesanie, nowe kolczyki. Wyglądała tak elegancko, że wydała się Jędrkowi jakby obca. Poczł się onieśmielony jej wyglądem, wręczył jej kwiaty i oficjalnie pocałował w rękę.

Skok-Kaliński przyjechał po Gawętkiewicza autem, aby go odwieźć do hotelu Victoria. Dla Jędrka nie było miejsca w samochodzie, musiał wrócić piechotą. Został jednak zaproszony na kolację.

Ta kolacja miała się odbyć w gabinecie przy restauracji. Mieli w niej uczestniczyć różni miejscowi dygnitarze, więc Jędrzek przebrał się w swoje galowe ubranie. Rzeczywiście — był aż zaskoczony osobistościami, które na kolację przybyły. Był tu i wicewojewoda, i starosta, i kilku naczelników wydziałów z województwa. Przyszedł także Skok-Kaliński oraz jakiś wojskowy w randze majora, z odznaką Pierwszej Brygady. Powitanie między Gawętkiewiczem a jego gościem było niesłychanie kordialne. Prezes „Komety” przedstawił Jędrka jako narzeczonego swej córki, co sprawiło, że wszyscy panowie, których Jędrzek znał tylko z widzenia, uścisnęli mu rękę. Małgosia zjawiła się w pięknej sukni ze srebrnej lamy i w srebrnych pantofelkach na małych nóżkach. Uczucie onieśmielenia, jakie

opano­wa­ło Jędrka na dworcu, trwa­ło dalej. Ale zaczę­ło ustę­po­wać, gdy dzie­wiczyna sie­dząc obok niego zasypy­wa­ła go czu­ły­mi sło­wa­mi. Mó­wi­ła mu o przy­go­to­wa­niach ślub­nych i o róż­nych warszaw­skich spra­wach. Zro­bi­ła mu przy­jem­ność mó­wiąc, że chod­zi czę­sto na Chłodną, aby się w róż­nych kwe­stia­ch porozu­mie­wać z mamą Jędrka. Roz­ma­wia­jąc ze sobą nie miesz­a­li się do roz­mowy dygnitarzy. Tyl­ko czasa­mi wpa­da­ły w ucho Jędrka poszczególne urywki toczącej się żywo dyskusji.

To na pewno wszyst­ko plotki — mó­wił wice­wo­je­woda.

Jestem tego tak­że pewny — zapew­niał starosta. Dziadek jest twardy. Sześć­dzie­siąt siedem lat — co to za wiek dla dzisiejszego czło­wie­ka? Pilnują zresztą jego zdro­wia doskonali lekarze. Kiedy go widziałem przed dwa­ma la­ty, trzymał się znakomicie.

Ale ciekawe, co powie pan prezes? Przecież widać się pan z ludź­mi, którzy sto­ją przy samym ołtarzu.

Nie mogę powie­dzić, abym na pod­sta­wie tego, co widzę, był cał­ko­wiec spokojny — rzekł Gawełkiewicz. Lekko, odruchowo ściszył głos. — Były wypadki za­sta­bnie­cia. Obawiam się, że może napraw­dę jest źle.

To by było straszne — zauwa­żył któryś.

To by było straszne — przy­znał Gawełkiewicz. — Trze­ba tak­że powie­dzić, że wielki czło­wiek uporząd­ko­wał wszyst­ko, jak­by się liczył ze swoim odejściem.

Uporząd­ko­wał? — zain­te­re­so­wał się wice­wo­je­woda. Tak pan mó­wi, prezesie? To kto by zdaniem pana prze­jmie schedę? Sławek?

Gawełkiewicz uśmiechnął się tajemniczo i pot­rzę­sa głową.

Nie, w żadnym razie...

Więc Rydz? — pytał wojskowy.

Śmigły dostanie wojsko.

Beck?

Myślę, że to jest kandydat na wielkiego następcę.

Chrząknęli i popatrzeli po sobie.

Jeżeli pan prezes ma rację... Hm... Pojadę jutro do Nałęczowa odwiedzić jego teścia. Może coś się dowiem — mó­wił wice­wo­je­woda.

Stary nie jest, jak mi się zdaje, w zbyt wielkiej konfidencji z zięciem...

Ścis­ka­jąc pod sto­łem dłoń Małgosi Jędrak pytał:

Zostaniecie na dłu­go?

Jutro wieczorem musimy wracać.

Nie będę miał ciebie wcale...

Prosiłam tatusia, aby cię na jutro zwolnili z pracy. Pójdziemy na miasto, pokażesz mi Lublin...

Nie będę mógł cię pocałować.

Znajdzie się okazja. Zostaw to mnie.

Kolacja przeciągała się. Panowie pili dużo i żądali od Jędrka, aby pił także. Jędrak pijał rzadko i pić nie lubił, ale miał mocną głowę i w potrzebie — a takie zdarzały się nieraz w wojsku — mógł przetrzymać niejednego. Namawiano także do picia Małgosię, ona jednak tylko maczała usta w kieliszku. Za to gdy w restauracji zaczął się dancing i do gabinetu przez otwarte drzwi wpadły tony muzyki, oczy dziewczyny błysnęły.

Chodź, zatańczymy — zaproponowała.

Wyszli z gabinetu i weszli na parkiet. Jędrak nie był zachwycony propozycją tańca. Tańczył źle i tańczyć nie lubił — co zawsze oburzało ojca. Bał się także, że jeśli obecni w gabinecie zauważą, iż Małgosia ma taką ochotę tańczyć, porwą mu dziewczynę, dostrzegł bowiem łakome spojrzenia, jakie rzucali na nią zwłaszcza ów wojskowy i Skok-Kaliński. Po przetańczeniu tanga i fokstrota wrócili do stołu — i wtedy rzeczywiście stało się to, czego obawiał się Jędrak. Obaj panowie zaczęli na zmianę brać Małgosię do tańca. Zjawili się także inni amatorzy z sali, którzy przedstawiali się Gawętkiewiczowi, a potem wrywali sobie dziewczynę. Nie siedziała teraz ani przez chwilę i, co zmartwiło Jędrka, wydawała się tym zachwycona. Tancerze wracali z nią do stolika, włączali się do rozmowy, pili, mówili dziewczynie śmiało żarty. Noc ciągnęła się, Małgosia tańczyła, piła, śmiała się i zaśmiewała się z tego, co mówili tamci. Znowu miał uczucie, że staje się dla niego kimś obcym. Prawie nie dostrzegała go. Czasami rzucała jakby z wymówką: „Czemu siedzisz taki nadęty?” Czasami siadała obok niego z westchnieniem: „Ach, nóg nie czuję! Powachluj mnie”. Ale ledwo muzyka zagrała na nowo, a któryś z mężczyzn wyciągnął do niej rękę, porywała się na nogi. Jak z łaski jednego walca przetańczyła z nim, ale w czasie tańca wciąż mówiła o tym, jak świetnie tamci tańczą. Ze złości Jędrak zaczął pić i w picu przeciągnął miarę. Zaczęło mu szumieć w głowie. Powiedział coś obraźliwego do jednego z mężczyzn, którzy przyszedli z sali i ciągle tańczyli z Małgosią. Ten odpowiedział również obraźliwie. Kłótnia przeszła w awanturę. Niewiele brakowało, aby doszło do bójki. Ale Gawętkiewicz ze starostą uspokoili ich, wymusili zgodę i podanie sobie rąk. Jędrak musiał znieść, że tamten zabrał znowu do tańca Małgosię. Gdy wrócili z parkietu, Gawętkiewicz zdecydował, że czas na odpoczynek. Jędrak odprowadził Małgosię i jej ojca do drzwi ich pokoju. Małgosia była naburmuszona. „Przez ciebie muszę iść spać! — powiedziała mu na pożegnanie. — A tak się dobrze bawiłam.”

Wracał przez puste, uśpione miasto rozgniewany na siebie, na cały świat. Po powrocie do domu nie mógł spać i przewracając się bezsenne na pościeli dochodził do coraz czarniejszej opinii o swym przyszłym małżeństwie. Był teraz pewien, że nigdy z Małgosią nie zdołają się po rozumieć. Do biura przyszedł w nastroju desperackim.

Małejko powiedział mu, że jest wolny i może iść z „córką pana prezesa” na spacer. Ale musiał czekać, bo Gawętkiewicz z Małgosią zjawili się dopiero koło dziesiątej. Tym razem Małgosia ubrana zwyczajnie, pełna była serdeczności. Cierpliwie starała się przewyciężyć zły humor Jędrka. „Nie powinieneś się gniewać na swoją dziewczynkę — mówiła pieszczotliwie. - Wiem, to było nieładnie. Ale ja tak strasznie lubię tańczyć... Czy to co złego? Powiedz sam. Przecież kocham ciebie. Naprawdę bardzo cię kocham...”

Nie musiała wysilać się zbyt długo, aby go rozchmurzyć. Znowu było jak dawniej. Trzymając dziewczynę pod rękę wędrował z nią ulicami miasta, pokazywał jej zabytki i kościoły. Rozmawiali, śmieli się, snuli plany, przyciskali się wzajemnie do siebie. Po paru godzinach chodzenia byli zmęczeni. Ciągłe byli na ulicy, ciągle na oczach ludzi. „Kiedy cię nareszcie będę mógł pocałować?” — nie przestawał pytać. W odpowiedzi kładła dłoń na jego dłoni i przyciskała ją mocno.

Kiedy znowu znaleźli się na placu Litewskim, powiedział;

Patrz, jak sobie ubłociłam pończochy. Zajdę do hotelu, muszę je zmienić.

Czy mogę iść z tobą na górę? — zapytał, gdy brał klucz od recepcjonisty.

Przecież nie będziesz tu czekał.

Na schodach i korytarzach leżały miękkie dywany. Pokój był jasny i wysoki. Miał balkon, który wychodził na Krakowskie Przedmieście. Po drugiej stronie ulicy był także hotel.

Ledwo zamknęli za sobą drzwi, rzucili się sobie w objęcia. Całowali się do utraty tchu.

No, puść mnie, puść — powiedziała w końcu. — Pomniesz mnie całą.

On jednak nie chciał jej puścić. Jego dłoń niezręcznie szukała na plecach dziewczyny zapięcia sukienki. Nie sprzeciwiła się, sama mu pomogła zdjąć ją i odłożyć na krzesło. Poddała się jego pocałunkom, którymi zasypywał jej ramiona i piersi. Ale gdy sięgnął dalej, przytrzymała jego dłoń.

Nie, nie — mówiła z zamkniętymi oczami. — Jeszcze nie teraz. Będziesz mnie miał, już tak niedługo. Ja też tego chcę. Ale nie teraz. Proszę. Co by twoja matka powiedziała? Bądź taki dobry, jaki byłeś dotąd...

W parę dni po wyjeździe Gawelkiewicza Jędrak, wyszedłszy rano na Krakowskie Przedmieście, w drodze do pracy odczuł jakiś dziwny nastrój panujący w mieście. Ludzie zatrzymywali się, stali grupkami przy czytających gazetę. Szybko podbiegł do starej kobiety, która pod gmachem poczty sprzedawała pisma. Jeszcze zanim rozłożył gazetę, już wiedział, o co chodzi: umarł Piłsudski.

W biurze panował nastrój grobowy. Skok-Kaliński i Malejko przyszli w czarnych krawatach i w żałobnych opaskach na rękawach. Urzędnicy rozmawiając mówili ściszonymi głosami. Malejko cały czas przebywał w gabinecie dyrektora, więc praca w biurze stanęła. Alinka, która była na - ten dzień - mówiona z Jędrakiem na partię tenisa, powiedziała żałobnym szeptem: „Pewno dzisiaj nie będzie można grać, prawda?” — a on nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Wychodziły jeden za drugim dodatki nadzwyczajne. W południe zadzwonił z Warszawy Gawelkiewicz. Po dłuższej rozmowie ze Skok-Kalińskim do aparatu został wezwany Jędrak. „Przyjedź do Warszawy — usłyszał. — Będziesz mi potrzebny. Załatwiłem już sprawę twego wyjazdu z panem majorem...”

Tak, niech pan jedzie — potwierdził słowa Gawelkiewicza Skok-Kaliński. — Będzie pan na pewno oglądał pogrzeb Komendanta, więc niech pan patrzy uważnie, aby nam tu wszystko potem opowiedzieć. Proszę nie zapomnieć o czarnym krawacie i opasce. Każdy uczciwy Polak obowiązany jest do noszenia żałoby.

Na Chłodnej przyjazd Jędrka powitany został tym radośniej, że nikt się go nie spodziewał. W domu pełno było przygotowań do ślubu i wesela, które miało się odbyć w jednej z warszawskich restauracji, ale obecnie, na życzenie Gawelkiewicza, przeniesione zostało do mieszkania Rogowskich.

Mieszkanie zmieniło nieco wygląd od czasu, gdy je Jędrzek ostatni raz widział. Jego pokój zajął Władzio. Ściany były teraz zawieszane modelami samolotów i szybowców, na meblach leżały śrubki, mutry i klucze samochodowe. Meble, które otrzymał Jędrzek na swe samodzielne życie, już były odesłane na Kopińską.

Pierwszą rzeczą po przyjeździe był telefon na Hożą. W słuchawce usłyszał głos Małgosi.

Jestem w Warszawie — powiedział — i chciałbym ciebie jak najszybciej zobaczyć. Czego chce ode mnie twój ojciec? Muszę się do niego zgłosić.

Wcale nie musisz.

Dlaczego? Powiedział mi Skok-Kaliński...

Och, to był tylko mój podstęp. Prosiłam tatusia, aby cię ściągnął urzędowo. Naprawdę nie jesteś tatusiowi do niczego potrzebny. Natomiast trzeba, abys się zajął różnymi sprawami związanymi ze ślubem. Kupa formalności, a ja nie mam na wszystko głowy. Powie ci Władzio, bo gdybyś nie przyjechał, on obiecał, że się tym zajmie. A poza tym, wiesz... Tatuś sądził, że po tym, co się stało, będzie lepiej, abys był tu, a nie tam... Czasami powiesz coś niepolitycznego...

Ale twój ojciec nie myśli chyba, aby ze względu na tę śmierć trzeba było ślub odłożyć?

Nie. Termin się nie zmienił. Będziemy tylko musieli odprawić uroczystość trochę mniej wystawnie. Ty jednak zawsze mówiłeś, że na wystawności ci nie zależy...

Zależy mi na tobie!

Będziesz mnie miał, będziesz, jeszcze ci się sprzykrzy.

Kiedy cię zobaczę?

W słuchawce panowała przez chwilę cisza.

Dopiero jutro...

Dlaczego? Dlaczego dopiero jutro?

Zrozum, mam urwanie głowy z terminami i spotka - i. Krawcowa, szwaczka, cukiernik... Jutro musimy być e w kancelarii w katedrze. Spotkamy się rano na Świętojańskiej...

I nie znajdziesz dla mnie ani godzinki? Mówię ci, nie dam rady... To ja wracam do Lublina!

Zwariowałaś? Ja specjalnie organizuję twój przyjazd, a ty się obrażasz. Już tak niedługo. No, nie krzyw się. Całuję.

Chmknęła w powietrze i wyłączyła się. Odłożył słuchawkę zawiedziony. Nie wiedział, co ma ze sobą robić. Władzio zaczął mu przekazywać sprawy, które miał załatwić.

Musisz pójść zrobić wyciąg... Metryka zamówiona, trzeba ją tylko odebrać. Dobrze, że przyjechałeś. Gdybym musiał te sprawy załatwiać, przepadłby mi dzisiejszy dzień.

Nie ma tego wcale tak dużo. Nie przepracowałbyś się.

Ale ja dziś latam, zrozum. Samodzielnie?

Tak. Mam już wszystkie uprawnienia pilota. Po co ci to? Bajeczna przyjemność. To może pójdziesz do wojska?

Nie. To nie dla mnie. Może będę cywilnym oblatywaczem? Zresztą nie muszę żyć z latania. Namawiają mnie, bym założył warsztat samochodowy. Małgosia bardzo ten pomysł chwali. A tymczasem żyje się miło... Pakował do teczki pilotkę, okulary i rękawice. - Za każdym razem nosisz ten majdan ze sobą?

Nie, to nie dla mnie. Swoje rzeczy mam na lotnisku, ale to dla pasażera. Mam zezwolenie na branie kogoś ze sobą.

Kogo bierzesz? Jurka?

Jurek dziś zajęty. Wiesz, któregoś dnia chciała ze mną latać Małgosia. Dziś biorę Wandę.

Kiedy Władzio wyszedł, Jędrrek zapytał matkę:

Co to za Wanda? Jakaś flama Władka? Lekceważąco wzruszyła ramionami.

Och, Władzio nie taki. Ma całą gromadę dawnych koleżanek. Dziś chodzi z jedną, jutro z drugą. Ale to tylko znajomości.

A co się dzieje z Jadzią?

Pisała ostatnio, że sobie kupiła motocykl.

Podobno Małgosia przychodzi do mamy?

Była kilka razy. Rozmawialiśmy o tym, jak urządzić mieszkanie. Ona jest bardzo praktyczna. Była tu także matka. Prosiła, abyśmy się do siebie zbliżyli. To dobra kobieta... Jej życie nie płynie tak przyjemnie, jakby się mogło wydawać.

Jak mamę znam, to teraz zacznie mama chodzić na czwartki.

Na czwartki — nie. Ale widuję się z nią.

Ojciec siedział na kanapie i czytał gazetę w czarnych obwódkach. Jędrrek przysiadł się do niego.

Co tatuś myśli o śmierci Piłsudskiego?

Rogowski odłożył gazetę, skrzyżował ręce na piersiach.

Co myślę? Myślę, że jakoś był wielkim człowiekiem. Nie lubiłem go i nadal jestem przekonany, że jego rząd były szkodliwe dla kraju. On sam może był uczciwy, ale tyle nieprawości popełnili jego ludzie...

Oni jednak nie odejdą. Mocno siedzą w siodle.

Ja także myślę, że będą się trzymali długo. A wiesz dlaczego? Zdawać by się mogło, że to idee cementują nas - mocniej ludzi. A tak nie jest. Idee zaczyna sobie człowiek po pewnym czasie tłumaczyć po swojemu. I wtedy powstają różnice, herezje, schizmy... A związki, które stworzył zwykły ludzki sojusz, okazują się trwalsze. Ludzie, choć nie wiedzą co ich naprawdę złączyło, odczuwają dawne koleżeństwo. Czasami tworzą sobie jeszcze mit, który ich jednoczy...

Był zaskoczony słysząc ojca tak mówiącego. Rogowski był człowiekiem prostym, nie wygadany. Decydował, a nie filozofował. Skąd mu przyszło snuć takie rozważania?

Kto będzie po Piłsudskim, zdaniem tatusia? — pytał. — Sławek, Śmigły czy Beck?

Czy ja wiem...? Sławka miałem okazję kiedyś poznać. Człowiek twardy i bezwzględny, ale przynajmniej wierzy w to, o co walczy. Podobny w typie do Piłsudskiego. Śmigły... — Rogowski potarł palec o palec. — To po prostu nic... Sympatyczny pan, uśmiechem kryjący pustkę. Za to Beck — o, to ktoś niebezpieczny. Wystarczy spojrzeć na jego twarz. Tego człowieka rozsada ambicja. A poza tym... Nie chcę nic sugerować, ale ta cała polityka zbliżenia do Hitlera jest chyba jego autorstwa. Nigdy nic dobrego nie wyszło dla Polski z takich zbliżeń. Hitlerizm budzi niepokój. To wyzwolenie najgorszych ludzkich instynktów. Czy w brunatnej koszuli, czy w pikelhaubie, Niemcy będą zawsze dla nas niebezpieczni.

To prawda, tatusiu. Jednak sytuacja polityczna, w jakiej jesteśmy, jest przerażająca. Bo z kim mamy iść? Francja zupełnie przegniła.

Francja gnije od czasu Napoleona. Oczywiście, wielki naród nie rozsypuje się od razu. Jeszcze potrafiłi przed dwudziestu laty stanąć do walki i zwyciężyć. Ale teraz to. już tego nie potrafią.

Jeśli odpadnie Francja — to z kim?

Z Panem Bogiem. Tylko z Panem Bogiem, Jędrku. Nie śmiej się. Im jestem starszy, tym częściej myślę, że to nie koniunkturalne sojusze mogą ocalić świat. Musimy znaleźć siłę w sobie, w tym, co w nas jest najgłębsze... Są tacy, co mówią: hitleryzm odwołuje się do narodu. Ale naród to rzeczywistość, a nie wykoncypowana idea. Dla hitlerowców naród to bożek, pogański, krwawy bożek domagający się ofiar. Nie jestem politykiem, mój kochany, ale wierzę, że także w polityce potrzebny jest Pan Bóg.

Dzień dłużył się Jędrkowi. Sprawy pozatałwiał, a wieczorem poszedł do jednego ze znanych sobie z czasów młodości kin w okolicach Chłodnej na film z Johnem Gilbertem. Ale sentymentalny film rozmarzył go, a potem rozdrażnił. Wróciwszy do domu zatelefonował na Hożą. Telefon odebrała Gawętkiewiczowa.

To ty, Jędrusiu? Pewno chciałeś rozmawiać z Małgosią? Nie ma jej, mój drogi, nie ma. Nie wiem nawet, kiedy wróci. Coś mówiła, że późno. Tak, ona dzisiaj bardzo zajęta. Przygotowanie wesela i wyprawy to wielka robota. Trzeba się nachodzić, nałamać głowę. Tylko mężczyznom się zdaje, że wystarczy mieć pieniądze... Cieszę się, że już niedługo wasz ślub. Chciałabym, aby to było jutro. Jestem pewna, że wasze życie będzie radosne i szczęśliwe. Małgosia będzie dobrą żoną. Musisz być tylko dla niej bardzo, bardzo dobry. Ona bywa czasami samowolna i uparta. Gdy jej się coś zamarzy, to wiesz, jakby taran... Ale dobrocią wszystko z nią można. Wtedy i ona jest dobra i kochająca. Dziś

już do niej nie dzwoń. Zadzwoń jutro. Och, masz się z nią spotkać? No, to jutro się nagadacie. Bądź zdrow, kochany Jędrusiu, bardzo serdecznie myślę o tobie...

Władek był wieczorem w domu i do kolacji zasiedli wszyscy razem. To była zawsze najmiłsza chwila — nie śniadanie, które każdy jadł oddzielnie, nie obiad, wiele razy przerywany telefonami, ale spokojna kolacja, kiedy nikt się nie spieszył. Rozmowa toczyła się o wydarzeni dnia.

Po nagłym ochłodzeniu i majowym śniegu, który połamała wiele gałęzi kwitnących drzew, wróciła ciepła, słoneczna pogoda. Trumna z ciałem Piłsudskiego była wystawiona w Katedrze. Całe tłumy szły, aby na nią spojrzeć. W Krakowie wybuchł ostry spór między metropolitą Sapiehą a Wieniawą i Prymasem o miejsce dla Piłsudskiego w kryptach wawelskich. Oburzeni sprzeciwem Sapiehy zwolennicy Piłsudskiego pienili się i odgrażali. Warszawa przygotowywała się do wielkiej defilady pożegnalnej na polu Mokotowskim.

Rano Jędrzek zadzwonił i trafił od razu na Małgosię. Głos dziewczyny brzmiał ciepło. Ze względu na ludzi zbierających się przed katedrą umówili się na Kanonii.

Przyszli prawie jednocześnie. Małgosia wyglądała ślicznie. Kilka razy przyciskał usta do jej miękkich dłoni, aż mu wyrwała.

Dosyć! Daj spokój! Patrz! — Ale jej oczy się śmiały. Nie możesz wytrzymać?

Nie.

W kancelarii katedralnej był tłok, jednak urzędujący ksiądz poznał w Jędrku młodego Rogowskiego i natychmiast sprawę załatwił. Nie musieli czekać. Po kilku minutach wyszli na rozświetlony plac staromiejski.

Czym wczoraj byłaś tak zajęta, że nie mogliśmy się zobaczyć? — pytał.

Zrobiła wymijający ruch ręką.

Ach, myślałam, że nie dam wszystkiemu rady. Tyle zajęć. Żebyś wiedział... Do późnego wieczora... — Nagle zmieniła temat: — Muszę ci opowiedzieć. Miałam dzisiaj nie zwykły sen...

Co ci się śniło?

Szli wolno, pod rękę, przytuleni do siebie. Powiedziała:

Przyśniło mi się, że wrócił Mietek...

Drgnął niemile. Mietek — powiedziała mu to kiedyś — to była litera M na ramieniu i czerwony Bugatti. Przyznała, że kochała tamtego szaleńczo. „Wiesz — mówiła wtedy — gdyby zawołał, byłabym poszła za nim jak ślepa, zrobiłabym każde głupstwo... Ale na szczęście odszedł i już nie wróci. To było, minęło. Na szczęście. On by mnie zrobił czarną niewolnicą. Byłabym nieszczęśliwa, bo ja jestem człowiekiem wolnym i chcę być wolna...” „A jednak, może byłabyś z tym właśnie szczęśliwa...?” — powiedział wstrząśnięty jej słowami. „Nie! nie! Nigdy! Na pewno!” — zaprzeczyła gwałtownie.

I co? — pytał.

Kiedy się o tym dowiedziałam, we śnie poszłam do ciebie. Nie umiem przed tobą nic ukrywać, więc powiedziałam: „Mietek wrócił i chce mnie zabrać...” A ty... — zatrzymała się.

Co ja powiedziałam?

Powiedziałeś: „Skoro możesz być z nim szczęśliwsza,- to idź”. — Spojrzała na niego. — Jestem pewna, że tak byś właśnie powiedział, gdyby się tak stało.

Szedł jakiś czas w milczeniu.

Może bym tak powiedział... Może by mi starczyło sił, aby tak powiedzieć... Kocham cię i dlatego chcę twego szczęścia...

Mocno ścisnęła przegub jego ręki, na którym spoczywała jej dłoń.

Wiedziała, że taki jesteś — prawie wykrzyknęła. — To za to cię kocham!

Poczuł gorycz w ustach.

Czasami wydaje mi się, że wolałbym, abyś mnie kochała nie za coś, ale nawet wbrew czemuś...

Wzruszyła ramionami.

Taka miłość nic nie warta. Mówię ci...

Szli i szli zatopieni w rozmowie, nie myśląc nawet, dokąd idą. Wokoło nich huczało miasto, podniecone dziejącymi się wydarzeniami. Wśród przechodniów widać było więcej mundurów niż zwykle.

Jędrzek pozostał w Warszawie do czasu wielkiej defilady żałobnej i odjazdu trumny do Krakowa. Niemcy były reprezentowane na pogrzebie przez Goeringa, co wywołało oburzenie Rogowskiego. „Przecież to najbliższy współpracownik Hitlera! — denerwował się. — Jak mogli się zgodzić, aby to właśnie on przyjechał!” Gawętkiewicz był przez cały czas obchodów pogrzebowych bardzo zajęty. Przez Małgosię posłał Jędrkowi zlecenie, aby wrócił do Lublina i zlikwidował tam swoje sprawy. Ślub miał się odbyć zaraz na początku czerwca. Początkowo był projekt, aby uroczystość odbyła się w klasztorze, którego założycielką była matka Benigna — od dawna już nieżyjąca. Projekt ten jednak upadł. Rogowski załatwił, że odbędzie się w katedrze. Po ślubie goście zostali zaproszeni na śniadanie na Chłodną. Pod wieczór młoda para miała się wymknąć do swego mieszkania.

Część czwarta

Serwus, Władziu. Mama w domu?

Władek aż na chwilę zaniemówił. Nie tyle może ze względu na stojącego w drzwiach nie widzianego od lat Selimowicza, ile na widok generalskich wężyków na jego mundurze.

Nie ma mamy, wujku. Jest tatuś. Ale mama zaraz wróci — dorzucił spiesznie. — Proszę koniecznie poczekać. Mama byłaby bardzo zmartwiona, gdyby wujka nie zobaczyła.

Wężyk na czapce nie zmienił Selimowicza. Był po dawnemu wyprostowany, smukły, urodziwy, skłonny do żartów.

A cóż tatuś? Pewno sobie pochrapuje?

Tatuś nie śpi. Pisze jakieś sprawozdanie.

Sprawozdanie? Myślałem, że skoro już jest na emeryturze, to tylko mówi różaniec, hoduje gołębie i śpi.

Och, nie, wujku, tatuś zawsze ma jakieś zajęcie. Pobrzękując ostrogami wszedł do saloniku. Władzio sprowadził ojca. Rogowski wszedł do salonu, mrużąc oczy. Wzrok zaczynał mu się psuć.

Moje uszanowanie, moje uszanowanie. Dawnośmy pa nie widzieli. Proszę chwilę poczekać, Anusia wróci za małą chwilę.

Gdzie pobiegła? Poważna pani powinna siedzieć w domu, na kanapie i bawić rozmową mężusia.

Tak pan mówi, jakby pan nie znał Anusi. Gdy nie ma swoich dzieci, aby się o nie troszczyć, troszczy się o wszystkie, jakie są w okolicy.

A wnuków bawić nie łaska?

Mamy tylko jedną wnuczkę. Miała ją przez pół roku u siebie...

To córka Jędrka, prawda? A cóż u niego?

Jakoś tam... — Rogowski skrzywił się. — Jego żona była chora, więc dziecko wzięła Anusia. Miała z nim robotę od rana do wieczora.

I była tym na pewno zachwycona, nieprawda? A Jędrak pracuje po staremu u swego teścia?

Nie, zmienił pracę. Trochę się poprawiło, nie wyrzucacie go z każdego zajęcia, może wybierać...

Kto to wy? My, Selimowicze?

Już pan wie dobrze.

A pan po staremu opozycjonista?

Na starość człowiek się nie zmienia. I wasz obóz się nie zmienił.

Selimowicz machnął lekceważąco ręką.

Nasz obóz?... Odkąd umarł Dziadek, nie ma już obozu. Wszyscy się pchają, jedni przez drugich. Jacyś tacy, których dawniej nikt nie widział...

Doszło do tego, do czego musiało dojść. Tylko kto teraz poniesie winę za to, że nasz kraj w chwili śmiertelnego zagrożenia rządzony jest przez różnych doskakiewiczów? W Monachium zostaliśmy sprzedani. A my, zamiast nad tym płakać, przyczyniliśmy się do rozdarcia Czechosłowacji.

Czechosłowacja też dobra. A płkanie w polityce, panie Aleksandrze, niewiele daje.

Czepia się pan słów. Czesi są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami.

Nie lubię ich.

Bo ich Piłsudski nie lubił, prawda? W polityce, proszę pana, nie należy się kierować lubieniem czy nielubieniem.

Z panem to też. Dawniej Moskale, teraz Czesi. Czy to pan prezes tak polecił?

Mnie nikt nic nie poleca. Nie lubiłem sanacji i nie lubię jej teraz. Zawsze ona nas dzieliła. Raz tylko jeden znaleźliśmy się blisko...

Pewno wtedy, kiedy pojechałem na Śląsk i przetrzepałem skórę Włochom za to, że bronili Niemców? Muszę panu powiedzieć, że wspominam serdecznie tamtą wyprawę. Szkoda, że Jędrzek nie był starszy, byłbym go zabrał ze sobą. Chociaż... Była wtedy gromadka kadetów ze Lwowa, którzy zgłosili się na ochotnika do powstania. Wśród tych chłopców siedemnastoletni Karol Chodkiewicz. W prostej linii pra-prawnuk hetmana. Ostatni z rodu. Zginął koło góry Świętej Anny w moich oczach...

Zebrało się panu na wspomnienia?

Zebrało. Może dlatego, że sytuacja polityczna jest parszywa. Idziemy do wojny.

Za tę wojnę może nie jesteście odpowiedzialni, mimo wyczynów Becka. Może jest tak, że nie będzie można jej uniknąć. Ale za przygotowanie do wojny odpowiedzialności zdjąć z siebie nie możecie.

Selimowicz zmrużył powieki i patrzył na Rogowskiego takim wzrokiem, że nie można było poznać: kpi po swojemu, czy mówi poważnie.

Z pana, panie Aleksandrze, to prawdziwa piła. Zgoda, za przygotowanie jesteśmy odpowiedzialni. Tylko co pan nazywa przygotowaniem? Jeżeli chodzi o przygotowanie żołnierza w sensie jego postawy bojowej — może pan być spokojny. Będzie się bił jak żaden inny. Ale choć pan nigdy nie miał na sobie munduru, chyba pan zdaje sobie sprawę z tego, że na dzisiejszą wojnę nie wychodzi się z kosami czy z szablami. Trzeba mieć czołgi, samoloty. A żeby mieć czołgi i samoloty, trzeba mieć przemysł, taki jaki mają Anglicy, Francuzi czy Niemcy. Nasz przemysł jest ubogi, nie może z tamtymi konkurować. Może można było zbudować coś więcej w ciągu tych dwudziestu lat... Ale czy dużo więcej? O, Anusia...! Witaj.

Anna weszła szybko do salonu. Pozwoliła się ucałować. Obrzuciła uważnym spojrzeniem twarze obu mężczyzn, jakby szukała na nich śladów toczzonego sporu. Selimowicz spostrzegł to.

Bądź spokojna, nie pobiliśmy się jeszcze — powiedział.

To dobrze. Mów, skąd przyjeżdżasz? Co się stało, że sobie o nas przypomniałeś? Tyle czasu cię nie widzieliśmy Ostatni znak od ciebie to była depesza na ślub Jędrka. A to już trzy lata...

Łatka leca. Słyszałem, że Jędrak ma córkę.

Tak. Nazwali ją moim imieniem.

Bardzo słusznie zrobili.

Jędrak pracuje, jego żona trochę choruje... Ale co u ciebie? Nie znam się na tym, ale widzę, że przybył ci jakiś piękny wężyk. Jesteś generałem?

Kazali mi odbyć studia sztabowe, zrobili generałem i odesłali do linii. Wcale się tym nie martwię. Skoro mamy się bić, to chcę się bić, a nie siedzieć na tyłach.

Więc ty naprawdę myślisz, że dojdzie do wojny? Oleś tak mówi, ale on 'ma zawsze czarne myśli i łatwo się niepokoi.

Gdy Anna zajęła się Selimowiczem, Rogowski przeprosił i wyszedł z pokoju, mówiąc, że musi skończyć sprawozdanie, bo za chwilę ktoś po nie przyjdzie.

Lubię drażnić twego staruszka, ale tym razem ma chyba rację.

Hitler rzuci się na nas?

Będzie straszył, póki się da. Wszyscy wokoło tchórzą, jest przekonany, że ustąpimy. Czego chce?

Tego się dopiero dowiemy. Tymczasem zapewnia o sympatii i miłości. Ale tylko jeden Beck w to wierzy.

Co ty myślisz o tym człowieku? Uważają go za zdrajcę.

Dla mnie to tępy jurysta, a do tego pyszny i zapatrzony w siebie. Jego ojciec był moim nauczycielem przyrody. Bardzo porządny człowiek. Ale gdy go spotkałem przed kilku laty, bardzo trząśł głową nad swym synem.

Jeśli wojna wybuchnie, co będzie z moimi chłopcami?

Nie wszyscy giną na wojnie, Anusiu. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale tylko zacisnęła usta.

Po chwili zapytała:

A twoje życie jak się ułożyło, Kaziku? Doszło do mnie, że się ożeniłeś.

Owszem.

Mówiono mi, że smałeś cholewki do matki, a potem ożeniłeś się z jej córką. Prawda czy złośliwe plotki?

Tylko złośliwi nie potrafią zrozumieć, że córki są na ogół ponętniejsze od matek. Ale już jesteśmy dwa lata po rozwodzie.

Dzieci nie mieliście?

Nie. Wszystkie talenty macierzyńskie w rodzinie zabrała Mańcia.

I co teraz?

Gdybym był ministrem, namotałbym sobie jakąś aktoreczkę. Ale jestem tylko dowódcą dywizji, więc muszę mierzyć niżej.

Wrócił do saloniku Aleksander, a jednocześnie weszła służąca, by powiedzieć, że herbata podana. Przeszli do jadalni.

A ty, Władziu, latasz? — pytał Selimowicz.

Latam, wujku.

Zgłoś się do mnie, przyjmę cię do wojska. Kiedyś mówiłem twemu bratu, że jak będzie wojna, chciałbym go mieć przy sobie. Ale on mnie zdradził, wybrał konika. Więc może ty?

Nie wiem... Służby wojskowej nie odbywałem...

Toś ty taki!?

Gdzie teraz mieszkasz, Kaziku? — wtrąciła się do rozmowy Anna.

Zasadniczo w Katowicach. Lubię Śląsk. I jest jeszcze wielu Ślązaków, którzy pamiętają, jak to było z tym batalionem włoskim, który, aby podprowadzić na nas Niemców zasłonił się dziećmi i babami.

A co Ślązacy myślą o wojnie?

Niepokoją się więcej niż wy tutaj. Znają Niemców, walczyć będą twardo.

Temat wojny wciąż powracał i przygłuszał wszystkie tematy. Kiedy wreszcie Selimowicz pożegnał się, Władek odprowadził go do czekającego przed domem auta.

Bądź zdrow — powiedział do chłopca na pożegnanie. Na pięknej twarzy Selimowicza nie widać było w tej chwili zwykłego, złośliwego uśmiechu. — Pozdrów ode mnie Jędrka. Uważajcie na rodziców. Ojciec postarzał się bardzo. Za to na matce nie widać lat. No, trzymajcie się. — Zwrócił się do żołnierza-kierowcy: — Jedź uważnie.

Żołnierz nacisnął klakson, aby rozpędzić gromadę chłopców, którzy otaczali auto i przyglądali się z zaciekawieniem każdej jego części. Ruszył dopiero, kiedy się dzieciarnia rozpierzchła.

Krystyna Gawętkiewiczowa siedziała w saloniku Anny. Blask dnia ujawniał zmarszczki pokrywające jej twarz i zwiędłe wargi, wygięte boleśnie do dołu. Wiele razy zapewniała Annę, że jest od niej starsza jedynie o dwa lata, ale Anna, patrząc na nią uświadomiła sobie, że różnica musi być większa. Włosy kobiety artystycznie pomalowane teraz stały być całkiem siwe. Pod oczami wisały ciężkie worki, szyja zbiegała się w fałdy niby mankiet fotografa. Gawętkiewicz przy żonie wydawał się niemal jej synem. Ale nie chodziło tu chyba tylko o różnicę lat. Gawętkiewiczowa starała się ukryć coś, co wbrew jej woli ujawniało się w wyglądzie. Także jej małostkowość, tak bardzo drażniąca Annę, mogła być jakimś świadomym trzymaniem głowy w piasku.

To by mogło doprowadzić do katastrofy ich małżeństwa — mówiła. Boże drogi, tak się z niego cieszyłam! Co tym myślisz, Anusiu? Mam zaufanie do twego rozsądku.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Rewelacje Krystyny zaskoczyły ją. Jędrzek nic jej nie powiedział o powodach pozostania Małgosi dłużej w Zakopanem. Prosił jedynie matkę, by zechciała znowu wziąć do siebie na jakiś czas małą Anię. Odpowiedziała, że naturalnie zajmie się chętnie dzieckiem.

To była dla niej tylko radość. Nareszcie miała przy sobie dziewczynkę, której pierwszym słowem było nie „mama”, ale „bapa” — czyli babcia. Ach, ta skrytość Jędrka budziła żal.

Muszę z nim pomówić — powiedziała.

Pomów, koniecznie porozmawiaj. Wytłumacz mu, że nie powinien mieć za złe Małgosi, iż się z tamtym spotkała... Ostatecznie to dawny znajomy. Przyjechał sam, ona go przecież nie zapraszała. Zresztą nic się nie stało...

Kto to taki?

Syn mojej przyjaciółki. Wyszła za mąż, we Lwowie, za kogoś bardzo bogatego. To prawdziwi milionerzy. Ten Mietek przyjeżdżał do Zakopanego, kiedy ja tam jeździłam na wakacje z Małgosią, jeszcze przed poznaniem Jędrka. Miał piękne auto. Jeździł nim jak szalony. Brał udział w różnych wyścigach. Kilka razy zabierał Małgosię na wycieczkę. Zawsze się bardzo bałam jego szybkiej jazdy. Ale przyznasz, że to nie było nic złego.

Nic nie było między nimi?

Jakżesz ty, moja droga, możesz podejrzewać Małgosię?

Myślałam o uczuciach.

Czy to można wiedzieć u takich młodych, czy coś czują do siebie? Ja tam niczego nie zauważyłam. Ładny chłopak, z temperamentem, może być dla dziewczyny zawsze pokusą... Ja takich pokus na szczęście nigdy nie miałam, ty, Anusiu, na pewno także. Ale pokusa to jeszcze, nic takiego. Gdyby tamtego kochała, nigdy by się nie zgodziła na małżeństwo z Jędrusem.

Muszę z nim porozmawiać — powtórzyła. — Więc jak zrozumiałam, Małgosia chce zerwać małżeństwo?

Ależ nie, broń Boże! To raczej Jędrus... Przyjechał do Zakopanego, zobaczył, że jest tam Mietek i że zabrał Małgosię na wycieczkę, zrobił jej awanturę i wyjechał.

A ten Mietek skąd się wziął w Zakopanem?

Po prostu przyjechał. On tak wpada i wtedy odwiedza Małgosię. Kiedyś był w Warszawie przed samym jej ślubem. Przecież to zwyczajna znajomość. Tadeusz mówił, że kiedy Jędrus pracował w Lublinie, to była tam panienka, z którą on spacerował i grywał w tenisa. Nikt o nią nie robił mu wyrzutów. Młody człowiek, samotny, w obcym mieście...

Nic nie wiem o tej panience.

Nikt ci o niej nie mówił, bo nie było o czym mówić. Małgosia nie obraziła się o tamtą, więc i Jędrus nie powinien się obrażać o tego Mietka. Wytlumacz mu to, proszę, moja droga. Byłabym niepokieszona, gdyby to małżeństwo miało się rozpaść. Tak się dużo po nim spodziewałam...

Gawętkiewiczowa wyszła, ale Anna długo nie mogła się uspokoić. Początkowo chciała o wszystkim opowiedzieć Aleksandrowi. Ale powstrzymała ją myśl, że Rogowski nie zna Gawętkiewiczów i odniesie się od razu wrogo do całej sprawy. Muszę najpierw wyjaśnić rzecz z Jędrkiem — zdecydowała. Ale była przygnębiona perspektywą czekającej rozmowy.

Poszła do telefonu. Zanim nakręciła numer, westchnęła do Matki Bożej. W słuchawce usłyszała głos syna.

Kiedy przyślesz Anię? — zapytała.

Chciałbym dzisiaj. Tak za godzinę. Dobrze?

Przyjedziesz razem z nią?

Przyjadę. Boję się wysłać małą tylko z Rózią.

Przyjedź. Zjesz kolację. A ja ci mam coś do powiedzenia ciekawego...

Mówiła tak, aby go nie spłoszyć. Żeby się nie zaciął w milczeniu. Czekając na syna nie mogła sobie znaleźć miejsca ani się wziąć do żadnej roboty. Aleksander wyszedł i wiedziała, że wróci dopiero późnym wieczorem. Po swojemu nieustannie kontaktował się z różnymi instytucjami i zakładami społecznymi, brał udział w zebraniach i naradach. Takie życie było dla niego jak narkotyk, bez którego nie umiał egzystować.

Stanęła przy oknie i widziała, jak taksówka zatrzymała się przed ich domem. Po chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Jędrus wkroczył z Anią na rekach. Dziewczynka z radosnym wrzaskiem rzuciła się w ramiona ukochanej „bapy”. Jakże kochała te malutkie rączki, opasujące jej szyję, i wiecznie mokrą buzię przyssaną do jej policzka. Rózia przypominała trochę Franię szerokim uśmiechem, który nie opuszczał jej twarzy. Została polecona przez znajome zakonnice. Anna przekonała się, że dziewczyna, choć niezbyt mądra, jest jednak uczciwa, porządna i co najważniejsze bardzo oddana dziecku.

Kiedy Ania zasiadła na rozwiniętym na tę okazję dywanie, przy zabawkach, które przechowywane były u dziadka na okazję jej przybycia, Anna zabrała Jędrka do jadalni. Postawiwszy przed nim szklanę herbaty, zapytała wprost:

Co to za jakaś historia między tobą a Małgosią?

Wydawał się zaskoczony. Długo, bardzo długo mieszał łyżeczką w szklance, zanim wreszcie zapytał:

To już mama wie?

Słyszałam. Ale chciałabym usłyszeć od ciebie. No cóż... — zdawał się szukać słów. — Małgosia kochała się kiedyś w pewnym facecie. Potem on zniknął, ona uznała, że rzecz skończona. Nagle teraz zjawił się znowu... Taka rzecz może się przecież zawsze zdarzyć. Może — przyznał. — To nie to, że ona go

znowu zobaczyła. Ale on... On jest taki, że jak kiwnie palcem, ona pójdzie za nim wszędzie! —
wybuchnął.

Jak to wszędzie? Dlaczego?

No tak. Ja taki nie jestem — powiedział z nagłą. — Ona za mną idzie, bo chce, a za nim gotowa pójść,
nie może inaczej... Gdyby to było przed ślubem, może i sobie bym jakoś wyperswadował... Ale on
zjawił się teraz, jesteśmy małżeństwem!

Dyszał ciężko. Pojęła, że to wyznanie musiało go wiele kosztować.

Czy ona chce odejść? — zapytała po chwili milczenia, nerwowo podrzucił ramionami. Tego nie
mówiła. Ona czeka, co on powie, czego zażąda... — Znowu wybuchnął: — Najlepiej byłoby strzelić
sobie łeb!

Nie mów głupstw! — powiedziała surowo. — Nie wolno tak mówić.

Ja wiem... nie powinienem...

Nie wolno ci.

Tak tylko powiedziałem. Ale myślę, że nie zrobiłbym go naprawdę...

To już grzech, gdy się tak mówi. Obiecuj mi, że nigdy k nie powiesz.

Skinął potakująco schyloną głową.

Więc nie powiedziała, że chce odejść? — pytała znowu.

Nie. Ale powiedziała, że ona sama nie zerwie z tamtym... Że nie potrafi...

Pokiwiała głową.

Może to nie jest dla niej łatwe... W każdym razie nie wszystko jest jeszcze stracone. Musisz sprawy
bronić. Sprawy waszego małżeństwa, sprawy Ani...

Zagryzając usta wyrzucił z siebie.

Nie mogę... nie chcę być Smugoniem!

Jakim Smugoniem? — nie rozumiała w pierwszej chwili, o czym mówi.

No o tym, z Przepióreczki...

Chciała zawołać: opamiętaj się! To jest życie, nie literatura! Ale zaraz przyszło jej do głowy, że kto wie,
przenoszenie literatury w życie ona sama nie ponosi winy.

— Żeromski zrobił z Przełęckiego bohatera, ale tak naprawdę to Smugoń był od niego lepszy. Są
ludzie, którzy potrafią porywać, czy to jest jednak ich zasługa? Co wyrosło z naszych marzeń? Zresztą
była dosłowna wojna o kobietę. A ty musisz walczyć o człowieka.

O duszę... — powtórzył na poły potakująco, nie akceptując z góry jej słowa.

O duszę — powtórzyła. — Tak cię wychowaliśmy. Zapanowała cisza. Tylko z drugiego pokoju dochodziło gaworzenie dziecka, a na podwórku Żyd-domokrążca wykrzykiwał: „Kupuję butelki, stare szmaty, stare garnki, kuuję, kupuję!” Zapytała:

Co to za dziewczyna w Lublinie, z którą podobno łąziłeś na spacerzy?

Wzruszył gniewnie ramionami.

Była w biurze taka głupia gęś. Siedziała naprzec mnie, musiałem z nią rozmawiać. Nudziłem się, więc chodziłem z nią grywać w tenisa. Oni sami w biurze wyprawiali mnie, abym z nią chodził. To był podstęp Gawętkiewicza, głos Jędrka nabrzmiał gniewem. — Niby to miała być dla mnie rozrywka, a chodziło o to, aby móc mnie oskarżyć, że miałem romans! On do tego zdolny!

Przestań. To ojciec Małgosi. Burknął coś, ale nic już więcej nie powiedział. Znowu zapadła cisza. Ania w drugim pokoju zapłakała. Anna zerwała się i wyszła do niej. Po chwili wróciła.

Nic się nie stało — powiedziała. — Wcisnęła lalkę do kołyski i nie mogła jej wyciągnąć. Może napijesz się jeszcze herbaty?

Nie, dziękuję. — Niespodziewanie rzekł: — Niech mama powie, co ja mam robić?

Spoza smutku przejrzała radość, jakby odbłask słońca powierzchni czarnej, groźnej wody. Po raz pierwszy od bardzo dawna usłyszała od niego takie słowa.

Powinieneś cierpliwie poczekać — powiedziała. Położyła dłoń na głowie syna i starając się odjąć głosowi ton narzekający. — Pomodlić się. Zwalczać gniew w sobie, nie dawać mu ujścia w słowach. Nie wyobrażać sobie... Nie mieszać ambicji z miłością. Jakikolwiek dar zdobywania posiada tamten, ty masz coś więcej, bo kochasz... O Anię się nie martw, będzie tu jej u nas dobrze. Tatusiowi nic tymczasem nie mów. Wiesz, że niełatwo pogodził się z twoim małżeństwem. Zaraz by się zaczął denerwować. Poczekajmy. Wierzę, że wszystko skończy się dobrze...

Jędrak nigdy nie lubił Gawętkiewicza, a z czasem zaczął czuć do niego prawdziwą niechęć. Chociaż po przeniesieniu do Warszawy miał właściwie wcale niezłą posadę w „Komecie”, przy pierwszej okazji zamienił ją na inną. Pracował obecnie w pewnej organizacji ekonomicznej, do której został przyjęty jako radca prawny oraz współredaktor wydawanego przez organizację pisma. Jedno i drugie było robotą nie wymagającą wielogodzinnego siedzenia w biurze, czego Jędrak nie cierpiał. A poza tym jego obecni koledzy byli ludźmi, z którymi czuł się swobodnie i miał wiele wspólnych spraw.

Małgosia wróciła z Zakopanego w nastroju trochę dziwnym. Przyjaciółkom mówiła, że wciąż nie czuje się dobrze, jednak nie można kurować się całe życie, bo człowiek ma obowiązki i musi się zabrać do ich wykonywania. O spotkaniach z mężczyzną, który teraz przyjechał srebrną Lancią, nie mówiła nikomu. Wobec Anny rozpytywała się w słowach wdzięczności za opiekę nad Anią. Zabrała dziecko i z większą niż dawniej starannością i energią zajęła się prowadzeniem domu. Oprócz Rózi, która miała być wyłącznie do dziecka, przyjęła drugą służącą, Stasię. Ta Stasia nie podobała się nikomu. Paliła papierosy i malowała się krzykliwie, kiedy miała wychodne. Wracała zawsze bardzo późno, za każdym razem tłumacząc swoje spóźnienie jakąś niezwykłą przeszkodą. Ale trudno jej było wymówić, gdyż poza tym spełniała dobrze swoje obowiązki i gotowała nie najgorzej.

Całonocna rozmowa, jaką Jędrzek miał z Małgosią w Zakopanem, nie miała dalszego ciągu. To, o czym wtedy zaczęła mu opowiadać z takim entuzjazmem, jakby nieświadoma tego, ile go ten entuzjazm kosztuje — już nie wróciło. Milczała — i nie dowiedział się, co się stało po jego odjeździe. Czy Przełęcki odszedł tym razem na zawsze? Ich życie wróciło zasadniczo do dawnego rytmu i pozostała tylko jakby luka w łączącej ich serdeczności, coś, o czym z jego winy — tak to odczuwał — już mówić nie można. Jedną tylko otrzymał satysfakcję: gdy kiedyś powiedział z oburzeniem Małgosi, że jej ojciec pragnął przedstawić jego znajomość jako przedmażeński romansik, rzuciła gniewnie. Kretynizm! Tatuś wiedział dobrze, że to nic takiego nie było, nie powinieneś być o tym nawet wspomnieć!"

Pewnego dnia Genio Konopka, kolega z pracy Jędrka obchodził urodziny i zaprosił kilku kolegów, z którymi był bliżej, na kolację do gospody pod „Złotą Kaczką”. Modny lokal na Królewskiej w głębi ogrodu, wstawiał się czynami kilku wyższych dygnitarzy państwowych, którzy podczas nocnej pijatyki wystrzelali z pistoletów, płosząc w baseniku złote rybki. Lokal był drogi, ale urządzone ze smakiem — miał znakomitą obsługę i zapraszający wierszem Paczyńskiego na ścianie.

Genio był mężczyzną wysokim, nieco zgarbionym, zachowującym się zawsze z wielką dystynkcją. Koledzy skupiali się przy nim. Więcej słuchał, niż mówił, a kiedy się odezwał, zawsze umiał ująć omawianą sprawę w lapidarną konkluzję. Nie endek, nie socjalista i nie interesował się żywo wydarzeniami politycznymi. Widać było, że sytuacja bardzo go niepokoi. W bogatym lokalu słuchał opinii kolegów. Rozmowa nie odchodziła od spraw grożącej wojny.

Po kolacji opuścili „Złotą Kaczkę” i szli przez plac Piłsudskiego. Nagle, wśród warkotu motorów, minęła ich jadąca środkiem placu kawalkada: kilku policjantów na motocyklach, a za nimi dwa otwarte auta, pełne wygalowanych dostojników.

Któryś z młodych ludzi zawołał:

Ribbentrop!

Wiadomo było z prasy, że hitlerowski minister spraw granicznych bawi tego dnia w Warszawie. Auta przemknęły obok grupki młodych ludzi, którzy zatrzymali się. Okrzyk widać był usłyszany i musiał być przyjęty jako powitanie, gdyż jeden z siedzących w aucie wychylił się i podniesieniem ręki pozdrowił mijanych. Kawalkada przejechała, i wpadła w otwartą bramę pałacu Blanka.

Te odwiedziny nie podobają mi się — rzekł Genio. Wiecie — zwrócił się do kolegów — przyjdźcie do mnie kiedyś wieczorem. Do domu. Nie dam wam kolacji jak dziś, ale coś wam chcę zaproponować...

Do tych odwiedzin dotąd nie doszło, a Genio nie chciał przed spotkaniem powiedzieć, co planuje.

Także ojciec Jędrka był bardzo oburzony wizytą Ribbentropa. Tego ekskupczyka o gładkich jasnych włosach, rozdzielonych na boku, uważał za jednego z najniebezpieczniejszych hitlerowców, a poza tym, bo o tym gdzieś przeczytał, za zażartego wroga religii.

Od kilku miesięcy Rogowskiego spotykały zmartwienia. Najpierw umarł kardynał Kakowski, który obdarzał ojca Jędrka serdeczną przyjaźnią. Ogromny, dwumetrowego wzrostu dostojnik nieraz żartobliwie klepał Rogowskiego po ramieniu i zapewniał, że za to, co uczynił dla klasztorów, zrobiłby go od razu swoim sufraganem, tylko „nie wiem, co mam zrobić z pana, panie Aleksandrze, żoną i

synami". „Chyba — zwracał się do Anny — chyba, że pani ma ochotę wstąpić do zakonu." „Nie — odpowiadała Anna — do żadnego zakonu nie pójdę, eminencjo."

Kakowski umierał, także pełen niepokoju. W ostatniej rozmowie z Rogowskim polecał jego opiece zakonnice, zwłaszcza szarytki. Biskupowi Gallowi zalecał, aby we wszystkich ważnych sprawach radził się tego „pocziwego" Rogowskiego.

Pierwszego stycznia odszedł podziwiany od tylu lat pan Roman. Z widowni politycznej zniknął przed kilku laty. Niewielki krąg przyjaciół wiedział, że choruje pod opieką rodziny Niklewiczów w Drozdowie. Umarł po przyjęciu sakramentów, akcentując w ostatnich latach swego życia odnaleziony katolicyzm. Ciało zostało przewiezione do Warszawy i miało spocząć na Bródnie. Ogromny pochód żałobny, złożony przede wszystkim z młodzieży, przeszedł przez most. Idący za trumną Rogowski natknął się na Jędrka. To było dla niego wielką pociechą, że mógł się wesprzeć na synu i że tak stali razem dotykając się ramionami. Po uroczystości pogrzebowej opuścił cmentarz ciągle w towarzystwie Jędrka.

Zawsze uważałem — powiedział — że to był człowiek, który wiedział, jak postępować.

Jędrak potakująco skinął głową. Gdy tak szedł za tą trumną nakrytą biało-czerwonym sztandarem, myślał o swoim — jedynym w życiu — spotkaniu, i o tym, że nie poznał człowieka, którego tak bardzo chciał zobaczyć.

A co u ciebie w domu? — pytał ojciec.

Wszystko w porządku. Ania rośnie. Wie tatuś, taka mądra, tyle mówi. Ostatnio powiedziała... Ale Rogowski słuchał tych entuzjastycznych słów z dezaprobatą. Kochał synów i wiedział, co to znaczy kochać dzieci. Ale wydawało mu się czymś niemęskim takie opowiadanie o pierwszych słowach dziecka. A poza tym Ania była dziewczynką, a on pragnął tak bardzo chłopca. Wnuk, myślał, przedłuża ród. Sprawa kontynuacji nazwiska zaczęła coraz natarczywiej odzywać się w sercu Rogowskiego. Zmienił temat.

Będziecie mnie kiedyś mogli pochować tutaj na Bródnie, gdzie leżą kardynał i inne znaczące osoby.

Po co tatuś opowiada o pogrzebie?! — Jędrak przerwał ojcu.

Minąłem sześćdziesiąt lat, mój drogi. Zmęczony jestem. Tylu bliskich odchodzi...

W lutym zmarł Pius XI. Było to dla Rogowskiego dotkliwe przeżycie. Gdy Achilles Ratti przyjechał, jako pierwszy nuncjusz papieski, były kłopoty z urządzeniem dla niego mieszkania. Panowała powszechna nędza, na wszystkich granicach toczyła się wojna, kraj był wyniszczony do ostateczności. Rogowski przejął się sprawą i po rozmowie z Anną postanowił ofiarować dla urzędnika nuncjatury kilka najlepszych swoich mebli. Przyczyniło się to do nawiązania serdecznej przyjaźni. Ratti nie zapomniał o Rogowskich, gdy został papieżem. Przywitał ich polskimi słowami w Rzymie, kiedy w 1925 roku odbyli jubileuszową pielgrzymkę. Pius XI umarł w kilka dni po oświadczeniu, że ofiarowuje swoje życie sprawie pokoju. Rogowskiego proszono, aby w różnych ośrodkach wygłosił wspomnienie o zmarłym papieżu. Wrócił właśnie z Włocławka, gdy przyszła wiadomość o wyborze kardynała Pacellogo. O Pacellim mówiło się, że jest autorem antyhitlerowskiej encykliki brenenden Sorge — i to nastrojało do niego życzliwie. Ale sprawę wyboru nowego papieża przygłuszyły groźne wydarzenia marcowe. Nagle rozerwana została Czechosłowacja i nikt nie pospieszył jej z pomocą, polska wyprawa na Zaolzie

budziła sprzeczne uczucia. Potem Niemcy wkroczyli do Pragi. Zaraz potem Hitler wezwał do siebie Becka, zapowiadając, że zażąda od niego natychmiastowego załatwienia pewnych poprawek granicznych. Wielokrotne zapewnienia, że nigdy niczego od Polski nie będzie się domagał, zostały brutalnie przekreślone. Nawet Beck zrozumiał, że teraz przyszedł czas na Polskę. Nie śmiał nawet podejmować pertraktacji, na które nikt w kraju byłby się zgodził. Zamiast do Hitlera, pojechał do Londynu. Zawarcie układu wzajemnej pomocy między Anglią i Polską wywołało atak furii Hitlera. Ze wściekłością podarł tak niedawo zawarty pakt o nieagresji. Zażądał z cyniczną bezwzględnością Gdańska i autostrady. W Polsce nie było człowieka, który by się zgodził na taką kapitulację. Pod naciskiem powszechnej opinii Beck zmuszony został do wygłoszenia w sejmie przemówienia niezbyt zręcznego, ale nieustępliwego.

Genio ponowił wreszcie swoje zaproszenie. Przy kawie u niego spotkało się kilka osób.

Chyba już teraz żaden z was nie wątpi — mówił Genio — że wojna wybuchnie lada dzień. Będzie krwawa i ciężka. Jeśli Francja i Anglia natychmiast nie wystąpią, będziemy musieli samotnie stawić czoła niemieckiej armii, która ma nad nami przewagę liczebną, a przede wszystkim techniczną. Wtedy nie zdołamy się jej oprzeć.

Obecni zaprotestowali.

Niemieckie czołgi to blef! Zwyczajne makiety dla oszukiwania.

Ich mechaniczny sprzęt nie zdał egzaminu podczas zajmowania Czech.

Nasz żołnierz lepszy.

Niech spróbują, to zobaczą.

Może trzeba się będzie na początku trochę cofnąć. Potem przejdziemy do ofensywy...

Genio trząsł głową.

Nie powtarzajcie sloganów, które głosi cała Warszawa. Mylicie się. Hitler blefuje wobec Zachodu, ale ma dostateczną potęgę, aby nas zgnieść, gdy będziemy samotni. Interesuję się tymi sprawami od lat, zbierałem informacje. Mają wielki przemysł wojenny. Anglia niegotowa, zaś Francja... Francja nie ma ochoty się bić. Zrozumcie, to już nie jest tamta Francja sprzed stu laty, w którą się u nas wierzyło i ciągle wierzy. I tamta zresztą biła się jedynie dla własnego interesu. Ale biła się. Co będzie, jeśli przyjdzie nam osamotnionym zmierzyć się z Niemcami?

Zapanowała cisza. Nikt takiej możliwości nawet nie brał pod uwagę.

Więc co, mielibyśmy skapitulować? — zapytał któryś. — Gdyby ktoś taką propozycję rzucił głośno, dostałby w łeb kulę jak amen w pacierzu!

Ja też tego nie powiem. Nie ma mowy o kapitulacji. Ale powtarzam: walka będzie długa i ciężka, cięższa niż się nam zdaje. Musimy się do niej przygotować. Powinniśmy stworzyć grupę, wciągając młodszych. Co myślisz o tym, Jędrku?

Czy ja wiem? Widzisz tę wojnę tak tragicznie. Sądzisz, że utkniemy w okopach na całe lata? To by było straszne.

Wcale tej wojny tak nie widzę. Nie ma wojny okopowej. Polska może być zajęta i okupowana, jak w tamtej wojnie.

A my?

Może przyjdzie nam walczyć na obcej ziemi, może wypadnie podjąć walkę partyzancką...

Nie, nie, to niemożliwe — starał się odeprzeć przerażającą wizję. — Francja ma potężną armię, i lotnictwo i flotę. Niemcy będą musieli walczyć na tyłach i załamają się. Muszą się załamać.

Jesteś wychowany na Dmowskim, a nie znasz ich. Trzeba im to przyznać: niełatwo będzie ich złamać. W tamtej nie walczyli także na dwa fronty...

Milczeli zaskoczeni opiniami Genia. Nigdy przedtem tak nie mówił. Wiedzieli jednak, że poza swą normalną pracą zajmuje się studiowaniem rozmaitych problemów politycznych i historią wojen. Opasy tom von Clausewitza leżał jego biurku.

Rozmowa skończyła się postanowieniem, że obecni spotkają się ze sobą i w razie potrzeby podejmą wspólną działalność.

Nie mogę żyć w takiej okropnej atmosferze — powiedziała Jędrkowi Małgosia. — Ciebie nigdy nie ma w domu. Biegasz po zebraniach, po spotkaniach, upajasz się przygotowaniem na wojnę! A ja muszę słuchać, jak wszyscy w mieście opowiadają rzeczy przerażające. Już się czułam dobrze, i znowu czuję się źle. Tak dalej żyć nie mogę! Muszę wyjechać. Ani także potrzebny wyjazd.

Chcesz wyjechać? Sytuacja zrobiła się taka, że nie powinno się wyjeżdżać...

Jesteś zupełnie jak twój ojciec! Przywiązałbyś mnie sznurkiem, abym, broń Boże, nigdzie się nie ruszyła...

Sytuacja, kochana, jest naprawdę poważna.

Tylko nic nie opowiadaj! Nie chcę tego słuchać! Stasia o niczym innym od rana do wieczora nie mówi. Mama telefonuje głosem umierającego łabędzia. Nie chcę tego słuchać, słyszysz?

Słyszę. Dokąd chcesz jechać?

Lena, jak pamiętasz, ma domek w Podkowie Leśnej. Powiedziała, że jeśli chcę, mogę w nim zamieszkać. Odpowiada ci to? Jeżeli już koniecznie chcesz jechać, to wolę, że pojedziesz do Podkowy, a nie do Zakopanego...

Dojrzał nagły błysk jej spojrzenia. Ale nic nie powiedziała.

Wezmę ze sobą tylko Rózię — podjęła. — Stasia niech zostanie. Będzie ci gotowała i pilnowała porządku. Ale musisz jej dopilnować, bo nie we wszystkim mogę jej ufać.

Kiedy chcesz jechać?

Jak najprędzej.

Odwiozę cię pojutrze, dobrze?

Jeśli sam chcesz odwieźć, będę ci wdzięczna. Obawiałam się, że będę musiała prosić o to tatusia.

Nie będziesz musiała. Najwyżej niech da auto.

Interesy „Komety” były ciągle kwitnące, może nawet stały się jeszcze lepsze od czasu, gdy powstało napięcie wojenne. Ale Jędrzek czuł, że Gawętkiewicz żywi do niego pretensję o odejście z firmy, a może jeszcze o inne rzeczy. Na zewnątrz byli wobec siebie grzeczni, mówili jednak tylko w sprawach ogólnych.

Czerwiec i lipiec były bardzo gorące. Dawno już ludzie nie pamiętali tak wspaniałego lata. Dni były złote, pełne słońca. Na polach stało dorodne zboże, ogrody pełne były kwiatów

rozrośniętych jarzyn. Czereśnie, truskawki, maliny i porzeczki obrodziły jak nigdy.

Domek w Podkowie był mały, otoczony sosnowym lasem. Przed gankiem złoczyły się i czerwieniły kwietne rabatki. W pobliżu domu stała pompa. Ania zaraz do niej pobiegła. Z zapalonym pompową wodę do małego wiaderka. Jędrzek odprawił samochód, wolał wrócić kolejką EKD. Siedział na ganku rozkoszując się wysokim szumem drzew, wonią kwiatów, widokiem córki biegnącej pod drzewami tylko w czerwonych majteczkach i chusteczce w grochy na jasnych włosach. Małgosia, która kręciła się przy wyładowanych z auta bagażach, podeszła do niego. Położyła mu rękę na ramieniu.

Czy nie prawda, że tu pięknie? — zapytała. — Jaka cisza. Nikt tu nie gada okropieństw, nie straszy, nie męczy. A może wzięłbyś parę dni urlopu i przyjechał tutaj? Wypoczniesz, uspokoisz się. Może nie będzie ci źle, może coś skorzystasz...

Ostatnie słowa powiedziała jakimś znaczącym tonem. Podniósł wzrok i zobaczył, że patrzy na niego ciepło i uśmiecha się. Po raz pierwszy była taka od tamtych zakopiańskich historii. Chwycił w rękę jej miękką dłoń. Tak bardzo pragnął powrotu do dawnej serdeczności, że gotów był o wszystkim zapomnieć.

Dobrze — rzekł. — Poproszę o urlop i przyjadę, szkoda, że już dziś nie mogę zostać... Ale może jutro...

Na pożegnanie przycisnął ją do siebie, całował w usta, w szyję. Poddawała mu się miękko.

Tej nocy przyszło do niego wezwanie na „ćwiczenia pułku...

Tego pierwszego dnia wojny, pełnego słońca, alarmów lotniczych, podniecenia i wrzawy zadzwonił telefon. W słuchawce zawodził głos Gawętkiewiczowej:

Ach, moja kochana, takie nieszczęście...

Co się stało?! — Annę ogarnął przestraszony. Tego dnia każda nowina wydawała się przerażająca.

Małgosia... Ona zawsze robi takie głupstwa. Aż moje serce nie może uspokoić... Rozstawiała jakieś łóżko. I, wyobraź sobie, ono spadło jej na nogę. Nie wiem dokładnie co sobie zrobiła, ale nie może się ruszyć. Telefonowała Róża. Trzeba by ją koniecznie sprowadzić do Warszawy.

Oczywiście. Ktoś musi po nią jechać.

Koniecznienie. Ale kto pojedzie? Zygmunt nie może ruszyć się z biura. Kazali mu być na miejscu... Auto zabrali. A ja wiesz, jaka jestem... Boję się. Jak tylko ogłoszą alarm, serce mi bije i ścisza mnie w żołądku...

Pojadę — zdecydowała porywczo.

Naprawdę? Chcesz pojechać? Moja złota... Od razu wiedziałam. Jesteś taka nadzwyczajna.

Nie ma o czym mówić.

Powiedziała służącej, że jedzie po synową, zostawiła kartkę z wiadomością dla Aleksandra. Wybuch wojny sprawił, że zaczęło działać wiele społecznych komitetów. Każdy z nich chciał mieć w swoim składzie Rogowskiego. Zaproszono także na Ratusz. Powiedział Annie: „Wyrzucili mnie. A teraz ci sami ludzie wzywają mnie. Ale naturalnie idę. Pomogę im, jeśli będą tego potrzebowali”. Nie zwracając uwagi na alarmy, z samego rana wyruszył z domu. Była pewna, nie wróci przed wieczorem. .

W ich domu mieszkał taksówkarz, pan Zieliński. Z okna zobaczyła, że jego auto stoi na podwórzu, a on sam grzebie w silniku. Zeszła na dół. Kierowca usłyszawszy, dokąd chce z nim jechać, zawahał się.

Nie mogę, proszę pani. To daleko. A z benzyną nie wiadomo, jak będzie...

Kiedy jednak powiedziała o wypadku Małgosi, uległ. Po kwadransie wyjechali. Na Grójeckiej zaskoczył ich alarm, przeczekali go w bramie. Artyleria przeciwlotnicza grzmiała, niebo pełne było błysków. Przepłoszone samoloty niemieckie zniknęły. Zebrany na ulicy tłum klaskał, jakby był świadkiem emocjonujących zawodów sportowych. Nastroje były bojowe.

A niech wiedzą szkopy, co to znaczy napadać na Warszawę! — mówił jakiś mężczyzna o wyglądzie robotnika. — Znowu przylecą, to znowu dostaną w kuper, aż się zakurzy. Hitler myśli, że wszyscy mają przed nim cykorię.

Pojechali dalej. Przy granicy miasta zatrzymał ich patrol wojskowy, ale podoficer wysłuchawszy, dokąd Anna jedzie i po co, nie tylko ich nie zatrzymał, ale sam nakazał na pobliskiej stacji benzynowej napęlić bak taksówki. Gdy odjeżdżali, powiedział:

Skoro sprawa taka ważna, niech pani jedzie. Nie ma pani maski? Proszę w takim razie zaopatrzyć się w tampony na twarz, na wypadek ataku gazowego.

Znalazła Małgosię leżącą na tapczanie, ale komenderującą Rózią, która pakowała rzeczy. Ania bawiła się przed domem.

Mama przyjechała! O Boże, jak się cieszę, że to właśnie mama chciała przyjechać! Jak to dobrze, jak to dobrze!

Siadła obok Małgosi na tapczanie, wzięła w rękę jej stopę. Była mała, zgrabna, o bardzo wysokim podbiciu.

Pokaż, co sobie zrobiłaś.

Ciężkie żelazne łóżko spadło na piętę. Na zewnątrz nie wyglądało to niepokojąco, ale zdrętwienie całej nogi mogło świadczyć o pęknięciu kości.

Zanim to zobaczy lekarz, trzeba bardzo uważać — zawyrokowała. — Nie możesz stawać na tej nodze. Zabandażuję ją i przeniesiemy cię do auta.

Małgosia nie zdawała się zbytnio przejęta uszkodzeniem nogi. Powtarzała:

Och mamo, jak się cieszę, że to mama przyjechała. Usiadła i usiłowała Annę objąć. Anna powiedziała:

Dobrze, dobrze, nie kręć się jednak. Musisz leżeć spokojnie. Spakujemy wszystko z Rózią i zaraz jedziemy. Pan Zieliński się spieszy.

Od strony Warszawy dochodziło wycie syren alarmowych, ale tutaj panował spokój, jakby wojny nie było.

Ciekawa jestem, gdzie jest Jędrzek — powiedziała Małgosia. — Na pewno wysłali ich gdzieś nad granicę...

Anna westchnęła w duchu. Czy ona się naprawdę niepokoi o niego? — myślała. Od Jędrka nie było żadnej wiadomości odkąd pojechał na „ćwiczenia”. Ton głosu Małgosi wydał się Annie zanadto lekki. Jednak walczyła z każdym odruchem niechęci do dziewczyny, która zabrała jej syna. Gdyby chociaż była pewna, że dała mu szczęście...

Władek był w domu, ale i on na pierwszą wiadomość o wybuchu wojny wybiegł na miasto i do chwili jej wyjazdu z Chłodnej jeszcze nie powrócił.

Gdy już byli gotowi do drogi, zapytała:

To dokąd mam cię zawieźć, Małgosiu? Na Kopińską czy na Hożą? — Zobaczyła utkwiony w siebie proszący wzrok.

A gdybym mamę poprosiła, żeby mnie wzięła na Chłodną? Czy nie byłaby to zbyt wielka prośba? Może narobiłabym kłopotu... Ale na Kopińskiej będzie mi ciężko leżeć samej.

Rozumiem. Ale sądziłam, że chcesz do rodziców.

Och, nie, nie. Mama będzie narzekała na Anię...

Jeżeli chcesz, naturalnie wezmę cię do nas. Władek na pewno odda ci swój pokój. A Ania przywykła do pobytu u nas. Na podwórku nie jest najgorzej...

Och mamo, jaka mama dobra.

Znowu poderwała się i objęła Annę za szyję. Anna poczuła, że policzek dziewczyny jest mokry. Czyżby płakała? Wydawała się zawsze kimś niezdolnym do łez.

No, no, wszystko będzie dobrze — zapewniła i niezgrabnie przesunęła dłonią po włosach Małgosi. — Musimy już jechać.

Pan Zieliński przeniósł Małgosię na rękach do auta. Wszyscy znaleźli się w samochodzie. Anna trzymała Anię na kolanach, dziecko cieszyło się i wykrzykiwało radośnie.

W mieście na ulicach były tłumy. Nie spadła tego dnia na miasto ani jedna bomba, więc wszyscy oswoili się z alarmami i nie chowali się, ale stojąc na chodnikach śledzili potyskujące bardzo wysoko na niebie nieprzyjacielskie ptaki. Z otwartych okien o szybach pokrzyżowanych przez pasy papieru, krzyczały głośniki radiowe. Donosiły o pierwszych walkach. Między ludźmi biegali gazeciarze ogłaszając krzykiem jakieś niezwykle sukcesy. Niemcy uderzyli, ale ponieśli wszędzie ogromne straty. Wiele wrogich samolotów zostało strąconych. Pisma natomiast rozpisywały się szeroko o bombach rzucanych na bezbronną ludność. Nie było ani słowa o wejściu do wojny Anglii i Francji.

W mieszkaniu na Chłodnej poza służącą nie było i teraz nikogo. Ani Aleksander, ani Władek nie wrócili. Anna sprowadziła żonę Michała i we dwie zajęły się ulokowaniem Małgosi. Basia i Małgosia bardzo się lubiły i natychmiast zaczęły obie wzajemnie różne rzeczy opowiadać. Anna poszła do telefonu. Nakręciła numer Świętokrzyskiej. W słuchawce odezwał się dziwaczny, nieokreślonej płci głosik.

To ja, Romku, Anusia. Głos w słuchawce stał się głosem brata.

Kto tam u was choruje?

Żona Jędrka. Miała wypadek. Przywiozłam ją z letniska.

Zaraz przyjadę.

Nie chciałam ciebie fatygować. Myślałam, że Antoś. — Syn Romualda był także lekarzem.

Antosia nie ma. Wyjechał. Ale ja przyjadę. Potem zatelefonowałam do Gawetkiewiczowej.

Przywiozłam Małgosię. Jest u nas. Za chwilę przyjedzie mój brat i obejrzy jej nogę. To nie wygląda źle. W każdym razie myślę, że będzie musiała jakiś czas poleżeć. Wzięłam ją do nas bo nie sądzę, aby można ją było zostawić samą na Kopińskiej...

Ach, jaka ty jesteś nadzwyczajna, Anusiu! Takiej jak ty nigdy nie widziałam. Chcesz się zająć i Małgosią, i dzieckiem?

Ania jest pod opieką Rózi, więc wystarczy tylko dojrzeć. Nasz dom zna. A Małgosi także wiele nie trzeba. Moja bratowa, która nic nie ma do roboty, bo jej mąż wyjechał, już do niej przyszła i już rozmawiają...

Zawsze będę powtarzała, że takiej jak ty nie ma drugiej na świecie. Cały czas się martwiłam, co ona, biedaczka, będzie robiła sama na Kopińskiej. Jakby, nie daj Boże, przyszło bombardowanie i trzeba było schodzić do schronu... Aż się źle człowiekowi robi, gdy o tym myśli. Siedziałam sama dzisiaj w domu i cały czas się trzęsłam. Musiałam kilka razy brać moje krople. Zygmunt musi ciągle siedzieć w biurze.... Pan Aleksander też pewno w mieście?

Oleś? Oczywiście. Nie utrzymałam go w domu.

Boję się, że ta wojna przyniesie coś strasznego.

Wojna jest straszna, na pewno.

Jędrus na froncie? Pewnie się za niego modlisz?

Naturalnie.

Mam taką modlitwę... Mówią, że strzeże od każdego nieszczęścia, ale ją trzeba mieć przy sobie. Dałam ją Zygmuntowi. Szkoda, że nie mogłam dać Jędrusiowi...

Bogu trzeba zaufać, nie karteczce.

Jesteś szczęśliwa, że masz taką wiarę. To taki dobry chłopiec. Małgosia bardzo go kocha, choć nie zawsze umie pokazać. Ciężar spadł mi z serca, gdy wiem, że ona jest pod twoją opieką.

Romuald przyjechał, obejrzał nogę, stwierdził, że nie ma ani złamania, ani nawet pęknięcia, zarządził okłady. Anna uprosiła go, aby przez chwilę odpoczął i napił się herbaty. Gdy pił, zapytała:

To Antoś wyjechał?

Tak. Objął kierownictwo szpitala pod Siedlcami.

Co ty myślisz, Romku, o wojnie?

Podniósł na nią zmęczone oczy, które coraz bardziej stawały się podobne do oczu starego Miniewicza.

Za parę dni będziemy tu mieli Niemców.

Jezus, Maryja! Co ty mówisz? Nie potrafimy się obronić?

Mają taką przewagę, że na nią nie pomoże największe nawet męstwo.

A Anglia? Francja?

Pokiwał głową.

Nim słońce wstanie, rosa oczy wyleje. Moje znajome Żydówki bardzo płaczą i bardzo się boją. A ja Żydom wierzę, oni zawsze dobrze wiedzą.

Co będzie z naszymi dziećmi?

Co Bóg da, Anusiu. Michał nie wrócił z Bydgoszczy?

Nie, wojna zaskoczyła go tam.

Tak... A syn jego tutaj?

Nie rozstają się z moim Władkiem.

Ano, muszę iść. Jeszcze mam kilka wizyt. Z nogą będzie dobrze, tylko niech ona na niej nie skacze. Macie schron?

Mamy dużą piwnicę. Ale przecież nie będą chyba bombardowali miasta? Podczas tamtej wojny...

Prychnął tak samo, jak robił to ich ojciec dla wyrażenia swojej, dezaprobaty.

Ten Hitler to krwawy szaleniec. Podobno powiedział swoim, aby nikogo nie oszczędzali. Czasy, w jakich żyliśmy skończyły się. Było w nich coś ludzkiego. W tych, co nadchodzą... Nie skończył, tylko potrząsnął głową.

Po wyjściu Romualda zajęła się Anią. Dziewczynka była nieśmiała, ale wobec babki otwierała się jak kwiatek do słońca. Zaczynała wtedy opowiadać o swych lalkach — tak zupełnie, jak kiedyś Jędrrek opowiadał o swoich żołnierzach. U Ani były to zawsze historie licznej rodziny, której była cała gromada sióstr i braci. Każde z dzieci miało swoje imię. Bawiły się, uprawiały ogród, hodowały kwiatki, chodziły na wycieczki, wędrowały po Tatrach, które oglądała z tarasu willi, podczas pobytu w Zakopanem.

Wiesz, babciu — mówiła — Tomek był bardzo wczoraj niegrzeczny. Bił się z innymi chłopakami. A Kasia sama przygotowała zakup dla wszystkich. Czy babcia nie mogłaby szyć dla Tomka i Jacka takich białych koszulek, jakie noszą chłopcy, którzy służą do mszy w kościele?

Słuchając tego gaworzenia ściubiła sukienki i komeżki, dla lalek. Ten głosik sprawiał, że sływały na nią spokój i radość. Świat dziecka był taki ciekawy — wcale nie miała chęci uciekania od niego do świata dorosłych, zwłaszcza teraz, gdy zawisła nad nim czarna chmura. A może to wszystko, co się działo od rana, to był tylko zły sen? — myślała. Wieczór zrobił się piękny i pogodny, nalotów nie było... Wstała, podeszła do radia. Ledwo jednak przekreśliła gałkę, do cichego mieszkania wtargnął krzyk: „Uwaga, przeszedł, 47 koma 2...” Westchnęła i zamknęła aparat. To nie był sen. Zgasiła światło i odsunęła zasłonę zawieszoną na oknie. Poprzez szyby, przekreślone papierowymi krzyżami, patrzyła na ulicę pograżoną w błękitnym półmroku. Przejeżdżały tramwaje siejąc niebieski blask. Gdzieś, myślała, jest Jędrrek... może walczy, a może czuwa... Była pewna, że żyje. Wydawało jej się, że czułaby, gdyby było inaczej. Jego nie było w tamtym wagonie ze snu, w którym widziała wszystkich swoich braci. Romuald i Witold wysiedli pierwsi... A za nimi cisnął się cały tłum cieni...

Odstąpiła od okna, obetkała je starannie zasłoną. Cicho zajrzała do pokoju Władka. Małgosia leżąc w łóżku czytała przy blasku małej lampki. Choć Anna stąpała cicho, musiała ją usłyszeć, bo podniosła głowę. Patrząc w mrok zapylała:

Czy to mama?

Ja.

Och, mateczko, jak mi tu dobrze. Jakby całkiem nie było wojny!

Aleksander uważał Małgosię za aktorkę, mówiła słowa zbyt gładkie i zbyt słodkie. Nie mogą być szczerze, także nie było łatwo przyjmować te wybuchy złości. Z rodzinnego domu wyniosła potrzebę dyskrecji w pokazywaniu uczuć. — Ale ona może naprawdę szuka tkliwości? Może powinnam jej odpowiedzieć tym samym? Może za mało ją kocham? Może wbrew moim wysiłkom ciągle jest we mnie jakaś niechęć do niej? Och, gdybym chociaż wiedziała, że Jędrrek jest z nią szczęśliwy! Kim jest ten człowiek, który ją odrywa od Jędrka...? — Jak może być ktoś jeszcze lepszy od jej syna?

Usiadła na brzegu łóżka. Dziewczyna przysunęła się pieszczotliwie do niej. Anna powiedziała:

Ania była grzeczna, ładnie zjadła kolację i od razu zasnęła.

Ja wiem, że przy mamie jest jej najlepiej. Gdybym umarła, chciałabym, aby to mama opiekowała się nią.

Co ty też wygadujesz? Babki umierają wcześniej, i nie babki wychowują dzieci, ale matki.

Nie każda babcia jest taka jak mama.

Nie pleć. Śpij. Trzeba się wysypiać na zapas, nie wiadomo, czy w nocy nie będzie jakiegoś nalotu...

Przesunęła dłonią po głowie Małgosi. Nie był to gest spontaniczny. Czują, że uraza tkwi w niej jak zadra.

Aleksandra i Władka wciąż nie było. Na mrocznej ulicy panował wielki ruch. Słyszała stąpania wielu stóp.

Ulice Lublina zavalone były tłumem ludzi. Z torbami, teczkami, plecakami kręcili się ludzie, których rozkaz pułkownika Umiastowskiego wypędził z Warszawy. Oprócz nich byli rezerwiści, na próżno szukający swojej jednostki jakiejś innej, która by ich zechciała ubrać w mundury i dać broń do ręki. Jeszcze inni obciążeni rodziną — to byli uciekinierzy z ziem zajętych przez posuwające się wojsko niemieckie, wystraszeni, nie wiedzący, gdzie mogą się znajdować, posuwający się biernie ciągle dalej i dalej na wschód. Między ciżbą cywili płatali się umundurowani żołnierze, nieraz posiadający broń. Podczas walk i gwałtownego odwrotu odbili się od swoich oddziałów i teraz nie wiedzieli, co ze sobą robić, gdyż nikt im żadnej informacji dać nie potrafił. Tych ludzi nie zwyciężył wróg, ale panujący bałagan.

Gdyby trafili w dobre ręce, gotowi byli bić się dalej z równą zawziętością. Ale odsyłano ich z miasta do miasta. Każda godzina obdzierała ich ze złudzeń i z nadziei. Byli głodni, zmęczeni, rozżaleni.

Jędrak był jednym z nich. Wysłany drugiego dnia wojny z plutonem na rozpoznanie, nie mógł już dołączyć do pułku, który tymczasem opuścił zajmowaną pozycję. Na próżno go poszukiwał. Cała brygada, można by sądzić, gdzieś się rozplynęła w płątaniu cofających się wojsk. Aby nie zostać ogarnięty, kilka razy musiał walczyć, wrywać się spośród otaczających go nieprzyjaciół. Podczas tego przebijania utracił większość swoich. Miał już tylko siedmiu ludzi zmęczonych, głodnych, wyczerpanych bezsennością i tyle samo ledwo trzymających się na nogach koni. Nie miał pojęcia, co ma dalej robić. Jakiś spotkany oficer z jego pułku powiedział, że pułk został rozbity i rozproszony, ale poszczególne oddziały mają się zgłosić na koncentrację do Lublina. Podczas nocnego marszu między Garwolinem a Lublinem ludzie Jędrka zostali kilka razy ostrzelani, nie wiadomo, przez Niemców, czy przez swoich. Nad ranem, napotkawszy jakieś oddziały piechoty idące obsadzić linię Wieprza. Jędrak zgłosił się do dowodzącego tamtymi pułkownika z prośbą, aby go razem z jego plutonem przyjął i użył do walki. W odpowiedzi został zwymyślany, posądzony o opuszczenie swojej jednostki i nazwany tchórzem. Był już jasny dzień, gdy dociągnął do miasta. Z zatłoczonego Krakowskiego Przedmieścia zjechał w Szopena. Odruchowo szukając jakiegoś oparcia, dotarł do domu, w którym kiedyś mieszkał. Zostawiwszy swoich ułanów na ulicy, wbiegł na piętro, zastukał do drzwi ciotki Krzywiańskiej. Ale drzwi były zamknięte. Sąsiadka, która usłyszawszy stukanie wyjrzała z przeciwka, powiedziała mu, że Krzywiańska bała się pozostawać sama w mieszkaniu i przeniosła się do jakiejś swojej znajomej — ale dokąd, tego kobieta powiedzieć nie umiała. Zmartwiony zeszedł z powrotem na ulicę. W czasie jego

nieobecności ułani zakrzętnęli się, zdobyli jakieś wiadra i zaczęli poić konie. Ale ani sami nie mieli co wziąć do ust, ani też dać do jedzenia koniom.

Gdy tak stał na chodniku zafrasowany i niezdecydowany, co dalej robić, usłyszał nagle:

Czy to pan Rogowski?

Odwrócił się i zobaczył dziewczynę. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest to Alinka. Zmieniła się. Jej dawniej poskręcane w pukle włosy były teraz proste i gładko zaczesane. Szminka zniknęła z twarzy, przez co wydawała się o wiele młodsza, a jej uroda mniej ordynarna.

Panna Alinka! — zawołał.

To ja. Co pan tu robi?

W paru słowach opowiedział jej o swoich perypetiach pierwszych dni wojny.

Nikt mi nie umie wskazać, gdzie mam szukać pułku - dokończył swe opowiadanie.

Boję się, że nikt panu tego nie powie. Do wczoraj był tu u nas jeszcze jakiś porządek. Ale po nalocie pozostało zamieszanie i bałagan. Ja panu coś poradzę. Niech zbierze pan swoich żołnierzy i pojedzie do nas. Mieszkamy daleko stąd, na Lubartowskiej. Przy domu jest ogród. Musicie trochę odpocząć, zjeść. Może się nawet znajdzie dla was kilka koni. A jak pan odsapnie, wróci pan do śródmieścia i czegoś się dowie...

Chyba przyjmę pani radę. Jeśli mamy być do czegoś zdolni, musimy odpocząć.

Prowadząc konie w rękę, zeszedł ulicą 3 Maja na drogę przy nasypie wśród pól, prowadzącą do dzielnicy Leszczków. Mgła, która wisiła nad miastem rano, zaczęła się rozpraszać, wstawał wspaniały, słoneczny dzień.

Nie zwlekajmy — powiedziała rozglądając się wokół siebie. — Mogą nadlecieć i znowu rzucać bomby.

Przyspieszyli kroku. Idąc zapytał:

Co u pani?

Nic nowego. Pracuję jak przed laty w „Komecie”, nic się zmieniło, jedni ludzie odeszli, inni przyszli... Nie poznał by pan biura.

Nie wyszła pani za męża?

Właśnie miałam wyjść, ale mego narzeczonego wzięli do wojska. Był gdzieś pod Mławą, ale gdzie jest teraz? A pan ożenił się z córką prezesa...

Tak.

Ale mówiono mi, że pan w „Komecie” już nie pracuje.

Nie.

Pewno dostał pan coś lepszego, prawda? Wiadomo było od razu, że pan pójdzie wysoko. Pan był z nami tylko dla poznania pracy. To się tak robi, prawda? A ja zawsze miło wspominam, że grywałam z panem w tenisa.

Ja też miło to wspominam. Wprawdzie w porównaniu z panią zawsze byłem patałachem...

Wcale nie. Przyjemnie się grało. I rozmawiało się miło. Pan taki inteligentny, przystojny, dobrze ułożony...

Eh, panno Alinko!

Kiedy naprawdę. Ja takiego jak pan w życiu nie potkałam. Moi znajomi to całkiem inni... Strasznie się ucieszyłam, jak pan powiedział, że będzie ze mną grać.

Spojrzał kątem oka na dziewczynę.

A ja myślałem — rzekł — że to pan Malejko polecił, by pani grywała ze mną.

Nie zaprzeczyła.

On chciał też. Jak pan miał przyjechać, to on już mówił, żebym pana wyciągała na kort. Żeby postarała się, aby pan się nie nudził. Nawet dali mi podwyżkę. Ale jak pan przyjechał, to nawet nie myślałam o tym, co Malejko mówił, bo mi samej było przyjemnie grać z panem. Pan zawsze był grzeczny, dobrze wychowany...

Tylko grałem jak noga — spróbował jej słowa obrócić w żart. — A pani narzeczony grywa w tenisa?

W jej słowach nie było entuzjazmu.

E, nie. On nawet i mnie nie pozwolił grać. Powiedział, że nie jestem Jędrzejewska i z mego grania nie będzie żadnego pożytku. Bo on chce, abym po ślubie rzuciła pracę i zajęła się tylko domem.

Byli już między domami, gdy nad miastem rozkrzyczały się syreny alarmowe. W górze, wysoko, słychać było warkot krążących samolotów. Potem rozległ się ostry wizg a zaraz po nim targnął murami miasta ciężki wybuch. Szybko wprowadzili konie do jakiejś bramy. Wybuchy rozlegały się teraz jeden po drugim. Bomby musiały padać na śródmieście, dość daleko od nich, ale gdy rozległ się dźwięk pikującego samolotu, mieli uczucie, że leci prosto na ich głowy. Alinka podeszła blisko Jędrka i oparła się całym ciałem o jego ramię.

Boję się... — szepnęła.

Odruchowo objął ją, a ona przywarła do niego. Czuł, jak jej jędrne, wysportowane ciało drży.

Proszę się nie bać — rzekł.

Nie bałabym się, gdyby ktoś był przy mnie — szepnęła. Przycisnęła się do niego jeszcze mocniej. Czuł na ustach jej włosy, na piersi jej pospieszny oddech. Uspokajająco gładził ją po plecach. Prawie miał ochotę, aby alarm trwał jak najdłużej. Ale on skończył się szybko. Po nalocie od strony śródmieścia słychać było zgiełk klaksonów samochodowych i zawodzenie karettek pogotowia. Oderwała się od niego z zdumieniem.

Chodźmy — powiedziała. — To już niedaleko, pan wypocznie...

Mówmy sobie ty — zaproponował.

Spojrzała na niego rozradowana.

Dobrze, doskonale. Może potrafię...

Rodzice Alinki mieszkali w małym skromnym domku stojącym w głębi ogródka. Teraz dopiero Jędrak przypomniał sobie, że opowiadała mu kiedyś dziewczyna, iż jej ojciec na skutek wypadku w fabryce przestał pracować, ale dostał dość duże odszkodowanie, i to mu pozwoliło na zbudowanie sobie domku. Ledwo weszli, mały, kulejący mężczyzna w koszuli i w szelkach zaczął gniewnie krzyżeć na córkę, że włóczy się po mieście, a oni niepokoją się o nią ucichł, gdy nagle zobaczył Jędrka. A kiedy mu Alinka powiedziała, kim jest przybyły oficer, i kulawy mężczyzna, i jego pulchna blondynka, która właśnie wyszła z domu, zaczęli Jędrka witać z ogromnym ugrzeczniem.

Ułani zaprowadzili konie do dużej szopy, stojącej w kącie ogrodu. Ojciec Alinki naciął im sierpem trawy, zaś Alinka przygotowała jedzenie dla wszystkich. Najadłszy się kaszy, polanej mięsny sosem ułani zwalili się pod ścianą - do snu. Jędrkowi także kleiły się oczy i zmuszał się, aby je trzymać otwarte i odpowiadać na pytania rodziców. Ale w końcu jednak słowa zaczęły mu zamierać na ustach.

Musisz i ty się przespać — powiedziała dziewczyna. Tu w mieszkaniu duszno i muchy. Chodź do ogrodu.

Pod drzewami wisiał rozpięty hamak. Dziewczyna przyniosła z domu koc i poduszkę, i zaścieliła Jędrkowi. — Może zdejmiesz chociaż buty? — zaproponowała. Pomogę ci. Wiem, jak się to robi.

Ale on zasnął, zanim zdołał dać odpowiedź.

Nie wiedział, ile czasu trwał jego kamienny sen. Obudził się w ramionach dziewczyny.

Obudź się — mówiła. — Obudź się! Znowu przyleciały. Strasznie bombardują...

Wszystko wokoło drżało od huku. Tym razem rzucali bomby gdzieś blisko. Wycie motorów rozlegało się raz po raz.

Na niebie kręciło się całe stado Samolotów. Nikt do nich nie strzelał, więc bezkarnie raz po raz któryś szedł w dół.

Zeskoczył z hamaka. Stali przytuleni do siebie pod rozłożystą jabłonią. Muskularne ramiona dziewczyny oplatały go. Alinka drżała.

Wybuchy wydawały się coraz bliższe. Razem z hukiem eksplozji słyhać było żałosne dzwonienie sypiących się szyb, łomot walących się ścian, krzyki ludzkie. Ułani rozbiegli się po ogrodzie. Dwa konie wyrwały się z szopy i w dzikim galopie biegały tratując grządki i rabatki.

Boję się, boję się... — szeptała gorączkowo. Nagle wydarła się z jego objęcia.

Rodzice w domu. Może śpią...

Lepiej, żeby wyszli.

Zawołałam ich. Ty zostań.

Rzuciła się biegiem. Ale nagle zawróciła. Dopadła Jędrka, wspięła się na palce. Poczł jej drzące usta na swoich wargach. Chciał ją objąć, ale odepchnęła go i znowu biegła w stronę domu. Widział, jak wbiega na ganek, jak znika w drzwiach.

Oparł się o pień drzewa. Warkot samolotów, świst lecących bomb, wybuchy, huk walących się ścian domów — nie ustawały. Miał zamęt w głowie. Nastąpiło w nim jakieś rozdwojenie, bo trząsał się i dygotał, a jednocześnie zdawał się na wszystko patrzeć z zewnątrz i chłodno rejestrować rozgrywające się przed jego oczami wydarzenia. Widział, jak za parkanem przebiegali w popłochu jacyś ludzie, widział wznoszące się w górę kłęby dymu, spowijające cały ogród. Coraz więcej koni wyrzywało się z szopy. Potem oślepił go straszny błysk i miał uczucie, że świat cały wali się na niego.

Oprzytomniał dźwignięty przez kaprala Złówkę. Nad nim stali jego ułani. "Uświadomił sobie, że jest cały obsypany ziemią, że ma czymś zranione czoło. Ale poza tym nic mu nie było. Z pomocą żołnierzy mógł stanąć na nogi. I wtedy zobaczył, że domek rodziców Alinki zniknął. Na jego miejscu wznosiła się kupa okopconych, dymiących gruzów. Zbliżył się do tej ruiny parę kroków, ale zatrzymał się bezradnie. Nie było mowy, aby można było odwalić ten stos cegieł, belek, pogiętych szyn. Mimo to chwycił jakiś drąg, próbował nim podważyć leżący na wszystkim zlepek muru. Martwy ciężar był jednak nie do ruszenia.

Nic z tego, panie poruczniku — powiedział kapral. — Ani nie damy rady, ani nic tam nie znajdziemy. Za tych, co tam byli, to tylko trzeba odmówić wieczne odpoczywanie. Trafili w dom prościutko...

— Może dlatego trafili, że my tu byliśmy... — szepnął drżącymi ustami. Znowu wyły klaksony i syreny karetek. Samoloty odleciały. Nad dzielnicą unosił się dym.

Jędrak stał dalej jak skamieniały. Widząc jego stan kapral sam wydał rozkaz do koni. Jeden był zabity, a jeden ciężko ranny i było trzeba go dobić. Kiedy już wszystko było przygotowane, podszedł do Jędrka:

Jedźmy stąd, panie poruczniku. Te dranie znowu mogą przylecieć.

Dał się biernie poprowadzić. Tego jeszcze wieczora gromadka ułanów dotarła do Piasek Luterskich.

Dopiero tutaj, w okolicach Krasnobrodu, odnalazł resztki pułku. Z jego plutonu pozostał tylko jeden ułan. Był to młody chłopak pochodzący z Kamieńczyka, który przez jakiś czas opiekował się koniem Jędrka. Kapral zginął, inni ułani gdzieś się zgubili. Już tylko z Frankiem Sobkowskim przedzierali się dalej we dwóch, dzieląc po bratersku każdym zdobytym kawałkiem chleba. Nocą trafili na tabory swego pułku. O świcie Jędrak zameldować dowódcy swój powrót. Pułkownik patrzył na niego wzrokiem nieprzytomnym. Powiedział:

Niech mi pan, poruczniku, przypomni, gdzie się odłączył. Aha, już teraz wiem... Wysłano pana na rozpoznanie... I teraz pan wraca. Został panu tylko człowiek? Rozumiem... Należymy teraz do dużej grupy, która znajduje się pod dowództwem generała Andersa. Maszerujemy na południe.

Przydzielam pana do czwartego szwadronu. Tam mają największy kłopot z oficerami.

Właściwie czwarty szwadron to były już tylko dwa pełne plutony. - Jedynym oficerem był dowódca szwadronu, porucznik rezerwy, człowiek już niemłody, z zawodu profesor wyższej uczelni. Wydawał

się śmiertelnie zmęczony dwoma tygodniami wojny i wystraszony ciężącymi na nim obowiązkami, z którymi nie umiał dać sobie rady. Z nie skrywaną ulgą przelał wszystkie swe uprawnienia na Jędrka.

Bardzo proszę, niech pan się zajmie całym szwadronem mówił. — Nie będzie pan miał zbyt wiele roboty. To już koniec... Teraz już tylko idzie o to, aby dotrzeć do granicy. Jeśli ją zdołamy przekroczyć, opuścimy kraj na lata całe. Wszystko, co było dotąd naszym życiem, skończyło się. Nie wiem, czy jeszcze kiedy zdołam wrócić do moich prac... Także czy zobaczę rodzinę... Pan też pewno ma rodzinę? Tak, panie poruczniku, tak, to straszne... Czuję się do tego wszystkiego fatalnie. Bardzo proszę, niech pan tymczasem obejmie nadzór nad wszystkim jako mój zastępca.

Profesor był zupełnie rozłożony psychicznie. Raz po raz wracał do swych czarnych przeczuć. Jędrak nie chciał tych. narzekań słuchać. Ze wszystkich sił odsuwał od siebie wszystkie myśli o domu, o tych, których kochał, o przyszłości. Chciał mieć jak koń kłapki na oczy, aby widzieć to tylko, co miał przed sobą.

Następnego dnia cała konna grupa posuwała się lasami i bocznymi drogami w kierunku granicy rumuńskiej. Każdy pułk maszerował osobno, trzymając się jedynie nakazanej osi, ale co pewien czas zjeżdżano się na otwartej przestrzeni i wtedy widać było kolumny jazdy, jadącej dwójkami, działka przeciwpancerne i taczanki. Niebo było szare, samoloty od kilku dni nie nadlatywały. Jędrak sennie kiwał się na kulbace, koń sam utrzymywał odstęp od jadącego przed nimi trzeciego szwadronu. Profesor poczuł się tego dnia chory i zsiadłszy z konia jechał na towarzyszącej szwadronowi taczance.

Minęło południe, była już może czwarta, gdy nagle rozszczękała się przed nimi gwałtowna strzelanina. Pułk znajdował się właśnie na leśnej drodze. Od przodu, przyszedł rozkaz: „Kłusem!” Strzelanina przybierała na sile. Kaemy zanosily się czkawką. Po małej chwili ostrej jazdy pułk zatrzymał się. Przyszedł rozkaz: „Z koni!” Po spieszeniu Jędrak miał zaledwie osiemnastu ludzi, dwa erkaemy i rusznicę pancerną. Pułkownik wezwał do siebie dowódców szwadronów, polecając jednocześnie, aby koniowodzi odeszli z końmi w las.

Stojąc na skraju kończącego się w tym miejscu lasu dowódca pułku wyjaśnił sytuację. Drogę posuwania się ich kolumny zamknęli Niemcy, zajmując leżącą za lasem wieś. Ogień nieprzyjaciela, choć gwałtowny, zdaje się wskazywać na to, że siły niemieckie nie są zbyt wielkie. Dlatego pułk otrzymał polecenie uderzenia na wieś i otworzenia drogi.

Tej nocy, kiedy odnalazł swój pułk, Jędrak ogarnięty był czarną rozpaczą. To maszerowanie z topniejącą gromadką, podległych mu żołnierzy poprzez chaos wrześniowej kłęski było dla niego doświadczeniem nad siły. Czuł się ostatecznie załamany. A jednak gdy odnalazł pułk — jeszcze raz odżyły w nim siły, zapał, wola walki. Deprymujące poczucie samotności ustąpiło. Nie widział, że pułk jest tylko szczątkiem zdążającym resztką sił. Zagrały w nim jakieś nieprawdopodobne nastroje. Poczul się znowu dowódcą, za którym idą żołnierze, ciągle jeszcze trwał. Rozsypał ułanów i szył z nimi naprzód. Czwarty szwadron posuwał się po skrzydle natarcia pułku.

Ogień niemiecki był silny, ale, jak dotychczas nieskuteczny. Pociski świstały nad głowami posuwających się grupkami żołnierzy. Własne kaemy podtrzymywały plucie ogniem. Kiedy jednak atakujący przebyli się do wsi i tak się zbliżyli do nieprzyjaciela, że widać było hełmy niemieckie, ostrzał stał się większy. Rozległy się jęki trafionych. Padło dwóch ludzi, gdy podrywali się z ziemi. Natarcie utraciło rozmach, musiał krzyczeć na żołnierzy, aby dokonywali skoku.

A tymczasem coś załopotowało w powietrzu. Olbrzymi ptak uderzył skrzydłami. Gdzieś zagrzmiął wybuch. Znowu słychać było łopot. Nagle spostrzegł, że mają przed sobą także artylerię i ta artyleria będzie bić po lesie, po stanowiskach kaemów osłaniających natarcie.

Atakujący przywarli do ziemi. Po linii przyszedł rozkaz: „Wstrzymać natarcie!” Jeden z żołnierzy Jędrka, ogarnięty paniką, zerwał się na nogi, chcąc uciekać. Pociski nieprzyjacielskie skosiły go w jednej chwili. „Spokojnie, nie ruszać się” — przekazywał Jędrak swoim. Po chwili szedł po linii rozkaz: „Wycofywać się pełzną!” Naraz obok siebie Jędrak usłyszał krzyk:

Panie poruczniku, czołgi! O Jezu! Jadą prosto na nas.

Rzeczywiście — od strony odkrytej flanki ukazało się kilka czołgów. Znowu jeden z żołnierzy zerwał się do ucieczki i natychmiast padł trafiony.

Rusznice! Rusznice tutaj! — krzyczał Jędrak. — przygotować granaty! Rzucać pod gąsienice!

Udało mu się zapanować nad paniką. Żołnierze wycofali się w stronę nadjeżdżających czołgów. Wyszukiwali nawet najmniejsze zagłębienia. Widział ich przyczajonych, z dłońmi, w której ściskali granat, przy ustach. Plutonowy, który obsługiwał rusznicę, wsparł długą lufę strzelby na małym kopcu. Bardzo głośny wystrzał ogłuszył leżącego w pobliżu Jędrka. Ale czołg został trafiony. Zakręcił się w miejscu i...

Dostał! Dostał! — wrzeszczeli ułani. Przerazenie zamieniło się w gorączkowe podniecenie.

Równocześnie gdzieś z boku zastukało działko przeciwpancerne. Mimo że las był pod ostrzałem, artylerzyści podjęli walkę z czołgami. Niektóre czołgi były trafione, inne wycofały się. Ale położenie znów przytłoczonych do ziemi ogniem karabinów maszynowych było nadal ciężkie. Także czołgi wzięły ułanów w krzyżowy ogień. Leżeli rozplaszczeni, nieznacznie tylko wyślizgiwali się do tyłu. Co chwila rozlegał się krzyk trafionych. Nad głowami leżących wciąż dalej wędrowały pociski artyleryjskie i biły w las. Płynęły kwadransy... Dopiero po jakichś dwóch godzinach ogień niemiecki ucichł. Zaczęło się robić szaro, mżył deszcz. Równinę ogarniała przedwieczorna ćma. Żołnierze teraz szybciej wycofali się z pola i nawet zrywali się na nogi i dopadali drzew, nie dał rozkazu zbiórki, więc kto znalazł się wśród drzew, biegł dalej, na ślepo, przed siebie. Pociski artyleryjskie padały jeszcze od czasu do czasu. Na lizjerze lasu leżały porozbijane karabiny maszynowe i działko. Nie brakło także trupów i rannych. Ci, którzy przeżyli, wycofali się. Jędrak szedł między drzewami — znowu sam. Jego żołnierze pobiegli się. Nie miał siły biec za nimi. Wlókł się ciężko i wolno. Ten las był straszny, podziurawiony i poszarpany przez pociski, pełen pokrwawionych ludzi i koni. Były miejsca, gdzie pocisk trafił cały zaprzęg: leżał tam cały stos ciał ludzkich i koni. Inne konie, ranne, szarpały się w wiążącej ich uprzęży lub skakały na połamanych nogach. Gdzie indziej z głębokiego wykrotu powiewały nogi końskie i dochodził jęk podobny do bolesnego stękania. Przebiegł koń z rannym brzuchem, z którego zwisały wnętrzności. Jędrak wciąż natykał się na ludzi pozabijanych i rannych wołających o pomoc. Szedł błędnie niby w makabrycznym śnie. Las się skończył, Jędrak znalazł się na wielkiej polanie ciągnącej się dobry kilometr aż po drugą ścianę lasu. Środkiem polany biegła piaszczysta droga. Wzdłuż niej leżały także porozbijane zaprzęgi. Dopalało się czarnym słupem dymu jakieś auto. Przy drodze kręcili się ludzie. Zajmowali się rannymi. Niektórych opatrywali na stojąco, innych układali na trawie. Książd w stule włożonej wprost na mundur pochylał się nad leżącymi i żegnał ich znakiem krzyża. Przeszedł obok rannych i chciał iść dalej, gdy nagle zatrzymał go widok

człowieka, leżącego trochę na boku. Był nakryty płaszczem, na którego rękawach, mimo osmalenia, widać było wężyki generalskie. Choć na oczach ktoś położył chustkę, Jędrrek poznał od razu znajomą postać. Odtrącił przykucniętego żołnierza i pochylił się nad nim.

Wuj Kazik?

Usta poruszyły się.

Kto to mówi? — usłyszał.

Jędrrek. Jędrrek Rogowski.

Jędrrek... Cieszę się... że mogę cię chociaż usłyszeć.

Czy mógłbym coś pomóc wujowi?

Mnie już nikt... Spaliłem się w aucie... Za późno przyszedłeś... Co z matką?

Została w Warszawie. Nic nie wiem.

Kiedy ją zobaczysz, powiedz... — głos Selimowicza łamał się.... — Miała rację... żałuję... że... że...

Choć przyłożył prawie ucho do ust rannego, nie mógł usłyszeć, co tamten mówi. Ktoś dotknął ramienia Jędrka. To był ten ksiądz w stule na ramionach.

Pan porucznik zna generała? — zapytał.

Tak, to mój wuj.

Bohaterski oficer. Byłem cały czas przy nim. Jeden z tych, którzy wytrwali do końca. Jeszcze dziś prowadził osobiście natarcie. Pocisk zapalił auto, którym jechał...

Ciężko ranny?

To już koniec. Udzieliłem mu przed chwilą absencji.

Nie mógł w to uwierzyć. Znowu pochylił się nad leżącym.

Zawołał:

Wujku! Wujku Kaziku!

Ale usta leżącego już się nie poruszyły.

Nie żyje — powiedział ksiądz.

Nie żyje... — powtórzył.

Wstał wolno. Polanę spowijała mgła stopiona z szarością wieczoru, siąpiącym deszczem i rozwleczonym po polach dymem. Podniósł wzrok na stojącego przed nim księdza, powiedział:

Co robić? Dokąd iść? Nie wiem...

Książd również bezradnie rozłożył ramiona.

Ja także nie wiem — rzekł. — Jesteśmy otoczeni, zostaną z rannymi. Ale pod lasem jest wieś. Zebrało się tam trochę tych, co wyszli cało. Słyszałem, jak mówili, że będą się starali przekraść przez linie Niemców. Niech pan idzie.

Dziękuję — powiedział.

Ciężkim, błędnym krokiem ruszył dalej drogą. Ktoś zapukał do drzwi wejściowych i Anna czujnie podniosła głowę. Była sama w mieszkaniu. Lampa karbidowa mruczała niby kot i paliła się białym płomieniem. Na stole piętrzył się stosik bielizny i ubranek dzieciennych.

W pierwszej chwili przejął ją niepokój. Kto to mógł być? Znała stukanie swoich. W czwartym roku okupacji wiedziała zawsze, kto stuka. Uspokoiło ją to, że było to stukanie ciche i dyskretne. Tamci tak nie stukali. Łomotali od razu wściekle i niecierpliwie, już samym stukaniem chcieli zastraszyć.

Podeszła do drzwi, uchyliła je. Postać kobieca na mrocznej klatce schodowej wydawała się nieznana.

Pani do kogo? — zapytała.

Do cioci. To ja, ciociu, Jadzia.

Wciągnęła ją szybko do maleńkiego przedpokoju zastawionego meblami aż po sufit. Gdy przed trzema laty musieli opuścić dom na Chłodnej, który został włączony do getta, udało się Aleksandrowi otrzymać w zamian, wspólnie z Michałem i jego żoną, trzy małe pożydowskie pokoiki na Długiej. Było tu ciasno, ponuro, w ciemnych kątach czaił się dziwny zapach. Przyniosła z pokoju lampę. Jadzia niewiele zmieniła się przez te lata, podczas których Anna nie wiedziała, co się z nią dzieje. Może- tylko jej rysy jeszcze bardziej zgrubiały, stały się prawie męskie. Miała jak dawniej mocne, stanowcze ruchy. Gdy tylko weszła do pokoju, wydobyla z torebki papierosy.

Czy ciocia pozwoli? Wiem, ciocia tak bardzo nie lubi...

Pał, moja droga. Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić. Co z tobą? Przyjechałaś z Wilna?

Przyjechałam, ale już dawno. Byłabym wcześniej wpadła, nie wiedziałam jednak, gdzie szukać cioci. Dopiero przed paroma dniami spotkałam przypadkowo Jędrka i on mi podał tutejszy adres. Nie chodzę na ogół po ludziach, aby ich nie narażać... Na wszelki wypadek proszę, aby ciocia pamiętała, że się nazywam Marta Jakusz i handluję sacharyną...

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

Wszyscy wy niby czymś handlujecie, a naprawdę...

Zakrzętnęła się, aby czymś poczęstować Jadzię. Nie bardzo miała czym. W domu u nich było teraz po prostu głodno. Żyli głównie z wyprzedaży. Nie wiadomo gdzie znajdował się Jędrka: konspirował, ukrywał się. Czasami wpadał, ale nigdy nic o swej działalności nie mówił. Małgosia mieszkała u nich na Chłodnej do czasu, gdy trzeba było mieszkanie opuścić. Dom na Kopińskiej został podczas oblężenia zniszczony, mieszkanie rozkradzione. Pozostawiając Anię pod opieką Anny, Małgosia pracowała i nawet przyczyniała się do utrzymania domu. Ale po stworzeniu getta, wróciła na Hożą do rodziców. Gawelkiewiczom nie powodziło się źle. „Kometa” otrzymała niemieckiego Treuhaena,

jakiegoś Rebindera, i dalej produkowała. Treuhaen zatrzymał Gawętkiewicza na stanowisku dyrektora. Pozostawali ze sobą w dobrej komitywie. Gawętkiewiczowa zapewniała, że to przyzwoity człowiek, i nie Niemiec, Austriak.

Władzio razem z Jurkiem opuścili kraj jeszcze we wrześniu. Tułali się gdzieś po świecie, w końcu okólną drogą przysłała wiadomość, że są w Anglii. Kilka razy doszły Rogowskich poprzez Portugalię małe żywnościowe paczki z kawą i sardynkami. Anna podejrzewała, że obaj są lotnikami w RAF-ie.

Pijąc gorącą wodę, zabarwioną karmelem i osłodzoną sacharyną, Jadzia opowiadała o swym życiu w Wilnie przed samą wojną i w pierwszych latach wojny. Z rozmaitych dopowiedzeń Anna wyciągnęła wniosek, że dziewczyna od początku wojny tkwi bardzo głęboko w konspiracji — i to w konspiracji zbrojnej. Gdy opowiadała o wysadzaniu mostów, torów i pociągów, oczy jej błyskały, a krótkie palce poźółtkie od nikotyny, poruszały się, jakby wykonując dziwne ruchy.

Więc spotkałaś Jędrka? — pytała.

Tak. On mnie nie poznał. Oczywiście występowaliśmy pod pseudonimami...

Nawet nie wiem, co robi i gdzie się obraca.

Tak trzeba, ciciu. A co robi jego żona? Dziecko?

Są oboje u jej rodziców. Małgosia jakiś czas tu mieszkała. Była bardzo dzielna... Żałuję, że nie mogę opiekować się Anią. Żebyś wiedziała, jakie to mądre dziecko! Dobra, czuła, wrażliwa. Oby taka została przez całe życie! Małgosia przychodzi czasami do nas i zawsze bierze ze sobą Anię. Boję się trochę tych ich spacerów, zwłaszcza teraz... Te łapanki, te egzekucje uliczne...

Im wojna będzie bliższa końca, tym Niemcy będą okrutniejsi. Wiedzą, że muszą przegrać. — W słowach Jadzi brzmiała zawziętość.

Anna pomyślała, że ta dziewczyna musi być nieustępliwym wojownikiem. Tak, czas był okrutny. Ale ona pomimo gorzkich lat przeżyć wojennych nie była wciąż jeszcze pewna, czy już naprawdę sięgnęła dna. Nie mogła zapomnieć rozmowy z tamtą siostrą...

To było na dwa lata przed wybuchem wojny. Udali się, ona i Aleksander, jak to się stało się ich obyczajem, do Częstochowy, aby odwiedzić Jasną Górę. Z Częstochowy pojechali do Krakowa. Niemordowanego społecznika zaproszono do zaprzyjaźnionego klasztoru znajdującego się na przedmieściu Łagiewniki, aby pomógł przełożonej rozwikłać pewne kłopoty. Klasztor otoczony długim murem, spoza którego wyglądały drzewa, leżał za dworcem stacji Borek Fałęcki na drodze do Zakopanego.

Anna nie była w Krakowie od tamtego czasu, gdy przyjechała na pogrzeb wuja. Wiedziała, że z Selimowiczów nie ma nikogo w mieście. Dom na Łobzowskiej został zburzony, na jego miejscu stanęła paropiętrowa kamienica. Pozostał tylko klasztor po drugiej stronie ulicy. Poszła na Łobzowską zaraz pierwszego dnia po przybyciu, podczas gdy Aleksander, otoczony siostrami, siedział nad stosem papierów. Po spacerze po mieście wróciła do klasztoru na obiad.

Rogowskim towarzyszyła przy stole przełożona. Była to zakonnica o wyjątkowo pięknej twarzy i wielkich, czarnych oczach pod łukami ciemnych, gęstych brwi. W jej zachowaniu była prawie arystokratyczna dystynkcja, choć wiadomo było, że jest kuzynką jednego ze znanych trybunów socjalistycznych. Anna знаła przełożoną, gdyż zanim znalazła się w Krakowie, była przełożoną domu w Warszawie.

Spacerowała pani po mieście? — pytała Annę. — Pani zna nasz Kraków?

Nie bardzo. Przyjeżdżałam tu do wujostwa, ale było to jeszcze przed wojną. Teraz jednak nikogo z kuzynów nie ma, a wiele się rzeczy zmieniło...

Wszędzie się zmienia, nawet w Krakowie — zakonnica uśmiechnęła się życzliwie. — Chociaż tutaj, mogłoby się wydawać, najtrudniej o zmiany. A jakie ma pani plany na popołudnie? Bo my chcemy jeszcze trochę pomęczyć pana naczelnika.

Do miasta już nie pójde, to daleko. Pospaceruję po ogrodzie. Tu tak pięknie. Tylko ta fabryka zaraz za murem w dole chyba matkom bardzo przeszkadza?

Trochę nas zatruwa swymi dymami. Niektóre siostry narzekają. No, ale co robić?

Po obiedzie Aleksander zasiadł znowu do narady, a ona opuściwszy niewielki, trochę ponury dom, udała się do ogrodu. Rosły tu wysokie drzewa, a między nimi ciągnęły się starannie utrzymane kwietniki. Szybko minęła zbudowaną z kamieni i kolorowych szkiełek kapliczkę, nie miała jakoś serca do tego rodzaju dzieł. Zawsze myślała, że Maryja jest największym pięknem i powinna być ukazywana jedynie w pięknie. Szeroko rozpostarte gałęzie drzew rzucały na ogród cień. Furtka w murze wyprowadzała na maleńki cmentarzyk. Anna zajrzała tam i cofnęła się. Idąc wzdłuż muru natknęła się na zakonnice, która, klęcząc na ziemi, oczyszczała rabatki z perzu. Wydawała się tak bardzo zajęta pracą, że nawet nie podniosła głowy, by spojrzeć na przechodzącą. Ale Anna zatrzymała się:

Niech Bóg pomaga — powiedziała.

Zakonnica drgnęła, jakby nagle obudzona. Wolno podniosła głowę. Anna zobaczyła twarz młodą, ale wychudłą, papierowo bladą, nakrapianą gęsto piegami; oczy duże, wyraziste. Siostra uśmiechnęła się.

Bóg zapłać — powiedziała. — O, pani Rogowska do nas przyjechała.

Siostra mnie zna? Zapytała zaskoczona.

Znam. Byłam w Derdach zeszłego lata. A pani przyjeżdżała z maleńką Anią...

Prawda! Teraz dopiero siostrę poznaję.

Byłam wtedy kucharką.

Jedzenie było, pamiętam, znakomite. Nigdy tak smacznie nie jadłam. A Ania wspominała długo wspaniałe ptysie z kremem. Ale siostra coś mizernie wygląda. Czyżby jakaś chora?

Trochę choruję...

I taka ciężka praca?

Nie ciężka. Matka przełożona powiedziała, że mogę nic nie robić. Ale ja prosiłam. Nawykłam, żeby robić. Nawet modlić się łatwiej, kiedy ręce zajęte.

Jednak siostra schyla się, klęczy.

To nic — zaśmiała się. Ale nagle spoważniała. Patrzy Annie prosto w twarz. Jej oczy stały się jakby jeszcze większe, błyszczące. Powiedziała jakimś innym zmienionym głosem: — Trzeba być przygotowaną na ten czas, co nadchodzi. To będzie straszne, straszne, straszne... — Znowu wróciła i rozwija się po staremu: — Mówiłam to siostram, ale one nie wierzą. Nikt nie chce wierzyć. Pani jednak musiałam powiedzieć...

Mnie? — poczuła dreszcz zbiegający wzdłuż krzyża. — dlaczego mnie?

Pani, bo pani powiedziała kiedyś Jezusowi, że zdaje się na czystą Jego wolę. Jezusa to bardzo ucieszyło. I mówi, że zażąda od pani wiele...

Patrzyła na zakonnice na poły przestraszona, na poły niedowierająca.

Mówi...? — powtórzyła.

Mówi — potwierdziła zakonnica. — Niech pani się modli. Niech pani ufa. On chce, abyśmy zaufali Jego miłosierdziu. Jego boli, gdy się Mu nie ufa. On nie chce karać. Wszystko gotów wybaczyć. Pragnie tylko, byśmy ufali. Niech pani nie przestanie ufać...

Gdy wieczorem przyszła na kolację, narada była już skończona. Przełożona patrząc na Annę swymi pięknymi oczami zapytała:

Nie zanudziła się pani całe popołudnie sama?

Nie, proszę matki. Byłam w ogrodzie. Spotkałam jedną siostrę, którą znam, bo była kiedyś kucharką u matek w Derdach. Rozmawiałam z nią. Długo... To niezwykła siostra...

To prawda — skinęła głową. — To bardzo niezwykła siostra. Może nie zasłużyliśmy, aby mieć taką? Niełatwo się na niej poznać... A teraz za późno...

Ona chyba chora?

Ciężko chora... I chce odejść...

Oderwała się od tych myśli. Powiedziała:

Jestem pewna, że jeszcze niejedno nas czeka. Czy wiesz, Jadziu, że stryj Romuald nie żyje?

Nie wiem. Co się stało?

Miał przyjaciół Żydów. Znalazł dla nich ukrycie, odwiedzał ich tam, leczył. Niemcy odkryli kryjówkę i przyszli, gdy on tam był. Wystrzelali tamtych. I jego jako Żyda...

Urwała. Choć już od tego czasu minęły dwa lata, żal po śmierci brata pozostał. Bywał szorstki, pozbawiony sentymentów. Trzymał się na uboczu. Ale przypominał ojca i wiedziała, że w trudnej chwili może zawsze liczyć na jego pomoc.

Chwilę milczały, potem rzekła Jadzia:

To i ja coś cioci powiem. Wahałam się, czy powiedzieć bo wiem, że to ciocię zabolí. Stryj Witold nie żyje.

Jak się to stało?

Głos Anny tylko na pozór wydawał się spokojny, wewnątrz był pełen drżenia.

Nie wiem dokładnie. To wydarzyło się w czterdziestym pierwszym. Stryj był w jakimś konwoju...

Więc już dwóch, myślała, dwóch wysiadło z mego grona. W pokoju trwała długa cisza. Przerwało ją zapalenie światła elektrycznego — skończył się czas, na jaki prąd zostawał dla oszczędności wyłączany.

Stryj Michał — zapytała Jadzia — znajdował się podobno w Bydgoszczy, gdy wybuchła wojna?

Tak. Ale szczęśliwie udało mu się wyjść z miasta zanim wkroczyli do niego Niemcy. Mieszkał z nami. A może coś wiesz o ojcu i o stryju Pawle?

O ojcu w dalszym ciągu cisza. Pewno nie żyje. A stryj Paweł był w Grodnie i myślę, że jest tam ciągle.

Znowu zapadło milczenie. Teraz przerwała je Anna:

Robi się późno. Może zostaniesz na noc? Może nie masz dokąd iść?

Jadzia potrząsnęła głową.

Dziękuję cioci. Nie byłabym bezpiecznym lokatorem. Ale mam swoją melinę niedaleko. Zdążę. Muszę już jednak iść. Do widzenia cioci. Strasznie miłe wspominałam tamten czas, gdy mieszkałam u cioci.

Och, moja droga. Zawsze wyrzucam sobie, że nie umiałam cię zrozumieć.

To ja byłam nieznośna. A ciocia była taka dobra. Czy ciocia pozwoli, że jej powiem jedną tajemnicę?

Mów, kochana, mów, naturalnie.

Uciekałam od cioci, bo zakochałam się w Jędrku, było głupie, prawda?

Dlaczego głupie? Jesteście kuzynami, ale...

Jędrzek nie lubił mnie.

To nieprawda. Pytał nieraz o ciebie.

Rzeczywiście? Pytał? To ładnie z jego strony. Wybiłam to sobie z głowy... Nie mam do niego żadnej pretensji, żadnej, ciociu. Niech mu się we wszystkim szczęści. Każdy wybiera, jak chce. Nikogo się nie zmusi do kochania. Ja o tym cioci dzisiaj powiedziałam, to tylko dlatego, że chciałam, aby ciocia wiedziała. Taki czas. Może się już więcej nie zobaczymy... Nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko objęła ramieniem dziewczynę i mocno przycisnęła do siebie, niedługo po wyjściu Jadzi zjawił się Aleksander. Dyszał — widać szedł szybko ze względu na spóźnioną porę. Pod pachą tulił bochenek chleba. W jednym z klasztorów, które po staremu odwiedzał i wspomagał radami, wypiekano nielegalnie chleb. Pewno od tamtych siostr otrzymał ten bochenek. Podał go Annie z dumą.

Będziemy mieli co jeść — powiedziała. — Ale nie powinieneś tak szybko chodzić. Nie jesteś już chłopcem. Co tam słyhać u siostr?

Mają, wiesz — odruchowo ściszył głos — kłopoty z żydowskimi dziećmi. Przyjęły ich wiele i to się rzuca w oczy. Są niespokojne, bo jedna z matek przyszła dziś odwiedzić woje dziecko i zrobiła uwagę, że widzi wiele twarzy, które na pewno są żydowskie. A siostry nie mają zaufania do tej kobiety, bo to chyba prostytutka, i ma do czynienia z Niemcami...

Nawet prostytutka wie, że gdyby Niemcy dobrali się do zakładu, i jej dziecko mogłoby być w niebezpieczeństwie.

Może masz słuszość. Powiesz zawsze coś takiego, że człowiek się uspokaja — rzekł pochylony nad szklanką pseudoherbaty.

Poczuła falę czułości do tego mężczyzny, który tak ją kochał. Był siwiutki, wychudły, wynędzniały, ubranie wisiało na nim jak worek. Także twarz zapadła, pod oczami zrobiły się ciężkie wory.

Ranek był szary, duszny, dziwnie niesierpniowy. Wybierała się właśnie na zakupy, gdy usłyszała prędkie stąpanie kogoś, kto biegł po schodach. Zaszurały nogi przed drzwiami wejściowymi, ktoś zapukał. Otworzyła. Przed nią stała zadyszana Małgosia trzymając Anię za rękę.

Och, mama. Jak to dobrze! Modliłam się, aby mama była w domu.

Wychodziłam właśnie do sklepu. Ale to nic, mogę pójść później. Czy się może coś stało? Siądź, odsapnij.

Wygląd Małgosi był jakiś niezwykły. Zawsze starannie, a nawet elegancko ubrana, tym razem miała na sobie wygniecione, na poły chłopięce ubranie. Szara bluzka ściągnięta była paskiem. Na nogach miała grube buciki, na ramie turystyczną torbę. Była zgrzana i zmęczona.

Przyszłam prosić... aby mama... zechciała się... Jeszcze raz... zaopiekować Anią... — mówiła głosem przerywanym przez zadyszkę, ciągle stojąc.

Siądź, proszę. Zmęczyłaś się. Oczywiście, wiesz, że zawsze zajmuję się Anią chętnie. Ale czy się coś stało? Powtórzyła swoje pytanie.

I tym razem nie siadła.

Nie mogę jej zostawić mojej matce...

A ty?

Ja muszę iść, zaraz, prędko...

Dokąd?

Na punkt... Niech mama nikomu nie mówi, ale dziś zacznie się powstanie...

Boże! Dziś? A ja myślałam... Przez parę dni wyglądało na to, że wybuchnie lada chwila. Zebrali się tu nawet jacyś chłopcy w mieszkaniu obok. Ale potem wszystko się uspokoiło. I nawet Jędrak był i mówił...

Wszystko się zacznie dziś.

I ty idziesz...?

Tak.

Ale dokąd? — Ogarnęła wzrokiem młodą kobietę, która wciąż stała gotowa do odejścia. — Przecież ty nigdy...

Chce mama powiedzieć, że nigdy nie konspirowałam. To prawda. Wydawało mi się, że skoro Jędrak... Także moi rodzice nie chcieli słyszeć o żadnej konspiracji. Ale teraz wiem... Jestem winna... Wszystko zło przeze mnie...

Jakie zło? Nie rozumiem...

Ach, mamó... Mówię mamie, że jestem winna... I nie chcę, nie chcę, aby to było przeze mnie... Zgłosiłam się. Muszę iść...

Nie wiem, kochana, czy czynisz słusznie. Jeśli nawet czujesz się czemuś winna, spłacasz to swoim oddaniem dla Ani...

Bez słowa potrząsnęła głową, zapadło milczenie. Anna patrzyła na synową, która wydawała się jej w tej chwili niezwykle młodą, prawie dziewczynką.

Ale jeżeli chodzi o Anię — powiedziała — to wiesz, że zrobię dla niej wszystko...

Wiem. Dlatego ją przyprowadziłam do mamy. W walizce jest trochę bielizny, sukienek. I trochę jedzenia. Wiem, że rzucam troskę na mamę... Ale wiem, że tylko mama... Postaram się. Skoro uważasz, że musisz...

Muszę.

W takim razie idź i wracaj szczęśliwie. Już chcesz iść?

Już. Spieszę się. Mam roznieść rozkazy,

Zobaczysz Jędrka?

Nie wiem. Chciałabym być blisko, aby wiedział...

Nie powiedziałaś mu?

Nie. Nie było zresztą kiedy. Zresztą może by się sprzeciwiał.

Bałby się o ciebie.

Może by uważał, że nie mam prawa...

Nie mów tak. Będzie się bał o ciebie, ale będzie dumny i szczęśliwy. On jest skryty, ale ja zawsze myślę, że dla niego jest największym szczęściem rozumieć się z tym, kogo kocha...

Nie rozumieliśmy się, mamó.

Zawsze może przyjść taki moment, że ludzie, którzy się kochają, rozumieją się. Może to jest moment dla was...?

Gdyby mogło tak być!

Będzie, gdy tego chcesz. Może to jest moment także dla innych...

Mamó, muszę już biec...

Idź, skoro musisz. Bądź spokojna o Anię. Zrobię dla niej, co tylko będę mogła.

O Anię się nie boję. Niech się mama pomodli za mnie.

Będę się modliła za was oboje razem.

Pochyliła się nad Anią, która już siedziała między swymi zabawkami, objęła ją i ucałowała. Potem chwyciła rękę Anny i zanim ona zrozumiała, co chce uczynić, przysunęła usta do jej dłoni. Potem nagle odbiegła. Już była w drzwiach. Obejrzała się. Anna zobaczyła jej ciemne oczy, szeroko rozwarte, błyszczące od łez. Słyszała, jak zbiega po schodach. Wyrzała przez okno. Widziała, jak Małgosia przebiegła na skos jezdni. Jeszcze raz obejrzała się, obróciła twarz ku oknu. Zobaczyła Annę i uśmiechnęła się. Anna podniosła rękę. Zrobiła krzyż w powietrzu.

Małgosia zniknęła za rogiem, ale Anna patrzyła dalej. Zauważyła, że ulica pełna jest młodych kobiet i dziewcząt spieszących w rozmaitych kierunkach. Szli także młodzi mężczyźni, po dwóch, po trzech. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby zauważyć, że coś niosą pod płaszczami. Z każdą chwilą ruch stawał się coraz bardziej gorączkowy. Naprzeciwko ich domu stało dwóch chłopców opartych o mur. Gdy wszyscy zdawali się gdzieś spieszyć, oni stali na słońcu i tylko rozglądali się. Nagle przyszło An głowy, że musi być jakiś związek między tymi dwoma, a gromadką młodych, którzy siedzieli przed kilkoma dniami przez dwie doby w sąsiednim lokalu w ich domu. Zostawiła Anię pod opieką Basi, udała się do sklepu. Po drodze zatrzymała się na chwilę przy drzwiach sąsiadów. Spoza nich dochodziło buczenie, niby z mającego wyroić się ula. Musieli zebrać się znowu.

W sklepie był także ruch ogromny. Stał cały tłum kupujących. Także kilka osób ustawiło się w kolejce do telefonu znajdującego się przy kasie. Rozmowy, które dochodziły do ucha Anny, wszystkie dotyczyły jakichś transakcji, które wymagały natychmiastowych dostaw.

Ranna mgła i szarość ustąpiły, wyszło na niebo słońce, zrobiło się gorąco. Wśród idących pospiesznie ludzi przesuwały się patrole niemieckie. Annie wydało się, że zachowują się inaczej niż zwykle: szły nie jak zwykle - groźnie patrząc, ale ze spuszczonej oczami, jakby nie chcieli widzieć tego, co się rzucało w oczy, i ukradkiem rzucali lękliwe spojrzenia.

Godziny płynęły, a wraz z ich posuwaniem się rosło napięcie. Aleksander przyszedł na obiad podniecony. I powiedział — w wielkiej tajemnicy — że powstanie wybuchnie o piątej. Z tą samą nowiną zjawił się Michał, który poszedł odwiedzić siostrę Katarzynę. Najstarsza z rodzeństwa Miniewiczów znajdowała się w domu zakonnym na Nowym Mieście. Atmosfera stała się gęsta,

nieomal niemożliwa do zniesienia. Nikt nie potrafił wziąć się do żadnej roboty. Jeszcze nie było piątej, gdy w pobliżu rozstukały się wystrzały. To był niby pierwszy piorun, który uderzając oczyszcza stłoczone powietrze, na schodach rozległ się głośny tupot. Z mieszkania sąsiadów zbiegała cała gromada młodych chłopców. Mieli opaski na rękawach. Kilku pierwszych trzymało broń. Reszta pędziła, każdy z dwiema butelkami napełnionymi jakimś płynem. Na końcu zbiegły dwie dziewczyny z torbami zaznaczonymi czerwonymi krzyżami. Ledwo tamci wypadli na ulicę, z mieszkania na najwyższym piętrze zbiegła inna groma: Gdy Anna podeszła do okna, widziała, jak z bram wyskakiwały kolumienki młodych i szły pojedynczo pod ścianą domów. Jakżeż byli szczęśliwi ci chłopcy, że wychodzą jawnie ze swoimi pistolecikami i butelkami zapalającymi! Stojący w oknach ludzie klaskali. Rzucano im kwiaty. Coraz więcej było przechodniów z opaskami na rękawach. Coraz głośniejsze i bliżej, ze wszystkich już teraz stron, słychać było jazgotanie peemów i głucho stęknienia granatów.

W ciągu pierwszych dni powstania nad grozą wałki górowały zapał i radość. Obszar, na którym znajdowało się mieszkanie Rogowskich, stał się radosną wyspą pośrodku morza szalejącego huraganu. Miasto rozbrzmiewało strzałami, ale na Starówce była już wyswobodzona Polska. Białe - czerwone chorągwie wisiały nad bramami. Ulice pełne ludzi z opaskami na ramionach. Jeźdźnią tupiąc dumnie szły powstańcze patrole. Na zalany słońcem rynek Starego Miasta wyległy tłumy. Sklepy były pootwierane — choć niewiele w nich było do kupienia — gazeciarze, również z opaskami, roznosili i rozdawali prasę. To już nie była znienawidzona „gadzinówka”, ale pisma, dawniej podawane ukradkiem z ręki do ręki.

Niebo było błękitne. W wypełnionych kościołach odprawiano msze za mszami. Śpiewy wylewały się na ulice. Spoza Wisły, z daleka, dochodziło dudnienie armat. Na niebie wysoko kręciły się samoloty, nie wiadomo czyje.

Ale po paru dniach sytuacja się zmieniła. Grzechot wystrzałów obejmował teraz dzielnicę coraz węższym kręgiem. Poprzez wypalone getto ścigały coraz liczniej oddziały powstańcze, ubrane w zdobyczne niemieckie „panterki”, z opaskami na prawym ramieniu i w wielkich niemieckich hełmach przepasanych biało-czerwoną szarfą. Rozeszła się wiadomość, że padła Wola, że Starówka została odcięta od Śródmieścia. Wraz z nadciągającymi oddziałami przychodziły całe tłumy uciekinierów z innych dzielnic. Całymi nocami słychać było stąpanie idących. Szli mężczyźni i kobiety objuczeni tłumokami, szły zapłakane, wystraszone dzieci. Kto nie miał znajomych i przyjaciół, u których mógł się pomieścić, lokował się w kościołach, w klatkach schodowych domów. Uciekinierzy przynosili ze sobą straszne wieści o mordach dokonywanych na bezbronnej ludności przez Niemców i „własowców”. Pogodna atmosfera pierwszych dni od razu zgasła. Dla stłoczonej na Starówce masy ludzkiej zaczęło braknąć żywności. Jeszcze gdzieś wypiekano chleb, jeszcze dawano jakieś przydatki z zapasów, zdobytych w niemieckich składach na Stawkach. Ale potrzebujących było coraz więcej — a zapasów coraz mniej.

Poza tym zaczął się ostrzał. Po kilka razy na dzień nadlatywały samoloty i rzucały bomby. Padały także pociski artyleryjskie. Walily się domy, trzeba było schodzić do piwnic. Skończyła się elektryczność, pojawiły się kłopoty z wodą. Wciąż wybuchały pożary. Padali zabici i ranni. Spod gruzów domów wydobywano przywalonych. Coraz więcej było szpitali — coraz mniej było lekarstw, środków znieczulających. Msze ze zbombardowanych kościołów przenosi się na prowizoryczne ołtarze ustawione na podwórzach. Wieczorami Niemcy przerywali ostrzał. Ludzie wychodzili z piwnic,

gotowali sobie strawę na zbudowanych przez siebie paleniskach, stawali w kolejce do pomp po wodę. Modlono się. Odbływały się pogrzeby zabitych żołnierzy i cywilów. Do oddziałów walczących zgłaszali się ochotnicy, rzadko ich przyjmowano, gdyż brakło broni. Zgłaszających się odsyłano tam, gdzie każda para rąk była potrzebna, do straży ogniowej, do ekip zajmujących się odwalaniem gruzów, do pomocy w szpitalach. Ale byli i tacy, którzy zamiast zgłaszać się do służb, woleli włóczyć się po opuszczonych mieszkaniach. Znosili stamtąd znalezione żywność. Pojawiło się nowe słowo: szabrownicy. Rodziny szabrowników mieli co jeść. Obok nich inni głodowali. W piwnicach wybuchały spory i kłótnie.

Póki było można, Rogowscy i Miniewiczowie pozostawali mieszkaniu. Zostawiając Anię z Basią Anna wyskakiwała do koczujących w domu uciekinierów. Pomagała im jak mogła: dzieliła się resztkami żywności, brała do mieszkania dzieci. Z jakichś resztek wydobytej z głębi spizarki gotowała dla wszystkich zupę. Czasami Aleksandrowi chodzącemu po ulicach udało się zdobyć kawałek mięsa, z wyciętego z zabitego konia.

Ale w końcu trzeba było zejść do piwnicy. Starówka była coraz gwałtowniej bombardowana. Stare domy waliły się, przemieniały w stosy gruzu. W piwnicach pod zwalonymi domami, w ciemnościach ledwo, ledwo rozświetlonych blaskiem świeczek, siedzieli ludzie wsłuchani w hałas toczącej się walki. Gdy zawisł nad nimi warkot samolotu, rozmowy cichły, oddechy stawały się szybsze. Kobiety szeptały: — Pani Rogowska, zmów pani modlitwę... Anna intonowała litanię do Matki Bożej albo do Bożego Miłosierdzia. Tej ostatniej modlitwy nauczyła się pierwszego dnia, gdy zeszli do piwnicy.

Tego ranka Anna wyszła jeszcze na ulicę, by stanąć w kolejce do przydziału suszonych kartofli. Samoloty dotąd nie nadleciały, ludzie stali względnie spokojnie. Nieoczekiwanie w powietrzu pełnym czkawki peemów i kaemów rozległ się dziwny dźwięk podobny do skrzypu przesuwanej ciężkiej szafy. W parę sekund potem przyszło ogłuszające uderzenie. Pęd powietrza rzucił stojące w kolejce kobiety na ziemię. Gdzieś w pobliżu sypał się gruz, dzwoniło szkło. Gdy Anna zerwała się z ziemi, z otartymi do krwi kolanami, pokaleczonymi dłońmi i rozbitym ramieniem, zobaczyła, że kłąb dymu zasłania ich dom. Ludzie ze wszystkich stron biegli w tamtą stronę. Dygocząc z przerażenia pobiegła za nimi.

Gdy przed kwadransem wychodziła, mężczyźni byli na mieście. Zaprowadziła wnuczkę do pokoju zajmowanego przez Basię i Michała. Powiedziała:

Basiu kochana, zaopiekuj się przez chwilę Anią. Pójdę, może uda mi się dostać trochę kartofli.

Dobrze, Anusiu, dobrze. Ale pójdziemy z Anią do waszego pokoju, tam jaśniej...

Coś niewytłumaczalnego kazało jej powiedzieć:

Nie, zostańcie tutaj. Zawsze wydaje mi się, że w pokoju od podwórza bezpieczniej...

Pył opadał, dym wolno się rozpraszał. Ludzie zatrzymali się patrząc na to, co się stało. Tajemnicze pociski zdarty ścianę ich domu, odkrywając wnętrza mieszkań. To było tak, jakby psotny chłopiec rozkopał mrowisko, obnażając korytarze i cele. Widziała ich pokój z komodą zawieszoną dwiema nogami nad ulicą, na wpół zsunięty dywan Ani, z którego stoczyły się w dół na ulicę jej zabawki i klocki. Serce Anny biło mocno, aż pod gardłem. A jeżeli Basia nie posłuchała? A jeżeli Ania wróciła do ich pokoju po jakąś zabawkę? Może ona jest tu pod stosem gruzu piętrzącego się na ulicy? Gwałtownie rozepchnęła ludzi, przedarła się przez gruz, dopadła klatki schodowej. Drzwi mieszkań stały otworem. Pęd

powietrza powyrywał zamki i wymiółł na schody całą masę przedmiotów. Schody były zasypane papierami, ubraniami, książkami. Wpadła do mieszkania. Podłoga ich pokoju pochylona była ku otwartej na ulicę ścianie, wyszarpane z szaf rzeczy podskakiwały na rozszczepionych deskach. Nie zwracając uwagi na to, że wygląda, jakby wszystko miało za chwilę runąć, przebiegła do korytarza, a potem do pokoju Michałów. Zobaczyła przycupnięte do ziemi dwie osypane pyłem postacie. Ania przytuliła się do niej kurczowo, krzyząc:

Nie odchodź, babciu, nie odchodź!

Z drugiej strony przywarła do niej Basia.

Anusiu, na miłość Boską, nie zostawiaj nas...!

Ostrożnie przeprowadziła je przez zrujnowany pokój i sprowadziła do piwnicy. Kiedy się trochę uspokoiły, poszła na górę, aby zebrać coś niecoś rzeczy. Dotarła do szafy, wzięła płaszcze Ani, swój i Aleksandra. Z kuchni zabrała wszystką żywność, jaką mogła znaleźć. Kiedy już wychodziła i próbowała zamknąć uszkodzone drzwi, zobaczyła leżącą na progu małą broszurkę. Powiew musiał ją przynieść z innego mieszkania. Podniosła ją. Na okładce był rysunek Chrystusa wskazującego dłonią swe Serce, z którego strzelały dwie strugi promieni. Pod obrazkiem był napis: „Jezu ufam Tobie”. Na odwrocie przeczytała: „Promienie oznaczają Krew i Wodę. Biały promień oznacza Wodę, który usprawiedliwia dusze, a czarny Krew, która jest życiem dusz. Tryskają one z boskiego Serca Jezusa, które zostało otwarte na krzyżu. Te promienie osłaniają duszę przed gniewaniem Ojca niebieskiego...” Dalej w broszurce były modlitwy: nowenna, litania i koronka do Miłosierdzia Bożego.

Zabrała książeczkę i zeszła z nią do piwnicy. I teraz, gdy przychodził nalot i miały za chwilę zwalić się bomby czołgu „szafy”, kobiety mówiły:

Pani Rogowska, mów pani tę litanię do Miłosierdzi. Prędko, prędko mów pani, bo już kołują...!

Pod koniec dnia strzelanina ucichła. Wtedy ludzie wychodzili z piwnicy. Mężczyźni szli po wodę, Basia z Anią spacerowały po podwórzu. Anna biegła na górę, aby coś zagrzać dla dziecka na spirytusowej maszynie. Z mieszkania coś ciągle zniknęło, a drzwi znajdowała za każdym razem otwarte. Szabrownicy nie próżnowali.

Tego wieczoru stała w kuchni i gotowała kaszkę dla małej, gdy usłyszała za sobą stąpania. Była przekonana, że to któryś z tych młodych ludzi, którzy woleli przetrząsać mieszkania, niż pełnić jakąś służbę. Gniewnie odwróciła się. I wtedy zobaczyła Jędrka. Zawołała:

Jędrak! O Boże! Jesteś! Żyjesz!

Syn był ubrany w plamistą bluzę. Za pasem sterczał mu pistolet na białym sznurze. Twarz miał szarą, bardzo zmienioną. Zapadnięte policzki, spalone wargi. Nie odpowiedział na jej wybuch radości. Gdy go objęła, przycisnął twarz do jej ramienia i zaniósł się łkaniem. Pomyślała, iż musiał być przekonany, że wszyscy nie żyją.

Nie płacz, kochany — mówiła gładząc go po plecach. - Nie płacz. Już wszystko dobrze. Bóg łaskawy. Ocalił Anię. Widziałeś ją na dole. Będzie się i dalej nią opiekował...

Ale on zaszlochał znowu. Poprzez łkania usłyszała:

Małgosia zabita...

Matko Najświętsza! Gdzie? Kiedy?

Na placu Teatralnym... — oderwał się od matki. Usiadł ciężko na skrzynce na węgiel. Miał głowę zwieszoną. — Nie wiedziałem, że zgłosiła się... Nie wiedziałem, że Anię przyprowadziła do mamy... Dostała trudną misję... Zabili ją zaraz pierwszego dnia... Przenosiła meldunek... Nie chcieli mi powiedzieć... Myślałem, że ona na Hożej... Dopiero wczoraj ktoś wygadał... Dlaczego poszła? Kto jej powiedział, aby szła? Kiedy ja mówiłem, nigdy nawet nie chciała słuchać...

Siadła obok niego, ogarnęła go ramieniem.

Nikt jej nie powiedział, Jędrku. Ona sama... Była tu u mnie, mówiła mi. Chciała być z tobą. W trudnej chwili me chciała ciebie opuścić...

Dlaczego to zrobiła?

Pytasz? Kochała cię...

Nie mogę w to uwierzyć.

Musisz, ona cię kocha...

Mama mówi tak, jakby ona...

Bo tak jest.

Żałośnie potrząsnął głową.

Nie czuję tego. Odeszła bez słowa. Nic nie wiem... Odeszła, jakby chciała zginąć, ukarać mnie...

Mówisz rzeczy nierozsądne.

Milczał i tylko oddychał ciężko. Po chwili rzekł:

Bóg ją zabrał, bo byłem zły...

Nikt z nas nie jest dobry. Ale Bóg jest miłosierny, nawet gdy karze...

Już się nie odezwał. Siedział przytulony do niej, a jego świszczący oddech przerywały szlochy. Myślała: byli parą niegrzecznych dzieci i Bóg postawił ich, każde cło innego kąta, aby zrozumieci swoją winę. Jak dziwnie jasno, wydawało się jej, dostrzega posunięcia pedagogiki Bożej. Trzeba widać być matką, aby je tak dostrzegać. Czego bym nie przyjęła, myślała, aby ich od tego bólu uchronić! Ale On jest więcej niż matka.

Nikt już nie miał wątpliwości, że są to ostatnie dni Starego Miasta. Niemcy przysunęli się tak blisko, że wraz z odgłosami walki słychać było ich pełne charkotu krzyki. Szły naloty za nalotami, jedna seria „szaf” po drugiej. Wszystko wokoło leżało w gruzach. W piwnicach panował głód, nawet najwięksi szabrownicy nie mieli odwagi iść na szaber. Na ulicach leżały ponakrywane papierami przyciśniętymi

kawałkami gruzu, ciała zabitych. Szpitale przepełnione były rannymi, człowiek leżał obok człowieka. Lekarze dokonywali operacji bez narkozy.

Coraz więcej było takich, którzy buntowali się, krzycząc, że dowództwo powinno skorzystać z oferty Niemców i odesłać do nich ludność cywilną. „Powiadają, że wszystkich zabiją — perorowali po piwnicach. — A niech zabijają! Lepsze to niż umierać z głodu lub pod gruzami!” Ale bunty kończyły się na słowach. Nie było takich, którzy by poszli do dowództwa urzędującego w kapitulacji pod kościołem Jacka.

Rozeszły się pogłoski, że oddziały powstańcze uderzą na otaczający Starówkę pierścień niemiecki, przerwą go i przedrą do Śródmieścia razem z ludnością. Jędrrek, który zjawił się u rodziców w ostatnich dniach sierpnia, przynosząc trochę jedzenia, także powiedział w sekrecie o takim zamiarze, lecz podjęte następnego dnia uderzenie nie udało się. Ponoszące wielkie straty oddziały powstańcze musiały się cofnąć, teraz zaczął się masowy odwrót kanałami. Wchodzono do otworu na rogu Długiej i Miodowej. Przy włączach, otoczonym wałami z płyt chodnikowych, odbywały się prawdziwe walki między tymi, którzy chcieli wejść, a tymi, którzy pilnowali, aby schodzili jedynie ludzie posiadający wydane przez dowództwo przepustki. Gdy pod koniec pełnego ostrzału dnia Jędrrek zjawił się z przepustkami dla rodziców, powiedzieli mu z całą stanowczością, że nie pójdą.

Nie, nie, mój kochany — mówiła Anna — nie zejdziemy do kanału z dzieckiem. Ania nie da rady i tatuś nie rady. Także nie możemy się rozstać z wujem Michałem i z cocią Basią. Zostaniemy. Jesteśmy w ręku Boga. Przecież nie pozabijają wszystkich...

Nie napierał. On także nie mógł sobie wyobrazić przeprawy kanałowej dwojga starych ludzi z delikatną dziewczynką. W kanałach zdarzało się, że wybuchała panika. Chodziły pogłoski, że Niemcy mogą kanał zatopić lub podpalić, nalewając do włączów benzyny. Wąż ludzki, który od czterdziestu ośmiu godzin znajdował się w kanałach, rwał się, szalejący z trwogi w ciemnościach ludzie wracali lub gubili się. A poza tym — co czekało tych, którzy przejdą do Śródmieścia? Rozumiem — rzekł. — Rodzice niech sami zadecydują. Ale ja muszę iść...

Oczywiście — odpowiedzieli równocześnie oboje.

Po kolei brali syna w objęcia. Potem on pochylił się nad Anią, która spała, i nie budząc pocałował ją delikatnie w czoło. Wstał zgnębiony, nagłe postarzały.

Nie mogę dłużej czekać, mamę...

Idź i niech cię Bóg strzeże. — Wycisnęła palcem krzyż na czole syna. — Idź. Będziemy się za ciebie modlić.

Ostatni raz zamajaczyła jego sylwetka w prostokącie drzwi wyjściowych. Tego wieczoru cisza nie przyszła. Strzelanina trwała dalej. Niemcy widać domyślali się, że już im niewiele potrzeba, aby zgnieść do ostatka opór obrońców.

Kiedy zapadł zmierzch, Stare Miasto było jedną ruiną, nad którą tu i tam unosiły się płomienie i kłęby dymu. Niemcom blask pożarów nie wystarczał: strzelali raz po raz rakietami, które zapalały się pęknięciem światełek spływających wolno w dół. Między gruzami, w makabrycznym blasku rakiet, posuwał się ku włączowi sznur łudzi. Ściągano jeden posterunek po drugim. Nikt nie spał tej nocy. W

bramach stały setki tych, którzy zostawali i patrzyli przerażonym wzrokiem na odchodzących. Gdy nad ranem zaczęło szarzyć, ostatni powstańcy biegiem dopadli wjazdu. Potem na krótki czas zapadła cisza. Przerwała ją wściekła strzelanina. Niemcy, zanim uderzyli na opuszczone barykady, zasypali je ogniem.

Zanosiły się kaemy, stukały pociski moździerzy i granatników. Dopiero po dobrym kwadransie takiego ognia, już w pełnym blasku dnia, uzbrojone po zęby oddziały szturmowe wdarły się na teren Starówki. Żołnierze przebiegali ulicę strzelając do wszystkiego, co się tylko ruszało. Jeśli ktoś wynurzył głowę z bramy, padał zabity. Strzelano do lekarzy i pielęgniarek, którzy wyszli, by pokazać, gdzie są szpitale. Potem zaczęto wypędzać rannych, a tych, którzy się nie mogli ruszać, obrzucano granatami.

Potem rozległy się przeraźliwe wrzaski:

Los! Auf! Kommen auf! Raus! Schnell! Los!

Nie od razu ludzie zdecydowali się wychodzić z piwnic, dopiero gdy Niemcy zaczęli wrzucać tam granaty, zaczęto wychodzić. Tamci nie przestawali wrzeszczeć. Byli spoceni od krzyku. Popędzano wychodzących, bito kolbami, kopano.

Los Weg! Schnell, schnell! Raus! Mężczyznom kazano podnieść ręce w górę. Kto tego nie robił dość szybko, dostawał serię z peemu w pierś. W

pośpiechu ludzie porzucali swój bagaż. Uderzeniami kolb i krzykiem spędzano wszystkich przed szpital na rogu Kilińskiego. Ciągłe rozlegały się strzały. Ze szpitala wypędzono ludzi w bandażach, z rękami na drucianych podpórkach podskakujących rozpaczliwie na nogach w gipsie. Ani na chwilę nie cichły wrzaski:

Los! Schnell! Schnell!

Spędzanych przed szpital ludzi rozdzielano na trzy grupy. Jedną stanowiły kobiety z dziećmi, drugą młodszy mężczyźni, trzecią starzy i kalecy. Rogowscy szli obok siebie, prowadząc między sobą Anię. Dziewczynka, gdy wychodzili z bramy zapytała:

Babciu, czy jak będą zabijali, to będzie bardzo bolało?

Odpowiedziała:

Nie, Aniu, nie. To tylko chwilka, a potem idzie się zaraz do Pana Boga.

Żołnierz w hełmie wciśniętym na czoło, z wyrazem furii w oczach, podskoczył dziko wrzeszcząc, odepchnął Aleksandra w jedną stronę, a Annę z Anią w drugą. Odruchowo chwyciła męża za rękę.

Mein Mann... Das ist mein Mann... — zawołała. -

Los! — ryknął Niemiec. — Weg! Du polnische Schweine!

Zobaczyła twarz Aleksandra bladą, ale nie przerażoną, a raczej pełną dziwnego, wewnętrznego spokoju. Dosłyszała, jak ją wołał...!

Nie wiadomo dlaczego Niemiec wepchnął Rogowskiego do grupy młodszych mężczyzn. Już tylko z daleka widziała krępa sylwetkę i siwą głowę męża w tłumie ludzi, stojących z podniesionymi w górę

rękami. Tuż obok siebie usłyszała histeryczny płacz Basi i zobaczyła, jak żołnierz uderzeniem kolby odtrąca Michała. Z dziwną niekonsekwencją kazał iść do grupy starych ludzi. Gwałtownie popchnięty Michał upadł. Zanim zdołał powstać, Niemiec kopał go z wściekłością.

Ich grupę otoczył kordon „własowców”. Mieli twarze czerwone i wygląd ludzi pijanych. Zdzierali kobietom z rąk zegarki, z palców obrączki i pierścionki. Kilka młodych wyrwali z szeregu i mimo ich krzyku powlekli gdzieś między gruzy. Wobec dzieci robili wrażenie łaskawych, a ich opiekunki klepali dobrotliwie po policzkach. Przeprowadzono kobiety przez Freta i dołączono do zbliżającego się na Mostowej konwoju. Wszystkie płakały.

Anna nie mogła już zobaczyć, co się stało z grupą, do której przyłączono Aleksandra. Dostrzegła jedynie, jak Niemcy ładowali ludzi starych na ciężarówkę, która mimo leżącego wszędzie na jezdniach gruzu wjechała na Mostową. Tych, którzy nie mogli się sami wspiąć na auto, chwymano za nogi i ramiona i wrzucano jak worki. Wyrwano jakąś sparaliżowaną kobietę z inwalidzkiego wózka i w taki sam sposób ciśnięto na ciężarówkę. Przez chwilę wydawało się Annie, że wśród ludzi stłoczonych na aucie zobaczyła małą głowę z krótko ostrzyżonymi włosami, przypominającą głowę Katarzyny bez zakonnego kornetu. Ale to był tylko moment. Ich konwój poganiany przez konwojentów ruszył w dół ku Wiśle.

Ania szła obok Anny bez słowa skargi. Dopiero gdy zeszli w dół, pociągnęła Annę za rękę, aby pochyliła się do niej i zapytała:

Babciu, kiedy oni będą zabijali?

Nie wiem, kochana, może nie będą zabijać...

Jeżeli to nie boli, babciu, to ja się nie boję... Może lepiej, żeby zabili... Wszystko takie straszne...

Z drugiej strony Anny szła Basia i szlochała. Anna pomyślała, że Ania wypowiedziała jej skrytą myśl. Była przekonana, że już nigdy nie zobaczy Aleksandra i Michała, a to, co ją czekało, budziło większe przerażenie niż perspektywa śmierci. Ale zmusiła się do odpędzenia tych myśli. Muszę żyć, powtarzała sobie, muszę żyć, muszę ocalić Anię i Basię. Wnuczka i bratowa wydawały jej się w tej chwili dwojgiem dzieci, które potrzebują opieki, opieki, która jej została zlecona.

Potem był Pruszków. Wielkie, mroczne hale pełne płaczu, jęku, zaduchu, rozpaczy. Zapach spalenizny i ciągły łomot niedalekiego bombardowania. Nie cichnące krzyki: „Raus! Los! Schnell!”

Zaledwie roztasowali się w jakimś kącie, Anna z przerażeniem spostrzegła, że Ania ma gorączkę. Dziewczynka trzęsła się, dzwoniła zębami, nie chciała nic jeść. Wieczorem zaczęła bredzić. Wołała matkę, ojca, ale przede wszystkim przywoływała Annę.

— Babciu, chodź! Uciekajmy, uciekajmy! Gonią nas, krzyczą...! Ja się boję... To będzie bolało, ta kula jest taka zimna... Babciu, uciekajmy!

Siedziała nad dzieckiem, kładła jej na czoło kompresy,

poila wodą. Nieoczekiwanie Basia wykazała niezwykłą dzielność i inicjatywę: odszukała punkt Czerwonego Krzyża i sprowadziła do Ani pielęgniarkę. Pod wpływem podanego lekarstwa

dziewczynka przestała majaczyć. Rankiem zjawił się lekarz. Był to doktor, pamiętający Rogowskiego i czasy, gdy Aleksander kierował starostwem miejskim. Obejrzał Anię, dostarczył jakieś lek zalecić spokój. Dzięki jego staraniom nie skierowano ich do żadnego transportu, póki dziewczynka nie wydobrzała. Zdo był da niej puszkę skondensowanego mleka. „Dla wnuczki naczelnika Rogowskiego zrobiłbym wszystko — powiedział Annie. — To był taki człowiek...”

Gorączka na trzeci dzień minęła. Pewnego dnia Ania i Basia odjechały transportem, którym odstawiono na wieś. Miejskowa gmina miała się nimi zająć. Skorzystały z pierwszej okazji, aby wyjechać do Krakowa.

Anna chciała dotrzeć do Krakowa, gdyż tam, w Czerwonym Krzyżu, będzie się mogła dowiedzieć o Jędrku, Aleksandrze i Michale. Basia miała w Krakowie kuzynów, u których spodziewała się, będą się mogły zatrzymać. Ci kuzyni, kupcy, okazali się ludźmi rozważnymi. Przy jęli Basię, prosząc jedynie, aby w zamian za opiekę pomagała kuzynce w prowadzeniu domu; okazało się, że miała zastąpić płatną służącą. Anny z Anią trzymać nie chcieli, ale znaleźli dla niej podobne zajęcie u swoich znajomych. Anna potraktowała pracę bezpłatnej służącej z całą solidnością: harowała od rana do wieczora, chodziła po zakupy, gotowała, sprzątała, prała, prasowała. Idąc na targ wpadała do kościoła franciszkanów, by pomodlić przy grobie patronki „najbardziej pogardzanego zajęcia”. Gospodarze docenili jej starania; kiedy przyszli niemieccy kontrolerzy wyłapujący przybyszów z Warszawy, ugłaskali ich łapówką, tak że nie zabrali Anny. Był to jedyny pieniężny wkład z ich strony w pracovitą służącą.

O Jędrku dowiedziała się Anna w Czerwonym Krzyżu na początku listopada, że znajduje się w obozie jeńców. Równocześnie dotarła do Krakowa wiadomość o losie starszych i kalek wywiezionych ze Starówki. Zostali wszyscy rozstrzelani pod murem Powązek. Michał i Katarzyna ponieśli śmierć w tej grupie. Nic natomiast nie mogła się Anna dowiedzieć o Aleksandrze.

Bardzo tym zaniepokojona, otrzymawszy pewnej niedzieli wychodne i zabrawszy ze sobą Anię, wybrała się do klasztoru obok stacji Borek Fałęcki. Dzień był słoneczny i pogodny, choć bardzo chłodny, prawie już zimowy. Ania me miała zimowego ubrania i Anna żywiła cichą nadzieję, że może siostry to spostrzegą i ofiarują dla niej coś ciepłego. Dla siebie nie poprosiłaby o nic.

Wysiadły z tramwaju i wspięły się na górę do bramy w czerwonym murze. Siostra furtianka spojrzała na nie ze zniecierpliwieniem. Nazwisko nic jej nie powiedziało. Przy bramie stał cały ogonek ludzi obdartych i widać proszących o pomoc. Ostatecznie jednak zgodziła się wziąć od Anny karteczkę z jej nazwiskiem i poleciła tę karteczkę jednej z wychowanek zanieść do przełożonej. Na odpowiedź Anna czekała dość długo w tłumie

ludzi obrzucających ją nieżyczliwymi spojrzeniami. W końcu wychowanka wróciła i siostra bardziej łaskawym niż poprzednio gestem zaprosiła Annę do środka. Gdy Anna szła przez znany sobie ogród, pełen wysokich drzew, ku wielkiemu, ponuremu gmachowi, musiała przejść obok kapliczki z kolorowych kamieni. Gdy tu poprzednio była, bardzo jej się nie podobał ten obiekt naiwnej pobożności. Teraz jednak spojrzała na niego z wdzięcznością.

W rozmównicy zobaczyła przełożoną: jej piękne, czarne oczy i wspaniałe brwi pod kanciastym kornetem. Zakonnica wyciągnęła do Anny rękę.

Ach, droga pani Rogowska. Jakże się cieszę, że panią widzę. Jak się wszystkie cieszymy. Dotarło do nas, że pani ocalała, ale nie wiedzieliśmy, co się z panią stało. Od miesiąca rozpytujemy się o panią. Gdzie się pani podziewała, kochana?

Od października jestem w Krakowie, proszę matki:

I nie zajrzała pani do nas?

Pracuję... A poza tym nie chciałam się narzucać. Siostry na pewno opiekują się całym tłumem potrzebujących. Mam pracę...

Co pani robi?

Po prostu jestem służącą...

Przełożona załamała dłonie.

O, Boże! Do czego przyszło! Co za czasy przeżywamy! Ale tym bardziej trzeba było przyjść do nas. Potrzebujących mamy wielu, jednak dla żony i wnuczki naszego wiernego opiekuna nie może zabraknąć miejsca. Musi się pani do nas przenieść. Bardzo o to prosimy.

Przecież nie możemy sięść siostronom na karku. Nikt o tym nie mówi. My także znajdziemy dla kochanej pani pracę. Pani jest nauczycielką, prawda? No, to będzie pani uczyła nasze wychowanki, dobrze? Chyba to lepsze i tamta praca?

Na pewno, proszę matki. Ale...

Nie, nie. Nie może być żadnego ale. Proszę się jak najszybciej do nas przenieść. A Ani to chyba potrzeba coś z cieplejszej odzieży — lustrowała wzrokiem dziewczynkę, która siedziała cicho. — Za lekko ubrana jak na dzisiejsze zimno.

Anna nic nie powiedziała. Pochyliła głowę. Nie potrafiła powstrzymać się od płaczu. Łzy jak groch toczyły się po jej policzkach.

Niech pani nie płacze, droga pani — przełożona gładziła ją po ramieniu. — Mam dla pani wiadomość... Czy pani wie, co się dzieje z panem naczelnikiem?

Potrząsnęła głową.

Nie wiem... Nie wiem i niewiele mam już nadziei. Jędrzek żyje, jest w obozie. Jego żona zginęła. Mój brat Michał i siostra Katarzyna zostali rozstrzelani... Ale o mężu niczego nie mogłam się dowiedzieć... Jego także zabrali z Starówki...

Straszne rzeczy pani mówi — powiedziała przełożona. - Pan inżynier, siostra Katarzyna, żona Jędrusia... Straszne! Ale o panu naczelniku mam dla pani wiadomość pomyślną. Żyje.

O Boże! Co o nim matka wie? I czy to pewne?

Zaraz wszystko powiem. Jest, niestety, w obozie. W małym obozie pracy blisko Łodzi...

Zamęczą go!

W Bogu nadzieja, że uda się go ocalić. Jak może pani wie, część naszych sióstr pozostała w tym ich Wartegau. Mają swój dom w pobliżu obozu. Pan naczelnik zdołał przesać wiadomość o sobie do tamtej przełożonej. Matka Rafaeli zna dobrze pana naczelnika i jest osobą bardzo energiczną i pomysłową. Miałam od niej list. Píše, że podjęła pewne kroki, aby uwolnić pana naczelnika. I kto wie, czy to się jej już nie udało.

Boże, Boże... — powtarzała. Gardło miała ściśnięte, nic więcej powiedzieć nie mogła. Ona, która tak rzadko w życiu płakała, nie mogła powstrzymać płynących strumieniem łez.

Niech pani nie płacze. Pan Bóg łaskawy i miłosierny. Bardzo miłosierny... Siostró — zwróciła się do swej asystentki — niech siostra powie, aby podali obiad. Prosimy zjeść — mówiła znowu do Anny. — Skromnie u nas, ale zawsze coś tam jest... A podczas obiadu siostra rozejrzy się za czymś ciepłym dla Ani. Jaka ona duża. Ile masz lat, Aniu?

Osiem, proszę matki.

To i ty musisz się już uczyć?

Mnie babcia uczy. Napisałam nawet kartkę do tatusia.

Siostra szafarka przyniosła gęstą zupę stanowiącą skromny

jednodaniowy obiad. Anna jedząc wciąż ocierała oczy wierzchem dłoni. Ustaliły z przełożoną, że Anna przeprowadzi się w ciągu trzech dni do klasztoru — i to nawet razem z Basią. Anna będzie dawała lekcje dziewczętom zakładowym, a Basia, która posiadała umiejętność pięknego haftowania, pomoże w szwalni.

Po obiedzie Anna chciała zaraz wracać do miasta, ale przełożona prosiła, aby zostały do podwieczorku. Nie chcąc zajmować zakonnicy swoją osobą Anna zabrawszy dziewczynkę poszła do ogrodu. Pogoda była ciągle piękna, a Ania mogła "już nie obawiać się chłodu, gdyż została obdarowana grubym swetrem. Słońce złoćciło drzewa, na rabatkach kwitły ostatnie kwiaty. Doszły do miejsca nad zboczem, gdzie w murze była furtka wyprowadzająca na mały cmentarzyk. Były tu jakieś nowe groby, a wśród nich jeden cały pokryty kwiatami. W dole, za murem cmentarza, pracowała fabryka, widać było kręcących się ludzi. Nad grobami wznosił się krzyż. Obie z Anią złożyły ręce i pomodliły się. Dziękowały Bogu za pomoc.

Potem Ania zapytała:

Babciu, czy mogę nazbierać kwiatków?

Tu przy grobach zrywać kwiatów nie można. Ale idź do ogrodu, poszukaj na trawniku. Zaraz tam przyjdę.

Chwilę jeszcze stała nad grobami. Nagle poczuła niepokój. Zawsze starała się nie zostawiać dziewczynki ani na chwilę samej. Wprawdzie tu w ogrodzie sióstr nic jej nie powinno grozić... Prędko wybiegła z cmentarza. Rozejrzała się. Ani nigdzie nie zobaczyła. Zawołała — nie usłyszała odpowiedzi. Niezrozumiały niepokój ogarnął ją całą. Spieszenie szła przez trawnik, wciąż rozglądając się i nawołując. Niepokój zamienił się w panikę. „Boże, Boże — szeptała — gdzie ona jest?” Zawróciła, znowu biegła w przeciwną stronę. Nagle zobaczyła zakonnice. Tamta stała między drzewami.

Uśmiechnęła się i bez słowa wskazała Annie kępę krzaków na skraju trawnika. Anna pobiegła w tamtą stronę. Dobiegając poczuła ulgę — spoza krzaków dochodziło ciche podśpiewywanie. Ania miała zwyczaj, że gdy się sama bawiła, podśpiewywała sobie cichym mruzeniem. Po matce odziedziczyła znakomity słuch. Anna rozgarnęła krzaki. I się zatrzęsała.

Ania przykucnąwszy zbierała jakieś żółte kwiat za nią czernił się w środku cementowej płyty otwór szamba. Widocznie wybierano zawartość i nie zamknięto. Gdyby zajęta kwiatami dziewczynka zrobiła krok do tyłu, wpadłaby na pewno do otworu. Anna pobiegła, chwyciła ją za rękę.

Gdzieś ty się ukryła?! — zawołała. — Chodź zaraz!

Głos jej drżał, serce biło. W pierwszej chwili chciała uderzyć dziewczynkę. Ale przezwyciężyła swą porywczą naturę.

Popatrz — powiedziała z wyrzutem. — Weszłaś w krzaki i niewiele brakowało, abyś wpadła do tej dziury. Utopiłabyś się i nawet by nikt nie wiedział, co się z tobą stało. Och, Aniu, Aniu...

Babcia powiedziała — tłumaczyła się dziewczynce, gdzie może poszukać kwiatów. A tę dziurę widziałas?

Nie... Nie – nie patrzyłam w tamtą stronę.

Och, Aniu! Jaka ty jesteś...

Wolno uspokajała się, ale ciągle jeszcze nie wypuszczała z dłoni ręki dziewczynki. Gdy skaczące serce uciszyło się, powiedziała:

Siostry są takie dobre, że zaprosiły nas, abyśmy u nich zamieszkały. Będziesz się tu mogła zawsze bawić w ogrodzie, ale musisz mi przyrzec, że nigdy, ale to nigdy nie wejdiesz w tamte krzaki. Obiecujesz?

Dobrze, babciu, obiecuję.

Podeszły teraz do kaplicy. W głębi stała postać Matki Przełożonej. Przed nią schylała się figurka Bernadetty. Były tu także gipsowe — nieproporcjonalnie małe w stosunku do postaci ludzkich — figurki psa i owiec. Wszystko było ubrane różnymi kwiatami. Ani kapliczka bardzo się spodobała, a Anna zaczęła jej opowiadać historię wydarzeń w Lourdes. Dziewczynka ogromnie lubiła słuchać opowiadań babki, pamiętała doskonale wszystkie opowieści Anny i jeśli zdarzyło się, że Anna, opowiadając po raz drugi, coś w opowiadaniu zmieniała, Ania natychmiast ją poprawiała:

Przedtem babcia mówiła, że było tak... Nadszedł czas podwieczorku, więc skierowały się w stronę domu. Przed wejściem stała przełożona.

Wysłałam właśnie — powiedziała — aby poszukać panią. Zostawiłyśmy panią samą, ale to czas naszych rozmyślań i wszystkie siostry musiały być w kaplicy. Przepraszamy.

Nie ma za co, proszę matki. Spacerowałyśmy, rozmawiałyśmy... Byłyśmy na cmentarzu. Tak tu pięknie, tak tu cicho... Trochę się tylko wystraszyłam, bo Ania, zbierając kwiatki, stanęła tuż obok otwartego szamba i mogła do niego wpaść...

Och, Boże! Zawsze mówię siostrze Felicji, aby pilnowała, żeby ogrodnik zamykał. Mogło się stać nieszczęście.

Chwała Bogu, nic się nie stało. Jakaś siostra pokazała mi, gdzie Ania poszła...

Siostra? — przełożona spojrzała na Annę zaskoczona. — Siostry były w kaplicy. To może któraś z wychowanek...

Wydawało mi się, że to siostra... Strasznie się przeraziłam. Ale już wszystko dobrze. Wie matka, tam gdzieś niedaleko tych krzaków spotkałam wtedy, gdy tu byłam po raz pierwszy, pewną siostrę ogrodniczkę, taką bladą, schorowaną... Rozmawiałam z nią... Mówiła mi rzeczy dziwne. Jakby przeczuwała wszystkie te nieszczęścia, które na nas spadły!... Potem matka mi powiedziała, że to jest siostra ciężko chora i być może odejdzie z zakonu... Co się z nią stało, proszę matki?

Przełożona zatrzymała się. Utkwiła w Annie spojrzenie swych czarnych oczu.

Przypominam sobie — powiedziała. Była pani wtedy bardzo przejęta tym, co od niej usłyszała.

Byłam. Czy ta siostra odeszła z klasztoru?

Nie. Nie odeszła. Na szczęście... Tak myślę... Umarła, tu u nas. Leży właśnie na naszym cmentarzyku. Ludzie przychodzą, przynoszą kwiaty, proszą o wstawiennictwo. Póki żyła, nikt jej nie znał. A teraz wszyscy o niej mówią... Postanowiłyśmy zawiesić w kaplicy obraz, który na jej prośbę pewien malarz namalował.

Co to za obraz?

Chodźmy do kaplicy, sama pani zobaczy.

Kaplica była mroczna, pachnąca kwiatami, kadzidłem, farbą olejną i czystością. Panowała w niej głucha cisza. W jednej z ostatnich ławek klęczała jakaś siostra z nisko pochyloną głową. Nad ołtarzem wisiał obraz. Na nim był Chrystus, który idąc rozchyłał szatę na piersiach. Z odkrytego serca padały dwa promienie: biały i czerwony...

Odruchowo chwyciła swoją torbę. Wśród przedmiotów wyniesionych z Warszawy była broszurka znaleziona na progu ich mieszkania. Anna nie rozstawała się z nią nigdy. Słaba reprodukcja na okładce — i ten obraz na ołtarzu — to to samo. Na ramie pod obrazem złościł się napis: „Jezu, Tobie”.

Zanim odjechały jeszcze raz wróciła na cmentarzyk, tu cisza, tylko ptak jakiś pisał w krzakach. Unosiły się białe dymy. Pogodne niebo zasnuwało się szarością.

Czwórka wędrowców zmęczonych wielogodzinną podróżą w zatłoczonym zimnym pociągu stała przed domem, który zdawać się mogło cudem ocalał wśród sąsiednich pustych i zamienionych w kopce gruzu.

Byli znowu w Warszawie.

Aleksandrowi udało się wydobyć z obozu. Przybył do Krakowa wynędzniały i zestarzały, ledwo trzymając się na nogach. Anna w pierwszej chwili nie mogła go poznać. Ten w pewnych okresach nawet gruby mężczyzna stał się cieniem. Ubranie wisiało na nim jak worek narzucony na drabinę.

Przyjechał w gorączce i natychmiast rozchorował się. Przez dwa tygodnie nie poznawał otoczenia. Anna czuwała nad nim prawie bez przerwy. Siostry pomagały. A jednak wyglądało na to, że wszystkie starania na nic się nie zdadzą.

Pomocą stały się pieniądze, które pewnego dnia przyniósł jakiś człowiek z wiadomością, że przysłała je Gawęłkiewicz. Było tych pieniędzy nawet dość dużo. Z tego, co ów posłaniec powiedział, dowiedzieli się, że Gawęłkiewiczowie opuścili zdrowo i cało Warszawę. Byli teraz w Łodzi, czyli w Litzmannstadt. Jak się zdaje, zostały tam wywiezione niektóre maszyny „Komety”, i można by kontynuować częściowo produkcję.

Pieniądze przysły w samą porę — dzięki nim można było zakupić na czarnym rynku potrzebne lekarstwa. Ostatecznie po paru miesiącach udało się wyciągnąć Aleksandra z morza chorób.

W okresie, gdy Rogowski dochodził do siebie, wojna zbliżyła się nareszcie do Krakowa. Miasto drżało, że podzieli los Warszawy. Jednakże dowódca radziecki dokonał zręcznego obejścia i uwolnił Kraków, zanim Niemcy zdążyli go zniszczyć. Dopiero teraz, któregoś dnia, Aleksander opowiedział Annie, w jaki sposób został ocalony. Zmuszany do ciężkiego wysiłku, traktowany brutalnie, zupełnie utracił siły. Wzięto go „na rewir” jako już nie nadającego się do pracy. Oznaczało to, że przy pierwszym transporcie zostanie odwieziony do zagazowania, ich bowiem obóz nie posiadał własnego tak nowoczesnego urządzenia. Tym paru dniom oczekiwania Rogowski zawdzięczał życie, z którego utratą już się pogodził. Leżał zrezygnowany, odmawiając na palcach różaniec, gdy wrzask kapo zmusił go do zwleczenia się z pryczy. Okazało się, że przyszedł żołnierz z poleceniem, aby więzień zjawił się natychmiast w kancelarii obozu.

— Byłem pewny — opowiadał Aleksander — że Niemcy mają dość mojej choroby i chcą mnie wykończyć jeszcze przed transportem. Cóż mogło być innego? Odchodząc powiedziałem kolegom, że mogą sobie zabrać moją torbę, szmatę, którą się okrywałem, i moją miskę. Nic innego nie miałem im do dania. Żołnierz prowadził mnie ku bramie, obok której znajdowała się kancelaria. Nie szedł zbyt szybko, bo nie nadążyłbym za nim. Ale on miarkował swój krok. Znałem go: był to człowiek już niemłody. Wiedziałem, że nie był zły. Gdy nikt nie widział, rozmawiał z nami. Umiał trochę po polsku. Kiedy odeszliśmy już daleko od baraków, powiedział: „Ale masz, człowieku szczęście!” Pewno, że mam — powiedziałem — bo nareszcie umrę.” On zaśmiał się i rzekł: „Ale ty głupi jesteś!”

Wszedłem za nim do kancelarii i tam zobaczyłem jakąś nie znaną kobietę, która na mój widok podbiegła i objęła mnie za szyję wołając: „<5ch, jak się cieszę, że widzę wujka!” Bardzo byłem zdziwiony, że Niemcy, którzy znajdowali się w kancelarii, wcale się jej ?»stępowaniu nie sprzeciwiali. Ona ciągle powtarzała, że się cieszy. Byłem pewny, że mnie bierze za kogoś innego, bo wiedziałem, że jej nigdy na oczy nie widziałem. Ona jednak raz po raz obejmując mnie za szyję szepnęła mi w ucho: „Niech pan naczelnik nic nie mówi... Jestem Sabina, siostrzenica...” Wtedy domyśliłem się, że to musi być jakiś podstęp i nic nie mówiłem. Ze swego gabinetu wyszedł komendant. I on nie sprzeciwiał się zachowaniu kobiety. Powiedział coś do niej po niemiecku, a ona także po niemiecku gorąco mu za coś dziękowała. Ten komendant był okrutny. Szczył nas psami i kazał kapo bić kijem. Ale wtedy wydawał się ogromnie wesoły. Brał tę kobietę za policzek i szczypał. Mówił jakieś żarty, które słysząc

wszyscy Niemcy rechotali. Potem dał jakiś rozkaz pisarzowi. Nie śmiałem wierzyć, kiedy tamten wypisał zwolnienie mnie z obozu. Z tym zwolnieniem w ręku wyszliśmy z kobietą za bramę. Dopiero z dala od obozu, na drodze powiedziała: „Jestem siostra Erazma. Przysłała mnie matka Rafaela. Bóg pomógł, siostry cały czas nie przestawały się modlić. Matka wiedziała, że mówię po niemiecku rów jak po polsku. Powiedziała, że tylko ja mogę pana naczelnika ocalić. Kazała mi się przebrać po cywilnemu, nauczyła, co mam mówić. No i dała wielki kosz, w którym było dużo wódki i kiełbasa. Nawet nie wiem, skąd matka to zdobyła. Jak tylko odkryłam kosz, komendant wpadł w dobry humor. Powiedział, że pan naczelnik to już szmelc, i nic po takim szmelcu... Nasze siostry pewno się dobrze się modliły. Mam już bilet, za trzy godziny będzie pociąg. Pan naczelnik dziś jeszcze dojedzie do Krakowa. A tam siostra Michaela czeka zawiadomiona telegraficznie...”

Myślałem, że nie dojadę, taki byłem słaby. Ale rozsadzała mnie radość. Bóg łaskawy, że mogłem ciebie zobaczyć Anusiu. I Anię. Jaka się ona zrobiła podobna do Jędrka. Nie uważasz?

Kraków był wyzwolony, ale życie było trudne, wolność nadchodziła powoli. W marcu przyjechała do Kraków jedna z pracownic pewnej fundacji dobroczynnej, której Rogowski był prezesem. Przywiozła wiadomość, że dom fundacji znajdujący się na Powiślu, szczęśliwym trafem ocalał, pracownicy fundacji wracający do Warszawy zajęli mieszkania dla siebie, ale ustalili, że jeden z pokoiów ma być zachowany dla Rogowskiego. Informacja zelektryzowała Aleksandra. Niczego tak nie pragnął, jak powrotu do Warszawy. Choć nie dość jeszcze silny, pragnął jechać natychmiast. Ledwie udało się Annie odłożyć wyjazd na kilka dni. Uszyła worki, w które mogli zabrać całe swe obecne mienie. Wyjechali we czworo z Basią, której Anna nie umiała zostawić samej w Krakowie. Pociąg włókł się całą dobę, wiele razy stawał. Okna były bez szyb, przejmujący chłód dokuczał. Wagon był nabitý ludźmi, tylko dla Rogowskiego było miejsce siedzące, Anna, Ania i Basia mogli tylko kolejno siadać. Dojechali do Dworca Zachodniej: na Czerniakowską dotarli wozem, pełniącym funkcję auta. Rozglądając się nie mogli uwierzyć, że są w Warszawie. Zrujnowane miasto dziwnie zmalało, szerokie niegdyś ulice stały się wąskimi kanionami. Niektórych dzielnic nie można było w ogóle poznać.

Tu, na Powiślu wyglądało szczególnie źle i trudno zrozumieć, jak się to stało, że dom fundacji, dawny, przekazany na cele charytatywne pałacyk, stał prawie nietknięty. Z przodu od ulicy ostał się go mały ogródek zamieniony na cmentarzyk. Między grobami stała również nie zniszczona figura świętego Józefa. Fronton domu stanowił ganek wsparty na czterech kolumnach.

Dom zamieniony był na mieszkalny „kołchoz”. Ci, którzy go zajęli, podzielili się pokojami. Dla Rogowskich zostawiono duży pokój nad gankiem, uzupełniony przedpokojem, który mógł służyć za kuchnię. Gdy czwórka wędrowców zastukała do drzwi domu, zeszli się wszyscy mieszkańcy, aby ich powitać. Anna wiedziała, że Aleksander przez całe życie świadczył ludziom różne życzenia, ale nie zdawała sobie sprawy, że aż tyle nagromadziło się wdzięczności i sympatii. Wieloletnia praca „biura i pióra”, na którą tyle razy się zrywała, przyniosła nieoczekiwane plony. .

Dom wyszabrowany został z mebli. Mieszkańcy podzielili się nielicznymi gratami, jakie pozostały. Rogowscy otrzymali pozbawioną trzewi kanapkę, stół i dwa stołki. Na kanapce Anna urządziła pościel dla Ani, dla reszty rodziny były sienniki leżące na ziemi.

Rogowski powróciwszy był przekonany, że będzie mógł pracować. O robotę nie było trudno. Fachowcy wszelkiego rodzaju byli poszukiwani. Ta sama opieka społeczna, którą musiał przed

piętnastu laty opuścić, teraz potrzebowała jego rad i pomocy. Także inne instytucje społeczne, podejmujące na nowo swoją działalność, zgłaszały się do niego po wskazówki. Ale zdrowie zawodziło. Niegdyś pełen takiej energii działacz, teraz był coraz słabszy. Nogi odmawiały posłuszeństwa, serce biło coraz boleśniej, wzrok przygasał. Aby nie żyć wyłącznie z zasiłków, Anna podjęła się zarzuconej od lat pracy nauczycielskiej. Uczyła w szkole, do której chodziła Ania. Utrzymanie porządku w domu spadło na głowę Basi.

Tak płynęły tygodnie tej wiosny, deszczowej, a jednocześnie pełnej nadziei. W Warszawie życie odżywało. Ludność wracała coraz liczniej. Wśród ruin i gruzów krzątali się ludzie. Obudził się twardy patriotyzm warszawski, ukryty dawniej pod złożami lekkomyślności i frywolności.

Jednak Rogowski musiał zrezygnować z kursowania po Warszawie. Teraz do niego na Powiśle przychodzili ci, którzy oczekiwali jego rad. Przez małe mieszkanie pozbawione mebli defilowały zakonnice najrozmaitszych zgromadzeń. Anna patrzyła na męża z coraz większą troską. Och, myślała, żeby chociaż dożył końca wojny i powrotu synów! Nic o nich nie wiedzieli. Jędrak został z całym obozem jenieckim wywieziony do Niemiec. O Władziu nie było wiadomości najmniej od dwóch lat.

Przyszedł maj, a z nim oczekiwany upadek Rzeszy, granice Niemiec pękły, wojna przeniosła się na teren, tych, którzy ją wywołali. Berlin oblężony przez armię radziecką, a także przez oddziały polskie — padł. W podziemiach bunkra zwycięzcy znaleźli zwęglonego trupa nowoczesnego Horostratesa. Armie sprzymierzonych spotkały się na Łabie. Niemcy zmuszone zostały do bezwarunkowej kapitulacji. Wreszcie ludzie mogli wracać do domów. Inni szli obejmować odzyskane po wiekach nadodrzańskie ziemie. Powracali z niewoli żołnierze. Przyjechała UNRA z ciuchami z Ameryki.

Ale młodzi Rogowscy nie wrócili. Od Jędrka przyszła wiadomość — wraz z paczką odzieży — z Belgii. Dotarli też listy od Władka i Jurka. Obaj żyli i znajdowali się w Anglii. Władek donosił, że podczas wojny ożenił się z Angielką imieniem Brenda. Żaden nie wspominał o powrocie...

W pokoju sąsiadującym z pokojem zajmowanym przez Rogowskich mieszkały dwie panie: matka i córka. Matka żoną oficera, którego ciało zostało znalezione w Katyniu, jakiegoś majora administracji wojskowej. Córka, Monika, wysoką blondynką o wielkich błękitnych oczach. Obie w czasie powstania znalazły się na Zieleniaku. Córka podzieliła los dziewcząt, które wpadły w ręce „własowców”. Potem jeden ze starszyny wziął ją sobie jako osobistą własność, podobno nawet chciał się z nią ożenić. Podczas ofensywy radzieckiej „własowiec” został zabity, a Monice udało się wrócić i odnaleźć matkę.

Obie panie pocieszały się, jak mogły, po swoich przejściach. Usiłowały żyć wesoło. Sprowadzały gości, urządzały dla nich kolacje zakrapiane obficie alkoholem. Nocami słychać było krzyki, dom pełen był tupania. W domowym „kołchozie” zaczęto narzekać na te hałasy. Również tego miał dosyć młody żółty jamnik, którego panie przywiozły sobie z Wrocławia, ale którym niewiele się zajmowały, bywał głodny i, jak mógł, uciekał do sąsiadów. Szczególnie lubił Anię, która zawsze przynosiła mu jakieś jedzenie i chętnie zapraszała do siebie, aby się z nim pobawić.

Mieszkańcy domu zwrócili się do Anny, aby jako ważniejsza osoba w domu porozmawiała z wdową i powiedziała jej, że sąsiedzi nie życzą sobie takich hałasów. Anna czuła, że nie może odmówić prośbie, zwłaszcza że sami Rogowscy cierpieli najwięcej od nocnych krzyków, biegania, dziwacznych szlochów,

budzenia ich przez ludzi, którzy pomylili się co do drzwi. Ale kosztowało ją to wiele. Całą noc nie spała przygotowując się do tej rozmowy.

Zaproszona na rozmowę wdowa zjawiała się w mieszkaniu Rogowskich następnego dnia. Anna przyjęła ją w kuchni zamknąwszy drzwi do pokoju, gdzie znajdował się Aleksander. Chciała zacząć od powiedzenia o chorobie męża i o tym, że hałasy szkodzą jego zdrowiu. Ale to wdowa zaczęła mówić pierwsza. Była wyraźnie przygotowana na wyrzuty. Nie próbowała się usprawiedliwiać. Popłakując zaczęła opowiadać o swojej ciężkiej doli.

— Ach, szanowna pani. Pani jest matką i babką, to pani mnie na pewno zrozumie. Nawet nie wyobraża sobie pani, co ja przeżyłam. Mąż poszedł na wojnę i z wojny nie wrócił. Dopiero potem miałam się dowiedzieć, jak strasznie zginął. Zostałam sama z dzieckiem. Musiałam pracować na nas dwie. Nie pracowałam nigdy przedtem. Wysłałam za mąż wcześnie, a potem... mąż, pani rozumie, zarabiał nieźle. Mieliśmy w Brodach dom, służbę, powóz... Bywali u nas starsi oficerowie. Nawet generał, dowódca garnizonu. Jeździłam konno.

Monika jeździła jako dziewczynka. Bywały zabawy, wycieczki... Wszystko straciłam, znalazłam się bez niczego w Warszawie. Musiałam zdobyć pieniądze na utrzymanie. Chwytałam się różnych rzeczy. Handlowałam. Trochę bimbrem, trochę woziłam słoninę. Pani wie, w jakie towarzystwo człowiek wpadnie, jak musi tak pracować? Z takimi łobuzami trzeba się było nieraz napić, aby pracy nie stracić. Ja przecież byłam kulturalną kobietą, miałam służbę... A co ze mnie takie życie zrobiło... A jeszcze sprawa córki... Pani pewno słyszała. Jak te zwierzaki rzuciły się na nas na Zieleniak. Nie będę pani nawet opowiadać, co to było... Próżno błagałam. Robili swoje i tylko mówili: „pierwym diełem doczka, a matuszku patom...” Dobrze, że w końcu trafiła tylko na jednego. Nie najgorszy nawet był chłop... Ale to może i źle? Bo ona teraz gada: jak mnie tak los zrobił, to ja już teraz inaczej nie mogę... Powiadam jej: mogłabyś się uczyć. Ani słyszeć o tym nie chce. Nieszczęście, szanowna pani, nieszczęście. Jedno tylko widzę wyjście: żeby jej znaleźć takiego, co by się z nią ożenił. Jak trafi szczęśliwie, to może się nie zmarnuje z kretelem... Łzy spływały kobiecie z podcienionych oczu. Anna patrzyła na nią na poły ze współczuciem, a na poły ze zdumieniem.

I pani myśli, — zapytała — że przez te zabawy doprowadzi pani córkę do małżeństwa?

Ano właśnie, szanowna pani. Chłopa nie przywabisz, jak mu nie dasz zjeść i wypić. Ja wiem, że od tych hałasów państwo cierpią. I mnie bardzo przykro. Słyszałam, że pani mąż przed wojną był ważnym urzędnikiem i bardzo go wszyscy szanują. Ale mówię do pani serca: czy mogę pozwolić, aby się dziewczyna do reszty zmarnowała? Może raz coś wyjdzie. Chodzi za nią jeden Ruski, co to i w polskim wojsku. On to nawet nie całkiem Ruski. Ma polskie nazwisko i powiada, że jego ojciec był Polakiem... Przecierpcie jeszcze państwo parę dni, bardzo was o to proszę. Potem on ją zabierze i będzie tu cicho jak makiem zasiał.

Westchnęła. Nie bardzo wierzyła w skuteczność wdowiej kuracji i obawiała się, czy tamta nie nadużywa jej delikatności — ale postanowiła poprzeć prośbę tej kobiety.

Przedstawię to wszystkim — powiedziała. — Ja tego nie rozumiem, jak ktoś, kto jak córka pani przeszedł taką straszną rzecz, może jeszcze pragnąć... No, ale oczywiście, sprawa nie moja. Dobrze. Jeszcze mam do pani jedną rzecz. Chodzi mi o tego pieska. Wydaje mi się, że panie go wzięły, ale właściwie nie mają panie na niego ochoty. A moja Ania ogromnie go polubiła. I on ją. Jeśli ją z daleka

zobaczy, przyłazi do niej... Czy pani nie zechciałaby go sprzedać? Jest ciężko i z psem mogę mieć kłopot. Ale chodzi mi o Anię. Jest dzieckiem smutnym. Matka jej zginęła, ojciec nie wraca...

Ależ szanowna pani. Proszę wziąć psa. Nic nie chcę za niego. Właściwie to dostała go moja córka od jednego, który chciał się z nią żenić. Tamten to się jednak nie nadawał... I z psem mamy tylko kłopot, bo przecież obie chodzimy pracować, a on siedzi zamknięty i zawsze nabrudzi.

Piesek Bobik, ku szalonej radości Ani przewędrował tego jeszcze dnia do mieszkania Rogowskich i nigdy już potem nie pomylił drzwi, wracając z podwórza. Anna przedstawiła sprawę wdowy mieszkańcom. Kobiety kręciły powątpiewająco głowami i robiły na temat matki i córki złośliwe uwagi, ale zgodziły się z Anną, że trzeba jakiś czas poczekać ze stawianiem żądań. Anna powiedziała o tym sąsiadce, spotkawszy ją na korytarzu.

Bardzo szanownej pani dziękuję, bardzo. — Kobieta tego dnia robiła wrażenie zadowolonej. Mrugnęła porozumiewawczo na Annę. — Wie pani, tak mi się zdaje, że z tym chłopcem to dojdziemy do ładu.

Życzę wszystkiego najlepszego. A pani jest pewna, że to przyzwoity człowiek?

O tak. Oficer, kapitan. I on na pewno z Polaków. Nazywa się Miniewicz...

Jak pani powiedziała? Miniewicz?

Tak. Józef Miniewicz.

To zabawne. Ja także jestem z domu Miniewicz.

Muszę mu o tym powiedzieć. On mówił, że ma rodziną w Polsce, ale jej nie mógł znaleźć i nawet nie wie, gdzie ich szukać.

Tego dnia przed wieczorem ktoś zapukał do drzwi Rogowskich. Anna powiedziała: „Proszę”. Drzwi otworzyły się i stanął w nich oficer w polskim mundurze. Spojrzała na jego twarz i poczuła, że jej bije serce. To podobieństwo nie mogło być przypadkowe.

Proszę, niech pan wejdzie. — Zrobiła zapraszający gest. — Domyślam się, że pan kapitan Miniewicz.

Nu, ja — głos był lekko zachrypnięty. — A pani to pani Rogowska? Tak ja dumam, że ja pani plemiennik, a pani moja tiotka. Mnie pani Krawczyk skazała, czto pani dziewiczaja familia toże Miniewicz. A mój papa gawarił, czto jego siostra za Rogowskim...

Podeszła do niego bliżej.

Ojciec pana ma może na imię Hipolit?

Prawda. Hipolit.

Patrzyła na niego oszołomiona.

Żyje?

Niet. Pomarł. W czasie wojny, panimajecie? Tolko mać żywiot.

Miałam brata, który się nazywał Hipolit. Zginął w czasie tamtej wojny. Czyżby on był ojcem pańskim?

To on. Papa skazywał czoło u niego cztery bracia w Polsce. I dwie siostry. Jedna monaszka. A jedna za Rogowskim. Tak wy moja tiotka.

Wstała i objęła go. Pocałowała go w czoło i w oba policzki. Musiała się przemóc, bo z ust oficera zalatywały alkohol i machorka.

Będę ci mówiła ty — powiedziała. — Nazywasz się Józef, prawda? Jak dziadek.

Prawda, ciocia. Bardzo się cieszę, że was znalazł. Zupełnie nie wiedział, jak szukać. Powiecie mnie, gdzie znaleźć wujów?

Nie znajdziesz ich, Józiu. Romuald, Witold, Michał nie żyją. Także ciotka Katarzyna. Ją, Michała i Romualda zabili Niemcy. O Pawle nic nie wiem. Przed wojną mieszka Grodnie...

To wy tylko ciocia przeżyliście?

Ja. Ale czy ty wiesz, Józiu, że żyje w Polsce twoja siostra przyrodnia? Córka twego ojca z pierwszego małżeństwa, Jadzia?

Wiem. Ale ona toż nie żyje.

Jadzia? Skąd ty o tym wiesz?

Rozerwało ją, jak wysadzała pociąg. Z niej był partyzant i prawy geroj. Ja ją znał tylko z listów, które pisała do ojca...

To ona wiedziała, gdzie ojciec mieszka?

Wiedziała.

Nigdy mi o tym nie powiedziała jednym słówkiem.

Wolała się z tym kryć... Ale wam, ciocia, mogła powiedzieć. Wy dobra... Ona pisała, że takiej jak wy to drugoj nie znajdziesz.

Pleciesz, mój drogi. Zaskoczyłeś mnie tym, co mówisz o Jadzi. Widziałam ją zeszłej zimy... Teraz zaczynam ją trochę rozumieć... A ty w polskim wojsku czy w radzieckim?

Mnie do polskiego przenieśli. Wielu przeszło takich, ich rodzice pochodzą z Polski.

A teraz co będzie? Zostaniesz w Polsce czy wrócisz?

Może każą wrócić? A może pozwolą wybierać? Moja matka ruska kobieta. Dobra kobieta. Mam brata i sióstrę. Jak szedłem na wojnę, byli mali...

Gdzie mieszkają?

W Kazaniu. Wy wiecie, ciocia, gdzie to jest?

Wiem.

Jak zostanę tu, nigdy tamtych nie zobaczę. A mnie jedna dziewczyna tutaj bardzo się spodobała.

Monika?

Jej mać wam skazała? No, właśnie...

Chcesz się z nią żenić?

Tak myślę. Ożenię się i zabiorę do nas. Będę się mógł chwalić polską żoną. Bo u nas wiadomo: jak Polka, to elegancka... Jej ojciec był oficerem, to ona oficerska doczka...

Jesteś pewny, że kocha ciebie?

Ona, ciocia, ciężkie rzeczy przeszła. Ja wszystko wiem. Ona teraz nawet nie pojmuje, co to znaczy kochać. Na wszystkich obrażona. Nawet na Boga...

A ty wierzysz, Józiu?

Mnie o Bogu nie mówili. Ale Bóg musi być. Musi być. Bo wiecie, ciocia, czasami to tyle na świecie zła, jakby wszystkie światła pogasły. I już człowiek myśli: napławat' na takie życie! A tu nagle w najciemniejszym kąciuku małe światełko zaczyna migotać. I widzisz: nie wszystko złe, bo ktoś dobrze drugiemu człowiekowi chce uczynić. Skąd się taki mógł wziąć? Sam z siebie? Ech! Musi być Bóg, choć Go nie widzisz...

To ożenisz się z nią w kościele?

Koniecznien, ciocia. A wy przyjedziecie na nasz ślub?

Naturalnie.

Ot, ciocia, jak się cieszę, że was znalazł. Szkoda, że papa nie dożył. Z głodu umarł. Nie było co jeść, jak Niemcańcy podeszli...

W czerwcu przyjechała do Anny nieznana kobieta. Przywiozła list od Gawętkiewiczowej.

„Moja droga Anusiu — pisała matka Małgosi. — Dowiedziałam się od siostr w Krakowie, gdzie teraz mieszkacie i mam nadzieję, że pani Walencik odnajdzie ciebie, aby doręczyć ci ten list. Cóż ci mogę napisać, moja droga? Ciężko mnie Bóg doświadczył. Zygmunt nie żyje. Stało się to przed kilkoma miesiącami, ale ja ciągle łudziłam się nadzieją. Teraz już jednak wiem, że tak się stało naprawdę. Choć ciągle trudno mi uwierzyć. Był taki energiczny, taki dzielny, tak zawsze umiał dać sobie radę. Nie wyglądał na takiego, którego może spotkać coś złego. Nosił zawsze przy sobie tę modlitwę, którą chciałam dać Jędrusiowi.

Jak pewno wiesz. Zygmunt zbliżył się bardzo z panem Rebinderem, który był wyznaczony przez Niemców na opiekuna „Komety". To był bardzo przyzwoity człowiek. Nikomu nie chciał zrobić krzywdy. Fabryka dzięki niemu pracowała i dlatego mogliśmy postać wam trochę pieniędzy do Krakowa. Ale nagle pan Rebinder i Zygmunt zostali aresztowani. Byłam pewna, że to jakaś pomyłka, że się wszystko wyjaśni. Ale jak robiłam starania, aby go uwolnić, to mi powiedziano, że pan Rebinder jest Żydem, który swoje pochodzenie ukrył i oszukał władze niemieckie. Ja myślę, że to nieprawda. A zresztą gdyby to była prawda, dlaczego by aresztowano Zygmunta? Ktoś mi mówił, że obaj dawali

pieniądze na tych, którzy robili spisek przeciwko Hitlerowi. Aresztowali ich, a w parę dni później ich nazwiska ukazały się na liście rozstrzelanych. Ale pocieszano mnie, że wielu, o których pisali, że są rozstrzelani, naprawdę żyje. I okazało się, że to była prawda, bo pan Rebinder nie zginął. Jest teraz w Wiedniu. Napisał do mnie. Ale Zygmunta zabili, wiem, jak się to mogło stać, że jego zabili, a pana Rebindra nie. Pan Rebinder powiadomił mnie, że udało mu się ocalić trochę wspólnych pieniędzy i zaprasza mnie, abym przyjechała do Wiednia. Píše, że za te pieniądze będę mogła skromnie żyć. Dla mnie, moja droga, to niezwykle szczęśliwe rozwiązanie. Co ja bym robiła sama, bez męża, bez córki, bez środków do życia? Jak może pamiętasz, bo ci to nieraz mówiłam, mój ojciec był Austriakiem i choć przez całe życie uważałam się za Polkę, przecież Austria jest ta moją ojczyzną. Po niemiecku mówię jak po polsku. Nieraz dla samej przyjemności uczyłam różnych ludzi niemieckiego. Szkoda, że Małgosia nie miała nigdy na to ochoty!

Biedna Małgosia. Często o niej myślę. Po co ona poszła tego powstania? Jej obowiązkiem było opiekować się dzieckiem. Przed rozpaczą broni mnie nadzieja, że ty się na pewno za nią modlisz.

Jak się ma Ania? Pewno bardzo wyrosła? Dziewczynki w tym wieku rosną szybko. Czy chodzi do szkoły? Barzo mi smutno, że jej prędko nie zobaczę, bo wyjadę już w najbliższych dniach. Pojadę do Wiednia, a potem do Heligekreutz. Tam mieszkają jeszcze kuzyni mego ojca. Napiszę do was, jak już będę na miejscu. Przez panią Walencik posyłam trochę złotych rzeczy. Niech będą dla Ani. Czy macie jakąś wiadomość o Jędrusiu? Tak się cieszyłam, że Małgosia znalazła dobrego męża i weszła do waszej rodziny. Szanuję bardzo twego męża, Anusiu, a dla ciebie mam, jak wiesz wiele miłości i uznania..."

Z listem przybyła pani przywiozła Annie zamszowy woreczek zawierający kilka pierścionków, złoty naszyjnik i kilka sztuk złotych dolarów.

Lato kończyło się. Upały przeplatały się z krótkimi, ale rześzystymi ulewami, tym przykrzejszymi, że przy długich pieszych wędrówkach i bez możliwości schronienia się przed deszczem, gdy miasto było jedną ruiną, Anna i Ania nieraz wracały do domu przemoknięte do nitki.

Ostatniego sierpnia Anna z wnuczką wyruszyły na Starówkę. Ranek był szary, mglisty, już prawie jesienny, ale potem wyszło palące słońce. Starówka przywitała je czerwienią odartych z tynku cegieł, szarym pyłem, unoszącym się przy każdym podmuchu wiatru, i zielenią traw bijących spomiędzy gruzów. Ta żywa zieleń zdawała się triumfować nad martwością ruin. Idąc nie spotykały nikogo. Ulice zawałone były gruzem, tak że nie można było odróżnić jezdni od chodników. Tu i tam stały jeszcze barykady. Na sterczących resztkach murów wypalone okna przypominały czarne oczodoły.

Weszły na Starówkę tak samo jak wtedy schodziły — przez Mostową. Z kościoła Św. Jacka został tylko przedsionek. Figura Matki Bożej stała przepołowiona od góry do dołu, ale u stóp tej zranionej postaci ktoś położył pęk świeżych kwiatów. One także przyniosły i położyły kwiaty.

Ulicą Freta doszły do rynku Nowego Miasta. Basen przeciwlotniczy na środku placu otoczony był lasem wysokich badyli. Spomiędzy zielska strzelała kępa kłosów pszenicy — widać wyrosły na miejscu, gdzie podczas powstania rozsypane zostało ziarno. Ponad gruzem i zielskiem dostrzegły głowę ludzką. Ale była to figura — nie żywy człowiek. Kościół Sakramentek przypominał rozbitą wagę. Na tle błękitnego nieba widać było zburzoną do połowy wieżę kościoła Nawiedzenia. Pomniczek Maryi przed kościołem stał zepchnięty podmuchem na sam brzeg cokołu i w niepewnej równowadze pochyłał się nad ruiną. Niski dom, który zasłaniał kościół od strony ulicy Przyrynek, był wypalony do

piwnic. Anna pochyliła się nad dołem pełnym białego popiołu. To tu, wiedziała, Niemcy spalili chore pensjonariuszki zakładu dla starców, w którym pracowała Katarzyna. W tej piwnicy także ukrywany był cudowny krzyż z katedry, ale zdołano go zabrać w porę.

Gdy wychodziły z ruin kościoła, natknęły się na dwóch żołnierzy radzieckich, którzy zdawali się czegoś szukać wśród gruzów. Zawróciły w ulicę Freta. W murach spalonego kościoła Paulinów natknęły się na prowizoryczny, sklecony z desek i z cegieł, sklepik sprzedający sałatę, marchew i cebulę. Widać było już potrzebny dla ludzi, którzy zamieszkiwali sąsiednie ruiny. Choć minął rok, z ulicy Kilińskiego powiało odorem spalenizny i gnijącego mięsa. Na jezdni obrócony spodem do góry leżał wrak zdradzieckiego czołgu.

Doszły do domu, w którym kiedyś mieszkały. Stał rozdarty, odkrywając mieszkania na wszystkich czterech piętrach. Nad ulicą wisały wanny, sterczały rury, unosiły się — niby zatrzymane w pokrętnym tańcu — schody. A jednak w pokoju na pierwszym piętrze, pozbawionym ściany od ulicy, widać było suszącą się na sznurze bieliznę. Ktoś już mieszkał...

Zeszły z powrotem na Mostową nad Wisłę. U stóp Karowej leżał na rzece pontonowy most. Pod ciężarem jadących aut deski mostu uderzały o powierzchnię wody i kłapały. Za słupami mostu Poniatowskiego stały wielkie, czarne krępy. Przewoziły ludzi. Zabierały tylu pasażerów, że woda sięgała burt. Trochę dalej rdzewiał przy brzegu mały stateczek — ślad tragedii powstańców czarniakowskich.

Rogowski gościł cicho, spokojnie i pogodnie, jak wolno dopalający się wieczór letni. Znalaziono dla niego łóżko, więc nie musiał leżeć na ziemi. Przychodzili ludzie, przyjaciele, znajomi, a często także nieznajomi, przynosili kwiaty. Tylu było, dla których coś w życiu zrobił, i którzy chcieli mu okazać swoją wdzięczność. Patrzył na nich, uśmiechał się, a potem zamykał oczy, jakby zmęczony patrzeniem.

Kiedy jednak w pokoju była tylko Anna, wodził za nią spojrzeniem. Podchodziła, by poprawić mu poduszki. Wtedy usiłował pocałować ją w rękę.

Dziękuję ci, Anusiu — mówił. — I przepraszam...

Za co?

Za wszystko. Za to, że nie byłem dla ciebie takim, jakim powinienem być.

Co ty też mówisz? Byłeś najlepszym mężem.

Zasługiwałaś na kogoś... ciekawszego. Byłaś taka zdolna, miałaś tyle talentów...

I co jeszcze będziesz mówić?! Ach, Olesiu, Olesiu. Jestem bardzo zwyczajną kobietą, której marzyło się tylko czasami to i tamto. Ale Bóg strzegł i wiedział lepiej, co będzie dobre. Jak to dobrze, że dawał zawsze to tylko, co sam chciał dać...

Był dla nas dobry i miłosierny. Tyle przeżyliśmy chwil szczęśliwych... Tyle ja ich przeżyłem...

Ja także. Bóg opiekował się nami. Chłopcy ocalili...

Nie zobaczę już ich. Ale stamtąd na pewno można widzieć także. I można pomagać. Nawet podobno lepiej. Tylko tobie, Anusiu, będzie ciężko, gdy zostaniesz sama...

Będzie ciężko, ale nie zabraknie pracy. Będę musiała zajmować się Anią. Małgosia powierzyła mi ją.

To była jednak dobra dziewczyna. Żał mi, że jej nie lubiłem. Byłem zawzięty... Chciałeś dobrego dla Jędrka. Zapominamy nieraz, że i Bóg chce dobrego dla naszych dzieci.

Był już późny wieczór. Zrujnowane, pozbawione świateł miasto spowijał gęsty mrok. Leżała na nim także wielka cisza. Anna nie kładła się. czuwała przy Aleksandrze. Ania została przeniesiona do Basii, do kuchni. Rano Basia budziła dziewczynkę słowami: ..Wstawaj, rebiata, wychodź z krawata!" Ale teraz obie spały na swoich siennikach.

Jak to dobrze, Anusiu — powiedział gdzieś w środku nocy Aleksander — że ksiądz Kowalski był tu przedwczoraj, wyznał mi i przyniósł Komunię świętą. Jeżeli dożyję jutra, poproś go dla mnie o ostatnie namaszczenie...

Ale o świecie przyszła śmierć.

Dalszy ciąg dziejów rodziny w powieści „Dzieci Anny”.